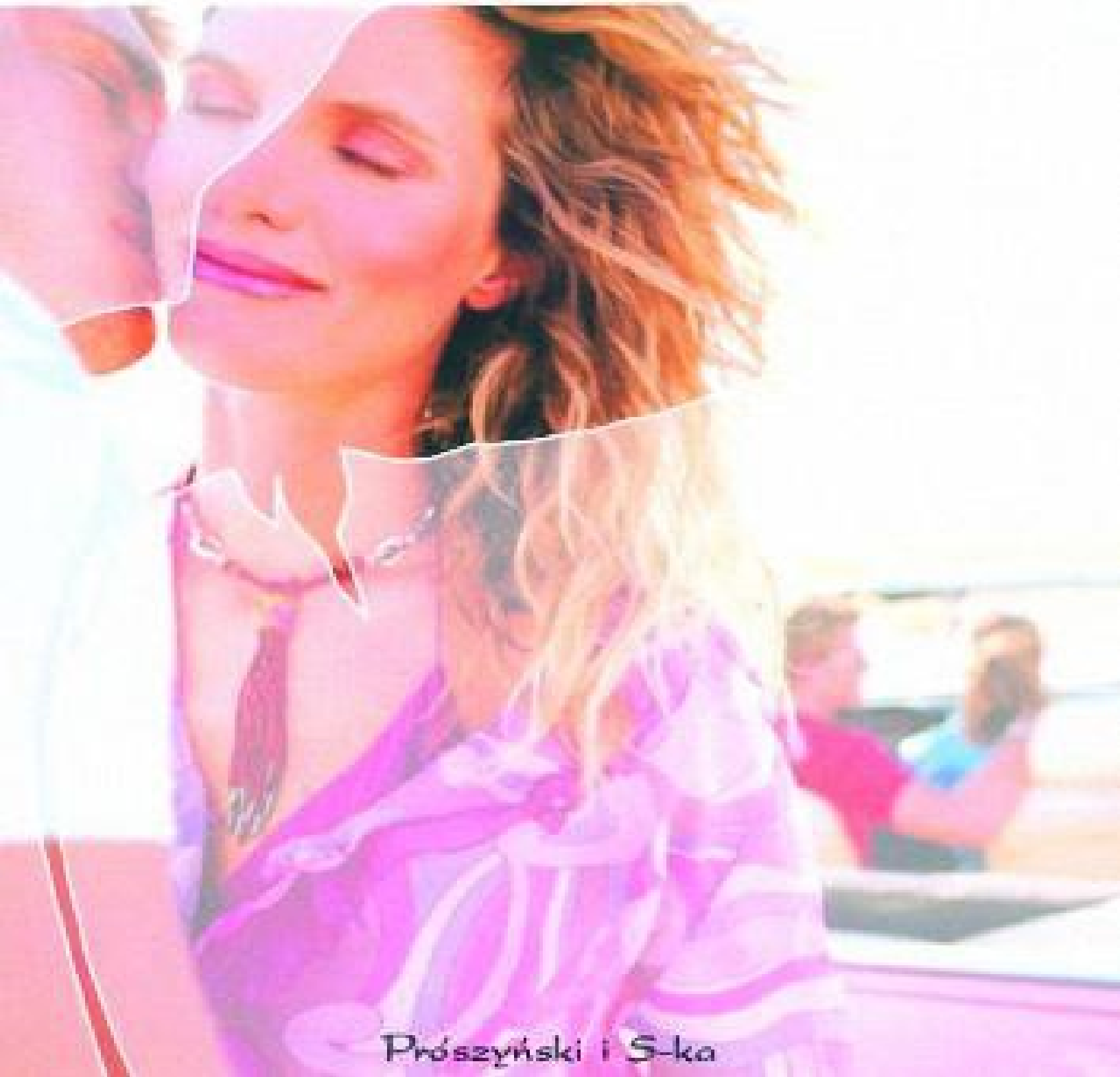


Karen
ROBARDS

Przebojowa dziewczyna



Prószyński i S-ka

20 czerwca

- Nie zamierzam mieszkać pod jednym dachem z żadnym zapchlonym kundlem, więc zabieraj go stąd, do cholery!

Psiak przywarł do jej nóg. Marsha Hughes wzięła go na ręce, a następnie ostrożnie zrobiła krok do tyłu, szczęśliwa, że Keith stał w drzwiach kuchennych, a nie między nią i drzwiami wyjściowymi. Dobrze znała ów ton. Znała ten grymas na zaczerwienionej twarzy Keitha.

Wiedziała, co nastąpi po gniewnym naprężeniu opalonych ramion i zaciśnięciu potężnych pięści.

Suczka, maleńka, załośnie wyglądająca przybłęda, którą znalazła skuloną za olbrzymim pojemnikiem na śmiecie w pobliżu ich zaniedbanego bloku, najwyraźniej także to wiedziała.

Cała się trzęsła, patrząc na Keitha ze swego schronienia w ramionach Marshy.

- Dobrze, dobrze - uspokajała mężczyznę Marsha, mocniej obejmując drżącego psiaka.

Nie stało się nic nadzwyczajnego, nic, co uzasadniałoby taką wściekłość Keitha, toteż nie mogła pozwolić, aby skrzywdził suczkę. Psina miała w sobie coś, co chwyciło za serce. Była niewiele większa od kota, chuda i brudna, bez wątpienia spragniona miłości, miała wilgotne oczy, lisi pyszczek, trójkątny łebek z dużymi, stojącymi uszami, krótką, czarną sierść bez połysku, na której widniała tylko jedna, biała łata na piersi, oraz zakręcony, nieprawdopodobnie puszysty ogonek.

Nie była ładna, ale bardzo słodka i przyszła zaraz, gdy tylko Marsha uklękła i pstryknęła na nią palcami. Pozwoliła wziąć się na ręce, zabrać do bloku i wnieść po schodach, lizła ją z wdzięczności po rękę, kiedy dostała kielbasę i ser, niemal wszystko, co mieli w lodówce, ponieważ był czwartek wieczór, a oboje z Keithem dostawali wypłatę dopiero w piątek. W

czasie, jaki upłynął od momentu, gdy Marsha, wracając do domu z Winn-Dixie, gdzie zarabiała na życie jako kasjerka, znalazła psa, a powrotem Keitha, który pracował na drugą zmianę w fabryce Hondy i dostał szału na widok zwierzątka, wydawało jej się, że mogłaby to maleństwo zatrzymać.

Keitha wieczorami nie było w domu, miałyby więc do kogo wracać. Miałyby z kim porozmawiać, o kogo dbać, a może nawet i kogo kochać.

Kiedy zaczęła o tym myśleć, zrobiło jej się smutno, bo nagle dotarło do niej, że musiała znaleźć sobie psa przybłędę, aby mieć kogo kochać. No cóż, jeżeli tak właśnie układało się jej życie, nie było sensu zaprzeczać faktom. Miała trzydzieści pięć lat, rude włosy i całkiem dobrą figurę, o czym wiedziała, na twarzy jednak pojawiły się pierwsze oznaki upływu czasu. Większość mężczyzn nie zatrzymywałajuz na niej dłużej oczu. Któregoś dnia w aptece Rite-Aid zaczęła flirtować z młodym, przystojnym chłopakiem, który realizował jej receptę. Był bardzo miły, ale kiedy życząc Marshy miłego dnia, zwrócił się do niej per pani, natychmiast zrozumiała, co chciał

powiedzieć: Dziękuję, ale nie, bardzo dziękuję. Prawda była taka, że zjeżdżała już z górki, miała za sobą dwa rozwody, a przed sobą niewiele więcej poza przystojnym, aczkolwiek porywczym

facetem i pracą bez perspektyw.

- Zabieraj go stąd! - rzucił Keith groźnym tonem i spojrzał na nią wymownie.

Jego wzrok był jak ostrzeżenie przed burzą, co kazało jej przypuszczać, że zanosiło się na jeden z ich nie najlepszych wieczorów. Zaszło jej w ustach i poczuła ucisk w żołądku. Keith w dobrym humorze był słodki jak czekolada; Keith w złym nastroju wywoływał w niej strach.

- Dobrze - powtórzyła i skierowała się ku drzwiom.

Keith na chwilę ochłonął i także się odwrócił, znikając w kuchni.

Drzwi między kuchnią a pokojem zamknęły się za nim i Marsha wzięła głęboki, pełen ulgi oddech, a potem mocniej przycisnęła do siebie psinę.

Suczka polizała ją w policzek.

- Przykro mi, aniołeczku - wyszeptała przepraszająco do jej ucha Marsha. - Ale widzisz, jak to jest, musisz stąd odejść.

Zwierzak cichutko westchnął, jakby rozumiał i jej wybaczał.

Głaszcząc go po karku, poczuła ukłucie żalu. To dobry psiak.

Z kuchni dobiegło ją "Do cholery!" Keitha. A po chwili głośno:

- Gdzie, do diabła, jest ta cholerna kiełbasa?

O mało nie posiusiała się ze strachu. Tak jak się obawiała, znalazł pretekst, aby wyładować na niej swój zły humor. Teraz był naprawdę wściekły. Kiedy się wściekał, zawsze miał do niej pretensję o coś, co zrobiła lub czego nie zrobiła. Tego wieczora chodziło o kiełbasę.

Trzasnęły drzwiczki od lodówki.

Ten dźwięk zelektryzował Marshę. Chwyciła leżącą pod stolikiem obok kanapy torebkę i czmychnęła za drzwi w chwili, gdy Keith wpadł do pokoju.

- Gdzie, do diabła, jest ta pieprzona kiełbasa? - ryknął.

Jego głos grzmiał zza drzwi, które w pośpiechu zostawiła otwarte. Zanim dobiegła do schodów, Keith zdążył już przez nie wyjrzeć na korytarz.

- Nie wiem.

Ściskając w ramionach psa i torebkę, rzuciła za siebie odpowiedź, starając się przekrzyczeć hałas, jakie robiły jej stare klapki Schol a, gdy zbiegała po metalowych stopniach.

- Co to znaczy, nie wiesz? Do cholery z tobą! Kiedy wychodziłem do pracy, kiełbasa była w lodówce, a teraz znikła. Nie gadaj, że nie wiesz, co się z nią stało!

Pochylał się nad balustradą schodów na samej górze, a jego twarz była purpurowa z wściekłości.

- Pójdę do sklepu i kupię, dobrze?

Z trudem łapiąc oddech, dotarła na parter. Niezgrabnie przycisnęła do siebie psa oraz torebkę i złapała za klamkę ciężkich, metalowych drzwi, które wychodziły na parking. Torebka była jej potrzebna, bo miała w niej kluczyki. Suczka nie. Ale gdyby ją tu zostawiła, Keith mógłby wyładować na zwierzęciu swoją wściekłość. Znała Keitha. Gdy ogarniała go złość, potrafił być naprawdę podły.

- Coś ty z nią zrobiła? Przecież nie lubisz kiełbasy. Nakarmiłaś nią psa?

Nie, nie mogła zostawić zwierzaka. Marsha omal nie dostała ataku serca ze strachu, przycisnęła suczkę mocniej do piersi, a potem zerknęła trwożnie za siebie, przełamała paralizujący lęk i otworzyła szeroko drzwi. Keith nie przechylał się już przez balustradę, ale niczym tornado ruszył

w kierunku schodów. Nawet rozgrzane powietrze, które otuliło ją natychmiast, gdy wybiegła w noc, nie zlikwidowało lodowatych dreszczy przebiegających po jej skórze.

- Zrobiłaś to, zrobiłaś, prawda? Dałaś moją kiełbasę temu pieprzonemu kundlowi!

Gonił ją. Serce waliło jej jak młotem z niemal zwierzęcego strachu. Keith był naprawdę dotknięty do żywego. Gdyby ją złapał, stłukłby na kwaśne jabłko.

Jezu, Jezu, nie pozwól, aby mnie dopadł.

Zgubiła klapek, biegnąc przez parking do swojego taurusa, ośmioletniego gruchota z nie sprawną klimatyzacją, na stałe zalepioną szybą w bocznym okienku przy siedzeniu dla pasażera obok kierowcy i ponad stu osiemdziesięcioma tysiącami kilometrów na liczniku. Kulejąc i klnąc, zrzuciła także drugi klapek i przyspieszyła kroku. Chociaż to dopiero dwudziesty czerwiec, lato było nad wyraz skwarne i asfalt parzył jej gołe stopy niczym rozgrzana patelnia. Powietrze zrobiło się tak duszne, że z trudem oddychała. Marsha miała wrażenie, że żółte światelko na szczycie masztu na dalekim końcu parkingu migotało w upale. Ponieważ w drodze z pracy do domu wchłonęła z wilczym apetytem hamburgera i frytki, zaparkowała przy śmietniku, aby wyrzucić ślady przestępstwa, zanim o tym zapomni i Keith znajdzie opakowanie. Nie lubił, gdy jadła takie rzeczy. Mówił, że od tego się tyje.

Śmietnik znajdował się na samym końcu parkingu, obok latarni.

Aby dostać się do swojego taurusa, musiała minąć aż trzy rzędy zaparkowanych samochodów.

Jeśli Keith ją złapie, to przez te cholerne frytki i hamburgera.

Ciągle powtarzał, że gdyby go słuchała, oszczędziłaby sobie wiele powodów do zmartwień.

Nagle przyszyła jej do głowy radykalna myśl: może ma już dość Keitha.

- Wyniesiemy się stąd, skarbie - powiedziała do psa, z trudem łapiąc oddech. Otworzyła drzwiczki i dosłownie wrzuciła zwierzaka do środka.

Wskoczyła na fotel kierowcy, a pies znalazł sobie miejsce na siedzeniu obok. Czarne, winylowe obicie parzyło jej gołe uda poniżej sfatygowanych, krótkich spodenek z bawełny. W dusznym wnętrzu nadal czuć było zapach jedzenia z McDonalda. Wkładając kluczyki do stacyjki, Marsha obejrzała się przez ramię i zobaczyła Keitha: bardzo się spieszył, wybiegł już z budynku, a jego muskularna sylwetka wydawała się potężniejsza niż zwykle, oświetlona od tyłu słabym światłem padającym z latarki.

- Marshal Wracaj!

Czy uważał ją za aż tak głupią? Nie ma mowy, żeby wróciła ..

W skroniach jej pulsowało, gdy wrzucała wsteczny bieg. Samochoód ruszył do tyłu. Nacisnęła hamulec, obejrzała się i zobaczyła Keitha, który biegł już w jej stronę. Jezu, wyglądał tak, jakby chciał ją zabić. Oszalał. Całkiem oszalał. Te słowa dudniły jej w głowie jak szalony, histeryczny refren. "Sterydowa furia", tak określano podobny stan, efekt tych świństw, które zażywał, aby mieć potężniejsze mięśnie. Tak czy inaczej, kiedy go to nachodziło, tracił rozum.

Był już przy trzecim rzędzie aut. Marsha w popłochu skręciła w alejkę. Mokra od potu, nacisnęła pedał gazu w chwili, gdy Keith wyłaniał się pomiędzy dwóch zaparkowanych samochodów. Był

dosłownie kilka kroków od niej. Ich spojrzenia na jedną, straszliwą chwilę spotkały się przez przednią szybę auta. Potem taurus minął go jak rakietę.

- Wracaj tu, suko!

Spojrzała w tylne lusterko i zobaczyła, jak Keith potrząsał pięściami w bezsilnej furii. Psychol, pomyślała. Po wyjeździe z parkingu ostro skręciła w lewo i na pełnym gazie ruszyła w stronę asfaltowej drogi wiodącej do Benton.

Dzięki Bogu nie mógł za nią pojechać. Do domu podrzucił go kumpel; pikap Keitha został pod fabryką.

Ochłonęła dopiero po kilku minutach. Kiedy jej serce zaczęło bić w miarę normalnie, zdecydowała, co zrobi: spędzi noc u swojej przyjaciółki, Sue. Było już późno - rzut oka na tablicę rozdzielczą uświadomiła jej, że zbliża się północ. Jednak Sue, która pracowała w fabryce Hondy razem z Keithem, z pewnością jeszcze nie spała. Sue miała męża i troje dzieci i wszyscy mieszkali w podwójnej przyczepie po drugiej stronie miasta. Nie było tam gdzie szpilki wcisnąć, ale Marsha wiedziała, że Sue na pewno ją przenocuje. Następnego dnia postara się wymyślić coś innego.

W żadnym wypadku nie mogła wrócić do domu. Nie tej nocy i nie jutro. Może już nigdy. "Możesz się wypchać i pomalować na zielono", powiedziała w duchu do Keitha. Ten nietypowy objaw buntu dobrze jej zrobił.

Suczka cicho zaskamlała. Marsha zobaczyła, że psina usiadła obok, na fotelu pasażera i nie spuszczała oczu z jej twarzy.

_ Wszystko w porządku - powiedziała, głaszcząc ją po małej główce. - Jakoś sobie poradzimy.

Psiak polizał ją po nadgarstku i Marsha od razu poczuła się o niebo lepiej. Skoro postanowiła nie wracać już do Keitha, mogłaby za-trzymać psa. To nie będzie łatwe, ale gdyby dobrze się postarała, dałaby radę uciąć dość pieniędzy, aby wynająć jakieś lokum. Miała nawet w pogotowiu plan B - trzymany w tajemnicy pomysł, jak zdo-być niezłą sumę. Oczywiście, mógł

wypalić albo nie. Jeśli nie, znajdzie sobie pracę jako kelnerka lub poszuka innego zajęcia wieczora-mi, aby mieć dodatkowe dochody na życie dla siebie i psa oraz na opłacenie mieszkania; uwolnienie się od Keitha z pewnością jest te-go warte. Nie będzie już musiała pozbywać się opakowań po fast-foodach przed powrotem do domu. Nie będzie z niepokojem się za-stanawiać, w jakim nastroju Keith wróci z pracy. Zadnych więcej pouczeń, żadnych głupot.

Nagle otworzyły się przed nią możliwości równie kuszące jak pu-sta, czteropasmowa autostrada.

- Tak właśnie zrobię - zapewniła suczkę, czując, że nagle ogarnia ją niemal radosny nastrój.

Psiak spojrział na nią, a jego oczy zalśniły w świetle padającym z sygnalizatorów na desce rozdzielczej. Chociaż Marsha wiedziała, że to głupie, pomyślała, że zwierzę ją rozumie.

- Tak, skarbie, zrobimy tak.

Była już po drugiej stronie Benton, kilka minut od miejsca, gdzie mieszkała Sue. Nagle dostrzegła neonowe światła jednego z dwóch nocnych sklepów w miasteczku. Jej karta Visa była już maksymalnie obciążona, ale tydzień temu Marsha wpłaciła na swoje konto pięć-dziesiąt dolarów, co oznaczało, że miała przynajmniej tyle kredytu. Szybko przeprowadziła kalkulację, wjeżdżając na parking. Mogła kupić trochę rzeczy, takich jak szczoteczka do zębów i jakieś kosme-tyki, których będzie potrzebowała rano. Problemem były ciuchy, przecież nie pójdzie do pracy w tym, co miała na sobie - w szortach i krótkiej bluzeczce bez rękawów - ale pomyślała, że mogłaby rano zatelefonować z informacją, że zachorowała. Wtedy Keith będzie już wściekły jak diabli, ponieważ nie doczeka się na nią przez całą noc. Zacznie jej szukać. I od czego zacznie? Od pracy.

Zadowolona z siebie, że potrafiła przewidzieć rozwój wypadków na tyle wcześnie, aby być o dwa kroki przed Keithem, zaparkowała, wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę sklepu. Suczka wydawała się wyraźnie zaniepokojona, śledziła każdy jej ruch, aż w końcu sta-nęła na tylnych łapach, a przednie oparła na opuszczonej do połowy szybie w oknie, ani na chwilę nje spuszczać z Marshy wzroku. Da-wała do zrozumienia, że chciałyby pójść razem z nią.

- Zostań - powiedziała Marsha, zatrzymując się i kręcąc głową. Psiak wyskoczył na chodnik z wdziękiem baletnicy.

- Niedobry pies.

Całe szczęście, że nie mam dzieci, pomyślała. Nie potrafiła być nawet tak surowa, aby zmusić psa do posłuszeństwa. Zwierzak przybiegł do niej i skulił się u jej stóp. Spojrzała groźnie, a potem westchnęła i zrezygnowana wzięła go na ręce. Był cieputki, tak lekki, jakby miał puste kości, i wiercił się pełen wdzięczności. Nie ma mowy, aby zostawić go w samochodzie z otwartym oknem. Jeśli kazałaby mu czekać na zewnątrz, mógłby się zgubić, pobiec za kimś albo coś takiego. Marsha z zaskoczeniem przekonała się, jak bardzo zmartwiła ją ta myśl. Traktowała już tego psa jak swojego.

Do sklepu nie wolno było wprowadzać psów. Nie wolno było także wchodzić tam na bosaka.

Postanowiła złamać oba przepisy i weszła do środka. Co mogą jej zrobić, pomyślała w kolejnym przyływie buntowniczego nastroju, zaarrestują ją?

Wzięła pastę do zębów i opakowanie Oil of Olay, a także pudełko jedynej karmy dla psów, jaką mieli. Już przy kasie sięgnęła jeszcze po paczkę batoników Twinkies. Bez Keitha mogła jeść to, co lubiła, a za batonikami Twinkies po prostu przepadała. Sprzedawca, młody chłopak z trzema kolczykami w jednym uchu i srebrnym sztyftem w języku, wziął kartę kredytową bez słowa komentarza na temat psa i bosych stóp, które, jak Marsha sama zauważyła, były tak brudne, że zakłopotana podwinęła duże palce u nóg na zimnym linoleum. Miała tylko nadzieję, że kobieta stojąca za nią w kolejce był zbyt zajęta czytaniem nagłówków w prasie brukowej, aby to dostrzec.

- Może dorzucić jeszcze kupon loteryjny?

Chłopak, który najwidoczniej przypominał sobie, że powinien o to pytać klientów, przerwał na chwilę wczytywanie karty kredytowej i spojrzał na Marszę.

- Nie - odmówiła zdecydowanie.

Z pewnością i tak nic by nie wygrała. Nigdy w życiu niczego nie wygrała, nawet pluszowej zabawki na festynie. Jak głosił jeden ze sloganów w reklamie telewizyjnej, ktoś powinien wygrać, ale to więcej niż pewne, że tym kimś nie byłaby Marsha. Na swoje pieniądze musiała ciężko pracować.

- Słyszałam, że w zeszłym tygodniu ktoś z Macon wygrał w Lot-to-South - powiedziała kobieta z kolejki, głaszcząc psa, który pomaćchał ogonem zadowolony. - Dwadzieścia cztery miliony.

- Tak, też o tym słyszałam. To musi być miłe uczucie.

Czy słyszała? Powiedziała jej o tym przez telefon przyjaciółka, Jeanine, której siostra mieszkała w Macon i pracowała w sklepie spożywczym, gdzie sprzedano szczęśliwy kupon. Gdy Marsha odłożyła słuchawkę, pobiegła do toalety i zwymiotowała. Czasami życie bywało tak niesprawiedliwe, że aż bolało, ale czy to coś nowego? Uśmiechnęła się do kobiety, która odwzajemniła jej uśmiech. Sprzedawca oddał Marshy kartę. Włożyła ją do portfela, podpisała się na rachunku, zabrała torebkę i wyszła w gorącą noc. Nie zdziwiła się, widząc na parkingu tylko dwa samochody, nie licząc jej taurusa. O tej porze nocy miasteczko Benton spało.

W jakiś sposób Benton przypominało ją samą. Właśnie zdała sobie sprawę, że ona też przespała większą część życia.

- Wiesz co, może przeniesiemy się do Atlanty - powiedziała do suczki, otwierając drzwi i siadając za kierownicą.

Ta myśl, która tak nagle przysła jej do głowy, sprawiła, że Marsha poczuła dreszcz podniecenia.

Psiak zajął miejsce na fotelu pasażera, cichutko zapiszczał i stał na tylnych łapkach, patrząc na nią tak intensywnie, że musiało to zwrócić jej uwagę. Po chwili zrozumiała, czemu jej się przyglądał: powinna już wyjąć z torebki słodycze. Najwyraźniej pies także był ich wielbicielem.

- Poczekaj minutkę.

Wyjeżdżając z parkingu, Marsha chwyciła jedną ręką torebkę batoników i rozerwała ją zębami.

Natychmiast poczuła słodko upajający aromat znanego na całym świecie łakocia. Odgryzła kawałek - był tak dobry, że dałaby się za niego zabić - i podzieliła się nim z psem. Droga była pusta, cienka, czarna wstążka ginąca w głębokiej czerni wiejskiego krajobrazu, jaki rozciągał się za miastem. Poza czerwoną poświatą ostatnich świateł, za którymi miała skręcić do Sue, wokół

panowały niemal egipskie ciemności. Mogło się wydać, że jej taurus płynie zupełnie sam w całym wszechświecie, po myślała, naciskając hamulec. Jakież to małe miasteczko - czy naprawdę jest to najlepsze miejsce na spędzenie reszty życia? Ugryzła jeszcze kawałek batonika i zatopiła się w myślach o Atlancie. Marsha Hughes w wielkim mieście - czy to nie byłoby coś? Mogłaby zacząć całkiem nowe...

Raczej to poczuła, niż zobaczyła, raczej odniosła wrażenie, niż usłyszała: jakiś ruch na tylnym siedzeniu. Pies, który cofnął się tak bardzo, że jego podwinięty ogon rozpląszczył się o drzwi, nagle zaczął histerycznie szczekać i utkwiał oczy w czymś za jej plecami. Serce Marshy podskoczyło do gardła. Instynktownie usiłowała się obejrzeć - i nagle czyjeś ramię zacisnęło się na jej szyi. Zaczęła krzyczeć, ale głos niemal natychmiast został stłumiony. Obiema dłońmi wcisnęła się w dławiące ją ramię, a jej paznokcie rozpaczliwie drapały spocone, owłosione męskie ciało. Ten zapach - zapach - pamiętała ten zapach ...

Ostre zakończenie czegoś, co najprawdopodobniej było nożem, wbiło się w jej skórę poniżej ucha. Marsha natychmiast zamarła w bezruchu. Jej źrenice się rozszerzyły, poczuła ciepły strumyczek spływający z boku po jej szyi i domyśliła się, że to krew. Mimo brutalnego uścisku, który niemal miażdżył jej krtań, próbowała złapać powietrze i oblała się zimnym potem.

- Ostrzegalem cię, żebyś nic nie mówiła. - Usłyszała zachrypnięty szept tuż przy uchu.

Włosy na karku stanęły jej z przerażenia. Wszystko - szczekający pies, zmieniające się światła na drodze, noc - nagle gdzieś odpłynęło, gdy Marsha zrozumiała, kim był człowiek na tylnym siedzeniu.

Paniczna trwoga zmroziła jej krew.

- Chodź tu, na, na, na!

Pies cofał się, pokazując białe zęby w niemal bezgłośnym warknięciu. Mężczyzna patrzył na niego z nienawiścią. Ten kundel powinien być już martwy. Kiedy zwierzak zaatakował go z przedniego siedzenia, rzucił nim z taką siłą o tylną szybę, że mógłby ją zmiażdżyć. Ku jego zaskoczeniu pies odbił się od szkła i upadł na sąsiedni fotel, co prawda bokiem, ale natychmiast usiłował wstać, przebieraając niemrawo nogami w powietrzu, jakby próbował gdzieś biec. Pchnął

go z wściekłością nożem, drugą ręką chwytając Marshę za włosy, aby nie wyskoczyła z samochodu. Pies przestał się poruszać. Gdy opanował już sytuację z Marshą, zakrwawiony zwierzak nie dawał oznak życia. Zepchnął go na podłogę między fotelami i przestał sobie nim zaprzętać głowę.

Aż do czasu, gdy pies wyskoczył przez otwarte boczne okno przy fotelu pasażera, w momencie kiedy wrócił do auta po załatwieniu sprawy z Marshą.

Przez chwilę, podczas gdy kundel wycofywał się, warcząc groźnie, zastanawiał się, czy nie zrezygnować i nie zostawić go w spokoju. Kulał, broczył krwią i raczej nie miał szansy na przeżycie. Jeśli nie zdechnie od rany, do świtu i tak rozprawią się z nim kojoty albo jakieś inne drapieżniki. Niemniej jednak stanowił element, który wymknął mu się spod kontroli. Przecież postanowił, że nigdy więcej nie pozostawi po sobie żadnych śladów. Kiedyś popełnił największy błąd w swoim życiu, grzesząc zbytnią niefrasobliwością. Więcej tego nie robi.

A zwłaszcza teraz, gdy miał tak wiele do stracenia.

- Chodź tu, piesku.

Usiłując nadać swojemu głosowi łagodne brzmienie, ukucnął i strzelił palcami. Zwierzak przyglądał mu się, wciąż zachowując bezpieczny dystans, ale trząsł się przy tym i wtulił ogon między tylne łapy.

Po kilku próbach zrezygnował, pomyślał chwilę i wrócił do samochodu po resztki batoników Twinkie, które jadła Marsha. Otworzył drzwi i skrzywił się na widok rozkruszonego na fotelu kierowcy batonika, ale w otwartej paczce na siedzeniu pasażera został jeszcze jeden. Wyjął go i wrócił z nim do zwierzaka.

- Piesku, chodź do mnie - zawołał słodko, idąc w jego stronę z przynętą w dłoni.

Kundel zaczął histerycznie szczekać.

Mężczyzna na chwilę znieruchomiał. Noc była ciemna jak Hades, w najbliższym domu nikt nie mieszkał i szansa, że ktoś usłyszy tego cholernego zwierzaka, była raczej znikoma. Mimo to głośne ujadanie go drażniło, i zdenerwowany zaczął rozglądać się dookoła.

- Zamknij się! - zawołał, a ponieważ pies nie przestawał szczekać, stracił głowę i ruszył groźnie w

jego stronę.

-

Kundel odskoczył, szczekając jeszcze bardziej histerycznie. To nie ma sensu, pomyślał mężczyzna i cisnął w niego batonikiem.

Wrócił do samochodu, wcisnął gaz do dechy i posyłając w mrok wiązki naj gorszych przekleństw, usiłował przejechać to paskudne bydło•

Pies zaskowyczał, odskoczył i uciekł, dając nura pod płot w momencie, gdy ryczący taurus był tuż za nim. Mężczyzna zahamował w ostatniej chwili, unikając zderzenia z ogrodzeniem i klnąc na czym świat stoi, patrzył, jak zwierzak znika w gęstwinie wysokiej kukurydzy.

A więc uciekł, pomyślał wściekły, kierując chwilę później taurusa . na szosę. No i co z tego? I tak pewnie nie dożyje do rana. Poza tym, w gruncie rzeczy nie był to żaden ślad, jaki pozostawiłby po sobie, nic z tych rzeczy. To tylko cholerny pies.

3

28 czerwca

- Słyszałem, że się pokłóciliście.

Matt Converse bacznie obserwował oczy swojego rozmówcy.

Umknęły mu na chwilę w bok, ale niemal natychmiast ponownie zwróciły się na niego. Ten facet -

Keith Kenan, lat trzydzieści sześć, jeden rozwód, od pięciu lat zatrudniony przy taśmie w fabryce Hondy i tak samo długo mieszkający w Benton, kartoteka policyjna czyści, z wyjątkiem jednej bijatyki w Savannah sprzed dwóch lat i kilku starych mandatów - był nerwowy. Nerwowość nie zawsze oznaczała winę, ale wzmagła czujność.

- Kto to powiedział?

Matt wymijająco wzruszył ramionami.

- No to co, że się kłóciliśmy? To nic nie znaczy. Każdemu może się zdarzyć.

Ton głosu Kenana wskazywał na przyjęcie pozycji obronnej. Facet wyraźnie się denerwował.

Matt z kliniczną obojętnością rejestrował jego szybki oddech, zaciśnięte szczęki, zmrużone oczy. Kenan był dużym, krzepkim mężczyzną o krótko ostrzyżonych, ciemno-blond włosach i maleńkich, jasnoniebieskich oczach. Na jednym z napęczniałych bicepsów miał tatuaż przedstawiający serce przebite sztyletem, którego nie zasłaniał podkoszulek na cienkich ramionach wpuszczony w czarne, nylonowe spodenki gimnastyczne. Rozmawiali w pokoju dziennym mieszkania, które Kenan dzielił dotąd z Marshą Hughes.

Poprawka: dzielił je z nią do niedawna. Tydzień temu Marsha Hughes zaginęła. Matt rozmawiał

z Kenanem już po raz drugi. Pierwsza rozmowa miała miejsce przed pięcioma dniami, kiedy jedna z koleżanek z pracy tak bardzo zaniepokoiła się niewyjaśnioną nieobecnością Marshy, że powiadomiła o tym fakcie szeryfa.

- Każdy może się pokłócić - zgodził się Matt.

Kenan zaczął chodzić po pokoju. Matt wykorzystał to, aby rozejrzeć się po mieszkaniu. Poza rozłożonym na stole nakryciem po posiłku dla jednej osoby - zapewne po kolacji z poprzedniego wieczora, ponieważ po otwarciu im drzwi Kenan narzekał, że zerwali go z łóżka - w mieszkaniu był porządek. Meble z marketu Sam Club lub Wal-Martu. Podniszczony, zielony dywan. Żłociste zasłony chroniące przed mocnym, porannym słońcem. Ściany pomalowane na biało, ozdobione kilkoma banalnymi reprodukcjami. Matt nie zauważył niczego, co mogłoby wzbudzić jego zainteresowanie. Żadnych podejrzanych brązowych plam na dywanie. Żadnych ciemnych śladów na ścianach. Brak zwłok wystających spod kanapy.

Matt się skrzywił. Gdyby to było takie proste.

- Posłuchaj pan, szeryfie, nie jestem idiotą. Wiem, do czego zmierzacie! - wybuchnął Kenan, patrząc mu prosto w oczy. - Nie podniosłem na Marshę ręki, przysięgam.

- Nikt nie twierdzi, że tak było.

Głos Matta był spokojny, a jego zachowanie całkowicie pozbawiło go elementu konfrontacji. Na tym etapie dochodzenia nie zamierzał prowokować Kenana podejrzliwymi pytaniami. Nadal można było założyć, że Marsha opuściła dom z własnej woli, i w każdej chwili mogło się okazać, że nagle pojawi się gdzieś cała i zdrowa. Z drugiej strony jednak ta sprawa mu się nie podobała.

Może to instynkt, może zdrowy rozsądek, może jeszcze coś innego, ale Matt nie do końca wierzył, że kobieta, która mieszkała w tej okolicy niemal przez całe życie i przychodziła do pracy regularnie jak w zegarku, odkąd osiem lat temu została zatrudniona w Winn-Dixie, która miała swoje stałe przyzwyczajenia i wielu przyjaciół, mogła wyjechać w nieznane, nic nikomu o tym nie mówiąc.

- Po prostu wyjechała - powiedział Kenan. - Wzięła samochód i wyjechała. To właśnie się zdarzyło. I tyle.

Matt odczekał chwilę.

- Mogę się dowiedzieć, o co się pokłóciliście? Kenan jakby się zmieszał.

- Poszło o kielbasę, jasne? Miałem kawałek kielbasy w lodówce, a kiedy wróciłem po pracy do domu i chciałem sobie zrobić kanapkę, zobaczyłem, że zniknął. Okazało się, że dała ją temu przekłętemu psu. - Wziął głęboki oddech. - To było głupie. Po prostu jedna z tych głupich sytuacji.

Zerkając ponad ramionami Kenana, Matt obserwował swojego zastępcę, Antonia Johnsona, który właśnie wyłonił się z łazienki i stanął w korytarzu. Antonio za dwa tygodnie kończył pięćdziesiąt lat. Był to czarny mężczyzna wzrostu trochę poniżej stu osiemdziesięciu centymetrów i prawie tak samo szeroki w ramionach, zbudowany jak futbolista grający w obronie, który zszedł na psy.

Miał twarz groźnego buldoga, patrzył zwykle spode łba i wyglądał jak rzeźmieszek w mundurze stróża prawa. Gdy tylko Kenan ich wpuścił, Antonio poprosił o możliwość skorzystania z toalety, aby sprawdzić tę część mieszkania, gdzie normalnie szeryf i jego zastępca nie mieli prawa wstępu bez nakazu rewizji. To była stara sztuczka, którą stosowali już wcześniej i tym razem także postanowili z niej skorzystać. Czasami zdobywali w ten sposób cenne informacje. W

tym wypadku najwyraźniej nie mieli szczęścia. Na pytające spojrzenie Matta jego zastępca przecząco pokręcił głową.

_ Dziękuję - zwrócił się Antonio do Kenana, wchodząc do pokoju.

Ten pokiwał głową i zwrócił oczy na szeryfa.

_ Nic jej nie zrobiłem - powiedział, zwilżając wargi. - Przysięgam na Boga.

Matt przyjrzał mu się uważnie. Kenan wytrzymał jego wzrok.

— Poza tym, że pan na nią krzychał - odparł Matt. - I ścigał ją w dół po schodach, a także jeszcze dalej, poza budynkiem. To właśnie stało się tamtej nocy?

Kenan milczał. Nie musiał nic mówić. Sposób, w jaki wciągnął powietrze przez zęby, był dla Matta wystarczającym potwierdzeniem na tym etapie zbierania informacji.

— Równie dobrze mogła zrezygnować z ucieczki - powiedział Antonio, krzyżując ramiona na swojej masywnej piersi i patrząc na Kenana. - My to wiemy.

Matt z trudem się powstrzymał, aby nie posłać swojemu zastępcy karcącego spojrzenia.

Wiedzieli tylko tyle, ile im powiedzieli Kenan i jego sąsiedzi: Marsha Hughes pokłóciła się z Keithem, uciekła lub została wyrzucona z mieszkania i od tamtej pory nikt z przyjaciół jej nie widział. Bez solidnych dowodów, że stała jej się jakaś krzywda, zebrane dotychczas informacje nie na wiele się przydadzą. Nie było sprawy. Antonio jednak miał naturę optymisty. Zawsze uważał, że jeśli wywrze się odpowiedni nacisk, to potencjalni podejrzani załamią się i przyznają do wszystkiego, oszczędzając w ten sposób władzom czasu i kłopotów.

Czasami to nawet się sprawdzało.

Wyraz twarzy Kenana nagle się zmienił. Usta wykrzywił mu grymas złości, gdy utkwił w Mattcie pełne oburzenia spojrzenie.

— Widziałem, jak rozmawialiście któregoś dnia z tą cholerną Myer. Cały czas przesiaduje w domu, narzeka, że boli ją kręgosłup i nie może pracować, a wtyka nos w nie swoje sprawy. - W jego głosie kipiała nienawiść. - To ona wam to powiedziała, mam rację?

- W zasadzie wszyscy, którzy byli tego wieczora w domu, mówili z grubsza to samo.

Matt nadal zachowywał się spokojnie i powściągliwie, chociaż nie omieszkął zapisać w pamięci, aby mieć baczenie na Audrey Myer, która rzeczywiście była ich głównym źródłem informacji, na wypadek gdyby Kenanowi przyszło coś głupiego do głowy. Wyciągnął rękę w kierunku oprawionej w mosiężną ramkę fotografii przedstawiającej Kenana i Marszę, którą rozpoznał

dzięki zdjęciu, jakie otrzymał do celów identyfikacji podczas pierwszej wizyty w tym mieszkaniu, zawahał się jednak i spojrzał na mężczyznę.

- Mogę?

- Proszę.

Nadal wyczuwało się w jego głosie napięcie.

Matt wziął do ręki fotografię i obejrzał ją z uwagą. Nie był to typowy portret, raczej migawkowe zdjęcie zrobione z pewnością najakimś festynie lub w wesołym miasteczku. Oboje byli w

staroświeckich strojach, a Marsha miała na głowie fantastyczny kapelusz, który zasłaniał

większość jej rudych włosów. Uśmiechali się do obiektywu, czule się obejmując, co wskazywało, że w chwili robienia zdjęcia byli ze sobą w bardzo dobrych stosunkach.

Czyżby później Kenan mógł ją zabić?

- Przystojna kobieta - powiedział Matt, odstawiając fotografię na stół. Ponownie spojrzął na Kenana.
- Musi się pan o nią bardzo martwić.

W rzeczywistości facet nie wykazywał jak dotąd najmniejszych oznak zaniepokojenia losom Marshy. Jeszcze jedna obserwacja warta zapamiętania. Oczywiście, należało wziąć pod uwagę i to, że należał do ludzi skrytych, którzy tak głęboko chowali swoje uczucia, że Matt mógł ich nie zauważyć. A może Kenan wcale nie żałował, że Marsha odeszła, co oczywiście nie znaczyło jeszcze, że popełnił zbrodnię.

W dodatku Matt nie był na sto procent pewien, czy w tym wypadku można mówić o zbrodni.

Przecucie podpowiadało mu, co prawda, że są niewielkie szanse, aby Marsha Hughes znalazła się cała i zdrowa, ale poprzednim razem przecucie go zawiodło.

- Martwię się - powiedział Kenan. Zabrzmiało to dość zaczepnie.

Matt odnotował w pamięci ten ton, podobnie jak zaciśnięte pięści mężczyzny i jego poczerwieniałą nagle twarz.

- Wiemy, że pan ją bił. - Nadal jednak mówił łagodnie. Jego celem było zdobycie informacji, nie oskarżanie.

- Kto wam to powiedział? - oburzył się Kenan.

Ciężko oddychał, chociaż przestał już krążyć po pokoju. Matt wzruszył ramionami.

- Przekłęci, wścibscy sąsiedzi!

Mięśnie na jego szczęce były napięte. Wyprostował się i przyjął agresywną postawę; rozstawił

szeroko nogi, jego ramiona wyraźnie zeszywniały, a zaciśnięte pięści zwisały po bokach jak worki. Spojrzał twardo na Matta.

- Posłuchajcie, jak już wam powiedziałem, pokłóciliśmy się. Marsha też nie była aniołem. Jeśli bywałem dla niej niedobry, wiercie mi, ona także nie pozostawała mi dłużna.

- Czy uderzył ją pan tej nocy, kiedy znikła?

- Nie! Nie. Nie dotknąłem jej nawet. Odeszła, rozumiecie? Pokłóciliśmy się i odeszła. Wsiadła do samochodu i widziałem, jak odjeżdżała. Wtedy widziałem ją po raz ostatni.

Antonio westchnął z powątpiewaniem, co dało się słyszeć. Kenan przeniósł wzrok na Johnsona.

Jego spojrzenie było wyzywające, nieprzyjazne. Matt zorientował się, że za chwilę rozmowa stanie się nieprzyjemna. Nic nie zyskają, jeśli doprowadzą do tego, że ten facet przestanie mówić i zażąda adwokata. Nadszedł czas, aby zakończyć spotkanie.

- To na razie tyle, dziękujemy za współpracę. Będziemy w kontakcie - powiedział, wyciągając rękę, póki sprawy nie zaszły jeszcze za daleko.

Po chwili wahania Kenan ją uścisnął. Antonio również podał mu rękę. Po jego minie widać było jednak, że zrobił to niechętnie. Nie potrafił być miły dla ludzi, których podejrzewał o złe uczynki.

Antonio miał skłonność do traktowania przestępców w sposób bardzo rygorystyczny. W ciągu dwóch lat, od kiedy został szeryfem hrabstwa Screven, Matt poświęcił mnóstwo czasu, aby powstrzymać swego zastępcę od łamania ludziom rąk i nóg. Oczywiście, używał tego określenia metaforycznie. Na szczęście w większości wypadków chodziło tylko o przenośnię.

Tłumiąc westchnienie, Matt skierował się w stronę drzwi, ale trzymając rękę na klamce, odwrócił się jeszcze przez ramię, jakby coś sobie przypominał.

- Do pana wiadomości: policja poszukuje samochodu Marshy, jej rysopis i dane zostały rozesłane do wszystkich posterunków na południowym wschodzie. Poza tym sprawdzamy kilka tropów w naszej okolicy. Znajdziemy ją.

Powiedział to z głębokim przekonaniem; jeśli Kenan rzeczywiście był zainteresowany wyjaśnieniem losu swojej partnerki, to powinno go trochę uspokoić.

Z drugiej strony, jeśli brak zainteresowania wynikał z faktu, że doskonale wiedział, co się stało z Marshą, bo był zamieszany w jej zniknięcie, taka informacja musiała go zaniepokoić.

Tak czy inaczej, sygnał został wypuszczony. - Tak; znajdziemy ją.

W ustach Antonia, który wyszedł za Mattem na zatęchłą klatkę schodową, zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Kenan bez słowa zamknął za nimi drzwi. Odgłos trzaśnięcia, znacznie głośniejszy, niż było trzeba, odbił się echem po betonowych ścianach.

- Nie uważasz, że powinieneś nieco pohamować swoje wrogie nastawienie? - zapytał Matt, gdy zaczęli schodzić po schodach.

- Mamy go. To nasz podejrzany. Ten facet jest dupkiem.

Na klatce schodowej było gorąco; w ich uszach łomotał odgłos, jaki wydawały buty, uderzające o metalowe listwy stopni.

- Ostatnim razem okazało się, że bycie dupkiem nie znaczy jeszcze, że popełniło się przestępstwo. Poza tym nie mamy przeciwko niemu żadnych dowodów.

- Wiadomo, że często ją bił. Tamtej nocy, kiedy zniknęła, tak się go bała, że uciekła z mieszkania.

Ściagał ją aż na parking. Mamy pół tuzina świadków gotowych przysiąc, że tak było. Od tamtej pory nikt jej nie widział. Potrzebujesz czegoś więcej? -

- Dużo więcej - sucho stwierdził Matt, otwierając drzwi i wychodząc na słoneczny skwar.

To już kolejny dzień takiego piekielnego upału, dziewiąty lub dziesiąty. Czterdzieści kilka stopni w cieniu i do tego wilgoć. Pamiętał już takie upały - ludzie tracą wtedy rozum. Podczas ostatnich dwóch tygodni odnotowano więcej przestępstw, mniej lub bardziej poważnych, niż w ciągu całego półrocza. Jego wydział, liczący osiem osób, był dosłownie zavalony robotą. Wszyscy pracowali po dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie wyłączając samego Matta. Tego dnia zaczął

wypełniać obowiązki stróża prawa już o piątej rano, kiedy to Anson Jarboe usiłował wślizgnąć się do własnego domu po całonocnej popijawie i został zaskoczony przez własną żonę, czekającą w ciemnym holu z kijem baseballowym w ręku. Krzyki Ansona, którego żona dawała łupnia, zbudziły sąsiadów, a ci zawołali szeryfa. Było pięć po jedenastej, a on z doświadczenia wiedział, że ten dzień - piątek - dopiero się rozkręcał. Kiedy ludzie wyjdą z pracy, całe hrabstwo zacznie szaleć.

Marzył jedynie o tym, aby wieczorem usiąść w swoim klimatyzowanym domu przed telewizorem, z zimnym piwem w jednej ręce i pilotem w drugiej; miała być transmisja meczu baseballowego, której za nic nie chciałby stracić.

Marne szanse, aby mu się udało.

- Słuchaj, ja ... - zaczął Antonio, ale nie dokończył zdania, a najeżonej brzydkiej twarzy pojawił się uśmiech od ucha do ucha.

Zaniepokojony Matt rozejrzał się dookoła, chcąc sprawdzić, z jakiego to powodu kamienna zazwyczaj twarz jego zastępcy tak nieoczekiwanie się rozjaśniła. Kiedy znalazł przyczynę, z trudem powstrzymał jęk rozpacz. Spodziewał się, że tak wielkie zadowolenie Antonia nie wróży nic dobrego, nie podejrzewał jednak aż takiego kłopotu.

- Och, Matt, tu jesteś! - Shelby Holcomb rozpromieniła się najeżonego widok.

Przestała zaglądać do służbowego wozu Matta, wyprostowała się i machając ręką, ruszyła w jego stronę, rozpluwając się w uśmiechach. - Cześć, Shelby - przywitał się i zwolnił kroku.

Szła ku niemu, niezadowolona wyraźnym brakiem entuzjazmu w głosie Matta. Szczupła i atrakcyjna Shelby, rodowita mieszkanka Benton, cztery lata temu wróciła do miasteczka i uzyskała koncesję na prowadzenie lokalnego oddziału Century 21, biura pośrednictwa handlu nieruchomościami.

Blond włosy o miodowym odcieniu, upięte w zabawny węzeł z tyłu głowy, stanowiły jedyny znak, że

odczuwa panujący upał. Miała perfekcyjny makijaż, a na ustach jaśkrawoczerwoną szminkę, która mocno lśniła w słońcu. Mimo upału ubrana była w błękitny kostium z krótką spódniczką i żakietem z rękawami do łokcia i sprawiała wrażenie, jakby w ogóle się nie pociła.

Zapinany na guziki żakiet rozchyłał się przy dekolcie tyle tylko, ile uważała za eleganckie, a zarazem stosowne przy tak wysokiej temperaturze. Nosila pończochy i pantofle na obcasach, w rękę zaś trzymała ten cholerny notes, który służył jej za ostateczną broń w walce, jaką z nim toczyła. Matt jednak nie zamierzał łatwo się poddać.

Uganiała się za nim od dawna. W lecie zeszłego roku, podczas jednego z chwilowych zaćmień umysłu, które charakteryzowały jego egzystencję, popełnił błąd, pozwalając jej na chwilę się zapać. Prowadzali się razem, było zabawnie, chodzili na przyjęcia, do kina, kilka razy zjedli kolację w Savannah. Mówiąc krótko, miło spędzali czas. Nagle Shelby zaczęła czytać pisma, których tytuły brzmiały, no powiedzmy, "Czerwcową Panną Młoda", i ciągnęła Matta do sklepów jubilerskich, na wszelkie sposoby dając do zrozumienia, że wybrała go sobie jako parę do złożenia przysięgi "na zawsze".

Na zawsze zrodziło koszmary senne. Na zawsze nie mieściło się w jego planach. Na zawsze i kobieta? To wykluczone. W każdym razie nie w dającej się przewidzieć przyszłości. Sama wizja, że byłby przywiązany do żony i dzieci, a także hipoteki, wywoływała u Matta zimne poty.

Kilka lat temu wziął na siebie tyle odpowiedzialności, że starczy mu na resztę życia. W żadnym wypadku nie zamierzał bardziej się obciążać, zwłaszcza teraz, kiedy był już bliski wypracowania takiego stylu życia, jaki mu odpowiadał.

Przygotował sobie nawet dość mętną przemowę, w której przeważały argumenty typu, że nie należy przyspieszać biegu spraw, że ona jest za dobra dla niego, on zaś potrzebuje przestrzeni życiowej. Potem zamierzał dać nogę. A ona oczywiście nadal będzie go ścigać.

- Matt!

Ten głos był jeszcze bardziej znajomy niż głos Shelby i niósł ze sobą osobny zestaw problemów.

Odwrócił głowę i dostrzegł Erin, swoją siostrę, która wychylała głowę przez okno czerwonej hondy należącej do Shelby, zaparkowanej tuż za policyjnym radiowozem. Erin właśnie skończyła studia na uniwersytecie stanowym, miała dwadzieścia dwa lata, była drobna i ładna, krótkie, czarne włosy nosiła modnie postrzępione, a jej zazwyczaj drwiący uśmiech tym razem został

przeznaczony całkowicie dla niego. Gdy ich spojrzenia spotkały się ponad dachem policyjnego wozu, nie mógł nie odwzajemnić jej uśmiechu, aczkolwiek wypadło to nieco smętnie. Erin, słodka, ale ciągle sprawiająca kłopoty dziewczyna, zaręczyła się z młodszym bratem Shelby, Colinem, który w zeszłym roku rozpoczął w Benton praktykę prawniczą. Ponieważ Matt finansował jej wesele, a także miał poprowadzić pannę młodą do ołtarza, Shelby zaś zobowiązała się zorganizować całą uroczystość, znacznie zwiększyła się liczba sytuacji, w których ta kobieta miała możliwość na niego polować. Wyglądało wręcz na to, że ostatnio bywała wszędzie tam, gdzie on się pojawiał.

- Cześć, Erin - przywitał się z wyczuwalną wymówką w głosie.

Siostra oczywiście wiedziała, że Shelby ugania się za nim i podobnie jak reszta jego rodziny -

razem z połową tego cholernego hrabstwa - wydawała się robić wszystko, aby wpędzić go w pułapkę. _ Chciałam tylko poznać twoje zdanie, zanim zamówię kwiaty - zwróciła się do niego Shelby z wystudiowanym wdziękiem.

Matt przystanął posłusznie, gdy do niego podeszła, i zajrzał do notesu, który kartkowała tuż pod jego nosem. Już wcześniej przez to przechodził: pokazywała mu jakieś zdjęcia, wycenę, listę - a on kiwał głową i mówił: "Wygląda wspaniale". Potem zaś ona i tak robiła, co chciała - za jego pieniądze.

Wychodziło drożej, ale prościej i bezpieczniej, niż gdyby się z nią spierał.

Tym razem jednak kwota, którą wymieniła, była tak wysoka, że zanim zdążył pomyśleć, zaprotestował.

- Tysiąc pięćset dolarów? Na kwiaty?

Spojrzał w oczy Shelby. Patrzyła na niego słodko. Usta miała rozchyłone. Trzepotała rzęsami.

Skonsternowany, skierował wzrok na zestawienie cen.

- Mówiłam jej, że to za dużo.

Podeszła do nich Erin, tłumacząc się przeproszającym tonem.

Miała na sobie krótkie, białe spodenki, które, zdaniem Matta, zbyt odważnie pokazywały jej opalone nogi, i cytrynowozieloną, skąpą bluzeczkę bez rękawów, przysłaniającą jej kształtny biust. Lustrując ją oczami od stóp do głów, Matt postanowił porozmawiać z siostrą w pierwszej wolnej chwili i zwrócić jej uwagę, że czasami lepiej jest pozostawić co nieco wyobraźni obserwatorów. Erin najwyraźniej czytała w jego myślach lub właściwie zinterpretowała wyraz twarzy brata, ponieważ gdy tylko ich oczy się spotkały, posłała mu uroczy uśmiech i kokieteryjnie zakolysała biustem.

Matt ściągnął groźnie brwi, ona zmarszczyła nosek i rozpoczęła się przekonująca, aczkolwiek milcząca wymiana argumentów, a w jego głowie zamajaczyły wizje klasztorów. Dopiero po chwili dotarła do niego cała śmieszność sytuacji. Gdzieś tam w górze aniołowie musieli śmiać się do rozpuku z pomysłu, aby on, właśnie on, skończył jako opiekun trzech dziewcząt, które miały pstro w głowie i jedna po drugiej stawały się kobietami. To doprawdy żart stulecia.

_ To rzeczywiście dużo. - Głos Shelby także brzmiał przeproszająco, gdy chwyciła go za łokieć zadziwiająco silnymi palcami. - Ale nie uważam, aby kwaciarnia zawyżyła cenę. Musisz pamiętać, że poza bukietem dla panny młodej potrzebne nam są bukiety dla druhen, kwiaty do butonierek dla Colina i drużbów, kwiaty do kościoła, kompozycje na stoły podczas przyjęcia i...

- Jak uważasz - przerwał Matt, który poczuł się zapędzony do rogu.

Miał na sobie mundur w kolorze khaki, długie spodnie i koszulę z krótkimi rękawami, a Shelby natychmiast wykorzystując nadarzącą się okazję, wsunęła dłoń pod luźny rękaw i zaczęła głaskać jego ramię. Dotyk jej miękkiej dłoni ze starannym manikiurem, która gładziła jego gorącą skórę, przypomniał mu natychmiast, że nie spał z kobietą, odkąd wymówił jej łóżko pod koniec marca. Był pewien, że właśnie o to jej chodziło.

Antonio w zamyśleniu skrzyżował ręce na piersiach.

- Kiedy Rose wychodziła za męża (Rose była młodszą z jego dwóch córek), powiedziałem jej, że ma wybierać między kwiatami, na które miała ochotę, a przedpłatą na nowy samochód. Tyle właśnie kosztowały kwiaty.

- I co wybrała? - zapytał Matt z umiarkowanym zainteresowaniem.

- Kwiaty. Uwierzysz w to? - Antonio potrząsnął głową nad dziwactwami kobiet.

- Moim zdaniem możemy przygotować kwiaty sami - powiedziała Erin, posyłając Mattowi uśmiech, który mówił, że wie, gdzie znajduje się dłoń Shelby. - W ten sposób zmniejszymy koszty do pięćset dolarów, a będziemy mieć praktycznie to samo.

- Jak chcesz - powtórzył Matt, pragnąc za wszelką cenę zakończyć rozmowę.

Jedyną gorszą rzeczą od planowania szczegółów wesela siostry było uwodzenie go w tym samym czasie przez Shelby. Gdy jeszcze spotykali się regularnie, nie wpadł na to, ale teraz uświadomił sobie, że kobiety odznaczają się wytrwałością godną buldogów; jak już ktoś wbije w coś zęby, to nie popuści.

A on był głupcem, pozwalając jej wbić zęby w siebie.

Zadzwoiła komórka przy pasku Matta. Miał też pager, ale z tego sposobu komunikacji korzystali wyłącznie pracownicy biura. Wielu z jego przyjaciół, sąsiadów, krewnych i innych mieszkańców miasteczka wolało omijać drogę formalną i telefonowało najego prywatną komórkę. Na szczęście telefon pozwolił mu dyskretnie oddać się od Shelby bez ujawniania, że to, co robiła, sprawiało go w zakłopotanie. Patrzyła za nim wyraźnie rozczarowana, a jej delikatnie odtrącona ręka opadła wzdłuż boku.

Dzięki Bogu, że do wesela Erin zostało już niewiele ponad trzy tygodnie, pomyślał Matt. Już teraz czuł się maksymalnie udręczony. A przecież ta gra z Shelby w kotka i myszkę, gdy nie mógł

powiedzieć ani zrobić niczego, co mogłoby popsuć stosunki Erin z jej nową rodziną, trwała ciągle. On zaś nie widział nic zabawnego w odgrywaniu roli cholernej myszy.

- Muszę iść - oświadczył teraz ze skrywaną ulgą, skończywszy rozmowę. Spojrzał na Antonia. -

Pani Hayden znowu spaceruje z psem wzdłuż obwodnicy.

Antonio zrobił dziwną minę.

- No i co w tym złego? - zapytała Erin, patrząc to na jednego, to na drugiego ze zdumieniem.

- Ma na sobie tylko buty i duży, słoneczny kapelusz - wyjaśnił Matt.

Pani Hayden miała dziewięćdziesiąt lat i coraz bardziej szwankowała jej pamięć. Ostatnio często zapomniała o ubraniu. Odkąd w marcu zrobiła się ładna pogoda, już po raz czwarty telefonował do nich jakiś zaszokowany kierowca z informacją, że staruszka spaceruje nago wzdłuż drogi, trzymając na smyczy równie wiekowego psa rasy shih tzu, który wachał trawę na poboczu.

- Czy nikt inny nie może się tym zająć? - zapytała Shelby z nutą rozdrażnienia w głosie, uderzając palcami w okładkę notesu, jakby to właśnie była najważniejsza rzecz na świecie.

- Ona lubi tylko Matta - wyjaśnił Antonio z uśmiechem.

Matt zauważył, że ostatnio zdecydowana większość uśmiechów tak rzadko goszczących na twarzy zastępcy pojawiała się w jego intencji.

- Jeśli ktoś z nas pokaże się w jej pobliżu, ogania się kapeluszem.

Tylko Mattowi pozwala zaprowadzić się do domu.

Erin parsknęła śmiechem. Shelby wyglądała na zde gustowaną. _ Właśnie - przytaknął Matt, korzystając z szansy ucieczki, jaką zesłały mu niebiosy.

Nigdy nie sądził, że coś takiego mu się przytrafi, ale wracając do radiowozu, był naprawdę wdzięczny, iż właśnie teraz poinformowano go o kolejnym wybryku sędziwej pani Hayden. Wolał mieć już co-dziennie do czynienia z gołą staruszką niż z napaloną na miłość trzydziestką z hakiem.

Kiedy Antonio usiadł na fotelu obok kierowcy, Matt pomachał siostrze i swojej byłej dziewczynie, a następnie szybko odjechał z parkingu.

Pytanie o los Marshy Hughes pozostało czasowo bez odpowiedzi, gdyż Matt spieszył się, aby uwolnić okolicę od problemów, jakie sprawiały szurnięte starsze damy.

29 czerwca

W środku deszczowej nocy w Benton było parno jak pod gorącym prysznicem. A także ciemno i strasznie jak w lochu. Miasteczko jednak nie pogrążyło się całkiem we śnie, jakby to sugerowała tak późna pora, zauważyła Carly Linton, zatrzymując się, aby zaczerpnąć tchu za wielką brzozą, która, odkąd sięgała pamięcią, rosła na podwórku od frontu. Nie spał przynajmniej jeden człowiek, a ona właśnie na niego patrzyła, a w zasadzie na jego tylną część ciała.

Niezły tyłek, pomyślała w pierwszej chwili, gdy facet pojawił się w jej polu widzenia. Muskularny i zwarty, opięty wytartymi dżinsami. Nie żeby jakoś specjalnie zwracała uwagę na męskie tyłki.

Już nie. Od czasu rozwodu miała raczej ochotę dać im kopa, niż się nimi zachwycać, nawet jeśli były pociągające. Nic nie wskazywało na to, aby obserwacja tyłka miała potrwać dłużej, ponieważ widoczny w świetle latarki właściciel owej części ciała począł się wyczołgiwać na czworakach spod frontowej werandy domu babki. Chwileczkę, właściwie powinna była pomyśleć: jej domu.

Babka zmarła przeszło trzy lata temu i wiktoriański dom z wieżyczkami, który odziedziczyła Carly, stał pusty, odkąd wynajmująca go panna Virgie Smith przeprowadziła się dwa miesiące temu do pensjonatu w Atlancie. I z całą pewnością nadal powinien stać pusty. Nikt nie powinien w nim mieszkać, nikogo nie powinno być w środku, nikt też nie powinien wyczołgiwać się spod zrujnowanej werandy. Ale jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Carly ostatnio nie dopisywało szczęście, oczywiście było maczeJ.

Stała więc jak zamurowana, oświetlając latarką wypięte męskie pośladki, i zastanawiała się, co powinna zrobić.

- Chryste Panie, czy to włamywacz? - wyszeptała Sandra, zatrzymując się tuż za nią.

Czarnoskóra, pełna godności Sandra miała nieco ponad metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, przyznawała się do stu dwudziestu pięciu kilogramów wagi (a to przypominało piętnaście centymetrów niższej Carly, że ona sama przyznaje się do pięćdziesięciu kilogramów, co stanowiło niewinne kłamstewko, ponieważ prawda była o kilka kilogramów cięższa) i odznaczała się doprawdy imponującą posturą, co powinno być pocieszające w tych okolicznościach. Niestety Carly zbyt dobrze wiedziała, że pod potężną fizyczną powłoką jej współniczki w interesach a zarazem dobrej przyjaciółki kryła się dusza Marthy Stewart. Nie miała też, podobnie jak Martha Stewart*, wojowniczej natury. Miękka i łagodna Martha Stewart. Martha Stewart, w której psychice instynkt ucieczki zdecydowanie przeważał

nad instynktem walki.

_ W Benton nie ma włamywaczy - wyszeptała Carly, omal nie upuszczając latarki, z którą zaczęła się mocować, aby ją zgasić, zanim światło zdradzi ich obecność.

Ułamek sekundy po tym, gdy ją wyłączyła, z czarnej otchłani pod werandą wyłoniły się ramiona mężczyzny, a za nimi, co można było przewidzieć, także głowa.

_ No to kto to jest? - z nie.dowierzaniem zapytała Sandra.

Kartonowe pudło pełne kuchennej zastawy, które dźwigała pod górę, spoczywało teraz na jej stopach. Carly była tak skoncentrowana na tajemniczym mężczyźnie, że nawet nie zauważyła, że Sandra po-stawiła jej cenne wyposażenie kuchni na wilgotnej trawie. Mniej po-słuszny ciężar, który sama ścisnęła w ramionach, zapiszczał z niezadowolenia. Hugo nie znosił, kiedy go noszono; uważał, że to uwłacza jego godności. Carly mocniej przytrzymała w objęciach himalajskiego kota i modliła się w duchu, aby nie zaczął zbyt głośno miauczeć.

_ Hydraulik? Duch? Skąd, do diabła, mam wiedzieć?

Po gwałtownej letniej burzy, która niedawno przeszła nad mia-stem, noc była wilgotna i parna. W

powietrzu czuło się zapach mokrej ziemi, co przypomniało Carly deszczowe noce w Georgi w czasy dzieciństwa. Ich prowadzoną szeptem rozmowę zagłuszał

*. Autorytet współczesnych Amerykanek, kobieta sukcesu. Martha Stewart wydaje znany magazyn poświęcony sprawom związanym z prowadzeniem domu, urządzaniem przyjęć, dekoracją wnętrz, zakładaniem ogrodów itp. Jest autorką wielu książek (w tym kucharskich). Ma własny program w telewizji, w którym kreuje elegancki styl życia, a także daje praktyczne wskazówki, jak go zrealizować. Laureatka wielu nagród (przyp. red.).

szelest kropli spadających z liści i okapów, połączony z cichym kum-kaniem niewidocznych zab drzewnych. Zza przesuwających się po niebie chmur wyłonił się blady sierp księżyc, oświetlając okolicę na tyle, że Carly mogła lepiej obejrzeć wysoką postać intruza, który zwinnie stawał już na nogi.

W jednej ręce trzymał groźnie wyglądający czarny pistolet; mimo ciemności złowieszczego kształtu broni nie można było pomylić z niczym innym.

- No i proszę. Dzwonię po pomoc pod dziewięć-jeden-jeden. Sandra zanurzyła rękę w plastikowej reklamówce jaskrawego koloru, która służyła jej za torebkę, i wyciągnęła telefon komórkowy. -

W Benton ten numer nie działa.

- Cholera. - Sandra przerwała naciskanie cyfr i spojrzała na Carly. - Czy macie tu w Benton coś poza starymi, nawiedzonymi domami i groźnymi facetami uzbrojonymi w pistolety?

- Mamy McDonalda. I Pizzę Hut.

Obie firmy pojawiły się tu całkiem niedawno, z czego izba handlowa w rodzinnym miasteczku Carly była słusznie dumna.

- No to wspaniale. Może więc pójde i zamówię coś do jedzenia. - Sandra potrząsnęła głową z niezadowoleniem. - Wcale nie chce mi się jeść, głuptasie. Chcę, aby ktoś mnie obronił przed tym facetem ze spluwą. A co ze strażakami? Potrafią zdjąć kota z drzewa.

- W Benton wzywa się na pomoc policję stanową. Albo szeryfa.

- Jaki tam jest numer?

Sandra ponownie włączyła telefon.

- Nie mam pojęcia.

Rozmawiając szeptem, powoli zaczęły się wycofywać. Carly poruszała się bardzo ostrożnie, pamiętając o wystających korzeniach. Jej tenisówki ślizgały się trochę na wilgotnej ziemi, a oczy cały czas obserwowały domniemanego włamywacza. Mężczyzna, nadal nie zdając sobie sprawy z ich obecności, stał odwrócony tyłem i wyraźnie wpatrywał się w potężny, ciemny zarys stodoły, która majaczyła na tyłach domu. Podwórko było tak samo zaniedbane jak reszta posesji, trawa i krzaki rozrosły się ponad miarę, nikt nie zgrabił liści od jesieni, przez co spacerowanie po terenie było jeszcze bardziej ryzykowne, zwłaszcza jeśli schodziło się po zboczu. Beadle Mansion, posiadłość znana dzięki oryginałowi, który był jej właścicielem, znajdowała się na zachodnim skraju miasteczka, na zalesionym pagórku, w sporej odległości od najbliższej posesji i nie posiadała nawet własnego podjazdu. Ich samochód, jaskrawopomarańczowa furgonetka, którą przyjechały prosto z Chicago, stał zaparkowany na poboczu wąskiej, asfaltowej drogi biegnącej u podnóża wzniesienia. Miały szansę dotrzeć do auta bez zwrócenia na siebie uwagi intruza. Ale czy uda im się wsiąść i odjechać niepostrzeżenie, to już zupełnie inna sprawa.

Sandra z lekkim trzaskiem zamknęła klapkę telefonu komórkowego, co świadczyło o oczywistym niezadowoleniu. Mężczyzna zaczął się od nich oddalać, najwyraźniej zmierzając w stronę rogu budynku, jakby kierował się do stodoły. Carly wepchnęła latarkę do przedniej kieszeni dzinsów i mocniej przycisnęła do siebie kota, który zamruczał niezadowolony. Biedny Hugo nie lubił podróżować, nie lubił deszczu i nigdy nie podobało mu się, gdy ktoś brał go na ręce wbrew jego woli. Ale to, co miało nastąpić za chwilę, z pewnością nie spodoba mu się jeszcze bardziej niż wszystkie poprzednie nieprzyjemne rzeczy razem wzięte. Przygotowując się, Carly zacisnęła palce lewej ręki niczym kajdanki wokół jego przednich łapek, a prawym przedramieniem, na którym spoczywał jej wierzący się, dziesięciokilogramowy ulubieniec, przycisnęła go mocno do boku jak futbolista upragnioną piłkę.

Tak przygotowana, spojrzała na Sandrę.

- Nie wiem jak ty, ale jestem za tym, żebyśmy spróbowały dać nogę, jak tylko nadarzy się okazja.

- Słyszę cię.

Zanim udało im się zrealizować plan, ciszę nocną przerwał zupełnie nieoczekiwany dźwięk.

Głośny jak syrena pisk buchnął im prosto w twarz, aż obie podskoczyły w górę. W tych okolicznościach świdrujące dźwięki były mniej pożądane niż cała chmara os. Przerazona Carly, gdy jej stopy z powrotem dotknęły ziemi, zdała sobie sprawę, że ów hałas pochodził od Sandry. A mówiąc bardziej precyzyjnie, wydawał go telefon przyjaciółki.

- Zamknij go! Wyłącz to!

Carly instynktownie sięgnęła po elektronicznego zdrajcę, mimo że Sandra, gapiąc się na piszczący aparat, który trzymała w dłoni, przerażona, jakby zamienił się nagle w syczącego węża, otworzyła klapkę i zaczęła w panice naciskać guziki. Carly wytrąciła jej z ręki telefon, który poszybował w powietrze i z trzaskiem upadł na ziemię. Z tego miejsca wydał kolejny zdradziecki sygnał. Potem następny. I jeszcze jeden. Carly znieruchomiała, zbyt wstrząśnięta, by w jakikolwiek sposób zareagować. Gapiła się tylko na niego z otwartymi ustami i okrągłymi ze zdumienia oczami.

- Kto tam jest?

Pytanie zadane podniesionym głosem zawierało wyczuwalną groźbę, co spowodowało, że przerażona spojrzała w kierunku mężczyzny, który przystanął. Wprawdzie jego postać dość niewyraźnie majaczyła w ciemności, ale widać było, że się odwrócił. Chociaż obie z Sandrą były już co najmniej w jednej czwartej drogi powrotnej i częściowo zasłaniały je wilgotne liście, mężczyzna wyraźnie patrzył w ich stronę - do diabła z tym cholernym telefonem! - a co gorsza, ręka, w której trzymał pistolet, powędrowała w górę. Mówiąc zaś precyzyjnie, obcy podniósł

pistolet - i przesunął go w ich stronę.

Żołądek Carly opadł nagle jak zepsuta winda.

- Cholera! - zakląła Sandra, bezbłędnie oceniając sytuację.

Jak jeden mąż okręciły się na pięcie i zaczęły biec w stronę furgonetki.

- Stać! Zatrzymać się!

Mimo rozkazu Carly i Sandra nie zwolniły biegu. Carly biegła jak po życie, serce waliło jej głośno i z całej siły przyciskała do siebie kota, który usiłował jej się wyrwać. Obok niej, niczym druga w czołowiec peletonu, pędziła po zboczu Sandra, a jej ręce i nogi poruszały się niczym tłoki, czarne legginsy zaś i obszerna, czarna bluzka upodobały ją do szybko znikającej ciemnej plamy.

Kto by pomyślał? Carly dawno już straciła siły i była zdumiona, że zwykle ospała przyjaciółka miała ich tyle, aby biec z taką szybkością. Nie roztrząsała jednak owego problemu dłużej, skupiając się przede wszystkim na tym, aby ratować siebie i niewdzięcznego Hugona. Innymi słowy, wzmocniła miażdżący uścisk wokół wiercącego się i drapiącego kota, opuściła głowę i gnała co sił w nogach.

Czy pobiegł za nimi? Zastanawiała się nad tym, nurkując pod nisko zwisającymi gałęziami i ślizgając się po wilgotnym mchu, a ta myśl wywoływała lodowate dreszcze. A może, co gorsza, wcale nie pobiegł, tylko przymierzał się, aby strzelić jednej z nich w plecy? Biorąc pod uwagę pecha, jaki towarzyszył jej ostatnio w życiu, z pewnością byłaby to właśnie ona. Dzięki nieoczekiwanemu przyśpieszeniu, jakie rozwinęła Sandra, Carly znajdowała się bliżej uzbrojonego mężczyzny, a w dzinsach i żółtej koszulce stanowiła bez wątpienia dużo lepszy cel.

Skurczyła się w sobie, usiłując nie myśleć o tym, jak czuje się człowiek, któremu wbija się w plecy kula.

- Hej tam! Zatrzymać się!

Nigdy w życiu. Z trudem łapiąc oddech, Carly zaczęła uciekać jeszcze szybciej. Serce biło jej tak mocno, jakby miało za chwilę rozsadzić klatkę piersiową. Krew szumiała w uszach. Czyżby głos tego mężczyzny zabrzmiał teraz bliżej? Gdzie on był? Czy to jego dudniące kroki słyszała tuż za sobą, gdy ten piekielny telefon przestał wreszcie dzwonić? A może tak pulsowało jej w uszach?

Nie mogła się powstrzymać i spojrzała za siebie, ale nie zobaczyła nic poza czarną plamą nocy, lecz ta krótka chwila nieuwagi wystarczyła, by Carly potknęła się o wystający korzeń. Już wcześniej czuła, że przy każdym kroku latarka coraz bardziej wysuwała się z kieszeni. Teraz nagle wypadła, lądując na ziemi tuż obok stóp Carly, i potoczyła się po trawie. Carly nadepnęła na nią i w tym samym momencie zaczęła tracić równowagę. Hugo, wykorzystując nadarżającą się okazję, w tym samym momencie odepchnął się od niej z całej siły tylnymi łapami i wyprysnął

z objęć. Próbując utrzymać się na nogach, Carly skoczyła za nim, ale na próżno. Kot rzucił się do ucieczki, wymachując triumfalnie puszystym, białym ogonem.

-Auuu!

Carly, zajęta łapaniem ulubieńca, nie usłyszała niczego; nagle coś zważyło się na nią od tyłu z siłą rozpędzonej ciężarówki. Zaryła nosem w wilgotną ziemię pod kępą młodych dębów i wtedy dotarło do niej, że została schwytana przez mężczyznę z pistoletem. Jego ramiona zakleszczyły się na jej biodrach, głowa napastnika grzmotnęła, niczym rzucona z całej siły kula od kręgli, w zagłębienie pleców, a miazdzący ciężar jego torsu dosłownie przyszpilił jej nogi do ziemi.

Carly krzyknęła. A w zasadzie zaskrzeczała tylko, ponieważ w tym momencie nie była w stanie wciągnąć w płuca wystarczającej ilości powietrza, aby porządnie wrzasnąć. Jej instynkt natychmiast kazał jej walczyć, ponieważ ucieczka była całkowicie niemożliwa. Pobudzona adrenaliną, gwałtownie odwróciła się na plecy i prawie udało jej się wyswobodzić i zrzucić z siebie napastnika. "Prawie" to właściwe słowo, ponieważ nie udało jej się to do końca. Z trudem łapiący powietrze, pozbawiony rysów twarzy cień majaczący pod drzewami schwycił ją ponownie, zanim zdołała się wymknąć. Jedną ręką przytrzymał Carly za spodnie w pasie i mocno szarpnął do siebie. Dzięki Bogu, metalowy guzik wytrzymał - nigdy nie myślała, że będzie się cieszyła z powodu tych kilku kilogramów, o które przytyła w wyniku stresu rozwodowego - i dzinsy ani drgnęły. W przeciwieństwie do niej. Przesunęła się trochę w nieodpowiednim kierunku i nagle głowa napastnika znalazła się na tej samej wysokości co jej uda. Wyraźnie czuła rękę mężczyzny, ciepłą i szorstką, jak przesuwająca się po jedwabistej skórze jej brzucha. Ogarnęło ją śmiertelne przerażenie; nie trzeba się było długo zastanawiać, aby zrozumieć, co chciał zrobić.

- Nie, nie, nie!

Wpadła w szal, waliła go pięściami po głowie i ramionach, wbiła mu kolana w pierś, a stopami zaryła się w wilgotną ziemię. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wiele musiała znieść, ale tego już by nie zniosła. Musiała uciekać, uciekać, uciekać ...

- Puszczaj mnie! Zostaw mnie! Ratunku! Sandra! Na pomoc! Siła jej zduszonych krzyków zawstydziłaby zapędzoną w kąt mysz, pomyślała w rozpacz. Mężczyzna powiedział coś do niej ostrym, gardłowym głosem, ale nie zdołała wyłowić ani jednego słowa. Serce waliło jej tak mocno, że mogłoby zastąpić perkusję w zespołu Ozzy Osbourne'a. Gardło miała suche jak trociny. W ustach czuła smak aluminiowej folii i smak przerażenia. Stała twarzą w twarz z gwałtem, śmiercią, a zapewne jednym i drugim naraz i nie mogła pojąć, czemu to ją tak dziwiło.

Co najmniej od dwóch lat jej życie przypominało szaleństwo, a za każdym razem, gdy myślała, że już gorzej być nie może, zanurzała się jeszcze głębiej w cuchnącej kloace. Ale to przechodziło wszelkie oczekiwanie - tego już było stanowczo za wiele. Przysłowiowa kropla, która przepełniła puchar. Bóg albo los, czy ktokolwiek, kto z góry zarządzał całym tym cyrkiem, powinien był

wiedzieć: Carly Linton przeszła piekło i więcej nie zniesie.

Zebrała wszelkie swoje rezerwy siły i determinacji, wyzwoliła w sobie wewnętrznego Mike'a Tysona, zwinęła się jak precel i wbiła zęby w ucho napastnika. Na sekundę odskoczył, ale chwilę-

później zarobiła uderzenie prosto w nos. Upadła na wznak, oczy napełniły jej się łzami bólu, lecz chociaż zmieniła metodę, nie przestała walczyć. Z pomocą przyszła jej wilgotna ziemia, na której oboje leżeli, hamowała bowiem jego ruchy. Carly wiała się jak robak na haczyku, kopała i wierzgała, a w końcu, wykorzystując jego ramię jak punkt oparcia dla stopy, uwolniła się i pełznąca w panice na brzuchu, usiłowała odczołgać się jak najdalej. Mężczyzna jednak rzucił się i schwytał ją za kolana. Tym razem zawyla jak syrena statku - dzięki Bogu jej płuca pracowały już na pełnych obrotach - i uwolniwszy jedną nogę, kopnęła go, najmocniej jak mogła, w twarz.

- Cholera! - ryknął i wycofał się, potrząsając głową.

Zanim jednak zdążyła wykorzystać sytuację, jeszcze raz ją zaatakował i zwałił się na nią całym ciałem. Powietrze uszło z niej jak z pękającej opony. Prężąc się i skręcając niemrawo, usiłowała go z siebie zrzucić. Był jednak za ciężki i przykrywał ją całą. Jej prawa ręka leżała między nimi przygwożdżona - i bezużyteczna. Kiedy w końcu udało jej się ją wyswobodzić, przemieniła się z Żelaznego Mike'a w Kobietę-Kota i z całej siły zamachnęła się w kierunku jego oczu, zakrzywiając palce i przygotowując się do walki na paznokcie. Nie zamierzała być tej nocy łagodna, niezależnie od tego, co ten zbir zamierzał jej zrobić.

- Tylko mnie podrap, a pożałujesz, że się w ogóle urodziłaś - warknął, zaciskając w powietrzu swoją dłoń na jej nadgarstku, który następnie pchnął na mokrą ziemię i tam przytrzymał.

Nie była już w stanie się ruszać, ale mimo to się nie poddawała.

Kciukiem i palcem wskazującym uwięzionej dłoni udało jej się boleśnie uszczypnąć umięśnioną pierś napastnika. Syknął i sięgnął po jej rękę, na której leżał. Cady opierała się cały czas, wrywając się i krzycząc mu prosto w twarz.

W trakcie szamotaniny wysunęli się z cienia w kępie drzew na otwartą przestrzeń. Światło księżyca padło na twarz mężczyzny, wykrzywioną pod wpływem jej krzyków przypominających syrenę

alar-mową, i wtedy Carly miała okazję po raz pierwszy mu się przyjrzeć. Otworzyła szeroko oczy i nagle opuściła ją cała chęć walki. Leżąc rozplaszczona pod co najmniej stukilogramowym ciałem napastni-ka, poczuła się bardzo dziwnie, jakby w ogóle nie miała kości, i na-gle dotarło do niej, co znaczy określenie zwiotczeć z ulgi.

- Matcie Converse, co ty wyrabiasz? - zapytała z wściekłością. Mężczyzna znieruchomiał.

Spojrzał na nią i zmarszczył brwi. - Carly?

W jego głosie wyczuwało się wątpliwość.

- Tak, Carly.

Powiedziała to dość zgryźliwie. Kiedy mogła wreszcie wciągnąć swobodnie więcej powietrza, wróciły wspomnienia o tym, jak ostat-ni raz tak właśnie pod nim leżała, wspomnienia potrzebne jej teraz jak dziura w moście.

- Jezū, ale ci cycki urosły.

Jego ręka, którą przygniatał jedną z dłoni Cady, częściowo spo-oczywała na jej prawej piersi.

Czuła, jak palce Matta uciskają i mierzą

jej biust. Szybkim ruchem uwolniła dłoń - a wtedy on mógł lepiej wyczuć jej pierś. Kiedy ostatni raz jego dłoń spoczywała w tym miej-scu, jej biust z trudem wypełniał miseczki A. Teraz mogła się po-chwalić obfitym i zgrabnym rozmiarem C, co zawdzięczała latom ćwiczeń, kremom, odpowiedniemu stylowi życia i - no dobrze, było coś jeszcze - implantom wartym pięć tysięcy dolarów. Co wcale nie znaczyło, że zamierzała mu o tym powiedzieć.

- No cóż, takie cycki się zdarzają.

Spojrzała na niego ze złością. Na szczęście jego dłoń ześlizgnęła się spomiędzy jej piersi, bo inaczej zarobiłby w twarz. Była mu win-na ten policzek. Należał mu się od dwunastu lat. Nie mogła się do-czekać, kiedy mu wreszcie odpłaci.

- Poza tym jesteś blondynką.

Tym również był zdziwiony. Wpatrywał się w jej długie do ra-mion, lekko falujące i starannie wymodelowane włosy platynowo-blond. Dobrze pamiętał, że ich naturalny kolor był

myszowatobrazo-wy i że miała na głowie burzę loków.

- Blondynki też się zdarzają. Możesz już ze mnie zejść? Ponie-waż okazało się, że się znamy, domyślam się, że gwałtu nie będzie. - Gwałtu? - parsknął. - Chyba żartujesz. Naprawdę tak myślałaś?

- Wiesz co, doprawdy nie wiem dlaczego, ale gdy jakiś facet rzuca się na mnie w ciemnościach i zaczyna mnie obmacywać, gwałt jest pierwszą z możliwości, która wówczas przychodzi mi do

głowy. –W jej głosie brzmiała nuta sarkazmu. Na ustach pojawił się słaby uśmiech.

- Curls, to naprawdę ty?

Niespiesznie uniósł się na łokciach. Przezwisko, jakie dla niej wymyślił wiele lat temu, na powrót przeniosło ją w czasy, do których nie chciała wracać. Przyciskając Carly nadal do ziemi swoim ciężarem, przyglądał jej się uważnie. Była niezadowolona, ponieważ uświadomiła sobie, że w bardziej sprzyjających okolicznościach miałyby większe szanse na zademonstrowanie swojej urody, a tak wszystko zostało zaprzepaszczone przez pechowe połączenie kiepskiej pogody, późnej pory i długich godzin spędzonych za kółkiem furgonetki, a także depresji wywołanej załamaniem się dotychczasowego, tak pieczołowicie skonstruowanego życia. Ponieważ całą drogę prowadziła auto, na ostatnim postoju umyła dokładnie twarz mydłem i wodą, aby się odświeżyć, i teraz nawet makijaż nie osłaniał jej przed Mattem. Twarz, na którą patrzył, była tą samą twarzą, którą dobrze pamiętał. Te same, niczym nieupiększone, niebieskie oczy, ten sam piegowaty i błyszczący, trochę zadarty nos, te same, zbyt szerokie, nieuszminkowane usta. Jej policzki pozbawione różu, który właściwie modelował owal, nadal były zbyt okrągłe. Naturalnie ukształtowane brwi wskazywały, że nie jest zainteresowana nadaniem im bardziej stosownej linii, a poza tym, co stanowiło już kompletną antytezę kobiety, jaką się stała w ciągu minionych lat, nie miała na twarzy ani śladu koloryzującego fluidu, który mógłby upiększyć ową niezbyt ciekawą prawdę. Te okoliczności nie nastawiały Carly mile do niego; prawdę powiedziawszy, wielokrotnie zwiększały jej niezadowolenie. Kiedy ich oczy ponownie się spotkały, zrobiła nachmurzoną minę. On zaś w odpowiedzi szeroko się uśmiechnął.

_ Małeńka, zmieniłaś się. I nie chodzi mi tylko o cycki i włosy. Kiedyś byłaś taka słodka.

Ten docinek jeszcze bardziej ją rozdrażnił. Być może on zapomniał o ostatnim rozdziale historii ich znajomości, ale ona nie.

_ Kiedyś rzeczywiście byłam trochę inna - na przykład głupia. Bardzo, bardzo głupia. A teraz złaż...

Nie dokończyła zdania. Przerwała je miedziana patelnia, która nagle wyłoniła się z ciemności niczym zdezorientowany nietoperz i z głośnym hukiem uderzyła mężczyznę w tył głowy.

_ Cholera! - wrzasnął Matt, chwytając się za głowę i zwijając z bólu. - Uciekaj, Carly!

Sandra, wymachując swą bronią, tańczyła wokół nich w ciemności, jak ktoś, kto ma w butach gorące węgle.

_ Nie ruszaj się. Dostaniesz jeszcze raz - ostrzegła Matta, który usiłował usiąść. - Przekonasz się. Przyłożę ci.

_ Sandra, nie! - zawołała Carly, gdy Matt, klnąc i zasłaniając sobie głowę rękoma, usiadł obok niej, a patelnia znowu znalazła się tuż nad jego głową•

W ostatniej chwili wykonał unik. Miedziane dno z błyskiem minęło jego ramię•

- To przyjaciel.

W rzeczywistości słowo "przyjaciel" niezbyt odpowiadało roli, jaką Matt odegrał w jej życiu. I zdecydowanie nie odzwierciedlało uczuć, jakimi darzyła go teraz. Samotna, mała dziewczynka, wpa-trująca się jak w obraz w starszego o trzy lata chłopaka, dawno zniknęła. Dorosła i w miarę upływu lat zdobyła bolesne doświad-czenie, utwierdzające ją w przekonaniu, że zuchwały, czarnowłosy młodzieniec, o którym marzyła, że podaruje jej gwiazdkę z nieba, okazał się tylko jednym z wielu męskich szcurów, którym nie moż-na ufać.

- Co takiego?

Sandra patrzyła na nią z wahaniem, szykując patelnię do kolej-nego zamachu.

Matt odważył się wreszcie na nią spojrzeć, po czym wyrwał jej patelnię i odrzucił daleko.

- Och! - jęknęła Sandra, cofając się.

- Wszystko w porządku.

Carly niezdarnie stanęła na nogi. Drżałajeszcze lekko po stoczo-nej walce, a całe plecy, od ramion po kolana, miała mokre, ale gdy spojrzała na Matta, który siedział na ziemi obok patelni i dotykał palcami obolałej głowy, w kącikach jej ust pojawił się uśmiech.

- To palant, ale nieszkodliwy. Sandra, poznaj Matta Converse'a.

Matt, to jest Sandra Kaminski.

- Hmm, miło cię poznać - przywitała się Sandra, z niepokojem patrząc na niego.

Odwzajemnił jej spojrzenie, pocierając jednocześnie tył głowy, gdzie najprawdopodobniej zaczynał rosnać spory guz. Na widok je-go miny Carly się uśmiechnęła. Uświadomiła sobie, że naprawdę cie-szy się z tego guza.

- Chciałbym powiedzieć to samo.

Jego głos zabrzmiał kwaśno. Matt z wahaniem opuścił rękę, wstał, spojrzał na patelnię i skrzywił się.

- Nie powinnaś biegać z patelnią i walić nią ludzi. W ten sposób możesz napaść sobie biedy.

- Przepraszam - zapewniła go niepewnym głosem, zachowując jednak bezpieczny dystans.

Carly włączyła się do tej wymiany zdań z nieukrywanym entuzjazmem.

- Wiesz, Sandra myślała, że ratuje mnie przed gwałcicielem, mordercą czy kimś takim. Naprawdę wykazała się wielką odwagą, waląc cię po głowie. Dzięki, Sandra.

- Nie ma za co - odpowiedziała przyjaciółka nieco weselszym tonem. Matt przeniósł spojrzenie na Carly, która z premedytacją prezentowała uśmiech kota z Cheshire.

- Uważasz, że to zabawne?

- W każdym razie zasłużyłeś na to, ja myślałam nawet o czymś dużo gorszym.

- Naprawdę?

Przez chwilę patrzył na Carly w milczeniu. Było zbyt ciemno, aby mogła wyczytać coś z jego oczu, ale nietrudno było zgadnąć, o czym myślał: o tym samym, co ona. Powietrze zrobiło się aż gęste od wspólnych wspomnień z okresu, kiedy ostatni raz się widzieli. Ona miała wtedy osiemnaście lat, była nieśmiała i niewyrobiona towarzysko, szła na bal maturalny, a on, przystojny dwudziestojedno-latek z piekła rodem, najbardziej znany podrywacz w całej okolicy, był jej partnerem. Tej tak ważnej dla siebie nocy straciła z nim dziewictwo. Nie oddała mu wtedy serca tylko dlatego, że należało do niego już od lat. Od tamtej pory nie udało jej się już z nim porozmawiać. Skurczybyk.

- Czyżbym się mylił, czy wyczuwam jakąś wrogość?

- Tak myślisz?

Wrogość to nie było odpowiednie słowo. Czowała narastającą nienawiść. Przez całe upiorne lato po nocy, gdy oddała mu to, co najcenniejsze, unikał jej, jakby była zadżumiona. Czasami, bardzo rzadko, widywała go z daleka, niczym tajemniczą Wielką Stopę. Przedtem przez wiele lat pojawiał się w pobliżu prawie codziennie, drażnił się z nią i jej doradzał: właściwie, kiedy pomagał

w domu jej babki, traktował ją jak ulubioną młodszą siostrę, a potem, gdy jej nie bardzo zresztą ukrywane uczucie do niego znalazło swój ostateczny wyraz na tylnym siedzeniu jego starego chevy impala, odrzucił ją jak robaczywe jabłko. Złamał jej serce, zdeptał godność i po raz pierwszy dał jej

poznać prawdziwą naturę męskiej bestii : w większości to prawdziwe łotry.

- Jezu, Carly, minęło dwanaście lat. Nie słyszałaś nic o przebaczeniu i puszczeniu w niepamięć?

Znowu to przezwisko, tego już było za wiele. Carly posłała mu szeroki, jawnie fałszywy uśmiech.

- Coś ty, Matt? - zadrwiła. - Idź do diabła. Zmrużył oczy, a potem potrząsnął głową.

- Aha. Twoja babka zapewne teraz przewraca się w grobie. Ile razy słyszałem, jak mówiła: "Nie obchodzi mnie, jak się zachowują inne dziewczynki, ja wychowuję cię na damę"? Trudno zliczyć.

A oto teraz sprawiasz jej zawód.

Carly bezsilnie zacisnęła pięści.

- Powiedziałam już, idź do diabła.

- Wydawało mi się, że nazwałeś go przyjacielem - zdziwiła się Sandra, patrząc zaskoczona to na jedno, to na drugie.

Carly spojrzała na nią spod oka.

- Kłamałam.

Matt mruknął coś, co mogło znaczyć dokładnie wszystko. Carly ponownie utkwiała w nim oczy.

Przez chwilę wymieniali jadowite spojrzenia. W końcu wzruszył ramionami.

- W porządku. Rób, co chcesz. Chcesz chować urazę sprzed dwunastu lat, nic mi do tego. A właściwie co ty tu robisz?

- Jestem teraz właścicielką tego domu. Dlaczego miałoby mnie tu nie być? Pytanie raczej brzmi, co ty tu robisz? Nie mów tylko, że obecnie sypiasz pod werandą.

To ostatnie zdanie, wypowiedziane z wyraźną pogardą w głosie, było chwytem poniżej pasa, dobrze o tym wiedziała. Stanowiło aluzję do jego niezbyt szczęśliwego dzieciństwa, kiedy Matt, jego matka i trzy młodsze siostry ciągle się przeprowadzali, mieszkali w przyczepie samochodowej, w skromnym pokoju, potem w mieszkaniu, czasami w wynajętym domu, w zależności od tego, czy starczyło pieniędzy na płacenie czynszu. Gdy Matt był już na tyle duży, że mógł pracować - mając jedenaście lat, strzygł trawniki i wyrywał chwasty w ogrodzie jej babki -

sytuacja trochę się poprawiła, a cała rodzina zamieszkała w małym domku, w którym, o ile Carly się orientowała, mieszkali do dziś. Matt zawsze był bardzo wrażliwy w kwestii ubóstwa jego najbliższych, a ona bardzo uważała, aby nie zranić męskiej dumy. Chociaż on wręcz przeciwnie, nigdy nie zwracał uwagi na jej wrażliwe, dziewczęce serce. Takie jednostronne relacje rządziły całym jej życiem i Carly miała już tego szczerze dość. Czasy, kiedy odgrywała rolę wycieraczki pod drzwiami, już się skończyły. W jej życiu rozpoczął się zupełnie nowy rozdział.

Carly Linton postanowiła zostać przebojową dziewczyną. Miała już dość bycia grzeczną i miłą.

Jeżeli nauczyła się do tej pory czegoś w życiu, to właśnie tego, że miłe i grzeczne dziewczyny zawsze są robione w konia.

Matt patrzył na nią spod przymrużonych powiek. Dobrze zrozumiał, rzecz jasna, jej przytyk.

Nigdy nie miał problemu z odgadywaniem jej myśli.

- Dostałem wiadomość, że ktoś kręci się wokół domu twojej babki, i chciałem to sprawdzić. - Po krótkiej przerwie dodał: - Jestem tu teraz szeryfem.

Przez chwilę Carly gapiła się na niego oniemiała, zastanawiając się, czy dobrze słyszy. To ten sam Matt Converse, którego znała jako ostrego balangowicza i szalonego motocyklistę, kogoś, kto był na samym początku lokalnej listy chuliganów, co do których istniały uzasadnione podejrzenia, że mogą skończyć w celi śmierci! Jako owoc związku drobnej meksykańskiej sekretnicy i wysokiego, cholernie przystojnego, ale niezdarne jasnowłosego robotnika sezonowego, który pojawiał się i znikał z jej życia w rytmie dyktowanym przez pory roku i kaprysy, Matt niemal od momentu swoich narodzin został skazany przez miasteczko na los potencjalnego rozrabiaki. Jego wygląd, doborowe połączenie smagłej cery po matce oraz wzrostu i urody ojca sprawił, że chłopak już od małego zwracał na siebie uwagę. Świadomy złej opinii, krążącej o nim w miasteczku, już jako dzieciak starał się jak mógł, aby jej sprostać, potem zaś, będąc nastolatkiem, zachowywał się jeszcze gorzej, a fakt, że zawsze zwracał na siebie uwagę, wcale mu nie służył. O tym, że był odpowiedzialnym pracownikiem, dobrym synem i bratem, niezawodnym przyjacielem Carly i kilku innych osób, wiedziało niewiele. Reszta mieszkańców miasteczka brała jego pozę twardziela za dobrą monetę i traktowano go z przezorną czujnością niczym pomrukujący wulkan.

- Żartujesz, prawda?

- Nie.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Było ciemno, ale nie na tyle, aby nie zauważyła, że poza dzinsami miał na sobie zwykły, biały t-shirt i tenisówki. Musiała też przyznać, że fizycznie nic a nic się nie zmienił. No, może czarne włosy nosił nieco krótsze, był też trochę wyższy, z pewnością również potężniejszy w ramionach i klatce piersiowej, ale pozostał tym samym, cholernie przystojnym Mattem, jakiego znała. Niewiele ją to zresztą obchodziło. Po tamtej nocy dawno temu, którą spędzili w dusznej ciasnocie tylnego siedzenia jego wozu, została skutecznie uodporniona na jego urodę.

- Nie nosisz munduru.

Nie przyszło jej nawet do głowy, że kłamał, czy coś takiego, ale ... Zmrużył oczy.

- Minęła już północ, co może przeoczyłaś. Jestem po służbie. Pani Naylor, chyba pamiętasz, że mieszka tu w sąsiedztwie, zadzwoniła do mnie do domu. - Sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął

portfel i go otworzył. - Chcesz zobaczyć moją odznakę?

Z jego tonu wywnioskowała, że faktycznie musiał ją mieć, ale mimo to postanowiła ją sobie obejrzeć. Oczywiście, miał ją w portfolu,

błyszczącą, srebrną i najzupełniej prawdziwą. To niewiarygodne. Spojrzała mu w twarz. Przez moment ich oczy się spotkały i znowu mierzyli się spojrzeniami.

Nagle wybuchnęła drwiącym śmiechem.

- To doprawdy zabawne!

Matt wsunął portfel do kieszeni i zacisnął usta.

- Taak, rzeczywiście. Co najmniej tak samo śmieszne, jak ty z tymi wielkimi cyckami i blond włosami. A swoją drogą, rozejrzałem się tu dookoła i niczego niepokojącego nie zauważyłem.

Jeśli jednak coś przeoczyłem i natkniesz się na kogoś, twoja przyjaciółka z patelnią z pewnością go ogłuszy, a wtedy ty zdążysz mnie wezwać. - Wręczył Sandrze patelnię i odwrócił się, jakby zamierzał odejść, ale przy- . pomniał sobie jeszcze o czymś. - Aha, tak przy okazji, nie macie prądu. Niedaleko stąd zerwały się druty. - W jego głosie zabrzmiało coś, co Carly odczytała jako złośliwą satysfakcję.

- Hej, poczekaj chwilę. Nie zamierzasz chyba zostawić nas tu samych! - zawołała za nim zaniepokojona Sandra, gdy zaczął się oddalać.

Carly rzuciła jej wściekłe spojrzenie. Nawet gdyby była przekonana, że w domu czekał na nie spragniony krwi książę Drakula, woląaby się ugotować w oliwie, niż poprosić Matta, aby został.

Sandra spojrzała na nią błagalnie.

- Może powinniśmy pójść do hotelu czy czegoś takiego i wrócić tutaj jutro rano? Ja naprawdę nie jestem wielbicielką starych domów z włączkami i bez prądu. Nie w środku nocy, w każdym razie.

- Chyba zapomniałaś, że w Benton nie ma hotelu - wycedziła przez zęby Carly, widząc, że Matt się zatrzymał i odwrócił, a z jego postawy bez wątpliwości można było wyczytać, że toczył walkę między osobistymi uczuciami a obowiązkiem zawodowym, który zwyciężył dosłownie o włos.

W tych okolicznościach Carly również nie była szczególnie zachwycona perspektywą udawania dzielnej i spędzenia nocy w tym domu, ale nie miały wyboru. Brak hotelu w Benton leżał u podstaw ich biznesplanu, który polegał na poprowadzeniu w domu babki pensjonatu typu "łóżko i śniadanie". Benton leżało w pobliżu historycznego szlaku bitew okresu wojny secesyjnej znanego z turystycznych przewodników, jego populacja ciągle rosła i obecnie miasteczko liczyło około czterech tysięcy mieszkańców i coraz wyraźniej kształtowała się jego tożsamość, której efektem były wysokiej jakości rzemiosło i antyki. W małym centrum miasteczka jak grzyby po deszczu wyrastały modne butiki. W okolicy były doskonałe warunki do wędkowania i gry w golfa, nowa fabryka Hondy, która znajdowała się jakieś piętnaście kilometrów na południe, przyciągała klientów, do Savannah zaś jechało się niecałą godzinę. Był tu kiedyś zaniedbany motel przy bocznej drodze

odchodzącej od autostrady, ale już wiele lat temu został zamknięty. Dzięki nowym inwestycjom firm McDonald' s i Piz-za Hut, które Carly uznała za dowód, że jej biznesplan został po-prawnie skonstruowany, w Benton pojawiły się już nowe restauracje, ale zdecydowanie nie było miejsca, gdzie goście i turyści mogliby spędzić noc. Tę lukę miał

wypełnić ich pensjonat.

_ Ach tak. - Sandra, najwyraźniej nieszczęśliwa, przyciskała do piersi patelnię jak przerażone dziecko ukochanego misia. - Wiedzia-łam o tym.

_ Mamy do wyboru ten dom, kolejną godzinę albo więcej za kierownicą lub spanie w furgonetce -

przedstawiła sytuację Carly. - Nie wiem jak ty, ale ja nie zamierzam prowadzić jeszcze przez godzinę ani spać w aucie. Klimatyzacja zepsuła się, gdy przekraczałyśmy granicę stanu Georgia, pamiętasz? A poza tym tylko jeden fotel się rozkłada. Lepiej więc zostańmy w tym domu, przynajmniej będzie-my spały w łóżkach. Linia energetyczna pewnie wkrótce zostanie naprawiona, a jeśli nawet ktoś włóczył się wokół domu, założę się o ostatniego dolara, że była to para nastolatków szukających miej-sca, gdzie mogliby zgrzeszyć, lub jakiś pijak rozglądający się za spa-niem. Tylko takich włóczęgów mamy w Benton.

_ Uhu - mruknęła Sandra, wyraźnie nieprzekonana. Zirytowana Carly spojrzała na Matta. Mógłby przynajmniej potwierdzić, że to prawda.

_ Przyjechałyście furgonetką?

Nie mogła liczyć na poparcie, Matt nawet jej nie słuchał. Zamiast tego patrzył na drogę. Idąc za jego wzrokiem, Carly dostrzegła, że przez gęste liście widać pomarańczową furgonetkę. Była to ponie-kąd odpowiedź na wcześniejsze pytanie, bo teraz przyglądał się Carly, nie czekając na odpowiedź.

_ Wnosicie czy wynosicie rzeczy?

- Wnosimy.

To było wszystko, co powinien wiedzieć. Nie zamierzała dzielić się swoimi planami z Mattem. Jej życie nie powinno go nic obchodzić.

_ Zamierzamy otworzyć pensjonat - pochwaliła się Sandra. Car-ly posłała jej piorunujące spojrzenie, którego przyjaciółka zapewne nie dostrzegła, ponieważ mówiła nadal. - Nazwiemy go Gospoda Beadle Mansion.

- Wy obie? - Matt spojrzał na Carly. - A co z twoim bogatym mę-żem prawnikiem? Zostawiłaś go w Chicago?

A więc wiedział, gdzie mieszkała, że wyszła za mąż i kim był John. Carly była na siebie wściekła, w żołądku czuła nieprzyjemny ucisk. To wszystko tylko jakieś resztki wspomnień - Matt nic jej już nie obchodził. Parszywy skurczybyk.

- Rozwiódłam się - poinformowała go krótko.

- Ach tak?

- Tak - odparła Carly tonem, który mówił: "No i co z tego?".

Matt skrzyżował ramiona na piersi i bacznie się jej przyglądał.

- Wiesz co, Curls, odkąd stąd wyjechałaś, nabrałaś takiego nie-fajnego sposobu bycia.

Naprawdę powinnaś pomyśleć o tym, aby się zmienić. Nie dodaje ci uroku.

- Zamknij się! - warknęła Carly. - I spadaj. Nie potrzebujemy twojej pomocy. Jeśli twoja praca polega na odgrywaniu wielkiego, groźnego szeryfa, idź sobie gdzie indziej. Na mnie nie robi to wrażenia. - Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę domu, nawołując Hugona.

- Dobrze, skarbie, jak sobie życzysz.

Matt odwrócił się z równym impetem i odszedł w przeciwną stronę, stawiając zamaszyste kroki.

- Cholera - powiedziała Sandra, a Carly kątem oka zauważyła, że jej przyjaciółka patrzy to na nią, to na Matta i na powiększającą się z każdą chwilą odległość między nimi.

Po chwili wyraźnej rozterki podążyła jednak za Carly, która poczuła na swoich barkach odrobinę mniejszy ciężar. Przez moment bowiem wcale nie była pewna, jaką decyzję podejmie Sandra.

Prawdę powiedziawszy, wcale nie uśmiechałoby jej się pozostać teraz samej w tym domu.

- Dlaczego tak się zachowałaś? - dopytywała się Sandra, gdy ją dogoniła.

Carly spojrzała na nią z ukosa.

- Bo to palant. Pieprzony skurczybyk. Ludzki śmieć. Hugo! Chodź do mnie, koteczku.

Nawoływanie ulubieńca dobitnie świadczyło o jej wzburzeniu, wiedziała bowiem doskonale, że kot nie reaguje na jej głos. Była to jedna z tych rzeczy, które uważał za poniżej swojej godności.

- Ale on jest szeryfem. Ma pistolet. A dom twojej babki naprawdę mnie teraz przeraża. Czy naprawdę coś by ci się stało, gdyby wszedł tam z nami i go sprawdził?

- Tak - powiedziała Carly bez owijania w bawełnę. - Hugo!

- A co zrobimy, jeśli natkniemy się na włóczęgę? Carly aż zacisnęła zęby.

- Już ci mówiłam, że w Benton nie ma włóczęgów. A przynajmniej takich prawdziwych. To małe miasto, żadne tam Chicago.

Sandra parsknęła.

- Do kogo tu zatem należy ostatnie słowo?

- Jeżeli się boisz, to czemu nie poszłaś za nim? Mogłaś zejść razem z nim na drogę i poczekać w furgonetce. A nawet iść z nim dalej. Jestem pewna, że zaprowadziłby cię, dokąd tylko byś chciała, jeśli nie z innego powodu, to dlatego, żeby zrobić mi na złość.

- Myślałam o tym - przyznała Sandra tonem irytująco pozbawionym poczucia winy mimo ujawnienia myśli o zdradzie i dezercji. - Ale jest pewien problem.

- Jaki?

- Muszę się wysikać.

Carly zmrużyła oczy. W czasie wspólnej podróży z Sandrą dowiedziała się o niej rzeczy, o których wcześniej nie wiedziała lub nie chciała wiedzieć. Na przykład tego, że ciągle chciało jej się siusiać. Oczywiście, jako właścicielce restauracji Treehouse, w której Sandra zajmowała się kuchnią, nigdy nie przyszło jej do głowy, aby monitorować czyjeś wędrówki do toalety. Sandra musiała się tam udać chyba co piętnaście minut; jeśli w drodze z Chicago do Benton przeoczyły jakieś miejsce postojowe, to tylko dlatego, że przyjaciółka go nie zauważyła.

- Mój Boże. Masz chyba nerki wielkości orzecha włoskiego. Hugo!

- Wiesz co? Zaczynasz mówić jak mój mąż.

Świetnie. Teraz się wściekła. Carly wzniosła oczy do nieba.

- Przepraszam, dobrze już? W domu jest łazienka. Jak tylko dośtaniemy się do środka, należy do ciebie.

Były już blisko drzwi. Carly zauważyła karton z naczyniami kuchennymi, który Sandra porzuciła w czasie ucieczki.

- Wezmę to - powiedziała i pochyliła się, aby podnieść karton. - Widzisz gdzie swój telefon?

- Nie. Upadła mi też torebka.

Sandra odwróciła się i ze zmarszczonymi brwiami rozglądała się po drodze, którą przeszły.

- Znajdziemy wszystko jutro rano.

Nie miała zamiaru rozpoczynać większych poszukiwań, nie po tym, co przeszły. Kot uciekł, miała zszarpane nerwy, była zirytowana i tak zmęczona, że mogłaby usnąć tam, gdzie stała.

- Jasne. - Sandra najwyraźniej czuła się podobnie. Rozgarnęła tylko w kilku miejscach wysoką trawę i dała sobie spokój z szukaniem rzeczy. - Te głupie telefony nigdy nie dzwonią wtedy, kiedy trzeba.

- Święta prawda.

Carly zlustrowała szybko miejsce, gdzie stały, i przez chwilę żałowała, że nie znalazła latarki.

Mogłaby jej jeszcze poszukać, ale pewnie gdzieś się potoczyła, a było ciemno, choć oko wykol, więc szanse na jej znalezienie wydawały się zerowe. Poza tym знаła dom babki jak własną kieszeń. Gdy tylko znajdą się w środku, w ciągu pięciu minut zorganizuje jakieś światło. Ponieważ w tej rolniczej części Georgi problemy z prądem zdarzały się dość często, zawsze w pogotowiu były zapalki i świece, które leżały w dużej, chińskiej komodzie w jadalni. Nie mogła pozwolić, aby po odbyciu tak długiej podróży zniechęciła ją taka drobna niedogodność jak brak prądu. W

dotadku zaczynało kropić i miały bliżej do domu niż do furgonetki. Brakowało tylko tego, aby przemoczyła je do suchej nitki gwałtowna ulewa, jedna z tych, jakie często zdarzały się latem w Georgi.

A jeśli przypadkiem Matt wciąż jeszcze kręcił się w pobliżu, plułaby sobie w brodę, gdyby podwinęła teraz ogon ze strachu i dała temu draniowi powód do śmiechu.

Nie bała się zatem wcale wejść do domu - przecież był teraz jej własnością, bo wprawdzie Matt twierdził, że dostał informację o włóczędze, zrobiło się jednak dobrze po północy i było bardzo, bardzo ciemno.

Na nos spadłaję duża kropla wody. Carly skrzywiła się i spojrzała w górę. A więc sprawdziło się, to już naprawdę komplet nieszczęść tej nocy. Padał deszcz. Jeśli zaraz nie schowa się w domu, jej pracownicie rozprostowane włosy znowu zaczną się skręcać. Dopóki nie nauczyła się trudnej sztuki łączenia mocnego żelu z umiejętnym suszeniem włosów suszarką z dyfuzorem, była ofiarą loków w kształcie grubych parówek, które upodobiały ją do chudej i mało ponętnej Shirley Temple. To dlatego Matt wymyślił dla niej przydomek Curls*. Nienawidziła go, ale uwielbiała chłopaka, który tak ją nazywał, i dlatego przyjęła nowe imię bez sprzeciwu. Nazywał ją tak przekornie, ale z uczuciem przez całe jej dzieciństwo, a ona, która pragnęła uczucia i uwagi, przyciskała to słowo do swoich płaskich piersi jako znak, że była dla niego kimś wyjątkowym.

* Curls (ang.) -loki (przyp. red.).

Nazywał ją tak również tamtej nocy po rozdaniu świadectw matralnych, zanim po raz pierwszy się pocałowali, a ona topniała w jego ramionach z miłości, czując szaloną burzę hormonów.

Nazywał ją tak ponownie, gdy widzieli się po raz ostatni dawno temu, kiedy po balu odprowadził ją rano do drzwi domu babki, a słońce zaczęło się dopiero wznosić nad horyzontem.

- Do zobaczenia, Curls - powiedział, ujął jej twarz w swoje miękkie dłonie i złożył na jej ustach szybki, ale wstrzymujący bicie serca, czuły pocałunek.

Odczytała w nim wszelkie możliwe obietnice. Pamiętała jednak, że babka wstawiała z kurami i w każdej chwili mogła się pojawić na ganku ubrana w szlafrok i przegonić chłopaka, posłała mu więc tylko przelotny uśmiech.

- Dobranoc, Matt - powiedziała. Odwróciła się i weszła do domu.

Promienna. Zakochana. Pewna, że to Ten Jedyńy, bratnia dusza, zesłany jej przez los, aby u jego boku spędziła resztę życia.

Parszywy, cholerny skurczybyk. . Niezadowolona z tych wspomnień Carly wygnała je z myśli i ruszyła szybciej przed siebie, zaglądając pod krzaki, drzewa i kiście mokrych, ciężkich od deszczu kwiatów. Rozpieszczony pupilek Hugo nie mógł uciec zbyt daleko. Chociaż właściwie zasługiwał na to, aby się zgubić. Ciągłe czuła na boku ślady jego pazurów.

- Hugo! Do diabła, rusz ten swój futrzany tyłek! Jeśli sądzisz, że spędzę resztę nocy na szukaniu ciebie, to się grubo mylisz.

- Może i często sikam, ale przynajmniej nie obrażam kota - powiedziała Sandra, która pojawiła się tuż obok niej. - A zresztą, tu jest.

Carly spojrzała tam gdzie Sandra, i zobaczyła Hugona, który siędział wysoko na dachu werandy. Miał białe futerko, łatwo więc było go zauważyć. Carly westchnęła z ulgą. Strata Hugona to byłoby już stanowczo za dużo. Kot najwyraźniej nie przejmował się tym, że ją zgubił, i czyścił sobie sierść. Poświęcał J).a to zwykle, poza spaniem i jedzeniem, większość czasu. Z

kotami jest podobnie jak z ludźmi: jasne futerko wymaga staranniejszej pielęgnacji.

- Chodź tu - powiedziała Carly zmęczonym głosem, wchodząc po schodach.

Okolona balustradą weranda z łuszczącą się, ażurową stolarką ciągnęła się wzdłuż całej frontowej ściany domu. Hugo rozkosznie się przeciągnął i przyszedł się przywitać z Carly. Posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie i odeszła, ale Hugo i Sandra nie odstępowali jej teraz ani na krok.

Carly postawiła karton na wiklinowym fotelu, który, odkąd pamiętała, zawsze stał w tym miejscu na tle białej, panelowej ściany. Otworzyła skrzypiące drzwi z siatką i zaczęła dopasowywać klucz do staroświeckiego zamka. Za małą szybką z witrażowego szkła, wprawioną w dębowe drzwi na wysokości oczu, majaczyło ciemne jak jaskinia wnętrze domu. Carly przekręciła wreszcie klucz i otworzyła drzwi. Powitał ją zapach wnętrza. Choćciaż w domu zamkniętym przez wiele tygodni panował zaduch, pachniało tak jak zawsze: był to zapach starości z lekką wonią cytrynowej pasty do mebli i ledwie wyczuwalnym dodatkiem stęchliżny. Już w środku zmarszczyła brwi, bo czegoś jej brakowało. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, czego: babka trzymała w każdym pokoju saszetki z suszoną lawendą. Teraz nie czuła tego zapachu.

Ogarnęła ją fala nostalgii : bardzo jej brakowało domu. Tęskniła za babką• Tęskniła do czasów, kiedy była dzieckiem i mieszkała tutaj.

- Więc gdzie jest łazienka?

Sandra dosłownie dyszała jej w kark. Hugo przemknął im pomiędzy nogami i machając ogonem, zniknął w ciemności. Deszcz zamienił się w ulewę i płynął srebrnymi strugami. W głębi domu Carly słyszała delikatne chlup, chlup. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają: w starym, blaszanym dachu pojawiła się pewnie kolejna dziura.

Precz z nostalgią, pomyślała Carly. Skrzywiła się - obecna sytuacja niemal przerosła jej możliwości.

Aby się upewnić, że Matt powiedział prawdę, przekręciła kontakt przy drzwiach. Światła nie było.

- Tędy - powiedziała do Sandry, idąc w głąb ciemnego holu za-skoczona, że jej głos brzmiał niewiele głośniejszy od szeptu.

Niezwykły spokój panujący w domu domagał się ciszy. Jakby ktoś tu spał i nie chciał, aby mu przeszkadzano - co oczywiście zabrzmiało absurdalnie i było efektem wyobraźni pobudzonej zbyt dużą liczbą książek Stephena Kinga. Walcząc z tym wrażeniem, szła dalej za-dowolona, że na wszelki wypadek zostawiła drzwi frontowe otwarte. Oczywiście zrobiła tak tylko dlatego, aby wpuścić do środka odrobinę światła, a nie żeby pozostawić sobie ewentualną drogę ucieczki. Co prawda światło było szare i nikłe, ale to zawsze lepsze niż absolutna ciemność.

Delikatny odgłos deszczu był kojący, wcale nie złowieszczy, podobnie jak nagły powiew chłodnego wiatru, który wpadł przez drzwi, wydawał się raczej odświeżający niż upiorny.

Tak było ..

- Łazienka jest za tymi drzwiami - powiedziała, siląc się na naturalne brzmienie głosu, i wskazała ręką kierunek.

Na szczęście dla zdrowia Sandry i dobrego funkcjonowania jej nerwów drzwi do łazienki wyraźnie rysowały się w klinie szarej poświaty padającej przez frontowe wejście, Carly była bowiem pewna, że przyjaciółka, która postępowała ostrożnie krok w krok za nią, odmówiłaby pójścia dalej. Dosłownie tuż za łazienką było ciemno jak w kałamarnicy.

- Psst! Musisz mówić tak głośno?

Atmosfera domu najwyraźniej podziałała także na Sandrę. Nic dziwnego, już wcześniej przyznała się, że ma pietra - kiedy stały jeszcze na zewnątrz, na trawniku przed domem. Prawdę mówiąc, Carly czuła, że niewiele brakuje, aby sama też okazała się tchórzem, ale jako nieustraszonej inicjatorce ich ekspedycji nie wolno jej było trząść się ze strachu. Nie mogła też dopuścić do tego, aby bać się własnego domu.

Jej ciemnego, nawiedzonego domu.

Głośne stuknięcie tuż obok sprawiło, że o mało nie wyskoczyła z własnych butów.

- Auu! Cholera. Jak mam sikać w ciemnościach? Nie mogę nawet znaleźć kibla.

Kiedy Carly posuwała się dalej korytarzem, Sandra weszła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi. To ten odgłos właśnie usłyszała. Odetchnęła z ulgą, wzięła się w garść i wyprostowała plecy. Zostawiając przyjaciółkę z jej sprawami, ominęła szerokie schody i ostrożnie skierowała się w stronę jadalni. Znajdowała się tuż za kuchnią, na tyłach domu, za kilkoma parami rozsuwanych drzwi,

które wychodziły na korytarz. Idąc na wycieczkę w kompletnej czerni, zauważyła, że drzwi do jadalni są otwarte. Wszędzie w domu panowały takie ciemności, że dosłownie nie widziała własnej dłoni podniesionej do twarzy. Babka zawsze wieszała we wszystkich oknach ciężkie, aksamitne zasłony. Były dokładnie zaciągnięte, bez szansy, aby choć promień srebrzystej szarości nocy oświetlił drogę.

Posuwając się bardzo wolno po przekątnej dużej jadalni i kierując się w stronę chińskiej komody, która zawsze stała na wprost przeciwległej ściany, Carly uznała, że to chyba przez te egipskie ciemności jej wyobraźnia zaczęła zbyt intensywnie pracować. Wydawało jej się bowiem, że ktoś ją obserwuje. Czuła też słaby, trudny do zlokalizowania, ale odpychający zapach. Po chwili usłyszała nagły szelest, który zabrzmiał nienaturalnie głośno, jakby poruszyła się jakaś niewidzialna osoba lub istota i natychmiast znieruchomiała.

Carly zamarła, patrząc bezradnie w stronę, skąd dobiegał szelest.

Tym razem to nie była kwestia pobudzonej wyobraźni. Z całą pewnością słyszała, że coś się poruszyło. Przez chwilę stała nieruchomo, a serce zaczęło jej bić z niezwykłą szybkością.

Nie była tu sama. Co do tego nie miała wątpliwości. Ktoś lub coś jest tu razem z nią w jadalni.

Zanim strach całkowicie nad nią zapanował, usłyszała wyraźne miauknięcie od strony posesji należącej do rodziny Myersów. Poczuliła zawstydzającą poniekąd ulgę i natychmiast zdała sobie sprawę, kto z nią jest w jadalni: oczywiście Hugo. To jego oczy śledziły ją w ciemnościach. Jego wilgotne futro wydzielalo tę dość znajomą woń, która najwyraźniej skojarzyła jej się z czymś nieprzyjemnym. A jeśli chodziło o szelest - kot pewnie otarł się o coś lub nawet się potknął.

- Hugo, śmiertelnie mnie przestraszyłeś - powiedziała. Oczywiście nie odpowiedział - właśnie tego się po nim spodziewała - ale odetchnęła z ulgą, ponieważ wyjaśniła się zagadka czyjejś obecności w pokoju. Poczuliła się znacznie lepiej, wiedząc, że to tylko jej własny kot. Wzięła głęboki, spokojny oddech i ruszyła dalej. Kolejny krok, jeszcze jeden, skręt w lewo - chińska komoda powinna być tuż obok. Szuflada, której szukała, znajdowała się z prawej strony, poniżej przeszklonych półek. Już za chwilę będzie mieć w ręku świece, zapaliki i zapali światło.

Błogosławione światło.

"Zeby cię lepiej widzieć, kochanie", mówiła w myślach do Hugo'na, naśladując wilka, który połknął babcię, i natychmiast uśmiechnęła się do swoich dzieciennych myśli.

Z uśmiechem na twarzy zrobiła jeszcze jeden mały krok do przodu, wyciągnęła rękę, aby się upewnić, że nie uderzy nosem w komodę, ale zamiast gładkiego drewna, którego się spodziewała, poczuła pod ręką coś miękkiego. Tkaninę, pokrywającą coś ciepłego i mocnego.

Coś ciepłego i prężnego, co uniosło się odrobinę pod jej dotknięciem.

Ludzka pierś. Żyjąca, oddychająca ludzka pierś.

Czas nagle się zatrzymał.

W momencie, gdy dotarło do niej, czego dotknęła, wokół jej nadgarstka zacisnęła się czyjaś dłoń, duża, ciepła i silna.

Carly wrzasnęła.!

Przeraźliwy krzyk wciąż jeszcze wydobywał się z gardła Carly, gdy udało jej się wyszarpnąć rękę.

Odwróciła się, gotowa uciekać jak królik przed psami. Gwałtowne uderzenie między łopatki rzuciło ją jednak na stół. Ostry kant blatu boleśnie wbił się jej w biodro. Kiedy zgięta wpół

złapała się za obolałe miejsce, z trudem łapiąc oddech, napastnik rzucił się do ucieczki. Z całą pewnością słyszała z tyłu ruch kogoś startującego do biegu. Obok niej przemknęła jakaś potężna postać, a potem intruz - była pewna, że to mężczyzna, z uwagi na wielkość dłoni, która schwyciła ją za nadgarstek - zniknął. Słyszała tylko dudniące kroki, gdy oddalał się w stronę kuchni.

Po pierwszym krzyku nastąpił drugi. Carly nawet nie zdawała sobie sprawy, że teraz to ona hałasuje w jadalni. Odepchnęła się od stołu i pobiegła w przeciwną stronę. Jej serce biło jak szalone, na plecach czuła zimne dreszcze przerażenia. Krzycząc, jednym skokiem znalazła się na korytarzu. Sandra, która jeszcze siedziała w łazience, zaczęła coś do niej wołać. Carly nie odpowiedziała, tylko z prędkością torpedy skierowała się do otwartych drzwi frontowych - i tam zderzyła się z kolejnym ciepłym, sprężystym obiektem, który złapał ją mocno za ramię w chwili, gdy od niego odskoczyła.

Jej wrzask mógłby ogłuszyć kogoś na drugim krańcu miasta. Paniczny strach sprawił, że walczyła jak lwica, aby się uwolnić.

- Carly! Jezu, Carly, to ja!

Głos Matta. Ręce Matta. Carly przestała się szarpać i spróbowała złapać oddech. Kolana miała jak z waty i cała się trzęsła, łapczywie chwytając powietrze. Matt trzymał ją mocno, jego palce zaciskały się na jej ramionach. Było tak ciemno, że w ogóle go nie widziała, tak ciemno, że nie widziała nic poza szarym trójkątem wiodącym do otwartych drzwi, które wydawały jej się bramą do ziemi obiecanej, ale mimo wszystko jego głos poznałaby wszędzie. Pozostał mocno wryty w jej pamięć, co uświadomiła sobie z pewnym smutkiem. Czy to możliwe, aby jakimś cudem to Matt ukrył się w jadalni? Nie. Podobnie jak teraz była absolutnie pewna, że to Matt ją trzymał, tak samo nie miała wątpliwości, że to nie on wcześniej złapał ją za rękę.

- Nic ci nie jest? Do cholery, co się stało?

- Matt. Och, Boże, Matt!

Drżała i słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. Matt mruknął coś i przyciągnął ją do siebie, otoczył ramionami i przytulił. Carly przylgnęła do niego, wdzięczna za ochronę. Matt. Dzięki Bogu za Matta! Pod wieloma względami był parszywym skurczybykiem, ale z pewnością nie wyrządziłby jej krzywdy. Co więcej, było dla niej jasne jak słońce, że zrobiłby wszystko, aby zapewnić jej bezpieczeństwo.

- Co się stało? - domagał się wyjaśnień. Carly wzięła głęboki oddech.

- To musiał być ten włóczęga. Był tutaj, w moim domu, w jadalni. Złapał mnie. - Wzdrygnęła się na samo wspomnienie. - Uciekł przez kuchnię.

- Zostań tutaj. - Jego głos zabrzmiał stanowczo. Matt schwycił ją za nadgarstki, z dziecinną łatwością uwolnił się od gwałtownego, rozpaczliwego uścisku i szybko się oddalił, zanim zdołała go zatrzymać. Perspektywa zostania samej w ciemnościach śmiertelnie ją przerażała.

- Matt ...

W każdym innym okolicznościach ton jej głosu, w którym brzmiała żałosna prośba, sprawiłby Carly w zakłopotanie.

- Nie ruszaj się.

Był już poza jej zasięgiem. Nie mogła go zatrzymać. Zapalił la-tarkę i w jej świetle ruszył

energicznym krokiem do jadalni. Carly śledziła jego kroki z zapartym tchem, dopóki strumień światła nie zniknął za rozsuwanymi drzwiami.

Znowu została sama w ciemnym, przerażającym korytarzu. Wsłuchnęła i czujnie rozejrzała się dookoła.

- Carly! Carly, co się dzieje? Co z tobą? - Sandra nadal była w łazience, gdzie miotała się jak mysz w pułapce. - Cholera! Nic nie wi-dzę! Nie mogę znaleźć klamki! Carly, słyszysz mnie?

Jesteś tam? Carly?

Carly usłyszała krzyk mężczyzny. W tym samym momencie na tyłach domu rozległ się hałas, jakby jakiś duży i kruchy przedmiot spadł i rozbił się na podłodze. Podskoczyła jak sprężyna, a potem, chociaż i tak nie zdołała dojrzeć niczego w ciemności, utkwiała wzrok tam, gdzie znajdowała się kuchnia i skąd dochodził hałas. Nic nie widziała, równie dobrze mogła mieć przepaskę na oczach.

Matt. Czy coś stało się Mattowi? Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Za wszelką cenę chciała coś zobaczyć lub usłyszeć. Na próżno.

- Matt? - Zawołała go drżącym głosem.

Zadnej odpowiedzi. Złała się zimnym potem. Czy coś mu się stało? Jak się tego dowiedzieć? Na parterze była płatanina kory-tarzy i pomieszczeń, a Matt mógł być wszędzie. Podobnie jak ów włóczęga. Może pozbył się już Matta i w tym momencie skradał się do niej ...

Ta myśl zelektryzowała Carly. Zebrała wszystkie siły i rzuciła się w stronę drzwi wejściowych.

- Car-lee-ee!

Tuż obok rozległ się żałosny pisk i zatrzymała się w miejscu.

- Sandra!

Carly uznała, że nie powinna zostawiać przyjaciółki na łaskę jakiegoś potwora, którego mogłyby zwabić jej krzyki. Złana potem i drżąca ze strachu skręciła nieco w prawo i otworzyła drzwi do łazienki.

- Wychodź, wychodź, ktoś jest w domu!

Sandra wyskoczyła na korytarz, trzymając w ręku patelnię.

- Ktoś jest w domu? Co to znaczy, że ktoś jest w domu? - Machając patelnią, rozglądała się dookoła dzikim wzrokiem.

- Chodź!

Wyjaśnienia mogły poczekać. Ruszyła do wyjścia razem z Sandrą, która nie bardzo wiedziała, co się dzieje, ale posłusznie podążyła za przyjaciółką. Carly pchnęła drzwi z siatką i wybiegła w bezpieczniejszą szarość nocy. Przez werandę, po schodach, przez podwórko, do furgonetki, zamknąć drzwi - bingo, to niezły plan. Ale zanim Carly zdążyła wykonać pierwszy ruch, usłyszała za plecami rozpaczliwy krzyk Sandry. Odwróciła się błyskawicznie i przez drzwi z siatką zobaczyła, że przyjaciółka przewróciła się na korytarzu z hukiem, który niemal wstrząsnął

domem.

- Sandra!

Mój Boże, czyżby została zaatakowana, postrzelona ... ? Carly czuła, że krew pulsuje jej coraz szybciej. Z impetem otworzyła drzwi gotowa przyjść z pomocą przyjaciółce, która przypuszczalnie wpadła w łapy grasującego w ciemnościach potwora.

- Cholerny kot - wymamrotała Sandra, przewracając się na plecy.

Jakby w odpowiedzi Hugo, rozmazana biała plama, dał susa przez otwarte drzwi i mijając nogi Carly, wypadł na werandę, odbił się od poręczy i zniknął w strugach deszczu.

- Hugo!

Bezskutecznie go nawołując i jednocześnie przenosząc wzrok z miejsca, gdzie uciekinier zniknął

w mrokach nocy, na miejsce, gdzie upadła przyjaciółka, Carly wyciągnęła oczywisty wniosek: Sandra potknęła się o kota.

Nagle zapaliło się światło. Tak po prostu. Przed sekundą jeszcze Carly patrzyła na Sandrę, która szamotała się na podłodze w abstrakcyjnych niemal ciemnościach, a teraz mogła zobaczyć w miękkim świetle, padającym z żyrandola w korytarzu.

Naiwnie wierząc, że wszystkie złe siły boją się jasności, Carly odważnie weszła do domu.

Szybko rozejrzała się dookoła i ukucnęła przy Sandrze, która z niezwykłą uwagą, złożywszy ręce na brzuchu, wpatrywała się w sufit, co nadało jej ponury wygląd zwłok. Porzucona patelnia leżała obok przewrócona do góry dnem, a miedziane dno lśniło w tak długo oczekiwanym świetle.

- Sandra ...

Carly szturchnęła ją lekko w ramię, zaniepokojona dziwnie nieruchomym spojrzeniem przyjaciółki.

Sandra zwróciła na nią oczy.

- Przypomniałam sobie, dlaczego nie cierpię kotów. Te wredne zwierzaki zawsze włożą ludziom pod nogi. Jesteś pewna, że nie chcesz go oddać pod opiekę Johnowi?

Carly zmarszczyła brwi. - Nie.

Sandra westchnęła.

- Uparłaś się, żeby z nim tu zamieszkać, prawda? Tego się obawiałam.

W tym momencie na końcu korytarza pojawił się Matt, z marsową miną trzymając w jednej ręce pistolet, a w drugiej latarkę. Spojrzał na nie pytająco.

- Co się dzieje?

Podszedł do nich wyraźnie zdenerwowany. Od góry był cały mokry: ciemne włosy lepiły mu się do głowy, twarz lśniła od deszczu, a t-shirt oblepiał tors w taki sposób, że Cady nie mogła nie zauważyć, jak muskularny i szeroki w barach był teraz Matt.

Zmienił się także pod innymi względami. Jego szczupła, smagła twarz, która zawsze wywoływała szybsze bicie serca u płci przeciwnej, nadal była bardzo przystojna, ale także jak gdyby poważniejsza. Oczy pozostały wciąż te same - w kolorze kawy, o nieco ciężkich powiekach, osadzone pod grubymi, prostymi, czarnymi brwiami - ciałociaż drobne zmarszczki rozchodziły się już promieniście z kącików. Nos nadal był taki sam - prosty i wysoko sklepiony - usta też nic się nie zmieniły, może poza blizną, której wcześniej nie miał, a która białą kreską przecinała górną wargę. Cady z pewnym zdziwieniem zdała sobie sprawę, że Matt jest już dojrzałym mężczyzną, ma trzydzieści trzy lata i wygląda na tyle. Odkąd rozpoznała go w ciemnościach, wciąż widziała w pamięci tamtego dużo młodszego Matta, jej Matta, Matta, z którym dorastała: wyidealizowanego przyjaciela i mistrza, kogoś, kto zastępował jej starszego brata, kogoś, o kim marzyła w snach i kto okazał się nieosiągalny, swoją pierwszą miłość i kochanka - a tak naprawdę parszywego skurczybyka.

Tamten Matt nadal istniał - co do tego nie miała wątpliwości -

ale niczym perła pokrył się kolejnymi warstwami. Zewnętrzna - dorosły Matt, szeryf z pistoletem

- była dla niej całkowicie nowa.

Krwawił. Oczy Carly zatrzymały się na głębokim rozcięciu u nasady włosów. Miało około trzech centymetrów długości i krwawiło, a krew zmieszana z deszczem spływała czerwonymi strużkami po skroni aż do zarostu, który okalał usta Matta.

_ Jesteś ranna? - zapytał Sandrę. Podszedł do niej i przyjrzał się troskliwie.

_ Jeśli nawet nie jestem, to powinnam być - jęknęła, krzywiąc się, ale nie próbowała wstać. -

Przewróciłam się przez tego cholernego kota Cady. Mogę jeszcze chwilę poleżeć?

- Co ci się stało? - zapytała Carly Matta.

- To samo.

Spojrzał na nią, a jego usta zacisnęły się ze złością. Wsunął pistolet za pasek z tyłu spodni i podniósł rękę do rany na czole. Cofnął dłoń i popatrzył z niesmakiem na krew.

_ Tak przynajmniej mi się wydaje. Potknąłem się o coś, ale było tak ciemno, że nie widziałem, o co. To mógł być kot. Twój kot. Założę się, że to on. Pamiętasz narożną szafkę w kuchni? Kiedy się potknąłem, zawadziłem o nią ramieniem i ta cholerna doniczka, która stała na górze, spadła mi na głowę•

- Och!

Carly spojrzała na niego nieco rozczarowana, bo spodziewała się, że usłyszy przynajmniej o walce na śmierć i życie z włóczęgą. Po chwili dotarła do niej groteskowość tej sytuacji, zamrugła oczami i uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Mój bohater.

- Jak zwykle. - Spojrzał na nią drwiąco. Carly zmarszczyła brwi.

- A tak w ogóle, co ty tu robisz? Myślałam, że poszedłeś.

- Naprawdę sądziłaś, że zostawię was tu same? Wchodziłem na werandę, gdy usłyszałem twój krzyk. - Położył latarkę na szafce przy drzwiach, która zasłaniała kaloryfer. - To dobrze, że nie odjechałem.

Mówiąc to, uniósł dół mokrego t-shirtu i wytarł zakrwawioną twarz. Carly dosłownie zaniemówiła na widok jego muskularnej, owłosionej i bardzo męskiej klatki piersiowej. Zzymając się w duchu na tę czysto instynktowną i całkowicie kobiecą reakcję, ku swojemu niezadowoleniu zdała sobie sprawę, że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Mimo całego cynizmu, z jakim oceniała mężczyzn, nadal miała słabość do przystojniaków.

Całe szczęście, że już wiedziała, jakim łotrem był ten Superman. Przeniosła wzrok na otwarte drzwi do jadalni.

- A więc, ktokolwiek to był, zdążył uciec?

Rozejrzała się dookoła i nagle zadrżała. Przypomniał jej się horror, jaki przeżyła, gdy ten typ zaatakował ją w ciemnościach, ale światło, a także, co musiała przyznać z niechęcią, krzepiąca na duchu obecność Matta - szeryfa Benton - wpłynęły na nią uspokajająco.

- Uciekł kuchennym wyjściem w chwili, gdy potknąłem się o kota - wyjaśnił Matt.

Carly zauważyła, że zranione miejsce nadal krwawi. Nierozcieńczona kroplami deszczu krew była teraz jaskrawoczerwona i wąską stróżką płynęła w dół do brody Matta.

- Byłem dosłownie kilka kroków za nim. Potem niespodziewanie dostałem doniczką po głowie, co na chwilę mnie zamroczyło. Kiedy się otrząsałem, wybiegłem na podwórze, ale miał już nade mną przewagę. Przeskoczył przez płot i uciekł na pole kukurydzy, tam straciłem go z oczu. -

Spojrzał na Sandrę, która powolutku i ostrożnie usiłowała usiąść. - U szkodziłaś sobie coś?

- Nic poza butem - powiedziała, patrząc smętnie na oderwany kawałek skózanego paska, zwisający z lewego sandała. - To już trzecia zniszczona para tego lata. Czy wiecie, jak trudno znaleźć szerokie pantofle? - Westchnęła z niezadowoleniem i posłała Carly ponure spojrzenie. -

Mówiłam ci przecież: poczekajmy do sierpnia. W moim horoskopie było napisane, że każde nowe przedsięwzięcie, na jakie zdecyduję się na początku lata, okaże się bardziej kosztowne, niż myślałam.

_ Sandra jest spod znaku Ryb - wyjaśniła Carly z zaledwie cieniem poprzedniego rozbawienia.

Matt zachnął się, słysząc o bezgranicznej wierze w to, co mówiły gwiazdy. Nigdy nie miał

zaufania do takich, jak to nazywał, psychicznych historii, zapewne dlatego, że jego matka, która wierzyła w nie tak bardzo, że trzymała przy łóżku talię kart do tarota i co rano z nich sobie wróżyła, ciągle widziała przed ich rodziną świetlaną przyszłość, chociaż owe czasy do tej pory nie nadeszły. Podał Sandrze rękę i posłał Carly drwiące spojrzenie.

Carly się uśmiechnęła.

_ Gwiazdy wiedzą, co będzie - powiedziała Sandra, chwytając za rączkę od patelni, zanim podała dłoń Mattowi, który z zadziwiającą łatwością pomógł jej się podnieść. Kiedy już wstała, puściła jego rękę i przyjrzała mu się uważnie.

- Ty krwawisz. - Zmarszczyła brwi.

_ Może trzeba to zszyć - dodała Carly, także przyglądając się jego ranie.

Powtarzała sobie w duchu, że zwykła ludzka przyzwoitość każe jej się zainteresować raną Matta i nie ma to nic wspólnego z faktem, że krwawiącym w jej holu mężczyzną jest właśnie on.

- Aż tak źle?

Odwrócił się do lustra w złotej ramie, które wisiało nad szafką z kaloryferem, i skrzywił się nieco na widok tego, co zobaczył. Następnie ściągnął przez głowę wilgotny t-shirt, złożył go w kostkę i przycisnął do zranionego miejsca.

_ Nie. Rany na głowie zawsze mocno krwawią. Za kilka minut przestanie.

Carly zupełnie niespodziewanie dla siebie utkwiała wzrok w jego masywnych, muskularnych plecach. Szerokie i umięśnione w ramionach, zwężały się w klasyczny sposób aż do wąskiego wcięcia w pasie, a następnie przechodziły w zauważone już przez nią wcześniej kształtne pośladki. Gumka przy slipach - najwyraźniej nadal wolał je od bokserów - tworzyła wąski, biały pasek tuż nad biodrami. Czarny pistolet, który Matt wsunął za pasek spodni, był częściowo tylko widoczny nad spranych, wilgotnych i opiętych dżinsów ..

Hmm, pomyślała Carly, będąc pod wrażeniem tego frapującego widoku. Chwilę potem skarciła się za wymykające się spod kontroli myśli: Nie, poczekaj, żadne takie. Zdecydowanie nie. W

żadnym wypadku. Nie. Och-och.

Znowu poczuła ten sam ucisk w żołądku, typową dla kobiet reakcję na widok atrakcyjnego mężczyzny.

- Czy masz ...

Gdy odwrócił się od lustra, Carly nie mogła się opanować i tym razem utkwiała spojrzenie w jego torsie. Matt był szeroki w barach, a pod skórą wyraźnie napinały się mięśnie. Na klatce piersiowej rysował się czarny klin włosów, które kiedyś, jak dobrze pamiętała, były szorstkie i chłodne, gdy pieściła je dłońmi. Brodawki były brązowe i płaskie; kiedyś pod dotknięciem jej palców stały się twarde i sterczące. Jego ramiona drżały, gdy wówczas ją obejmował. Domyślała się, że teraz musiały być mocne jak stal. Zawsze był silny, a po latach jego barki jeszcze bardziej się rozrosły, a pierś była szersza niż kiedyś. Jak już wcześniej spostrzegła, pięknie zarysowane mięśnie wyglądały bardzo podniecająco. A jeśli chodzi o ...

Nie. Chwileczkę. Stop. Nie spojrz, nie będzie patrzeć poniżej pasa.

- ... opatrunek? - dokończył.

Jej nienasycone spojrzenie napotkało jego oczy i Carly zauważyła, że Matt przygląda się z uniesionymi brwiami.

Dzięki Bogu, że nie spojrzała tam, gdzie prowadził ją instynkt.

- Jasne - odpowiedziała, czerwieniejąc nagle. - Mam nadzieję. Poczula się tak, jakby za chwilę miała zacząć się jąkać niczym zakochana uczennica, którą kiedyś była, wzięła więc głęboki oddech, aby się opanować.

- Skąd mam zresztą to wiedzieć? Nie było mnie w tym domu przez dwanaście lat, pamiętasz?

- Pamiętam. - Jego głos zabrzmiał sucho. Ruszył korytarzem, przyciskając do czoła złożony t-shirt, a kiedy ją minął, odprowadziła go dalej spojrzeniem. - Zaryzykuję i sprawdzę, ale wydaje mi się, że te-go typu rzeczy nadal są w łazience. Panna Virgie nic tu nie zmieniła.

Carly patrzyła w milczeniu, dopóki nie zniknął w łazience. Kiedy czar prysnął, odwróciła głowę i napotkała wzrok Sandry. Ich oczy się spotkały i obie kobiety w milczeniu wymieniły pełne uznania opinie na temat tego mężczyzny.

Po chwili Matt wyłonił się z łazienki, mając na czole szeroki plaśter z opatrunkiem. Zatrzymał się w progu, oparł się łokciem o framugę drzwi i spojrzał na Carly.

_ No dobrze, Curls, może przejdziesz się teraz ze mną po domu i sprawdzisz, czy coś nie zginęło?

Nadal był bez t-shirtu i jego widok działał na nią bardzo podniecająco. Nie warto się tym jednak zbyt niepokoić, uspokajała się w duchu. Tak czy inaczej ten parszywy skurczybyk był

najbardziej pociągającym facetem, jakiego ostatnio spotkała na swojej drodze, a poza tym w związku z rozwodem i wszystkimi kłopotami, jakie na nią spadły, nie kochała się już z żadnym mężczyzną - Boże, czy to możliwe? - przez dwa lata.

Właściwie znowu stała się dziewczyną.

_ Przestań nazywać mnie Curls - powiedziała przez zęby, gdy dotarła do niej groza tego, o czym pomyślała. - To głupie przydomko, nie lubię go, a poza tym już do mnie nie pasuje.

- Czyżby?

Jego usta ułożyły się w drwiący uśmiech. Bez słowa wziął ją za ramię i poprowadził do łazienki. Położył dłonie na ramionach Carly i ustawił ją przed umywalką.

Jego tors niemal dotykał jej pleców; chociaż nie czuła jego ciepła - zadziałała tu jedynie wyobraźnia - bo sama świadomość, że to umięśnione ciało jest tak blisko, sprawiła, że przeszły ją ciarki z podniecenia.

Stała przed lustrem. Musiała się w nim przejrzeć, co zresztą pomogło jej odsunąć myśli o bliskości Matta. Niemniej przez moment widziała wyłącznie odbicie jego szerokich, opalonych ramion górujących nad jej ramionami. Dopiero wtedy zauważyła, że kruczoczarne włosy Matta są teraz dużo krótsze od fryzury, jaką nosił, mając dwadzieścia jeden lat, brodę ocieniał mu jednodniowy zarost i że jest bardzo wysoki. Dużo wyższy od niej, to się akurat nie zmieniło. W

plaskich tenisówkach brakowało jej z dziesięć centymetrów, aby dotknąć czubkiem głowy jego podbródka.

Nagle uderzyło ją coś w jej własnym odbiciu i błyskawicznie skupiła się na sobie.

Nie było ani śladu po pracowicie rozprostowanych włosach. Zamiast fryzury, z którą wyjechała z Chicago, miała na głowie burzę

blond loków. Ich oczy spotkały się w lustrze.

_ Im bardziej się zmieniamy ... - powiedział cicho Matt.

Posłał jej jeden z tych swoich paskudnie sarkastycznych uśmiezków, które dawno temu absolutnie wystarczały, by wyprowadzić ją z równowagi.

Nawet teraz, jako dojrzała trzydziestka, Carly z trudem powstrzymała się od instynktownego, dzieciennego pragnienia, żeby dać Mattowi kuksańca w bok. Ale wyswobodziła się tylko z jego uścisku i wycofała na korytarz.

- Och! - zawołała najej widok Sandra. - Nie wiedziałam, że twoje włosy potrafią zrobić coś takiego!

Carly posłała jej tak ostre spojrzenie, że mogłoby posłużyć na groty do strzałek.

- No więc jak, idziesz ze mną czy nie? - zapytał chłodno Matt, przystając koło niej.

Przez chwilę Carly tylko gapiła się na niego. Potem, skuliwszy ramiona, ruszyła jednak za Mattem jak na ścięcie.

- Skąd mam wiedzieć, czy coś zginęło? - Skierowali się do frontowego salonu. - O ile oczywiście nie zabrał kanapy czy czegoś takiego. Meble należały do babci, ale panna Virgie miała tu swój telewizor i inne rzeczy. Włamywacze zazwyczaj kradną tego typu przedmioty.

Na wspomnienie tego, co się zdarzyło w jadalni, poczuła dreszcz. Tamten mężczyzna schował

się w ciemnościach i czekał na nią w ciszy. Co by się mogło stać, gdyby weszła do domu babki sama?

Na myśl o tym ogarnęło ją przerażenie.

- Jestem pewien, że zabrała wszystkie swoje rzeczy przy wyprawie - powiedział Matt. - Tak czy inaczej Loren (Loren Schuler, siostrzenica panny Virgie i jej najbliższa krewna, była koleżanką z klasy Carly, a teraz pracowała w banku, co Carly odkryła, gdy jeszcze przed przyjazdem przenosiła swoje niewielkie konto do Benton) przez dwa tygodnie pomagała jej pakować rzeczy. Tego, czego panna Virgie już nie potrzebowała, pozbyły się na wyprzedaży podwórkowej.

-Ale ...

Matt stanął przed drzwiami, odwrócił się i spojrzał na nią. Carly starała się nie spuszczać oczu z jego twarzy. Nie byłoby dobrze, gdyby przeniosła wzrok na jego seksownie umięśnione ciało.

- Postaraj się to zrobić, najlepiej jak potrafisz, dobrze? Zwróć uwagę na srebrne świeczniki babci i takie rzeczy. ,

- Jasne.

Jej głos zabrzmiał już nieco bardziej przyjaźnie, gdyż powoli dochodziła do siebie po haniebnej przemianie fryzury. Włosy to przecież nie życie, pocieszała się w myślach Carly. Fakt, że niemal od chwili gdy przyjechała do Benton, powróciły do stanu z jej zniechęconego dzieciństwa, nie znaczył wcale, że cała reszta też powinna się ułożyć w ten sposób. Do cholery, była już dorosła.

Sama o sobie decydowała. Stała się kowalem własnego losu. Dawno za sobą miała nieporadny czas dojrzewania, podobnie jak skończyło się jej ślepe uwielbienie dla mężczyzny, na którego teraz

patrzyła z taką niechęcią. Tamto należało już do historii. Znikło. Rozpłynęło się i tyle. On też powinien to zrozumieć. Ale nawet jeśli Matt zauważył jej wymowne miny i ton głosu, kompletnie to wszystko zignorował, ujął ją pod łokieć, jak to czynił niegdyś, gdy byli jeszcze w zażyłych stosunkach, i poprowadził ją w kierunku, w którym chciał, aby poszła.

- Hej, poczekajcie na mnie! - zawołała zaniepokojona Sandra, która znowu złapała patelnię i usiłowała wstać.

Ponieważ Carly zdecydowanie nie była już z Mattem w zażyłych stosunkach, natychmiast wyszarpnęła rękę. Cofnął się z ironicznym uśmiechem, a ona przeszła przez rozsuwane drzwi i zapaliła w salonie górne światło, które padało z żyrandola podobnego do tego w korytarzu, ale nieco mniejszego. Kiedy w pokoju zrobiło się jasno, rozejrzała się dookoła. Frontowy salon był

jednym z sześciu dużych, przeważnie prostokątnych pokoi na parterze. Dominowała w nim bogato rzeźbiona wiktoriańska sofa pokryta purpurową tapicerką, niewątpliwą ozdobę zaś stanowiły wspaniałe witraże w okiennych szczytach, obecnie, niestety, zasłonięte grubymi kotarami, a także ozdobny gzyms nad olbrzymim kominkiem w stylu włoskim. Na resztę umeblowania składały się fotel bujany, wyściełany fotel z wysokim oparciem, oba w tym samym stylu co sofa, stoliki z marmurowymi blatami, lampy ozdobione abażurami z frędzlami, wypłóviały orientalny dywan oraz mnóstwo dekoracyjnych drobiazgów.

- Ładnie tu - pochwaliła Sandra, stając w drzwiach.

Rozglądała się po pokoju taksującym wzrokiem, oceniając go pod kątem przyszłego pensjonatu.

Carly miała w tym momencie tylko jedną refleksję, dość niewiarygodną, która brzmiała: Jestem w domu. Nagle oszołomiły ją widoki, dźwięki i zapachy z dzieciństwa.

Piękno wypłóviałego aksamitu, grzechot przesuwanych drzwi, woń mięty. W domu babki zawsze stał kryształowy talerz z miętówkami.

Rzut oka upewnił ją, że talerz stał tam, gdzie zawsze, na stoliku obok sofy, leżały na nim także miętówki w lśniących, celofanowych papierkach. Oczywiście, były to już inne miętówki.

Znajdowały się jednak w tym samym miejscu co dawniej. Tutaj w Benton, w tym domu, wszystko było tak jak dawniej.

Jej uwagę zwrócił portret pradziadka ze srogą miną, który, odkąd pamiętała, zawsze wisiał nad kominkiem. Patrząc na niego, znowu poczuła się ośmioletnią dziewczynką.

Tyle miała lat, gdy po raz pierwszy weszła do pokoju i zobaczyła ten obraz. Babka, surowa kobieta ubrana na czarno, zabrała ją tamtego dnia z domu dziecka. Drobną i przerażoną, onieśmieloną tym wielkim, cichym domem i przepychem, wśród którego nagle się znalazła, Carly stała pośrodku pokoju, słuchając wykładu babki na temat, czego od niej w przyszłości oczekuje i jak powinna się zachowywać, aby spełnić te oczekiwania. Dowiedziała się też, że miała dużo szczęścia, i nie wątpiła, że to prawda.

Biedne, niechciane dziecko, szczęśliwe, że ktoś je przyjął pod swój dach.

- No więc?

Głos Matta, prawdziwe błogosławieństwo w tych okolicznościach, przerwał ciąg wspomnień i przywołał ją na powrót do teraźniejszości.

Carly wzięła głęboki oddech i spojrzała na niego. Obszedł już cały pokój. Stał teraz obok sofy i zdejmował papierek z miętówki. Carly niemal się uśmiechnęła. Matt zawsze uwielbiał te miętówki.

- Z tego, co widzę, niczego nie brakuje - powiedziała. - Wszystko wygląda dokładnie tak, jak pamiętam.

Jeśli jej głos wydawał się nieco przytłumiony, to dlatego, że tak właśnie zaczynała się czuć. Ze wszystkich stron osaczała ją dzieciństwo. Może, pomyślała, czując ucisk w żołądku, przyjazd tu nie był takim dobrym pomysłem. Może należało całkowicie odciąć się od przeszłości i rozpocząć nowe życie zupełnie gdzieś indziej.

Zdrada Johna, który zostawił ją dla dwudziestodwuletniej studentki prawa, zmiażdżyła psychikę Carly jak czołg. Jeszcze gorsze rzeczy czekały ją w trakcie rozprawy rozwodowej, w czasie której dowiedziała się, że mąż systematycznie przepisywał od pewnego czasu cały ich dorobek -

apartament, samochody, konta w banku i poczynione inwestycje, właściwie wszystko poza najbardziej osobistymi rzeczami Carly - na swoją firmę, co w efekcie pozbawiło ją możliwości ubiegania się o podział majątku.

Zraniona, bezbronna, na skraju załamania nerwowego i świadoma, że całe jej dotychczasowe życie legło w gruzach, zrobiła to, co robiło przed nią wiele potraktowanych w ten sposób kobiet: wróciła do domu.

Babka, którą mimo jej surowości Carly szczerze pokochała, już nie żyła. Ale olbrzymi, staroświecki dom, w tym plotkarskim miasteczku, gdzie wszyscy ją znali i ona wszystkich znała, a także najrozmaitsze wątki życia, które splecione razem uczyniły z Carly taką właśnie kobietę, jaka była teraz, to wszystko nadal tu pozostało. Życie mogło rzucić ją na kolana, ale czuła, że podniesie się z tego, jeśli tylko tutaj zamieszka. Była mistrzynią w przewycięzaniu problemów, otrząsaniu się z nich i zaczynaniu wszystkiego od nowa. Zamiast żałować tego, co straciła, zamierzała wyjść naprzeciw temu, co kiedyś zostawiła za sobą: sobie samej, temu domowi, miastu, tutejszym ludziom. Tu były jej korzenie; na tej opoce zbuduje nową przyszłość.

- Ouu! - powiedziała Sandra, która przeszła na drugą stronę salonu i pierwsza zajrzała do następnego pokoju. - O ile dama, która tu wcześniej mieszkała, nie była bałaganiarą, to mamy problem. Carly, szeryfie, lepiej to zobaczcie.

Matt i Carly spojrzeli na siebie i ruszyli za Sandrą. Carly weszła pierwsza. Aż ją zatkało, gdy zza pleców przyjaciółki popatrzyła na pokój, który służył babce jako gabinet. Panna Virgie najwyraźniej zmieniła go w domowe biuro; mogło o tym świadczyć biurko, tani dębowy model z zamykaną

nadstawą na blacie, które wyglądało zupełnie nie na miejscu między oryginalnymi, ciemnymi wiktoriańskimi meblami. Biurko było zdemolowane. Pokrywa została zerwana i leżała osobno w kącie pokoju, przypominając na pierwszy rzut oka niepotrzebny kawałek grubej tkaniny.

Zawartość szuflad ktoś wyrzucił na orientalny dywan. Obok mebla piętrzyły się stosy listów, rachunków, przepisów, katalogów reklamowych i innych papierów. Wszędzie wały się monety i drobne przedmioty, takie jak spinacze, gumki i ołówki. Same szuflady były rozrzucone po całym pokoju. Widoczne na białych ścianach uszkodzenia tynku świadczyły, że ktoś walił szufladami z wielką siłą o ściany, zanim roztrzaskał je o podłogę. Biurko było kompletnie puste; nawet staroświecki telefon wisiał na sznurze nad podłogą.

- Wygląda na to, że ktoś czegoś tu szukał, może pieniędzy. Albo książeczek czekowych -

powiedział Matt. Stanął z tyłu i położył dłonie na ramionach Carly. Kiedy się odwróciła, aby na niego spojrzeć, odsunął ją delikatnie i wszedł do pokoju. - Niczego nie dotykaj - wydał jej polecenie przez ramię.

- Jak mi się wydaje, niedawno mnie zapewniałaś, że w Benton nie ma włamywaczy - odezwała się Sandra, patrząc na Carly z wymówką. - Mówiłaś, że jedyną niebezpieczną rzeczą, jaka może się tu zdarzyć, są sztuczne ognie z okazji święta czwartego lipca.

Carly wzruszyła ramionami. Co mogła na to odrzec?

Matt podniósł plik papierów i zaczął je skrupulatnie przeglądać, gdy niespodziewanie rozległ się głośny dzwonek. Carly aż podskoczyła. Nadal była trochę podenerwowana. Po chwili dźwięk się powtórzył. - To nie mój - oświadczyła Sandra i rozłożyła szeroko dwie puste dłonie, jakby na dowód tego, co mówiła. Matt wyciągnął z kieszeni dzwoniącą komórkę, nacisnął

guzik i przyłożył aparat do ucha.

- Halo, Matt Converse.

Carly słuchała jego cierpliwych wyjaśnień.

- Nie, pani Naylor, nie ma potrzeby. Wszystko w porządku. Tak, był tu jakiś włóczęga, ale uciekł.

Bardzo nam pani pomogła i naprawdę jesteśmy wdzięczni, że jest pani taka czujna. W domu palą się światła, ponieważ Carly Linton wróciła. Pamięta pani wnuczkę pani Linton? Po prostu dojechała na miejsce nieco później, niż zamierzała, to wszystko. Jeszcze jakiś czas będą się tu paliły światła. Nie, nie ma powodu do niepokoju. Proszę iść spać. Powtórzę jej. Dziękuję.

Do-branoc. - Rozłączył się i spojrzał na Carly, chowając telefon do kieszeni. - Pani Naylor zauważyła światła w twoim domu i znowu się zaniepokoiła. A przy okazji, zaprasza cię jutro do siebie na kawę i ciasto. Powiedziała, że będzie twoje ulubione - czerwony aksamit.

Carly westchnęła.

- A więc nadal spędza cały czas, wysiadując w oknach? Na Boga, przecież to środek nocy. To leciwa kobieta, o tej porze powinna już spać.

Pani Naylor, wdowa, której dorosłe dzieci już dawno opuściły dom, powinna być, według kalkulacji Carly, starsza niż żółwie na Galapagos.

Matt uśmiechnął się lekko.

- Muszę cię ostrzec: korzysta teraz z zaawansowanych technologii. Nosi okulary.

- Kto by pomyślał.

Mieli mnóstwo wspólnych wspomnień z dawnych lat, kiedy to pani Naylor telefonowała do babci Carly, aby podzielić się z nią uwagami na temat różnych młodzieńczych wybryków, jakie dostrzegła ze swoich okien. Donosiła jej o tym, że Carly leżała przyczajona na dachu werandy, czekając na sposobność, aby wylać kubek farby na głowę Mattowi w rewanżu za jakieś jego chłopięce psoty, których teraz już nie pamiętała; albo o tym, że Matt wszedł przez okno do sypialni Carly, aby przynieść jej torbę z kanapkami z szynką i butelkę coli, kiedy po raz kolejny dziewczynka została odesłana spać bez kolacji; albo że podwiózł ją na motocyklu do szkoły, co było kategorycznie zabronione przez babcię; nie wolno jej było nawet usiąść na siodełku, a tamtego dnia nie zdążyła na autobus i bardzo nie chciała się spóźnić, bo mogła przez to stracić jeden procent ze średniej oceny i pożegnać się z szansą na wygłoszenie mowy pożegnalnej przy rozdawaniu świadectw, co zresztą i tak się potem stało.

Sokoli wzrok pani Naylor widział wszystko, jej długi język mówił o wszystkim, a Carly zawsze płaciła za to wysoką cenę. Po ostatnim przewinieniu nie mogła za karę wychodzić z domu przez trzy tygodnie.

Jakiś miesiąc później Matt znalazł ją w stodole, gdzie płakała niczym ostatnia kupka nieszczęścia, ponieważ do balu maturalnego zostały tylko dwa tygodnie, a jej jeszcze nikt nie zaprosił. Kiedy udało mu się wyciągnąć z niej wreszcie ów wstydlivy sekret, wytarł jej oczy, ujął

Carly pod brodę i zaproponował, że będzie jej towarzyszył.

Ten, kto powiedział, że jeśli coś brzmi zbyt wspaniale, aby mogło być prawdziwe, to zwykle tak właśnie bywa, trafił w samo sedno. Carly była bardziej przerażona perspektywą pójścia z Mattem na bal maturalny niż Kopciuszek przed przybyciem Księcia ze szklanym pantofelkiem. Następne dni, łącznie z tymi paroma po balu maturalnym, kiedy już zresztą zaczęła podejrzewać, że jej szalone marzenia mogą okazać się płonne, zaliczała do najszcześniejszych i najwspornialszych w całym swoim życiu.

Oczywiście tak było, zanim do niej dotarło, że Matt jest w gruncie rzeczy parszywym skurczybykiem.

Na samo wspomnienie o tym kręgosłup zaczął jej tak sztywnieć, aż przypominał stalowy pręt.

_ To biurko nie należało do twojej babki, prawda? - usłyszała głos Matta oczekującego potwierdzenia czegoś, o czym dobrze wiedział.

- Nie.

Tylko jedno zimne, ostro wypowiedziane słowo. Spojrzał na nią: ich oczy się spotkały.

Nagle zgasło światło i zapanowała całkowita ciemność, tak jak przedtem.

Zaskoczona Carly aż pisnęła. Sandra była od niej jeszcze lepsza; zaczęła wrzeszczeć bez opamiętania. Carly pierwsza się opamiętała i mocno złapała przyjaciółkę za ramię.

- Och. - Wyczuła raczej, niż zobaczyła, jak Sandra rozciera ramię. - Dlaczego?

- No ładnie - jęknął Matt, zanim Carly zdążyła coś powiedzieć.

Wytracona z równowagi nagłym brakiem światła, wyciągnęła instynktownie rękę w kierunku mężczyzny, a on dotknął jej ramienia, a potem opuścił dłoń i chwycił Carly za nadgarstek.

- Idę po latarkę. Zaczekasz tu czy idziesz ze mną?

Carly wiedziała, że mówił do niej, chociaż go nie widziała. Wogóle nic nie widziała. W

odpowiedzi pociągnęła nosem, co miało znaczyć: A jak myślisz?

- Tak - odezwała się Sandra, biorąc to do siebie. - Słyszałam.

- A więc idziemy wszyscy. - Carly wyczuła w głosie Matta nieco pobłażliwy ton, ale w tych okolicznościach mogła mu to wybaczyć. - Sandra, trzymaj się Carly.

- Trzymam się. - Sandra złapała Carly za rękę.

Matt wziął Carly za rękę z drugiej strony. Egipskie ciemności znowu wywołały u niej paraliżujący lęk. Mogła być wściekła na Matta, ale w tej sytuacji był jedynym gwarantem ich bezpieczeństwa.

Zacisnęła palce najego dłoni. Była ciepła, silna i Carly znalazła w sobie więcej odwagi, gdy czuła jego uścisk.

- Gotowe? - zapytał.

Carly i Sandra odpowiedziały twierdząco. Matt odsunął Carly na bok, pierwszy przeszedł przez drzwi, a następnie ostrożnie poprowadził je za sobą przez salon. Carly tylko raz potknęła się o dywan, co w tej sytuacji uznała za sukces.

Weszli do holu, skąd przez otwarte drzwi frontowe wpadało trochę jaśniejszej szarości. Gdy oczy Carly przystosowały się już do ciemności i zaczęła cokolwiek widzieć, przypomniała sobie o

właŝnej godnoŝci oraz ŝywioriej urazie i natychmiast oswobodziła rękę z dłoni Matta. Nie interesowało jej, jak to odebrał. Bez słowa odsunął się i wziął latarkę z szafki. Oŝwietlił korytarz, a jasny promień ŝwiatła był tak poŝądany jak chłodny drink w upalne po-południe.

- Wiesz co? - powiedziała Sandra, zwalniając uŝcisk ręki. - Tu jest tak samo jak wszędzie.

Jeszcze tylko brakuje ulicznych gangów, bandytów i narkomanów. Wracam do domu.

Cholera, zdenerwowała się Carly, zaskoczona słowami przyjaciółki, która nie wypuszczając z dłoni patelni, ruszyła do drzwi. Ta noc robiła się coraz ciekawsza.

- Sandra ... - Carly podążyła za nią na werandę•

Matt teŝ wyszedł, a siatkowe drzwi zatrzęsły się za nim. Promień latarki ŝlizgał się po werandzie, tnąc ciemności jak laser. Deszcz ustał, ale zapach wilgoci w powietrzu był bardzo intensywny. Rozbrzmiewał chór ŝab, owadów i różnych innych małych, odraŝających stworzeń.

- Nie moŝesz tak po prostu odwrócić się na pięcie i pojechać do domu - zaprotestowała Carly.

Sandra była kucharką; Carly właścicielką-menedŝerką-administratorką i główną siłą fizyczną.

Pensjonat mógłby funkcjonować bez Sandry, ale tylko pod warunkiem, ŝe goŝcie, którzy zamieszkają w gospodzie Beadle Mansion, zadowoliliby się kanapkami z masłem orzechowym.

- Czyŝby? Tylko popatrz. - Sandra ruszyła w stronę schodów.

Rozerwany sandał klapał po mokrej, drewnianej podłodze, co jeszcze mocniej akcentowało zdecydowaną postawę przyjaciółki. - Powie-działam ci juŝ, ŝe nie lubię nawiedzonych domów i...

- Nie moŝesz odejść. Jest ŝrodek nocy, a ty jesteŝ niewyspana. Droga tutaj zajęła nam szesnaście godzin, pamiętasz? - Carly zrobiła prze-rwę przed ostatecznym argumentem. - A poza tym, ja mam kluczyki.

Sandra zatrzymała się u szczytu schodów. Wsparła dłonie na biodrach, odwróciła się do Carly i poŝłała jej piorunujące spojrzenie. Carly wytrzymała jej wzrok, przyjmując podobną poŝę. Powoli zaczynało do niej docierać, ŝe z trudem opanowywany strach, który gwałtownie potęŝniał, wzmocniony fizycznym wyczerpaniem i przy-prawiony stopniowo narastającą rozpaczą, nie stanowił korzystnej płaszczyzny, na której dałoby się spokojnie zaakceptować drobne ŝyciowe niepowodzenia.

- Moje drogie panie - poŝpieszył z interwencją wyraźnie ubawio-ny Matt, który podszedł do Carly.

- Czy nie mogłybyście dołóżyć so-bie później? To chyba nie jest najlepsza pora na skakanie do oczu.

Rozbawienie w jego głosie zabrzmiało wysoce niestosownie. Okreŝlenie "skakanie do oczu"

było jeszcze większym błędem. Tłumione emocje Carly nagle znalazły znacznie lepszy obiekt niŝ

Sandra, prze-rodziły się w furie i skupiły się na Matcie. Odwróciła się do niego.

- Ten sam stary Matt - powiedziała z fałszywym uśmiechem. - Nadal zachowuje się jak szowinistyczna męska świnia.

Sandra podeszła do niej i w obliczu wspólnego wroga zapomniała o nieporozumieniu. Solidarnie obie patrzyły spode łba na męczyznę.

- Tak - poparła ją z entuzjazmem. - Kwik, kwik.

Czysty i niespodziewany komizm tej sytuacji sprawił, że Cady zerknęła z niedowierzaniem na przyjaciółkę. Matt przez moment milczał. Cady przeniosła spojrzenie na niego. W kącikach jego ust igrał uśmiech, gdy teatralnym gestem przykładał dłoń do serca.

- Moje panie, zraniłyście mnie - powiedział, wytrzymując jej wzrok i uśmiechając się jeszcze szerzej. - Naprawdę mnie zraniłyście.

Podbródek Cady zadrżał. Widać było, że cała aż się gotuje. Zanim zdążyła stracić panowanie nad sobą, ponownie odezwała się Sandra.

- Czy ktoś tu wspomniał o bekonie?

Rozległ się głośny śmiech Matta, a Sandra poczuła, że chyba się zagalopowała. Cady powściągnęła swoje oburzenie, przekazując pi-łeczkę przyjaciółce, i z zapartym tchem czekała na ciąg dalszy.

Ale się nie doczekała. Nagle bowiem w pobliżu rozległ się przej-ujący jęk. Cady poczuła ciarki na skórze. Był to upiorny dźwięk rodem z zaświatów i wydobywał się dosłownie spod jej stóp.

- Co to, do diabła? - Matt rozejrzał się ze ściągniętymi brwiami.

- No proszę. - Sandra odwróciła się i zaczęła zbiegać po schodach. - Chicago, to właśnie mi przypomina to miejsce.

- To tylko Hugo! - zawołała za nią Cady, która otrząsnęła się już z przerażenia i rozpoznała dźwięk. - On nienawidzi, kiedy jest mo-kry. Pewnie schował się pod werandę. Nie możesz odjechać. Prze-cież ja mam kluczyki.

- Cholera - zakłęła Sandra, odwróciła się i spojrzała na Cady. Poświata księżycowa oświetliła jej twarz, która lśniła od wilgoci,

jaką nasycone było powietrze.

- Hugo? - zapytał w tej samej chwili Matt.

- To mój kot - rzuciła Cady przez ramię.

- Uważasz, że tym mnie przekonasz, abym tu została? - zapytała wojowniczo Sandra. Znowu ujęła się

pod boki. - Ha! Nie ma moŃwy. Zadzwońę po taksówkę i co ty na to?

Cady spojrzała na nią bez cienia satysfakcji.

- W Benton nie ma taksówek.

Sandra jęknęła.

Powietrze przeszył kolejny upiorny jęć.

- Daj mi to.

Zniecierpliwiona Cady wyrwała Mattowi latarkę i zeszła po schoŃdach. Ukucnęła pod werandę i skierowała tam strumień światła.

Patrzyły na nią szeroko otwarte, jarzące się oczy. Hugo wyglądał jak żałosna, futrzana kula zwinięta w naj dalszym kącie ciemnej i cuchnącej wilgocią kryjówki pod werandę. Tuż przed nim siedziało jakieś inne stworzenie, blokując mu drogę ucieczki. Warczący stwór, którego Cady dokładnie nie widziała, ponieważ zasłaniał go betonowy słuć. Ale cokolwiek to było, napędziło stracha jej rozpieszczonemu ulubieńcowi. Hugo ponownie zawył jak osaczone zwierzę•

_ Hugo - wyszeptala Cady, oświetlając go latarką. Kot spojrzał na nią błagalnie.

_ Hej ty! Wynoś się! Sio! - zawołała do obcego zwierzaka, który, jak jej się wydawało, mógł być lisem, szopem, a nawet, nie daj Boże, dużym skunksem.

Rozejrzała się dookoła i zobaczyła kupkę żwiru, którym wysypane było podwórko. Podniosła sporą garść i rzuciła w intruza.

- Sio!

Nie poskutkowało. Nic dziwnego, ponieważ nie trafiła. Hugo cofnął się, gdy grudki żwiru upadły obok niego, i wydał z siebie kolejny upiorny dźwięć.

_ Jesteś pewna, że to kot? - zapytał ironicznie Matt.

Oboje z Sandrą stanęli obok niej. Carly spojrzała na nich groźnie.

- Coś go tam zapędziło. Jakiś inny zwierzak.

Poczuła wyrzuty sumienia. Była tak przejęta całą serią nieprzyjemnych wydarzeń, że od chwili przyjazdu pozostawiła biednego koŃta zupełnie bez opieki. A teraz zdarzyło się prawdziwe nieszczęście: jakiś drapieżnik mógł pożreć Hugona. Gotowa za wszelką cenę ratować ulubieńca przed atakiem intruza, zaczęła na czworakach wlazić

pod werandę•

_ Sio! Sio! - Wymachiwała ostrzegawczo latarką. Hugo obserwował ją przerażony.

- Nie bądź głupia.

Matt złapał Cady za rękę i wyciągnął spod werandy. Trzymając ją za pasek od spodni, na wypadek gdyby chciała wczołgać się tam ponownie, ukucnął obok, wyjął jej z ręki latarkę i oświetlił kryjówkę Hugona.

_ Uważajcie. Cokolwiek to jest, może mieć młode - ostrzegła ich Sandra.

_ To tylko pies - powiedział Matt z ulgą. - Chodź tu, mały.

Zaczął nawoływać psa przeróżnymi, idiotycznie brzmiącymi dźwiękami, a Cady zmrużyła oczy, uważnie przyglądając się tym fragmentom zwierzaka, które było lepiej widać. Gdy stworzenie przesunęło się trochę, uznała, że Matt ma rację: to rzeczywiście pies. Mały, czarny piesek z lisimi uszami. Pomyślała, że pies to zawsze lepiej niż dzika bestia, ale nadal nie było dobrze. Hugo to tradycjonalista; nienawidził psów.

- Chodź tu, mały! - zawołał znowu Matt.

Tym razem pies się obejrzał. Jego ciemne i błyszczące oczy, w których odbijało się światło latarki, wydały się Cady bezlitosne jak oczy wilka. Choć niewiele większy od Hugona i zdecydowanie dużo chudszy, sprawiał wrażenie silnego. Pewnie się zgubił, a może nawet zdziczał. Cady słyszała opowieści o zdziczałych psach, które czasami gromadziły się w stada i wędrowały po hrabstwie Screven. Zabijały kury, cielaki, a nawet dorosłe krowy. Nie miała wątpliwości: ten pies wydawał się zdecydowanie zbyt silnym przeciwnikiem dla jej pieszczołka.

Matt natomiast uznał, że sytuacja nie jest niebezpieczna. Zanim Cady zdążyła podzielić się z nim swoimi niepokojami, zdążył wydać z siebie kolejne dziwne dźwięki, przywołując psa. W

odpowiedzi zwierzak spojrział na niego i głośno zaszczekał.

Tego już Hugo nie wytrzymał. Nastroszył ogon jak szczotkę, na-jeżył się, zakołysał i skoczył w stronę Cady tak, jakby ziemia paliła mu się pod łapami. Zaskoczony pies nie zdążył zareagować, gdy osaczona przekąska przeleciała mu koło nosa. Dopiero chwilę później ochoczo podjął

wyzwanie i szczekając jak szalony, rzucił się w pościg.

Cady przytomnie zdążyła usunąć mu się z drogi. Matt, który nie miał wcześniej do czynienia z Hugonem i nie przewidział niebezpieczeństwa, nie zdążył zareagować. Kucał nadal pod werandą, gdy kot przebiegł po nim jak rozpędzony pociąg po moście. Za nim tą samą drogą podążył rozwścieczony pies.

Matt krzyknął i wyciągnął ręce w obronnym geście, ale było już za późno. Popchnięty nagle, przewrócił się na plecy w mokrą trawę.

Słowa, jakie popłynęły chwilę później z jego ust, były gwałtowne i nieprzyjemne w tonie, a także z

pewnością obraźliwe. Cady nie wsłuchiwała się w niego, rzuciła mu tylko szybkie spojrzenie, aby się upewnić, że żyje, i zerwała się na równe nogi.

- Hugo! - zawołała i pognąła za kotem niczym odpalona rakietą, przecinając trawnik w stronę narożnika domu.

Wiedziała, że ścigany przez psa Hugo mógł się znacznie oddalić.

Nawet jeśli jakimś cudem udałooby mu się uniknąć spotkania z drańpieżnikami, które rozerwałyby go na strzępy, z pewnością nie potrafiłby znaleźć drogi powrotnej. Poza tym kot, który spędził

całe swoje dotychczasowe wygodne życie na pluszowych kanapach w luksusowym apartamencie, nie miał żadnego wyobrażenia o niebezpieczeństwach, jakie czyhają na zewnątrz. Prócz tego był obcy na nieznanym sobie terenie i przerażony przez ścigającego go potwornego psa, co znacznie zwiększało prawdopodobieństwo tragicznego końca tej przygody.

Za wiele już straciłam, pomyślała Cady. W gruzach legło w zasadzie całe jej, tak starannie zbudowane życie. Hugo był wszystkim, co jej zostało, i tej straty już by nie zniosła.

Pobiegła za nimi jak oszalała, ale zwierzęta znikły jej z oczu za węglem budynku. Obejrzała się jeszcze i zobaczyła, jak Sandra podaje rękę leżącemu na trawie Mattowi. Po chwili wahania pognąła dalej, ślizgając się na wilgotnej trawie, i na dobre straciła z oczu tamtych dwoje.

- Hugo!

Cały czas słyszała przed sobą wściekłe ujadanie, ale nie widziała żadnego ze zwierzątek.

Boczne podwórko było okropnie zarosnięte; kępy nie strzyżonych krzewów, dzikie wino i gęste zarośla porastały równo cały teren. Biegnąc na oślep za szczekającym psem, znalazła się nagle w cieniu domu. Świat wokół niej stał się jeszcze mroczniejszy i miała wręcz wrażenie, że temperatura powietrza obniżyła się o kilka stopni. Księżyc był wysoko, niewyraźny rogalik bawiący się w chowanym z chmurami o mocno posrebrzanych konturach. Jego blada poświata sączyła się kapryśnie, oświetlając na moment ziemię, a potem zniknęła. W tej części ogrodu gęsto rosły obok siebie drzewa orzechowe. Przedzierając się między ich pniami, musiała bardzo uważać, aby się nie poślizgnąć na łupinach, które leżały wokół od zeszłej jesieni. Tam, gdzie nie było drzew, rosły ostrokrzewy o kłujących liściach. Do jasnych ścian domu tuliły się bukszpany, a z góry patrzyły na nią okna, jak wszystko widzące, czarne oczy.

Wrażenie, że ktoś ją obserwuje, przez kilka sekund tliło się w świadomości Cady niemal niezauważone. Gdy w końcu do niej dotarło, po skórze przebiegły jej zimne dreszcze.

Rozejrzała się nerwowo, ale nie dostrzegła niczego podejrzanego. Ale jej kroki stały się teraz niepewne i dużo wolniejsze. Mroczne okna domu, poruszające się cienie i upiornie wyglądające białe kolumny mgły, która unosiła się z ziemi, także nie wpłynęły na nią uspokajająco. Było tak ciemno, że nie miała pewności, czy nie czai się obok coś groźnego, czy nikt nie chowa się za drzewem, nie idzie za nią.

Na twarz spadły jej nagle krople wody z mokrych od deszczu liści. Ten niespodziewany prysznik jeszcze bardziej napędził jej strachu. Zatrzymała się tak gwałtownie, jakby z ciemności wyłoniła się czyjaś ręka i złapała ją mocno. Czowała swój przyspieszony puls, oddech miała szybki i płytki. I to wcale nie z powodu biegu. A w każdym razie nie tylko dlatego. Krew zaczęła szybciej płynąć w jej żyłach, a pierś poruszała się ciężko; ogarnął ją paniczny strach.

Wszystkie jej zmysły były teraz w pogotowiu, ciało dosłownie wirowało, gdy w panice starała się śledzić najmniejsze nawet szczegóły otoczenia, bacząc na każdy szmer. Chociaż nie widziała niczego poza czarno-zieloną ścianą roślin, jak mogła wyteżać wzrok. Nie słyszała nic więcej poza tym, czego się spodziewała: coraz bardziej oddalającym się, groźnym szczekaniem psa, szelestem liści, pluśkiem kropel deszczu. Chór niewidocznych, nocnych stworzeń rozbrzmiewał jeszcze głośniejsze. Czowała mocny zapach wilgotnej ziemi, orzechów i bujnej, letniej roślinności. Wydawało jej się, że noc zacieśnia wokół niej krąg, i paraliżowało ją dojmujące wrażenie, że jest obserwowana przez niewidocznego osobnika.

Dopiero wówczas dotarło do Carly, że w tych okolicznościach pościg za Hugonem nie był najmądrzejszą decyzją.

Westchnęła. Wiedziała, że nie powinna pozostawić ulubieńca jego własnemu losowi, ale chociaż kochała kota, postanowiła wracać.

- Hugo!

Mimo woli jej głos zabrzmiał cichutko i słabo. Czowała, że powinna ruszyć się z miejsca i natychmiast wrócić tam, gdzie było bezpieczniej i gdzie był Matt, ale stopy odmówiły jej posłuszeństwa, jakby wrosły w ziemię. Z trudem łapiąc oddech ze strachu przed tym, co mogłaby zobaczyć, powoli odwróciła głowę. Cienie, które próbowała rozpoznać, przybierały groźne kształty. Z przerażającą ostrością wróciło wspomnienie o obcym mężczyźnie w jadalni.

Wcale nie musiał uciec daleko. Była tego tak pewna, jak własnego imienia. Czowała jego obecność w ciemnościach, całkiem blisko, tak samo jak czowała ją przedtem w pokoju. Szeroko otwartymi z przerażenia oczami patrzyła w najciemniejsze miejsce tuż przy płocie, gdzie gęsto rosły wielkie drzewa orzechowe. On tam był; nie widziała go, ale była tego pewna, a od tej przeraźliwej pewności przebiegały jej po plecach zimne dreszcze. Serce waliło jej tak mocno, że niczego więcej nie słyszała. Ścierpła jej skóra.

Księżyc mrugał do niej szyderczo, obojętny świadek dramatu; głos nocnych owadów potęgował się ...

I oto nagle się pojawił, jakby spod ziemi. Najpierw zobaczyła go kątem oka, dosłownie kilka kroków od niej, z prawej strony. Wstrzymała oddech i błyskawicznie rozejrzała się dookoła.

Potem znieruchomiła przerażona i z otwartymi ze zdumienia ustami patrzyła, jak olbrzymi, ciemny kształt zbliża się ku niej. Był już tak blisko, tak blisko, że wyczuwała drzenie ziemi pod jego stopami,

tak blisko, że widziała, jak światło księżyca odbija się w srebrnej klamrze przy jego pasku, tak blisko, że słyszała jego ciężki oddech.

Wydała z siebie upiorny krzyk i rzuciła się do ucieczki.

Pies. To był pies. Gdy usłyszał w ciemnościach jego szczekanie, poczuł taką wściekłość, że omal go nie zemdlilo. A więc ten cholerny zwierzak nie zdechl i nadal platal sie po tej okolicy.

Męczyzna wszędzie rozpoznalby to szczekanie. Ostatnio jego fart przypominal jazde na karuzeli - kolejne wzloty i upadki. Pies nie byl jedna z porazek; nie przywiazyl do niego nadmiernej wagi, bo to tylko pies, ale historia z Marshą niewatpliwie nalezala do niepowodzen, a ten zwierzak sie z nia laczył. Marsha zaslužyla na to, co ja spotkalo. Gdyby trzymala gębe na klodke, nic by jej sie nie stalo, ale nie, nie mogla wytrzymac i sama sciagnęła na siebie karę. Ta następną po Marshy, Soraya, nie złamala umowy, ale po zdradzie Marshy nie mógł więcej ryzykować. Jest jeszcze jedna, ostatnia dziewczyna, która usial znaleźc i na zawsze uciszyc, a kiedy to juz nastapi, wreszcie będzie wolny.

Pies nie stanowił dla niego zagrozenia, ale go irytował. Świadomość, że ten zwierzak wiedzial, wiedzial, kim on jest i co zrobil, deprimowała go, jakkolwiek niedorzecznie moglo to zabrzmiec.

Zyczył mu, żeby zdechl. Juz wcześniej kilka razy przychodzil na to pole kukurydzy, gdzie pies zniknal mu z oczu, ale znalazł tylko ślady łap.

W zasadzie byl z siebie zadowolony, podobnie jak wcześniej odczuwał satysfakcję z powodu Marshy i innych dziewcząt. Przekonywał sam siebie, że powinien o wszystkim zapomniec, że to juz przeszłość, która nie ma znaczenia. Ale potem Marsha zachowała się jak ślimak, który wypelza spod kamienia. A teraz pojawil się jeszcze ten pies. Moze kręcil się tu juz wcześniej, kiedy mężczyzna otwieral tylne drzwi Beadle Mansion kartą kredytową, ale nie widzial go ani nie słyszał. Poszukiwania przerwano mu w polowie, lecz nie przeszkodzil mu pies, tylko jakies dwie kobiety. To pech, że jedna z nich wpadła na niego w jadalni, a jeszcze gorzej się stalo, że w poblizu znalazł się szeryf i przybiegl, słysząc jej krzyki. On jednak nadal zachował dobrą formę, był szybki i uciekl im za pomocą psiej sztuczki, chowając się na polu kukurydzy. Przeżył chwile niepokoju, gdy w okolicy pojawili się zastępcy szeryfa i zaczęli świecić latarkami po polu, lecz ich także udało mu się wykiwać. Był juz, po drugiej stronie płotu i przedzierał się w stronę drogi, gdzie ukrył swój samochód, gdy nagle tuż za nim rozpętało się piekło.

Hau, hau, hau ...

Gdy usłyszał to charakterystyczne szczekanie, dobiegające nagle z oddali, aż podskoczył i się odwrócił. Brzmiało jak głos chihuahua; bez wątpienia był to tamten pies, który najwyraźniej gnał

za czymś. Przez moment omal nie wpadł w panikę, bo pomyslał, że biegnie za nim zwierzęcy mściciel wyłaniający się jak spod ziemi, który ujawni przed szeryfem i jego zastępcami jego kryjówkę. Kręcil się w miejscu, usiłując go wypatrzeć, dojrzeć, którędy pobiegl. Ale w środku nocy, tam, gdzie stał, pod kępą drzew, było ciemniej niż w grobie. Nie widzial nic poza pniami drzew i krzakami, a na wzniesieniu majaczył

. duży, jasny kształt, czyli biały dom, z którego nie tak dawno uciekl.

Nadal słyszał szczekanie: hau, hau, hau. - Hugo! - zabrzmiał kobiecy głos.

Spojrzał w stronę, skąd dobiegał, i zauważył na tle domu ciemną sylwetkę. Biegła, pewnie goniąc psa, który na szczęście jednak nie go nił jego. Szczekanie oddalało się w przeciwną stronę.

Wyraźnie mu ulżyło, ale nadal się nie ruszał, obserwując kobietę. Czekał, aż sobie pójdzie, zanim sam wykona jakiś ruch. Czy to ta ~ama kobieta, którą spotkał w jadalni? Zapewne tak - bo ile kobiet mogło się włóczyć po opustoszałym domu? -lecz nie był tego absolutnie pewien. Nagle się zatrzymała. Chyba się odwróciła i spojrzała w jego stronę. Wiedział, że jest dobrze ukryty i nie mogła go zobaczyć w głębokiej ciemności pod drzewami, ale odniósł wrażenie, iż ona i tak wie, że tam stał. Schował się za grubym pniem, na wypadek gdyby był jednak bardziej widoczny, niż mu się wydawało, gdy nagle kobieta krzyknęła jak trafiona kulą i zaczęła uciekać tą samą drogą, którą przybiegła.

Zdenerwowany, zaczął biec w przeciwnym kierunku. W tych ciemnościach plątało się stanowczo zbyt wielu ludzi i nie chciał wpaść na żadnego z nich, a już ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, to że-by ktoś go zobaczył, albo jeszcze gorzej, co nie daj Boże, rozpoznał.

_ Carly! Carly! Do diabła, Carly!

To był męski głos. Ale nie głos go zainteresował. Jego uwagę zwróciło imię: Cady. Był właśnie przy rowie melioracyjnym, który ciągnął się wzdłuż drogi. Po chwili wahania odwrócił się na moment. Nie, pomyślał jednak, przeskakując rów i przebiegając na drugą stronę drogi, aby ukryć się w zagajniku, który otaczał dom starej Naylor. Nie tej nocy. Nie, kiedy stróże prawa z Benton są tutaj i go szukają. Aż tak mu się nie spieszyło. I nie był aż takim idiotą.

Później. Wróci tu później.

Ostatnia z dziewczyn, którą chciał odnaleźć, miała na imię Carly. Szukał jej na tym szpanerskim osiedlu mieszkalnym w Chicago; to ostatni adres, który udało mu się zdobyć. Dziś w nocy odwiedził Beadle Mansion tylko po to, aby dotrzeć do czegoś bardziej aktualnego, notesu z adresami, spisu telefonów, jakiegoś listu czy rachunku, z którego mógłby się dowiedzieć, gdzie się podziewała.

Jeżeli to rzeczywiście ona, a był tego niemal pewien, szczęście znowu zaczęło mu sprzyjać. Los zesłał mu ją właśnie na to podwórko. Powinien być ostrożny, powinien się upewnić i zrobić to należycie. Tak właśnie się stanie.

Pewnej nocy w nie dalekiej przyszłości, jeśli ta kobieta rzeczywiście okaże się tą Cady, której szukał, dziewczyna po prostu zniknie bez śladu, tak samo jak tamte.

I wreszcie będzie mógł raz na zawsze zapomnieć o swojej przeszłości, z całkowitym spokojem wyjść na światło dzienne i rozpocząć kolejny rozdział życia.

Carly nie przestawała krzyczeć. Tuż za rogiem domu zobaczyła biegnącego w jej stronę Matta.

_ Matt! _ Popędziła ku niemu bez tchu. - On tu jest, on tu jest, on tu jest! - wołała w histerii, a kiedy była już krok od Matta, dośłownie rzuciła się na niego.

Ten niespodziewany atak go zaskoczył, ale mimo to złapał Cady i przytulił ją mocno, aby poczuła się bezpiecznie. W rękę trzymał pistolet, czuła jego ostry kształt, odciskający się na biodrze.

Zadrżała, zamknęła oczy i całym ciałem przyłgnęła do Matta, wtulając twarz w jego pierś i obejmując go ramionami w pasie. Była tak przerażona, że bała się nawet rozejrzeć.

Czy zastrzeliłby człowieka? Czy tamten mężczyzna zatrzymałby się na widok pistoletu?

- Jezu, śmiertelnie mnie przestraszyłeś. - Matt był zdyszany, zdenerwowany, a jednocześnie trochę dumny z siebie. - Czemu tak krzyczysz?

- Z tyłu ... - Mówiła z trudem. Czy Matt nic nie widział? Nie widzi? Uniosła głowę i zobaczyła jego skupione spojrzenie. - Ten mężczyzna z jadalni ... ścigał mnie ... on tu jest ... tam ...

- Nie chciałem pani przestraszyć.

Głęboki, męski głos zabrzmiał przepraszająco, ale Carly wciąż drżała z przerażenia. Rozejrzała się z lękiem wokół. Mężczyzna, który szedł w ich stronę, był czarny, masywny i z trudem łapał

oddech. Przy pasku miał srebrną klamrę - to przed nim uciekała, nie miała co do tego wątpliwości. Zabrakło jej tchu w piersi, zanim zrozumiała, że nieznajomy znał Matta.

Zmarszczyła brwi.

- Byłem na polu kukurydzy, bo wydawało mi się, że widziałem kogoś przy płocie. Poszedłem za nim, ale okazało się, że goniłem za panią•

- Ona nie była na polu kukurydzy - odrzekł Matt. - Jesteś pewien, że kogoś widziałeś?

Przytulił ją mocniej do siebie, lecz Cady była pewna, że to tylko odruch. Z pewnością jej osoba nie miała tu żadnego znaczenia. Nie mogła się jednak powstrzymać; nagle dostrzegła w Mattcie mężczyznę, a nie tylko obrońcę. Czuła muskulaturę jego piersi, mocny uścisk ramion, wilgotne ciepło skóry, sprężyste włosy na klatce piersiowej, a nawet lekki zapach piżma. Był nagi do pasa, a ona przyłgnęła do niego tak mocno jak elastyczny bandaż. A najgorsze, że było jej bardzo przyjemnie.

- Całkowicie - odpowiedział mężczyzna.

Wymagało to od niej nadzwyczajnej siły woli, ale udało się wreszcie: puściła Matta i wyslizgnęła się z jego objęć. Niezależnie od tego, jak dobrze jej tam było, nie chciała być w jego ramionach.

- Tam ktoś był.

Głos Cady nadal trochę drżał, gdy zebrała całą swoją wewnętrzną siłę, aby wypchnąć z myśli Matta-mężczyznę. Wzięła głęboki oddech i wskazała miejsce przy płocie, gdzie rosły drzewa orzechowe. - Tam, w tych drzewach przy płocie.

Obaj mężczyźni spojrzeli we wskazanym kierunku. Carly jeszcze raz przyjrzała się temu miejscu i dotarło do niej, że głębokie ciemności nie pozwalały dostrzec z takiej odległości czegokolwiek.

- Widziałaś tam kogoś? - zapytał sucho Matt.

Było bardzo ciemno. Nikogo nie mogła widzieć. Obaj mężczyźni najwyraźniej również tak uważali, patrzyli bowiem na nią z jednokowym powątpiewaniem.

- Nnie. - No dobrze, może to brzmieć głupio. Z prawdą tak jest zawsze. - Miałam przeczucie, że on tam jest.

Mężczyźni wymienili sceptyczne spojrzenia, ale żaden nie skomentował jej słów.

Inteligentni faceci.

- Sprawdź to - powiedział nieznajomy z rezygnacją w głosie i ruszył w stronę płotu.

- Kto to jest? - zapytała Carly zadowolona, że Matt nie poszedł razem z nim.

Czułaby się niezręcznie, próbując go zatrzymać i błagając w myślach, aby jej nie zostawiał.

- Jeden z moich zastępców. Kiedy facet, którego przepłoszyłem z domu, przeskoczył przez płot, wezwałem posiłki. Antonio - to właśnie jest Antonio Johnson - i Mike Toler przeszukiwali teren.

Matt stwierdził, że niebezpieczeństwo już minęło, i swoim zwyczajem wsunął pistolet za pasek od spodni. Ruchomy cień Antonia był teraz w połowie drogi do płotu. W pewnym momencie z ciemności wyłonił się drugi cień i dołączył do niego. Carly otworzyła szeroko oczy. Nie nastąpiła jednak żadna konfrontacja, żadna walka. Pojawiło się natomiast światło latarki. Snop światła padł na ziemię tuż przed mężczyznami, a potem zaczął się przesuwać wzdłuż płotu.

- To jest Toler - wyjaśnił Matt.

Drugi zastępca. W porządku. Obserwując ruchy światła latarki, Carly zastanawiała się, czy tam za domem czuła obecność jednego lub obu zastępców szeryfa. To możliwe - chociaż Antonio powiedział, że zanim pojawił się obok niej i śmiertelnie ją przestraszył, był na polu kukurydzy, które znajdowało się z drugiej strony domu. Czy zatem był to ów drugi zastępca? Możliwe. Ale instynkt kazał jej w to wątpić.

- Matt, czy nie uważasz, że ten włóczęga mógł mnie śledzić? Zadała owo pytanie zupełnie spontanicznie. Dopiero gdy je wypowiedziała, uświadomiła sobie, że właśnie to ją nurtowało wcześniej, tam, w jadalni i tu, na podwórku.

Matt obserwował światło latarki migoczące między drzewami. Po chwili spojrzał na Carly.

- Chodzi ci o to, czy właśnie ciebie śledził? Czy ten facet, który może być potencjalnym gwałcicielem, mordercą czy kimś takim, wybrał sobie ciebie jako ofiarę?

Tak sformułowane pytanie, chociaż zadane bardzo rzeczowym tonem, zabrzmiało złowrogo.

- Coś takiego, tak.

Spojrzał na nią, z całą powagą rozważając taką ewentualność.

Była mu wdzięczna przynajmniej za to.

- Kto wiedział, że tej nocy zamierzałaś zatrzymać się w domu babki?

- Właściwie nikt. To znaczy, Sandra i kilku przyjaciół.

- Ktoś stąd?

- Nie.

- Podejrzewasz kogoś? Znasz kogoś, kto byłby na ciebie na tyle wściekły, żeby zrobić ci krzywdę? Może twój były mąż?

Carly zastanowiła się nad Johnem. Nie, to raczej nie pasowało.

To ona była na niego wściekła. Został z całym ich majątkiem, do tego ma nową, seksowną żonę, jest szczęśliwy i zadowolony.

- Nie. John nie miałby żadnego powodu, aby mnie skrzywdzić.

W ogóle nie znam nikogo takiego.

Matt przez chwilę milczał.

- A zatem, moim zdaniem, można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że ten, kto się włamał do domu twojej babki, sądził, że nikogo tam nie ma, i zamierzał ukraść coś, co mógłby potem sprzedać. Innymi słowy, spłoszyłaś włamywacza. Co nie znaczy, że nie skrzywdziłby cię, gdyby wypadki potoczyły się inaczej, ale wszystko wskazuje na to, że to nie ty miałaś być celem napaści.

- Od kiedy to w Benton pojawili się włamywacze? - zapytała Carly, krzyżując ramiona na piersi, aby ukryć nagły, niespodziewany atak dreszczy.

- Zdarzają się od czasu do czasu. Zwykle tacy ludzie szukają rzeczy, które mogliby potem sprzedać, aby kupić narkotyki.

A więc Benton też się zmieniło. Chyba jednak wolałaby już mieć do czynienia z narkomanami, a nie z

kimś innym. Carly uznała, że to, co powiedział Matt, ma sens. Rzeczywiście mogła być w niebezpieczeństwie - miała tego świadomość i to tak mocną, że nie powinna naję lekceważyć -

ale tylko dlatego, że po prostu znalazła się w nieodpowiednim czasie w nieodpowiednim miejscu.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- W porządku - odpowiedziała.

Pokiwał głową.

- Zbierzemy odciski palców, popytamy sąsiadów, porozmawiamy z panną Virgie i Loren, zorientujemy się, czy coś widziały. Ten facet mógł szukać czegoś szczególnego. W naszej okolicy zdarzają się ostatnio przestępstwa natury kryminalnej" ale raczej niegroźne.

Zidentyfikowanie tego włamywacza nie powinno być trudne.

- Och. - Carly odetchnęła z ulgą. - Przyjemnie być znowu w domu.

- Tak.

Z jego tonu głosu niewiele mogła wyczytać. W ciemnościach nie widziała też wyrazu jego twarzy, ale nie miała wątpliwości, że Matt się nie uśmiechał.

- Chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć, coś, co powinnaś zapamiętać - zaczął, gdy ich spojrzenia znowu się spotkały. - Biorąc pod uwagę fakt, że zaledwie kilka minut wcześniej jakiś facet złapał cię w tym domu za rękę i śmiertelnie przestraszył, a ty wrzeszczałaś jak opętana, zanim go wypłoszyłem, twoja decyzja o wyjściu samej na podwórko w tych ciemnościach była czystą głupotą. Totalną głupotą.

Niewątpliwie miał rację, pomyślała zirytowana Carly. - Czy przypadkiem nie nazywasz mnie głupią?

Dużo większą satysfakcję sprawiało jej, gdy była na Matta wściekła, niż gdy odczuwała w stosunku do niego wdzięczność. Wściekła była na niego już od dawna i nie zamierzała o tym zapomnieć tylko dlatego, że tej nocy przyszedł jej z pomocą.

- To dość komiczne, że mówi to ktoś, kto zrywał z Elise Knox trzy razy, ponieważ trzy razy nakrył

ją na tym, że go oszukiwała. Przecież powinieneś był najpierw pomyśleć i wyciągnąć stosowne wnioski, zanim postanowiłeś znowu się z nią umawiać. - Carly prychnęła z oburzenia. - Ja też coś takiego nazywałabym głupotą•

Matt bynajmniej się nie zezłościł, tylko uśmiechnął z rozrzewniemem.

- Może i tak, ale musisz przyznać, że Elise była naprawdę seksowna. Widziałem ją jeszcze później - mieszka teraz w Mil edgeville - i nadal jest seksowna. W liceum to się liczyło przede wszystkim.

Carly naprawdę się zezłościła.

- Muszę odszukać Hugona - powiedziała krótko i odwróciła się na pięcie.

Nie słyszała już szczekania tego piekielnego psa i nie miała pojęcia, dokąd pobiegły oba zwierzaki, straciła je z oczu jakiś czas temu, ale wszystko było lepsze od patrzenia, jak Matt ślini się na wspomnienie Elise Knox.

- Idziesz ze mną czy nie?

- Nie. - Złapał ją za nadgarstek, ścisnął jej rękę jak w imadle i skierował się w stronę ściany domu, ciągnąc Carly za sobą. - Ty też nie będziesz teraz szukać tego cholernego kota. Nie dziś w nocy, wykluczone.

- Nie mogę go tak zostawić.

Chociaż Carly kochała Hugona i bardzo się o niego martwiła, wcale nie miała ochoty sama go szukać. Już dostała nauczkę.

- A właśnie, że możesz. To tylko kot. Siedzi pewnie gdzieś na drzewie. Co chcesz zrobić, łazić po nocy pod wszystkimi drzewami, wołając: kici, kici?

Znowu miał rację. Nienawidziła, gdy miał rację. Zawsze myślał trzeźwo i dawał dobre rady, które bywały zbawienne przy jej impulsywnej naturze.

- On się boi psów - powiedziała z godnością, usiłując przekonać Matta, że wcale nie roztkliwia się nadmiernie nad swoim ulubieńcem.

- To oczywiste, że boi się psów. Jest przecież kotem.

- Nigdy przedtem nie był poza domem.

- Nigdy nie był poza domem? Ta wielka kula futra z pazurami nigdy nie była poza domem?

Żartujesz chyba. Co to za kot?

- Czystej rasy - warknęła Carly, czując, że znowu wyprowadził ją z równowagi. - A dokładnie błękitny kot himalajski. Jego matka bywała na wystawach i zdobyła wiele medali. Tylko dlatego udało mi się kupić Hugona, że mój mąż przeprowadzał rozwód jego właściciele. Takie koty nie wychodzą z domu.

- Kiciuś - skwitował Matt drwiąco.

- Hugo nie jest kiciusiem! -zaoponowała, broniąc swojego bardzo samczego, aczkolwiek wymagającego ochrony kota.

Matt rzucił jej przez ramię ironiczne spojrzenie. - A właśnie, że jest.

Carly zacisnęła usta. I tak tego nie widział, ale wszystko jedno. - Jeżeli cię to uspokoi, poleciłem

'rl oim zastępcom, aby go szu-

kali. Rozglądając się za facetem, który włamał się do domu twojej babki, a ciebie nastraszył, mogą przy okazji poszukać twojego kiciusia.

W ostatnim słowie było coś zdecydowanie złośliwego, co pogłębiło jej rozdrażnienie.

- Jeżeli nie przestaniesz go tak nazywać, to ... - Carly przerwała, nie wypowiadając groźby, bo nagle zauważyła, że minęli dom i scho-
dzą ze zbocza w kierunku drogi.

- Dokąd idziemy?

- Do twojej furgonetki. Domyślam się, że jest tam już twoja przyjaciółka, mam nadzieję, że bezpiecznie zamknięta w środku. Kiedy zaczęłaś krzyczeć, powiedziała: "Poczekam w samocho-
dzie" i pognała jak wystrzelona z procy. Byłem zbyt zajęty szuka-
niem ciebie, aby patrzeć, dokąd biegnie, ale jak się zorientowa-
łem w ciągu naszej krótkiej znajomości, ona zwykle robi to, co mówi.

- Jeśli pobiegła do samochodu, nie będzie mogła dostać się do środka. Drzwi są zamknięte, aja mam kluczyki.

Matt odwrócił się do niej, gdy przemykali się między mokrymi od deszczu krzakami.

- Słuchaj, Curls, wiesz co? Ty zawsze sprawiasz więcej kłopotów niż inni ludzie, jakich znam.

Aż ją zatkało z oburzenia. Zanim się zdecydowała, przeciwko czemu powinna najpierw zaprotestować, przeciw przewisku czy ocenie swojej osoby, wyszli z za olbrzymiej magnoli i znaleźli się kilka kro-
ków od furgonetki. Sandra siedziała na stopniu z latarką w ręku. Strumień światła tańczył jak pijany świetlik, gdy omiatała nim oko-
licę. Kiedy Carly i Matt wyszli na otwartą przestrzeń, Sandra pisnę-
ła, skoczyła na równe nogi i zaświeciła im w oczy. Rozpoznawszy ich, wydała głośne westchnienie ulgi i podeszła.

- Następnym razem, kiedy znowu gdzieś się z tobą wybiorę - po-
wiedziała, świdrując Carly groźnym wzrokiem - możesz być pewna, że to ja będę prowadzić.

- Jeśli chodzi o mnie, zgadzam się. Wcale nie chciałam prowa-
dzić. To ty denerwujesz się na autostradach. I na wąskich wiejskich drogach. I w dużym ruchu. I po zmroku. Co w zasadzie wyczerpuje wszelkie możliwości. - Carly wyjęła kluczyki z kieszeni. Ku jej za-
skoczeniu Matt wyciągnął po nie rękę.

- Tym razem to ja poprowadzę. - Otworzył drzwi i wykonał za-
prasający gest. - Wsiadajcie.

Sandra posłuchała go skwapliwie. Już w środku zgasiła latarkę i skuliła się w najdalszym kącie.

Carly stała bez ruchu.

- Posłuchaj - powiedziała do Matta. - Dziękuję, że pomogłeś mi jako szeryf. Naprawdę to doceniam. Ale uważam, że Sandra i ja możemy tu zostać.

Matt chrząknął, wyraźnie nieprzekonany.

- Nie sądzę. Wsiadaj.

- Nigdzie nie pojedę - oświadczyła, odsuwając się nieco, aby podkreślić swoją wolę.

Czasy, kiedy Matt Converse decydował za nią, a ona z radością robiła wszystko, co chciał, dawno już minęły i powinien to zrozumieć.

- Ależ oczywiście, że pojedziesz. Dom twojej babki jest teraz miejscem przestępstwa.

Przeprowadzimy tu oficjalne dochodzenie. Twoja obecność tylko by nam przeszkadzała. Zawiozę was do siebie do domu, gdzie możecie się przespać. Będziecie tam bezpieczne, a ty wreszcie zejdziesz mi z drogi. Jeśli chodzi o mnie, to nadal stwarzasz same problemy.

Carly zacisnęła pięści.

- Jak by ci to powiedzieć? - odezwała się słodkim jak miód głosem. - Nie chcę jechać do twojego domu. Co więcej, stanowczo odmawiam pojechania tam. Wolę spać w furgonetce, niż pojechać do ciebie. - Mów za siebie! - zawołała Sandra z głębi wozu.

Carly i Matt zignorowali jej słowa.

- Pozwól, że powiem to jasno: możesz spędzić noc u mnie w domu albo w areszcie. Wybieraj.

- Blefujesz. - Carly była przekonana, że tak jest. Matt zacisnął zęby.

- Sprawdź to.

- Dobra - podniosła buńczucznie brodę. - Wsadź mnie do więzienia.

- Jeszcze raz powtarzam, mów za siebie.

Sandra aż się wychyliła przez otwarte okno samochodu. Była poważnie zaniepokojona.

Matt spojrzał na nią, a potem znowu na Carly.

- Curls, nie bądź wrzodem na tyłku - powiedział cicho.

Tak cicho, że była przekonana, iż tylko ona to usłyszała.

To sprawił ton jego głosu. Używał tego zwodniczego, miękkiego tonu, kiedy był o krok od utraty cierpliwości. Mogła go latami nie widywać, ale znali się od dawna i to bardzo dobrze: był w stanie

złapać ją za rękę i siłą wepchnąć do samochodu. Kiedy mówił w ten sposób, potrafiłby też zamknąć ją w najbliższej celi.

- Odwal się - powiedziała z rezygnacją i wsiadła do furgonetki.

Dyskretnie nie komentując zwycięstwa, Matt wszedł do auta za Carly i zamknął drzwiczki. W

kabinie furgonetki było gorąco i parno jak w saunie. Wciśnięta obok Sandry Carly czuła, jak kropelki potu zaczynają jej spływać po czole. Jedyne świadomość, że Matt także musi się tak męczyć, pozwalała jej znieść wysoką temperaturę.

— Przy okazji - powiedziała, gdy uruchomił furgonetkę i nacisnął przycisk kontroli temperatury - klimatyzacja nie działa.

Poczuła złośliwą satysfakcję, zbliżoną do tej, z jaką zapewne Matt informował ją, że w domu nie ma prądu.

W odpowiedzi usłyszała tylko jakieś mruknięcie.

— Jutro wracam do Chicago, już ci mówiłam - oświadczyła Sandra, czym udało jej się skupić na sobie uwagę Carly. - To miejsce jest gorsze od nawiedzonych domów. A właściwie czemu tak krzyczałaś na tyłach podwórka?

— Uraziłam się w duży palec u nogi - wyjaśniła krótko Carly.

- Ach tak, no jasne.

— Moje panie - wtrącił się Matt, wyprowadzając furgonetkę ze zwirowej ścieżki na drogę, a jego głos nadal był niepokojąco łagodny. — Pracowałem dziś czternaście godzin. Informację o włączeniu otrzymałem w chwili, gdy wróciłem do domu i zamierałem iść spać. W ciągu ostatniej pół godziny dostałem patelnię w głowę, potknąłem się o kota i spadła mi na głowę doniczka. Mam guza z tyłu głowy i rozcięte czoło. A kiedy już odstawię was w bezpieczne miejsce, muszę jeszcze się zająć dochodzeniem. Jestem zmęczony, przepracowany i piekielnie boli mnie głowa.

Czy mając to wszystko na względzie; mogę was prosić, abyście przestały się kłócić?

Carly spojrzała na niego. Ten miękki głos nie zwiastował niczego miłego. Podobnie jak błysk w oczach Matta i nieprzyjemny grymas na twarzy. Na widok tych wszystkich znaków ostrzegawczych powiedziała sobie, w duchu: niedobrze.

— Oczywiście, ale ty nie widzisz różnicy między rozmową a kłótnią - parsknęła. - To, że jesteśmy kobietami, wcale nie znaczy, że

się kłócimy.

— Wiesz - odezwała się Sandra - w moim horoskopie było napisane, że czeka mnie spotkanie z przystojnym, ciemnowłosym mężczyzną, który ma zły charakter.

Spojrzenie, które Matt posłał im obu, uciszyłoby nawet Oprah.

- Nie przeciągajcie struny, zniósę wszystko, jeśli się zamkniecie. W mgnieniu oka atmosfera w furgonetce stała się ciężka.

- W porządku - powiedziała Carly, skrzyżowała ręce na piersi i zaczęła się gapić w przednią szybę.

- Tak, w porządku - powtórzyła jak echo Sandra, także krzyżując ręce i kierując wzrok w to samo miejsce.

Gdy furgonetka podskakiwała na wybojach, w kabinie panowała pełna napięcia cisza. Wciśnięta między Sandrę i Matta Carly siłą rzeczy dowiedziała się o fizycznych parametrach swoich towarzyszy podróży więcej, niżby chciała. Oboje byli potężniejsi od niej. Oboje wytwarzali dużo ciepła. Sandra była miękka i puszysta i pachniała kwiatowymi perfumami. Matt był jędrny i gładki, pachniał potem. T-shirt Sandry był właściwie suchy. Naga skóra Matta była wyczuwalnie ciepła i wilgotna. Jej ramiona dotykały jego barków. Jej talia przylegała do jego tali. Co gorsza, przy każdym podskoku na drodze - a droga okazała się tak wyboista jak powierzchnia księżycy -

Carly uderzała o jego ciało. Coraz wyraźniej odczuwała, że nie miał na sobie t-shirtu. Jej zmysły były nieustannie bombardowane widokiem jego szerokich, opalonych barów i twardego jak stal brzucha. Czowała delikatną woń pizmy; słyszała cichy i równomierny oddech Matta. Każdy zakręt przypominał jej o jego sprężystej klatce piersiowej, szorstkich włosach na piersi, silnych ramionach, które poruszały się płynnie, gdy prowadził furgonetkę.

Dla Carly była to stanowczo zbyt duża dawka Matta.

Kilka minut później niespodziewanie jak grom z jasnego nieba dotarło do niej, że tak naprawdę miała nieprzepartą ochotę kochać się z tym mężczyzną. Poddać się pożądaniu. Już natychmiast, najeżo kolanach w kabinie furgonetki, z tyłkiem opartym na kierownicy. Ta nagła, niezwykle wyrazista fantazja sprawiła, że odczuła rozkoszne drżenie w miejscach, które nie powinny drżeć, co wprowadziło ją w zażenowanie. To się nie może stać, przekonywała ciemną stronę swojej natury. Nie powtórzy się. Nie w tym życiu. Musi o tym zapomnieć.

Ale ów obraz nadal jarzył się jak w technikolorze na krawędzi jej świadomości. Nie pomagało, gdy powtarzała sobie, że mężczyzna obok niej to Matt, ten parszywy skurczybyk. Parszywy skurczybyk czy nie, był bardzo.: pociągający. Co gorsza, cholernie ją podniecał i czy jej się to podobało czy nie - a wcale jej się nie podobało! - najwyraźniej nic nie mogła zrobić, aby to wrażenie powstrzymać.

- Czy możesz otworzyć okno - poprosiła cicho kilka męczących minut później.

Jeśli nadal będzie tak gorąco, zamieni się w małą kałużę na tym czarnym, winylowym siedzeniu.

Przejeżdżali właśnie przez centrum ciemnego i cichego miasteczka, gdy Matt wyjął komórkę i zaczął wystukiwać numer; najwyraźniej on sam nie roztopiał się jak kostka masła.

- Są otwarte - powiedział obojętnie.

Sandra pokiwała głową. Carly z niedowierzaniem odwróciła wzrok i przekonała się, że Matt mówił

prawdę.

Oblepiona przez muchy przednia szyb.a nie mogła zasłonić obraźu zmian i modernizacji, z dumą opisanych w broszurze wydanej przez izbę handlową w Benton - nowe, malownicze witryny sklepów, trotuary ozdobione gęsto ustawionymi pojemnikami z kwiatami i dekoracyjne, metalowe znaki uliczne na każdym rogu. Ściśniętej w środku jak sardynka w puszcze Carly udało się przynajmniej za-czerpnąć łyk świeżego powietrza.

Matt wyglądał na zadowolonego. Wiatr rozwiewał mu ciemne włosy i osuszał pot na twarzy i torsie. Sandra także sprawiała wrażenie zrelaksowanej. Jej przylegające do głowy włosy były za krótkie, aby mógł je potargać podmuch wiatru, za to długie kolczyki w kształcie motyli tańczyły w powietrzu. Jedynie Carly nie czuła się zadowolona. Nie tylko torturowały ją niezwykle wyraziste obrazy tego, co chciałyby robić z Mattern, a ich plastyczność przechodziła jej naj śmielsze oczekiwania, to jeszcze dusiła się, prażyła w upale i pod-skakiwała jak dziecko na kolanach wujka. Zaczynała odczuwać za-wroty głowy, a jej żołądek unosił się jak jojo. Poza tym była wyczer-pana emocjonalnie. Już się nie bała, ale nadal przeżywała wszystko to, co się stało.

Zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, decydując się na powrót do Benton, zamieszkanie tu i otwarcie pensjonatu w starym domu babki. Jej przyjaciółka i partnerka w biznesie oświadczyła właśnie, że wycofuje się z przedsięwzięcia. A temu parszywemu skurczybykowi, na którym już wiele lat temu postawiła krzyżyk, ja-kimś sposobem udało się po raz kolejny wywrócić jej życie do góry nogami. Jej włosy po latach trzymania się posłusznie lini nadanej im przez fryzjera zaledwie w ciągu godziny powróciły do młodzień-czej anarchi . I jakby jeszcze mało było tych wszystkich nieszczęść, umierała ze strachu o kota.

To nie był udany dzień. A idąc dalej tym tropem, pomyślała, że w ogóle całe jej życie nie było udane.

- Nie, niech ktoś przyjedzie po mnie do domu - powiedział Matt, który rozmawiał z kimś przez telefon komórkowy, co przerwało strumień jej czarnych myśli. - I chciałbym, chłopcy, żebyście pamię-tali o tym kocie. - Przerwa. - Jak to, jak wygląda? Ma cztery łapy, ogon i waży jakieś siedemdziesiąt kilogramów. Jak grizzly. _ Prze-rwa. - Jezu, to kot. Biały i puchaty. Miauczy.

Czego jeszcze chcecie, fotografi ? - Kolejna przerwa. - Nie, są ze mną. Zabieram je na noc do siebie do domu. - Roześmiał się nagle. - Nie martw się. Nic mi nie będzie, na pewno. Dobra.

Piętnaście minut. - Rozłączył się i schował telefon do kieszeni. - Antonio obawia się, że jeżeli pozwolę wam u siebie przenocować, możecie mnie w nocy udusić. - W kącikach je-go ust błąkał się uśmiech.

- No cóż, musi cię dobrze znać - odparła Cady z fałszywym uśmiechem.

Nie wiedziała, czy powinna poczuć ulgę, że Matt poprosił, aby ktoś poszukał jej ulubieńca, czy raczej poczuć się urażona jego opisem.

Matt nie odpowiedział. Zwolnił, a potem skręcił w lewo do za-możnej dzielnicy mieszkaniowej

zabudowanej domami o urozmaiconej architekturze. Po kilku kolejnych skrętach furgonetka znowu zwolniła, a następnie wjechała w szeroką, lekko wznoszącą się asfaltową ulicę.

Reflektory oświetliły front dość starego domu typu bungalow, z oszalowaną fasadą i parą murowanych filarów o kwadratowym przekroju, które podpierały niską werandę. To z pewnością dom Matta. Na podjeździe stał samochód, mała żółta honda civic zaparkowana przed dobudowanym do domu garażem. Nie sposób było wyobrazić sobie Matta za kółkiem takiego wozu.

Gdy Matt parkował za tym zdecydowanie damskim samochodem, Carly uświadomiła sobie, że nadal myślała o nim jako o młodzieńcu, pozeraczu dziewczęcych serc, tym Matcie, którego kiedyś знаła. Ajakż się zdążyła przekonać, takie myślenie prowadziło ją na manowce.

- Przykro mi, że obudzimy twoją żonę.

Powiedziała to zupełnie neutralnym tonem, bez najmniejszego zaangażowania - co oczywiście było całkowicie nieszczerze. Nagle z przerażeniem odkryła, że myśl o żonie Matta - o tym, że w ogóle mógł mieć żonę - bardzo ją zdenerwowała.

- Nie jestem żonaty.

Jeśli nawet nie westchnęła z ulgą, to była tego bliska. Obserwując Matta, który wysiadał z furgonetki, stwierdziła ze smutkiem, że w głębi duszy nadal pozostała zakochaną nastolatką.

Musi bardzo uważać na tę dziewczynkę.

Wysiadając za Mattem, który cierpliwie przytrzymał jej drzwi, zatrzymała się na chwilę i popatrzyła na dom. Czekala, aż jej osłabłe nogi poczują twardej grunt. Wszystkie okna były ciemne. W domu panowała cisza. Gdyby nie samochód na podjeździe, pomyślałaby, że nikogo nie ma.

- Pozwolisz? - Matt wymownie wskazał na drzwi auta. Cady posłusznie odsunęła się, aby mógł je zamknąć.

Jej wzrok ponownie zatrzymał się na hondzie civic. Jeśli nie jest żonaty, to do kogo należał ten samochód?

- Czy mieszka z tobą mama? - zapytała, gdy zrównał z nią krok, starając się za wszelką cenę ukryć pobrzmiewającą w głosie nadzieję.

Ten pomysł przypadł jej do gustu. Trzydziestotrzyletni Matt mieszkający z matką - to byłby wspaniały odwet, warto czekać na to całe życie.

- Moja matka nie żyje.

- Och. - Dobry nastrój Carly prysnął. Matt kochał matkę. To bolesna strata. Bez namysłu położyła dłoń na jego ramieniu. - Nie wiedziałam, przykro mi.

Nie wiedziała, ponieważ po wyjeździe z Benton na dalszą naukę świadomie nigdy nie pytała babci,

co słyhać u Matta, a babcia, która wiedziała, że to drażliwy temat dla Cady, chociaż nie domyślała się do końca, dlaczego, ani razu o nim nie wspominała. Początkowo, gdy Carly dość rzadko i na krótko przyjeżdżała w odwiedziny, miały sobie tyle do powiedzenia, że łatwo było unikać w rozmowach tematu Matta. Później, gdy babcia była już schorowana, najważniejszą sprawą było jej zdrowie.

- Skąd miałaś wiedzieć.

- Co ... kiedy ... - Zawiesiła głos, nie precyzując pytania i pozostawiając mu decyzję o odpowiedzi.

- Kilka lat temu. To był atak serca. Pracowała jako kelnerka w Corner Cafe, gdy to się stało. -

Przerwał i spojrzał na Carly, która ze współczuciem ścisnęła go za ramię. - Kończyłem wtedy służbę w oddziale piechoty morskiej. Postanowiłem wrócić do domu.

Carly poczuła ucisk w gardle. Co za idiotka ze mnie, skarciła się gniewnie, żeby aż tak się wzruszać, podczas gdy ton jego głosu był zupełnie spokojny. Znała jednak na tyle dobrze Matta, aby nie dać się zwieść. Za pozorną obojętnością krył się głęboki ból. I ją także bolało serce.

- Co, do diabła, napakowałaś do tej torby?

Sandra szła w ich stronę, sapiąc i zataczając się lekko. W jednej ręce niosła swój niewielki neseserek, a w drugiej nieco większą (i znacznie cięższą) torbę Carly. Pakując się, Carly uznała, że powinny mieć w bagażu podręcznym niezbędne rzeczy przynajmniej na jedną noc i jeden dzień w Benton, dopóki nie wyładują całej furgonetki. Pod wpływem ciekawskiego spojrzenia przyjaciółki szybko zdjęła rękę z ramienia Matta.

- Och, dziękuję ci, zupełnie o tym zapomniałam.

Nie odpowiadając na jej pytanie, wzięła swoją torbę. Torba była rzeczywiście ciężka, bo znajdowały się w niej suszarka, szczotki do włosów, szampon, żel usztywniający, a poza tym zestaw do makijażu i ubrania, a także rzeczy niezbędne dla kota, z czego nie miała zamiaru tłumaczyć się w obecności Matta.

- Daj mi to.

Matt wziął torbę i neseser Sandry. Jeśli nawet bagaż Carly był ciężki, nie skomentował tego i bez trudu sobie z nim poradził. Wraz z Sandrą weszły za nim do domu i chwilę czekały w ciemnym wnętrzu, aż postawił torby i zapalił światło. Po kilku sekundach zrobiło się jasno i niemal w tym samym momencie usłyszeli jakieś sapnięcie i głośny stukot.

- O Boże, Matt, śmiertelnie mnie przestraszyłeś! Myślałam, że nie wrócisz na noc.

Słowa te wypowiedziała ładna nastolatka o ciemnych oczach ocienionych gęstymi rzęsami, pięknej opaleniznie, czarnych włosach sięgających pasa i długich nogach skąpo osłoniętych spodenkami koloru khaki. Siedziała wyprostowana na żółtej kanapie w kwieciste wzory, na której najwyraźniej jeszcze przed chwilą leżała, a teraz obiema rękami wkładała szybko rozpiętą białą bluzkę. Obok

kanapę na podłodze miotał się długowłosa blondyn mniej więcej w jej wieku, próbując jednocześnie wciągnąć dzinsy i wstać. Wyglądał komicznie, a na jego twarzy malował się wyraz jelenia, oślepionego światłami reflektorów.

Carly, która stała w drzwiach tuż za Mattem i zaglądała mu przez ramię, nie miała wątpliwości, że zaskoczyli tę parę podczas baraszkowania na kanapie. Zrozumiała też, po nagłym napięciu ciała Matta, który stał nieruchomo, nie zdejmując ręki z kontaktu, że nie podobało mu się to, co zobaczył.

Samochód przed domem zapewne należy do tej dziewczyny, wywnioskowała Carly. Czy to jego narzeczona, którą przyłapał na gorącym uczynku, gdy zdradzała go w jego własnym domu? Ta myśl sprawiła jej satysfakcję. Dziewczyna wyglądała jednak na dużo młodszą od Matta i Carly szybko zmieniła zdanie.

— Myliłaś się zatem. - Matt zdjął wreszcie rękę z kontaktu. Drzwi wejściowe prowadziły wprost do salonu, jak zauważyła Carly, i dlatego młodzi dali się zaskoczyć. Pokój był gustownie umeblowany, wyposażony w telewizor, dwa pasiaste fotele z wysokimi oparciami, lampy, stoliki i ozdobne drobiazgi. Zasunięte już na noc firanki kolorystycznie pasowały do kanapy. Dywan był

koloru zieleni w odcieniu mchu, ściany miały barwę delikatnego seledynu. Jedyńy zgrzyt w tym przyjemnym wnętrzu stanowił wielki i bez wątpienia stary fotel z podnóżkiem i regulowanym oparciem, obity czarnym winylem i w niektórych miejscach zlepiony taśmą. Stał na przeciw telewizora. Razem z towarzyszącą mu wysoką lampą podłogową, stolikiem i stertą rzuconych obok gazet i czasopism tworzył zdecydowanie brzydką wysepkę w tym uroczym prezentującym się otoczeniu.

- Czas do domu, Andy.

Matt wszedł do salonu i utkwiał w chłopcu karcący wzrok.

— T-tak, proszę pana - wyjąkał Andy, trzymając kurczowo swoje niezapięte dzinsy i instynktownie schodząc Mattowi z drogi.

Carly aż zamrugła ze zdziwienia, słysząc, jak chłopak zwracał się do niego.

— Och, na litość boską. Rozchmurz się, proszę. Mam całe osiemnaście lat. Za miesiąc wyjeżdżam na studia. - Dziewczyna spuściła nogi na podłogę i zaczęła zapinać bluzkę, nie spuszczając oczu z Matta.
- A wtedy i tak nie będziesz wiedział, co robię•

— Dzięki Bogu - powiedział ten z przekonaniem. Zapalił lampę i w pokoju zrobiło się jeszcze jaśniej.

- No to do widzenia, Lisso.

Andy uśmiechnął się półgębkiem do Carly i Sandry, mijając je w drodze do drzwi. Carly prawie mu współczuła. Miał purpurową twarz, spoglądał nerwowo na Matta, a dzinsy nadal mogły w każdej chwili spaść.

_ Do jutra, Andy! - zawołała Lissa, gdy był już bezpieczny i zamknęły się za nim drzwi.

Zdecydowanie nie przejmowała się aż tak oburzeniem Matta jak Andy. Zapięła bluzkę, wstała, przeciągnęła się, patrząc prowokująco na Matta, ziewnęła, zasłaniając usta palcami o pomalowanych na czerwono paznokciach, a potem poklepała się po policzkach, jawnie demonstrując znudzenie.

- Carly, Sandra, poznajcie moją siostrę Melisę - powiedział sucho Matt. - Lissa, to Carly Linton

- może ją pamiętasz, wychowywała się w Benton - a to Sandra ... Sandra ...

- Kaminski - przedstawiła się Sandra.

Stała tuż za Carly, przyglądając się całemu zajściu szeroko otwartymi oczami.

- Kaminski - powtórzył Matt.

- Cześć - przywitała się Lissa, machając do nich ręką.

- Cześć - odpowiedziały chórem.

Carly złapała się na tym, że także do niej pomachała, i poczuła się jak idiotka.

Na szczęście nikt nie zwrócił na to uwagi. Lissa znowu popatrzyła na Matta. Miała zmarszczone brwi.

- Co ci się stało w głowę? Jesteś ranny?

- Oberwałem i zmokłem. - Zbył jej pytanie wyjątkowo lakonicznie. - Chciałbym, abyś zajęła się Carly i Sandrą. Przenocują u nas.

- Ach tak? - zainteresowała się Lissa. Tym razem popatrzyła na niego uważniej, na dłużej zatrzymując wzrok na Carly.

- Tak. - Jego głos brzmiał tak samo mało zachęcająco jak spojrzenie, które jej posłał.

- Nie mam nic przeciwko temu. Ja nigdy się nie wypowiadam na temat twojego prywatnego życia.

- To do roboty, Lissa - ponaglił ją.

Na podjeździe rozległ się klakson. Matt zrobił zbolaną minę i przeczesał włosy palcami.

- Gdzie jest Erin?

- Wyszła.

- Już wpół do drugiej.

Lissa wzruszyła ramionami.

- A Dani?

- Wyszła.

- Dokąd? Wszystko jest już pozam ... - Wyraz twarzy Lissy sprawił, że Matt umilkł i potrząsnął głową. - Wszystko jedno. Nie chcę wiedzieć.

Znowu rozległ się klakson.

- Cholera, potrzebuję koszuli. - Minął je szybkim krokiem i zniknął w sąsiednim pokoju, gdzie natychmiast zapaliło się światło. Nie minęła minuta, jak wrócił, naciągając na siebie sfatygowany t-shirt. Skierował się do drzwi frontowych. Rzucił jeszcze Lissie spojrzenie pełne wyrzutu. - Czy ktoś mógłby w tym domu zrobić pranie?

Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Hej, jest tam kto?

- Daj mi spokój. Ciężko pracowałem cały tydzień.

Lissa wykrzywiła się do niego.

- Prawda jest taka: oczekujesz, że któraś z nas zrobi pranie, bo jesteśmy dziewczynami.

Znowu odezwał się klakson. Matt przełknął bez słowa komentarz siostry i zwrócił się do Carly.

- Nie wychodź z domu. - Popatrzył na Lissę. - Przygotuj dla jednej z nich mój pokój, a dla drugiej sypialnię Erin. Wątpię, żeby wróciła tej nocy do domu, a ja prześpię się na kanapie.

- Rozkaz, kapitanie. - Lissa zasalutowała. Matt rzucił jej wściekłe spojrzenie.

Klakson zabrzmiał tym razem dłużej niż poprzednio. - N a razie - rzucił Matt i wyszedł.

- Ostrzegam, jest miły, ale lubi rządzić - powiedziała jego siostra.

Carly, która wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknął Matt, rozejrzała się z poczuciem winy dookoła i dostrzegła, że Lissa lustruje ją uważnym wzrokiem.

- Teraz cię sobie przypominam! - zawołała nagle dziewczyna. - Mieszkałaś w starym domu Beadle Mansion, zawsze nosiłaś takie śmieszne sukienki z falbankami i miałaś burzę loków. Czy to nie ty łąziłaś wszędzie za Mattem?

Zaskoczona Carly aż się zachnęła, ale natychmiast się opanowała, mając nadzieję, że żadne z

tamtych nic nie zauważyło.

- Czasami chyba tak. Wykonywał różne prace u mojej babki. Przyszedł czas, aby wrzucić kamyczek do ogródka Lissy, zanim siostrzyczka Matta przypomni sobie jakieś inne równie kłopotliwe fakty. Carly niezbyt często widywała siostry Converse - jej babka rzadko pozwalała na wizyty w domu Matta czy nawet w "biednych" częściach miasta, gdzie mieszkał z rodziną - ale częste kontakty z chłopcem sprawiały, że i tak spotykała je od czasu do czasu.

- Tak się składa, że ja także cię pamiętam. Byłaś jeszcze malutka i ciągle się przewracałaś, ponieważ nie umiałaś dobrze zasznurować butów, poza tym wiecznie płakałaś z jakiegoś powodu. Raz dlatego, że chłopak z sąsiedztwa wcisnął ci gumę do zucia we włosy. Błagałaś wtedy Matta, żeby ją wyciągnął. A on wyjął z kieszeni scyzoryk i odciął ci cały pukiel. Wydawało mu się, że tak będzie najlepiej, ale gdy zobaczyłaś swoje włosy w jego ręku, potwornie się rozryczałaś. Matt był tym zniesmaczony.

Lissa się skrzywiła.

- To podobne do mnie - i do Matta.

- Przepraszam - odezwała się grzecznie Sandra, przestępując z nogi na nogę w sposób znany tylko Carly. - Czy mogłabym skorzystać z toalety?

Ze spojrzenia, jakie rzuciła Carly, widać było jasno, że przyjaciółce nie wolno tego komentować.

- Oczywiście. Proszę tędy. - Lissa, już w znacznie lepszym humorze, który wywołały wspomnienia z dzieciństwa, ruszyła w głąb domu. - Chodźcie za mną, pokażę wam drogę.

Poszły za nią do kuchni, która była jasna i wesoła, zabudowana białymi szafkami, ze ścianami wyklejonymi tapetą w kratkę. Z kuchni przechodziło się do łazienki i pralni. Na podłodze w pralni piętrzyły się stosy brudnej bielizny. Na ten widok Carly się uśmiechnęła. Rzeczywiście ktoś powinien tu zrobić pranie.

- Mieszkaś z Mattem na stałe? Czy ...

Carly zastanawiała się, czy siostry Matta tylko go odwiedzają, ale Lissa przytaknęła. Obie stały oparte o ścianę kuchni i czekały na Sandrę, która znikła w łazience.

- Ja tu mieszkam, ale moje siostry już nie. A dokładnie będę tu mieszkała jeszcze miesiąc. Potem jędę na uniwersytet stanowy. Moja siostra Dani też się tam uczy, a Erin właśnie go skończyła.

Dani wróci tam ze mną, a Erin wychodzi za mąż. A więc w połowie następnego miesiąca Matt będzie już mieszkał sam, pierwszy raz od czasu, gdy sprowadził się tu po śmierci mamy. - Lissa się uśmiechnęła. - Staramy się go przyzwyczaić, że wkrótce nie będzie już miał nikogo, kto mógłby mu robić pranie i zajmować się innymi rzeczami. Obawiamy się, że może przeżyć pewnego rodzaju szok, gdy zostanie sam, bo dotąd my się nim opiekowałyśmy.

Pojawiła się Sandra i Lissa zaprowadziła je na górę. Najpierw pokazała Sandrze sypialnię Erin,

całą w falbankach, różach i bielach, a potem zabrała Carly do sypialni Matta. Resztę domu urządzonego w kobiecym stylu, w pastelowych barwach, kwiatowych wzorach, ozdobiono obrazkami, kwiatami i różnymi drobiazgami. W przeciwieństwie do tego pokój Matta był uderzająco surowy, z pustymi, białymi ścianami, beżową wykładziną, najbardziej tylko niezbędnymi meblami i kolejnym paskudnym fotelem, jeszcze bardziej zniszczonym niż tamten w salonie. Ten tutaj też stał na wprost małego telewizora. _ Nie pozwala nam niczego ruszać -

powiedziała Lissa przepraszającym tonem, rozglądając się po wnętrzu. - Powiedział, że podobają mu się tak, jak jest. Ma przynajmniej własną łazienkę• - Wskazała ręką na przeciwległą ścianę• - Jest tam.

Carly pokiwała głową i postawiła torbę. Padała ze zmęczenia. Po drodze z Chicago kompletnie ją wyczerpała. Gdy zaparkowała furgonetkę koło domu babki i wspinała się z Hugonem pod górę, marzyła tylko o tym, aby wziąć prysznic i położyć się spać. Wydarzenia, które później nastąpiły, ożywiły ją na trochę - słyszała, że tak działa duża dawka adrenaliny - ale podniecenie już opadło i znowu ogarnęło ją potworne zmęczenie. Nawet niepokój o kota nie powstrzymał jej od tęsknego spojrzenia w stronę łóżka.

- Dobranoc.

Lissa też to wyczuła i skierowała się do drzwi, ale zatrzymała się jeszcze z ręką na klamce i odwróciła do Carly ze złośliwym uśmiechem.

_ Poczekaj, aż Shelby się dowie, że Matt zaprosił cię na nocleg do domu. On nigdy nie zaprasza tu dziewczyn. Będzie wściekła.

Carly otworzyła szeroko oczy. Zanim zdążyła wyjaśnić, jakie okoliczności spowodowały ich wizytę o tak późnej porze, dziewczyna, wciąż się uśmiechając, pomachała do niej i wyszła z pokoju. Carly została sama. Stała z otwartymi ustami na środku sypialni Matta i nie pozostało jej nic innego, jak zastanowić się nad słowami Lissy _ znowu była na siebie wściekła, ale bardzo chciała się dowiedzieć, kim jest Shelby i co ją łączy z Mattem.

Jeżeli ten cholerny kocur należałby do kogoś innego niż do Carly, Matt z całą satysfakcją wrzuciłby go do stawu. Albo nie, jeszcze lepiej, zostawiłby go na drzewie, tam, gdzie go znalazł

Toler. Albo oddałby wstrętnego zwierzaka na pożarcie temu psu, który nadal czaił się w pobliskich krzakach, mając nadzieję na posiłek, i obserwował, jak Matt najpierw skłął swoich zastępców za tchórzostwo, a następnie, kiedy Toler i Antonio podśmiewali się za jego plecami, sam wspinał się na drzewo, aby ściągnąć tego prychającego i drapiącego tygrysięgo kuzyna.

Czuł, że jest to jednak winien Carly. To dobra okazja do załagodzenia spraw między nimi. Do tego stopnia, że był gotów zapomnieć o podrapanych do krwi rękach, a także o tym, że o mało nie spadł z drzewa, a jego zastępcy ryczeli ze śmiechu jak na festiwalu filmów Monty'ego Pythona. Niespodziewane spotkanie z Carly cofnęło go w czasie o dwanaście lat, do tamtej nocy, kiedy ta mała niezdara o kręconych włosach, którą niemal przez całe życie traktował jak swoją czwartą siostrę, przeobraziła się w kobietę. Piękną kobietę z dużymi, błękitnymi oczami, które wpatrywały się w niego z uwielbieniem, z miękkimi, różowymi ustami, które drżały, gdy na nie patrzył. Przypomnił sobie jej szczupłe, sprężyste ciało osłonięte błyszczącą, jedwabną sukienką, która za każdym razem, gdy się obracali w tańcu, przylegała do niego bardziej niż jego własna bielizna. Wyświadczył jej przysługę, cholera, po prostu przysługę, idąc z nią na ten bal maturalny, ale jak wszystkie dobre uczynki, ten także zwrócił się przeciwko niemu i Matt nieźle oberwał po tyłku.

Nie mógł jej nawet obwiniać o to, co się wydarzyło. Miała dopiero osiemnaście lat i była tak bardzo pilnowana, strzeżona i chowana pod kloszem przez kostywną, dominującą babkę, że nigdy wcześniej nie chodziła na randki. Przez lata grzał się w blasku jej podziwu, reagując na szczerą admirację jak roślina na promienie słoneczne, i odwzajemniał się niedbałym uczuciem, które rzadko przeradzało się w prawdziwą czułość. W tamtych czasach większość mieszkańców Benton traktowała go jak łobuza, ale nie Carly. Uważała, że jest wspaniały, a on o tym wiedział; teraz dopiero uświadomił sobie, że był tym wręcz wzruszony i to go motywowało, aby okazać się lepszym, niż był naprawdę. Kiedy spotkał Carly płaczącą z powodu braku partnera na bal maturalny, łatwo udało mu się ją pocieszyć.

Zadziwiła go jednak. Tamtej nocy to małe, brzydkie kaczątko przemieniło się we wspaniałego łabędzia i kiedy wyszła na werandę, aby się z nim przywitać, nie mógł wprost uwierzyć własnym oczom. Bez najmniejszego problemu sprostał wyzwaniu, tańczył z nią w udekorowanej krepiną sali gimnastycznej i sprawił, że do brzo wypadła na tle innych dziewcząt. Trzymał ją także z daleka od ponczu z rumem, którego sam wchłonał wystarczająco dużo, aby odczuć jego dobroczynny wpływ. Nie umiał powiedzieć, kiedy po raz pierwszy się nią zainteresował, ale do czasu, gdy szykowali się do powrotu, był już tak napalony, że droga prosto do domu nie stanowiła jedynej możliwej opcji.

W samochodzie Carly przytuliła się do niego, ułożyła głowę na oparciu fotela, spojrzała na Matta miękkimi, rozmarzonymi oczami i wyznała, że większość koleżanek z klasy wynajęła pokoje w motelu w Benton, gdzie mają zamiar bawić się przez resztę nocy.

"Zapomnij o tym", powiedział szorstko, ponieważ poczuł się woźdzony na pokuszenie.

W drodze powrotnej do domu zachciało jej się jednak pić, a on pomyślał, że to dlatego, iż przez całą noc nie pozwolił jej wypić niczego poza kilkoma łykami wody z fontanny. Zatrzymał się po drodze przy 7-Eleven, gdzie kupił jej colę, a sobie piwo. Carly tak bardzo prosiła, aby pozwolił jej spróbować, że w końcu zjechał na żwirowe pobocze i dał jej się napić. Po pierwszym łyku, który szczęśliwie udało jej się przełknąć, odkaszlnęła, zmarszczyła nos i westchnęła z ulgą, że ma to już za sobą. On się zaśmiał i powiedział coś w rodzaju: "Carly, chyba nie jesteś jeszcze gotowa, aby pić piwo".

Wyprostowała się, spojrzała na niego i powiedziała: "Jestem gotowa na więcej, niż myślisz" i pocałowała go, gorąco i tak słodko jak mocno posłodzona kawa, prosto w usta.

Od tej chwili sytuacja wymknęła się spod kontroli i wszystko potoczyło się wprost do piekła.

Potem odwiózł ją do domu, przespał się kilka godzin, a kiedy się obudził i dotarło do niego, co zrobił, poczuł mdłości. Nie mógł spojrzeć sobie w twarz w lustrze. Nie mógł też spojrzeć w twarz Carly.

Co niby miałby jej powiedzieć? "Przepraszam, to był błąd, czuję się tak, jakbym przeleciał własną siostrę?".

Matt skrzywił się na to wspomnienie. Teraz uważał, że powinien był to powiedzieć, a jeżeli nie dosłownie to - oczywiście musiałby rzecz ująć łagodniej - to po prostu cokolwiek. Unikanie jej ze wstydu przez resztę lata było, jakby to powiedziała Lissa, niefajne.

Tak więc teraz uratuje tego jej wstrętnego kocura i przyniesie go jako rodzaj zadośćuczynienia.

Postanowił też, że w ciągu najbliższych dni zbierze siły i przeprosi ją za tamto z całego serca.

Mógł się oczywiście spodziewać, że zgodnie z nowym wcieleniem, jakie teraz prezentowała, powie mu, żeby pocałował się tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Uśmiechając się ponuro do własnych myśli, Matt wszedł do ciemnego domu - dzięki Bogu, tym razem nie spotkały go żadne niespodzianki - i zaczął iść po schodach, trzymając tego potwora o pazurach jak brzytwy w płóciennej torbie (pożyczył ją od Tolera), którą niósł przed sobą ostrożnie, jakby miał w niej bombę.

Było już po czwartej. Dom babki Carly został przeszukany, obfotografowany, zebrano też odciski palców. Przeczesano okolicę i zabudowania na terenie dookoła Beadle Mansion. Wtedy znaleziono tego przeklętego kota. Właśnie walczył z nim, aby nie wyłaził z torby, gdy zadzwonił

telefon. Na linii była Cindy Nichols, która skarżyła się na upiorne stukanie w jej sypialni, co śmiertelnie ją przeraziło. Ponieważ pani Nichols dostawała coraz większej paranoi na tle rzekomego ducha przebywającego w jej domu, a Matt już kilkakrotnie osobiście ją uspokajał, nie czuł się zobowiązany, aby zrobić to także tym razem. Natomiast po ustaleniu miejsca ukrycia się kobiety - schowała się w szafie w sypialni i rozmawiała z nim cicho przez telefon komórkowy,

aby duch się nie domyślił, gdzie była - polecił, aby zajął się tą sprawą Antonio, który naśmiewał się głośno z walki szefa z kotem.

Miał też nadzieję, że tym razem duch okaże się zdolny, gotowy i chętny do postraszenia jeszcze kogoś poza panią Nichols. Na przykład Antonia.

Dopiero teraz dzień naprawdę się skończył i Matt mógł wreszcie, trzymając w torbie swój podarunek na zgodę, położyć się spać. Był w pracy od siódmej rano poprzedniego dnia i czuł się śmiertelnie zmęczony. Rada miejska będzie musiała go posłuchać i znaleźć fundusze na jeszcze jednego pracownika, a najlepiej dwóch, albo niech sami zaczną pełnić nocne dyżury.

Na szczycie schodów zatrzymał się, nie mogąc sobie przypomnieć, w którym pokoju spała Carly. Zresztą, co za różnica, którąkolwiek sypialnię wybierze - swoją czy Erin - miał pięćdziesiąt procent szansy, że się nie pomyli. Tak czy inaczej, najważniejsze było to, aby sam nie spał w zasięgu pazurów tego zwierzaka z piekła rodem. Jego sypialnia miała mocne drzwi i dobry zamek, a to w tej sytuacji najbardziej się liczyło. Musi dobrze zamknąć swojego więźnia i sprawdzić, czy Dani wróciła do domu, a jeśli tak, zejdzie na dół i położy się spać. Jeżeli zaś nie wróciła...

Do diabła, przecież skończyła już dwadzieścia lat. Przez dziewięć miesięcy w roku była poza domem, na studiach, i nie miał pojęcia, jak spędzała wtedy noce. Jeżeli siostry nie będzie w sypialni, on i tak pójdzie na dół, zwali się na kanapę i zaśnie.

Cichutko otworzył drzwi do swojego pokoju, aby nie obudzić osoby, która tam spała. Blokując wyjście własnym ciałem, żeby ten cholerny kot nie uciekł, i zachowując się możliwie cicho, wywrócił torbę do góry nogami i wytrząsnął z niej potwora. Nie bez satysfakcji usłyszał, jak kocur z głośnym stukotem wylądował na podłodze, a następnie przykucnął i oszołomiony zaczął

machać ogonem. Matt nadal przyglądał się zwierzakowi, gdy nagle uświadomił sobie, że widzi go całkiem wyraźnie, ponieważ w pokoju jest jaśniej niż w reszcie domu pogrążonego w ciemnościach. Rozejrzał się i zrozumiał dlaczego: w łazience paliło się światło. Drzwi były tylko odrobinę uchylone, ale to wystarczyło. Spojrzał na łóżko, aby się zorientować, czy zajmuje je Carly czy jej przyjaciółka. Aż zmarszczył brwi ze zdziwienia, kiedy okazało się, że jest puste.

Poduszki rozrzucone, kołdra odsunięta, ale nikogo tam nie było.

Przyszło mu do głowy, że zapewne osoba, która tu spała, poszła na chwilę do łazienki, gdy jego spojrzenie z niezrozumiałej przyczyny powędrowało w kąt pokoju. Tam, na jego starym, wygodnym fotelu siedziała Carly. Zwinięta w kłębek, z nogami podciągniętymi pod brodę, wydawała się niesamowicie mała i zagubiona.

Patrzyła na niego. Ukryta w ciemnościach, wtulona w jego fotel, siedziała cicho i nieruchomo w nadziei, jak mu się wydawało, że nie zostanie zauważona, i śledziła każdy jego ruch. Natychmiast ogarnęło go zdenerwowanie, a zarazem poczucie winy, gdy przypomniał sobie, z jakim brakiem delikatności obchodził się z jej kotem.

Po chwili dotarło do niego coś jeszcze. Carly zaciskała sobie pięścią usta i za wszelką cenę starała się powstrzymać płacz, co mimo rozpaczliwych wysiłków nie do końca jej się udawało.

Cholera. Wcale nie chciał nic wiedzieć. Naprawdę, nie chciał.

Przez ostatnie siedem lat tonął w morzu kobiecych różowości. Od śmierci matki, kiedy zrezygnował z obiecującej kariery w piechocie morskiej i wrócił do domu, aby zająć się młodszymi siostrami, co-dziennie miał do czynienia z pełnym wachlarzem zupełnie niezrozumiałych dla niego dziewczęcych emocji. I czy teraz, kiedy wreszcie widział światło w tunelu, musiał dodawać jeszcze jedną rozkapry-szoną kobietę do morza swoich problemów?

Nie. Do diabła, nie. Nie ma mowy.

Ale to była Cady. Troszczył się o nią, odkąd skończyła osiem lat.

Ku swojemu niezadowoleniu odkrył, że jego instynkty opiekuńcze w stosunku do Carly nadal są bardzo silne. Ich przyjaźń być może została wystawiona na ciężką próbę dawno temu, na tylnym siedzeniu jego samochodu, ale sama podstawa ich relacji pozostała nie-łknięta. Zaczęło do niego docierać, że tak długa znajomość przypomina trochę jazdę na rowerze - jeśli już się tego nauczysz, to na zawsze odcisnie ci się w mózgu. Nie mógł więc teraz po prostu odejść i zostawić jej siedzącej w ciemnościach i płaczącej.

Do cholery z tym!

- Hej - powiedział, starając się, aby zabrzmiało to lekko. - Co się dzieje?

- Odejdź.

Jej głos był wyraźnie zachrypnięty - z własnych gorzkich do-świadczeń domyślił się, że musiała płakać już dobrą chwilę -i brzmiał zdecydowanie wrogo.

Dobrze, pomyślał. Nie chce, aby został. Jest więc usprawiedliwio-ny. Może po prostu podwinąć ogon i ...

Zachlipała. To nie było delikatne, ciche westchnienie, ale porząd-ne, solidne chlipnięcie z głębi serca.

- Cholera - wymamrotał, przeklinając pecha, który kazał mu wejść akurat do tej sypialni i zamknąć za sobą drzwi.

Kot, bynajmniej nienastawiony przyjacielsko, zaczął parskać, gdy Matt ruszył w stronę fotela, ale potem czmychnął pod łóżko. Matt nie zwracał na niego uwagi. Wściekły, że otworzył drzwi właśnie w takiej chwili, podszedł do Carly, stanął przed fotelem i spojrzał na nią z uwa-gą. W

sunął ręce do kieszeni i kołysząc się na piętach, przyglądał się jej w ciszy przez gęsty cień, jaki rzucało na nią oparcie. Uniosła ku nie-mu oczy, w których odbijało się światło padające z łazienki.

Pomyślał, że wyglądała na jeszcze drobniejszą i bardziej bezbronną niż wtedy, gdy patrzył na nią z drugiego końca pokoju. Jej ciało było zwinięte tak mocno jak spinacz do papieru, odchyliła głowę głębokoboko na oparcie fotela i w ciemności widział białą twarz i szyję Carly. Miała na sobie długie spodnie od pizamy, spod których wystawały gołe stopy, i krótką, dzianinową bluzeczkę, odsłaniającą brzuch. Poza zmianą koloru włosów i kobiecymi krągłościami, których nie mógł nie zauważyć, wyglądała dokładnie tak samo, jak ją zapamiętał, gdy miała szesnaście lat.

Cholera.

- Znalazłem twojego kota.

Jeśli tym się martwiła, to miał szczęście; problem został rozwiązany.

- Uuuu. Bardzo dziękuję. A teraz się wynoś.

Czy w ogóle miał kiedykolwiek szczęście? Mówiła drżącym i urywanym głosem, a po jej tonie Matt zorientował się, że nie o kota chodziło. Znając kobiety, uznał, że przyczyną płaczu mogło być właściwie wszystko. Cokolwiek jednak było powodem, że odkręciła kurki, lało się z nich dość mocno. Patrząc na twarz Carly zwróconą w jego stronę, widział, że miała zapuchnięte oczy i czerwony nos. Jej twarz błyszczała od świeżych śladów łez na policzkach.

Cholera.

- No dobrze, Curls, daj spokój. W czym problem?

No tak, nie zachował się zbyt delikatnie. Dosłownie padał z nóg i płacząca kobieta - każda płacząca kobieta - to ostatnia rzecz na świecie, jaką chciałby się właśnie w tej chwili zajmować.

Ale się zajmował, co w jego opinii bardzo się liczyło.

Zmrużyła oczy.

_ Właściwie jakiej części "wynoś się" nie rozumiesz?

Jej niechęć podzielała na niego dokładnie odwrotnie, niż Carly zapewne sobie życzyła. Matt się rozczulił. Wydawała się niewiele większa od komara i taka dziewczęca z tymi wielkimi, błękitnymi oczami i kręconymi włosami, a całe życie musiała walczyć. Nawet bardziej niż on. Doświadczyła w życiu wiele cierpienia, a mimo to się nie poddawała, była pełna energii. Podziwiał takich ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiety.

_ Teraz powiesz mi, o co chodzi. Chcę wiedzieć, dlaczego płaczesz, i nie ruszę się stąd, dopóki tego nie usłyszę•

_ No to stój sobie nawet całą noc, nic mnie to nie obchodzi. Matt westchnął. Wyglądało na to, że prędko nie pójdzie spać. - Wiesz, że zachowujesz się cholernie dziecinnie?

_ No to co? Ty jesteś za to cholernie wścibski, a zatem remis. A poza tym, to nie twój zasrany

interes, dlaczego płacę•

_ Oczywiście, że to mój interes. Hej, jestem przecież twoim najstarszym przyjacielem.

Czasami z kobietami można coś działać za pomocą pochlebstwa.

Zrobiło się późno, a on był bardzo zmęczony i uznał, że warto spróbować wszystkiego.

_ To będzie pewnie dla ciebie kolejny szok: nie jesteśmy przyjaciółmi. Nawet nie jesteśmy już znajomymi.

Tyle działał pochlebstwem. Znowu chlipnęła, tak głośno jak przedtem. Matt stracił nadzieję, że uda mu się chociaż trochę zdrzemnąć przed świtem, i zrezygnowany ukucnął przed nią.

- O co chodzi, skarbie?

W jego głosie było tyle czułości, że sam się zdziwił.

Zerknęła na niego. Spojrzenie byłoby przyjazne, gdyby nie to, że drżały jej usta.

_ Miałam zły sen, po prostu. Obudziłam się, ale już wszystko w porządku. A raczej byłoby, gdybyś sobie poszedł i zajął się swoimi sprawami, a mnie pozwolił zajmować się swoimi.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Nie.

- Chodzi o twoją matkę?

Jej matka była zaniedbaną, uganijającą się za facetami alkoholiczką, która całymi dniami zostawiała swoje jedyne dziecko na łasce sąsiadów i balangowała, gdzie się dało. Pewnego dnia po prostu więcej się nie pokazała; potem Carly się dowiedziała, że wyjechała do Kaliforni i rozpoczęła nowe życie z ostatnim z kochanków. Po pewnym czasie, kiedy sąsiedzi zorientowali się, że matka Carly uciekła, wezwali opiekę społeczną, aby zabrała dziecko. Tak się też stało i dziewczynka znalazła się w domu dla dzieci w kryzysowych sytuacjach. Pozostała tam, dopóki babka, której nigdy w życiu nie widziała, nie przyjechała, aby ją zabrać. Matt znał tę historię, ponieważ wszyscy w Benton o tym plotkowali. Natomiast o tym, że jeszcze przez wiele lat śniły jej się koszmary, w których matka ją opuszczała, wiedział tylko on. Carly sama mu to powiedziała, kwiląc jak małe, zranione zwierzątko w jego niezgrabnych i kancianych ramionach. O ile pamiętał, płakała tylko z powodu wspomnień o matce.

- Nie!

Na jej twarzy znowu pojawiła się wściekłość. Zdecydowanie nie chciała pamiętać, że on znał jej wrażliwe miejsca.

- Na pewno?

- Nie! To ma związek z Domem, rozumiesz?

- Aha. - Pamiętał, że Domem nazywała miejsce, w którym przebywała, zanim zabrała ją babka. -

To pewnie coś przykrego, skoro płaczesz.

- To było okropne.

Jej głos drżał i Matt domyślił się, że mówiła raczej o jakimś doświadczeniu, a nie o złym śnie. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nigdy ani jednym słowem nie wspominała o czasie, jaki tam spędziła. Nie była tam długo - z pewnością nie więcej niż tydzień lub dwa. Aż do tej pory wydawało mu się, że to za krótko, aby mieć złe wspomnienia. Jej babka lubiła powtarzać, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Carly nie dostała od swojej starej, surowej babki zbyt wielu wskazówek, jak sobie radzić z bolesną przeszłością.

- No to mi opowiedz.

- Przez całe lata nawet o tym nie myślałam - odezwała się tak cicho, że ledwie ją słyszał. - Nie mam pojęcia, co mi się stało ... Dziś w nocy z jakiegoś powodu śniło mi się, że tam wróciłam.

Pamiętam te stare, metalowe łóżka, które przy każdym ruchu skrzypiały. W tym śnie też usłyszałam takie skrzypienie. - Zamilkła i wzięła głębokimi oddech. - Tak bardzo się przeraziłam.

Jej głos drżał. Przycisnęła pięść do ust, starając się z całej siły powstrzymać płacz, i śmiało spojrzała na niego, jakby oczekując reakcji. Potem jednak emocje wzięły górę nad odwagą i po policzkach popłynęły jej łzy.

Te łzy ugodziły go w samo serce.

- Hej - powiedział i wstał.

Nawet nie usiłowała się bronić, gdy uniósł ją z taką łatwością, jakby była małą dziewczynką, i usiadłszy na fotelu, posadził ją sobie na kolanach. Zarzuciła mu ręce na szyję, wtuliła twarz w jego ramiona i rozszlochała się, wypłakując na jego piersi ocean łez. Matt nie odzywał się, mamrotał tylko "szsz" i „już dobrze" w przerwach między atakami płaczu, ale obejmował Cady mocno i słuchał jej, w większości niezrozumiałych, pomrukiwań, a przede wszystkim był przy niej, co w takich sytuacjach jest najważniejsze, o czym przekonał się przez lata metodą prób i błędów.

W końcu się wypłakała. Leżała wiotka i zmęczona na jego piersi, nadal obejmując go za szyję, ale jej uścisk nie był już taki mocny jak wcześniej. Oddychała jeszcze głośno - czuł nierówne unoszenie się i opadanie jej piersi -lecz łkanie ustało.

- Lepiej?

Odgarnął jej włosy z ucha, które znalazło się tuż przy jego ustach. Sprężyste loki zawinęły się wokół jego palców, chłodne i lekko szorstkie, takie jak pamiętał z czasów, kiedy je gładził. Gdy to mówił, jego policzek dotknął policzka Cady. Jej skóra była wilgotna. I jedwabście miękka.

Delikatnie pachniała, a zapach przypominał Irish Spring -

musiała się umyć jego mydłem - i jakimś owocowym

szamponem.

Pokiwała głową. Nie widział tego, ale czuł.

_ Czuję się jak idiotka - powiedziała niepewnym głosem, z twarzą nadal poza zasięgiem jego wzroku. - Nigdy nie płaczę• No, w każdym razie bardzo rzadko.

_ Wiem. - Jego palce nadal bawiły się jej włosami.

_ Powinieneś po prostu mnie zostawić. Wszystko byłoby w porządku.

- Wiem.

_ To cały ty. Jesteś jedyną osobą, przy której płaczę• Wyzwalasz we mnie łzy.

- Zawsze do usług.

Zaczerpnęła głęboki haust powietrza, wyprostowała się i spojrzała na niego.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Obiema rękami otarła mokre policzki.

- W co?

Przyglądał jej się beznamiętnie. Siedziała wyprostowana na jego kolanach, machając nogami, które wisiały nad podłogą, a jego ramiona luźno obejmowały jej talię. Była miękka, ciepła i bardzo kobieca, a od pewnego czasu wyraźnie czuł na swoich udach zaokrąglenia jej pośladków.

Za każdym razem, gdy zmieniała pozycję, rosła w nim świadomość jej ciała. To nie było nic złego, ale Carly niekoniecznie musiała o tym wiedzieć.

- Ty. Ja. To.

Wykonała gest, którym ogarnęła ich dwoje i fotel. Znowu się poruszyła i potarła nos wierzchem dłoni. Matt uśmiechnął się na ten znajomy gest, który nieodparcie kojarzył mu się z nieustraszoną, małą dziewczynką, jaką kiedyś była. Carly spojrzała na niego i zeszywniała. Jej wzrok stał się nagle surowy i nieprzyjemny.

- Dupek.

Uśmiechając się, zapewne popełnił błąd.

Był tak zmęczony, że nie czuł swoich kości, jakby stanowił jedność z fotelem, a najmniejszy nawet ruch wymagał od niego niebywałego wysiłku. Położył głowę na oparciu z winylu i splecionymi

dłońmi gładził Carly po plecach. Skłamałby, gdyby powiedział, że kontakt z jej ciałem nie sprawiał mu przyjemności. Było mu ciepło, wygodnie i czuł się nawet trochę podniecony, gdyż kobieta na jego kolanach należała do tych, z którymi poszedłby do łóżka z wielką rozkoszą, pod warunkiem jednak, że to nie byłaby Carly, bo taki błąd już raz popełnił.

Niemniej patrzył na nią z przyjemnością: ładna twarz, której nie szpeciły opuchnięte oczy i czerwony nos, a nawet gniewne spojrzenie, skierowane w jego stronę; jej wąskie ramiona były niemal nagie, osłonięte tylko dwoma cienkimi paseczkami z szydełkowych stokrottek. Miękkie, okrągłe piersi wyjątkowo się powiększyły, odkąd po raz ostatni miał okazję rzucić na nie okiem, a teraz rysowały się podniecająco pod cienką, jasną, skąpą bluzeczką; szczupła, kształtna talia i lekko opalona skóra. Reszty nie widział, była zakryta od pasa w dół spodniami od pizamy, ale właściwie nie musiał patrzeć, aby wiedzieć, że pod spodem było stuprocentowe, kobiece ciało.

Coraz wyraźniej przypominał sobie, co raczej nie było dla niego najlepsze, jej gładki i płaski brzuch, smukłe nogi, a także trójkątne futerko z gąszczem drobnych loczków, bardziej gęstych niż te na głowie. I tyłeczek - dośkonale pamiętał jej tyłeczek. Był uroczy, okrągły i seksowny jak cholera, nawet zanim jeszcze Matt ściągnął z niej białe, bawełniane majtki, które miała pod suknią balową.

Jego ciało zaczynało bezwiednie reagować. W takich okolicznościach niewątpliwym błędem było przywoływanie tych szczególnych wspomnień.

- Słyszałeś, co powiedziałam?

Mówiła teraz wyraźnie, pełnym oburzenia głosem. Zmusił się, aby nie myśleć o tym, że wierciła się na jego kolanach, i ze wszystkich sił skupił się na jej słowach.

- Nazwałam cię dupkiem.

_ Słyszałem - odrzekł uprzejmie. Był naprawdę zbyt zmęczony, aby polemizować, a poza tym miała rację. - Nie zaprzeczam.

- Co?

Och. To było raczej uderzenie niż kręcenie się, ale cholernie skuteczne.

- Masz rację - wyjaśnił. - Jestem dupkiem.

Spojrzenie, jakie mu posłała, mogłoby wypalić oczy .. Czyż to nie bardzo kobiece? Zgadzasz się z nimi, a wtedy wściekają się jeszcze bardziej.

Przypomniał sobie, że zawsze uważał, iż Carly wygląda uroczo, gdy się złości.

_ Czy ty w ogóle wiesz, o czym ja mówię? - zapytała z oburzeniem.

Siedziała już nieruchomo, ale w znakomitym miejscu. Rozplótł palce i płasko przycisnął je do jej pleców. Jej skóra miała miękkość atlasu. Powoli zaczął przesuwac dłonie ku dołowi ...

Nie. Byłeś tam i zrobiłeś to. Powstrzymaj się; to zakazane; błąd.

Niebezpieczeństwo.

Jego palce znowu splotły się za jej plecami.

— Oczywiście, że wiem, o czym mówisz. Po dwunastu latach wciąż jesteś na mnie wściekła, ponieważ zerwałem twój kwiatusek, a potem się nie odezwałem.

Powiedział to celowo, aby ją rozzłościć, po pierwsze dlatego, że chciał sprawdzić, czy jej oczy nadal rzucają iskry, a policzki różowieją, jak to zapamiętał, a po drugie miał nadzieję, iż tak ją zirytuje, że Carly zeskoczy z jego kolan i zakończy tę torturę, zanim on sam się podda i nie będzie miał siły dłużej się powstrzymywać. Zapewne łatwiej byłoby po prostu zdjąć ją z kolan, ale nie czuł w sobie tyle siły woli. Nie, uznał, gdy nagle tak mocno napięła mięśnie, że zaczął się obawiać, aby jej twardy tyłeczek czegoś mu nie złamał - na przykład najbardziej życiodajnej części jego ciała - zdecydowanie nie znalazł w sobie na to dość siły.

Tak jak się spodziewał, w jej szeroko otwartych oczach pojawiły się iskry. Policzki pociemniały, gdy pokrył je ciemny rumieniec. Przez rozchylone usta z trudem chwytła powietrze. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zamachnęła się na niego.

Chociaż zmęczony, był na tyle szybki, aby chwycić jej rękę, zanim dosięgła jego szczęki.

Trzymając ją mocno, zareagował ostro na nieoczekiwany atak. Odwrócił się i zepchnął ją z kolan. W trakcie szamotaniny oboje przewrócili się nagle. Przez moment Carly leżała nieruchomo, ciężko dysząc, przyciśnięta do piersi Matta, z nogami oplecionymi wokół niego, on zaś obejmował ją lewym ramieniem tak mocno, że nie mogła się ruszyć, i cały czas trzymał ją za rękę.

Ich oczy się spotkały.

- Skurczybyk - powiedziała, trzęsąc się ze złości.

Ich twarze były tuż obok siebie. Matt bez trudu zauważył furję w jej oczach i grymas wściekłości na ustach. Nie szarpała się, ale ciężko oddychała, bardziej ze złości niż z wysiłku, tak mu się wydawało. Czuł jej piersi na swoim torsie, czuł ich miękkość i ciepło. Wdychał zapach owoców, a także Irish Spring i nagle przed oczami stanął mu obraz Carly biorącej prysznic w jego łazience, nagiej, całej w pianie z mydła.

- Parszywy skurczybyk. Nędzny, parszywy ...

Do cholery, znowu miała rację. Był skurczybykiem. Wiedział o tym lepiej niż ona. W tym momencie, nie bacząc na wszystko, mimo głębokiego uczucia, jakim nadal ją darzył, a także wyraźnych i obecnych w jego myślach wspomnień o porażce, jaką poniósł, gdy ostatni raz dał się ponieść przy Carly seksualnym instynktom, mimo jej uzasadnionej wściekłości i własnego zasłużonego wstydu, pragnął jej tak bardzo, że to pragnienie sprawiało mu wręcz fizyczny ból.

- ... skurczybyk - dokończyła, dysząc nienawiścią.

- Przepraszam - powiedział z przekonaniem.

Przeprosiny były bardzo spóźnione i nie zamierzał jej już dłużej prowokować. Miał nieodparte przeczucie, że jest za późno, by zrobić cokolwiek, aby rozłzocić Carly na tyle, że odwróciłaby się od niego, zanim on mógłby poskromić swoje prymitywne instynkty.

- Nie powinienem był dopuścić, aby tamtej nocy po twoim balu naturalnym sprawy wymknęły się spod kontroli. A kiedy już się tak stało, nie powinienem był ciebie unikać. Problem był w tym, że kompletnie się nie spodziewałem, że dojdzie między nami do czegoś takiego. Byliśmy kumplami, kompanami. Przyjaciółmi. Kiedy obudziłem się następnego ranka i uświadomiłem sobie, co zrobiłem, poczułem się tak, jakbym zawiódł twoje zaufanie, i było mi po prostu wstyd.

Dlatego trzymałem się od ciebie z daleka.

Jego przeprosiny brzmiały przekonująco, logicznie i absolutnie szczerze. Zwolnił chwyt i czekał, co się stanie. Jeśli Carly nadal będzie chciała mu dać w twarz, gotów był przyjąć to jak mężczyzna. Milczała i patrzyła tylko na niego, a jej uwolnione palce swobodnie spoczywały na jego piersi. Miał wrażenie, że z jej ciała odpłynęło całe napięcie. Poczłł giętkość jej kręgosłupa, czuł, jak opadają jej zeszywniałe ramiona. I czuł ciepło. Wolno płynące od niej fale ciepła.

_ Byłem jeszcze dzieciakiem - kontynuował, nie spuszczać z niej oczu, zdecydowany wyrzucić z siebie wszystko aż do końca, a potem wyjść, zanim zrobi coś, czego z pewnością będzie później żałował. - Głupim dzieciakiem. I tak się właśnie zachowałem - jak głupi szczeniak.

Przebacz mi, proszę•

Carly zamknęła oczy, a jej dłonie powędrowały w górę i zatrzymały się na jego ramionach.

Zmieniła pozycję i leżała teraz na nim, pierś na piersi, uda na udach. Człł jej miękkie krągłości i ciepło, od którego kręciło mu się w głowie. Człł na piersi bicie jej serca. Człł zapach Irish Spring.

To błąd. Wstań. Wyjdź, powtarzał sobie w myślach.

Ale nie zrobił tego. Ścisnął ją tylko mocniej w tali, czując niesłychanie wyraźny dotyk nagiego ciała Carly i pragnienie, aby przesunąć ręce w dół.

Otworzyła oczy i ich spojrzenia się spotkały.

- Ja ... - zaczęła.

Ale cokolwiek chciała powiedzieć, umilkła nagle i zwilżyła usta koniuszkiem języka. Patrząc na nią z zachwytem, Matt uświadomił sobie, że jej milczenie miało związek z wędrówką jego palców, które ześlizgnęły się pod pasek spodni od piżamy, tuż nad jej tyłeczkiem. Stracił już kontrolę nad swoimi rękami; robiły dokładnie to, co chciały. Nie znajdował w sobie wystarczająco dużo siły, aby nawet spróbować je wycofać.

- Matt - powiedziała i znowu urwała, z trudem łapiąc powietrze. Dokładnie wiedział, jak głęboki i

drżący był jej oddech, ponieważ czuł na torsie, jak unosiła się jej klatka piersiowa - i ponieważ przyglądał się jej otwartym, drżącym ustom. Nagle przypomniał sobie, jak miękkie były te wargi, jak słodkie i gorące ...

Zamknęła oczy; jej twarz zbliżyła się do jego twarzy. I wtedy, Boże pomóż, nawiedził go jeden z tych zaników pamięci i Matt zapomniał, dlaczego to był taki zły pomysł. Oszołomiony nieprawdopodobną, ale silną kombinacją woni Irish Spring, mydła i miękkich, ciepłych krągłości jej ciała, pochylił głowę i pocałował Carly.

Dwanaście lat, jeden mąż, a później kilku facetów, a mimo to nadal umiera z tęsknoty za jego pocałunkami, ponuro skonstatowała Carly. Powinna się do tego przyznać: pragnęła Matta i kropka. Tej nocy tak bardzo tęskniła i marzyła, aby z nim być, jak wtedy, gdy była zakochaną nastolatką z nadmiernie rozbudzoną potrzebą miłości. A nawet bardziej. Ponieważ teraz dorosła na tyle, że dokładnie wiedziała, za czym tęskniła i na co miała ochotę.

A on był na tyle dorosły, że mógł jej to dać.

Carly wiedziała o tym od chwili, gdy ich usta się spotkały. Najpierw zaledwie musnął jej wargi, całował ją delikatnie i leciutko. Jego usta były stanowcze, suche i prowokacyjnie czułe. Był dużo potężniejszy od niej: wyższy, szerszy i silniejszy, masywny tam, gdzie ona była miękka, stanowczy, kiedy ona była uступliwa. Podobały jej się te wszystkie różnice, podobała jej się jego spokojna siła i muskułatura. Zawsze jej się podobał.

I lubiła jego pocałunki.

Jego dłonie, które gładziły jej nagie plecy, wsunęły się pod pasek od spodni piżamy, a nawet ześlizgnęły jeszcze niżej, na moment się zatrzymały, a potem przygarnęły ją mocniej. Dowód jego pożądania objawił się między nimi nagle, bezbłędnie wyczuwalny, tak że nie sposób było go nie zauważyć. Jej rozsądek, nieprzestający wyliczać wszystkich powodów, dla których nie powinna dopuścić do takiej sytuacji z Mattem, zaczął tracić nad nią kontrolę. W głębi ciała poczuła napięcie i drzenie.

Już dawno, bardzo dawno jej się to nie zdarzało.

- Powiedz, że mi wybaczyłeś - wyszeptał, a jego usta znalazły się tak blisko jej warg, że czuła ciepły oddech.

Koncentrując się do granic możliwości, otworzyła oczy.; otworzyła także usta, zdecydowana coś mu powiedzieć, ale nie mogła.

Pocałował ją znowu, delikatnie i pieścizotliwie.

W ciągu dwunastu lat nauczył się więc trudnej sztuki delikatności, pomyślała Carly, z całej siły powstrzymując się, aby nie odwzajemnić czułości Matta i nie wypaść żałosnie. Zdecydowana nie wykonać ostatecznego gestu przyzwolenia, jakim byłoby zarzucenie mu rąk na szyję, pozwoliła zwyciężyć pokusie i oddała mu pocałunek.

Po prostu pocałunek. Tylko pocałunek. Boże, był w tym bardzo dobry.

- Carly ...

Pierwszy przerwał pocałunek i odsunął usta.

Jego głos zabrzmiał chrapliwie, nisko, był mocniejszy niż przedtem.

Carly zmusiła się do uchylenia oczu. Dostrzegła włosy Matta, zmierzwione i niesforne, obcięte krócej niż wtedy, dwanaście lat temu, na tyle jednak długie, aby mogła zauważyć ich tendencję do lekkiego falowania. Na czole nadal miał przyklejony plaster z opatrunkiem, przypominający jej, że coś się zmieniło: w Benton grasowali teraz włamywacze, a Matt, jakkolwiek niewiarygodnie to brzmiało, był szeryfem, oni oboje zaś dorosli i w istocie stali się sobie obcy. Za-uważała, że on także na nią patrzył. Jego oczy nic się nie zmieniły. Ciemne, przykryte ciężkimi powiekami, obiecywały jej niewysłowione cielesne rozkosze. Jego usta także się nie zmieniły i miały tak zmysłowy wyraz, że nie mogła od nich oderwać wzroku.

Miała nadzieję, że jego widok ją otrzeźwi i przywróci jej rozsądek, ale zdała sobie sprawę, że efekt był wręcz odwrotny. To, co miało być rozwiązaniem, okazało się istotą jej problemu: tak, to był ten sam, dawny Matt. Ale gdy tak na niego patrzyła, wcale nie pomyślała, że to ten parszywy skurczybyk, tylko że to Matt. Przystojniejszy niż kiedykolwiek i dużo bardziej seksowny, potrafił

sprawić kobiecie rozkosz jak żaden inny mężczyzna, którego znała. To Matt _ ktoś tak dobrze jej znany, że nawet się nie zdziwiła, iż leży w jego ramionach.

_ Wybaczyła ci - powiedziała wreszcie na przekór instynktowi samoobrony, chociaż zdawała sobie sprawę, że jest o krok od zrobienia czegoś absolutnie niewybaczalnego, i próbowała zebrać siły, aby wyrwać się z jego objęć, zanim owo coś się stanie.

Spoczywali teraz twarzą w twarz na dużym fotelu, wtuleni w siebie. Matt ją obejmował, przyciskał do siebie, ale bez trudu mogła wysunąć się z jego ramion. Nic prostszego, po prostu należało usiąść, wstać i odejść.

Zrozumiała, że nie zdoła tego zrobić. Zaraz, może wkrótce, ale nie, jeszcze nie teraz.

- Aha - westchnął i uśmiechnął się do niej.

Przyglądając się łagodnemu wygięciu jego warg, Carly poczuła, że robi jej się gorąco. Nabrała powietrza i spojrzała na Matta. Jego oczy płonęły, znowu ją pocałował, tak samo delikatnie i miękko, ale przy tym tak namiętnie, że zakręciło jej się w głowie. Jak przez mgłę dotarło do niej, że być może ta powściągliwość była zamierzona, że Matt ją uwodził, unikając blokad, jakie normalnie jej zdrowy rozsądek powinien ustawić na jego drodze, ale już o to nie dbała. Zarost na jego brodzie był taki seksowny, czuła go na policzkach i podbródku. Jego ciało przylegało do jej ciała - mocne, gorące i bardzo męskie. I przyjemne - był taki przyjemny. Aż zadrzała, smakując tę przyjemność.

Musiał poczuć delikatne dreszcze, jakie przebiegły przez jej ciało, ponieważ nagle zeszywniał i wstrzymał oddech. Potem zaś, już bez żadnego ostrzeżenia, zaczął całować ją tak, jak tego pragnęła i jak o tym marzyła w samotne noce przez wszystkie owe długie lata. Poczowała jego język w ustach, wilgotny i łakomy, penetrujący, przesuwający się po jej wargach i prowokujący reakcję. Fala gorąca, która się w niej rozlewała, uderzyła nagle z siłą ognia podsyczonego benzyną. Carly zarzuciła ręce na szyję Matta, zamknęła oczy, zacisnęła palce i odwzajemniła pocałunek, zanurzając się w rozkosz, ostatkiem świadomości obiecując sobie, że zaraz potem się odsunie.

Ale jego dłonie znowu zaczęły swoją wędrówkę, ześlizgnęły się pod jej pizamę i dosięgły krągłości pośladków. Tam się zatrzymały.

Och, Boże. Serce waliło jej jak młotem. Wstrzymała oddech.

W dolnych partiach jej ciała, już doskonale świadomych, co się działo, przyjemne drżenie błyskawicznie przerodziło się w gwałtowny wybuch, niby trzęsienie ziemi. Jego mocne dłonie o długich palcach zostawiały niezatarty ślad na jej ciele. Pragnęła, aby pieściły jej pośladki.

Pragnęła tego tak bardzo, że omal nie wyciągnęła ręki, aby poprowadzić je we właściwe miejsce.

Obejmując Matta za szyję, całowała go z szaloną namiętnością, przysunęła się bliżej i ocierała się z nieznaną wcześniej bezwstydną o nabrzmiały twardy kształt pod jego dzinsami.

Matt uniósł głowę i przerwał pocałunek. Carly, niemal odurzona pożądaniem, otworzyła oczy i zobaczyła, że na nią patrzył. Oddychał ciężko, jego spojrzenie paliło ją, jego pierś dotykała jej piersi, a obejmujące ją ramiona zeszywniały. Całe ciało zdawało się pulsować namiętnością, co nie pozostawiało najmniejszej wątpliwości, jak bardzo był podniecony.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - powiedział jednak.

Miał chrapliwy, gardłowy głos. Wbrew temu, co powiedział, jego oczy płonęły i nie wykonał żadnego ruchu, aby wypuścić ją z ramion.

Widząc, jak na nią patrzył, Carly poczuła przyływ takiej namiętności, że musiała wziąć głęboki oddech, zanim się odezwała.

- Chyba nie.

- Powinniśmy tylko ...

Zamilkł i przytulił ją do siebie, jakby zaprzeczając własnym słowom.

Carly starała się zapanować nad oddechem.

- Tak, powinniśmy.

Zanim jeszcze skończyła mówić, jego ręce znowu rozpoczęły wędrówkę, ześlizgując się wreszcie na jej pośladki. Carly westchnęła i zadrżała z rozkoszy. Gorący dotyk jego dłoni o długich palcach, które pieściły jej skórę, przesyłał ogniste płomienie do koniuszków jej nerwów i roztopiał jej kości.

- O Boże, Matt.

Tylko na to było ją stać, nie chciała posunąć się za daleko. Walczyła dzielnie, powstrzymując się przed ostatecznym zatraceniem w namiętności. Spod ocieężałych powiek obserwowała, jak Matt patrzył na nią błyszczącymi oczami. Pamiętała, że zawsze dobrze wiedział, o czym myślała.

Domyśliła się, że bezbłędnie odczytał, jak bardzo była podniecona, i poczuła dreszcze przenikające jej ciało od stóp do głów.

- Nie nosisz majtek - powiedział. Jego głos brzmiał całkiem obco.

Carly nie miała już siły, aby wyjaśnić, że nigdy nie nosi majtek pod pizamą. Pokręciła tylko głową.

Zacisnął zęby, a jego uścisk stał się teraz mocniejszy. Obiema dłońmi gładził jej biodra, a chwilę potem przycisnął ją mocno do siebie.

Westchnęła, zadrżała i zamknęła oczy. Płonęła, wprost omdlewała z pożądania, pragnęła tego.

Straciła resztki zdrowego rozsądku, który uległ prawdziwej, staroświeckiej rozkoszy. Mocno objęła Matta za szyję, uniosła twarz i odnalazła jego usta. Pocałowała go, umarłaby, gdyby tego nie zrobiła.

Całował ją nieprzytomnie, aż Carly osłabła i zakręciło jej się w głowie. Jej ciało płonęło i drżało, czekając na niego. Nagle, zupełnie niespodziewanie po prostu odsunął usta od jej warg i uniósł

głowę. Jego dłonie ześlizgnęły się z jej pośladków, wysunęły się ze spodni od pizamy, a ramiona, którymi przed sekundą tak mocno ją obejmował, rozchyliły się i nawet już jej nie przytulał.

Zawiedziona i zdumiona, z trudem łapiąc oddech, Carly otworzyła oczy, aby zrozumieć, co się stało. Przez ułamek sekundy - była tak podniecona, że z trudem się skoncentrowała - widziała, jak spojrział ze zmarszczonymi brwiami na ich splecione ciała. Podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła, że jego ręce próbują jej zsunąć spodnie. Znowu poczuła nagły przypływ gorąca i uświadomiła sobie, że chciała być z nim naga, chciała, aby on też był nagi, na niej i w niej ...

Ich spojrzenia spotkały się, gdy wyciągnęła rękę, aby mu pomóc.

Mrużył oczy, które były teraz czarne i błyszczące jak onyks. Oddychał szybko, jakby przebiegł

długą drogę, a jego twarz pociemniała z namiętności. Carly poczuła, że się rozplywa, pragnęła go bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Musiał to odczytać z jej twarzy, bo gdy usiłowała niezdarnie mu pomóc, przeniósł ją na górę, cały czas gorączkowo usiłując ściągnąć jej pizamę. Carly straciła równowagę i zaczęła się z niego zsuwać. Próbował ją złapać i nagle oboje ześlizgnęli się z fotela i upadli na podłogę.

To nie był poważny upadek, nic się nie stało, a Carly wylądowała miękko na ciele Matta.

Niemniej poczuła się trochę zdezorientowana i potrzebowała dobrej chwili, aby się pozbierać.

Potem uniosła głowę i spojrzała na niego. Leżał na dywanie płasko na plecach, a ona na nim, z głową na jego torsie. Ręce Matta spoczywały na jej tali. Oczy miał otwarte. Patrzył na nią i ciężko oddychał, ale nie zamierzał kontynuować tego, co przerwał.

- Tam są troczki - wymamrotała z nadzieją Carly, układając się na nim, zadowolona, że przypomniła

sobie, z jakiego powodu spał dłużej z fotela.

Jego ręce powędrowały do jej bioder, objęły je mocno i bardzo zdecydowanie przytrzymały.

Patrzył na nią w milczeniu, jak jej się wydawało, z pożądaniem, pospieszyła z wyjaśnieniem.

- Moje spodnie. Są wiązane na troczki. Musisz je rozwiązać i... - Urwała, bo zmarszczył brwi, a ponieważ nadal nic nie robił, sama zaczęła rozwiązywać spodnie, zgodnie z zasadą, że działanie jest warte tysiąca słów.

Miała ogromną ochotę zrzucić spodnie i położyć się na nim naga od pasa w dół, podczas gdy on był ubrany; ta myśl bardzo ją podniecała. Mogłaby ...

- Poczekaj. Zatrzymaj się. Nie.

Zaprotestował nieco chaotycznie, ale stanowczo. Schwycił ją za ręce, gdy już rozsypywała kokardkę, uwięził je w swoich dłoniach i unieruchomił. Carly spojrzała na niego zaskoczona. Matt zacisnął ręce na jej nadgarstkach - a potem przesunął się tak, że już na nim nie leżała.

Ześlizgnęła się i nagle wylądowała na dywanie, leżąc bokiem, twarzą do Matta, nadal blisko niego, ale dotykali się już tylko dłońmi.

- Matt?

Ze zdziwieniem zobaczyła, że się skrzywił. Jego brwi zmarszczyły się ponad nasadą nosa w bolesnym grymasie, a rozchylone usta pokazywały zaciśnięte zęby.

_ Nie możemy tego zrobić - powiedział po chwili milczenia, z wysiłkiem. Zabrzmiało to tak, jakby naprawdę tak myślał. - Nie możemy tego zrobić.

Puścił ręce Carly, pochylił się i wstał. Była zbyt zaskoczona, aby próbować go zatrzymać, patrzyła tylko na niego w milczeniu.

- Matt ...

Odsunął się, jakby jej reakcja wprowadziła go w zakłopotanie, włożył ręce do kieszeni i cofnął się jeszcze o krok.

_ Posłuchaj, już raz popełniliśmy ten błąd. - Patrzył na nią z takim niepokojem, jakby się spodziewał, że jest wypełniona dynamitem. Nie mogła w to uwierzyć, ale po chwili dotarło do niej, że naprawdę się wycofuje. - Nie możemy tego zrobić ponownie. Jesteśmy przyjaciółmi, Curls. Przyjaciółmi. To nie dla nas.

- Co?

Nadal jeszcze nie przyjmowała do wiadomości jego słów.

- Do diabła, po tym razie byłaś na mnie wściekła przez dwa-naście lat. - Mówił coraz gwałtowniej, podszedł do drzwi i schwycił za klamkę. - Za bardzo mi na tobie zależy. Jest wiele dziewczyn, które mogę pieprzyć. Ty jesteś moją jedyną przyjaciółką.

- Co?

Wreszcie zrozumiała. Zostawił ją na lodzie, ten parszywy skurczybyk.

- Chcę, żeby tak zostało - powiedział, otwierając drzwi. - Ty pewnie pomyślisz tak samo, gdy tylko się nad tym zastanowisz. -A potem, wycofując się do ciemnego jak jaskinia holu, dorzucił:

-Później.

I zamknął drzwi.

Tak po prostu. Trzask. I ani go widziała.

Carly wprost nie mogła w to uwierzyć. Poszedł sobie, zostawił ją samą w ciemnej sypialni, siedzącą pośrodku paskudnej, beżowej wykładziny, całkiem oszołomioną. Jej ciało nadal drżało z pożądania, a kot gapił się na nią spod łóżka. Szok minął dopiero po kilku minutach i dopiero wtedy Carly zaczęła się wściekać.

Kiedy następnego dnia rano zeszła na dół, wściekłość nie zdążyła jeszcze w pełni zamaskować tego, jak się czuła. Pozytywnym efektem odrzucenia było to, że zupełnie zapomniała o innych wstrząsach, jakie Carly przeżyła ostatniej nocy. Negatywnym zaś to, że wściekłość na Matta nie pozwoliła jej zmrużyć oka. Nie pomógł jej w tym także biedny, sponiewierany Hugo, który za każdym razem, gdy wyciągała się na łóżku, próbował zwinąć się na niej w kłębek, a kiedy już Carly zbierało się na sen, drapał ją ostrymi jak igielki pazurami, aby ukoić maleńkiego kotka, który w nim tkwił. Nie pomagało jej też to, że niezaspokojone ciało nadal pragnęło Matta. Co gorsza, była wściekła na siebie niemal tak samo jak na niego. Przecież wiedziała, że to przystojny drań, seksowny dureń, parszywy skurczybyk. Co sobie myślała?

Najbardziej frustrujące, żenujące i irytujące było to, że w ogóle nic nie myślała. Poddała się emocjom. Jej zdaniem był to łatwy do przewidzenia rezultat stanu, do jakiego dopuściła, czyli tego, że ostatnio właściwie na nowo stała się dziewczicą.

Około ósmej rano, gdy Carly już wiedziała, że nie zaśnie, dotarło do niej, że znajduje się w domu Matta. Mogła zatem oczekiwać, że kiedy zejdzie na dół, spotka go tam. Początkowo ta myśl ją przeraziła. Nie chciała już nigdy w życiu widzieć tego parszywego łotra. Im dłużej jednak nad tym myślała, tym wyraźniej zdawała sobie sprawę, że to byłby nonsens. Nie, już nigdy więcej nie zamierzała dusić złości w milczeniu, chwytając z daleka okazjonalne spojrzenia, posyłane przez obiekt swej nienawiści. Co to, to nie. Tamta Carly była inna. Ta nowa natomiast, pełna gniewu, niczego Mattowi już nie daruje i będzie zachowywała się zupełnie inaczej. Zmierzy się z nim twarzą w twarz, otwarcie, tak żeby wszyscy to widzieli.

Od razu poczuła się lepiej.

Ale kiedy spojrzała w lustro, rozpaczliwie próbując wyprostować sobie na nowo włosy, poczuła przez moment, że ta nowa Carly zaczyna gdzieś znikać. Odkrycie, że wygląda jak straszdyło, nie dodało jej pewności siebie. Nowa Carly, którą widziała w swoich myślach, była ładniejsza, młodsza, bardziej seksowna niż kobieta w lustrze. Dobrą chwilę zajęło jej przekonanie samej siebie, że nowa Carly jest taka, jaka się czuje w środku, a nie taka, jak wygląda, co w końcu jej się udało. Musiała jednak zaakceptować frustrującą prawdę: nowa Carly wyglądała tak samo jak dawna, zwłaszcza gdy miała za sobą tylko trzy godziny snu. Brak snu objawiał się u niej zwykle paskudnymi cieniami pod oczami, zaczerwienionymi powiekami i szarą cerą, nie mówiąc już o rozdrażnieniu. To ostatnie mogło się przydać, zwłaszcza dzisiaj, ponieważ miała nadzieję, że nowa Carly objawi się w całej okazałości podczas decydującej rozmowy z Mattem, którą zamierzała rozpocząć od sugestii nienadających się do powtórzenia, a zakończyć wyraźnym życzeniem, aby trzymał się od niej z daleka, ponieważ już nigdy w życiu nie zamierzała go oglądać.

Jeżeli zaś potrzebowałby przyjaciół, niech sobie poogląda telewizję. Z taką właśnie błyskotliwą refleksją zaczęła schodzić po schodach. Szła z wysoko podniesioną głową, mocno trzymając się poręczy - nie mogła dopuścić, aby obraz chłodnej, pewnej siebie i całkowicie opanowanej Carly, jaki pragnęła wykreować, legł w gruzach na skutek upadku na łeb na szyję ze schodów.

Rozejrzała się po salonie w poszukiwaniu przeciwnika, nie miała jednak szczęścia. Pokój był pusty. Ramionajej opadły, gdyż była już nastawiona na konfrontację - ale natychmiast się wyprostowała i ruszyła w stronę kuchni, gdzie, sądząc po głosach i smakowitych zapachach, zgromadzili się mieszkańcy domu. Perspektywa powiedzenia Mattowi, co o nim myśli, w obecności szerszego grona słuchaczy wydawała się bardzo nęcąca - tamta Carly nigdy by się na to nie zdobyła. Po chwili wszakże zdecydowała, że nie chce, aby ktokolwiek poza nią i Mattern wiedział, dlaczego każe mu iść do wszystkich diabłów. A zatem lepiej będzie go spytać, czy mógłby zamienić z nią słowo na osobności.

Carly wkroczyła do kuchni z uprzejmym uśmiechem przylepionym do starannie uszminekowanych ust, licząc na to, że poprosi go o rozmowę od razu, gdy tylko ich oczy się spotkają. Żałowała jedynie, że nie zapakowała do torby czegoś seksownego, co byłoby bardziej odpowiednie na tę okazję niż białe spodnie i pomarańczowy t-shirt z wielkimi, czerwonymi ustami z przodu.

Powitała ją radosna mieszanina dźwięków wydawanych przez gotującą się w czajniku wodę, sztucce uderzające o talerze i toczącą się wartko przy stole konwersację. W powietrzu unosił się zapach śniadania - naleśniki z syropem, jajka, bekon i kawa stały na stole. W innych okolicznościach aż skręciłoby ją od tego w żołądku. Tego ranka jednak jej układ trawienny pozostał niewzruszony. Uświadomiła sobie, że jest zbyt skoncentrowana na zaplanowanym spotkaniu z Mattem, aby poczuć się chociaż trochę głodną.

Kuchnia była pełna ludzi, co zauważyła, zatrzymawszy się niezdeterminowanie na progu. Po chwili zastanowienia uznała, że to może być bardzo korzystna okoliczność. Przynajmniej będą musieli poszukać jakiegoś bardziej odosobnionego miejsca w domu, gdzie mogłaby wygarnąć Mattowi coś cierpkiego na pożegnanie.

Sandra, w tych samych co wczoraj czarnych spodniach i długiej bluzce, stała przy kuchence odwrócona tyłem do drzwi i wyraźnie czuła się jak ryba w wodzie, mieszając coś łyżką na parującej patelni. Nie było po niej widać najmniej sztywnych oznak przeżyć ostatniej nocy. Lissa, w jaskrawozielonej, letniej sukience, opierała się o drewniane krzesło, na którym siedziała dziewczyna tak bardzo do niej podobna, że z pewnością musiała być kolejną siostrą Matta.

Dziewczyna ta, trochę wyższa i szczuplejsza od Lissy, miała takie same czarne i proste włosy sięgające ramion. Ze zmarszczonymi brwiami pochylała się nad czymś, co wyglądało jak katalog z próbkami materiałów. Obok niej siedziała jakaś kobieta i wskazywała na jedną z próbek. Była szczupła, mniej więcej w wieku Carly, nosiła białą, jedwabną bluzkę bez rękawów i sznur pereł

na szyi. Miała wysoko upięte złocistoblond włosy i delikatne, nieco ostre rysy twarzy. Tuż obok niej Carly zobaczyła mężczyznę w białej koszuli i czerwonym krawacie, a podobne rysy i karnacja świadczyły, że musieli być ze sobą spokrewnieni. Po drugiej stronie stołu siedzieli umundurowani zastępcy Matta. Potężny, zwalisty Antonio, którego poznała w nocy, z apetytem zjadał naleśniki, a dużo młodszy od niego facet, z obciętymi najeżą, rudawymi włosami właśnie skończył śniadanie i odstał talerz. Trzecia dziewczyna, z krótko obciętymi, czarnymi włosami

- bez wątplenia jeszcze jedna siostra Matta - właśnie wyjęła z lodówki karton soku

pomarańczowego.

Carly przypomniała sobie, że jest niedzielny poranek, a niedzielny poranek w Benton oznaczał

pójście do kościoła. Wszyscy zgromadzeni w kuchni, poza zastępcami Matta, byli odświętnie ubrani. Szczątkowe poczucie winy kazało Carly przypomnieć sobie, że kiedyś także i dla niej niedzielne poranki w Benton oznaczały to samo. Babka, podpora kościoła baptystów w miasteczku, nigdy nie pozwoliła Carly opuścić niedzielnej mszy, chyba że dziewczynka była naprawdę poważnie (z wysoką temperaturą) chora. Po wyjeździe na studia zarzuciła ten zwyczaj, a jedynymi okolicznościami, kiedy ona i John pojawiali się w kościele, były śluby i pogrzeby.

Wprawdzie już dorosła, ale cień tamtej Carly z młodości nadal w niej pozostał. Pomyślała jednak, że chociaż wróci do Benton, aby tu zamieszkać, to wcale nie znaczy, że musi całkowicie zmienić swój obecny tryb życia. Nadal mogła robić wszystko, na co miała ochotę.

Na przykład nie chodzić do kościoła. A przynajmniej nie dzisiajszego poranka. Cholera, nawet nie rozpakowała jeszcze swoich rzeczy i jest tak wiele do zrobienia.

Popatrzyła wokoło i pomyślała, że jej pierwsze wrażenie okazało się słuszne: Matta nie było w kuchni.

_ To najlepsze śniadanie, jakie jadłem od lat - powiedział Antonio do Sandry, pakując do ust widelec i przeżuwając ze smakiem kęs naleśnika.

_ Nie ma mowy, abym włożyła strój drużyny w kolorze różowej gumy do żucia - oświadczyła z przekonaniem dziewczyna z włosami do ramion. - Przymierzałam suknię w kolorze ciemnej zieleni.

_ Nie nazwałabym tego gumą do żucia. - W głosie blondynki zabrzmiała nuta urazy. - Poza tym ciemna zieleń bardziej pasuje do jesieni niż do lata. To ta sama suknia, tylko w letnim kolorze.

_ Hej, Dani, czemu nie zaryzykujesz? Może różowa guma do żucia to właśnie twój kolor -

powiedziała z lekką ironią Lissa.

Dani - Carly przypomniała sobie, że tak ma na imię średnia siostra Matta - rzuciła Lissie spojrzenie spod łba.

- Ty też będziesz to nosić.

_ Dziękuję za śniadanie, pani Kaminski. Było wyśmienite - powiedział drugi zastępca szeryfa, nawiązując w ten oryginalny sposób rozmowę.

_ Sandra - uprościła sprawę Sandra. - Czy masz ochotę na jeszcze jedno jajko? Albo naleśnika?

- zwróciła się słodkim głosem do Antonia.

Carly nastawiła ucha. Wyglądało na to, że Antonio wpadł Sandrze w oko. Jeżeli tak, to może nie

będzie musiała stoczyć zaciętej walki, aby nakłonić przyjaciółkę do porzucenia myśli o powrocie do Chicago, czego wcześniej się obawiała. Biorąc pod uwagę ich plany związane z otwarciem pensjonatu, była to dobra nowina, nie najlepsza natomiast dla Antonia, a w zasadzie dla jego tuzi. Sandra lubiła tuczyć ludzi, na których jej zależało.

- Nie mogę - zaprotestował Antonio, klepiąc się po brzuchu i spoglądając na nią z żalem. -

Skończę tylko to, co mam na talerzu. Chociaż to bardzo smaczne.

- Co ja słyszę, nareszcie się najadłeś? - zapytał z niedowierzaniem drugi zastępca. - Nie wierzę.

- Zamknij się, Toler - uciszył go Antonio. - Albo następnym razem każę ci wygonić szopa ze strychu Miz Nichols.

- Erin, mogę dostać jeszcze trochę soku? - zapytała blondynka.

- Jasne, kochanie.

Dziewczyna z krótkimi włosami uśmiechnęła się i podeszła do niej z kartonem soku w rękę. Erin była najstarszą z trzech sióstr Matta. Carly wreszcie ją sobie przypomniała, chociaż ta drobna, ładna kobieta na wprost niej wyglądała oczywiście zupełnie inaczej niż umorusana i pyskata dziewczynka, którą pamiętała jak przez mgłę.

- Czy nie zamierzałyście dopasować krawatów i szarf drużbów do koloru sukien druzhen? -

zapytała Lissa.

- Zwykle się tak robi - odpowiedziała blondynka, zanim odezwała się Erin, która nalewała sok.

Lissa i Dani spojrzały na siebie.

- Matt wyglądałby wspaniale w różowym odcieniu gumy do żucia - oświadczyła poważnie Lissa i obie wybuchnęły śmiechem.

- Hej, Col in też będzie to nosić - powiedziała Erin, patrząc na siostry z naganą.

- Col in mógłby - wymamrotał drugi zastępca.

Prawdopodobnie nie chciał, aby ktokolwiek usłyszał jego cierpką uwagę, ale trafiła akurat w ciszę, jaka zapadła podczas rozmowy.

Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę - i wtedy zebrani zauważyli Carly, stojącą przy drzwiach.

- Och, cześć. - Pierwsza zobaczyła ją Lissa. Uśmiechnęła się, a w jej oczach pojawiły się złośliwe chochliki. - Zjesz śniadanie?

Teraz wszyscy patrzyli w tę stronę.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała Carly, czując się nagle jakoś nie-zręcznie.

Wszyscy tutaj, z wyjątkiem Sandry, byli dla niej zupełnie obcy.

Sandra machnęła na powitanie kuchenną łyżką, a potem wróciła do gotowania. Carly przypomniała sobie, w jakim celu przyszła do kuchni.

- Czy jest tu gdzieś Matt? - zapytała.

- Nie i pewnie nie pojawi się wcześniej niż w nocy - odpowiedziała Erin, taksując ją wzrokiem bez skrępowania od stóp do głów.

Słyszac to, Carly poczuła jednocześnie ulgę i rozczarowanie. Zamieszkująca w niej stanowcza, przebojowa dziewczyna była gotowa, chętna i niecierpliwa, ale nie miała też nic przeciwko temu, aby nieco odłożyć tę rozmowę. Carly nigdy nie odznaczała się konfrontacyjną naturą i powoli odkrywała, że szykowanie się do walki, a potem czekanie w wojowniczym nastroju, dopóki nie napotka się wroga, wymaga dużo więcej psychicznej energii, niż jej się początkowo wydawało.

- Wcześniej wyszedł do pracy.

- Tak, naprawdę wcześniej. Już koło piątej rano. Wychodził, gdy ja wracałam do domu -

powiedziała Dani, krzywiąc się przy tym. - Był w parszywym nastroju.

Carly pomyślała, że to przynajmniej jakaś dobra wiadomość. Dani skończyła jej się przyglądać i wymieniła znaczące spojrzenie z Lissą.

- To całkiem zrozumiałe, jeżeli zobaczył, jak zjawiasz się tu o piątej nad ranem. To z pewnością nie jest właściwa pora dla młodych dziewcząt na powrót do domu - powiedział Antonio, kierując swój widelec w stronę Dani.

- I tak zachowałam się lepiej niż Erin. Ona w ogóle nie wróciła na noc. Pojawiła się w domu dopiero godzinę temu i to tylko dlatego, że musiała się przebrać do kościoła - odrzekła, wykrzywiając się do niego.

Najstarsza siostra Matta wyglądała na zakłopotaną. Dwaj młodzi mężczyźni siedzący przy stole też nie wydawali się zachwyceni tą rewelacją. Blondyn posłał Dani piorunujące spojrzenie.

Rudowłosy zastępca szeryfa przyglądał się uważnie Erin. Obserwując go, Carly pomyślała, że coś tu jest nie tak. Ale jeśli nawet był jakiś problem, na szczęście nie ona musiała go rozwiązać.

- Zamknij się, Dani - rzuciła Erin z wściekłością w stronę siostry. Tymczasem blondynka cały czas obserwowała Carly, która wyczuła jej spojrzenie i odwzajemniła je.

- Znam cię - odezwała się tamta nagle. Carly także ją rozpoznała.

- Jesteś Carly Linton - powiedziała kobieta.

- A ty jesteś Shelby Holcomb - odrzekła Carly.

Shelby chodziła do szkoły o dwie klasy wyżej i była szefową cheerleaderek. Lokalna królowa.

Wygrała konkurs na najbardziej popularną dziewczynę. Wspaniałe włosy, świetne ciuchy, doskonałe zęby.

Pilna, skromna Carly z nieposłusznymi lokami nie mieściła się w ogóle w sferze jej zainteresowań. Carly, zupełnie inna niż szkolne gwiazdy, które sumienne uczennice mogły jedynie podziwiać z daleka, wiedziała więcej na temat Shelby jedynie dlatego, że Shelby zagięła parol na Matta.

Kiedy Carly zaczynała naukę w szkole, Shelby była już juniorką, a Matt seniorem; Shelby uganiała się za nim. I prawdopodobnie jedynym powodem, że nie udało jej się wtedy go upolować, była Elise Knox.

Carly nigdy nie przypuszczała, iż kiedykolwiek będzie za coś wdzięczna Elise, ale teraz nagle pomyślała o niej z życzliwością. To, że Matt interesował się Elise, nie pozwoliło mu wpaść w łapy Shelby.

Ale Elise znikła już z horyzontu i Shelby zapewne w końcu, złapała Matta. Siedziała w niedzielny poranek w jego domu, jadła śniadanie przy jego stole i była w doskonałej komitywie z jego siostrami. Po-przedniej nocy Lissa 'powiedziała, że Matt nigdy nie zaprasza dziewczyn i że Shelby będzie z tego powodu wściekła. Wtedy Carly nie domyślała się, że Lissa mówiła o tej Shelby, Królowej Wszystkiego.

Jeżeli, zgodnie z wartymi uwiecznienia słowami Matta, Carly była jego jedyną przyjaciółką, to Shelby była jedną z dziewczyn - lub jedyną dziewczyną - które pieprzył.

Ta rewelacja objawiła się jej niczym fajerwerki rozświetlające czarne jak atrament niebo.

Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, brzmiała: "Zabiję go!". Na myśl o tym, że Matt zdradzał

ją z Shelby, ogarnęła ją prawdziwa furia. Potem jednak dotarło do niej coś innego: nie, to nie tak, tylko dokładnie odwrotnie. Wystarczyło, że Carly przypomniła sobie ostatnią noc. Jeżeli Matt należał teraz do Shelby, to zdradził Shelby z nią.

Zabiję go, pomyślała znowu Carly. Z całą pewnością go zabiję. Nie miała naj mniej szych wątpliwości, że właśnie to chce zrobić.

Teraz, gdy perfidia jego działania objawiła się w pełnej okazałości, po dwakroć miała ochotę go zamordować.

- Na jak długo przyjechałaś? - zapytała Shelby, patrząc na nią z leciutko zmarszczonymi brwiami.

- Mam nadzieję, że na stałe. - Carly zdobyła się na lekki, uprzejmy (miała taką nadzieję) uśmiech.

- Otwieramy pensjonat ze śniadaniem - pochwaliła się Sandra. Ten ewidentny dowód, że przyjaciółka porzuciła już myśl o powrocie do Chicago, powinien uradować Carly. Ale tak się nie stało.

Czuła się w tym momencie tak parszywie, że nic poza widokiem wyopatroszonego Matta nie mogłoby jej zadowolić.

_ Jeżeli chodzi o śniadania, możecie na mnie liczyć - powiedział Antonio, odkładając wreszcie widelec.

Sandra spojrzała na niego promiennie.

_ Och, chyba zapomnieliśmy was sobie przedstawić - powiedziała Lissa do Carly.

Nastolatka wydawała się z czegoś bardzo zadowolona, ale Carly miała niejasne przeczucie, że nie chciałaby znać powodu jej dobrego humoru.

_ Shelby już znasz, nas też, zostali więc tylko zastępcy Matta, Antonio Johnson i Mike Toler, brat Shelby, CoHin, który jest narzeczonym Erin, ale jeżeli znasz Shelby, to pewnie też znasz Colina.

_ Poznałam Antonia ostatniej nocy - powiedziała Carly, ani słowem nie wspominając, że śmiertelnie ją wtedy wystraszył.

Antonio kiwnął głową. Z wyrazem zadowolenia na twarzy i pełnym brzuchem wyglądał tego dnia równie przerażająco jak Święty Mikołaj. Carly uśmiechnęła się do Mike'a Tolera, który wymamrotał:

- Miło mi panią poznać.

_ Chyba cię pamiętam - zwróciła się na końcu do Colina.

_ Nic nie szkodzi, jeśli nie pamiętasz - odrzekł. - Jestem siedem lat młodszy od Shelby, więc ...

_ Jeżeli nie chcemy się spóźnić do kościoła, powinniśmy już iść - ponagliła ich Shelby i wstała, rzucając bratu karcące spojrzenie.

Carly uśmiechnęła się, odczytując spojrzenie Shelby jako chęć odwrócenia uwagi od kwestii jej wieku i tego, że Carly jest od niej dwa lata młodsza. Miło pomyśleć, że przynajmniej na tym polu okazała się lepsza od Królowej Wszystkiego.

Nastąpiła zgodna reakcja na uwagę Shelby i nagle zrobiło się małe poruszenie. Wszyscy wstali od stołu i zaczęli się szykować do wyjścia. Kiedy pośpiesznie sprzątano po śniadaniu, Carly zwróciła uwagę, że Shelby jest wysoka i szczupła, nawet szczuplejsza niż w liceum, a poza tym wygląda bardzo elegancko w prostej, czarnej spódnicy i pantoflach doskonale dopasowanych do białej bluzki. To ostatecznie wyeliminowało odczuwaną chwilę wcześniej satysfakcję z jej dwuletniej przewagi wiekowej. W rzeczywistości czuła się poirytowana, chociaż nie chciała się do tego przyznać. No i co z tego, powtarzała sobie, jeżeli nawet Matt zamierzał utrzymywać kontakty z tą wysoką, szczupłą

lalką Barbie, która wyglądała tak, jakby opanowała rynek lakierów do włosów. To z pewnością nie jej, Carly, sprawa.

Głębokie przekonanie o tym, że ona sama, dużo niższa i z burzą niepokornych włosów, miała podobne szanse, aby na co dzień wyglądać tak samo elegancko, jak Hugo na to, że wyrosną mu nagle skrzydła i pofrunie, sprawiło, że wcale nie poczuła się lepiej. Gdy wreszcie z trudem zeszła ze schodów, trzymając pod pachą kota, a drugą ręką praktycznie wlokąc za sobą ciężką jak ołów torbę, jej irytacja sięgała już zenitu. Istniało wiele rzeczy, które mogła w sobie wypracować, lecz elegancja z pewnością do nich nie należała.

A Shelby bezsprzecznie była elegancka.

To spostrzeżenie tak bardzo wyprowadziło Carly z równowagi, że zdobyła się zaledwie na uprzejme pomachanie wszystkim na do widzenia, po czym niezdarnie usadowiła się w furgonetce na miejscu kierowcy, z trudem przytrzymała Hugona, aby nie uciekł z auta, dając mu kuksańca (czulego), i czekała, z przylepionym do ust uśmiechem oraz potem spływającym po twarzy, aż Sandra skończy flirtować przez okno z Antoniem. Potem uruchomiła tę cholerną furgonetkę i zaczęła wyjeżdżać tyłem z podjazdu. Nie poprawiło jej nastroju także to, że machając radośnie do trzech smukłych i pięknych sióstr Converse, szykownej Shelby oraz jej przystojnego brata, gdy wszyscy pięcioro wsiadali do imponującego, czarnego sedana, źle wyliczyła odległość i wyjeżdżając z podjazdu, stuknęła w skrzynkę pocztową Matta.

No dobrze, nie stuknęła, tylko walnęła z impetem.

- Chryste! - zawołała Sandra, gdy metalowa puszka z chrzęstem otarła się o bok furgonetki, zanim drewniany słupek, na którym była zamontowana, poddał się i z trzaskiem runął na ziemię.

- Nie umiesz prowadzić.

- Dobrze, ale ty też nie umiesz - warknęła Cady, zadowolona, iż nie musi już udawać, że wszystko w życiu świetnie jej się układa. - I siedź cicho, ani słowa o skrzynce pocztowej, dobrze?

Szybki rzut oka w bok i tylne lustro upewnił ją, że grupa jadąca czarnym sedanem do kościoła oraz dwaj zastępcy szeryfa, którzy uparli się, by towarzyszyć Cady i Sandrze do domu babki, i czekali na nie na drodze w policyjnym radiowozie, nie widzieli owej drobnej kolizji, ponieważ furgonetka zasłaniała im widok. Gdyby skrzynka należała do kogoś innego, Carly natychmiast odszukałaby właściciela, aby go o wszystkim poinformować i zapłacić za naprawę.

Wostateczności zostawiłaby kartkę ze swoim nazwiskiem i adresem. Ponieważ jednak skrzynka należała do Matta, nic takiego nie zrobiła. Zamiast tego, gdy już wjechała na drogę, zostawiając za sobą przewrócony słupek, czuła się tak wspaniale, że gdyby miała wolne ręce, przybiłaby sobie piątkę.

_ To się chyba nazywa ucieczka z miejsca wypadku - powiedziała niepewnym głosem Sandra. -

A w dodatku to skrzynka pocztowa szeryfa. Demolowanie skrzynki pocztowej szeryfa i pozostawienie sprawy w ten sposób nie należy chyba do dobrych obyczajów.

_ Pieprzyć szeryfa - rzuciła Cady i jechała dalej.

_ Aha, czyżby ktoś wstał dzisiaj z łóżka lewą nogą? - Sandra posłała jej spojrzenie z ukosa. - A może ktoś się napalił na tego seksownego szeryfa?

Fakt, że Sandra natychmiast złapała się za uchwyt nad głową, ponieważ furgonetka, trzęsąc się i podskakując, wyjechała z bocznej drogi na główną z dwa razy większą prędkością, niż to było dozwolone, należało złożyć na karb czystego zbiegu okoliczności. W żadnej mierze nie łączyło się to z reakcją Cady na jej pytanie.

_ Myślałam, że dziś rano będziesz wracać do Chicago. Co z "Nie lubię nawiedzonych domów" i

"Zapomnij o dziurze zabitej dechami"? - Głos Cady przypominał warknięcie.

_ Postanowiłam, że dam Benton jeszcze jedną szansę•

Sandra miała niewinny wyraz twarzy, a jej głos brzmiał zupełnie obojętnie. Ale Cady wierzyła jej tak samo jak reklamom kosmetyków, które zapewniały o wiecznej młodości.

Parsknęła głośno.

- A może ktoś się napalił na seksownego zastępcę szeryfa? Sandra nadal trzymała się kurczowo uchwytu, a Hugo wisiał

z tyłu za głową Cady, wczepiony z całej siły pazurami w winylowe obicie fotela, podczas gdy furgonetka pędziła po maleńkim centrum Benton, które na szczęście kompletnie opustoszało, ponieważ jego mieszkańcy albo byli w kościele, albo udawali, że tam są•

Sandra wcale się nie rozzłościła, wręcz przeciwnie, uśmiechnęła się szeroko.

- Chciałaś powiedzieć, żarłocznego zastępcę szeryfa, nieprawdaż? Nie mam się czego wstydzić. Każda z nas szuka tego, co lubi. Ty polujesz na seksownych, a ja na żarłocznych i może uda nam się coś znaleźć.

- Nie mam zamiaru na nikogo polować.

- Dobrze, ale ja mam zamiar. Aaaa, czy ktoś nie powinien się zatrzymać?

Ostrzeżenie było zbędne, Carly nacisnęła już na hamulec. Powinna była to zrobić wcześniej, ale dopiero w ostatniej chwili zauważyła, że w Benton pojawiły się nowe światła, i to tylko dlatego, że

stał przed nimi policyjny radiowóz, którego pasażerowie nie mieli pojęcia, że coś na nich pędzi.

- Masz zły dzień czy co? - Sandra otworzyła szeroko oczy z przerażenia, gdy furgonetka zatrzymała się z piskiem opon o kilka centymetrów od zderzaków radiowożu. - Wiesz co, nie ma prawie żadnego ruchu, nie pada deszcz i nie jest ciemno. Może ja poprowadzę?

- Dam ci poprowadzić, kiedy następnym razem nawiedzą mnie myśli samobójcze. I nie jestem w złym humorze. Mam tylko naprawdę wielką ochotę wysiąść już z tej cholerne furgonetki.

To nawet nie było kłamstwo. Słońce nagrzało kabinę jak szklarnię i w samochodzie panował

tropikalny upał. Carly pocila się jak kostka lodu w lipcu, ale nie mogła otworzyć okna szerzej niż na kilka centymetrów, ponieważ Hugo tylko czekał, aby przy pierwszej nadarzającej się okazji uciec z furgonetki. I w dodatku ten niezadowolony, zdenerwowany i liniejący kot walił ją ogonem po mokrej twarzy.

- Rozumiem.

Światła zmieniły się i policyjny radiowóz ruszył do przodu, a jadący w nim mężczyźni nie mieli pojęcia, że chwilę wcześniej cudem uniknęli zderzenia. Carly ruszyła za nimi.

- Wiesz co, ten kot linieje. Nie uważasz ...

Sandra odezwała się, gdy furgonetka przejechała skrzyżowanie na zielonym świetle i zaczęła znowu nabierać prędkości.

- Nie. - Carly przerwała jej, zanim tamta zdążyła dokończyć. Rozmawiały już o tym wcześniej, gdy planowały założenie pensjonatu. Sandra. miała awersję do kotów. Carly miała kota. W tej sprawie Carly była nieustępliwa i przyjaciółka musiała się pogodzić. - W porządku. Ale tak jak się umawialiśmy, to ty będziesz odkurzać dom.

- Zgoda.

Po lewej stronie znajdował się kościół baptystów. Był to niewielki, ceglany budynek z wysoką dzwonnica i olbrzymim parkingiem, bardziej odpowiednim dla sportowego stadionu. Parking był

pełen aut. Mijając kościół, Carly wyobraziła sobie, jak za karę ścigają ją małe diabełki z widłami.

Mocniej nacisnęła na pedał gazu.

- Jeżeli będziesz chciała ponownie wyjść za mąż, możesz mieć problem. Wielu mężczyzn nie lubi kotów.

- To niedobrze. Ja uważam, że ten, kto pokocha mnie, pokocha też mojego kota. - Carly przerwała, aby strząsnąć z twarzy koci ogon. - A poza tym, nie zamierzam ponownie wychodzić za mąż. Znamy, dziękujemy.

- No tak.

Carly wiedziała, że to ponure przytaknięcie przyjaciółki wynikało z jej własnych doświadczeń związanych z nieudanym małżeństwem. Sandra była pierwszą osobą, jaką Carly zatrudniła, kiedy cztery lata temu otwierała Treehouse. Przyjaciółka miała wtedy trzydzieści dwa lata, była w trakcie rozwodu, w podłym nastroju, zgnębiona i załamana. Carly zatrudniła ją jako kelnerkę.

Sandra była okropną kelnerką, gotową nawymyślać od palantów gościowi, który narzekał, że sos niewłaściwie pachnie, i wygarnąć, iż jedyną rzeczą, która w Treehouse niewłaściwie pachnie, jest on sam i jeżeli pójdzie do domu i weźmie prysznic, nic już nie będzie mu brzydko pachnieć. Carly już zamierzała ją wylać, gdy pewnego piekielnego niedzielnego wieczora jej szef kuchni, suto opłacany i po kosztownym szkoleniu, dostał ataku wściekłości i po prostu wyszedł z restauracji. Carly starała się jak mogła, aby zmotywować do pracy resztę pracowników, którzy także przeżywali różne stadia zniechęcenia, a jednocześnie desperacko próbowała zrealizować zamówienia gości, kiedy nagle Sandra, zirytowana widokiem strogonowa, który przypominał

jedzenie dla psa, odrzuciła boczki i ołówki, odsunęła łokciem na bok pomocnika szefa kuchni i zaczęła przyrzęcać potrawy niczym anioł z piekła rodem. Carly z otwartymi oczami obserwowała, jak na stoły wjeżdżały talerze wyśmienitego jedzenia, które bardzo smakowało gościom, i uświadomiła sobie, że oto jest świadkiem narodzin prawdziwego geniusza kulinarnego. Pod koniec wieczora zrobiła Sandrę szefową kuchni. Od tamtej pory pocieszała ją po rozwodzie, a potem przyjaciółka pocieszała po rozwodzie ją, razem prowadziły restaurację, w tym samym czasie obie straciły dorobek całego życia i postanowiły wkroczyć na zupełnie nową drogę. Dwa dni temu Carly wyprowadziła się z małego, zagraconego mieszkania, w którym osiadła, gdy w wyniku rozwodu straciła swój elegancki apartament, Sandra zaś wyprowadziła się z małego, zagraconego domku, który przez ostatnie trzy lata dzieliła z ciotką i kuzynką.

Załadowały furgonetkę całym swoim dobytkiem i wraz z Hugonem ruszyły do Benton w Georgi .

Po chwili zastanowienia Sandra kontynuowała.

- No dobrze, może nie chcemy wychodzić za mąż. To jednak nie znaczy, że mamy się zupełnie wyrzec mężczyzn. Mężczyźni są zabawni. A z pewnością bardziej zabawni od wibratorów.

- Na przykład który?

- Czy jakiś wibrator podarował ci prezent? Albo wymasował stopy? Nie mów mi, że nie miałabyś ochoty pofiglować z szeryfem. Wi-działam, jak na niego patrzyłaś.

- Do cholery, Sandra! - Cady zdawała sobie sprawę, że zaprzeczanie na nic się nie zda, wzięła więc głęboki oddech i postanowiła zastosować metodę półprawdy. - No dobrze, jest słodki.

Zauważyłam to. I co z tego? W jego wypadku wygląd jest zwodniczy. Wierz mi, wiem coś na ten temat.

- Wszystko jedno. - Sandra, wyraz nie nieprzekonana, znowu przytrzymała się uchwytu, gdy Carly

ostro wzięła zakręt. - Wkaż-dym razie, jeżeli o mnie chodzi, uważam, że mężczyźni są jak buty. Niełatwo znaleźć wygodną parę. A jeśli już uda się na takie trafić, to mówię ci, trzeba je brać, zanim ktoś inny to zrobi.

- Dobra filozofia.

Gdyby mężczyźni byli rzeczywiście jak buty, Matt byłby parą pantofli z wąskimi, długimi czubkami, które doskonale się prezentują i wyglądają seksownie, ale są zabójcze dla stóp.

Pomyślała o nim nie dlatego, że uważała, iż byłby dobrą parą, wcale nie, nie brała tego pod uwagę. Już nie.

- Weźmy Antonia, on jest Lwem. Pytałam go o to. Ryby i Lew - to połączenie może zaiskrzyć. Nie wiem jak ty, ale ja z pewnością za-iskrzę. - Sandra spojrzała spod oka na Cady. - Wiesz, kiedy szeryf ma urodziny?

Oczywiście, że wiedziała. Szesnastego listopada. Przez całe lata znalezienie dla niego odpowiedniego prezentu było jedną z ważniejszych rzeczy w jej życiu.

- Nie - odrzekła. - A tak przy okazji, czy pytając Antonia o jego datę urodzenia, zapytałaś go może także, czy jest żonaty?

Sandra straciła nagle cały entuzjazm.

- Zapomniałam. Nie mogę uwierzyć, że zapomniałam go o to spytać!

- Świetnie. Dobre wyczucie priorytetów.

Furgonetka pokonała kolejny zakręt i nagle po prawej stronie na wzniesieniu ukazał się dom babki - nie, jej dom; Cady zauważyła, że nadal nie może się do tego przyzwycząić. W

oślepiających promieniach słońca, które nie przenikały jedynie w najgłębszy cień, duży, biały budynek wśród starych drzew wyglądał bardzo malowniczo i przyjaźnie, w niczym nie przypominając nawiedzonego miejsca. Carly wzdrygnęła się na wspomnienie włamywacza i budzących grozę przeżyć ostatniej nocy, ale gdy zobaczyła radiowóz policyjny, stojący u podnóża pagórka, przypomniała sobie; że dochodzenie przeprowadzone przez Matta i jego ludzi najwidoczniej nie wykazało niczego niepokojącego. Mimo swoich niewątpliwych wad, o których nie chciała już rozmyślać, bo zajęłoby to jej resztę dnia i jeszcze ka-wątek nocy, Matt z pewnością natychmiast by jej powiedział, gdyby uważał, że Cady i Sandra nie będą w tym domu bezpieczne. W takich okolicznościach nie mogła dopuścić, aby przypadkowe włamanie przeszkodziło jej w urządzaniu sobie nowego życia.

Gdy zatrzymała furgonetkę za radiowozem, zastępcy szeryfa wysiedli i ruszyli w jej stronę.

Szeroki jak wrota od stodoły, ciemnoskóry Antonio o grubych rysach zezował w kierunku pojazdu z nietęgą miną. Mike uniósł jedną rękę, aby zasłonić oczy od słońca. Był do-brze zbudowany i w zasadzie przystojny, jeśli nie liczyć rzych włosów; on także patrzył na furgonetkę.

- Czy mi się wydaje, czy nie wyglądają na zadowolonych? - zapytała Cady.

- Może wiedzą o skrzynce pocztowej. - Głos Sandry brzmiał niepewnie, gdy patrzyła, jak mężczyźni podchodzą do ich samochodu. - Skąd mogliby ...

Carly przerwała i krzyknęła, widząc, że przyjaciółka otwiera drzwi. Było już jednak za późno.

Wyczuwając szansę wydostania się na wolność, Hugo momentalnie z niej skorzystał, dając susa w powietrze z prędkością pocisku.

Carly usiłowała go złapać, ale jej się nie udało i zrezygnowana opadła na fotel.

- Przepraszam - powiedziała Sandra, uśmiechnęła się z miną winowajcy i wysiadła z furgonetki.

Cady wyprostowała się i zaczerpnęła powietrza.

- Nic wielkiego.

O ile w pobliżu nie pojawi się znowu ten piekielny pies, Hugo powinien być bezpieczny.

- Czy to ten kot? - zapytał Mike tonem kogoś, kto przeczuwa nieszczęście.

- Tak - odpowiedziała Sandra, przewracając oczami.

- O rany, pamiętam, co się działo. - Mike się uśmiechnął. - Szkoda, że nie widziałyście Matta ... -

Umilkł gwałtownie, gdy Antonio dał mu łokciem kuksańca w bok. Złapał się za żebra i posłał koledze pełne wyrzutu spojrzenie. Po chwili jednak najego twarzy ponownie pojawił się uśmiech.

- Chcesz, żebyśmy spróbowali go znowu złapać? - zapytał Antonio, patrząc na Carly.

Uśmiech Mike'a natychmiast zniknął. Na jego miejscu pojawił się wyraz prawdziwego przerażenia. Carly nie miała pojęcia, dlaczego.

Westchnęła.

- Nie, nic mu nie będzie.

Pomyślała, że Hugo jechał na tym samym wozie, co ona. Życie, jakie do tej pory prowadził, bezpowrotnie się skończyło. Będzie musiał przystosować się do nowej sytuacji najlepiej, jak potrafi.

- Jak pewnie wiesz, na terenach zabudowanych obowiązuje ograniczenie prędkości -

oświadczył Antonio dość urzędowym tonem. - Pewnie nie zauważyłaś znaku.

Sandra wydała nieartykułowany odgłos.

- Nie, nie zauważyłam.

Carly powiedziała naj szczerzą prawdę. Odkryła bowiem właśnie, że efektem ubocznym nagłego zdenerwowania było niedostrzeżenie drobnych rzeczy, takich jak znaki drogowe.

Antonio pokiwał głową i skierował uwagę na Sandrę. Carly wysiadła z furgonetki.

Obeszła ją z przodu, przesuwając palcami po włosach i odgarniając na chwilę drobne kędziorki z twarzy i karku w nadziei, że zrobi jej się chociaż trochę chłodniej. Rozglądała się za kotem, niestety jednak nie było go nigdzie w zasięgu wzroku. Wczoraj pewnie marwiłaby się z tego powodu; teraz też się niepokoiła, ale była bardziej zrezygnowana. Ona i Hugo zostali wrzuceni na głęboką wodę; wkrótce się okaże, czy potrafią pływać. Chociaż wcale sobie nie życzyła aż tak drastycznej zmiany sytuacji, pewna odmiana mogła być korzystna dla nich obojga. W najgorszym razie zdobędą doświadczenie życiowe, o którym tyle się mówi w programach telewizyjnych, a po zamknięciu Treehouse miała dużo czasu na ich oglądanie.

Pozwoliła sobie na chwilę refleksji nad swoim życiem i stwierdziła, że żał jej restauracji, luksusowego mieszkania, samochodu,

a przede wszystkim kont bankowych. Ze zdziwieniem uświadomiła sobie jednak, że wcale nie tęskni za Johnem i ich wspólnym życiem. Ani trochę. Z pełną wyrazistością dotarło do niej bowiem, że ich życie sprowadzało się w gruncie rzeczy do tego, że oboje nieustannie starali się coś osiągnąć. I bardziej chodziło o poczucie bezpieczeństwa, sukces i status niż o miłość i udany związek czy realizowanie marzeń. Ajakie będzie jej życie bez męża? Uniosła podbródek i wyprostowała się: obiecała sobie, że życie bez niego poświęci na to, aby stać się dokładnie taką kobietą, jaką zawsze pragnęła być.

Nagle okazało się, że możliwości są ogromne i fascynujące. Carly obeszła furgonetkę i usłyszała fragment rozmowy Sandry z mężczyznami.

- To miło z waszej strony. A może wpadlibyście z małżonkami do nas na kolację w tym tygodniu?

Chciałybyśmy wam podziękować. Jej głos ociekał taką słodyczą, że Carly aż wrosła w ziemię.

- Nie mam żony - odrzekł Mike. - Ale chętnie przyjmę zaproszenie na kolację.

- Ja także nie - dodał Antonio. - To znaczy, ja też. To jest, jestem wdowcem, ale dziękuję za zaproszenie. Świetnie gotujesz.

- Dziękuję•

Sandra posłała mu promienny uśmiech i spojrzała wymownie na Carly, gdy ta wyłoniła się z samochodu; jej spojrzenie mówiło samo za siebie. Carly musiała przyznać, że przyjaciółka wie, czego chce, i potrafi to wyegzekwować.

- Ci uprzejmi panowie - oznajmiła Sandra, rzucając powłóczyście spojrzenie na Antonia - pomogą nam rozładować samochód.

- To miłe - przyznała Carly, patrząc na zastępców szeryfa. - Ale czy możecie? To znaczy, czy nie będziecie mieli z tego powodu kłopotów. Jeśli jesteście na służbie ... - Zawiesiła głos.

Nie, żeby nie doceniała ich pomocy, ale domyślała się, że w czasie godzin pracy nie powinni zajmować się sprawami, które nie należały do ich obowiązków służbowych.

- Jesteśmy tu prywatnie - wyjaśnił Mike. - Zresztą Matt prosił nas, żebyśmy wam pomogli.

Carly zmarszczyła brwi.

- Co zrobimy z największą przyjemnością - zapewnił je Antonio z przekonaniem, najwyraźniej błędnie odczytując powód jej kwaśnej miny. - A przy okazji, jeżeli już mówimy o Matcie, połączył

się z nami przez radio i pytał, czy nie wiemy, co się stało z jego skrzynką pocztową. Ktoś z sąsiadów zadzwonił do niego z informacją, że leży na podwórku, dosłownie przełamana na pół.

Gdy wyjeżdżaliśmy, jeszcze stała, jestem tego pewien. Z pewnością bym zauważył, gdyby leżała na ziemi. Nie pamiętacie, czy była na swoim miejscu, gdy wyjeżdżałyście? Jest po prawej stronie podjazdu.

Sandra zrobiła minę, jakby połknęła karalucha.

- Z pewnością zauważyłybyśmy zniszczoną skrzynkę na listy - powiedziała Cady, ujmując ją za łokieć i uśmiechając się niewinnie, podczas gdy jej palce ostrzegawczo ścisnęły rękę przyjaciółki.

Należy zawsze mówić prawdę, pomyślała Cady. Bez wątpienia bowiem zauważyłyby, że skrzynka pocztowa jest zniszczona. Nie przyznała się jednak, że samą ją rozwaliła, gdyż zgodnie z wyznawaną przez nią zasadą wszystko, co mogłoby chociaż trochę uprzykrzyć życie Mattowi, było i tak tylko niewielką ceną, jaką przyszłoby mu zapłacić za cierpienia, jakie jej sprawił.

- Też tak myślę. - Antonio wzruszył ramionami. - Otwórzcie furgonetkę, to zaczniemy ją wyładowywać.

Cady wzięła głęboki oddech, aby jednak podziękować im za pomoc, którą zorganizował Matt, choćby nie wiem jak była potrzebna, ale Sandra nadepnęła jej na nogę.

- Ouu! - Cady przezornie cofnęła stopę.

- Och, przepraszam.

Zabrzmiało to jednak tak nieszczerze, że Cady po prostu nie uwierzyła. Sandra wyjęła jej z ręki kluczyki i podała je Antoniowi z jednym z tych swoich rozkosznych uśmiechów.

- Bardzo jesteśmy wdzięczne. Dziękujemy.

- Drobiazg.

Pobrzękując kluczami, obaj mężczyźni ruszyli do bagażnika furgonetki.

- Czyś ty oszalała? Ani się waż im powiedzieć, że nie potrzebujemy pomocy - syknęła Sandra, gdy zostały same. - Jest tu bardziej gorąco niż w piecu na pizzę, a rzeczy trzeba wnieść na górę.

Jeżeli masz zamiar wdrapywać się tam obładowana bambetkami, to bardzo proszę, ale ja się na to nie piszę. Ciekawe, co ten szeryf ci zrobił, że jesteś na niego wściekła jak osa?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Akurat. - Sandra wyciągnęła z kabiny torbę Cady i patelnię, która była w użyciu ostatniej nocy. -

Zabierzmy się do roboty, zanim tamci się zorientują, jak jest gorąco, i się rozmyślą.

Carly skrzywiła się, ale musiała przyznać, że Sandra miała rację. Jej torba była tak ciężka, jakby zawierała kamienie. Ruszyła przodem pod górę, za nią szła Sandra, potem Mike obładowany odkurzaczem i naręczem szczotek, a na końcu Antonio z całą stertą pudeł.

Nie dość, że dzień był upalny, to jeszcze tak wilgotny, iż wydawało się, jakby ziemia się pociła.

Wspinając się mozolnie pod górę, Carly dosłownie czuła wiszące w powietrzu krople wilgoci.

Niebo było czyste, bez najmniejszej chmurki. Śpiewały ptaki, grały świerszcze, a komary krążyły w powietrzu całymi chmarami. Korony drzew tworzyły gęsty baldachim osłaniający przed promieniami słońca, a głęboki cień był bardzo pożądanym, chociaż jednocześnie zatrzymywał

ciepło, dawał schronienie wszelkim owadom, a także gromadził przy ziemi resztki wilgoci, pozostałej po deszczu, który padał poprzedniego dnia. Zanim Carly dotarła do werandy, była gotowa oddać całe to senne lato Południa zajeden powiew orzeźwiającej bryzy znad jeziora Michigan. Zapomniała już, jak gorący potrafi być koniec czerwca w Georgii.

Zapomniała też, jak pełen pożądanym może być koniec czerwca w Georgii.

- Znalazłam swój telefon - oznajmiła triumfalnie Sandra.

Carly obejrzała się i zobaczyła, jak przyjaciółka podnosi z ziemi aparat. Wrzuciła go do kolorowej, plastikowej torby, przewieszanej przez ramię. Sandra sapiała i dyszała jak mały silnik, ociekając potem i otoczona chmurą komarów, wyglądała jednak na najszczęśliwszą istotę pod słońcem.

Nie trzeba być wielkim psychologiem, aby domyślić się, dlaczego: Antonio przyspieszył kroku, aby się z nią zrównać.

Seks to jednak wspaniała sprawa.

- Aha - mruknęła Cady.

Udając, że czeka na pozostałych, zatrzymała się na chwilę, postawiła swoją niemiłosiernie ciężką

torbę na ziemi i dyskretnie wyprostowała plecy, przypatrując się swojemu domowi.

Wysoki dach i ośmiokątna wieżyczka, szeroka weranda od frontu i zasłonięte okiennicami okna nadawały mu dziewiętnastowieczny urok, doskonale pasujący do pensjonatu. W niektórych miejscach jednak łuszczyła się farba, kilka okiennic było wyrwanych z zawiasów, a dach nad werandą zapadł się w jednym rogu. Cady przypomniała sobie, że w nocy słyszała w domu wyraźne kap, kap, co wskazywało, że dach także wymagał naprawy. Nie mówiąc już o hydraulice, elektryczności i...

Nagle powietrze wypełniło głośnie szczekanie. Cady zamarła z otwartymi ustami, a spod werandy wypadł Hugo, ścigany przez upiornego psa. Kot dał susa na werandę. Pies pogonił za nim. Po chwili Carly oprzytomniała. Wyrwała kompletnie zdezorientowanego Mike'owi szczotkę, wydała z siebie bojowy okrzyk, godny wodza Indian na wojennej ścieżce, i rzuciła się na pomoc ulubieńcowi.

- Hugo!

Wymachując szczotką, wbiegła na werandę w chwili, gdy Hugo wskoczył na oparcie wiklinowej kanapy. Pies, który nie mógł go tam dopaść, piszczał i skamlał, podskakując na podłodze. Pazury ślizgały mu się na drewnianych deskach. Jego głośnie poszczekiwanie odbijało się echem od daszku nad werandą.

- Niedobry pies! - krzyknęła Carly i rzuciła się na pomoc kotu, stukając szczotką o podłogę tuż przed pyskiem intruza.

Ten zaskamlał, a Hugo niczym futrzana piłka dał susa w powietrzu, prosto na Carly. Wypuściła z rąk swój oręż, gdy kot z całej siły uderzył o jej ramię, najwyraźniej szukając ratunku. Zachwiała się, zrobiła krok do tyłu, próbując go jeszcze złapać - i upadła. A dokładnie zleciała ze schodów.

Lecąc na łeb na szyję głową w dół, niczym pranie w pralce, zdążyła jeszcze zobaczyć, jak wygląda świat z perspektywy piłki futbołowej, a potem upadła z hukiem w gęstą trawę pod stopniami werandy. Przez moment leżała nieruchomo płasko na plecach, patrząc na gwiazdy wirujące w pajęczej chmurze kociej sierści.

Nagle poczuła coś ciepłego i wilgotnego na policzku. Odwróciła się i jej oczy napotkały tuż przed sobą oczy piekielnego psa.

Polizal ją. Carly to zarejestrowała, dostrzegła też ciekawskie, ciemne oczka w małym, trójkątnym pyszczku, wielkie, spiczaste uszy i tak chudy grzbiet, że przez zmierzwioną, czarną sierść widać było żebra. Nagle pies podwinął ogon i uciekł, a kiedy Carly ponownie zaczęła postrzegać świat wokół siebie, zrozumiała dlaczego.

- Carly!

Sandra, Antonio i Mike, porzuciwszy swoje ciężary, biegli ku niej niczym stado cieląt, wykrzykując jej imię. Jeżeli Carly mogłaby poruszyć czymkolwiek poza gałkami ocznymi, także salwowałyby się ucieczką.

- Nic ci nie jest?

Sandra zatrzymała się w samą porę, aby na nią nie nadeprnąć.

Antonio i Mike byli tuż za nią. Wszyscy troje ciężko dyszeli i patrzyli na nią z niepokojem.

Carly spojrzała w górę, ponad ich zafraszowanymi twarzami, tam, gdzie roztaczał się widok na sękatą gałęzie, nakrapiane słońcem liściem i błękitne niebo. Spróbowała delikatnie i ostrożnie odechnąć. Wdychała zapach wilgotnej ziemi, wilgotnej trawy i wilgotnych butów. Upadek wycisnął z niej całe powietrze, płuca jednak powoli wracały do pracy, a gdy wypełniły się na nowo, spróbowała poruszyć palcami rąk i u nóg. Okazało się, że z nimi także wszystko było w porządku, podobnie jak z rękoma, nogami, a nawet karkiem.

Świetnie, a więc może jeszcze trochę pożyje.

W akompaniamencie zgodnego chóru powtarzającego: "uważaj" i "może łatwiej ci będzie za kilka minut" Carly powoli usiadła. Szczotka, z którą ruszyła na ratunek kotu, upadła tuż obok. Na werandzie, w miejscu skąd rozpoczęła się ta pechowa interwencja, leżało więcej szczotek, mopów, a także odkurzacz i różne pudła. Carly szybko rozejrzała się dookoła, ale ani Hugona, ani psa nigdzie nie było. Nie słyszała też szczekania. Najwyraźniej zwierzak zrezygnował z pościgu.

Biedny, mały psiak wyglądał na zagłodzonego.

To go oczywiście nie usprawiedliwiało, że chciał pożyć jej kota. - Widzieliście, dokąd pobiegł

Hugo?

Postanowiła się podnieść, zdecydowana go poszukać.

Czyjeś ręce chwyciły ją pod ramiona i pomogły jej bezpiecznie stanąć na nogi. Nie była ranna, ale przyjęła z wdzięcznością pomoc. Czuła się trochę niepewnie. Dzięki Bogu, że trawa na podwórku już od dawna nie widziała kosiarki. To właśnie gęsta trawa zamortyzowała jej upadek.

- Jest tam.

Głos Antonia zabrzmiał dość sucho, gdy wskazał głową na wielką brzozę. Carly spojrzała w górę, na liściastą koronę drzewa i zobaczyła kota, który przycupnął na gałęzi i wpatrywał się w swoją panią.

- Hugo! Chodź tutaj!

Tylko lekceważąco pomachał ogonem. To jedyny znak, że usłyszał polecenie.

- Cholerny kot - wymamrotała Carly pod nosem.

- Zgadzam się całkowicie - powiedziała Sandra.

Carly rzuciła jej złowrogie spojrzenie.

- Posłuchajcie, może poczekamy chwilę i zobaczymy, czy sam nie zejdzie? - zapytał Mike, wymieniając z Antoniem przerażone spojrzenia.

Carly zmarszczyła brwi. Coś jej mówiło, że ci faceci naprawdę nie zechcą wejść na drzewo po Hugona. Ale tym razem nie było takiej potrzeby. Inaczej niż poprzedniej nocy, teraz wiedziała, gdzie był, a na drzewie raczej nie powinno go spotkać nic złego. Zacznie się martwić, jeżeli po pewnym czasie sam nie zejdzie. Tak czy inaczej dla jej ulubieńca skończyły się dni słodkiego leniuchowania, gdy przyglądał się światu z wysokości kilkunastu pięter przez panoramiczne okno. Dobra wiadomość była taka, że teraz będzie się musiał nauczyć życia, a nie tylko je obserwować z luksusowego mieszkania. Zła wiadomość była identyczna z dobrą.

- Tak, jasne, ja ... - Umilkła, gdyż nagle otworzyły się frontowe drzwi jej domu.

Carly zauważyła to kątem oka, a gdy zaskoczona odwróciła głowę, zobaczyła, że na werandę wyszedł siwowłosy mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat. Był schludnie ubrany w błękitną koszulę z krótkimi rękawami i ciemne spodnie. Wysoko na biodrach miał skórzany pas z narzędziami. Po chwili dołączył do niego młodszy mężczyzna w dżinsach, jasnowłosy i potężnie zbudowany.

Carly popatrzyła na nich ze zdumieniem. Kim są ci dwaj i co robią w jej domu?

- Prawie skończone! - zawołał do nich starszy mężczyzna, pomachał im wesoło ręką, przykucnął i zaczął majstrować przy frontowych drzwiach.

Młodszy mężczyzna, który stał obok, także im pomachał.

- Hej, Walter, Barry: - Antonio takie im pomachał. Potem spojrzął na Carly.

- Może wejdiesz do domu i usiądziesz. To był poważny upadek.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała Carly, chociaż tu i ówdzie czuła już skutki zetknięcia się ze schodami i wiedziała, że później ból będzie jej jeszcze bardziej doskwierał. - Walter i Barry?

- Walter i Barry Hindley - wyjaśnił Antonio, gdy razem z Sandrą i Mikiem wprowadzali ją po schodach na werandę.

Walter i Barry Hindleyowie, przypomniawszy sobie Carly. Walter był właścicielem - przynajmniej kiedyś - sklepu z artykułami żelaznymi w Benton. Sprzedawał tam oprócz gwoździ, młotków i innych narzędzi także cukierki i komiksy. Wszystkie dzieciaki z miasteczka regularnie odwiedzały sklep pana Hindleya. Barry był jego synem. Chodził do klasy o rok wyżej niż Carly. Atletycznie zbudowany, nie był chłopakiem, którego miałaby okazję lepiej poznać, jako że nigdy nie znajdowała się na liście najbardziej ponętnych dziewczyn w liceum.

Gdy podeszła bliżej, bez trudu ich poznała.

_ Dzień dobry panie Hindley, cześć Barry - przywitała się, a idąc po werandzie, poczuła znowu dotkliwy ból w poobijanych miejscach.

Wiedziała już, kim są obaj mężczyźni, ale nadal nie miała pojęcia, co robią w jej domu.

_ Carly? Cześć - powiedział Barry, patrząc na nią, jakby zobaczył ducha.

Trochę przytył, ale poza tym nic się nie zmienił.

_ No proszę, witaj, Carly. - Pan Hindley uśmiechnął się życzliwie. Przybyło mu kilka kilogramów i trochę zmarszczek, lecz poza

tym też prawie się nie zmienił, pomyślała Carly. Teraz trzymał w jednej ręce śrubokręt, a w drugiej klamkę od drzwi.

- Miło, że wróciłaś.

_ Miło być znowu w domu. - Uśmiechnęła się do nich, ale nie mogła dłużej powstrzymać ciekawości.

- Co wy tu robicie?

Barry spojrzał na nią zdziwiony.

_ To Matt ci nie powiedział? Prosił, żebyśmy tu dzisiaj przyszli i zmienili zamki. Powiedział, że trzeba to zrobić natychmiast.

_ Po południu mamy dziś z El en wizytę wnuków - wyjaśnił pan Hindley. - Postanowiłem więc zrobić to teraz, nie poszedłem na mszę i przyciągnąłem ze sobą Barry' ego, zresztą już prawie skończyliśmy.

- Nie, Matt nic mi nie powiedział.

Ponieważ Barry przytrzymał jej drzwi, weszła do środka.

Z przyjemnością poczuła, że ktoś włączył klimatyzację. Powietrze wewnątrz domu było dużo chłodniejsze niż na zewnątrz.

_ Doceniam, że poświęcił pan na to niedzielną mszę• - Spojrzała na Barry'ego. - A tobie dziękuję, że zrezygnowałeś z czasu, jaki mógłbyś spędzić z rodziną.

Pokręcił głową i uśmiechnął się do niej.

_ Nie mam żony. Te wnuki, o których wspomniał ojciec, to dzieci mojej siostry.

- Aha. - Pokiwała głową.

Po jego uśmiechu łatwo mogła się domyślić, czemu Barry jej to powiedział, Nie była nim jednak w ogóle zainteresowana. A powód tego braku zainteresowania, co uświadomiła sobie z irytacją, miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i czarne włosy.

- Dodałem ci kilka porządnych rygli - powiedział pan Hindley. - Wzmocniłem też okna, więc nikt już tędy nie wejdzie. Później przyjdzie Ron Graves i założy ci system alarmowy. Kiedy wszystko będzie zrobione, nawet stary Harry Houdini nie poradziłby sobie z twoim domem.

- System alarmowy? - zapytała Carly, zła na siebie, że nie mogła zainteresować się Barrym. Jej troje pielęgniarzy wciąż stało obok niej w holu, gdzie zrobiło się już nieco tłoczno. - Jaki system alarmowy?

Pan Hindley ustawił drzwi w odpowiedniej pozycji i przytrzymał je kolanami. Znalazł znak, który wcześniej zrobił ołówkiem, i poprawił go śrubokrętem. Barry podał mu wiertarkę.

- Ten, który Matt kazał jeszcze dzisiaj tu zainstalować, żebyś mogła bezpiecznie spać w domu babki - wyjaśnił Barry.

- Dziś rano zadzwonił do Rona i poprosił, aby to zrobił - dodał pan Hindley. - To z uwagi na wczorajsze włamanie. Matt powiedział, że to pilne, więc Ron się zgodził.

"Matt powiedział". Jeżeli chodziło o Carly, te nazbyt często powtarzane słowa działały na nią jak płachta na byka. Spojrzała na Barry'ego innymi oczami. Pamiętała go jako bardzo miłego chłopca. Dobrze wie-dzieć, że w Benton poza Mattem są jeszcze jacyś faceci do wzięcia.

Zanim jednak zdążyła zdobyć się na jakąś zachętę, pan Hindley zaczął wiercić otwór w drzwiach. Barry mrugnął do niej dyskretnie.

No tak, może i jest świetnym facetem, ale w tym momencie nic do niego nie czuła. Pewnie dlatego, że nadal była wściekła na Matta.

- Jeżeli nie chcesz systemu alarmowego, zadzwoń do Rona Gra-vesa, żeby nie przychodził -

powiedział Antonio, widząc niezdecydowanie na twarzy Carly. Wykrzyczał to głośno, aby usłyszała go mimo hałasującej wiertarki. - Chociaż Matt uważał, że się zgodzisz.

- Chcemy mieć system alarmowy - odezwała się szybko Sandra, zanim Carly zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Potem rzuciła jej spojrzenie w stylu: "ani mi się waź" i pociągnęła ją w głąb domu.

Carly zdawała sobie sprawę, że wcale nie chodzi o to, czy chciała mieć system alarmowy czy nie, chociaż rachunek za jego zainstalowanie to osobna sprawa. Rzecz w tym, że "Matt powiedział"

nie znał wcale "Matt dostał". A z pewnością nie dotyczyło to jej. Już nie. To tak typowe dla niego arbitralne załatwienie sprawy, gdy nawet się nie pofatygował, aby jej o tym uprzedzić, doprowadzało ją do wściekłości. To samo z nowymi zamkami. I to, że polecił swoim zastępcom, aby pomogli przenieść rzeczy. To jej dom, jej drzwi i jej przeprowadzka. Nic a nic nie powinno go to wszystko obchodzić.

Jej życie to nie jego sprawa i Carly postanowiła mu to powiedzieć, gdy tylko go zobaczy. A jeżeli powinna mieć opiekę, to może zainteresuje się innymi samotnymi mężczyznami z Benton.

Idąc do salonu, pochwyciła kątem oka swoje odbicie w lustrze nad kaloryferem. W pierwszej chwili nie zrobiło na niej wrażenia, dopiero później dotarło do niej coś niepokojącego i stanęła jak wryta, zdejmując z ramienia rękę Sandry.

Mimo długotrwałych wysiłków, wielu lat doświadczeń z profesjonalnymi suszarkami z dyfuzorem i najnowszych osiągnięć przemysłu chemicznego, jej loczki znów były na swoim miejscu. Jak niemal wszystko w jej życiu, odkąd wróciła do Benton, włosy z uporem próbowały odwracać czas.

- Nie! - wyszeptała zrozpaczona, patrząc z niedowierzaniem na swoje odbicie.

Jasne spirale otaczały jej czoło, wiły się wokół uszu i na karku.

- Wracamy po następne rzeczy! - zawołał Antonio, przekrzykując hałas wiertarki.

- Wspaniale - odpowiedziała Sandra nienaturalnie entuzjastycznym tonem. - Zaraz przyjdę wam pomóc. Tylko zaprowadzę Carly do salonu.

- Nie ma pośpiechu. - Antonio machnął ręką. - Pomóż Carly. Zastępcy szeryfa wyszli, mijając Barry'ego i pana Hindleya, którzy wciąż pracowali przy drzwiach. Gdy tylko znikli z pola widzenia, Sandra złapała ponownie Carly za ramię i dosłownie zaciągnęła ją do salonu.

- Nawet nie myśl o tym, aby odwołać faceta, który ma nam zainstalować system alarmowy -

powiedziała, krzyżując ręce na pierśsiach, i posłała jej ostrzegawcze spojrzenie. Carly, pozbawiona resztki sił przez horror, jaki zobaczyła w lustrze, opadła bezwładnie na kanapę. -

Nie interesuje mnie, co ten seksowny szeryf ci zrobił, że jesteś na niego taka wściekła, ale chcę, aby tu był system alarmowy. Ty musisz mieć kota, a ja muszę mieć alarm.

Perspektywa, że jej współpracowniczka i zarazem jedyna osoba w ich tandemie, która umiała gotować, zniechęci się i wróci do Chicago, zmusiła Carly do zlekceważenia sprawy Matta. Z rozdrażnioną Sandra nie było żartów. A Sandra przerażona i rozdrażniona mogłaby się spodziewać takiego spustoszenia, że Carly nie zamierzała do tego dopuścić.

- W porządku - zgodziła się, po czym także skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na przyjaciółkę, próbując znaleźć sobie wygodną pozycję na kanapie.

Nie byłoby to możliwe, nawet gdyby nie miała sztucznej kości ogonowej i obolałych mięśni.

Dobrze pamiętała z dzieciństwa ten mebel. Chociaż kanapa miała wspaniałe, aksamitne obicie, wypchno ją twardym jak kamień końskim włosiem. Tak więc nie mogło być mowy o wygodzie.

- Cholernie się cieszę - powiedziała Sandra z satysfakcją i pobiegła ze słodkim uśmiechem do Antonia, który wnosił właśnie pudła porzucone przed domem.

Carly pokazała jej za plecami język. Następnie, aby ukoić swoje obolałe, zmaltretowane ciało, umysł i duszę, odruchowo sięgnęła po lekarstwo, które, gdy była małą dziewczynką, zawsze poprawiało jej nastrój: wzięła z talerza miętówkę, odwinęła z papierka i włożyła do ust.

Do kolacji furgonetka została rozładowana, a w całym domu wałały się pudła w różnym stadium rozpakowywania. Ubrania zostały upchnięte do szaf i komódek. Ręczniki, mydła i przybory toaletowe znalazły się w łazience. Po złagodzeniu bólu megadawką tylenolu Carly czuła się jak nowo narodzona. Poukładała większość swoich rzeczy, a nawet pościeliła sobie łóżko w sypialni, którą zajmowała kiedyś jako mała dziewczynka, a teraz także postanowiła się tam wprowadzić.

Uznała rozsądnie, że jej sypialnia jest jedną z mniejszych na tyłach domu, a większe i bardziej okazałe od frontu należy przeznaczyć dla gości. Poza tym naprawdę czuła się w niej dobrze.

Sandra rozlokowała się w niewielkim sąsiednim pokoju - nieprzypadkowo zaraz na prawo od Carly - pozostały więc jeszcze cztery pomieszczenia do wynajęcia. Carly na nowo zapoznawała się z domem, który oprócz sześciu pokoi i łazienki na parterze składał się z sześciu sypialni i dwóch łazienek na pierwszym piętrze oraz drugiego piętra, które na razie było jednym wielkim strychem. Prawdę powiedziawszy, Carly miała nadzieję, że interes pójdzie na tyle dobrze, iż będą mogły zrobić na samej górze dodatkowe pokoje dla gości. Na razie jednak ich finanse pozwalały na wyremontowanie tylko dwóch niższych kondygnacji. Posprzątały naprędce bałagan, jaki zostawił w salonie na tyłach domu włamywacz, chociaż naprawy wymagały jeszcze dziury w tynku na ścianach. Poza tym jednak parter prezentował się całkiem przyzwoicie.

Jeszcze tylko porządne sprzątnięcie oraz kilka warstw nowej farby, a salony od frontu i z tyłu, pokój muzyczny, który znajdował się na wprost frontowego salonu, oraz przylegające do pokoju muzycznego jadalnia, kuchnia i pokój śniadaniowy obok jadalni, będą gotowe. Carly liczyła się z tym, że trzeba będzie kupić na raty nowe wyposażenie kuchni, bo większość pieniędzy pójdzie na nowe umeblowanie pokoi gościnnych i zmianę instalacji elektrycznej.

Dom, który pamiętała jako ciemny i zagracony, powoli zaczynał nabierać nowego wyglądu. Miała wrażenie, jakby budził się z długiego snu. Nie bardzo wiedziała, jak to się stało, ale zanim nadeszła pora kolacji, w domu zaroilo się nagle od ludzi zainteresowanych tylko jednym: jedzeniem. A dokładnie jedzeniem przygotowanym przez Sandrę. Sandra, która była najszczęśliwszą kobietą pod słońcem, gdy miała dla kogo gotować, krzątała się przy kuchni i przygotowywała wspaniałe pachnącą potrawkę z krewetek, wyczarowaną ze składników, jakie znalazła w spiżarni i zamrażarce. Carly

stała przy jednym z długich blatów kuchennych i robiła sałatkę, jedno z niewielu dań, jakie pozwalała jej przygotowywać Sandra. Sałatka składała się z pomidorów i cebuli podarowanych przez panią Naylor, która razem z córką Martha Highcamp i jedną ze swoich starych przyjaciółek przyszła około czwartej po południu, aby przynieść Cady powitalny prezent, czyli swoje słynne ciasto. Zanim Carly się spostrzegła, wszystkie trzy zdecydowały się zostać na kolacji, a pani Naylor przekazała na ręce Sandry dary z ogródka i deser. Antonio i Mike nadal byli na miejscu, bardzo zmęczeni, ale już ciekła im ślinka na myśl o jedzeniu. Ron Graves, który właśnie skończył instalowanie systemu alarmowego, tak chwalił

smakowite zapachy, że natychmiast został zaproszony na kolację i rzecz jasna postanowił

zostać. Wpadła też Loren Schuler, aby ustalić termin odebrania zniszczonego biurka ciotki, i wdała się w dyskusję z Martha Highcamp na temat pracy komitetu obchodów święta Czwartego Lipca, ponieważ obie w nim działały, a potem postanowiła zostać na kolacji. Listę nieoczekiwanych gości zamykała Erin, która przyniosła Sandrze kolczyki pozostawione u Matta w domu. Rozsiadła się na kuchennym blacie i paplała, i nic nie wskazywało na to, że ma ochotę pójść. Obserwując, jak żartowała z Mikiem, Carly domyśliła się, że zasiedziała się właśnie z jego powodu. Dla niej z pewnością ucztą przygotowywana przez Sandrę nie była tak silną motywacją, jak w wypadku innych gości. Biorąc pod uwagę fakt, że Erin była zaręczona z Colinem Holcombem, wyraźna przyjemność, jaką sprawiło jej towarzystwo zastępcy szeryfa, dała Carly do myślenia. Upominała się jednak w duchu, że zachowanie Erin to nie jej problem, i skupiła się na krojeniu cebuli tak cienko, aby zadowolić wymagania Sandry. Fakt, że w tym małym miasteczku wszyscy zajmowali się sprawami innych, nie oznaczał, że ona powinna zachowywać się tak samo. Wróciła do Benton, ale nie pozwoli, aby to miejsce nią zawładnęło.

Wszyscy ci ludzie byli mile widziani na kolacji, chociaż niewątpliwie należeli do kategorii gości nieoczekiwanych. Jediną osobą, na którą w głębi serca Carly czekała, był Matt. Nie chciała się do tego przyznać, ale pragnęła usłyszeć jego głos i przez całe popołudnie aż do wieczora chodziła podenerwowana, spodziewając się, że lada chwila stanie w drzwiach, i zastanawiała się, jak powinna się wówczas zachować. Nawet gdy kroїła i doprawiała pod okiem Sandry sałatkę, cały czas nasłuchiwała, czy Matt nie idzie. A kiedy już podały kolację w jadalni, gdzie znajdował

się zrobiony na zamówienie stół, który mógł pomieścić tak wiele osób, łapała się na tym, że ciągle zerkała w stronę drzwi w nadziei, że stanie w nich Matt.

Wcale nie chciała go widzieć. Po prostu się go spodziewała. A to, jak sama się przekonywała, jest coś zupełnie innego.

Jasno oświetlona i pełna ludzi jadalnia w niczym nie przypominała ciemnej komnaty z horroru, jaką była wczoraj w nocy. Carly, opowiadając na wyraźne życzenie gości o swoim spotkaniu z włamywaczem, zdołała nawet znaleźć kilka zabawnych szczegółów tej historii. W miarę jak mówiła, a cała ta przerażająca historia oddalała się w czasie, miała wrażenie, że przedstawiła ją jako bardziej niesamowitą niż w rzeczywistości. Kąt pokoju, w którym czaił się intruz, nie wydawał się już wcale straszny; był to zwykły kąt, gdzie pechowcy włamywacz usiłował się schować, aby go nie zauważono. Wszyscy śmiali się z roli, jaką w tej historii odegrał Hugo, a także z Sandry i Matta. Potem Mike opisał z dużym poczuciem humoru, jak Matt walczył z kotem, aby ściągnąć go z

drzewa. Goście pożartowali sobie jeszcze trochę, a następnie rozmowa zeszała na inne tematy.

Tylko Carly nie mogła tak szybko się pozbyć całej serii przepływających jej przed oczami obrazów, które przypominały o wczorajszych przeżyciach: o paraliżującym strachu, ucieczce w ciemnościach, o tym, jak biegła do Matta. Była wylękniona i drżała, krzyczała w ciemnościach, płakała na jego piersi. Matt tulił ją mocno, czuła się bezpiecznie w jego ramionach, pocieszał ją, całował...

A potem wyszedł. Ponieważ byli przyjaciółmi i nie chciał tego zepsuć.

Na to wspomnienie znowu ogarnęła ją wściekłość.

Przypadkowe zniszczenie jego skrzynki na listy to nic w porównaniu z karą, na jaką zasłużył, powtarzała ze złością w myślach. Zasłużył na - zasłużył na ...

Nie mogła wymyślić nic odpowiednio okropnego. Ale jeżeli już coś jej przyjdzie do głowy, lepiej niech się strzeże.

_ Pokroję ciasto - zaproponowała i zabierając brudne talerze ze stołu, umknęła przed radosną wrzawą do cichej i pustej kuchni.

Była tak wściekła na Matta, tak zawładnęły nią myśli o nim, że jego nieobecność doprowadzała ją do furi. Mógł przecież przyjść i pomóc jej przy przeprowadzce, zjeść z nimi kolację lub tylko sprawdzić, jak sobie radzą. Powtarzała sobie cały czas, że to wszystko dla tego, iż szykowała się, aby mu zrobić awanturę i nie mogła znaleźć ujścia dla swojego gniewu. Tłumaczyła sobie, że ponieważ to do niego należało ostatnie słowo podczas ich nocnego spotkania, zarówno w sensie dosłownym, jak i w przenośni, czuła nieprzewartą potrzebę, aby postawić kropkę nad i, a mogłaby to uczynić tylko mówiąc mu, że to ona jego nie chciała.

Stała przed zlewozmywakiem, zamierzając zrzucić z talerza resztę potrawy z krewetek, gdy zauważyła, że Hugo, który wcześniej sam z własnej woli zszedł z drzewa, siedzi teraz na lodówce i gapi się na coś przez kuchenne okno. W pierwszej chwili pomyślała, że kot oddaje się jednemu ze swoich ulubionych zajęć: obserwacji ptaków. Jego wygląd jednak zdawał się temu przeczyć.

Po pierwsze, futro na karku mu się zjeżyło, co było oczywistym znakiem, że coś go zaalarmowało. Po drugie, znieruchomiał niczym posąg.

Carly także wyjrzała przez okno. W zasięgu wzroku miała całe podwórko na tyłach domu, które zamykała olbrzymia, pomalowana na czarno stodoła, gdzie od lat składowano różne niepotrzebne rzeczy. Za nią rozciągało się pole kukurydzy. Wiał lekki wiatr; widziała, jak pod jego dotknięciem falowały na polu wiotkie czubki wysokich łądyg. Dochodziła ósma wieczorem, do zapadnięcia nocy zostały dwie godziny. Dokuczliwy upał popołudnia nadal nagrzewał

powietrze jak gorący piecyk, a trawy rzucały długie cienie. Od pola kukurydzy zbliżało się w stronę domu małe, czarne stworzenie. Przymykało chyłkiem przez trawnik, znikowało pod krzakami, trzymając się cienia, aby po chwili znowu się pojawić. Carly zobaczyła, jak zwierzę na chwilę

zatrzymało się na otwartym terenie, spojrzęło w kierunku domu, uniosło głowę i zaczęło węszyć.

Piekielny pies wylęzł ze swojej kryjówki zwabiony zapachem potrawy z krewetek.

Z pewnością jest bardzo głodny. Carly przypomnięła sobie, jaki był wychudzony i z jakim niepokojem przyględał się jej, gdy spadła ze schodów. Przypomnięła też sobie, że polizał ją po policzku.

Nadal trzymała w ręku swój talerz z prawie nietkniętym jedzeniem. Była tak zajęta nasłuchiowaniem, czy nie nadchodził Matt, że przełknęła tylko kilka kęsów. Teraz jej kolacja mogłaby znaleźć lepsze przeznaczenie niż kosz na odpadki.

- Nie powinniśmy mu pozwolić umrzeć z głodu tylko dlatego, że cię gonił - zwróciła się do Hugona, który odpowiedział jej lekceważącym spojrzeniem i machnięciem ogona.

Z talerzem w dłoni otworzyła tylne drzwi i stanęła na małej werandzie na tyłach domu.

Gdy tylko Carly pokazała się na werandzie, pies natychmiast uciekł pod krzaki. Najwyraźniej nie miał zbyt dobrego zdania o ludziach. Carly nigdy nie miała psa, ale w przeciwieństwie do Hugona psy nie wyzwały w niej wrogich uczuć. Babka nigdy nie pozwalała jej trzymać jakiegokolwiek zwierzątka, a kiedy mogła już sama o tym decydować, kupiła sobie kota.

A Hugo zaszczerpił w niej zdecydowane uprzedzenia wobec psów. Zeszła ze schodów, przecięła podwórko i stanęła przed krzakiem, pod którym schował się pies. Zielony i rozłożysty krzew pokryty był białymi kwiatami, które tworzyły kule wielkości piłki tenisowej. Ukucnęła i zajrzała pod gałęzie. Przez chwilę myślała, że nie zauważyła, gdy pies uciekł dalej. Potem go dostrzegła: siedział skulony i przyględał się jej oczami pełnymi strachu.

- Jesteś głodny? - zapytała łagodnie Carly. - Przyniosłam ci coś do zjedzenia.

Nie spuszczał z niej oczu i niemal wciskał się w ziemię. Carly postawiła talerz na ziemi.

Zauważyła, że nozdrza psa poruszyły się i zaczął węszyć.

- Chodź tu - zachęciła go.

Potem przypomnięła sobie Matta i zabawne dźwięki, jakie wydawał, wabiąc zwierzaka. Dotknęła językiem podniebienia.

To niewiarygodne, ale psiak ruszył w jej stronę! Czołgając się na brzuchu, z ogonem podwiniętym pod siebie, zbliżał się do niej powoli. Powtórzyła tamten dźwięk, a pies posuwał się do przodu, aż znalazł się na granicy krzaka. Wtedy zawahał się, przenosząc wzrok z talerza na nią, jakby się zastanawiał, czy można jej zaufać.

- Nie skrzywdzę cię - zapewniła go. - Obiecuję. Przysunęła talerz z jedzeniem w jego stronę.

Rzuciwszy jej jeszcze jedno, długie spojrzenie, pies wylęzł spod krzaka. Gdy tylko dotarł do talerza,

zaczął jeść tak łapczywie, jakby od tygodni nie miał nic w pysku.

Widząc to, Carly poczuła, że ściska jej się serce. Był taki chudy, przypominał wręcz psi szkielecik. Wydawał się niewiele większy od Hugona, chociaż jej ulubieniec miał jakieś trzy czy cztery kilogramy nadwagi. Arystokratyczny rodowód kota widoczny był na pierwszy rzut oka.

Pochodzenie psa także nie budziło najmniej szcych wątpliwości: prawdziwy kundel. Mały, z oczami i uszami zbyt dużymi w stosunku do sercowatej w kształcie mordki, z cienkimi nóżkami i długim, ubłoconym ogonem. Miał czarną, zmierzwioną sierść bez połysku i małą, białą plamkę na piersi.

Jedyna sensowna rzecz, jaką mogła zrobić, to oddać go do schroniska. Ale Carly, patrząc, jak zwierzak pochłaniał pikantne krewetki, wiedziała już, że się na to nie zdobędzie.

Wyciągnęła rękę, aby go pogłaskać. Dotknęła go bardzo ostrożnie, ponieważ wiedziała, że pies był włóczęgą, z pewnością nie miał właścicieli, nie lubił kotów i nawet mógł ją ugryźć. Gdy go pogładziła, tak gwałtownie uniósł łebek znad talerza, z którego wylizał do czysta ostatnią kropelkę sosu, że cofnęła dłoń. Ich oczy na moment się spotkały. Oczy zwierzaka były duże, ciemne i bardzo smutne, jak-by już wiedział, że świat nie jest przyjaznym miejscem dla małych, niechcianych piesków, i pogodził się z tym faktem. Nagle pomachał ogonem, początkowo tak delikatnie, że omal niezauważalnie.

Wtedy Carly postanowiła zaryzykować.

- Dobry piesek - wyszeptła, przysuwając się do niego.

Pies wrócił do wylizywania talerza, ale gdy pogłaskała go ponownie, tym razem bardziej zdecydowanie, znów uniósł łebek, spojrzał na nią przyjaźnie i znowu pomachał ogonem. Trząśł

się, ale nie protestował, gdy go podniosła, przytuliła i wstała z nim na rękach. To suczka, zauważyła.

- Dobry piesek - powtórzyła.

Był ciepły, kościsty i niesamowicie lekki. Czowała, jak jego chudym ciałem wstrząsały dreszcze, widziała w jego oczach wątpliwości, kiedy na nią patrzył. Nie był przyzwyczajony do czułości, to jasne. Na brzuchu wymacała podłużne zgrubienie, chyba bliznę, futro pokryte było jakąś zaschniętą mazią, która kruszyła się przy dotyku, i z pewnością miał pchły, jeżeli nie coś gorszego.

Z jakiejś niezrozumiałej przyczyny Carly pomyślała, że jest do niej podobny. Nie do takiej. Carly, jaką stała się teraz, ale do tamtej małej dziewczynki z czasów, zanim w jej życie wkroczyła babka. Wtedy też była niekochana i niedożywiona, brudna i zaniedbana, nieufna i ostrożna w stosunku do wszystkich ludzi. Wiedziała, jakie to uczucie, gdy jest się małym, bezradnym, przerażonym i samotnym stworzeniem.

- Nie martw się - powiedziała, patrząc zwierzakowi prosto w załęknięte oczy. - Wszystko będzie dobrze.

Psiak westchnął ciężko, jakby ją rozumiał. Była tak bardzo wzruszona, jak od dawna już jej się nie zdarzyło, i mocno go do siebie przytuliła. Uniósł głowę i polizał Carly w policzek.

Uświadomiła sobie nagle, że połączyła ich silna więź na całe życie. Sandra ją z pewnością zabije. Hugo także tego nie zniesie. Będą jednak musieli jakoś ułożyć sobie wzajemne stosunki.

Zdecydowanie postanowiła zatrzymać psa.

Dawno temu ją także uratowano przed złym życiem. Teraz ona uratuje tę suczkę.

- Musisz mieć imię - powiedziała i od razu wiedziała, jakie. - Jak ci się podoba Annie?

Psina jakby zrozumiała, że po raz pierwszy w życiu zdarzyło jej się coś pozytywnego, i pomachała ogonem, dając do zrozumienia Carly, że może ją nazwać, jak chce, a ona na wszystko się zgadza.

- Grzeczna dziewczynka - powiedziała Carly. - Grzeczna sunia, Annie.

I wniosła psiaka do domu.

Był piękny, rozgwieżdżony wieczór czwartego lipca. Sandra i Carly siedziały na pledzie wśród radosnego, rozbawionego tłumu, jaki zgromadził się na placyku w centrum miasteczka, czekając na pokaz sztucznych ogni. Sandra pałaszowała kanapkę z szynką. Carly delectowała się gęstym, słodko-cierpkim napojem z soku cytrynowego, cukru, pokruszonego lodu i wody, który podawały z Sandrą w Treehouse pod nazwą Cytrynowa Miazga. Sandra, jak zwykle ubrana na czarno, miała w uszach długie, wiszące kolczyki w kształcie liter USA, które migotały w świetłach. Carly także była odpowiednio ubrana na tę okazję, w granatowe szorty i czerwony t-shirt z białymi gwiazdami, a na głowie miała płócienną czapkę baseballową z amerykańską flagą. Czapka baseballowa służyła trzem celom: była świadectwem patriotyzmu, twarzowym nakryciem głowy, a przede wszystkim dało się pod nią ukryć loczki, które Carly związała w koński ogon.

- Wiesz co, wydaje mi się, że szeryf chyba wie, kto mu rozwalił skrzynkę na listy.

Głos Sandry zabrzmiał niewiele głośniejsze niż szept; najwyraźniej nie chciała, aby ktoś jeszcze ją usłyszał. Spojrzała na Carly, a potem szybko odwróciła głowę.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytała Carly. Niewinna mina przyjaciółki natychmiast naprowadziła ją na właściwą odpowiedź. Carly opuściła daszek czapki i spojrzała na Sandrę podejrzliwie. -

Wygadałaś się przed Antoniem, tak?

Od trzech dni, jakie minęły od ich wprowadzenia się do domu, Antonio stał się stałym elementem tego miejsca, niemal jak weranda od frontu. Jeżeli nie spał lub nie pracował, można go było zawsze znaleźć w ich kuchni. To Carly nie przeszkadzało. Lubiła zastępcę szeryfa, poza tym bardzo im pomagał. Któregoś dnia przywiózł nawet kosiarkę do trawy i przystrzygł

trawnik przed domem - poza tym Carly była zadowolona, że mężczyzna życia Sandry trzymał się z daleka od spraw spornych w ich domu, a taką kwestię z całą pewnością stanowiła obecność Annie. Zupełnie nieświadomie jednak Antonio miał w jej oczach jeden poważny minus: ciągle przypominał jej o Matcie.

- No, dobrze, może wyrwało mi się coś przy okazji, gdy opowiadał, jak pomagał szeryfowi zalewać betonem słupek na nową skrzynkę pocztową. - Sandra wyznała to z lekkim poczuciem winy w głosie, a przynajmniej tak się wydawało Carly. - Pomyślałam, że powinnam ci o tym wspomnieć, ponieważ Antonio, no wiesz, powiadomił o tym szeryfa.

- I co? - Mimo najszerszych chęci, Carly nie mogła się powstrzymać. Musiała zadać to pytanie. - I co powiedział? Mam na myśli Matta.

Sandra spojrzała na nią. Najwyraźniej się wahała. Carly czekała. - Powiedział: "Ta dziewczyna to prawdziwy wrzód na tyłku, było tak, odkąd po raz pierwszy ją zobaczyłem".

Carly aż wstrzymała oddech.

- Och, naprawdę tak powiedział?

Zaciskając zęby z oburzenia, spojrzała w stronę biura szeryfa, na długi, niski budynek z cegły, stojący obok remizy strażackiej dokładnie po drugiej stronie placu. Matta tam nie było.

Znajdował się gdzieś tutaj, w tłumie. Już raz go widziała z daleka, chociaż miała wrażenie, że on jej nie dostrzegł. Jeszcze nie. Ale ją zobaczy.

Tkwiąca w niej przebojowa dziewczyna dosłownie wrzała z oburzenia.

Od tamtej nocy w sypialni Matta jeszcze nie miała okazji go spotkać, jeśli nie liczyć tego, że mignął jej gdzieś z daleka na festynie. O ile Antonio nieustannie dawał odczuć swoją obecność, Matt oczywiście unikał ich domu.

Nie odwiedził Carly, nie dzwonił, nie przesłał żadnej wiadomości przez Antonia ani przez swoje siostry (wszystkie do niej co jakiś czas wpadały) ani przez nikogo innego, włączając w to miejscowe kwiatciarki, pocztę elektroniczną, a nawet takie przestarzałe, chociaż skuteczne metody, jak amerykańska poczta.

No i dobrze. Wcale nie.

Zdecydowane zerwanie kontaktów to zapewne jego stała metoda postępowania po tak gorących i pełnych emocji spotkaniach, jakie było także ich udziałem, ale w wypadku Carly to nie działało.

Od momentu gdy zamknął jej przed nosem drzwi swojej sypialni, wściekłość narastała w niej jak bulgocząca lawa w wulkanie. Jeżeli nie będzie miała szansy, aby dać jej upust, eksploduje.

Prawdę powiedziawszy, przyszła na coroczny pokaz sztucznych ogni w Benton, bo chciała mieć okazję, aby nawymyślać szeryfowi.

Sama myśl o tym wprawiała ją w stan podniecenia.

Tylko że w chwili, gdy na niebie rozbłysły pierwsze fajerwerki, Carly nie była ani o krok bliżej wygarnięcia Mattowi, co o nim myśli, niż wówczas, gdy zostawił ją zawiedzioną w sypialni.

Trudno było nie zauważyć w tłumie Matta. W mundurze szeryfa - uniform koloru khaki, odznaka, pistolet w kaburze przy pasku - bardzo rzucał się w oczy i był wszędzie. Wszędzie, ale nie obok niej. Zarówno on, jak i jego zastępcy pilnowali porządku w tłumie. O ile Cady się orientowała, przyszli tu chyba wszyscy mieszkańcy Benton i okolicy. Gdy wspaniałe kaskady czerwonych, białych i niebieskich ogni rozświetlały niebo, stróże prawa krążyli między wysepkami ludzi siedzących na kocach lub zbitych w gromadki na ogrodowych krzesłach i grupkami gapiów stojących na obrzeżach głównego tłumy. Wszyscy patrzyli zafascynowani w niebo.

Oprócz Sandry w pobliżu Cady siedziała pani Naylor, która zaprosiła je do swojego towarzystwa, jej córka Martha wraz z rodziną oraz Lora Schuler i Bets Haskel, jej dawne przyjaciółki ze szkoły, także z rodzinami. Ich grupa przyciągała uwagę uczestników festynu; ludzie słyszeli już o powrocie Carly do miasta i jej planach otwarcia pensjonatu w domu babki, więc co chwila ktoś podchodził,

aby się przywitać i wyrazić swoje opinie na temat tego przedsięwzięcia. Pojawił się też Barry Hindley, który wyraźnie okazywał Cady swoje zainteresowanie, a ona po raz kolejny żałowała, iż jest tak bardzo wściekła na Matta, że nie może przerzucić swojej uwagi na innego mężczyznę. Przyszedł także Hal Reynolds, także jej kolega ze szkoły, który bardzo chciał odnowić stosunki towarzyskie, ale nim także nie była zainteresowana. Sandra miała swojego prywatnego gościa, Antonia - ten, chociaż na służbie, znalazł czas, aby zjeść przygotowane przez nią kanapki i przy okazji chwilę pogawędzić. Nawet po jego odejściu Sandra cała promieniała.

Dobłą wiadomością wieczoru było to, że przynajmniej jedna z nich jest na właściwej drodze. Zła wiadomość natomiast to smutny fakt, że druga z nich nie miała tego szczęścia.

Wkrótce po odejściu Antonia zaczęli ich odwiedzać inni ludzie szeryfa. Pojedynczo lub we dwóch, znajdowali jakoś czas, aby choć na chwilę się przy nich zatrzymać. Carly nie miała wątpliwości, że powodem tych wizyt był koszt pełen przysmaków, które przygotowała Sandra. To zapewne Antonio poinformował swoich kolegów, gdzie można dostać coś dobrego do zjedzenia. To właśnie, a także fakt, że Heather, nastoletnia córka Marthy, była przyjaciółką Lissy Converse, która razem ze swoim chłopakiem Andym przysiadła na skraju koca Cady i pochłaniała cytrynowe ciasteczka, dawało nadzieję, iż w pewnym momencie ich mała grupka zostanie zaszczyconą wizytą wspaniałego szeryfa, oczywiście jeżeli świadomie nie unił Cady.

Co, niestety, stawało się coraz bardziej oczywiste. Tłumiąc wściekłość, uświadomiła sobie, że częściej patrzy na Matta niż na fajerkę. Niedysiejszy kandydat miejscowej społeczności na przestępcę, którego wizerunek z dużą dozą prawdopodobieństwa spodziewano się zobaczyć na policyjnym liście gończym, był teraz przez wszystkich szanowany, lubiany i zaczepiany przez wielu znajomych - głównie, oczywiście, przez kobiety. W miarę rozkręcania się festynu pojawiało się przy nim coraz więcej wielbicielek, które ścigał jak kometa gwiazdny pył. Cady wcale nie była tym zaskoczona. Odkąd znała Matta, zawsze musiał się kijem opędzać od kobiet.

Fakt, że miał teraz trzydzieści trzy lata, dobrą posadę, był samotny i tak cholernie przystojny, że nawet w mundurze szeryfa wyglądał atrakcyjnie, sprawiał, że dla niezamężnej części miejscowej populacji był równie pociągający, jak kocimiętka dla Hugona.

To tylko zwiększało złość Cady. Wrzód na tyłku, tak? Już ona mu pokaże wrzód na tyłku!

Nie miał nawet tyle przyzwoitości, aby jej pomachać. Doskonale wiedział, gdzie siedziała. Szeryf musiał to wiedzieć, jeśli wszyscy jego ludzie wiedzieli, gdzie dają takie frykasy. Widać go było wszędzie na tym cholernym placu, witał się i wymieniał pozdrowienia, kłaniał się, ścisnął ręce i marszczył brwi z milczącym ostrzeżeniem:

"Kolego, wiem, że już za dużo piwa wypiełś". Jedyne miejsce, które go nie zaszczycił swoją obecnością, to jakieś dwadzieścia metrów kwadratowych wokół koca, gdzie siedziała Cady.

Czy uważała to za zbieg okoliczności? Z całą pewnością nie. Zaczęła się zastanawiać, czy ten parszywy skurczybyk nie wyobraził sobie przypadkiem, że ją pociągał. Bez wątplenia tak było, ale doprowadzało ją do szału to, że on mógł tak uważać. Ewentualność, że mógł pomyśleć, że go pragnęła, podczas gdy on jej nie, a w każdym razie widział w niej przede wszystkim przyjaciółkę,

sprawiała, że Carly pojawiały się przed oczami czerwone plamy - i to nie z powodu jaśkrawych czerwonych rozbłysków sztucznych ogni na niebie. Była wściekła na samą myśl, że mógł sobie wyobrazić, iż pożądała jego uwagi tak samo jak reszta damskiej populacji Benton.

Przyglądała się właśnie jednej z wielbicielek Matta, kobiecie w krótkich, białych spodenkach, która zerwała się najego widok. Carly poczuła niemal fizyczny ból, gdy Matt zatrzymał się obok tamtej, objął ją ramieniem i pochylił się, aby coś powiedzieć. Żołądek niemal podjechał jej do gardła, zanim się zorientowała, że ta kobieta to jego siostra Erin, a to, co z takim niesmakiem obserwowała, było rozmową między siostrą a bratem w czasie głośnego wybuchu fajerwerków nad głowami. Nieprzyjemne ściskanie w żołądku nie miało jednak szansy, by minąć, ponieważ z koca wstała inna kobieta w białych szortach, która uściśnęła Matta, gdy Erin już usiadła. Na niebie rozbłysły kolejne fajerwerki i wtedy Carly zobaczyła, że ta druga była wysoka, szczupła i miała wysoko zaczesane blond włosy - była to Shelby.

W przeciwieństwie do Cady, należała do kategorii tych dziewczyn, które pieprzył.

Nagle Cady poczuła, że niemiłe sensacje żołądkowe się skończyły. Zamiast tego całkiem wyraźnie zaczęła sobie wyobrażać różne narzędzia zbrodni. W tej właśnie chwili uświadomiła sobie, że to, co ją spotkało, było ni mniej, ni więcej tylko déjà vu.

Dokładnie tak samo traktował ją w tamtych dniach i tygodniach po balu maturalnym.

Zacisnęła zęby, bo nagle jego metoda postępowania stała się dla niej jasna jak słońce.

Po raz kolejny w taki oto sposób radził sobie z dyskomfortem, jaki odczuwał z powodu pojawienia się w ich relacjach elementu seksualnego: trzymał się od niej z daleka. Jarzący się nad jego głową neonowy napis "Skarbie, nie chcę tego wiedzieć" nie mógłby jaśniej przedstawić jego uczuć po tym, co stało się między nimi tamtej nocy.

Tak jak poprzednim razem, nie chciał wiedzieć, że go pragnęła. Bo wcale tak nie było.

Przynajmniej wtedy, gdy była całkiem świadoma i trzymała swoje zmysły na wodzy.

Tak czy inaczej, on także pragnął jej jak cholera. Mógł sobie uciekać tak daleko i tak szybko, jak tylko chciał, mógł zaprzeczać tak uparcie, jak tylko sobie życzył, ale ona nie była już nieśmiałą, zahukaną osiemnastolatką, tylko dorosłą, trzydziestoletnią kobietą i umiała odróżnić napalonego faceta od każdego innego. Jedno wiedziała na pewno: Matt także jej pożądał.

Tylko że nie chciał się do tego przyznać. Ponieważ, jak twierdził, . zbyt mu na niej zależało.

Wolał, aby pozostali przyjaciółmi.

To było tak upokarzające, że na samą myśl skręcały jej się włosy - nie, zaraz, one i tak się skręciły. Skręcały jej się palce u stóp.

Nastąpił kulminacyjny moment pokazu sztucznych ogni. Nawet złowieszcze rozmyślenia Cady o sposobach zamordowania Matta nie wytrzymały konkurencji z tym wspaniałym spektaklem. Przy

akompaniamencie ogłuszających wybuchów i zespołu muzycznego ze szkoły średniej hrabstwa Screven, który grał "America the Beautiful", nocne niebo rozświetliła wielka flaga amerykańska.

Gdy sztuczne ognie powoli bladły przy entuzjastycznych okrzykach i oklaskach widzów, w powietrzu pozostał zapach prochu, unoszący się nad tłumem niemal tak samo intensywnie jak woń piwa.

Święto się zakończyło i ludzie zaczęli się pakować. Carly już wiedziała, że jej nadzieje, iż Matt pojawi się gdzieś w pobliżu, spełzły na niczym. Nadal podtrzymywał wersję, że są przyjaciółmi.

Nie ma co, jak na przyjaciela jego zachowanie wydaje się co najmniej dziwne. Nawet się z nią nie przywitał. Nie pomachał jej choćby z daleka.

Bardzo chciała, aby zostali przyjaciółmi. Nie chciała natomiast być ignorowana.

- Och, kochanie, spójrz, co tam się dzieje!

Pani Naylor, wsparta na ramieniu córki, wpatrywała się w coś w tłumie. Carly nie była pewna, czy to dlatego, że ona jest już dorosła, czy może jej sąsiadka po prostu się postarzała, ale pani Naylor wydawała jej się teraz dużo mniej męcząca niż wówczas, gdy Carly mieszkała z babką.

Nadal jednak pozostała pulchną, siwowłosą i hałaśliwą staruszką.

- Kto to jest? - zapytała Martha, odwracając głowę w stronę, gdzie spoglądała jej matka.

Była potężnie zbudowaną kobietą o mocnych ramionach i nogach, raczej przystojną niż ładną, z ciemnymi włosami i serdecznym uśmiechem; pracowała jako trenerka drużyny hokeja na trawie w szkole średniej.

Carly nie widziała niczego poza plecami stojących wokół ludzi, chociaż patrzyła tam, gdzie wszyscy. Była niska i zawsze miała ten sam kłopot.

- Szeryf kogoś aresztował - poinformowała ją Sandra, która była w znacznie lepszej sytuacji, ale rozumiała problem Carly. Spojrzała w tamtą stronę jeszcze raz i udając, że się trzęsie, rzuciła przyjaciółce łobuzerskie spojrzenie. - On naprawdę świetnie wygląda. Może tobie po prostu podobają się faceci w mundurach?

Carly rzuciła jej kwaśne spojrzenie, ignorując to, co powiedziała, poza pierwszą informacją.

Wiedziała, kiedy ktoś się z nią drażni. Jednak mimo wszystko chciała zobaczyć, co tam się działo. Rozejrzała się i znalazła rozwiązanie. Weszła na podręczną lodówkę i teraz miała doskonały widok.

Matt stał na środku ulicy. Już na początku wieczora zauważyła, że naprawdę świetnie wyglądał w mundurze, ale nawet przed samą sobą nie chciała potwierdzić tego faktu. Skupiła się na tym, co się działo: szeryf, najwyraźniej ignorując zgromadzony wokół niego tłum ciekawskich, trzymał za ramię chudego, niskiego mężczyznę z rękami skutymi na plecach kajdankami i ostrzegawczo kręcił głowę w stronę drobniutkiej kobiety, która trzęsąc się z wściekłości, krzyczała na aresztowanego

mężczyznę. Carly była za daleko, aby cokolwiek usłyszeć, ale postawa Matta wskazywała, że nie jest to żadna poważna sprawa. Raczej drobiazg niż realne zagrożenie.

- Och, to przecież Anson Jarboe - powiedziała pani Naylor, która najwyraźniej straciła zainteresowanie zajściem, gdy tylko zidentyfikowała zatrzymanego. - Pewnie pijany jak zwykle.

Ida mu da popalić.

Ponieważ nie było się już czemu przyglądać, wszyscy zabrali się do pakowania rzeczy. Wszyscy oprócz Carly, która tak pochłaniała oczami Matta, że nie zwróciła uwagi na to, co robili inni. Nie mogła jednak podziwiać go zbyt długo, ponieważ natychmiast poprowadził

zatrzymanego na drugą stronę ulicy do biura szeryfa, a kiedy zamknęły się za nimi drzwi, nie było już na co patrzeć.

Carly zamrugnęła, rozejrzała się i szybko zeszła ze swojego punktu widokowego, zadowolona, że nikt nie zauważył, iż jej zainteresowanie tym wydarzeniem trwało dłużej niż u innych. Ponieważ jednak nie była pewna, czy jej zachowanie mimo wszystko nie rzuciło się w oczy, niewiele myśląc chwyciła koc; na którym wcześniej siedziały. Wytrzepała go, złożyła i położyła na lodówce, a gdy schyliła się, aby podnieść duży, plastikowy kubek po cytrynowym napoju, zauważyła, że Sandra bacznie ją obserwowała.

- Wiesz co - powiedziała tak głośno, aby Carly ją usłyszała. - Zamieniłabym któregoś dnia wibrator na tego seksownego szeryfa. Nawet jeśli nazwałby mnie wrzodem na tyłku.

Oczywiście Sandra zauważyła jej przedłużającą się obserwację zdarzenia na ulicy - no dobrze, Matta.

- Tak, jasne - powiedziała, podnosząc kubek. - Jeśli chodzi o mnie, mam jednak większe wymagania.

Kilka minut później pożegnały się z sąsiadami, którzy także już zbierali swoje koce. Niosąc razem lodówkę, ruszyły w stronę nowej furgonetki - to znaczy ich nowej używanej furgonetki, Windstar rocznik 98, którą Carly kupiła za trzy tysiące dolarów po zwróceniu tamtej wypożyczonej -

zaparkowanej na tyłach banku.

- Carly?

- Co?

Carly omal nie podskoczyła. Szły razem z całym tłumem sunącym ulicą i akurat mijały biuro szeryfa. Carly patrzyła właśnie w okna budynku - chociaż nic nie mogła zobaczyć, bo w oknach były żaluzje - gdy usłyszała głos Sandry.

- Muszę się wysiusiać.

Carly spojrzała na nią i zwolniła kroku. Gapiła się na przyjaciółkę szeroko otwartymi oczami i

nagle zrozumiała, że ta okoliczność po prostu spadła jej z nieba.

- Nie ma mowy, nie wytrzymam do domu.

Sandra była nieco rozdrażniona, najwyraźniej zinterpretowała po swoim wyraz twarzy Carly.

Lodówka uderzyła Carly w nogę, gdy idącą przed nią przyjaciółkę potrącił jakiś przechodzień.

Trochę ją zabolowało, ale zupełnie nie zwróciła na to uwagi. Zatrzymały się, a Carly wsłuchiwała się w namowy małego diabełka, który szeptał jej coś do ucha.

- Czy powiedziałam, że masz wytrzymać? - Carly poczuła nagle tak wielkie zrozumienie dla potrzeb Sandry, że niemal miała ochotę ją uściskać. - Nawet zdecydowanie nie powinnaś tego robić. To mogłoby zaszkodzić twoim nerkom. Ale jak zwykle masz szczęście. Doskonale wiem, gdzie jest najbliższa toaleta.

- Gdzie?

Zaskoczona, ale też zaciekawiona Sandra rozglądała się dookoła, Carly zaś tymczasem przepychała się przez tłum, z determinacją gracza w baseball zmierzając na drugą stronę ulicy.

Miejscowa izba handlowa ogromnie się postarała, aby uczynić parterowy budynek z cegły bardziej atrakcyjnym. Po obu stronach szarych, metalowych drzwi stały skrzynki z kwiatami, które ozdabiały jedno duże okno panoramiczne i dwa mniejsze, okratowane. Czerwone petunie, pomarańczowe nasturcje i pnące dzikie wino, które rosły w skrzynkach, zdecydowanie zmieniły otoczenie budynku. Carly jednak nie była do końca pewna, czy jej się to podoba czy nie. W

ciepłym, żółtym świetle starej ulicznej lampy mogła odczytać słynny napis wykonany czarnymi literami na drzwiach: "Biuro Szeryfa Hrabstwa Screven".

Uśmiechnęła się z satysfakcją. Jej osiemnastoletnie ja ze złamanym sercem pomyślałoby, że nie ma innego wyjścia, tylko pogodzić się z nagannym zachowaniem Matta. Jej zimne, spokojne, opanowane, wściekłe jak cholera i niemające zamiaru dłużej tego tolerować trzydziestoletnie ja wiedziało już coś innego: zawsze mogła przejść do planu B.

A to znaczyło, że zamierzała przygwoździć tego parszywego skurczybyka.

- Tu jest toaleta.

Posłała Sandrze zachęcający uśmiech i starając się utrzymać w jednym ręku kubek i rączkę od lodówki, chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi Biura Szeryfa Hrabstwa Screven.

- Naprawdę jestem ci wdzięczny, Matt - zapewniał gorliwie Anson Jarboe, gdy szeryf zamykał za nim drzwi celi.

Matt patrzył na niego, stojąc po drugiej stronie długich, żelaznych krat, i potrząsał głową.

Kościsty, mały Anson, ze zmierzwionymi, siwymi włosami i przekrwionymi, niebieskimi oczami, jak zwykle ubrany był w podkoszulek i kombinezon. Jego twarz także miała typowy dla niego kolor: głęboką, purpurową czerwień.

- Czy pomyślałeś kiedykolwiek, że może byłoby ci łatwiej, gdybyś rzucił picie?

Matt przyczepił do pasa kajdanki, które zdjął Ansonowi, i podszedł do swojego biurka, skąd mógł obserwować zarówno więźnia, jak i drzwi wejściowe. Chciał także sprawdzić wiadomości.

Wszyscy jego pracownicy pilnowali porządku w mieście, on i Anson byli jedynymi ludźmi w biurze.

- Rzuciałem. Dziesięć, dwadzieścia razy. Nigdy mi nie wychodziło. Zresztą Ida ma zajęcie, kiedy może na mnie pokrzyknąć. - Potrząsnął głową. - Ta kobieta z pewnością się wścieknie. Czasami potrafi we mnie wzbudzić naprawdę głęboką trwogę przed Bogiem.

- Jak dziś wieczorem - głos Matta zabrzmiał oschle.

Na biurku leżały różne przesyłki, ale nie było wśród nich tej, na którą szczególnie czekał, co zauważył, przeglądając koperty. Marsha Hughes nie odnalazła się do tej pory ani nie odezwała i Matt szukał jakiejś informacji, badając przeszłość jej i jej partnera. Marsha miała dwóch byłych mężów i siostrę w Tennessee, lecz na razie nikt nie odpowiedział na telefoniczne prośby o kontakt. Kenan mieszkał wcześniej w Clearwater na Florydzie. Matt zlecił tamtejszej policji sprawdzenie, czy nie było na niego wcześniej skarg dotyczących stosowania przemocy w domu.

Kenan nie został aresztowany, ale Matt miał go na oku. Chciał wiedzieć, czy mieli coś na niego w Clearwater - obiecano mu jak najszybciej przesłać kopie raportów.

Dotąd jednak nic nie przyszło.

- To przecież święto! Musiałem je uczcić! Ta stara wariatka chce, żebym siedział razem z nią w domu i oglądał telewizję.

Mamrocząc pod nosem, Anson zrzucił buty i wyciągnął się na pryczy. Na wschodniej ścianie budynku znajdowały się trzy cele. Między nimi a drzwiami wejściowymi stała ściana z pustaków pomalowana na biało, tak jak reszta wnętrza, która ciągnęła się na trzy czwarte szerokości pomieszczenia i dzięki temu więźniowie byli osłonięci przed wzrokiem każdego, kto wchodził lub wychodził z biura.

- Gdyby ciebie tam nie było, to nie wiem, co bym zrobił. Jak już powiedziałem, naprawdę jestem ci wdzięczny, że wsadziłeś mnie do ciupy.

- To areszt, a nie hotel.

Matt usiadł przy biurku i zaczął przeglądać korespondencję.

Wszyscy w Benton wiedzieli, że Anson i Ida Jarboe walczyli ze sobą, odkąd zostali małżeństwem jakieś czterdzieści kilka lat temu. Zwykle powodem awantur było jego pijaństwo, ale właściwie kłócili się o wszystko. Anson, który miał raczej umiarkowany temperament, zwykle był bardziej poszkodowany w tych starciach. Toteż bardzo często, gdy się upił, nie wracał do domu. Po prostu zatrzymywał się przed biurem szeryfa i pozwalał się aresztować. W ten sposób mógł się przynajmniej wyspać przed spotkaniem z żoną.

- Ale tak wygląda. - Anson zachichotał, przykrył się kocem i odwrócił do ściany. - Obudź mnie na śniadanie, dobrze?

Matt burknął coś w odpowiedzi. Jeżeli jakaś para mogłaby służyć za wzór dobitnie świadczący, że nie należało brać ślubu, pomyślał, przeglądając ogłoszenia reklamujące nowy, profesjonalny rozpylacz z pieprzem, to Anson i Ida Jarboe byliby do tego wprost idealni.

Drzwi wejściowe otworzyły się nagle i Matt spojrzał w tamtą stronę•

Po chwili zobaczył, jak Sandra, przyjaciółka Carly, wchodzi przez nie tyłem, potykając się o próg.

Zmarszczył brwi. Ostatnio dużo się nasłuchał o Sandrze - Antonio bez przerwy zachwycał się tym, jak dobrze gotowała - ale nie spodziewał się jej w biurze szeryfa, zwłaszcza o tak późnej porze. Sandra dźwigała sporą przenośną lodówkę, a raczej jej połowę. Z drugiej strony niosła ją Carly. Miała pochyloną głowę i wypinała swój mały, słodki tyłeczek, usiłując przytrzymać nogą drzwi, w których zamontowany był automat do ich zamykania.

Przyglądał się jej, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

Nagle Carly podniosła głowę i ich spojrzenia się spotkały. Niemal zaszokowało go intensywne uczucie bliskości i czegoś dobrze znajomego, co zobaczył w tych słodkich, niebieskich oczach, w które kiedyś tak często patrzył. Były częścią jego dzieciństwa, jego niespokojnej, beztroskiej, szczęśliwej, choć roztrwonionej młodości, jego wczesnych doświadczeń wieku męskiego. W

mgnieniu oka poczuł ciepło płynące z jej spojrzenia, tak przyjemne, że prawie zapomniał, iż przez ostatnie cztery dni z pewnego powodu starał się trzymać od niej z daleka. Zapomniał, że nie był

nawet w stanie wziąć prysznic, używając mydła Irish Spring, którego używał od lat, ponieważ jego zapach natychmiast sprowadzał erotyczne wizje, przypominając Mattowi, jak trzymał ją w ramionach. Zapomniał także, że o mało nie wpadł w pułapkę, pożądając kobiety, na której tak mu zależało, że nie chciał jej skrzywdzić.

Potem jednak wszystko to sobie uświadomił i jego zmysły ogłosiły alarm. Szybciej niż błyskawica

Matt zrozumiał, że zbliżają się kłopoty.

Carly uśmiechała się do niego słodko.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby Sandra skorzystała z toalety, prawda?

To były kłopoty przez duże K. Znał Carly. Im słodszy prezentowała uśmiech, tym bardziej była wściekła.

Cholera. Wcale tego nie potrzebował.

- Bardzo proszę - powiedział do Sandry i wskazał drzwi w korytarzu na prawo.

Były tam toalety, pokój śniadaniowy i miejsca pracy zastępców.

W pobliżu znajdowały się też kartoteka i pokój, gdzie trzymano broń; oba pomieszczenia były zamknięte.

- Dzięki - sapnęła Sandra.

To naprawdę postawna kobieta, zauważył Matt, co potwierdziło jego wcześniejsze wrażenie.

Może nawet bardziej, niż się wydawało, ponieważ ubierała się na czarno, a czarny kolor, o czym wiedział od swoich sióstr, bardzo wyszczuplał. Mimo to jednak była atrakcyjną kobietą. Rozumiał, co Antonio w niej widział. To znaczy, co widział w niej Antonio poza umiejętnościami kulinarnymi, chociaż te wydawały się dlań najważniejsze. Sandra i Carly postawiły lodówkę tuż przy drzwiach, a potem Sandra poszła do toalety. Carly natomiast ruszyła w stronę Matta.

Jego pierwszą myślą było, aby wstać z krzesła. W końcu to kobieta, a zasady, jakie mu przez lata wpajano w domu pełnym kobiet, nakazywały zachować się jak należy w takiej sytuacji. Ale to była także Carly, jego kumpelka, i chciał, aby nadal tak pozostało. Jeżeli wstanie, aby się z nią przywitać, będzie to znaczyło, że zalicza ją do kategorii innej niż przyjaciele, a już miał okazję się przekonać, że kiedy mieszał te kategorie, powodował otwarcie istnej puszki Pandory. Nie wstał więc, tylko jeszcze mocniej wbił się w krzesło, wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował ręce na brzuchu, co miało wskazywać, że czekał na nią na pełnym luzie.

Kumpelka czy nie, Carly z całą pewnością dorosła. Niska, lecz zaokrąglona tam, gdzie należało, miała opalone i szczupłe nogi pod szortami umiarkowanej długości. W przeciwieństwie do większości kobiet z jego otoczenia, które nosiły buty na obcasach, aby wyglądać bardziej seksownie, Carly chodziła w tenisówkach - a mimo to jej nogi wyglądały tak seksownie, że gdyby tylko Matt pozwolił sobie o nich myśleć, od czego dzielnie się powstrzymał, krew zaczęłaby mu szybciej krążyć w żyłach. Jej biodra w granatowych spodenkach były szczupłe, talia wąska, a czerwona koszulka w gwiazdy wspaniale uwypuklała piersi. Miękkie, wydatne usta już dwa razy wodziły go na pokuszenie, zanim ułożyły się w słodziutki i całkowicie nieszczerzy uśmiech, który już wcześniej zauważył. Jej uroczy mały nosek opalił się od ich ostatniego spotkania; opalenizna pojawiła się także na policzkach, co spowodowało, że twarz Carly stała się zaróżowiona i błyszcząca. Jej oczy,

zwykle kojąco błękitne, duże jak u lalki, były teraz zmrużone i niebezpiecznie lśniły. Jej niezwykle włosy - chyba nie znał nikogo z taką burzą loków i takim niechętnym do nich stosunkiem - zostały wepchnięte pod brezentową czapkę baseballową.

Kilka loczków wymknęło się jednak i okalały twarz, co powodowało, że Carly wyglądała ślicznie.

Naprawdę ślicznie. Miała blond włosy, chociaż wcześniej były ciemne, i wyraźnie zaokrągliła się w miejscach, gdzie wcześniej była chuda. Może dlatego miał problemy, aby traktować ją nadal jak przyjaciółkę. Wyglądała tak jak Carly, jego kumpelka, tylko dużo lepiej. Była ładniejsza.

Bardziej seksowna. Prawdę powiedziawszy, zbyt seksowna, aby Matt na to nie reagował.

Starając się nie myśleć o tym, jak bardzo chciałby pójść z nią do łóżka, gdyby tylko nie uważał

tego za głupi pomysł, skupił się na burzy, która gromadziła się nad jego głową. To było widać po jej ruchach, uśmiechu, po błyskach w oczach - cholera, Carly wyglądała tak, jakby chciała go rozerwać na kawałki.

- Ładna czapka - powiedział spokojnie, wiedząc, że dolewa oliwy do ognia, ale tak bardzo śmieszyło go jej zachowanie, że nie mógł się powstrzymać.

- Spadaj.

Doszła do jego biurka i zaczęła je obchodzić dookoła. Ponieważ krzesło, na którym siedział, miało kółka, cofnął się trochę, aby w razie czego mieć możliwość ucieczki, choć nadal zachowywał swobodną postawę, wiedząc, że to działa na nią jak płachta na byka.

- Słyszałem, że to ty rozwaliałaś moją skrzynkę na listy.

- Słyszałam, że nazwałeś mnie wrzodem na tyłku.

Zatrzymała się w pewnej odległości od jego kolan i spojrzała mu prosto w oczy. Matt nadal siedział rozparty na krześle i patrzył na jej twarz. To była nowa sytuacja i odkrył, że sprawia mu przyjemność.

- Może nie powinnaś słuchać plotek - odrzekł.

Stała tak blisko, że jej seksowna, goła noga niemal dotykała jego spodni. Gdyby tylko chciał, najprostszą rzeczą na świecie byłoby wyciągnąć rękę, chwycić Carly za biodro i przyciągnąć tak, aby usiadła mu okrakiem na kolanach i...

Jezu, co on wyrabia? Nie zamierzał nawet o tym myśleć. Ostatnią rzeczą, jaką chciałby zrobić, to przespać się z Carly. Wiedział, że nie jest dziewczyną na jedną noc. Nie była nawet dziewczyną na trzy- lub czteromiesięczny gorący romans. Seks z nią mógł prowadzić do daleko idących zobowiązań, a to zagrażałoby jego planom.

- Masz coś na sumieniu - powiedziała, wyciągając w jego stronę wskazujący palec i przygważdzając go spojrzeniem swoich niebieskich oczu. - Masz jakieś problemy. Masz kompleksy.

- Jak my wszyscy.

_ To, co robisz, ta twoja taktyka "całować i uciekać", absolutnie mi się nie podoba.

_ Mówisz tak, jakbyśmy spowodowali wypadek samochodowy.

Odrobina humoru, aby rozładować sytuację - co takiego się stało, że jej oczy błyszczały?

- Świadomie mnie unikasz. Najwyraźniej humor nie poskutkował.

_ Tak jak świadomie mnie unikałeś przez całe lato po ... - Zaważała się. Wiedział, do czego zmierzała; pytanie tylko, jak obrazowo to ujmie? - ... moim balu maturalnym.

W ogóle nie obrazowo. Zgadza się, to Carly, jaką znał. Tylko z blond włosami, kobieca, cholernie seksowna i dorosła.

- Proszę, daj spokój. Już cię za to przeprosiłem.

Co okazało się nad wyraz skuteczne. Tak skuteczne, że musieli teraz jeszcze raz przechodzić przez tę samą sprawę, która skończy się tak, że Carly zaraz go tutaj rozedrze na drobne kawałki.

_ Chodzi mi o to, że chyba powinieneś popracować nad swoją techniką.

- Zaraz, poczekaj ...

Nigdy nie słyszał żadnych narzekań. Poza, jak się teraz okazało, skłonnością, którą demonstrował przez lata, no, do całowania i uciekania.

_ Ponieważ ta jest beznadziejna. Naprawdę beznadziejna.

Potem, zanim zdążył się zorientować, co zamierzała zrobić, Carly podniosła do góry duży, plastikowy kubek i wylała Mattowi całą zawartość na głowę.

Najpierw poczuł lodowaty chłód.

_ Co, do diabła! - wrzasnął, zrywając się na równe nogi.

Jego włosy były mokre, zimne i lepiły się. Dookoła poleciały lodowate krople, na podłogę spadła wyciśnięta, bezkształtna połówka cytryny. Matt patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Wszystkiego najlepszego - powiedziała, nie zważając na rosnącą furię Matta i posyłając mu kolejny ze swoich słodkich uśmiechów.

Następnie, kiedy kłął jak szewc, podskakiwał, potrząsając głową i rozpryskiwał wszędzie wokół

następne lodowate krople, postawiła pusty już kubek na biurku i odwróciła się, najwyraźniej pragnąc już wyjść.

- Nie tak szybko.

Złapał ją wpół, nie bardzo wiedząc, co chce zrobić, ale z całą pewnością nie zamierzał pozwolić, aby wymaszerowała z biura z zadowoloną miną, zostawiając go tam mokrego, ociekającego lepkim napojem i pachnącego cytryną. Carly sama rozwiązała ten problem, bo odwróciła się nagle, wciąż w jego uścisku. Już się nie uśmiechała, ale była tak samo wściekła jak on, oczy jej błyszczały, miękkie i pełne usta były zaciśnięte i tak wąskie, że nigdy ich takich nie pamiętał.

Wyprostowała się z godnością i rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

- Czy nie mówiłam, że twoja technika jest beznadziejna? Zaczęła cicho, ale ostatnie słowo wyrzuciła mu prosto w twarz, tak wściekła, że dosłownie się trzęsła, nie spuszczając z niego oczu. Matt zaciskał dłonie na jej biodrach, ale żeby ją utrzymać, musiał jeszcze wzmocnić uścisk.

- I nie jest to jedyna beznadziejna rzecz. Ty też jesteś beznadziejny, Matcie Converse. Słyszałeś, co powiedziałam? Ty jesteś beznadziejny.

Nagle wydało mu się to niemal zabawne. Carly, taka mała i miłutka, była bardziej wściekła, niż kiedykolwiek ją widział, trzymała go za koszulę i krzyczała na niego, a on, ważący niemal dwa razy tyle co ona i znacznie od niej wyższy, stał tam w mundurze stróża prawa, z głową oblaną napojem cytrynowym i z całej siły ją mitygował.

Boże, jak za nią tęsknił. Boże, jakże jej pragnął. Mokry, zimny i lepki, jeszcze chwilę wcześniej zły jak diabli, nagle poczuł tak gwałtowny atak pożądania, że ból, jaki mu to sprawiło, niemal zgiął

go wpół. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek w życiu pragnął ją namiętnie pocałować, położyć na blacie biurka i ...

- Jak myślisz, kim ty jesteś, że traktujesz ludzi w ten sposób? Że mnie w ten sposób traktujesz?

Ja ... - Rozgadała się, ale przerwał jej w pół zdania, zamykając usta pocałunkiem.

Smakowała jak lemoniada, lecz usta miała gorące, więc była to gorąca lemoniada, gorąca i słodka, i nie miał jej dosyć, toteż mocniej przywarł ustami do jej warg i głęboko zanurzył w nich język. Otoczył ją ramionami i przycisnął do siebie tak mocno, że nawet przez ubranie czuł jej sutki na piersi. Czuł na ustach jej miękkie wargi, czuł całym sobą oszalamiający kształt jej ciała, jej ciepło, jej nagłą i drżącą uступliwość, gdy puściła koszulę, zarzuciła mu ramiona na szyję, przylgnęła do niego i zaczęła odwzajemniać pocałunki.

Serce waliło mu jak młotem. Krew płynęła wartkim strumieniem.

Pożądał jej, płonął, chciał ją mieć. Nie będzie protestowała, wiedział o tym, wiedział, że mu się odda. Jedyne, co musiał zrobić, to ...

Całując ją łapczywie, przechylił Carly na ramię, gotów ją unieść i położyć na blacie biurka, nie myśląc już o żadnych cholernych konsekwencjach.

Oboje jednocześnie spróbowali złapać oddech, a Matt otworzył oczy dokładnie w chwili, gdy spadła jej z głowy ta śmieszna czapeczka.

Zobaczył wtedy, że patrzą na niego wszystkie trzy siostry, a także Antonio, Shelby, Col in, Andy, którego parę dni temu wyprosił z do-mu, a także Craig, z którym chodziła Dani. Tłoczyli się w drzwiach, stali w środku lub na ulicy, a za nimi wyciągali głowy ciekawscy przechodnie. Wszyscy mieli szeroko otwarte oczy i usta.

Cholera.

Carly też wyczuła, że coś się dzieje, ponieważ zeszywniała i prze-stała go całować dosłownie ułamek sekundy przedtem, zanim on się wyprostował, odsunął usta od jej warg i uniósł głowę.

Instynktownie chciał zasłonić Carly, uchronić ją przed ciekawością, rozbawieniem, a w jednym wypadku nawet niewątpliwą wrogością zgromadzonych, ale już zdążyła się im pokazać i było za późno. Poza tym i tak nie miałby czasu, aby ją przesunąć za siebie, a nic więcej nie mógł zro-bić.

Paliły się światła, pokój był otwarty i nikt nie miał wątpliwości, kto tu jest i co robi.

- Przepraszam - cicho powiedziała Erin, a Matt kątem oka za-uważył jeszcze innych widzów.

Anson siedział na swojej pryczy wyprostowany jak struna i obser-wował ich z widocznym rozbawieniem. Nieco dalej, w głębi stała Sandra i patrzyła na nich ze zgrozą.

Matt nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł się tak zakłopotany. To musiało być tak dawno, że nie mógł sobie owego zdarzenia tak szybko przypomnieć. Dokładnie wiedział jednak, jakie to uczucie zostać zaskoczonym w chwili, gdy namiętnie całował kobietę, a z jego włosów i ubrania skapywała cytrynowa lemoniada.

Carly zobaczyła obserwujących ich ludzi i powiedziała: „O, cześć”, z godnym podziwu, jak zauważył Matt, spokojem. Oczywiście, trudniej jej było mimo wszystko ukryć zakłopotanie, ponieważ miała jasną cerę. Stopień zawstydzenia łatwo było ocenić po tym, że jej twarz przybrała kolor zbliżony do barwy t-shirtu. Opuściła ręce i odsunęła się od niego, dając dyskretnie znak, że życzy sobie, aby ją puścił.

Chciałby to zrobić. Naprawdę. W stu procentach zgadzał się z nią, że natychmiast powinni się od siebie odsunąć. Niestety, miał pewien problem. Gdyby pozwolił jej cofnąć się kilka kroków w tym otwartym pomieszczeniu, oświetlonym mocnymi jarzeniówkami, to wszyscy obecni i nawet zupełnie przypadkowi przechodnie natych-miast by zobaczyli, jak bardzo jest podniecony.

Co oczywiście zwiększyłoby zażenowanie wszystkich zaintereso-wanych.

- Możecie nas na chwilę zostawić samych? - poprosił z taką swo-bodą, na jaką tylko było go teraz stać.

Dokładnie w tej samej chwili, gdy Carly mocniej odepchnęła się od niego, dając tym samym znak, że powinien ją puścić, odezwała się Erin.

- Jasne, wrócimy za moment.

Wdzięczność Matta dla siostry wzrosła dziesięciokrotnie, gdy udało jej się wyprowadzić większą część gapiów na ulicę. Oczywiście w biurze nadal pozostali Anson i Sandra, jako wyraźnie zainteresowani obserwatorzy, ale niewiele mógł z nimi zrobić. Postanowił ich zatem zignorować.

- Curls, posłuchaj - zaczął sekundę po tym, gdy zamknęły się drzwi, i spojrzał na kobietę, którą wciąż trzymał w ramionach.

Patrzyła na niego z wściekłością, co go nieco zaskoczyło, biorąc pod uwagę gorący, głęboki i absolutnie, bez żadnej wątpliwości, odwzajemniony pocałunek, który przed chwilą ich połączył.

- Pocałuj mnie gdzieś! - syknęła, kopiąc go w goleń. Wyszarpnęła się z jego objęć i ruszyła w stronę drzwi.

-Auu!

Zabolało. Matt odskoczył w tył, trzymając się za nogę. Widząc, dokąd Carly zmierza, wyprostował się i pobiegł za nią.

- Carly, co do diabła?

- Nigdy w życiu nie chcę cię już widzieć. Trzymaj się ode mnie z daleka, słyszysz? - Rzuciła mu przez ramię pełne złości spojrzeme.

- Dlaczego?

W odpowiedzi przyspieszyła kroku i Matt nie zdołał jej złapać, gdy czmychnęła. Zatrzymał się, a drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem. Pamiętał o widzach, którzy prawdopodobnie nadal stali na chodniku, i nie chciał robić z siebie większego głupca, niż już zrobił.

- Niech to szlag! - zaklął, skacząc na jednej nodze do biurka. Bolała go noga, a jego duma też została zraniona, był mokry, cały się lepił i nagle poczuł, jak zimno jest w jego klimatyzowanym biurze. W dodatku stanął na cytrynie, poślizgnął się tak, że o mały włos nie upadł, a gdy odzyskał równowagę, z furią kopnął połówkę owocu. Odbiła się od ściany i wylądowała na jego biurku, na stosie bardzo ważnych papierów, a wtedy uświadomił sobie, że noc diabli wzięli, i wyrzucił z siebie taki strumień przekleństw, jakich nie zdarzyło mu się użyć przez cały rok.

- Dziękuję, że mogłam skorzystać z toalety - usłyszał głos Sandry. Cholera, zupełnie o niej zapomniał, o Ansonie również. Sandra prześlizgnęła się obok niego, posyłając mu niepewne spojrzenie, jakby się obawiała, że na jej widok straci cierpliwość, potem rzuciła okiem na lodówkę, ale szybko uznała, że nie warto się nią zajmować. Po chwili także zniknęła za drzwiami.

- A myślałem, że to ja mam problemy z kobietami - odezwał się Anson, gdy Matt przyglądał się bałaganowi, jaki zostawiła po sobie Carly.

Matt zerknął na niego i zobaczył, że więzień kiwa głową.

- Moje kłopoty z kobietami są niczym w porównaniu z kłopotami, jakie masz ty.

- Zamknij się, Anson - warknął Matt. - Albo odeślę cię do domu, do żony.

Zauważył leżącą na podłodze czapkę Carly, podniósł ją i położył na biurku obok pustego kubka, a potem sprawdził stan dokumentów. Połówka cytryny wylądowała na nakazie aresztowania, który będzie potrzebny jutro z samego rana. Na szczęście ślady były prawie niewidoczne. A jeśli nawet ktoś by je dostrzegł, nie domyśliłby się, skąd, do diabła, tam się wzięły. Podniesiony na duchu tą myślą Matt wziął do ręki mokry i lepki owoc i wrzucił go do kosza na śmiecie. Potem poszedł na zaplecze po mop.

Czy ta cholerna kobieta nigdy nie bywa sama? Mężczyzna cofnął się w cień, obserwując, jak Carly Linton obchodzi z przodu furgonetkę, którą właśnie przyjechała. Serce mu waliło, oddychał szybko, dłonie miał wilgotne. Wiedział, że to z powodu adrenaliny. Czuł się jak myśliwy, który obserwuje zwierzynę. Był przygotowany, mógł ją teraz pochwycić, ale z furgonetki wysiadła ta druga, postawna, ciemnoskóra kobieta w czerni, i podeszła do Carly.

Zacisnął zęby ze zdenerwowania. Dwie to za dużo. Nawet gdyby ta druga była tak drobna jak Carly, mogłaby mu umknąć. Złapie jedną, a druga ucieknie z wrzaskiem. Co prawda miejsce było odludne, noc, wszędzie ciemno poza najbliższym otoczeniem domu. Jeżeli zaatakowałby teraz, gdy nadal są tam same ...

Ale nie. To byłaby głupota. Wszystkie inne przeszkody zostały już usunięte, Carly była tą ostatnią.

Ją także usunie. We właściwym czasie. Kiedy szczęście znowu się do niego uśmiechnie, jak to zwykle bywało.

Do tego czasu jednak powinien być ostrożny. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, to przestraszyć Carly, sprawić, że zacznie się ciągle oglądać za siebie. Już i tak do tego stopnia przestraszył, że zmieniła w domu zamki i założyła system alarmowy - chociaż wówczas był to zupełny przypadek. Wtedy nie wiedział nawet, że znajdowała się w pobliżu. Zabawne, że nie musiał się nawet powtórnie włamywać do domu, aby dowiedzieć się o tych zabezpieczeniach.

Nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Zdobył tę wiedzę w dużo łatwiejszy sposób.

Ale miał teraz pewien problem. Ponieważ włamanie nie wchodziło już w grę - w każdym razie nie byłoby takie łatwe - musiał ją zaatakować poza domem.

Podejrzał, że Carly pójdzie na pokaz fajerwerków. Większość mieszkańców okolicy tam była.

Poszedł więc również i widział ją. Zastanawiał się nawet, czy nie powinien jej śledzić, na wypadek gdyby znalazła się gdzieś sama, ale potem uznał, że wokoło jest jednak za dużo ludzi; istniało duże prawdopodobieństwo, że ktoś mógłby go zobaczyć.

Zamiast tego wcześniej opuścił pokaz i ukrył się na jej podwórku.

Dużo łatwiej i bezpieczniej mógłby ją złapać, gdy będzie wracała do domu.

Oczywiście, gdyby była sama. Ale oczywiście nie była.

Jedyna pozytywna rzecz w całej sprawie to ta, że pies już chyba uciekł z tej okolicy. A przynajmniej on go nie widział ani nie słyszał szczekania. Może włóczy się gdzieś daleko stąd albo w końcu pożarły go kojoty.

Może to znak, że szczęście znowu zaczęło mu sprzyjać.

Może, gdyby się bardzo postarał, udałoby mu się porwać Carly z zamkniętego na cztery spusty domu bez uruchamiania systemu alarmowego.

Jeżeliby tego dokonał, ludzie w Benton mieliby o czym gadać.

19

- Posłuchaj, przecież wiem, co widziałam, a był to naprawdę gorący widok - Sandra zaczęła udawać, że wachluje się ręką. - Dosłownie omal się nie roztopiłam, gdy tam stałam.

- Daj spokój, Sandra, proszę - powiedziała Carly zmęczonym głosem.

- A potem podeszłaś i kopnęłaś go. Kochanie, mężczyźni z reguły tego nie lubią. Chyba że są perwersyjni. Czy ten seksowny szeryf jest perwersem? Jeżeli tak, to go biorę.

- Sandra ...

Carly zmuszona była wysłuchiwać komentarzy na ten temat praktycznie od chwili, gdy Sandra usiadła obok niej w furgonetce, i miała już tego szczerze dość. Wcześniej musiała znieść pałac upokorzenia, gdy zaraz po wyjściu od Matta mijala namiętnie plotkującą grupę jego przyjaciół, krewnych i znajomych. Zauważywszy Carly, oczywiście natychmiast umilkli; nie trzeba być geniuszem, aby się domyślić, czego dotyczyły te gorączkowe rozmowy. Słyszając spontaniczne

"Cześć, Carly", jakoś zdobyła się na uśmiech i uprzejme pozdrowienia. Potem, dzięki Bogu, skręciła za róg, gdzie stała furgonetka. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie cieszyła, mogąc zniknąć w ciemności.

Wyraźnie poruszona Sandra wsiadła do auta w momencie, gdy Carly usiłowała dojść do ładu z tym, co się właśnie stało. To wprost niewiarygodne, że gdy wreszcie dopuściła do głosu przebojową dziewczynę i wygarnęła Mattowi, co o nim myśli, a tym samym po mistrzowsku dała ujście bólowi i wściekłości, które narastały w niej od dwunastu lat, nie wspominając już o tych uczuciach, jakie wzbudził w niej ostatnio - ten drań się odwrócił i pocałował ją, rozpoczynając wszystko na nowo. I wtedy oczywiście ona, nieprzygotowana do obrony, niezdolna do kontrolowania drzemiącej w niej rozpustnicy, zareagowała tak jak dawna Carly zawsze reagowała na zaloty Matta i praktycznie rozplynęła się w jego ramionach. A tym samym zniweczyła wszystkie swoje wysiłki, aby odciąć się od Matta. Na szczęście w porę przerwano im pocałunek.

Wykorzystała ostatnią szansę, aby z tym definitywnie skończyć, kiedy kopnęła Matta i powiedziała mu, co o nim myśli.

Droga do domu upłynęła pod znakiem nieprzerwanej gadaniny Sandry, która nie mogła przejść do porządku dziennego nad tym, czego była świadkiem. Carly próbowała zbagatelizować niedawne wydarzenie, tłumacząc jej, że to tylko pocałunek starych przyjaciół, ale taka interpretacja została przyjęta sceptycznie, a co gorsza, przyjaciółka zaczęła głośno komentować i szczegółowo analizować to, co widziała.

- Jednej rzeczy nie rozumiem, dlaczego mu powiedziałaś, że nigdy więcej nie chcesz go widzieć? Jeśli mnie by ktoś tak całował, to na pewno bym mu nie powiedziała, że nigdy w życiu nie chcę go

oglądać. - Sandra uśmiechnęła się, a jej zęby zabłyśły w ciemności. - Zaciągnęłabym go do łóżka tak szybko, że nawet by się nie zorientował, co się dzieje, na pewno tak bym zrobiła.

W tym momencie znajdowały się już koło trawnika przed domem. W powietrzu unosił się mocny zapach świeżo ściętej trawy. Żaby drzewne kumkały głośno. Carly była z każdą chwilą coraz bardziej rozdrażniona.

- Nie zauważyłam, żebyś tak ciągnęła do łóżka Antonia. Zdesperowana Carly uznała, że najlepszą obroną jest atak.

- Och, daj mi trochę czasu. - Sandra znowu się uśmiechnęła. - Nie chcę, aby myślał, że jestem łatwa.

Zbliżała się już północ, panowały niemal egipskie ciemności, było wilgotno jak w szklarni i wszędzie wokół unosiły się roje owadów jak na bagnach. Zaparkowały furgonetkę na poboczu drogi; w domu na górze paliły się wszystkie światła, ponieważ nie bacząc na rachunki za elektryczność, obie nie chciały już nigdy więcej przeżywać szoku pierwszej nocy w Benton i zgodnie uznały, że nie mogą wracać do ciemnego budynku. System alarmowy wart był swojej ceny; Carly nie wyobrażała sobie, że mogłaby spokojnie zasnąć bez świadomości, że milczący strażnik pilnuje okien i drzwi, ta świadomość jednak na niewiele się zdawała, gdy znajdowały się na zewnątrz. Z tego powodu, mimo zmęczenia i gorąca, szły bardzo szybko, a Carly co chwila czujnie się rozglądała dookoła.

Niechętnie się do tego przyznawała, ale nadal trochę się obawiała miejsca, które teraz było jej domem. Zwłaszcza gdy zapadała noc. Nawet kiedy obok byli Sandra, Hugo, a teraz także Annie, Carly nie rzadko budziła się o drugiej, czasami trzeciej w nocy i nasłuchiwała z sercem walącym jak młot, chociaż nie działo się nic niepokojącego. Dlaczego? Nie wiedziała. Czuła tylko paralizujący strach.

Horror nocy. Pamiętała to dobrze. Kiedy zamieszkała z babką, nawiedzały ją nocne koszmary i krzyczała wtedy tak głośno, że aż trzęsły się ściany. Pediatra, do którego zaprowadziła ją zaniepokojona babka, powiedział, że to dość częsta przypadłość u dzieci i nie ma powodu do obaw, a w przypadku Carly przyczyną mogły być zmiana miejsca zamieszkania i to, że dziewczynka nadal bardzo tęskni za matką. Zapewnił, że z czasem wszystko minie.

Minęło kilka lat; nocne koszmary zdarzały się coraz rzadziej, aż w końcu zniknęły. Już od dawna, z wyjątkiem sporadycznych złych snów, nie cierpiała z tego powodu - aż do nocy w sypialni Matta. Do pierwszej nocy w Benton.

Na samą myśl o tym Carly przeszedł dreszcz. Czy dawny koszmar znowu powrócił? Poza tamtym snem w pokoju Matta, kiedy znowu była małą dziewczynką, przerażoną, tęskniącą za matką i powracającą do Domu, nie pamiętała nawet, czy kiedy budziła się ze strachem, coś jej się w ogóle śniło. A może miała jakieś sny. Może to, co ją budziło, to był właśnie głęboko przez nią przeżywany zły sen, o którym natychmiast zapominała.

Ale, pomyślała z odrobiną czarnego humoru, przynajmniej już nie krzyczała w nocy.

Cokolwiek jednak ją budziło, w końcu serce wracało do normalnego rytmu, lęk ustępował i

udawało jej się zasnąć, a w jasnym świetle poranka strach zniknął, wydawał się dziecinny, a nawet trochę zabawny. Z pewnością nikomu nie powie, że budziła się w środku nocy przerażona i ledwo żywa. Zresztą komu miałaby o tym mówić? Nie chciała jeszcze bardziej straszyć Sandry, która jako stuprocentowa dziewczyna z miasta nadal źle się czuła w nowym wiejskim otoczeniu i nie mogła się wyzbyć myśli o powrocie do Chicago. Carly zdawałaby się do tego przyznać jedynie Mattowi - chociaż i tak by się nie przyznała - ajego prawie nie widywała.

Zresztą on już wiedział o jej koszmarnych snach, nie zamierzała więc mu o nich ponownie opowiadać. Sama się sobą zajmie, a z tym już koniec. Finito. Zamknięty rozdział. Przeszłość zatoczyła koło i dotarła do końca, prostego, właściwego końca.

Tylko że wcale tak nie było, ponieważ ją pocałował. A ten pocałunek wypalił drogę do jej serca.

- Antonio stał na chodniku, gdy wyszłam z biura szeryfa. Odprowadził mnie kawałek do samochodu. Wiesz, co powiedział o tobie i szeryfie? - Sandra zachichotała, wchodząc za Carly na werandę. -Bara-bara. - Powiedziała to niskim, lubieżnym głosem, zapewne naśladowując Antonia.

Carly jęknęła. Z całą pewnością i bez wątpienia nie chciała wiedzieć. Sandra kontynuowała już bardziej poważnym tonem:

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego po prostu nie pójdziesz za ciosem i nie prześpisz się z tym facetem. Wiesz przecież, że warto.

Na werandzie paliło się światło, które otuliło je przyjemnym, żółtym blaskiem, sprawiając, że czuły się tu o wiele bezpieczniej niż w całunie ciemności na gęsto porośniętym drzewami podwórku. Niemniej dojmujący niepokój, który nie opuszczał Carly, gdy wracała po ciemku do domu, sprawił, że tak się spieszyła, aby otworzyć drzwi, że nie mogła włożyć klucza w dziurkę i omal go nie upuściła. Wiedziała, że to głupie, wszystko przez tego przekłętego włamywacza, ale ciągle jej się wydawało, że gdzieś w ciemnościach czyjeś oczy śledzą każdy jej krok.

- Ja nie chcę spać z Mattern - oznajmiła lakonicznie, gdy włożyła wreszcie klucz tam, gdzie trzeba. - Wierz mi, on ma problemy.

Otworzyła drzwi i z uczuciem ulgi weszła do holu. Cichy dźwięk alarmu ostrzegał, że ktokolwiek otworzył drzwi, ma czterdzieści pięć sekund, aby go wyłączyć, zanim zacznie wydawać nieprzyjemne dla uszu dźwięki. To znaczy, że w domu nikogo nie było.

- Jakiego rodzaju problemy? - Sandra weszła tuż za nią.

- Nie staje mu, rozumiesz? - wyjaśniła Carly.

Reakcja Sandry warta była wymyślonego na poczekaniu oszczerstwa. Okrągłe oczy, otwarte usta - i cisza.

- Łziesz jak najęta - odrzekła w końcu przyjaciółka, doszedłszy do siebie.

Carly nie odpowiadała, zajęta zamykaniem drzwi i blokowaniem zamków. Zapach świeżej farby -

skończyła już malowanie frontowego salonu i zaczęła odnawiać ten na tyłach domu - sprawił, że zmarszczyła nos. Hugo, który siedział na osłonce kaloryfera, na ich widok wstał i wyciągnął się na powitanie, a potem zeskoczył na podłogę z ciężkim plaśnięciem. Z kuchni wybiegła Annie, drapiąc pazurkami drewnianą podłogę i machając jak szalona ogonem.

Hugo aż podskoczył na widok wpadającego psa, parsknął i dał nura do frontowego salonu, a Annie, ujadając radośnie, rzuciła się za nim w pościg.

- Hugo! Annie! Nie! Przestańcie!

Carly popatrzyła za nimi zrezygnowana. Nic nie skutkowało.

Sprawcy zamieszania nawet nie zwolnili. Słyszała, jak oba zwierzątka gonią się po pokojach na parterze.

- Witamy w zoo - rzuciła drwiąco Sandra.

Carly posłała jej szybkie spojrzenie - Sandra bardzo jasno wypowiedziała się na temat przyjęcia Annie do ich wspólnoty - a potem, słuchając odgłosów z głębi domu, ruszyła, po raz Bóg wie który, na ratunek kotu. Sandra udała się w tym czasie do kuchni.

- Annie, przestań! Hugo, nie bądź takim - przyszło jej do głowy słowo "kiciuś" wraz z niemiłe widzianymi wspomnieniami o Matcie, który użył tego określenia w podobnych okolicznościach, ale natychmiast stanowczo je odrzuciła - histerykiem.

Musiała zdjąć swego ulubieńca z wysokiej półki kominkowej w salonie, przegoniła szalejącą tuż pod gzymsem suczkę i z kotem pod pachą skierowała się do kuchni, łajając po drodze Hugona i Annie, która już nie szczekała, tylko tęsknie spoglądała na przeciwnika i dreptała tuż za nimi.

Zupełnie jak rodzeństwo, pomyślała Carly. No cóż, zwierzątka będą musiały nauczyć się ze sobą współżyć.

- Kłamiesz, prawda? - zapytała Sandra, gdy Carly weszła do kuchni i postawiła na blacie Hugona.

- W kwestii czego?

- Dobrze wiesz. Szeryfa.

Carly uklękła na jedno kolano, a Annie, machając radośnie ogonem, wspięła się na nią przednimi łapami i polizała ją w policzek.

- Carly...

- No dobrze. - Chociaż Matt bez wątplenia zasługiwał na taką karę, Carly uznała, że nie powinna podtrzymywać dłużej tak bezczelnego oszczerstwa. Wzruszyła więc z rezygnacją ramionami.

-Masz rację. Kłamałam. Zdecydowanie.

Sandra zmarszczyła brwi.

- Grzeczna dziewczynka - pochwaliła Carly suczkę.

Podniosła ją, przytuliła mocno do siebie i podrapała za uszami, co Annie uwielbiała. Suczka wyraziła swoje zadowolenie, otwierając pyszczek w psim uśmiechu i radośnie dysząc. Sandra, nadal marszcząc brwi w zamyśleniu, popatrzyła na nią, a potem otworzyła lodówkę i wyjęła plasterek szynki, który rzuciła Annie. Suczka chwyciła przysmak w powietrzu i natychmiast połknęła.

- Widzisz - ucieszyła się Carly. - Polubiłaś ją. Przyznaj się. Sandra się skrzywiła.

- Wiesz, dlaczego nie wspominałam o tym, że nie lubię psów, kiedy rozważaliśmy w Chicago plany otworzenia tutaj pensjonatu? Po-nieważ nikt mi wtedy nie mówił o psie. Jeśli ktoś -

położyła na to słowo akcent - powiedziałby, że chce mieć psa, sprzeciwiłabym się temu. Ale nikt o tym ze mną nie rozmawiał. A teraz ty po prostu wzięłaś do domu psa.

Tego typu dyskusje ciągnęły się już od kilku dni. Narzekania Sandry należałoby może traktować poważniej, gdyby nie to, że rzuciła Annie kolejny plasterk szynki, a potem, spojrzawszy przelotnie na Carly, podała kawałek wędliny także Hugonowi, który obserwo-wał dokarmianie swojej rywalki najpierw z prawdziwym zdumie-niem, a potem niedowierzaniem, czemu towarzyszyło wściekłe wy-machiwanie ogonem.

- To naprawdę miłe - powiedziała Carly z uśmiechem. - Widzisz, Hugona też kochasz.

Przyjaciółka, mamrocząc coś pod nosem, odeszła od lodówki.

Carly spojrzała na Annie, która nadal machała ogonem i z nadzieją wpatrywała się w Sandrę.

Psina jeszcze nie przyzwyczała się całko-wicie do nowego życia, było na to zbyt wcześnie, ale Carly wierzyła, że wkrótce to nastąpi. Annie bała się wszystkiego, unikała niezna-nych ludzi i czołgała się na brzuszku, gdy ktoś zwrócił się do niej ostrzejszym tonem, była jednak bardzo miłutka, miała w sobie du-żo miłości (oczywiście nie do Hugona) i, tego Carly była pewna, czu-ła wdzięczność za wybawienie jej od złego losu. Sandra wyśmiewa-ła się z przyjaciółki, gdy Carly mówiła, że pies może odczuwać wdzięczność, ale Carly tak właśnie uważała: Annie była wdzięczna za dom, zajedenie, ale przede wszystkim wdzięczna za miłość. Car-ly zabrała Annie do weterynarza, który ją zbadał, zrobił jej kilka za-strzyków i powiedział, że suczka ma około pięciu lat. N ajprawdopo-dobniej błąkała się już dłuższy czas, ale była zdrowa, tylko zagłodzona.

Z pewnością dojdzie do formy przy regularnym odży-wianiu. Ponadto była ostatnio poważnie zraniona, o czym świadczy-ło paskudne rozcięcie na brzuchu w okolicy przednich łap, które na szczęście nie zostało zainfekowane i już się zabiłiło dzięki intensywnemu wylizywaniu. Ciemna ciecz na futrze to, zdaniem lekarza, krew, która długo ciekła z rany. Carly przeraziła się, że suka tak mocno krwawiła, ale krew zmyła się bez trudu podczas kąpieli, sierść zrobiła się miękka, czarna i falująca, a zabiłniona rana nie budziła obaw. Wykąpana, wyszczotkowana i odpchlona Annie stała się zupełnie innym psem.

Nawet całkiem ładnym. I z pewnością bardzo miłym.

- Grzeczna, grzeczna Annie - pochwaliła ją Carly, widząc, jak suczka, cichutko popiskując, obserwowwała Hugona, który przykła-dając większą wagę do spraw jedzenia, najpierw wylizał dokładnie swój plasterk szynki, a dopiero potem skonsumował go na oczach zazdrosnego psa.

Kiedy skończył, spojrzenia obojga skierowały się na Sandrę. Ta jednak wyprostowała się i zatrzasnęła drzwi lodówki, nie wyjmując niczego poza wodą sodową.

Annie natychmiast straciła zainteresowanie. Hugo podwinął ogon, usiadł i zaczął lizać łapę.

Zachęcona pokojową konsumpcją szynki Carly postanowiła sprawdzić, czy uda jej się namówić zwierzęta do stabilnego współży-cia na tej nowej płaszczyźnie tolerancji. Podniosła Annie na wysokość blatu, gdzie rozsiadł się Hugo.

- Widzicie? - powiedziała do nich i wyciągnęła rękę, aby pogła-skać kota, a zarazem przytrzymać go w miejscu, gdy zbliżyła do niego Annie - zachowała jednak pewien dystans między nimi, aby ewentualne ostrzegawcze machnięcie łapą nie dosięgło wilgotne-go, miękkiego nosa suczki. -

Możecie zostać przyjaciółmi. Musicie tylko ...

Annie szczeękła. Hugo prychnął i dał nogę. Annie zaczęła się wrywać, gotowa rzucić się za nim w pościg, gdyby nie to, że Carly mocno ją trzymała.

- Wiesz co, nie jestem pewna, czy się zaprzyjaźnią - zauważyła Sandra, opuszczając kuchnię z drinkiem w ręku.

- Zaprzyjaźnią się - zapewniła ją Carly.

Gdy skończyła się kąpać w staromodnej wannie na żeliwnych no-gach, która była duża i wygodna, czego zdecydowanie nie można po-wiedzieć o jej współczesnych odpowiednikach, dochodziła już pierwsza w nocy. Włożyła piżamę i w towarzystwie Annie, która jak zwykle nie odstępowała swej pani na krok i skrobała pazurkami drewnianą podłogę, minęła zamknięte drzwi od sypialni Sandry i weszła do swojej. Niewiele się tu zmieniło od czasów, gdy zajmowała ją jako dziecko. Tapeta nadal miała deseń z gałązek lawendy i wi-siały zwiewne, białe zasłonki, które Carly wybrała sobie jako pre-zent od babki z okazji piętnastych urodzin, pozostał też ręcznie tka-ny, pastelowy dywanik pod łóżkiem. Było nawet to samo łóżko, podwójne, mosiężne, chociaż pojawiła się na nim nowa narzuta z białego kordonku, rozłożona jednak na lawendowej kapie w jedno-rożce, która znajdowała się tam od czasów, gdy Carly była nastolat-ką. Jako dziecko zawsze czuła się tu bezpiecznie. Martwiła się, że teraz tak już nie jest. Tej nocy jednak - z włączonym systemem alar-mowym, Hugonem, który szybko zwinął się w kłębek na łóżku, oraz Annie, która rzuciła tęskne spojrzenie na dużo lepsze miejsce, jakie zajął kot, i posłusznie ułożyła się na dywaniku - po raz pierwszy od przyjazdu do Benton Carly znowu poczuła się bezpiecznie.

Zapewne dlatego, że była potwornie zmęczona, zbyt zmęczona, miała taką na-dzieję, na jakiegokolwiek złe sny, które mogłyby zakłócić jej odpoczy-nek. A także dlatego, że obrazy, kłębiące się w jej

myślach, gdy we-szła do łóżka i zgasiła światło, miały związek z Mattem.

Mattem, który mówił tym swoim prowokacyjnym tonem: "ładna czapka", twarzą Matta po tym, gdy wylała mu na głowę kubek napoju cytrynowego, i Matta, który ją całował...

Nie, nie, nie. To wcale nie pomagało. Zdecydowanie i stanowczo odmówiła pójścia tą drogą. Nie zgadzała się na żaden temat związany z Mattem.

Jak na ironię losu to właśnie z taką myślą zasnęła, a towarzyszyły jej wirujące urywki niekończących się wspomnień o Matcie, które jedne po drugich odrzucała, co przypominało nieco efekt liczenia owiec.

Spała aż do chwili, gdy obudził ją czyjś szturchaniec. Mrugając oczami w szarawej ciemności, Carly uświadomiła sobie, że szturchaniec pochodził od Hugona, który użył jej ciała jako trampoliny, aby wskoczyć na komodę przy łóżku. Przycupnął tam, machając ogonem, i wpatrywał się w mrok błyszczącymi oczami.

Po chwili Carly uświadomiła sobie coś jeszcze: Hugo zdecydował się na ewakuację z łóżka w środku nocy, ponieważ Annie stała oparta przednimi łapkami o parapet wysokiego okna, które wychodziło na daszek tylnej werandy. Gdy tylko Carly na nią spojrzała, zaczęła groźnie i ostrzegawczo szczekać.

Zasłony były cienkie, niemal przezroczyste i nie łączyły się pośrodku okna. Zanim jeszcze Annie mocniej je rozchyliła swoim łebkiem, Carly widziała przez szparę rozgwieżdżone, nocne niebo.

Teraz, uświadomiła sobie z przerażeniem, nie dostrzegła żadnych gwiazd.

Ani jednej.

Coś - ktoś? - na zewnątrz zasłaniało jej widok.

Pies. Ten pies. Przeklęty pies. Był w tym domu.

Mężczyzna pobiegł lekko do krawędzi dachu nad werandą, przykucnął, złapał się rynny i zeskoczył. To była niska weranda, sięgająca na wysokość jednego piętra, i przylegała do tylnej części domu. Jakiś czas wcześniej, kiedy zamierzał już opuścić podwórko, spojrzął w górę i zobaczył w oknie Carly z kręconymi blond włosami - dziwne, że tego nie pamiętał, ale nie pamiętał większości rzeczy z tamtego okresu - stojącą w pizamie. Nie dostrzegł zbyt wiele przez prawie całkowicie zasłonięte firankami okno, jedynie fragment oświetlonego pokoju. Widział

jednak wystarczająco dużo, aby się domyślić, że to sypialnia. Jej sypialnia. Carly szykowała się do spania.

Jedno z okien pokoju znajdowało się dokładnie nad małą, tylną werandą.

Zgasiła światło i wtedy już jej nie widział. Oczywiście nadal tam była. Może to jego szansa. Może udałoby mu się tam wślizgnąć i wyciągnąć ją.

Wiedział, jak został zainstalowany system alarmowy. Podłączono do niego tylko okna na parterze.

Kolejny łut szczęścia: miał w samochodzie diament do cięcia szyb. Dał jej godzinę na zaśnięcie.

Potem wspiął się na daszek werandy _ dzięki rynnie było to dziecinnie łatwe - i na wszelki wypadek sprawdził jeszcze, czy nie ma tam kabli, bo to znaczyłoby, że system alarmowy został

jednak zainstalowany także na piętrze. Nic nie dostrzegł; sprawdził okiennice, framugi okien, szyby i nabrał pewności, że miał rację. Przez szparę w zasłonach widział jakąś srebrzystą biel.

To łóżko - jej łóżko.

A skulony kształt na środku tej 'srebrzystej bieli to ona.

Jeżeli szczęście mu dopisze, pomyślał, wyjmując z kieszeni diament do cięcia szkła, załatwi całą sprawę jeszcze tej nocy.

Tak będzie. A potem czeka go nowe, wspaniałe życie.

Właśnie przykładał diament do szyby, gdy firanki w oknie zafalowały. Spojrzął w dół i zobaczył go, jak przyglądał mu się przez szybę: to ten pies.

Cholerny, przeklęty pies.

Biegł już w stronę krawędzi dachu, gdy zwierzak zaczął szczekać. Hau, hau, hau. Hau, hau, hau, hau, hau, hau.

Hugo szedł do niej tego popołudnia niczym rasowy koń na pokaz, podnosząc wysoko każdą łapę i potrząsając nią z niedowierzaniem przed opuszczeniem na dach, a potem cała procedura zaczęła się od nowa. Carly nie mogła powstrzymać uśmiechu. To nadawało zupełnie nowe znaczenie wyrażeniu "kot na gorącym, blaszanym dachu".

Ponieważ to właśnie był kot na gorącym, blaszanym dachu.

- Jak się tu dostałeś? - zapytała go, czołgając się powoli na ratunek. Złapała kota pod pachę i zaczęła się powoli wycofywać, dopóki nie

dotarła do plamy cienia, w której pracowała. Kiedy postawiła Hugo na łapy, gapił się zdezorientowany, aż pojął, że powierzchnia, na której stał, tym razem była względnie chłodna.

Wtedy machnął lekceważąco ogonem, spojrzął na Carly od niechcenia, aby się upewnić, że rozumiała, iż mimo drobnego błędu w ocenie temperatury podłoża jego kocia godność nie doznała najmniejszego uszczerbku, a następnie usiadł za kominem i rozpoczął toaletę.

Carly nie czuła się urażona. Już dawno rozumiała, że koty nigdy nie dziękują.

Podniosła młotek i wróciła do roboty. Było późne popołudnie piętego lipca, a ona siedziała na dachu domu i naprawiała blaszane pokrycie. Musiała przybić poluzowane fragmenty blachy, a następnie zamalować gwoździe czerwoną, podobną do smoły farbą, aby przez dziurki nie przedostawała się wilgoć. Praca nietrudna, wymagająca tylko cierpliwości, i także nie tak bardzo niebezpieczna, bo jeśli tylko Carly pamiętała, gdzie się znajduje, nie groził jej raczej upadek z dachu, niemniej panujący upał sprawiał, że robota była nieznośnie uciążliwa. Carly przezornie zaczęła od miejsca ocienionego konarami potężnego orzecha włoskiego rosnącego tuż przy domu, już wkrótce jednak będzie musiała opuścić swoje schronienie i przesuwać się na słońce.

Miała tylko nadzieję, że z czasem plama cienia przesunie się tam, gdzie ona. Jeżeli nie, zawsze mogła skończyć naprawę po zachodzie słońca. Praca o zmroku nie była jednak najlepszym rozwiązaniem, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że z najwyższego miejsca dachu było do ziemi jakieś dwanaście metrów. Upadek z tej wysokości mógłby się skończyć fatalnie.

Poza tym i tak jeszcze długo nie będzie miała ochoty na żadne zajęcia poza domem po zapadnięciu zmierzchu. Bała się tego miejsca, gdy zapadała ciemność, chociaż nikt nie wydobyłby z niej nawet końmi tego sekretu. Lęk, który opanowywał ją po ciemku we własnym domu, nie zwiastował spokojnego życia. Może to tylko kwestia przywyknienia na nowo do życia na wsi, po tylu latach spędzonych w dużym mieście. Może owe oczy, które czuła na sobie w ciemnościach, to tylko oczy żab drzewnych. Może chłód, który czasami ją ogarniał, kiedy patrzyła na zacienione kąty podwórka, to tylko reakcja skóry na wysychający pot.

Może tak. A może nie.

Czyżby tamten włamywacz ciągle się kręcił gdzieś w pobliżu, mając nadzieję na drugi skok?

Sama myśl o tym wywoływała zimne dreszcze na plecach. Ostatniej nocy Carly zapaliła lampę przy łóżku i z wałącym jak młot pneumatyczny sercem wyrzała przez okno, ale niczego nie zauważyła. Tylko stojące w ciszy drzewa, migoczące gwiazdy i noc. Gdy wyglądała przez okno, z drżącą Annie przy nodze, na niebie pojawiła się chmura, która zasłoniła gwiazdy, zamieniając szarość nocy w czerń. Czy wcześniej to też była tylko chmura, a jej się wydawało, że ktoś stoi za oknem i zasłania jej widok? To możliwe. A nawet prawdopodobne.

Możliwe było także, że Annie zareagowała tak po prostu na bor-suka czy wiewiórkę, która przebiegła po dachu werandy. Przecież lubiła czekać na Hugona; może inne zwierzę wywołało podobną reakcję psa. A może przestraszyła się spadającej gałązki.

Kto to wie? Zapewne powrót włamywacza był ostatnią z możliwych przyczyn.

Niemniej Carly długo nie mogła potem zasnąć. Resztę nocy spędziła zwinięta w kłębek jak żalosa, mała kulka, z oczami wlepionymi w okno. Kilka razy za oknem rzeczywiście robiło się zupełnie ciemno, co przypisywała przepływającym po niebie chmurom. Annie i Hugo, którzy zasnęli natychmiast, ani razu już się nie obudzili. Żadne zwierzę nie hałasowało w nocy.

Gdy rano Carly wyszła przed dom, zauważyła, że na dach werandy rzeczywiście spadła gałąź.

Widzisz teraz, skarciła się w duchu. Oto i powód całego zamieszania.

Prawdopodobnie to stuknięcie spadającej gałęzi zaniepokoiło Annie. Wiedziała, że tak mogło być.

Ale kiedy elektryk, który miał dostosować dotychczasową instalację do zwiększonych potrzeb, ponieważ w domu pojawiły się nowe urządzenia, dokładnie zrozumiał, o co chodzi, i zajął się robotą, a Sandra pojechała do miasta na zakupy spożywcze, Carly włożyła stare dżinsy i wypłowiła zieloną koszulkę, zawiązała na głowie chusteczkę, wzięła młotek i gwoździe i nie bacząc na system alarmowy, zajęła się oknem w swojej sypialni.

Jeżeli włamywacz nadal się tu kręcił, tą drogą na pewno nie dostanie się do środka, pomyślała, zabiwszy to cholerne okno gwoździami.

Nie chodziło wcale o to, że nie miała zaufania do alarmu. Ale, jak powtarzała jej babka, "Módl się do Boga i szykuj amunicję".

A Carly powiedziała teraz: "Amen".

Gdy już się zdecydowała, zabiła gwoździami niemal wszystkie okna w domu. Nie ruszyła tylko tych na parterze. Kusiło ją, ale szkoda było niszczyć tak piękną stolarkę. Poza tym tam właśnie został zainstalowany alarm. Można było na nim polegać. Carly ufała, że ona, Sandra, Annie i Hugo będą teraz bezpieczni.

Policzyła okna na parterze, aby się zorientować przed powrotem Sandry, ile powinna kupić szczotek, z których chciała wykorzystać same kije i zaklinować nimi okna, dzięki czemu zabezpieczyłaby je przed włamywaczem bez uszkodzenia drewna.

Z młotkiem o czerwonym trzonku w ręku i gwoździami w torebce przytwierdzonej do pasa Carly musiała szybko podjąć decyzję. Ostatniej nocy szczekanie Annie nie obudziło Sandry. Nie miała też pojęcia o narastającej paranoi Carly, która bała się czegoś, co spadało w nocy na dach -

zwłaszcza za oknem od jej sypialni. Sandra ugałniała się za Antoniem z taką samą determinacją jak myśliwy za okażalym jeleniem. Ale była też największym na świecie tchórzem. Jeżeli teraz musiałaby wybierać między namiętnością a strachem, nie wiadomo, co by wybrała. Lepiej nie wywoływać problemu i nie dopuścić, aby czynnik strachu pojawił się w jej rozważaniach.

Gdyby więc przyjaciółka zapytała, dlaczego Carly nosi ze sobą młotek i gwoździe, chciała jej powiedzieć, że zamierzała się zająć na prawą dachu.

Co zresztą i tak należało zrobić. Przynajmniej mogła teraz zacząć.

- A więc, co cię tu sprowadza? - zapytała Hugona zgodnie z teorią, że mała przyjacielska pogawędka sprawia, iż czas szybciej płynie.

Niestety kot nie był w towarzyskim nastroju. Rzucił jej obojętne spojrzenie i wrócił do czyszczenia futerka, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie.

Carly jednak знаła dobrze swojego ulubieńca. To był jego sposób, aby pokazać, że życie kota nie jest usłane różami.

- No dobrze, wiem, że masz problem z Annie - powiedziała, przybijając kolejny gwóźdź i smarując go mazidłem. - Wiem, że chciałbyś wrócić do dawnego mieszkania z klimatyzacją i pięknym widokiem na jezioro. Wiem, że ci tu gorąco i liniejesz, że pewnie złapiesz pchły, a teraz jeszcze jest ten pies. Ale może powinieneś o tym wszystkim pomyśleć w kategoriach zbierania doświadczeń.

- Z kim ty, na Boga, rozmawiasz?

Głos Matta, docierający jakby z niebytu, sprawił, że Carly, wbijając właśnie kolejny gwóźdź, omal nie uderzyła się młotkiem. Cofnęła palec w ostatniej chwili, nachmurzyła się i rozejrzała dookoła. Matt przyglądał jej się z zainteresowaniem. Stał na wąskiej drabini, którą sama przystawiła do ściany, aby dostać się na górę. Ponad krawędzią dachu widać było tylko jego głowę i ramiona.

- Z Hugonem.

Kiedy już go zlokalizowała, zajęła się prostowaniem gwoździa, w który za pierwszym razem źle uderzyła, i teraz przybiła go prawidłowo. Potem usiadła i spojrzała na mężczyznę wciąż z tym samym nieprzyjemnym grymasem na twarzy.

_ Złapałeś już włamywacza? - Ton jej głosu nie był zachęcający.

- Pracuję nad tym.

_ Świetnie. A zatem domyślam się, że nie jesteś tu służbowo. Po co więc przyszedłeś?

- Przywiozłem ci lodówkę. I czapkę•

Nie wydawał się ani trochę speszony tym, że nie była zachwycona jego widokiem. Kiedy wstała i świadomie go ignorując, zaczęła wbijać kolejny gwóźdź, wszedł na dach. Miał na sobie szary t-shirt z napisem "Atlanta Braves" z przodu, stare dżinsy i zniszczone tenisówki. Był ubrany jak łazik, na jego brodzie pojawiły się już ślady ciemnego zarostu, czarne włosy lekko mu falowały od upału, mrużył oczy od żaru unoszącego się nad rozgrzanym dachem, a mimo to wydawał się tak przystojny, że jej grymas przerodził się w groźne spojrzenie.

Gdyby mieli zagrać w jakiejś południowej wersji "Pięknej i Bestii", wiedziała, które z nich dostałoby rolę potwora.

- Wiesz co, ty chyba masz poważne problemy ze zrozumieniem informacji ustnych. Chyba wyraźnie ci powiedziałam, że nie chcę cię więcej widzieć.

- To było przed czy po tym, kiedy kopnąłaś mnie w nogę?

Matt jako nastolatek wielokrotnie sam naprawiał dach i znał się na tym na tyle dobrze, aby docenić jej pracę. Posuwając się ostrożnie, dotarł do cienia, gdzie pracowała, i zobaczył pod kominem Hugona.

- Hej, kiciusiu.

- Po. I nie nazywaj go tak.

- On to lubi. On ... - Matt zawiesił głos, bo Hugo najpierw rzucił mu lekceważące spojrzenie, a potem wstał i oddalił się, machając ogonem. - No dobrze, może nie lubi.

- Może po prostu nie lubi ciebie.

Ciągle pamiętała opowieść Antonia o tym, jak Matt ściągał kota z drzewa.

- To także możliwe.

Matt uśmiechnął się i usiadł na miejscu - jedynym płaskim kawałku dachu w tej części - które właśnie opuścił Hugo.

Carly wbiła kolejny gwóźdź.

- No dobrze, przywiozłeś mi lodówkę i czapkę. A nawet pofatygowałeś się na górę, żeby mi to powiedzieć. Jestem pod wrażeniem. Więc może już sobie pójdziesz?

Patrzył na nią w milczeniu. Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. A już z pewnością nie było to łatwe, gdy na czworakach przybijala kolejne gwoździe, zerkając na niego przez ramię.

- Czy powiedziałem ci kiedyś, że masz naprawdę wspaniałe tyłeczki?

Chwilę jej zajęło, zanim powtórzyła sobie to, co usłyszała, aby się upewnić, że usłyszała dokładnie to, co powiedział. Tak było. Ogarnęła ją wściekłość- dopiero wtedy uświadomiła sobie, że pozycja, jaką przyjęła, dawała mu doskonały widok najej pośladki. Usiadła i spojrzała na niego groźnie.

- No dobrze. A teraz zjeżdżaj.

Uśmiechnął się, ale nie ruszył z miejsca.

- Słyszałem, że potrzebna mi recepta na viagrę.

Carly przypomniała sobie, że Sandra pojechała do miasta.

- Może nie powinieneś słuchać plotek - odparła i starając się tym razem nie wypinać tylnej części ciała, zaczęła wbijać następny gwóźdź.

- Może nie powinnaś kłamać.

- Skąd wiesz, że to ja powiedziałam? Jestem pewna, że wiele kobiet chętnie plotkuje o tobie i o tym, czy potrzebujesz viagry, czy też nie.

Jeszcze raz uderzyła młotkiem w główkę gwoźdza, wyobrażając sobie, że to głowa Matta.

- W zasadzie nie tak wiele i nie ostatnio. Prawdę powiedziawszy, ostatnio żadna.

- Aha, dobrze. - Carly spojrzała na niego, sięgając po kolejny gwóźdź. - A co z ... - o mało nie powiedziała Królową Wszystkiego z Shelby?

Wzruszył ramionami, nie spuszczać z niej oczu.

- Chodziliśmy ze sobą przez kilka miesięcy. W marcu zerwaliśmy.

- No, jasne. Zerwałeś z nią w marcu, ale ona nadal przychodzi do twojego domu w niedzielę rano, twoje siostry najwyraźniej uważają, że coś was łączy, a poza tym patrzyła na mnie tak, jakby chciała mi dać siekierą po głowie po tym ... po tym ...

- Jak zobaczyła nas całujących się w biurze?

Jego głos, który dokończył za nią zdanie, gdy nie mogła znaleźć właściwych słów, był jedwabście miękki. Carly poczuła, jak jej twarz oblała fala gorąca na wspomnienie tamtego pocałunku, które na tychmiast zawładnęło jej zmysłami. Siłą woli odrzuciła od siebie tę myśl, mając nadzieję, że Matt potraktuje jej rumieniec jako efekt upału. Czym prędzej ustawiła następny gwóźdź, a potem walnęła w niego młotkiem z wyjątkowym impetem.

- Erin jest zaręczona z bratem Shelby. Ponieważ po śmierci matki ja się nią opiekuję, a nie znam się

za bardzo na kwiatkach i sukniach druhen, Shelby pomaga zorganizować ślub i przyjęcie. Głównie z tego powodu ciągle do nas zagląda.

Carly zaczęła wbijać kolejny gwóźdź.

- I to także pozwala zrozumieć, czemu patrzy na mnie tak, jakby chciała mnie zamordować.

Matt uniósł brew.

- Jesteś zazdrosna, Carly?

Tym razem uderzyła się w palec.

-Auuu!

Upuściła młotek i zaczęła wymachiwać obolałą ręką.

- Nie, nie jestem zazdrosna - powiedziała, spoglądając na niego.

- Nie mogę uwierzyć, że o to pytasz.

Matt uśmiechnął się tylko. Z trudem zachowując spokój, Carly przyznała w duchu, że z jej zachowania rzeczywiście można by wywnioskować, że jest zazdrosna, a to ostatnia rzecz, jaką chciała, aby pomyślał, zwłaszcza że to wcale nie była prawda. Wzięła głęboki oddech i starała się mimo wszystko zachować poczucie godności. Jeszcze raz potrząsnęła ręką i ponieważ palec już jej tak nie bolał, chwyciła młotek.

- Posłuchaj, próbuję naprawić dach. Nie powinieneś być teraz gdzieś indziej?

- Nie. - Wyjął młotek z jej dłoni. - Mam wolne popołudnie. To mogło tłumaczyć jego niedbały strój.

- To dlaczego nie pójdziesz, na przykład, na ryby? - Pytanie zabrzmiało złośliwie. - Albo nie zaczniesz obserwować ptaków? Albo łapać motyli? Czy nie zrobisz czegoś innego, co teraz lubisz robić?

Usiadła i popatrzyła na niego z nieprzyjemnym wyrazem twarzy.

Wyrywanie Mattowi młotka uwłaczałoby jej poczuciu godności i nie miałoby większego sensu. Z

wieloletniego doświadczenia wiedziała, że była bez szans: jeżeli sam nie chciałby oddać, nie odebrałaby go. Zamiast tego sięgnęła po puszkę z farbą do dachu. Mając nadzieję, że go zirytuje, zaczęła nakładać lepki mas na gwoździe, które wcześniej przybiła.

- Właśnie robię coś, co lubię; przyjechałem tu na motorze.

Carly przerwała smarowanie blachy i spojrzała na niego.

- Nadal masz motocykl? - Gwizdnęła. - Poczekaj, kto to mówił: "Im bardziej rzeczy się zmieniają. .."
"?"

- Coś się jednak zmieniło. Tym razem mam harleya.

- No, no. Jestem pod wrażeniem. Harley. To rzeczywiście zmiana na lepsze. Dlaczego więc nie pojedziesz sobie na tym harleyu i nie pozwolisz mi dokończyć naprawy dachu?

- Ponieważ gdy przywiozłem ci lodówkę i czapkę, pomyślałem, że zapytam, czy nie masz ochoty się przejechać?

To ją zaskoczyło. Minęła chwila, zanim zareagowała.

- Co?

- Przyjechałem, żeby się dowiedzieć, czy nie chcesz się przejechać na motocyklu. Może skoczylibyśmy gdzieś na kolację.

Carly powoli odłożyła pędzel do puszek. Zmrużyła oczy.

- Matcie Converse, czy ty przypadkiem nie zapraszasz mnie na randkę?

Ich oczy się spotkały.

- Taak, myślę, że tak.

Przez moment Carly patrzyła na Matta w milczeniu. Była na niego wściekła - czy to nie zdarzyło się zaledwie wczorajszego wieczora? Czowała się także zraniona i nieufna. I nadal tak pozostało; a przynajmniej częściowo. Ale coś w jej wnętrzu, chyba serce, szeptało: To przecież Matt. Przez głowę przemykały jedno po drugim wspomnienia z przeszłości. Czy to nie były słowa jakiejś piosenki: "Jak odwdzięczysz się komuś, kto zabrał ci kredki i dał perfumy?". W jej wypadku tym kimś był Matt.

- Poczekaj chwilę - powiedziała, czując, że jej serce już zaczęło szybciej bić. - Chyba nie zamierzasz się znowu bawić w "całować i uciekać", prawda?

Jego uśmiech był szeroki, łobuzerski i porażająco ponętny. Minęła długa chwila, zanim Carly spojrzała mu w oczy. Wstrzymała oddech, zła na siebie, że tak na nią podziałał uśmiech Matta, ale na prawdę zabrakło jej tchu w piersiach.

- To chyba świadczy o tym, że czekasz, aż cię pocałuję.

- A pocałujesz?

- Może.

- To niedobrze, szeryfie.

Carly sięgnęła po pędzel i nałożyła kolejną warstwę czerwonej farby na blachę, nie zwracając uwagi, czy smaruje łebki gwoździ czy inne miejsca. Serce waliło jej już tak mocno, że w skroniach szumiała pulsująca krew. W żołądku czuła łaskotanie motyli skrzydeł. Randka z Mattem, bliski kontakt z Mattem, całowanie się z Mattem - Boże, sama myśl o tym sprawiała, że kręciło jej się w głowie - to błąd. Wiedziała, że to poważny błąd. Mówiła o tym każda część jej jestestwa.

Pragnęła już jednak tak bardzo popełnić ten błąd i wiedziała, że to zrobi; była gotowa skoczyć z rozgrzanej patelni w ogień. Najgorsze zaś, że decydowała się na ten skok z otwartymi oczami.

Jeżeli znowu się poparzy, nie będzie mogła winić nikogo poza sobą.

Spojrzała na niego ze złością.

- Ostrzegam cię otwarcie, że jeżeli znowu wspomnisz o przyjaźni, odetnę ci jaja nożem do masła.

Matt patrzył na nią przez moment w milczeniu, a jego oczy wyrażały zachwyt. Potem zachichotał. Wyciągnął rękę, złapał Carly za ramię i przyciągnął ją do siebie razem z ociekającym farbą pędzlem.

- Przerażasz mnie, Curls - powiedział i pocałował ją.

Ten pocałunek okazał się tak samo oszałamiający jak poprzedni.

Carly zamknęła oczy i kompletnie się zatraciwszy, zarzuciła Mattowi ręce na szyję. Jego usta były mocne, suche, a zarazem cudownie ciepłe. Gdy dotknął jej warg językiem, natychmiast je uchyliła. Jej ciało drżało, płonęło, pożądało. Był przy niej Matt i pragnęła go. Przyłgnęła do jego piersi i odwzajemniła pocałunek.

Dotarł do niej delikatny zapach piżma. Język Matta był gorący, sprężysty, zuchwały. Wypełnił jej usta i poczuła zawrót głowy, zupełnie jakby płynęła, jakby on był jedyną opoką na tym świecie i gdyby tylko się od niego oderwała, uleciałaby jak liść na wietrze. Nagle poczuła się malutka, bezbronna i całkowicie bezwolna, ale ponieważ obok był Matt, uczucie to sprawiało jej przyjemność. Wzięła głęboki, drżący oddech i zaczęła gładzić jego ciepłą skórę na karku, a kiedy po chwili zdała sobie sprawę, że nadal ściska w ręku pędzel, upuściła go. Spadł na dach z cichym stukotem i już więcej o nim nie myślała.

Zatopiła palce w jego włosach; te tuż nad karkiem były krótkie i delikatne. Matt pochylił się nad nią, przesuwając ustami po jej policzku, całował szyję, pieścił płatki uszu, a potem znowu namiętnie całował jej usta. Mocno obejmował ją i przyciskał do piersi. Czowała jego pożądanie, gwałtowne pragnienie, napięcie jego ramion i pleców. Serce biło jej tak szybko, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Nagle poczuła jego rękę na swojej piersi i było to takie przyjemne, takie wspaniałe, że Carly wydała cichy jęk i zadrżała z rozkoszy.

Uniósł głowę, przerywając pocałunek. Carly także leciutko uchyliła powieki i spojrzała na niego oszołomiona. Twarz mu pociemniała. Oczy błyszczały. Ciężko oddychał.

Pragnął jej. Szaleńczo. Nie mogła się mylić.

Nadal trzymał rękę na jej piersi. Spojrzała na jego dłoń, na tę dłoń z długimi palcami, opaloną, bardzo męską i uderzająco piękną. Odetchnęła głęboko. To dłoń Matta, milion razy o niej śniła, poznałaby ją wszędzie, była ciepła, mocna i obejmowała jej pierś. Pod jego palcami sutki stwardniały. Oblał ją strumień gorąca i z trudem łapała powietrze.

- Matt... - wyszeptała w bezwstydnym pragnieniu, drżąc i dygocząc w środku z niecierpliwości, całkowicie gotowa, aby ją teraz wziął. Zamknęła oczy, napawając się słodkim uczuciem oddania, i uniosła usta do jego ust.

- Carly.

Miał zachrypnięty głos, w którym jednak wyczuwało się nutę rozbawienia i rezygnacji. Powoli zaczęło to do niej docierać.

- Skarbie, to chyba nie jest najlepszy pomysł - odezwał się z żalem.

Uważał, że to nie był dobry pomysł?

Natychmiast otworzyła oczy.

- Co? - wykrztusiła, patrząc mu prosto w oczy i usiłując się wyrwać.

Nadal nachylał się nad nią, nadal ją obejmował, ale wyszarpnęła się z jego ramion i usiadła wyprostowana jak struna. Objął ją w pasie, aby uniemożliwić ucieczkę, i spojrzał na nią, mrugając łobuzersko.

Zabije go, naprawdę go zabije; tym razem z pewnością to zrobi ...

- Jesteśmy na dachu - powiedział i mimo wesołego mrugnięcia zauważyła, że jego oczy pociemniały z namiętności, kości policzkowe pokrywał mocny rumieniec, a oddech stał się nieregularny. - Jeden nieostrożny ruch i dwanaście metrów w dół. To nie jest najlepsze miejsce.

Zmrużyła oczy i spojrzała na niego.

- Jesteś piękna - szepnął i przesunął palcem po lini jej nosa. Przez moment patrzyła na niego podejrzliwie, ponieważ jeszcze

nikt nigdy jej tego nie mówił, i wiedziała, że to nieprawda.

- Chyba raczej ty - odrzekła.

Potrząsnął głową.

- Nie, ty.

Wydawało jej się, że dostrzegła w jego oczach ogromną czułość.

- Wierz mi, Curls, jesteś piękna.

Przesunął dłoń najej podbródek, uniósł jej twarz do swojej i pocałował. To było delikatne muśnięcie wargami, ale i tak zelektryzowało Carly. Osunęła się na niego bezwładnie, objęła go i pocałowała z takim pożądaniem, że aż zadrżała, gdy dotarło do niej, czego pragnęła.

- No dobrze, schodzimy z dachu.

Przestał ją całować i odsunął się, zanim zdążyła oprzytomnieć.

- Myślisz, że uda ci się zejść na ziemię i nie zabić się przy tym?

Wstał i popatrzył na nią. Przez chwilę siedziała jak odurzona, oparta plecami o ściankę komina, prawie nie czując ciepłych cegieł, gorącej blachy i rozpalonego powietrza. Dotarło do niej, że nadal jest dzień, a popołudniowe słońce prześwituje przez gałęzie włoskiego orzecha, tworząc skomplikowany wzór światła i cienia na dachu. Obłoczki najasnoblękitnym niebie przypominały wate

cukrową, pa-rra błękitnych sójek fruwała wokół

drzewa, a wiewiórka o puszystym Jgonie skakała po gałęziach tuż nad ich głowami. Carly czuła też ;;molistą woń mazidla, którym smarowała dach.

No dobrze, to nie wyszło całkiem bezbłędnie, ale był cudowny :lzień, a ona miała randkę z Mattern.

Czyżby jej życie zamierzało się poprawić?

- Słyszałaś, co powiedziałem? - zapytał Matt, wyciągając rękę, łby pomóc jej wstać.

Carly utkwiała oczy w jego twarzy. Za nic nie chciała, aby się wrientował, jak bardzo była oszołomiona. Chociaż, oczywiście, zapew-ne dobrze zdawał sobie z tego sprawę.

- Owszem, słyszałam, co powiedziałeś. Wcale tak dobrze nie ca-tujesz, Matcie Converse. -

Podala mu rękę i wstała.

- Później przekonasz się, że będziesz musiała odszczekać te słó-wa - oświadczył i podniósł jej dłoń do ust.

Carly patrzyła, jak przyciskał wargi do jej palców, i znowu krew laczeła się w niej burzyć. Czuła na swojej dłoni jego ciepłe usta; oczy mu płonęły, gdy ich spojrzenia się spotkały. Ten gest był

całkowicie rozbajający, absolutnie romantyczny, niepodobny do niczego, co ko-jarzyło jej się z Mattem, a przecież wiedziała, że doskonale go zna. To był... Matt kochanek. Dorosły mężczyzna, podobnie jak Matt sze-ryf. Chłopiec, którego kiedyś uwielbiała, należał już do przeszłości. Gdy uświadomiła sobie tę kosmiczną zmianę w ich stosunkach, któ-rrą symbolizował pocałunek w rękę, poczuła ucisk w żołądku i mięk-kość w kolanach.

Chłopiec czy mężczyzna, to był nadal Matt, a ona pragnęła go tak bardzo, że cała płonęła.

- Chodź - powiedział i wciąż trzymając ją za rękę, skierował się w stronę drabiny.

Poruszał się ostrożnie, prowadząc ją za sobą.

- Poczekaj, muszę zabrać swoje rzeczy.

Jej rozkojarzone zmysły nagle zaczęły funkcjonować normalnie.

Wyswobodziła rękę z jego dłoni. Nie mogła zostawić na dachu na-rrzędzi. Młotek, gwóźdź i puszka ze smarowidłem leżały porzucone niedaleko od miejsca, gdzie stała. Pędzel umaczany w mazi leżał tuż przy stopie Matta. Pochyliła się, aby go podnieść.

Wziął go od niej, włożył do puszki, a puszkę zawiesił sobie na ra-mieniu. Potem włożył do kieszeni młotek i gwóźdź, chwycił Carly za rękę i pociągnął za sobą w kierunku drabiny.

Przytrzymał końce, żeby była stabilna, gdy Carly będzie po niej schodziła, a następnie zrobił jej miejsce. Idąc pierwsza, Carly nie mogła się powstrzymać, aby nie spojrzeć na jego długie, silne, muskularne nogi i powabne, krągłe pośladki w spranych dżinsowych spodniach. To Matt, taki wspaniały i już wkrótce będzie jej. Tak się rozmarzyła, że o mały włos nie przegapiła szczebla.

Upadek z wysokości dwunastu metrów to pewna śmierć, co nie byłoby dobrym początkiem tego, co zapowiadało się jako najwspanialszy wieczór życia, pomyślała Carly, koncentrując się na schodzeniu z drabiny.

Już blisko ziemi zauważyła, że byli obserwowani. I to przez kilka par oczu. Hugo ułożył się wygodnie na jednym z niższych konarów orzecha i śledził ich, leniwie machając ogonem. To doskonale świadczyło o wpływie Matta na nią - Carly aż do tego momentu zupełnie zapomniała o kocie. Pomyślała, że Hugo całkiem nieźle przystosował się już do otaczających go warunków, skoro udało mu się samemu zejść z dachu, i potrafił wykorzystać do tego celu orzech.

Spoglądając znowu na Matta, Carly doszła do wniosku, że Benton zapoczątkowało wielkie zmiany, nie tylko w kocie, ale także w niej samej. Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że odkąd wysiadła z wypożyczonej furgonetki, prawie wcale nie myślała o Johnie ani o sprawach związanych z rozwodem. Jej życie jako żony Johna Grunwalda - nigdy nie używała jego nazwiska, przezornie pozostając przy swoim - wydawało się tak odległe, jakby należało do kogoś zupełnie innego. Jej prawdziwe życie toczyło się tutaj. Znowu spojrzała w górę i serce mocniej jej zabiło. To Matt był jej prawdziwym życiem.'

I na myśl o tym znowu omal nie potknęła się na drabinie.

Kiedy odzyskała równowagę, zauważyła Annie, która czekała na dole, obserwując ich i machając ogonem. Tuż za nią stali Antonio, Mike i Sandra. Przyglądali się im obojgu z wielkim zainteresowaniem, a na ich zwróconych ku górze twarzach widać było zaskoczenie, ciekawość i daleko posunięte spekulacje. Carly zaobserwowała kątem oka jakiś ruch z boku i zobaczyła, że pod jej dom podjechała właśnie honda, z której wysiadła Erin. Nawet z takiej odległości Carly widziała, że Erin dostrzegła schodzącego po drabinie brata. Znieruchomiała i utkwiała w nich oczy.

No proszę, jest tu cała banda, pomyślała ponuro Carly.

Łatwo można było odgadnąć, że zgromadzona przed domem widownia gorączkowo się zastanawia, co łączy ich dwoje. Carly czuła-by się niemal tak samo zażenowana, gdyby schodziła po drabinie całkiem naga.

- Czy naprawiłaś dach? - zapytała Sandra aż nadto serdecznym tonem, gdy Cady dotknęła stopą trawy.

- Prawie.

Wytarła spocone dłonie o tył spodni i zadowolona, że udało jej się wydobyć z siebie głos, pochyliła się, aby pogłaskać Annie. Była też dumna, że nie spojrzała na Matta, który zaraz po niej zeskoczył na ziemię. Gdy tylko jednak się wyprostowała, tak mocno podziałała na nią jego obecność, że niemal

słyszała, jak oddychał. Doskonale też pamiętała, co zaszło między nimi na dachu, i była przekonana, że jej twarz płonie.

- Co to jest? - zapytał Matt. Postawił puszkę z farbą na ziemi, obrzucił zgromadzone towarzystwo długim spojrzeniem i utkwiał oczy w Annie, obwąchującej z pewną podejrzliwością jego stopy.

W przeciwieństwie do Cady wydawał się całkowicie rozluźniony, był po prostu sobą.

- To Annie. Pamiętasz tego psa, który pierwszej nocy pogonił Hugona? Zdecydowałyśmy się ją zaadoptować.

- Mów za siebie - prychnęła Sandra.

Carly zignorowała jej uwagę, zauważyła natomiast, że przyjaciółka z zainteresowaniem przyglądała się jej i Mattowi.

- Annie jest słodka - poinformowała Matta.

- Nie wątpię.

Chociaż powiedział to bez entuzjazmu, wyciągnął rękę, aby suczka mogła go obwąchać, i podrapał ją za uchem, a potem spojrzał na Antonia i Mike'a.

- Co się stało? - zapytał.

Zastępcy byli w mundurach i, jak Carly wywnioskowała z pytania i tonu, jakim Zostało zadane, pełnili służbę.

Do tej pory obydwaj, podobnie jak Sandra, przenosili wzrok z Matta na Cady i sprawiali wrażenie lekko rozbawionych. Ale wy_raz ich twarzy natychmiast uległ zmianie, gdy szef do nich przemówił. Mike zaczął przestępować z nogi na nogę i umknął spojrzeniem w bok. Antonio skrzyżował ręce na piersi i odchrząknął.

- Jakieś dziesięć minut temu otrzymaliśmy wiadomość przez radio - powiedział. - Operator poinformował nas, że ktoś do ciebie dzwonił, ale miałeś wyłączoną komórkę. Chyba pani Hayden znowu wyszła na spacer z psem.

To musiało znaczyć coś specjalnego, ponieważ Matt wydawał się wyraźnie zirytowany, a Antonio i Mike z trudem powstrzymywali uśmiech.

- Nie bez powodu miałem wyłączony telefon. - Włożył ręce do kieszeni, gdzie znalazł młotek, który wyjął, a potem znalazł jeszcze gwóźdź i obie rzeczy wręczył Carly. - A powód jest taki, że nie jestem na służbie. Ktoś inny musi się zająć panią Hayden.

- Powiedziałem, żeby posłali tam Knighta. Mógłby się wykazać - powiedział Antonio.

- Dobra robota. - Matt uśmiechnął się, najwyraźniej znajdując element humorystyczny w tym, co kryło

się za słowami zastępcy. –Coś jeszcze?

W roli poważnego szeryfa zrobił na Carly olbrzymie wrażenie.

Powróciła wspomnieniami do czasów, gdy był chłopcem, do jego młodości, i poczuła dumę.

Chłopak, o którym mieszkańcy miasteczka mówili, że skończy jako morderca, zmienił się na lepsze. "Przeszedłeś długą drogę, kochanie", przypomniały jej się słowa piosenki i uśmiechnęła się na myśl, jak bardzo pasowały do Matta.

- Thompson złamał nogę, spadając ze stopnia, a Brooks dzwonił, aby powiedzieć, że złapał jakiegoś wirusa żołądkowego - mówił dalej Antonio.

- Chyba sobie ze mnie żartujecie. - Matt wyglądał na zmartwionego. - W takim razie brakuje nam ludzi. Jest nas teraz raptem sześciu. Kiedy mieli następną zmianę?

- Obydwaj o jedenastej w nocy.

- Chryste! - zawołał Matt. - Kto ich zastąpi?

- Wszyscy odpracowali już podwójne dyżury w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie mamy więcej ludzi, zamienimy się powoli w zambi.

- Nic na to nie poradzę. - Matt się skrzywił. - No dobra, do diabła z tym. Ja zastąpię Thompsona, a ty Brooksa.

- Obawiałem się, że to właśnie powiesz - ponuro zauważył Antonio.

- Hej, jesteś przecież zastępcą szeryfa.

- Tak, wiem. - Wyraźnie zmartwiony Antonio spojrzał na Sandrę. - Chyba myślałem, że to stanowisko da mi trochę więcej przywilejów.

Matt wruszył ramionami i wziął Carly za rękę. Sandra, Antonio i Mike natychmiast, z szybkością rakiet szukających wyznaczonego celu, skierowali oczy na ich splecione palce. Pod ciężarem tych spojrzeń Carly poczuła się tak zawstydzona, jakby ktoś nagle wymalował na jej czole szkarłatną literę.

- Gotowa? - zapytał Matt.

Kiwnęła głową, a on zacisnął mocniej palce na jej dłoni i odwrócił się do zebranego towarzystwa.

- To wszystko? - zapytał swoich zastępców. - Bo zmywamy się stąd.

- Pokręcimy się po okolicy aż do kolacji. - Antonio spojrzał na Matta i wruszył ramionami. - No co, mamy jeszcze godzinę, a potem trzeba coś zjeść.

- Cześć wszystkim. - Podeszła do nich Erin.

Miała na sobie króciutką spódniczkę dżinsową i białą bluzkę bez rękawów, co w zestawieniu z opalonym ciałem i czarnymi, puszystymi włosami sprawiało, że wyglądała świeżo i bardzo ładnie - była jednak jakby odrobinę zmartwiona. Oczy Mike'a zaświeciły się na jej widok, ale dziewczyna nie patrzyła na niego. Zerknęła to na Matta, to na Carly, a potem na ich złączone ręce. Kiedy wreszcie zwróciła się do brata, miała poważny wyraz twarzy.

- Matt, mogę z tobą chwilę porozmawiać?

- Co się stało? - zapytał z rezygnacją w głosie.

Mocniej ścisnął dłoń Carly, a potem odszedł na bok z Erin.

- Pójdę do domu po torebkę - powiedziała szybko Carly, zadowolona z zamieszania.

Nagle bowiem do niej dotarło, że ma na sobie jakieś stare majtki i sprany biustonosz, a poza tym powinna wziąć prysznic i zrobić sobie makijaż i...

Jeżeli wchodziło w grę pójście z Mattem do łóżka, co było wielce prawdopodobne, natychmiast musiała poprawić parę rzeczy.

Od momentu gdy weszła do domu, poruszała się właściwie biegiem. Szybko zrzuciła z włosów chusteczkę i odpięła guziki koszuli. Już pod prysznicem szarpnęła suwak w spodniach.

Zrzuciwszy ubranie, wzięła naj szybszy w świecie prysznic, ogoliła nogi i pachy z takim pośpiechem, że powiedzenie "szybki jak brzytwa" nabrało zupełnie nowego znaczenia, a potem przez chwilę wpatrywała się z wyraźnym rozczarowaniem w burzę blond loków, zanim uznała, że próba ujarznienia ich byłaby stratą czasu i energii. Niech więc sobie swobodnie spływają -

przeczesała je tylko szybko szczotką, a potem lekko uformowała palcami fryzurę. Wtarała w skórę brązujący balsam, aby uzyskać na twarzy obiecany w reklamie opalony odcień, na policzki nałożyła odrobinę różu i musnęła cieniem powieki, szybko wytuszczyła rzęsy, a usta pociągnęła błyszczkiem, po czym z satysfakcją spojrzała na swoje odbicie w lustrze - czy Matt naprawdę powiedział, że jest piękna? Sama myśl o tym sprawiła, że Carly poczuła przyjemne ciepło w żołądku. Zawinęła się ręcznikiem i pobiegła do sypialni.

Uczynienie cudu przed lustrem zajęło jej nie więcej niż dziesięć minut. Matt z pewnością jeszcze nie zdążył się za nią stęsknić.

Za żadne skarby nie chciała, aby się domyślił, że wzięła prysznic, ogoliła się, zmieniła bieliznę i generalnie podniosła swoją atrakcyjność w przewidywaniu, że będą się kochali. Oczywiście, znając Matta, z pewnością na to wpadnie. Ale jeżeli ona się pospieszy i wróci na dół, zanim on znajdzie czas, aby się zastanowić, gdzie się podziała, może nie przyjdzie mu to do głowy.

-Carly, szeryf musiał wyjechać.

Gdy wpadła do sypialni, zobaczyła Sandrę, która siedziała na brzegu łóżka. Miała na sobie ulubiony strój, czyli czarne legginsy i obszerną, czarną koszulkę, dzięki czemu nie sposób było jej nie zauważyć na tle białej pościeli. W jej uszach kołysały się długie, srebrne kolczyki w kształcie uśmiechniętych twarzy i sprawiała wrażenie nienaturalnie poważnej, gdy przyglądała się gorączkowemu pośpiechowi Carly.

_ Co takiego? - Carly znieruchomiła, biegnąc do komody, i spojrzała na przyjaciółkę.

Sandra pokiwała głową.

_ Prosił, aby ci powiedzieć, że przyjedzie po ciebie za pół godziny. Na motorze, a więc włóż lepiej dżinsy.

Carly poczuła przyspieszone bicie serca. Przez moment przeraziła się, że znowu padła ofiarą starej sztuczki Matta Converse'a w stylu "całować i uciekać".

Gdyby tak było, z pewnością zginąłby powolną i okrutną śmiercią.

- Dokąd poszedł?

Carly kontynuowała teraz swoje przygotowania w bardziej dyscyplinowanym tempie. Otworzyła szufladę z bielizną i zaczęła przeglądać jej zawartość. Na szczęście nadal miała kilka całkiem interesujących rzeczy, które zostały jej z czasów, kiedy jeszcze uprawiała seks, czyli całe wieki temu. Wpadł jej w oko czarny biustonosz z koronki. Gdzieś powinny być do niego majteczki ...

Na myśl o tym, że Matt zobaczy ją wkrótce w tak seksownym stroju, poczuła wate w kolanach.

Kiedy ostatni raz widział ją w bieliznie, nosiła białe, bawełniane majtki, zakrywające ją od pępka do ud. Na szczęście jej biust był wówczas taki mały, że nie musiała się martwić o staniczek, bo gdyby miała jakiś na sobie, to z pewnością także byłby biały, bawełniany i całkowicie pozbawiony seksapilu.

Bo taka właśnie wtedy była.

- Czy na pewno chcesz to wiedzieć? - zapytała Sandra.

Z jej tonu Carly wywnioskowała, że raczej nie powinna się dopytywać. Mimo to kiwnęła głową.

- To ta Shelby przywiozła do nas Jego siostrę. Czekala w samochodzie. Siostra Matta wzięła go na stronę, aby mu to powiedzieć. Szeryf zszedł na dół porozmawiać z Shelby. Po kilku minutach zadzwonił z komórki i powiedział, że jedzie do domu i wróci po ciebie trochę później.

Ręka bezwiednie zacisnęła jej się na koronkowych majteczkach, z czego Carly zdała sobie sprawę dopiero wtedy, gdy spojrzała w dół. Poczuła się zażenowana, gdy dotarło do niej, jak bardzo zabolala ją myśl, że Matt pojechał z Shelby. Potem przypomniała sobie, że tam na górze, na dachu

zapytał ją, czy jest zazdrosna.

Gdyby chciała mu powiedzieć prawdę, musiałaby przyznać, że tak. Ale nie tak bardzo, jak teraz.

- Wiesz, ten szeryf jest naprawdę przystojny, a Antonio uważa, że to porządny facet - powiedziała Sandra, która z niepokojem obserwowała, jak Carly wpatruje się niewidzącymi oczami w zgniecione w dłoni majteczki. - Może jednak powinnaś to przemyśleć. Ma reputację faceta, który rozkochuje w sobie kobiety, a potem je porzuca. Antonio mówi, że zmienia dziewczyny tak często jak skarpetki, ponieważ ma alergię na dłuższe związki. Jest Skorpionem, bo wiesz, zapytałam Antonia, kiedy ma urodziny, a Skorpiony myślą tylko o seksie. Przyjrzyj mu się uważnie, zresztą każdy ci to powie. Jeżeli chcesz tylko dobrze się zabawić, to doskonały pomysł.

Ale wydaje mi się, że z twojej strony jest coś więcej, a to czyni cię bezbronną. Kochanie, mam wrażenie, że byłabyś gotowa zrobić coś tak głupiego, jak zakochać się w nim.

To Sandra pocieszała ją, radziła jej i płakała razem z nią podczas kryzysu, jaki Carly przechodziła w trakcie rozwodu. Widziała, jak bardzo wtedy została zraniona, i Carly nie miała wątpliwości, że te ostrzeżenia płynęły z głębokiej troski i niepokojem. Zresztą sama wiedziała, że to, co mówi jej przyjaciółka, jest rozsądne. Carly wzięła głęboki oddech i zaczęła analizować swoje uczucia. Czy rzeczywiście była gotowa zakochać się w Mattie? Już samo to, że się nad tym zastanawia, wydało jej się śmieszne.

Odwróciła się, oparła się o komodę i spojrzała na Sandrę.

- Prawdę powiedziawszy - wyznała z melancholią w głosie - wydaje mi się, że kochałam Matta przez całe życie.

_ To źle. - Na twarzy Sandry pojawiło się współczucie. - To naprawdę niedobrze. Brakuje ci tylko kłopotów sercowych. Co zamierzasz zrobić?

_ Nie mam pojęcia - odrzekła z namysłem Carly. - Jeśli on ...

- Sandra! Carly!

Carly poznała niemal natychmiast donośny głos Antonia.

Brzmiał w nim wyraźny niepokój. Wymieniły szybkie spojrzenia. Carly pobiegła w stronę drzwi, Sandra zeskoczyła z łóżka.

_ Zejdźcie tu szybko! Coś złego dzieje się z psem!

Niecałą godzinę później Carly razem z Sandrą, Erin, Antoniem i Mikiem wyszła z gabinetu weterynarza do poczekalni. Jasne, jaśniejące światła i klimatyzacja sprawiały, że panował tu niemal za-bójczy chłód. A zapach - medyczna, aseptyczna woń z wyczuwalnym dodatkiem uryny i strachu - wywoływał mdłości. Trzęsąc się z zimna w t-shircie i dzinsach, Carly skrzyżowała ręce na piersi i zaczęła sobie rozcierać ramiona, aby choć trochę się rozgrzać. Była wyczerpana, zmęczona i zrozpaczona. Nie mogła znieść widoku cierpiącej Annie.

- Cześć - powiedział Matt.

Tak jej się przynajmniej wydawało, musiała to odczytać z ruchu jego warg, ponieważ go nie usłyszała. Matt stał po drugiej stronie zamkniętych, szklanych drzwi. Podeszła i próbowała je otworzyć. Pomógł jej Antonio, gdyż palce odmówiły jej posłuszeństwa. Czowała się tak, jakby znajdowała się głęboko pod wodą, jakby wszystko wi-działa i odczuwała przez jakąś pomarszczoną zasłonę•

Matt pchnął drzwi, wszedł do środka, obrzucił Carly szybkim spojrzeniem i przytulił ją. Jego uścisk był delikatny, a jednocześnie pewny i opiekuńczy. Carly była za bardzo zgnębiona, aby pamiętać wszystkie powody, dla których zapewne nie powinna ufać Mattowi, i oparła czoło na jego piersi, a potem wręcz przywarła do niego całym ciałem. Był ciepły i silny, miał twardą i muskularną pierś, podobnie jak ramiona. Czowała się tak dobrze w jego objęciach, że zupełnie się nie przejmowała resztą obecnych, chociaż z uwagi na nich, być może, powinna się trzymać z daleka od Matta. Ale w jego ramionach było jej tak dobrze, jak nigdzie na świecie. Ta refleksja zapewne powinna ją zmartwić, gdyby teraz mogła jeszcze czymś więcej się martwić.

- Co się stało psu?

Matt zapytał o to innych, tuląc do siebie Carly, ale pospieszyła z odpowiedzią:

- Zjadła truciznę.

Na wspomnienie o tym, jakie męczarnie przechodziła Annie, Carly aż się wzdrygnęła. Wciąż widziała ciemne i przerażone oczy zwierzęcia, które zdawały się mówić: "Pomóż mi, pomóż mi", gdy suczka tarzala się z bólu na trawie. Przerażona Carly chwyciła ją na ręce i pobiegła ...

- Truciznę? Jaką truciznę? - zapytał Matt.

- To mogło być wszystko. Trutka na szczury, jakiś specyfik na chwasty, nawet płyn do chłodnicy. -

Tym razem odpowiedzi udzielił mu Antonio. - Bart - Bart Lindsey był weterynarzem - powiedział, że na konkrety trzeba poczekać, aż zrobi badania.

- A zatem to wypadek, tak? - W głosie Matta brzmiało wahanie.

- Prawdopodobnie.

Drzwi między gabinetem weterynarza a poczekalnią otworzyły się akurat w dobrym momencie, aby lekarz mógł usłyszeć pytanie Matta. Bart Lindsey był niskim mężczyzną z widocznym nadgarstkiem od spodni brzuskiem i okrągłą twarzą, na której połyskiwały okulary bez oprawek.

Błękitny fartuch lekarski miał rozpięty, a siwe włosy lekko potargane, co nadawało mu wygląd trochę zmęczzonego.

- Nie sposób stwierdzić z całą pewnością, lecz moim zdaniem są małe szanse, aby było inaczej.

A tak przy okazji, miło cię widzieć, Matt. Chociaż wolałbym, aby okoliczności były bardziej przyjemne. Pamiętasz pewnie mojego brata Hirama, prawda? - Kiwnął głową w kierunku wchodzącego do poczekalni krępego, siwowłosego mężczyzny w spodniach koloru khaki i błękitnym fartuchu, takim samym, jaki miał na sobie Bart.

- Hiram miał kiedyś własną klinikę, ale sprzedał ją dwadzieścia lat temu i przeprowadził się do Macon. Kiedy byłeś mały, pracował tu jako weterynarz.

- Jasne, że pamiętam Hirama - odrzekł Matt, kiwając głową.

- Moim zdaniem to jakaś stara trutka na szczury - odezwał się Hiram Lindsey. - Objawy są klasyczne.

Carly się wzdrygnęła, a Matt mocniej przytulił ją do siebie.

- Całe szczęście, że ją zobaczyliśmy. - Głos Erin był miękki i niski, ale jego gardłowy ton przypominał Carly Matta. - Wszyscy gdzieś się rozeszli, ale ja z Mikiem staliśmy na podwórku i rozmawialiśmy, gdy nagle to biedne stworzenie zaczęło się trząść, toczyć pianę z pyszczką i wymiotować. Potem się przewróciła. - Głos Erin zadrżał. - Bart powiedział, że gdybyśmy jej tak szybko nie przywieźli, byłoby już po niej.

- To znaczy, że przeżyła?

W głosie Matta słychać było ulgę, jakby obawiał się innego zakończenia tego tragicznego wydarzenia.

- Tak - potwierdziła Carly, ponownie opierając czoło na jego pierśsi. - Doktor Lindsey powiedział, że wydobreje. - Zamknęła oczy i mocniej się do niego przytuliła w obawie, że zaraz rozplacze się przy wszystkich.

- Boże. - Matt przygarnął ją do siebie mocniej. Jak zwykle domyślał się, co czuła. - Możemy już pójść czy trzeba poczekać na psa? - zadał głośniejsze pytanie, kierując je pod adresem weterynarza.

- Powinna tu zostać co najmniej przez noc, a może nawet trochę dłużej - zdecydował Bart Lindsey. - Biedaczka bardzo się wymęczyła. Musiałem dać jej zastrzyk usypiający, a potem zrobić płukanie żołądka i dopiero po co najmniej dwudziestu czterech godzinach będę pewien, że wszystko w porządku.

- Bardzo panu dziękujemy za pomoc.

Sandra także była przejęta tym, co się stało. Słysząc to było w jej głosie.

- Czy mamy zapłacić teraz, czy jak będziemy ją zabierać do domu? Sandra zaakceptowała już Annie i to, że ich dom był także do-mem suczki. Nawet taka ciemna chmura miała posrebrzane brzegi. - Umówmy się, że przy odbiorze psa - odrzekł lekarz.

- Świetnie, a zatem idziemy. Dziękuję, Bart - pożegnał się Matt.

- Miło cię było widzieć, Hiram.

- Miłego dnia - powiedział Bart, a jego brat dodał: - Mnie też było miło cię spotkać. Szkoda tylko, że w takich okolicznościach.

Matt wyprowadził Carly, cały czas obejmując ją swoim silnym ra-mieniem. Była mu za to wdzięczna, ponieważ nadal nie czuła się do-brze. Zrobiło jej się lepiej, gdy owiała ją za drzwiami fala gorąca. Była jak ciepły koc, który ją otulił, powoli odsuwając uczucie chłodu. Klinika weterynaryjna znajdowała się na granicy centrum miasteczka, to znaczy cztery przecznice od rynku, ale wysiłki władz, aby upiększyć Benton, nie sięgały tak daleko. Tuż obok znajdowało się czteropasmowe skrzyżowanie, przy którym stały supermarket 7 - Eleven, apteka i sklep monopolowy.

Carly zatrzymała się na chodniku oddzielającym przychodnię od parkingu i wzięła głęboki wdech, z zadowoleniem wchłaniając nie- I zbyt przyjemną woń rozgrzanego upałem asfaltu i spalin wydzielanych przez rzadko przejeżdżające samochody. W ulicznych zapa-chach było coś, co neutralizowało przyprawiającą o mdłości woń gabinetu weterynaryjnego. Nagle usłyszała pisk hamulców jadącego bez tłumika pikapa i klakson, któremu towarzyszył wesoły okrzyk:

"Cześć, Matt!". Spojrzała na jezdnię. Przez otwarte okno granato-wego, zardzewiałego forda ktoś machał w ich kierunku. Matt też po-machał jadącym, a po chwili światła zmieniły się na zielone, silnik zaryczał i pikap się oddalił.

Na świeżym powietrzu, z dala od obrazów, dźwięków i zapachów, które sprawiały, że horror, jaki przeżywała Annie, był tak realny, Carly stawała się coraz silniejsza, zdolna stanąć na własnych nogach.

Nadal jednak przytulała się do Matta. Dzięki niemu było jej jeszcze lepiej. Sprawiał, że czuła się bezpieczna. Nie do końca jednak wiedziała, dlaczego tak bardzo potrzebuje poczucia bezpieczeństwa. - Carly!

Do skrzyżowania podjechała biała ciężarówka i jakiś mężczyzna opuścił niżej szybę w oknie.

Carly rozpoznała Barry'ego Hindleya. - Słyszałem o twoim psie. Wszystko w porządku?

- Wyjdzie z tego! - krzyknęła Sandra, widząc, że Carly nie ma siły, by sama odpowiedzieć.

Barry pomachał i pojechał dalej.

- Jakie macie plany? - zapytała Erin, patrząc na brata i Carly. Carly zauważyła, że o ile wcześniej

widok jej i Matta razem wywoływał zaskoczenie i domysły Erin, teraz dostrzegła pełną zainteresowania akceptację faktu, że stanowią parę, chociaż szybko dodała w myślach: jeżeli rzeczywiście ona i Matt są parą.

Tego nie była jeszcze pewna. Nie była pewna niczego, a najmniej tego, co dotyczyło jej i Matta.

Ta refleksja spowodowała, że Carly zwróciła uwagę, iż Mike stał blisko Erin, a Antonio tuż obok Sandry. Pierwsza z tych par wydawała się szczególnie interesująca, a raczej wydawałaby się, gdyby Carly lepiej się czuła. Nadal kręciło jej się w głowie, miała mdłości i wciąż bardzo martwiła się o Annie. Spekulacje na temat relacji między innymi osobami musiała odłożyć na bardziej stosowną chwilę. Poza tym nie była nawet gotowa, aby zastanawiać się nad własnym związkiem lub nad tym, czy to, co zaistniało między nią a Mattem, można w ten sposób określić.

Z jej punktu widzenia wyglądało to bardziej na pożądanie, co uświadomiła sobie z pewną konsternacją. Pragnęła z nim być. Marzyła o jego ramionach, które ją obejmowały, chciała być przy nim, potrzebowała jego ciepła i siły. Beznaście pragnęła Matta.

Co w świetle tego, co już wiedziała na temat kategorii przyjaciółek i innych kobiet, kategorii , na jakie Matt podzielił całą żeńską populację, nie mogło być dla niej dobre.

- Carly idzie ze mną - oświadczył Matt, nie fatygując się nawet, aby zapytać ją o zdanie.

Oczywiście, miała na to ochotę. Generalnie miała ochotę na wszystko, czego od niej chciał, przynajmniej tak było teraz, gdy czuła się wyczerpana, bezbronna i spragniona. Nie podobało jej się tylko, że Matt miał zwyczaj podejmować autorytarne decyzje bez zainteresowania się jej życzeniami czy preferencjami. Na szczęście nie była już taka nieśmiała, aby zaprotestować, gdy uważała to za konieczne.

- Antonio i Mike zawiozą ciebie i Sandrę do domu, a potem wrócą na służbę. Od tej chwili mamy tylko trzech ludzi w pracy.

- Mam się spotkać z Colinem o siódmej w Corner Cafe. Przyprowdzi swojego kolegę ze szkoły i jego żonę. No wiesz, Tima Bernarda. To jego świadek. Z Atlanty. - Erin obrzuciła zdezorientowanego brata karcącym wzrokiem i spojrzała na zegarek. - Dopiero piętnaście po szóstej, ale muszę jeszcze wpaść do domu i się przebrać.

- Mogę cię podrzucić - zaoferował się Mike.

- Pasuje ci? - zapytał Matt Erin. Potem spojrzał na Mike'a. - Jesteś radiowozem?

Mike pokiwał głową. Na parkingu stały dwa radiowozy oraz furgonetka Carly i Sandry. Carly, Sandra, Erin i Antonio przywieźli nią Annie do weterynarza. Sandra prowadziła, Carly trzymała osłabioną Annie na kolanach, a Antonio siedział z tyłu i zaciskał kciuki. Przodem jechał Mike radiowozem z włączonymi światłami i syreną alarmową.

Drugi zaparkowany radiowóz, z napisem " Szeryf Hrabstwa Screven" na drzwiach, z pewnością należał do Matta.

- Dobrze, a ty zabierzesz do domu Sandrę - zwrócił się Matt do swego zastępcy. Potem znowu spojrzał na Mike'a. - Jak odwiesz Erin, możesz podjechać do Beadle Mansion i zabrać Antonia. Jeżeli będziecie mieli czas, wpadnijcie do biura. Jest tam cały stos papierów do obrobienia.

- Jeżeli będziemy mieć czas? - parsknął Antonio. - Żartujesz, prawda?

- Nigdy nie wiadomo - odrzekł Matt i spojrzał na błękitne niebo.

- Do diabła, może spadnie śnieg.

- Przyjadę za pół godziny - powiedział Mike do Antonia, a potem razem z Erin ruszyli do wozu.

- Jeśli dasz mi kluczyki, z przyjemnością poprowadzę - zaproponował Antonio, wyciągając rękę w stronę Sandry.

Carly, przypominając sobie ich szaloną jazdę do weterynarza, doskonale rozumiała Antonia -

Sandra za kółkiem to nie było doświadczenie, które ktokolwiek chciałby przeżyć po raz drugi.

Obserwując wyraz twarzy przyjaciółki, przez moment spodziewała się jednak że ta propozycja spotka się z ostrą odprawą. Ale Sandra dobrze pamiętała, kto ośmielił się skrytykować jej sposób prowadzenia wozu. Teraz zdobyła się na uśmiech, włożyła rękę do torby i wyciągnęła kluczyki.

- Połącz się przez radio i poinformuj wszystkich, żeby byli w biurze o jedenastej - Matt zwrócił

się do Antonia. - Zrobimy piętnastominutową odprawę i podzielimy się dodatkowymi obowiązkami.

Ten kiwnął głową, a potem wziął Sandrę za łokieć.

- Spotkamy się w domu - rzuciła Sandra przez ramię do Carly, idąc z Antoniem.

Carly też kiwnęła głową, a potem pochwyciła zalotne spojrzenie, jakim przyjaciółka obrzuciła Antonia. Przyglądając się jej roztańczo-nym kolczykom i seksownemu sposobowi poruszania się, poczuła nagle ukłucie zazdrości. Porządne, staroświeckie pożądanie bez niepotrzebnych komplikacji sercowych to było coś, czego sama pragnęła doświadczyć.

- Lepiej się czujesz? - Matt spojrzał na nią uważnie.

Pokiwała głową i zdobyła się na słaby uśmiech. Potem, gdy zobaczyła jego ciemne, gorące i pełne troski o nią oczy, wycofała swoje poprzednie życzenie. Samo pożądanie nie mogło się równać z tym, co czuła. A czuła podniecenie od samego patrzenia na niego, zatem musiało to być coś więcej.

Coś takiego jak miłość.

Uświadomiwszy sobie tę prawdę, omal nie jęknęła.

Gdy Matt objął ją i ruszyli w stronę zaparkowanego samochodu, na ulicy rozległ się kolejny klakson. Znowu ktoś machał do nich przez okno ze stojącego na światłach wozu.

- Cześć, Matt, dzięki, że przyszedłeś na spotkanie w szkole w zeszłym tygodniu - zawołał siwy mężczyzna.

Carly przyjrzała mu się i coś sobie przypominała. Czyżby to ... ?

- Miło mi! - odkrzyknął Matt.

- Mnie też! - Mężczyzna pomachał jeszcze raz i odjechał, gdy zmieniły się światła.

- Mój Boże. Czy to był pan Simmons? - zapytała.

- Tak. - Matt uśmiechnął się, doskonale rozumiejąc jej zaskoczenie i całą ironię sytuacji.

Pan Simmons był dyrektorem szkoły średniej w czasach, gdy oboje do niej chodzili. Tak często udzielał Mattowi reprimendy po różnych wyskokach, że chłopak spędzał w jego gabinecie praktycznie każdą przerwę na lunch.

- To zabawne - powiedziała Carly.

- Muszę przyznać, że ja też w najbardziej nawet fantastycznych snach nie przypuszczałem, że zakumpluję się kiedyś z Simple Simonem*.

Przezwiseł, które Matt kiedyś nadał dyrektorowi, na nowo rozśmieszyło Carly, a śmiech sprawił, że poczuła się lepiej.

- Jesteś w tym dobry, prawda? - zapytała, gdy doszli do samochodu.

- W czym?

- W byciu szeryfem.

- Staram się. - Skrzywił się. - Chociaż na dłuższą metę nie jestem dobry w niczym, naprawdę.

- Czyżby? Dlaczego?

Carly zmarszczyła brwi, a Matt otworzył drzwi samochodu i czekał, aż wsiadła. Pokryte sztucznym tworzywem siedzenie było gorące; wewnątrz panował okropny zaduch. Carly pomyślała, że chyba jeszcze nie doszła do siebie po szoku, jaki przeżyła w związku z Annie, bo nie przeszkadzała jej nawet piekielny upał w wozie. Zatopiła się w miękkim fotelu, zapięła pas i poczuła, że wreszcie jest jej ciepło i zniknął chłód, który tak długo trzymał ją w swoich szponach.

Poza tym wiedziała, że Annie wyzdrowieje, i to także pomogło jej odzyskać równowagę.

Wzięła głęboki oddech i z ulgą zauważyła, jak powoli opuszczają przerażenie, towarzyszące jej od

momentu, gdy zobaczyła to biedactwo w konwulsjach na trawie. Miłą odmianą było też rozmyślanie o Matcie jako szeryfie. Ciągłe wydawało jej się, że dobrze go zna, i była to wiedza niemal na poziomie biologicznym, komórkowym,

* Postać naiwnego prostaczka z wierszyka dla dzieci (przyp. red.).

a jednak spora część jego życia pozostała dla niej zagadką: wszystkie te lata, jakie upłynęły od momentu gdy wyjechała, aż do czasu, kiedy tu wróciła.

Matt usiadł za kierownicą.

- Dlaczego? - zapytała ponownie. Położyła głowę na oparciu i patrzyła na niego, rozkoszując się ciepłem, jakie czuła na karku.

Spojrzał na nią, włączył silnik i zaczął wyjeżdżać z parkingu.

- Mam wrażenie, jakbym od dnia swoich narodzin zawsze był za kogoś lub za coś odpowiedzialny. Kiedyś uciekłem, wstąpiłem do piechoty morskiej - posłał Carly kwaśny uśmiech - nadal nie mogę w to uwierzyć, a ty? Uważałem, że wszystko załatwione. Jasne, posyłałem mamie pieniądze, ale czułem się wolny, żyłem po swojemu i całkiem dobrze się bawiłem. Potem mama zmarła, i co miałem robić? Nie było nikogo, kto mógłby się zająć dziewczynkami. Groziło im, że wylądują w domu dziecka. Na litość boską, to przecież moje siostry. Nie poszły do domu dziecka. Wróciłem do Benton. W biurze szeryfa właśnie szukali zastępców, do diabła, zawsze potrzebujemy zastępców, to całe nasze biuro. Tak czy inaczej, zatrudniłem się, pracowałem przez krótki czas jako zastępca, a kiedy szeryf Beaty poszedł na emeryturę, mnie wybrali na jego miejsce. To była niezła fucha, bo mogłem opiekować się dziewczynkami, ale powiedzmy sobie jasno, to nie jest to, co chciałem robić w życiu. Za miesiąc Lissa pojedzie do college'u. Popracuję tu, dopóki nie upewnię się, że jakoś sobie radzi i dopóki wszystkie się nie usamodzielnią, co nastąpi zapewne wtedy, gdy skończy się moja umowa.

Wtedy się stąd zrywam. Wyjadę. Wskoczę na harleya, pojedę w stronę zachodzącego słońca i nie będę się musiał już o nikogo martwić poza sobą.

Mówił to z humorem i łobuzersko się uśmiechał, ale Carly miała wrażenie, że jej serce z trzaskiem rozpadło się na części. Pragnęła go, a on marzył o wolności. Te dwie rzeczy nie dadzą się połączyć. Czy takie miało być jej życie?

Nie chciała, aby się dowiedział, że właśnie zmroził rozkwitający pączek nadziei o szczęśliwej, wspólnej przyszłości.

- A propos harleya - powiedziała, mimochodem starając się zastąpić słodkie marzenia banalną rzeczywistością - gdzie twój motocykl?

- Zaparkowałem go przed twoim domem. Bo musiałem ... mm ... -Przerwał i skrzywił się znowu.

- Musiałeś odwiedzić Shelby? - dokończyła za niego Carly, słodka jak cukierek.

Za oknami mignęło biuro szeryfa i zorientowała się, że jadą w stronę jej domu. Czyżby chciał ją tam zostawić? Nie zamierzała pytać, zanim sama nie ustali, jak się z tym wszystkim czuje. Na przykład z miłością. I seksem. I Mattem.

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Taak. Kto ci powiedział?

_ Jakie to ma znaczenie? - spytała, nie spuszczając wzroku z jego twarzy.

Padające przez przednią szybę promienie zabarwiły szczupłe policzki Matta na złocisty kolor.

Gdy ponownie spojrzął na Carly, w jego oczach można było dostrzec lekki niepokój. Ze swoimi regularnymi rysami twarzy i ciemnymi, nieco rozmarzonymi oczami, z czarnymi, zaczesanymi do góry włosami i zaledwie śladem zarostu na brodzie wyglądał tak bardzo seksownie, że Carly zabrakło tchu w piersi. To był jej Matt, jej przystojny jak diabli Matt, najlepszy przyjaciel, który okazał się wymarzonym kochankiem, chociaż, co sobie uświadomiła z bólem, nigdy nie był jej. A przynajmniej niezupełnie jej, żeby nie wiem jak pragnęła, aby było inaczej. To jej problem, zakochała się w nim tak, jak wtedy, gdy byli bardzo młodzi, i dla niej liczyła się tylko miłość. A Matt nie roztrząsał swojego uczucia do niej. Kochał ją. Tylko po swojemu.

Nie tak jak ona jego.

W sumie wyglądało to dość beznadziejnie. Oczywiście dla niej.

_ Żadnego. Do diabła, nie ma żadnego. Oczywiście, że to nie ma znaczenia. Mogło ci to powiedzieć co najmniej tuzin osób. Tutaj wszyscy wiedzą o wszystkich wszystkim. - W jego głosie brzmiało niezadowolenie. - To prawda, musiałem odwieźć Shelby do domu i pojechaliśmy jej wozem. Upewniłem się, że z nią wszystko w porządku, podskoczyłem do domu, wziąłem radiowóz i przyjechałem do ciebie, tam nikogo nie zastałem, więc zadzwoniłem, aby się dowiedzieć, co się stało, że nagle znikła cała grupa ludzi, a wtedy usłyszałem o twoim psie.

_ I od razu przyjechałeś do weterynarza. - Spojrzała na niego w zamyśleniu. Był przystojny, seksowny, kochała go, pragnęła i ... -Tak.

_ Dlaczego? .. - Może nie będzie miała wszystkiego, czego pragnęła, może nie zwiąże się z nim na całe życie ...

_ Co to znaczy: dlaczego? O co ci chodzi? Myślałem, że pies nie żyje. Myślałem, że będziesz załamana. Myślałem, że się ucieszysz z mojej obecności. - Spojrzął na nią i zmarszczył brwi. -

Uznałem, że będę ci potrzebny.

- Ucieszyłam się, tak. - Ale może mieć przynajmniej trochę tego, o czym marzyła. Był jej i może go mieć, jeśli potrafi zaakceptować fakt, że to sprawa na krótką metę. - Dziękuję ci, że przyszedłeś.

"Pół bochenka chleba jest lepsze niż brak chleba". Jakby słyszała swoją babkę, która ciągle to

powtarzała. Ale czy na pewno tak jest? A może będzie jeszcze bardziej wygłodniała i spragniona tej połowy, której zabrakło?

- Matt?

-Mm?

- Dlaczego właściwie musiałeś odwiedzić Shelby do domu?

Ze spojrzenia, które jej posłał, nie mogła nic wyczytać.

- Była zdenerwowana, wystarczy?

- Jak bardzo zdenerwowana?

Westchnął.

- Płakała. Po prostu płakała. To dla niej trudny okres, musi się pogodzić z tym, że nie jesteśmy już razem. Płakała w samochodzie, ponieważ uważa, że znalazłem sobie nową dziewczynę.

Gdybyś nie wiedziała, chodzi o ciebie.

Carly się skrzywiła. Nigdy nie przypuszczała, że może być jej żal Królowej Wszystkiego, ale tak właśnie było.

- Co jej obiecałeś? Zanim z nią zerwałeś, rzecz jasna? Matt był wyraźnie rozdrażniony.

- Nic. Słuchaj, ja nigdy niczego nie obiecuję. Cokolwiek sobie wyobrażała, to zrodziło się jedynie w jej wyobraźni.

Najsmutniejsze w całej sprawie było, że Matt w to wszystko święcie wierzył. Owa typowo męska tępota sprawiła, że Carly miała ochotę walnąć go w głowę.

- Spałeś z nią, prawda? Posłuchaj więc, ty zakuta pało, dla kobiety to jest jednoznaczne z obietnicą.

- Nie, to nieprawda. Chciała, żebyśmy się pobrali, ale ja nie chciałem. Dobrze wiedziała, co o tym myślę. Nigdy niczego jej nie obiecywałem. Nigdy nie zrobiłem niczego, co pozwoliłoby jej myśleć, że chcę się z nią ożenić.

Poza tym, że się z nią kochał. Carly nie powiedziała tego na głos, ale te słowa rozjarzyły się w jej głowie jak neonowy znak ostrzegawczy.

- I widzisz: znowu to zrobiłeś. Ta sama metoda "całować i uciekać". Przyznaj się. To właśnie robisz. O tym myślałam, kiedy mówiłam, że masz problemy.

- Czy jeżeli ktoś nie chce się żenić, to znaczy, że ma problemy? - był wyraźnie zirytowany.

- Za każdym razem, gdy zaczynasz się angażować, tchórzysz i uciekasz.

- Nie tchórzę.

_ Ależ tak, boisz się. Wykorzystałeś w ten sposób Shelby. Wykorzystałeś mnie już dwa razy.

Nie wiem, ile jeszcze wykorzystałeś w ten sposób innych, biednych, niczego niepodważających kobiet. - Rzuciła mu groźne spojrzenie. - Powiedz mi jedną rzecz. Co właściwie sobie wyobrażałeś, gdy proponowałeś mi przejażdżkę motorem?

_ Chciałem zaprosić cię na kolację. - Spojrzał na Carly i uśmiechnął się ze skruchą. - No dobrze, chciałem zabrać cię na kolację, a potem pójść z tobą do łóżka. Chociaż gdy teraz o tym myślę, uważam, że to nie jest najlepszy pomysł. Przynajmniej ta część z łóżkiem.

Przez chwilę oboje milczeli. Carly rozważała na nowo całą sytuację. Ten facet miał problemy, to jasne. Miał kompleksy. Tylko jakaś idiotka albo masochistka zdecydowałaby się na romantyczną przygodę z Mattem. Powinien nosić na szyi wielki napis: "Niebezpieczeństwo", aby ostrzegał

wszystkie nieświadome kobiety. Jedyne, co był w stanie im zaoferować, to pół bochenka.

Seks. Pewnie wspaniały seks. Ale nic więcej. Kilka nocy i dziękuję pani. Następna!

Ale to był Matt, którego kochała prawie przez całe życie i niemal tak samo długo go pragnęła.

Każdemu innemu powiedziałaaby, aby zabierał tę swoją połowę bochenka i spadał. Ale gdy chodziło o Matta, pomyślała, że jej babka na pewno wiedziała, co mówiła.

_ Zaspokój moją ciekawość - zapytała grzecznie - i wyjaśnij mi, dlaczego kolacja i łóżko to zły pomysł? A raczej, czemu teraz uważasz, że to zły pomysł, a wcześniej tak nie myślałeś?

Przecież wdrapałeś się po drabinie aż na sam dach, całowałeś mnie koło komina i zaproponowałeś mi randkę. Z własnej woli. Nikt nie trzymał ci pistoletu przy głowie.

Nadal jechali na zachód w stronę jej domu. Stanęli na ostatnich światłach na przedmieściu Benton. Słońce świeciło im prosto w twarze. Matt opuścił klapkę na przedniej szybie, aby osłonić oczy, Carly zrobiła to samo. Osłona była konieczna, a nawet wskazana, ale Carly wydawało się, że zrobił to, aby zyskać na czasie. Odniosła też wrażenie, że zastanawiał się, do jakiego stopnia może pozwolić sobie na szczerłość.

- Posłuchaj, Curls - odezwał się w końcu.

Uznała, że skłaniał się do powiedzenia całej prawdy, i pragnęła, jak przy wielu poprzednich okazjach, aby nie znali się aż tak dobrze, że taka możliwość w ogóle wchodziła w grę. Czasami korzystniej byłoby zachować wobec kogoś pewne złudzenia.

- Sprawa wygląda tak: czasami faceci myślą fiutami. Gdybyś trzymała się ode mnie z daleka, wszystko byłoby w porządku, zostalibyśmy po prostu przyjaciółmi, ale tak się nie stało, wylałaś mi

na głowę lemoniadę, aja cię pocałowałem i teraz już niejest dobrze. To znaczy, że mną nie jest dobrze. Tak bardzo chcę się z tobą przespać, że od chwili gdy mnie kopnęłaś i uciekłaś z biura, chodzę z erekcją. Ty też masz na to ochotę, wiem o tym. A więc ja cię pragnę i ty pra-

gniesz mnie. Gdy zaprosiłem cię na randkę, myślałem, że może to zrobimy, pójdziemy na kolację, a potem do łóżka i zobaczymy, co z tego będzie. Muszę jednak przyznać, że miałaś rację z tym "całować i uciekać". Zawsze, kiedy widzę, że kobieta się angażuje, po prostu daję nogę. A kobiety czują się wtedy zranione. - Spojrzał na nią. - Nie chcę, aby z tobą też tak było. Dlatego pomysł z łóżkiem nie jest dobry. To, czego ja chcę, i to, o czym ty myślisz, to dwie różne sprawy.

- Czyżby?

Carly obserwowała grę światła i cieni na jego twarzy, gdy samoczynnie ruszył ze skrzyżowania, i zastanawiała się gorączkowo. Musi jej wystarczyć połowa bochenka, niech się dzieje, co chce.

- Tak. Sprawa jest prosta: ja chcę seksu, a ty chcesz miłości, męża, dzieci i związku do końca życia. - Popatrzył na nią i musiał zauważyć w twarzy Carly coś, co kazało mu podejrzewać, że nie zgadzała się z nim, potrząsnął więc głową. - Nawet nie próbuj się ze mną sprzeczać. Wiem, o czym myślisz. - Prychnął ze złością. - Kocham cię jak własną siostrę i pragnę cię tak bardzo, że jedna połowa mnie uważa, że jestem cholernym idiotą, mówiąc ci to, ale nie potrafię związać się z kimś na zawsze. Nawet z tobą, nie potrafię.

- Czy prosiłam cię o to? - Carly starała się nie skrzywić, słysząc słowa o "siostrze". Z pełną determinacją postanowiła odwołać się do rozpustnej strony swojej natury. - Nie chodzi mi o "na zawsze". Ja już to przerobiłam. Chyba zapominasz, że jestem starsza i mądrzejsza niż kiedyś.

Jestem już dorosła. Mam za sobą małżeństwo i rozwód. I teraz chcę dokładnie tego samego, co ty: wspaniałego seksu bez zobowiązań.

I nawet jeżeli w tym samym czasie mocno skrzyżowała palce za plecami, nie musiał o tym wiedzieć.

- Guzik prawda.

Powiedział to zupełnie spokojnie. Jego spokój świadczył o tym, że jej nie uwierzył. Uświadomiła sobie, że oszukiwanie mężczyzny, który znał ją tak dobrze jak Matt, nie może być łatwe.

- No to mnie wypróbuj.

Rzucił jej sceptyczne spojrzenie.

- Nic z tego, Curls.

Nie mogła uwierzyć, że w gruncie rzeczy namawia tego faceta, żeby się z nią przespał. Czyjeś priorytety zdecydowanie nie były na właściwym miejscu.

_ Na litość boską, Matt, rusz głową. Dopiero kilka miesięcy temu dostałam rozwód. Czemu, do cholery, miałabym chcieć ponownie wychodzić za mąż? Tamten raz wystarczył, abym przestała ufać instytucji małżeństwa, wierz mi.

W jego spojrzeniu pojawiło się pewne zainteresowanie.

- Naprawdę?

_ Tak - powiedziała, patrząc na kościół baptystów, który mijali z lewej strony.

Jeśli nie zaczniesz szybciej myśleć, za niecałe pięć minut będą u niej w domu.

_ Wiesz co, umieram z głodu. Może jednak zaprosisz mnie na kolację, a ja opowiem ci przy jedzeniu wszystko o moim potwornym, złym, nieudanym małżeństwie.

- Nie - powiedział.

_ Nie? - powtórzyła Carly, czując narastającą złość. - Co znaczy: nie?

_ Kochanie, czy myślisz, że jestem aż taki niedoświadczony, żeby nie wiedzieć, kiedy kobieta chce mnie zaciągnąć do łóżka?

Carly wlepiła w niego pałający wzrok.

_ Czy ty przypadkiem nie jesteś zbyt zarozumiały, Matcie Converse?

_ Chcesz, żebym uwierzył, że nie starasz się mnie namówić na seks?

Carly wydeła usta. Za dobrze ją znał.

_ No dobrze, może i tak - przyznała. Wzięła głęboki oddech i wyrzuciła z siebie: - Cholera, Matt,

od dwóch lat z nikim nie spałam.

Rzucił jej szybkie spojrzenie, a potem skupił się na prowadzeniu radiowozu, ponieważ droga stała się teraz bardziej wyboista i kręta. Widziała, jak zacisnął szczęki i przełożył nogę z gazu na hamulec. Samochód zwolnił, a Carly starała się nie dać po sobie poznać uczucia ulgi, gdy stanęli na poboczu.

- W porządku - powiedział, gdy zaparkował wóz, poluzował pas i odwrócił się, aby lepiej ją widzieć.

Zachodzące słońce złociło czubki kukurydzy, która rosła przy drodze, i trawę na pastwisku z drugiej strony szosy, rozjaśniało ciemne płoty, szosę i twarz Matta. Patrzył na Carly, mrużąc powieki; usta miał zaciśnięte i można było z nich wyczytać niedowierzanie. W jego oczach jednak pojawił się błysk, a znała Matta na tyle dobrze, aby rozpoznać przyczynę: pożądanie.

Mógł z tym walczyć, ale jej pragnął. Serce zaczęło jej bić szybciej.

- Chcesz to ze mną zrobić po raz drugi? - zapytał.

- No wiesz, wprawiasz mnie w zakłopotanie.

Zmarszczył brwi.

- Jeżeli jesteś zakłopotana, nie powinnaś poruszać tego tematu. Jak to się stało, że nie spałaś z nikim przez dwa lata?

- Właściwie dłużej niż dwa - sprecyzowała uczciwie Carly.

- Curls ...

W jego głosie zabrzmiała nuta ostrzeżenia.

Carly spojrzała daleko przed siebie, ponad wąską, czarną drogę wijącą się wśród pól, drzew i wzgórz, a potem wytarła nagle spocone dłonie o opinające jej uda dzinsy. Zwykle nie rozmawiała z mężczyznami o seksie, a zwierzenia na tak osobisty temat, nawet jeśli słuchał ich Matt, naprawdę wprawiały ją w zakłopotanie, chociaż nie miała przed nim żadnych sekretów. Sprawa jest jednak tego warta, uznała, i z tą myślą skrzyżowała ręce na piersiach, patrząc na niego.

- A co myślisz? Po prostu nie miałam z kim iść do łóżka.

Jego spojrzenie mówiło wiele.

Carly poczuła się urażona.

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale nie sypiam z kim popadnie. Spojrzał na nią ciepłej.

- No tak, w to akurat wierzę.

Wyciągnął rękę i dotknął włosów Carly. Gdy owijał sobie wokół palca jasny kosmyk, odrzuciła głowę. Matt uśmiechnął się. Carly przypomniała sobie, że odkąd miała osiem lat, wymyślała różne warianty tego scenariusza.

_ A co z twoim mężem? Powiedziałaś, że rozwiodłaś się kilka miesięcy temu.

_ Miał dziewczynę. - Jej głos zabrzmiał głucho. - Zajęło mi trochę czasu, zanim się zorientowałam, co się święci. Nie sypialiśmy ze sobą, ale myślałam, że jest zapracowany, zestresowany albo coś innego. Coś, co sprawia, że faceci nie chcą łądować w łóżku trzy razy dziennie. Poza tym byłam zajęta swoją pracą - wiesz, że miałam restaurację, Treehouse. - Matt kiwnął głową; Carly zbyt dobrze знаła plotkarskie możliwości Benton, aby się zdziwić. - No wiesz, prowadzenie takiego interesu to ciężka robota i... właściwie nie miałam ochoty na seks. Nie miałam na to czasu, byłam zestresowana. Prawda jest taka, że za bardzo pochłaniała mnie praca, żebym się mogła zastanawiać nad kondycją naszego małżeństwa. Nawet gdy się zorientowałam, że coś jest nie tak, nie przypuszczałam, że John mnie oszukuje. Nie wiedziałam tego aż do chwili, gdy wróciłam wcześniej do domu i zastałam go w łóżku z dziewczyną•

- Brzmi fatalnie.

Widziała w jego oczach współczucie.

_ To było fatalne. - Carly zaczerpnęła powietrza. - Po prostu okropne.

_ Chcesz, żebym pojechał do Chicago i dał w dziób temu palantowi?

Powiedział to nonszalanckim tonem, ale Carly wiedziała, że to nie jest tylko żart. Patrząc na Matta, na jego szerokie plecy, silny kark i potężne mięśnie na ramionach, na jego ciało tak bardzo pociągające w opiętym i podniszczonym t-shirtcie, Carly przypomniała sobie nagle chudego Johna, intelektualistę w okularach, i uznała, że żadna fizyczna konfrontacja nie wchodzi w grę. Na twarzy Matta wciąż błąkał się uśmieszek, ale jego oczy patrzyły poważnie. Carly była pewna, że gdyby rzeczywiście chciała ukarać Johna, wystarczyłoby jedno jej słowo ..

_ Zrobiłbyś to, prawda? - W jej głosie brzmiał podziw pomieszany z naganą•

- Jasne.

_ Mój ty bohaterze - powiedziała tak samo, jak w czasach, gdy razem dorastali, starając się, aby to zabrzmiało lekko, i mrugając rzęsami w teatralnej adoracji.

Wtedy chodziło o żart. Tym razem jednak każde słowo było prawdziwe.

- Zawsze do usług.

Jego głos zabrzmiał sucho. Te słowa były zwyczajną grzeczną odpowiedzią, ale w oczach Matta dostrzegła coś zupełnie nowego.

Wstrzymała na moment oddech.

Nagle pojawiło się między nimi niemal wyczuwalne napięcie, coś, co ich połączyło, gwałtowny podmuch gorąca. Matt nadal siedział na swoim miejscu, a ona na swoim, ale przestrzeń, w której się znajdowali, wydała się naraz dużo mniejsza, odległość między nimi się skurczyła, jakby to, co oddzielało ich od siebie, nagle wyparowało.

- Coś ci powiem - odezwał się Matt, nie spuszczać z niej spojrzenia. - Uważam, że twój były mąż to pieprzony idiota.

- No cóż - westchnęła i uśmiechnęła się, ponieważ to także było dla niego typowe.

Zawsze jej bronił, gdy ktoś próbował ją zaSzepiać w szkole lub gdzie indziej, aż wszyscy szkolni koledzy i znajomi przekonali się, że kontakty z Carly mogły się skończyć konfrontacją z Mattern, i stopniowo w ogóle przestawali się nią interesować. To było dziwne, a nawet cudowne uczucie znowu mieć w nim obrońcę - zwłaszcza gdy Carly nagle uświadomiła sobie, że już przywykła, może aż za bardzo, do załatwiania swoich problemów samodzielnie.

- Ja też tak myślę - dodała.

Popatrzył na nią przeciągle bez słowa, a potem warknął: "Do diabła z tym" nagle ochryłym głosem i pochylił się w jej stronę. Carly zarzuciła mu ręce na szyję i spojrzała na niego nieprzytomnie, gdy ujął jej twarz w dłonie i zaczął szukać ust. Zamknęła oczy, kiedy jego wargi dotknęły jej ust, mocno i zdecydowanie. Potem namiętnie odwzajemniła pocałunek i fala gorąca przeniknęła całe jej ciało.

Dwa głośne dźwięki klaksonu odrzuciły ich od siebie. Carly, ciężko oddychając, nadal oszołomiona i na wpół przytomna, niepewna nawet, czy rzeczywiście coś usłyszała, rozejrzała się w porę, aby zauważyć przejeżdżający obok inny radiowóz z biura szeryfa. Zanim zniknął za najbliższym zakrętem, zobaczyła, że kierowca pomachał im radośnie.

- Cholera - rzucił Matt, patrząc za znikającym autem.

On także ciężko oddychał. Nadal trzymał w dłoniach twarz Carly, a ona wciąż obejmowała go za szyję. Zauważyła, że w złocistych promieniach zachodzącego słońca jego oczy są prawie czarne, a skóra wydaje się niemal brązowa. Światło wydobywało każdą, najmniejszą nawet zmarszczkę wokół oczu i uwydatniało niewielką bliznę na wardze. Carly cały czas pamiętała, że Matt, który przed chwilą ją całował, jest już dorosły. Tamten dawny chłopiec nadal gdzieś w nim tkwił, ale ukryty pod warstwami doświadczeń, o których ona nic nie wiedziała.

Ta myśl ze wszystkimi najrozmaitszymi skojarzeniami była tak erotyczna, że usta Carly stały się suche, mięśnie kurczowo się zacisnęły, a piersi w jedwabnym staniku nabrzmiały i stwardniały.

Musiła wydać jakiś cichy jęk, ponieważ Matt ponownie ją pocałował, mocno i gorąco, tak namiętnie, że straciła głowę. Odpowiedziała z żarłoczną gwałtownością, nie dbając o to, że ktoś znowu mógł przejeżdżać obok i ich zobaczyć, co z pewnością wywołałoby plotki i byłoby tematem rozmów w mieście przez miesiące lub nawet lata. Nie martwiła się tym, że jeżeli nie przestaną, mogą

zostać oskarżeni o nieprzystojne zachowanie w miejscu publicznym, a mogłoby do tego dojść, gdyby Matt nie był szeryfem, to zaś oczywiście dodaliby pi-kanteri plotkom.

_ No dobrze, starczy - powiedział niskim, głuchym głosem, odrywając usta od jej warg.

Stanowczym ruchem odsunął ręce Carly i oparł ją o fotel.

- Matt...

Nie była w stanie opanować drżenia w głosie.

_ Nie jesteśmy małolatami i nie jest jeszcze ciemno. I nie powinniśmy tego robić przy drodze w oznakowanym samochodzie. - Ode-chnął głęboko, poprawił się na siedzeniu, położył dłonie na kierow-nicy i oparł na nich czoło. - Równie dobrze moglibyśmy sprzedawać bilety.

Miał rację i Carly dobrze o tym wiedziała, co nie zmniejszyło jej pożądanja.

- Zapnij pas - powiedział po chwili, podnosząc głowę. Spojrzenie Matta nadal było gorące, a oczy ciemne z namiętności, ale widziała po jego ustach, że całkowicie już się kontrolował.

Nieco rozczarowana -lubiła sobie wyobrazać, że przy niej tracił kontrolę nad sobą - zapięła pas, a Matt ruszył i wykonując szybki, sprawny i niedozwolony skręt, zawrócił w kierunku miasta. Carly poczuła suchość w ustach i szybsze bicie serca na myśl o tym, jak mógłby wyglądać seks z Mattem. Dwanaście lat temu, gdy zdecydowała się zrobić to z nim do końca, była niedoświadczoną dziewczyną, a on miał zaledwie dwadzieścia jeden lat. Ale ziemia wciąż się koły-sała, niebo eksplodowało, serce Carly już do niej nie należało, a cia-ło zostało na zawsze oznakowane i należało do niego.

Ponieważ to był Matt i ponieważ wtedy kochała go taką samą szaloną miłością jak teraz.

Nie zamierzała mu tego mówić. Nie teraz, a może w ogóle nigdy.

- Jesteś głodna?

Rzucił jej szybkie spojrzenie spod przymrużonych powiek. Pokrę-ciła głową, wiedząc, że miał na myśli naprawdę jedzenie. W jego oczach zobaczyła ten sam gorący, ciemny blask, od którego zadrza-ła, udało jej się jednak zachować spokój, a przynajmniej miała taką nadzieję. Nie, Matta nie można było łatwo oszukać. Dobrze wiedział, jak bardzo go pragnęła.

- Tylko seks, bez zobowiązań - powiedział, patrząc na nią twardo.

- Oczywiście - potwierdziła, chociaż w myślach znowu skrzyżowała palce, a serce zaczęło jej mocniej lć.

Skinął głową, niemal groźnie.

- Dokąd jedziemy? - zapytała po kilku minutach, gdy skręcił na drogę, która nie prowadziła do

centrum miasta.

Była zadowolona, że jej głos zabrzmiał tak spokojnie, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że jej zmysły wprost szalały w oczekiwaniu na seks z Mattem. Ale dokąd jechali? Jej dom przypominał teraz dworzec kolejowy, a u niego sytuacja nie była lepsza. Biuro szeryfa też nie wchodziło w grę.

Hotel? W Benton go nie było. A nawet gdyby był, to nie wyobrażała sobie, że wchodzi tam z szeryfem, którego wszyscy znają. Nim zdążyliby zamknąć drzwi od pokoju, całe miasto stałoby już pod oknem z lornetkami.

Nigdy przedtem nie zdawała sobie z tego sprawy, ale teraz dotarło to do niej z całą wyrazistością: małe miasteczko to prawdziwe piekło, gdy chodzi o życie seksualne jego mieszkańców.

Matt spojrział na nią.

- Mam łódź. Trzymam ją w wynajętym garażu. Tak się złożyło, że jest nad nim mały pokój, który także wynajmuję.

Ta zaskakująca informacja skojarzyła jej się z tym, co powiedziała Lissa - że Matt nigdy nie przyprawdzał dziewczyn do domu. Carly nagle doznała olśnienia: Matt uznał, że życie erotyczne samotnego szeryfa z małego miasteczka, który mieszkał razem z trzema siostrami, może stwarzać pewne trudności, i postanowił znaleźć jakieś rozwiązanie. Pokój nad garażem to całkiem niezły pomysł.

Rozmyślając o tym, odkryła, że jest zazdrosna o jego dotychczasowe życie seksualne. Aż do momentu, gdy sama stanie się jego elementem.

- Co za wygoda - powiedziała, aby dać Mattowi do zrozumienia, że nie tylko on potrafi czytać w myślach.

Uśmiechnął się do niej.

Garaż znajdował się w miejscu zabudowanym blokami, magazynami i niewielkimi hurtowniami rozrzuconymi na opustoszałym terenie, gdzie widać też było liczne kontenery na śmiecie i zardzewiałe, metalowe płoty. Matt wjechał na krótką, żwirowaną drogę, która dochodziła do niewysokiego, parterowego budynku z podwyższonym dachem, obłożonego szarymi, aluminiowymi płytami. Carly domyśliła się, że to cel ich wyprawy - garaż, wyglądający jak część przybudówki jakiegoś domu, który już nie istniał. Cokolwiek stało się z tym budynkiem, na zarośniętym chwastami podwórku pozostał tylko garaż. Matt najwyraźniej nie zamierzał

skorzystać z pilota, którym zwykle otwiera się tego typu podnoszone drzwi. Wszedł z auta i pociągnął je w górę. Carly rozglądała się tymczasem dookoła. Nieco dalej przy tej samej ulicy, obok kilku stojących po sąsiedzku magazynów, zobaczyła zaparkowaną furgonetkę, ale w zasięgu wzroku nie dostrzegła żywej duszy. Jeżeli będą mieli szczęście, nikt w miasteczku się nie dowie, że Matt przywiózł ją do opustoszałego garażu w celu, o którym ludzie mogliby plotkować przez długi czas.

Matt wrócił do samochodu i wprowadził go do garażu. Potem wysiadł, aby zamknąć drzwi. Carly też wysiadła i nagle, ku własnemu zaskoczeniu, odkryła, że ogarnęło ją absurdalne zdenerwowanie na myśl o tym, co miało nastąpić.

Gdyby zrobili to w samochodzie, kiedy oboje byli tak bardzo podnieceni, nie musiałyby odsuwać teraz dźwięczących jej w głowie słów Sandry i ostrzeżeń, że znowu pakuje się w kłopoty sercowe.

Wbrew radom różnych specjalistów Carly uznała, że nie zawsze jest dobrze, gdy ma się zbyt dużo czasu na przemyślenie ważnych decyzji.

Matt z łoskotem zasunął wrota. Zapalił światło, więc nawet przy zamkniętych drzwiach Carly mogła zauważyć, że wewnątrz było obłaskawione, nawet jak na garaż. W środku panował zaduch typowy dla nieużywanych w czasie letnich upałów pomieszczeń, i czuło się zapach benzyny.

Betonowa podłoga była popękana i miejscami nierówna, a ściany obite surowymi deskami. Sufit wspierały belki ułożone przez całą długość garażu, a wzdłuż nich ciągnęły się kable elektryczne i białe rury. Światło dawała pojedyncza goła żarówka. Przy jednej ze ścian Carly zauważyła drewniane schody, które prowadziły do kłapy w suficie. Domyśliła się, że tam właśnie znajduje się pokój Matta.

Miała nadzieję, że prezentował się lepiej niż garaż. Chociaż nie miało to, oczywiście, większego znaczenia. Będą z niego korzystać tylko przez krótki czas, tylko tak długo, jak ...

Na myśl o tym, w jakim celu będą go używać, Carly poczuła trzępotanie motyli skrzydeł w żołądku.

- Jak ci się podoba moja łódź?

Nie zauważyła, gdy Matt do niej podszedł, i na dźwięk jego głosu aż podskoczyła. Patrzył z dumą na łódź długości ponad czterech metrów.

- Jest piękna - powiedziała, chociaż zauważyła jedynie, że była to rzeczywiście łódź pomalowana na białe.

Matt przyjrzał się Carly bacznie, a ona znowu przypomniała sobie, że znał ją na tyle długo, aby się domyślić, co chodziło jej po głowie.

- No dobra, Curls, wywal to z siebie. - Jego głos brzmiał sucho. Carly zwróciła uwagę, że nawet jej nie dotknął. Włożył ręce do kieszeni spodni i kołysał się lekko na piętach, studiując jej twarz.

Stał tak blisko, że po raz kolejny przekonała się, iż czubkiem głowy nie sięga nawet do jego podbródka, a jego ramiona były dwa razy szersze niż jej, bez trudu więc mógłby ją złapać pod pachę i zanieść, gdziekolwiek by chciał.

- Słucham?

Jeżeli ton jej głosu zabrzmiał defensywnie, nic na to nie mogła poradzić. W ustach jej zaschło, serce

waliło jak oszalałe, a motyle w żołądku mogłyby zawstydzić powietrznymi akrobacjami nawet Błękitne Anioły.

- Jeżeli stchórzyłaś, to powiedz. To w stu procentach twoja decyzja.

- Oczywiście, że nie stchórzyłam.

Po tym, jak bardzo się napracowała, aby do tego doprowadzić?

W żadnym wypadku. Była tylko, dość nieoczekiwanie, trochę skrępowana, to wszystko.

- To przestań patrzeć na mnie tak, jakbym był seryjnym mordercą. Aż jęknęła, słysząc ten niesmaczny żart. Matt uśmiechnął się, wziął ją za rękę i pocałował, a potem spojrzał na nią tak, że kolana zrobiły jej się miękkie jak z waty i nagle całe zdenerwowanie minęło. Może była jeszcze trochę niespokojna, ale w przyjemny sposób.

Cudowny, wiele obiecujący niepokój.

Na szczęście Matt ruszył w stronę schodów, prowadząc ją za sobą. Starając się opanować drżenie kolan i łomotanie serca, Carly weeszła za nim na maleńki, chwiejący się podest, na którym nieostrożne dusze chroniła od upadku na betonową podłogę garażu jedynie prowizoryczna balustradka z drewnianej kantówki zbitej gwoździami. Było tam ciemno, w powietrzu unosił się kurz. Carly nie mogła zapanować nad nerwami. Bała się, że Matt zauważy, jak bardzo jest roztrzęsiona, i w ostatniej chwili jeszcze się rozmyśli, gdy więc wyciągnął do niej rękę, zmusiła się do słabego uśmiechu.

Cokolwiek miałyby z tego wyniknąć, chcę to zrobić, powtarzała sobie w duchu. Zrobi to. Pragnie przeżyć z Mattem wspaniały seks.

Nad sprawą zobowiązań zastanowi się później.

Wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i odsunął się, aby mogła wejść.

Carly wzięła głęboki oddech i zrobiła krok naprzód.

Pomieszczenie było niewielkie, składało się z prostokątnego pokoju, łazienki i małego aneksu kuchennego. Carly zobaczyła to wszystko od razu, gdy tylko przestąpiła próg, a Matt zamknął za nią drzwi. Nie zapalił światła, chociaż kontakt był tuż obok. Nie miała wątpliwości, że zrobił to świadomie, i znowu ugięły się pod nią kolana. Udało jej się jakoś zapanować nad sobą i próbowała nie zwracać uwagi na to, że stali w przytulnym półmroku, gdyż jedyne światło wpadało do środka przez szpary w zasłonach. Powietrze było przyjemnie chłodne dzięki hotelowemu urządzeniu klimatyzacyjnemu zainstalowanemu na ścianie. Na podłodze leżał

zwyczajny, beżowy dywan. Umeblowanie było bardzo funkcjonalne, składało się z wielkiego fotela, który wyglądał jak kuzyn tych dwóch szkaradziejstw z domu Matta, oraz zniszczonej, brązowej kanapy, stolika, lampy i telewizora, a wszystko to zostało zgrupowane w połowie pokoju przy drzwiach. Drugą część zajmowało łóżko królewskich rozmiarów. Gdy Carly je zobaczyła, poczuła się tak stremowana, że bała się ponownie na nie spojrzeć. Czy przykrywała je futrzana narzuta? A może jakieś gumowe płachty? I czy są kajdanki, przytwierdzone do ciemnego wezgłowia?

Oto kawalerskie gniazdko. Jaskinia grzechu. Miejsce odpowiednie do wieczornych igraszek miłosnych. Kto wie, do czego Matt był tutaj zdolny?

Carly uświadomiła sobie ze zgrozą i zarazem fascynacją, że nie miała pojęcia, co dorosły Matt szeryf lubił robić w łóżku.

- Cholera, zapomniałem czegoś - odezwał się nagle.

Stał tuż za nią i Cady z ulgą odwróciła się do niego zadowolona, że nie musi patrzeć na łóżko.

Tak było przynajmniej przez chwilę, dopóki nie zauważyła, że Matt wyglądał niesamowicie seksownie, a w jego oczach dostrzegła Jozbawienie i jeszcze coś - pożądanie. Pragnął jej.

- Czego?

- Zostawiłem w domu bicz i kajdanki.

Przez chwilę milczała, a potem zmrużyła oczy.

- To wcale nie było zabawne.

Nie mogła jednak powstrzymać uśmiechu. I wtedy opadło z niej prawie całe zdenerwowanie. Bez wątplenia był wysokim, dobrze zbudowanym przystojniakiem, o jakim marzą kobiety, ale to przecież Matt. Matt o opiekuńczych instynktach, lubiący pożartować i czytający w jej myślach jak w otwartej księdze. Jej Matt!

Jeżeli się okaże, że w łóżku jest perwersyjny, będzie musiała się dostosować.

Uśmiechnął się kwaśno i wziął ją za rękę. Jego dłoń była ciepła, silna i znajoma, a Cady schwyciła

się jej jak tonący liny i pozwoliła poprowadzić się w stronę łóżka. Gdy zatrzymali się przed nim i Matt odwrócił się do niej, palce miała mocno splecione z jego palcami, a serce biło jej jak oszalałe. Na samą myśl o tym, jaki będzie jego następny ruch, ogarnęło ją podniecenie.

Teraz pewnie się rozbiorą i...

- Spójrz tutaj - powiedział.

Oczywiście, pewnie jakaś perwersja. No dobrze, była na to przygotowana. Jeśli chce się z nią kochać, kiedy będzie patrzyła w górę, może to zrobić.

Spojrzała do góry i czekała. Zobaczyła nieco popękane białe płytki na suficie. W rogu wisiała pajęczyna. Dzięki Bogu nie ma pająka, pomyślała z ulgą. Ponieważ nic się nie działo, znudziło jej się czekanie i spojrzała na Matta. Obserwował ją z tym swoim kwaśnym uśmiechem. Łóżko, przykryte najzupełniej normalną kapą w brązowej tonacji z azteckim wzorem, zajmowało w pokoju tyle miejsca, co słoń. Było tuż obok, tak blisko, że Cady właściwie dotykała go nogami, chociaż robiła, co mogła, aby tego nie czuć.

- Więc? - zapytała.

- Nie ma lustra. Nie ma kamery. Żadnych urządzeń do podglądania. Żadnych perwersji. -

Uśmiechnął się do niej i pokręcił głową. -Jezu, masz brudne myśli.

Nagle poczuła się zakłopotana.

- Nigdy nie myślałam ...

- Oczywiście, że myślałaś. - Puścił do niej oko. Wziął ją za drugą rękę i teraz ścisnął już obie. -

Żeby nie było wątpliwości, oglądam tu głównie sportowe programy w telewizji. W domu nie mam chwili spokoju.

Cady popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- To prawda.

To było miłe kłamstwo dżentelmena, ale czy wynajmowałby mieszkanie nad garażem tylko po to, aby oglądać sport?

- Zresztą - dodał - dłuższy czas już tu nie byłem.

W to akurat uwierzyła. Zdążyła już zauważyć warstwę kurzu na drewnianych meblach.

- To dobrze - powiedziała, zanim zdążyła się zastanowić, jak to mogło zabrzmieć.

Czy objawienie satysfakcji z ewidentnej przerwy w życiu seksualnym Matta szło w parze z jej deklaracją ochoty na wspianiały seks bez zobowiązań? Kto to wie? I kto miałby teraz na tyle spokojną głowę, aby się nad tym zastanawiać?

Z pewnością nie ona. To łóżko nie dawało jej spokoju. W każdej chwili mógł ją na nie rzucić i ... N
a samą myśl o tym, co mogło się stać później, jej ciało najpierw zrobiło się sztywne, a potem zaczęło drzeć. - W porządku - powiedziała, zdecydowana zacząć to, zanim się rozmyśli albo on się wycofa, albo sufit się zawali lub stanie się jeszcze coś innego, co im przeszkodzi. - Jak zamierzasz to zrobić?
- zapytała.

Właśnie w tym momencie podnosił do ust jej rękę. Przerwał, spojrzał na Cady i zanim zaczął całować wewnątrz jej dłoni, czarująco się uśmiechnął. Patrzyła zafascynowana, jak odwrócił jej rękę i dotknął ustami skóry. Czowała jego oddech, drapanie świeżego zarostu, który ocieniał mu brodę, wilgotne ciepło jego warg, a wszystkie te wrażenia kumulowały się w jej ciele.

,Wzięła głęboki oddech, bo drzenie narastało.

- Nie wiem. - Powiedział to tak, jakby rzeczywiście poważnie się nad tym zastanawiał, a potem położył obie jej dłonie na swoich ramionach, objął ją w pasie i przysunął do siebie.

Cady nadal widziała w jego oczach wesołe iskierki, ale gdzieś w głębi zapalał się już płomień, a jego usta zrobiły się tak zmysłowe, że serce mocniej jej zabiło.

- Myślałem, że może zdjąłbym ci koszulkę, a potem ty zdjęłabyś moją, a potem zdjąłbym twoje spodnie, a ty zdjęłabyś moje ... coś w tym guście.

Czowała, jak jej piersi nabrzmiwiają, a oddech staje się szybszy.

- Brzmi nieźle - powiedziała drżącym głosem.

Pomyślała zaś, że to największy banał roku. "Brzmi nieźle" - wyjątkowo głupia odpowiedź w takiej sytuacji.

- Czy możesz zaspokoić moją ciekawość - zapytał, gdy jego palce wślizgnęły się pod jej t-shirt i zaczęły piąć się ku górze - i wyjaśnić, dlaczego włożyłaś koszulkę na lewą stronę?

- O Boże.

Carly spojrzała na siebie, ledwo zdolna do racjonalnego myślenia, kiedy jego ciepłe dłonie przesuwały się w górę po jej brzuchu, powyżej żeber i zbliżały się powoli, lecz nieubłaganie do nabrzmiwionych piersi, odsłaniając przy tym coraz więcej ciała. Tak, włożyła t-shirt na lewą stronę.

Na granatowym tle nie widać było wyszywanych motyli, zwisało za to mnóstwo króciutkich nitek w kolorach czerwonym, różowym i zielonym. Ubierała się tak szybko, że tego nie zauważyła, zresztą wówczas nie dbała o to, ponieważ ...

- Annie. Spieszyłam się, aby ratować Annie.

- Słyszałaś, co mówił Bart. Wyzdrowieje.

Powiedział to niskim, ochryplym głosem, a gdy podniosła głowę, w jego oczach zobaczyła płonący, mroczny ogień.

- Wiem.

Jego ręce dotarły wreszcie do jej piersi, zakryły je, zaczęły pieścić i głaskać. To było niezwykle uczucie, nawet pomimo cienkiego, koronkowego staniczka, który miała na sobie. Westchnęła i zadrżała. W odpowiedzi na to oczy Matta zapłonęły, pochylił się i pocałował ją delikatnie, ale namiętnie, a Carly wczepiła paznokcie w jego ramię, podczas gdy jego palce coraz mocniej pieściły jej sutek. Jeżeli chciał w ten sposób zatrzeć jej złe wspomnienia, a Cady była pewna, że częściowo właśnie o to chodziło, znakomicie mu się udało. Zdecydowanie osiągnął swój cel.

Kiedy przerwał pocałunek, aby ściągnąć z niej t-shirt, kręciło jej się w głowie i czuła, że kolana znowu majak z waty. Była tak bardzo oszołomiona, podekscytowana i słaba, że dopiero po jego spojrzeniu utkwionym w jej piersiach zdała sobie sprawę, że stoi przed nim tylko w dżinsach i staniku.

Był z czarnej koronki, właśnie taki, jaki zawsze pragnęła włożyć na tę okoliczność. Pod spodniami miała wycięte figi do kompletu, które wyjęła z szuflady, gdy usłyszała wołanie Antonia. Ubierała się w błyskawicznym tempie w to, co miała pod ręką - na szczęście była to seksowna bielizna, naszykowana, aby olśnić Matta.

Zdaje się, że stanik spełnił swoje zadanie.

- Ładny - powiedział Matt, przesuwając palcem wskazującym po głęboko wyciętych miseczkach.

Oczy mu płonęły, gdy obserwował swój palec. Cady zauważyła, że usta mu się rozchyliły, a oddech stał się znacznie szybszy. Białe, miękkie kule jej piersi obficie i prowokacyjnie wypełniały stanik, jakby za chwilę miały z niego wypłynąć. Smukły, mocno opalony palec Matta wyglądał

bardzo seksownie na tle jej jasnej skóry. To było niezwykle erotyczne zestawienie i Carly gratulowała sobie w duchu, że kiedyś zdecydowała się, w celu usatysfakcjonowania nad wyraz krytycznego Johna, powiększyć biust. Kiedy Matt widział go ostatnio, prawie nie było na co patrzeć. Teraz jej piersi były miękkie, okrągłe, seksowne i naprawdę piękne. I wrażliwe. Tak niesamowicie wrażliwe, że odczuwała dotyk palca Matta wszystkimi zakończeniami nerwów.

Och, Boże, jak go pragnęła. Chciała zrzucić z siebie resztę ubrania, rozebrać go i ... Ale nie.

Lepiej przejść przez to powoli, stopniować emocje, przeżyć Wspaniały Seks. Problem tylko w tym, że nie wiedziała, co Matt rozumie pod określeniem Wspaniały Seks. Nie miała pojęcia, co to mogło dla niego znaczyć.

- Moja kolej.

Nie powinno jej dziwić, że głos jej zadrżał, skoro cała trzęsa się w środku jak galareta.

- Dobrze.

Opuścił rękę. Jego palce przez moment poruszyły się, jakby miał problem z utrzymaniem ich w miejscu, oczami nadal chłonał jej ciało. Wstrzymała oddech na myśl o tym, co za chwilę nastąpi, a potem wsunęła ręce pod jego t-shirt i powtarzając ruchy Matta, powoli zaczęła przesuwać dłonie w górę, podciągając przy tym kołszulkę, tak samo, jak on to zrobił wcześniej. Jego skóra była ciepła, gładka i leciutko wilgotna, a napięte mięśnie zdawały się unosić w rytm oddechu.

Włosy na torsie były jedwabiste, coraz grubsze i bujniejsze, w miarę jak jej ręce przesuwały się coraz wyżej i wyżej. Sutki, okrągłe i płaskie, twardniały pod dotykiem jej palców. Ta natychmiastowa reakcja spowodowała, że Cady poczuła nagły skurcz w dolnych partiach ciała.

Podciągnęła t-shirt Matta jeszcze wyżej i znowu zaczęła pieścić palcami sutki, szukając w jego oczach reakcji.

- Jezu.

Usta miał zaciśnięte, a oczy tak ciemne, że wydawały się niemal czarne. Widząc to, a także słysząc jego nierówny oddech, domyśliła się, że sprawiła mu przyjemność. Bardzo dużą przyjemność.

Podciągnęła jego koszulkę jeszcze wyżej i zaczęła mu ją ściągać przez głowę. Ponieważ był dużo wyższy od niej, musiał jej w tym pomóc. Gdy zrzucił t-shirt na podłogę, Carly spojrzała na jego pierś. Ramiona miał bardzo muskularne, tors szeroki, mięśnie wyraźnie rysowały się pod skórą, a ciemne owłosienie tworzyło trójkąt, który zwężał się ku dołowi i ginął pod paskiem dzinsów. W porównaniu z ramionami biodra wydawały się szczupłe. Był opalony, muskularny i tak seksowny, że od samego patrzenia na niego zrobiła się wilgotna.

- Ładny jesteś - powiedziała, gdy mogła już mówić i spojrzała mu w oczy.

Zobaczyła w nich błysk, gorący, niebezpieczny, niemal drapieźny.

Serce jej na chwilę zamarło, bo uświadomiła sobie, że Matt nigdy przedtem tak na nią nie patrzył.

- Tak myślisz?

Złapał ją za pasek od spodni i przyciągnął do siebie. Na brzuchu znowu poczuła jego ciepłe i silne palce, które zaczęły odpinać metalowy guzik przy jej dzinsach. Czowała jego ciepło, zapach mydła i mężczyzny, co okazało się zadziwiająco mocnym afrodyzjakiem, znacznie bardziej pobudzającym niż wytworny płyn po goleniu, droga woda kolońska czy cokolwiek innego.

Obejmowała go dłońmi w pasie, trzymając się mocno, ponieważ widok Matta powoli odsuwającego zamek błyskawiczny przy jej spodniach zupełnie ją oszołomił. Jej palce przylgnęły do jego skóry. Pobudzało ją ciepło, które czuła, i stalowa siła jego mięśni. Podobało jej się też, że był taki stanowczy, pewny siebie, podniecony i naprawdę jej pragnął.

Spodnie zsunęły się, ukazując czarny trójkąt z koronki. Małe, seksowne figi, ledwo zakrywały cokolwiek. Oddech Carly stał się dużo szybszy i nierówny, gdy obserwowała, jak oczy Matta z każdą chwilą były coraz bardziej rozmarzone, płonące i zmysłowe. Próbowwała się kontrolować, aby nie poczuł, jak bardzo jest podniecona, lecz gdy przesunął palcem po figach, aż do miejsca, gdzie kończył się suwak, tylko dotykając lekko czarnej koronki, głośno westchnęła z rozkoszy. To delikatne dotknięcie przeniknęło przez cienką tkaninę niczym płomień.

- Matt.

Podniósł oczy.

-Hmm?

Wydał ochryple mruknięcie i spojrzał na nią płonącym wzrokiem. Jego ręka wślizgnęła się pod suwak, nakrywając osłonięty koronką wzgórek.

- Nic. Och, Boże.

Gdyby się go nie przytrzymała, z pewnością osunęłaby się na ziemię.

Jego palce zagłębiły się między jej uda i zaczęły pieścić ją przez koronkę majteczek. Tego już nie mogła wytrzymać, musiała się pochylić i oprzeć czoło o pierś Matta, z trudem tłumiąc jęk.

- Pamiętałaś, że seksowna bielizna bardzo mnie kręci. - Jego usta znalazły się na wysokości jej ucha, w które wyszeptał te słowa, a później dotknął wilgotnymi i gorącymi wargami ciepłego i wrażliwego miejsca tuż pod nim. - A twoja jest seksowna jak diabli.

- Staralam się o tym pamiętać.

Nie była w stanie myśleć i niewiele więcej mogła powiedzieć, gdy jego dłoń przesuwała się po jej brzuchu, a usta ześlizgiwały się wolno po szyi. Chciała mu powiedzieć, że ten powolny striptiz, który wykonywali razem, to dla niej za wiele, że już cała płonie i dojrzała do szczytowego momentu, że jest gotowa rozebrać się i pójść na całość. Ale nie chciała pierwsza stracić nad sobą panowania, to nie ona pchnie go na łóżko i rzuci się na niego, nie da mu odczuć, jak bardzo tego chce. Jak bardzo go pragnie.

Postanowiła zyskać odrobinę przewagi nad Mattem, i to posługując się jego własną bronią.

Przywarła ustami do jego piersi i zaczęła go całować, przesuając ustami po wyraźnie zarysowanych mięśniach. Skóra była ciepła i wilgotna, miała leciutki posmak soli; serce Carly waliło jak młot pneumatyczny i z trudem oddychała.

Matt zeszywniał i znieruchomiał. Poczowała gwałtowne łomotanie jego serca, mięśnie na klatce piersiowej nabrały pod jej ustami stalowej twardości, a w najbardziej intymnym miejscu wyczuła pod dłonią napięcie i pulsowanie.

Drgnął, ujął jej twarz w dłonie i uniósł lekko.

- Kochanie, dorostaś - powiedział zachrypniętym, niskim głosem, pochylił się i pocałował ją w usta.

Carly zarzuciła mu ręce na szyję, a on objął ją mocniej w pasie i przyciągnął jeszcze bliżej do siebie. Jego pocałunek był nieśpieszny, zmysłowy, głęboki. Matt stał teraz nagi do pasa, ona prawie też i przyjemnie było czuć go przy sobie, takiego dużego i silnego. Pragnęła być jeszcze bliżej, wręcz desperacko tego pożałowała. Jej piersi osłonięte tylko delikatną koronką naciskały na jego tors. Jej sutki były tak twarde, że aż bolały, i nagle jęknęła z rozkoszy, nie starając się już tego ukryć. Ten cichy dźwięk dosłownie go zelektryzował. Jego pocałunek stał się jeszcze bardziej namiętny i gwałtowny. Głęboko w ustach miała gorący język Matta, jego usta parzyły jej wargi, niesamowicie ją podniecając. Zadrżała, przyłgnęła do niego i odwzajemniła pocałunek, z rozkoszą czując przy sobie jego ciało i ciepło jego warg. Jego ręce ześlizgnęły się w dół do jej tali, a potem jeszcze niżej, pod majteczki. Ujął w dłonie jej pośladki, jak to już kiedyś zrobił, i przycisnął ją do siebie. Rozłożył szeroko palce i delikatnie ugniatał miękkie krągłości, przesuwając ją w górę i w dół, aby poczuła siłę jego pożądania. Jej ciało odpowiedziało nagłym drżeniem i zapragnęła umrzeć, po prostu umrzeć z rozkoszy, jaką jej sprawiał.

Nagle, gdy ona nadal pulsowała i płonęła z pożądania, wyjął ręce z jej dzinsów i zrobił krok w tył.

- Matt ... - Zaprotestowała zaskoczona i spojrzała na niego oszłomionymi namiętnością oczami.

- Chodźmy do łóżka - powiedział, wziął ją na ręce, przytulił do piersi, nie przestając całować, a potem, chociaż przyłgnęła do niego i odwzajemniła pocałunki, ułożył ją na brązowej narzucie.

Wyprostował się, szybkimi i sprawnymi ruchami ściągnął jej tenisówki i dzinsy, odrzucił je na bok, a potem stał przez chwilę przy łóżku i przyglądał się Carly.

Przez moment zobaczyła siebie jego oczami: szczupłe i drobne ciało, ale tam, gdzie trzeba zaokrąglone, nagię z wyjątkiem skąpej, koronkowej bielizny, która prawie nic nie osłaniała. Carly oparła się na łokciu, leżąc ze zgiętym kolaniem na środku łóżka, leciutko zagłębiona w miękkiej, puszystej narzucie. Głowę odrzuciła do tyłu, usta miała rozchylone, w oczach błyszczało podniecenie.

- Jesteś piękna.

Namiętność w jego głosie wywołała u niej dreszcz rozkoszy. Ściągnął dzinsy, a Carly z wyschniętymi ustami patrzyła, jak w ślad za nimi zaczął zdejmować slipy. Gdy się wyprostował, nie mogła od niego oderwać oczu, nie zdając sobie nawet sprawy, że tak bezwstydnie pożera go wzrokiem.

To Matt był piękny, nie miała co do tego najmniejszej wątpliwości: szeroki w ramionach, wąski w biodrach i muskularny, z długimi, mocnymi nogami. O tym jednak wiedziała już wcześniej. Teraz zafascynowało ją coś innego, z czego wcześniej nie zdawała sobie sprawy, a przynajmniej o tym nie pamiętała.

- Mój Boże - powiedziała, gdy trochę ochłonęła. - Jesteś taki potężny.

Wydał z siebie trudny do zidentyfikowania odgłos, coś pomiędzy śmiechem a jękiem. Jego spojrzenie było gorące i ciemne, obiecywało niewymowną rozkosz, gdy ślizgało się po jej ciele.

Wszędzie, gdzie spoczęły choć na chwilę jego oczy, wzniecały w Carly ogień. Zaciśnęła palce na narzucie i wzięła głęboki oddech.

- To twoja zasługa - powiedział zmysłowym tonem, ale z nutką śmiechu, i położył się obok niej, a Carly potoczyła się w jego stronę.

Nie była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział. Do diabła, nie była nawet najpiękniejszą kobietą, jaką miał. Ale to była Carly, a to zupełnie inna sprawa. Miętka i seksowna, i taka słodka, gdy przysunęła się do niego, a poza tym pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety w swoim życiu.

Do diabła, to nie był już wzwód. Miał w tym miejscu gigantyczną sekwoję•

O czym ona, oczywiście, nie omieszkła wspomnieć. To była cała Carly, szczerza aż do bólu.

Zwykle, przynajmniej tak wynikało z jego doświadczeń, wesołość i wzwód nie szły w parze, ale teraz, całując ją, nadal się uśmiechał.

Objęła go i nagle przestał się uśmiechać, przewrócił ją na plecy, a sam położył się na niej i pocałował ją w usta. Wprost płonął cały, paliła go chęć wtargnięcia w nią i szturmowania, szturmowania, szturmowania aż do pełnej eksplozji, dopóki nie osiągnąłby stanu błogosławionej nirwany, co było najwspanialszym uczuciem, jakie znał, znacznie lepszym niż futbol, pływanie łódką, lepszym nawet niż jazda na harleyu po pustej szosie, kiedy nic nie było w stanie go zatrzymać.

Wsunął dłoń pod jej biodra i uniósł ją w górę tak, że leżał już pomiędzy jej nogami, przycisnął ją mocno swoim ciałem, ściągnął ten małeńki kawałek koronki i už mógł tam wejść ...

Tak właśnie zrobił dawno temu, gdy ją miał.

Poczuł zakłopotanie, ponieważ zdał sobie sprawę, że mając trzydziesięci trzy lata, wcale bardziej się nie kontrolował niż wówczas, gdy był piekielnie podnieconym dwudziestojednolatkiem.

Zwykle się kontrolował. Zwykle, doskonale o tym wiedział, był cholernie dobry w łóżku. Sprawiał, że kobiety miały niewyobrażalny wprost orgazm.

Nie wątpił, że doprowadziłby Carly do szczytowania. Już teraz ciężko oddychała, drząc i tuląc się do niego, jej miękkie uda otworzyły się dla niego, a sutki sterczały ostro w koronkowym staniczku. Była rozpalona i wilgotna, całkiem gotowa, on też był rozogniony, twardy i gotowy i byłoby im dobrze, gdyby podążył za swoim instynktem i wszedł w nią.

Ale to przecież Carly. Chciał mieć więcej czasu. Chciał, aby już po wszystkim była zaspokojona, wyczerpana i kompletnie oszołomiona. Innymi słowami, chciał, aby odczuła, że kochał się z nią w najwspanialszy z możliwych sposobów.

Sięgnął ręką na jej plecy i rozpiął stanik z wprawą zrodzoną z praktyki. Cichy jęk protestu, jaki wydała, gdy przestał całować jej wargi i ściągał czarne ramiączka, błędząc jednocześnie ustami po jej szyi, omal nie wpłynął na zmianę jego zamiaru. Ale wtedy zobaczył jej piersi, jej soczyście dojrzałe piersi z okrągłymi sutkami, różowymi jak maliny. Musiał ich spróbować, musiał wziąć je do ust i posmakować, musiał ich dotknąć językiem i spróbować zębami, poczuć, jak jęczy i wije się pod nim, gdy wsuwał ręce pod jej seksowny tyłeczek i fundował sobie największy ból jąder, jaki

niał w życiu, odkąd w wieku piętnastu lat po raz pierwszy zaczął się zadawać z dziewczynami.

Kiedy jego usta wędrowały w kierunku jej piersi, Carly wczepiła palce w narzutę, jęczała i poruszała biodrami w taki sposób, że tyłko masochiście udałoby się zapanować nad sobą.

Jednak on wcale z nią nie skończył, jeszcze nie, nie wystarczyło mu, że czuł ją pod swoimi palcami podnieconą, wilgotną i gładką - chciał czegoś więcej.

Zatrzymał się na chwilę, aby na nią popatrzeć. Naga, z nabrzmiętymi od jego pieszczot piersiami i rozsuniętymi w zapraszającym geście nogami była tak pociągająca jak żadna inna kobieta, z którą miał do czynienia. I pragnął jej do granic wytrzymałości.

Pochylił się nad nią i uniósł jej pośladki. Następnie przywarł do niej ustami i zaczął ją smakować.

Westchnęła, zesztyniała i próbowała zacisnąć nogi pod wpływem nagłego impulsu, który kazał

jej bronić tej ostatniej pozycji. Pocałował drżący, mały wznórek, który stanowił centrum jej rozkoszy. Carly przeczesywała palcami jego włosy i przyciskała go do siebie, a jej biodra unosiły się gwałtownie, gdy doprowadzał ją ustami do szaleństwa.

- Matt.

Spojrzał na nią i zobaczył, że patrzyła na niego oczami zamglonymi pożądaniem. On też patrzył

w jej oszołomione seksem, niebieskie oczy i pomyślał, że nie mogły należeć do nikogo innego, tylko do Carly. To Carly leżała przed nim naga, Carly, która przyglądała się, jak ją pieścił, to Carly, której pożądał przez cały tydzień, przeniosła seks w zupełnie inny wymiar. To było najbardziej zmysłowe przeżycie, jakiego doświadczył w całym swoim życiu.

- Proszę•

Szarpnęła go za włosy.

Do diabła z tym. Dłużej nie był już w stanie wytrzymać. Wiedział, czego pragnęła, on też tego pragnął, tak bardzo, że aż dygotał i dosłownie skręcał się z bólu, że nie mógł wdrzeć się w jej ciało tak szybko, jak by tego chciał. Całował ją, obejmował, a kiedy jej ramiona i nogi także się nad nim zamknęły, wszedł w nią wreszcie. W środku była tak gorąca, tak bardzo gorąca i wilgotna, tak ciasna, że aż jęknął i nagle zaczął ją szturmować, wchodząc głęboko, raz za razem, mocno i gwałtownie, ponieważ czuł się tak wspaniale, że nigdy nie zamierzał przestać.

Wspaniały Seks? O, tak.

Nie mógł jednak tego robić w nieskończoność. Jej ciepło, sposób, w jaki się pod nim wiała, i jej słodkie, krótkie jęki doprowadzały go do finiszu. Czuł to, wiedział, że zaraz dojdzie, i wtedy włożył ręce między jej nogi, dotykając jej tak, aby przeżyła orgazm razem z nim.

Szczytowała wspaniale, jej ciałem przytulonym do jego ciała wstrząsały konwulsje, dygotała i drżała, wbijając paznokcie w jego plecy i krzyczała z rozkoszy.

_ Boże, Matt, o Boże, Matt, och, Matt kocham cię, kocham cię, och, kocham cię, Matt.

Wykonał jeszcze jedno pchnięcie i eksplodował, wciąż był w niej, obejmował ją mocno, pędząc przez wszechświat, a ona płynęła właściwą drogą.

To takie przyjemne, tak cholernie przyjemne ...

Ale w ostatniej chwili, zanim opadł na nią, całkowicie wyczerpany, pomyślał krótko i zwięźle: o, cholera.

Przez kilka minut trwał w niemal katatonicznym bezruchu, zanim zebrał wystarczająco dużo energii, aby się z niej zsunąć. Już le-

żąc na plecach, niechętnie zaczął się zastanawiać nad tym, co właściwie się stało. Wzbraniał się, bo nie chciał poznać okropnej prawdy: w czasie kolejnego, typowego dla siebie działania pozbawionego zdrowego rozsądku, zrobił coś, czego nie powinien był robić, i wpadł prosto w głęboką jamę, której przez ostatnie siedem lat starał się unikać.

To, że głęboka jama należała do Carly, było jakimś pocieszeniem, ale niezbyt dużym.

Spojrzał ostrożnie w bok i zobaczył, że Carly leżała zwinięta na boku z głową wspartą na ramieniu, odwrócona w taki sposób, aby mogła go obserwować. Była naga, ale nie widział wiele.

Kolana miała podciągnięte tak wysoko, że skrywały słodkie gniazdko kędziorków, które już wpisał na listę ulubionych miejsc do ponownej eksploracji. Ramię przerzucone przez piersi znalazło się tam celowo, aby zasłonić je przed jego wzrokiem. Wiedział, że zrobiła to świadomie, bo to była Carly. Czula się teraz zawstydzona, onieśmielona swoją nagością, zażenowana przeżytym przed chwilą, tak głębokim orgazmem.

Była zawstydzona i seksowna, naga i gotowa, aby ją wziął. Pomyślał, że mógłby to zrobić jeszcze raz, i poczuł, jak jego ciało zaczęło się budzić.

Przypomniał sobie jednak natychmiast, dlaczego początkowo uważał, że seks z Carly to nie jest dobry pomysł. W takich okolicznościach kochanie się z nią po raz drugi byłoby czymś jeszcze gorszym, ale nagle zapragnął tego tak mocno, że aby się opanować, musiał aż do bólu napiąć mięśnie i zacisnąć zęby.

Tylko bez paniki, powiedział sobie, ale panika już go dopadła.

Jeszcze możesz się z tego wykaraskać.

W tym momencie jego słodki, zwinięty króliczek zaczął się w milczeniu odsuwać na drugą stronę łóżka.

- Zaczekaj - powiedział, chwytając Carly za nadgarstek. Chociaż kochał się z nią wcześniej tylko jeden raz, na tylnym siedzeniu samochodu, gdy miała osiemnaście lat, dobrze ją znał: takie milczenie nie było jej normalnym zachowaniem po seksie.

Carly doturlała się do krawędzi łóżka i odwróciła głowę, aby na niego spojrzeć. Matt zauważył, że ręka, którą trzymał, była bardzo szczupła i drobna. Usiadła z nogami pochylonymi na bok, oferując mu naprawdę przyjemny widok pleców i słodkiego zaokrąglonego tyłeczka. Matt był na nią nawet troszeczkę zły, gdyż chociaż z pewnością to w dużej mierze jego wina, że znaleźli się w takiej sytuacji, ona też nie była całkowicie niewinna. Gdy jednak zobaczył, jak na niego patrzyła, gdy dostrzegł w jej oczach niepokój i rezygnację, złość natychmiast mu minęła. Czując niesmak do samego siebie, pomyślał, że nie może mieć do Carly żalu za to, że taką stworzyła ją natura, bo to tak, jakby miał pretensję do jelonka Bambi, że jest jelonkiem.

- Co? - spytała.

Nie odrywał od niej oczu. Nadal emanowała seksem, jej usta wciąż były lekko opuchnięte od jego pocałunków, koniuszki piersi, które zafalowały, gdy odwróciła się w jego stronę, były różowe i także nabrzmiące. A gdy dodał do tego widok jej pośladków, z którymi nie zapoznał się jeszcze tak dogłębnie, jakby tego chciał, burzę łoków i wielkie, błękitne oczy, musiał przyznać, że Carly jest dla niego kobietą numer jeden.

Jak brzmi owo znane przysłowie: z małego żółdzia może wyrosnąć potężny dąb? Albo jakoś podobnie. Znowu się sprawdzało.

Aby nie wyciągać zbyt daleko idących wniosków, ponownie zaczął myśleć o tym, że chciałby ją jeszcze raz doprowadzić do szaleństwa.

Nie, spokojnie, to byłoby głupie jak świadome brnięcie w głąb ruchomych piasków. Przecież tak niewiele brakowało, aby mógł zacząć wreszcie żyć po swojemu, zyskać upragnioną wolność, gdy wszystkie kobiety jego życia zaczną sobie w końcu radzić bez niego. Myśl, że miałby teraz to wszystko zaprzepaścić, śmiertelnie Matta przeraziła.

- Wspaniały seks bez zobowiązań, co?

Nic na to nie mógł poradzić, że w jego głosie zabrzmiał sarkastyczny ton. Cholera, a przecież łatwo mógł tego uniknąć; powinien był tylko zachowywać się tak, jak to sobie pierwotnie zaplanował, czyli trzymać się od niej z daleka.

- Hej, nie rób sobie wyrzutów. Bardzo się starałeś - powiedziała. Potrzebował chwili, aby to do niego dotarło. Panna Wyszczekana.

Pamiętał, że często ją tak nazywał, gdy byli dziećmi, ponieważ chociaż była taka mała, dziewczęca i fizycznie niemal bezbronna, nigdy nie umiała trzymać buzi na kłódkę, nawet jeśli mogła tym uratować skórę. Teraz, gdy już dorosła, nic się nie zmieniło i usiłowała oćniać jego dokonania seksualne, chociaż wiedziała równie dobrze, jak on, o co mu chodziło.

- Cholera, Carly ... - zaczął.

- Puszczaj. - Wyrwała mu rękę•

Nie zamierzali się bawić w przeciąganie liny; wiedział, jak by się to skończyło, zaczęłaby zaraz piszczeć "boli mnie", chociaż jego uścisk nie zrobiłby krzywdy nawet komarowi i natychmiast wszystko by się posypało, on okazałby się tym najgorszym brutalnym i musiałby ją przeproszać (trenował to przez lata), a ona odmaszerowałaby z nosem do góry, przekonana o swoim moralnym zwycięstwie, podczas gdy on nic by z tego nie miał.

Aby zmienić ów scenariusz, usiadł, objął ją ramieniem w pasie i przerzucił, wierzgającą i piszczącą, na drugą stronę łóżka, gdzie uwięził ją w pułapce między ścianą a swoim ciałem i przytrzymał w miejscu.

- Nie zmusisz mnie!

- Zaraz zobaczysz.

Patrzyli na siebie, leżąc na boku, niemal nos w nos. Obejmował Carly w pasie, a ona złożyła ręce na piersi, aby wywalczyć sobie trochę przestrzeni, i łypała na niego z furją.

- Posłuchaj, skarbie, nie winię cię za to. Ja wiedziałem lepiej.

Wiedziałem, że założenie "bez zobowiązań" jest nonsensem.

- Nie wiem, o co ci chodzi - odpowiedziała, drżąc z oburzenia. Gdy to mówiła, jej sutki musnęły mu pierś. Było to jak dotknięcie ognia. Poruszyły się także jej uda. Nie dawała mu spokoju myśl, jak łatwo, jak bardzo łatwo mógłby przesunąć nogę i wcisnąć między nie kolano ...

- Ależ, oczywiście, że wiesz. Hej, Curls, byłem tu. Powiedz mi, czy "kocham cię, Matt" pasuje do "bez zobowiązań"?

Zacisnęła usta.

- Zawsze to mówię, gdy mam orgazm. Oczywiście, nie "Matt" , ale jakieś inne imię.

- To nieprawda.

- Skąd wiesz?

- Wiem.

Wierciła się ciągle, ocierając się o jego tors, i w końcu znalazła sobie miejsce bliżej niego. Jej ciepło, dotknięcie jej sutków, ocieranie się jej bioder o jego biodra, delikatne ukłucie kędziorków między jej nogami, które laskotały mu brzuch, wszystko to doprowadzało Matta do szaleństwa.

- Zresztą, o co chodzi? To, że powiedziałam "Kocham cię Matt", gdy szczytowałam, wcale nie znaczy, że naprawdę cię kocham. A nawet gdyby tak było, chociaż nie jest, chyba żę jak dobrego przyjaciela, to nie rozumiem, czemu widzisz w tym jakiś problem.

Nie rozumiała, czemu to był dla niego problem? Powinna postać się spojrzeć na tę sytuację z jego punktu widzenia. Patrzyła na niego wielkimi oczami, zarumieniona, włosy miała potargane i wyglądała tak ślicznie, tak dobrze było ją trzymać w ramionach - na miętą, miękką i seksowną

- że panika, którą powinien odczuwać,

gdyby był przy zdrowych zmysłach, rozwiała się pod wpływem ogarniającego go pożądania.

- Ponieważ nie chcę cię zranić. Ponieważ zależy mi na tobie. Ponieważ kochając się z tobą, a potem odjeżdżając w siną dal, będę się czuł jak pieprzony palant.

Jeżeli będzie o tym pamiętał, może uda mu się opuścić łóżko bez ponownego kochania się z nią.

A może nie.

Carly zeszywniała w jego ramionach. Oczywiście to, co usłyszała, nie sprawiło jej przyjemności.

Jej wielkie oczy miały iskry. Odsunęła się od niego, co spowodowało, że jej piersi były na tyle daleko, że znowu widział sterczące sutki, gdy przyciągnął do siebie jej biodra. A może wtedy, gdy objął ją ponownie. Tak, prawdopodobnie, gdy ją objął.

- Coś ci powiem, słodki tyłeczku. Nie udało ci się mnie zranić, jeśli o to ci chodzi - oznajmiła. -

Jak mam to wyrazić, żebyś zrozumiał? Jedyne rzecz, najakiej mi zależy, to twoje podniecone, seksowne ciało.

Jedyne, co przyszło mu do głowy, to "gówno prawda", i to właśnie chciał jej powiedzieć, ale sprawy zaszły już za daleko i nie miał ochoty na kłótnię. Pożądanie spływało na niego falami, niwecząc wszystkie rozsądne myśli, lęki i plany na przyszłość. Powiedział jej niedawno, że faceci zwykle myślą fiutami. Gdyby teraz o tym rozmawiali, sam mógłby być najlepszym dowodem.

- Słodki tyłeczek?

Powinien w tym miejscu zachichotać, ale nie miał na to ochoty.

Nie miał nawet ochoty na uśmiech. Prawdę powiedziawszy, nie miał w tej chwili ochoty na nic poza seksem z Carly. Znowu opierała się o niego, czuł każdy skrawek jej miękkiego, słodkiego, podniecającego ciała, a gdy się poruszała, prawie wiła, było jeszcze gorzej. Zgiął kolano, dotknął jej nóg, badając grunt...

- Tak, słodki tyłeczek. - Spojrzała na niego zaczepnie. - Skarbie, czy nie mówiłam ci wcześniej, że masz wspaniałe tyłek?

Uśmiechnął się mimo wszystko. Zrobił to niemal w tym samym czasie, gdy wsuwał kolano między jej nogi, a potem ujął w dłoń jej pierś i pocałował. Carly na moment znieruchomiła, a kiedy jego kciuk dotknął jej sutka, a jego biodra znalazły się między jej udami i poczuł ją, gorącą i wilgotną, jęknęła, objęła go za szyję i pocałowała.

Przewrócił ją na plecy i po raz drugi zafundował im obojgu wspólny seks, a potem sam położył się na plecach, posadził ją na sobie i kochał się z nią także w ten sposób.

W końcu, gdy leżała na nim, nasycona, wyczerpana i oszołomiona, tak jak chciał, dotarło do niego, że aż dwukrotnie przeżywała orgazm.

Za każdym razem jęczała i powtarzała: „O, Boże, O Boże, O Boże”. Ani razu „kocham cię”. Ani razu nie wymówiła jego imienia.

Tu jest pies pogrzebany.

- Cholera - powiedział zmęczony.

Podniosła głowę i spojrzała na niego, opierając podbródek na dłoniach. W pokoju zrobiło się już prawie ciemno. Światło, które wpadało przez szpary w firankach, znikło. Nie było jednak aż tak ciemno, aby nie widział jej twarzy, chociaż nie wiedział, czy powinien się z tego cieszyć. Bez wątplenia kobieta, która na nim leżała, to Carly: milutka jak laleczka, z blond lokami, dużymi, błękitnymi oczami i miękkimi, różowymi ustami. Cudownie zaokrąglona i o jedwabistej skórze.

Wyglądała na śpiącą, zaspokojoną i szczęśliwą, pachniała szamponem, seksem i nim. To Carly, jedyna dziewczyna, którą za bardzo lubił, aby się z nią pieprzyć, a teraz zjeżdżał głową w dół z tego samego zbozka, po którym zaczął się wspinać dwanaście lat temu, gdy miał ją po raz pierwszy. Podniecała go jak diabli, a on kochał ją jak siostrę - nie, teraz już nie jak siostrę, przegnał tę myśl w każdym razie podobnie, ale „Carly” - znaczyło „na zawsze”, a to absolutnie nie mieściło się w jego planach.

„Kocham cię, Matt”.

- Słucham? - zapytała.

Mógł po prostu odejść, wiedział jednak, że nie zdoła tego zrobić, pragnąłby jej znowu i nie mógłby sobie tego odmówić, tak jak teraz nie był w stanie trzymać się od niej z dala. Mogli mieć gorący romans, dopóki nie postanowiłby wyjechać z miasta, ale wiedział, że to nie w jej stylu.

Perspektywa „na zawsze” przerażała Matta i przyprawiała go o mdłości. Na samą myśl o tym oblewał się zimnym potem.

„Kocham cię, Matt” .

Trudna sprawa, powiedział do siebie, nie miał wątpliwości, że pójście na całość nie było dobrym pomysłem i teraz musiał wypić piwo, którego sam sobie nawarzył. Znał Carly. Nie było jej łatwo

powiedzieć "kocham cię". Zawsze była wyszczekany, bezczelnym dzieciakiem z miękkim sercem i właśnie to jej miękkie serce teraz go martwiło. W jej życiu nie znalazło się wielu ludzi, których mogłaby kochać, miała parszywe dzieciństwo, praktycznie bez rodziny, jeśli nie liczyć kostycznej, starej babki. A potem wyszła za mąż za faceta, który okrutnie ją oszukał i zostawił dla innej kobiety. Była dobrą dziewczyną, wspaniałą kobietą; nie zasługiwała na swój los, ale stawiała mu czoło z wielką odwagą. Naprawdę szalał na jej punkcie, kochał ją, nie będąc w niej zakochanym, cokolwiek to mogło znaczyć, i wolałby dać sobie obciąć lewe jądro, niż kiedykolwiek widzieć ją tak załamana jak Shelby, która płakała dziś w samochodzie. A wszystko do tego zmierzało. Tak jak to przewidział.

"Kocham cię, Matt".

Jeżeli tak powiedziała, to tak właśnie było, a on czuł się zdruzgotany. Miał do wyboru: albo zgodzić się powiedzieć "na zawsze", albo zostawić Carly, po prostu wstać, ubrać się, odwiedzić ją do domu i zniknąć, mając nadzieję, że ona prędzej czy później jakoś sobie z tym poradzi.

Tak, a wychodząc, mógłby jeszcze kopnąć jakiegoś kotka lub szczeniaka.

Nie mógł tak postąpić. Wydawała się taka słodka i bezbronna i to była Carly, po prostu nie potrafiłby tego zrobić. Znowu miał ochotę się z nią kochać. Jak najprędzej i jak najczęściej.

Najlepiej kilka razy dziennie, dopóki nie minie to szaleństwo.

- Co? - zapytała, znowu lekko marszcząc brwi, bo zbyt długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Poddaję się - oświadczył. - Wygrałaś. Chcesz, żeby było na zawsze? Dobrze. Zgadzam się.

Wyjdź za mnie.

Czy Matt naprawdę poprosił ją o rękę? Carly gapiła się na niego, nie dowierzając własnym uszom. Był taki atrakcyjny, że niemal miała ochotę go zjeść, gdy leżał na plecach na białym prześcieradle, jedynym kawałku pościeli, który jeszcze został na łóżku, z jedną ręką pod głową, a drugą, ciepłą i miękką, na jej plecach. Włosy miał zmierzwione, oczy lśniły ciemnym, tajemniczym blaskiem, który każał jej myśleć o seksie, ale jego usta wykrzywiały grymas rezygnacji.

Grymas rezygnacji? Na Boga, podczas oświadczyn?

- Żartujesz sobie, prawda? - zapytała, ciągnąc go niby żartobliwie za jedwabiste włosy na piersi, które miała pod palcami.

- Auu! - Przycisnął jej dłoń płasko do swojej piersi, zapewne po to, aby uniknąć kolejnego bólu. -

Nie, nie żartuję.

- Prosisz mnie, żebym za ciebie wyszła?

- Tak to chyba zabrzmiało, prawda? Tak. Proszę, żebyś za mnie wyszła.

Takim tonem i z takim wyrazem twarzy mógłby reklamować środek przeciw karaluchom.

- Słyszałaś coś o świecach, kwiatach i ugiętych kolanach?

- Hej, proszę cię o rękę, czy to nie wystarczy?

A zatem robił jej wielką łaskę. Ponieważ czuł się winny. Podtekst jego słów nie mógł być bardziej oczywisty, nawet gdyby powiedział to głośno. Nie mogła uwierzyć, że znalazła się w takiej sytuacji, a wszystko dlatego, że straciła kontrolę i wyszeptała: "kocham cię", chociaż powinna to zachować dla siebie. Z każdym innym mogłaby udawać, że nie o to jej chodziło, że takie rzeczy po prostu się mówi, ale z Mattem ten numer by nie przeszedł. Zbyt dobrze ją znał.

Słyszała o seksie uprawianym z litości, ale oświadczyn z litości?

To było coś nowego.

- Ty palancie. - Dała mu kuksańca pod żebro i sturlała się z niego.

- Auu! Do cholery, za co to?

Pocierając bolące miejsce, patrzył, jak Carly stanęła przy łóżku, oparła ręce na biodrach i wprost miażdżyła go wzrokiem.

- Posłuchaj, słodki tyłeczku, czego ty właściwie nie rozumiesz w określeniu "bez zobowiązań"? -

wycodziła przez zęby, rozglądając się za ubraniami.

Zobaczyła swoje rzeczy i nachyliła się, aby je podnieść, a wtedy dostrzegła, że jego oczy wypełniły się milczącym podziwem, zasłoniła więc piersi ręką, i w tym samym momencie pomyślała, że pochylenie się nie było chyba najlepszym ruchem, jaki mogła wykonać.

- Daj spokój, Curls.

Matt przekręcił się na bok, cały czas obserwując ją z dużym zainteresowaniem. Piorunując go wzrokiem, udało jej się uklęknąć w miarę elegancko i podnieść ubranie.

- Oboje wiemy, że marzysz o tym, aby powiedzieć tak. A zatem powiedz, żebyśmy już mieli to za sobą, i wracaj tu do mnie. Nie musimy się stąd ruszać przez następną - spojrzał na stojący przy łóżku zegar - do diabła, prawie przez godzinę.

- Wiesz, co? - Carly podniosła jego dzinsy, wyprostowała się i rzuciła nimi w Matta. - Pieprz się.

- To jest pomysł - powiedział z lekkim uśmiechem, z łatwością unikając pocisku. - Mamy czas.

Bez słowa poszła do łazienki.

Gdy wróciła, odświeżona, ubrana i na ile to możliwe w tych okolicznościach, zrobiona na bóstwo, Matt zapalił już górne światło, ubrał się i stał pośrodku pokoju, rozmawiając przez telefon komórkowy. W trakcie rozmowy marszczył brwi i machał ręką w powietrzu, jakby to, co słyszał

w słuchawce, go rozdrażniło. Wyglądał przy tym tak cholernie seksownie i biła od niego taka pewność siebie, że Carly miała ochotę go zabić.

Chciała od razu wyjść, ale zastąpił jej drogę, blokując drzwi.

Przez chwilę zastanawiała się, czy mu nie przyłożyć. Pomyślała jednak, że nie dałaby rady. Nie, nie mogła tego zrobić. Był taki potężny. Niemniej miała na to wielką ochotę.

Musiał coś wyczytać z jej oczu, ponieważ uśmiechnął się drwiąco. Pożegnał się z kimś i wyłączył

telefon, a potem wsunął go do kieszeni. Potem wziął ją za rękę - a właściwie siłą przyciągnął do siebie, gdyż się opierała - ukląkł przed nią i przycisnął jej dłoń do swojego serca. Przez cienką bawełnę czuła ciepło i mięśnie na jego piersi.

Była zbyt zdumiona, aby coś powiedzieć, przestała się wyrywać i patrzyła na niego w milczeniu.

Ściągnął brwi.

- W tej chwili nie mam świec ani kwiatów, ale mogę przed tobą uklęknąć: Carly, skarbie, kochanie, wyjdiesz za mnie?

- Nie - powiedziała, wyrywając rękę•

Gdy wstawał, komórka znowu zadzwoniła, a Carly wykorzystała moment, gdy był zajęty, i wyszła.

W garażu było kompletnie ciemno, duszno i gorąco jak w Dolinie Śmierci. Oczywiście schodzenie po tych rozchwianych schodach, gdy nie widziała nic na wyciągnięcie ręki, byłoby błędem.

Jeśli jednak w ten sposób oddali się od Matta, była gotowa popełnić ten błąd.

Światło zapaliło się w samą porę, aby uniknęła złamania karku.

Usłyszała, że schodził za nią. Nie odwróciła się nawet.

- Co to znaczy: nie? - Usłyszała za plecami.

Zeszła ze schodów, odwróciła się i spojrzała na niego. Był mniej więcej w połowie drogi i wyglądał na bardzo zirytowanego.

Naprawdę spodziewał się, że powie: tak? Czy naprawdę myślał, że aż tak oszalała na jego punkcie, że rzuci się na to małżeństwo jak pies na kość, tylko dlatego, że czuł się na tyle winny, aby rzucić jej z łaski jakiś ochłap?

- Chcesz, abym ci to przeliterowała? Napisała na kartce? Co? N-I-E. Nie. To takie trudne? -

Ruszyła w stronę jego samochodu. -Zawieź mnie do domu.

- Przecież sama mnie ostrzegałaś, że obetniesz mi jaja, jeśli poścapię inaczej - jak ty to nazwałaś? Ach, tak, taktyka "całować i uciekać". - Szedł za nią przez garaż. - Powinnaś być zadowolona. Tym razem całuję i nie uciekam. Na litość boską, oświadczam ci się!

- Wiesz, co możesz zrobić ze swoimi oświadczeniami?

- Daj spokój, Curls, bądź rozsądna. Przecież chcesz, żeby było na zawsze.

Ten, kto powiedział, że prawda rani, mylił się. Przynajmniej w wypadku Carly, bo ją prawda doprowadziła do szału. Skręcając się w środku jak kiełbaska na grillu, przystanąła z ręką na klamce i wypaliła mu prosto w oczy:

- Posłuchaj, coś ci powiem. Na zawsze to cholernie długo. A ty nie jesteś aż taki dobry w łóżku, Otworzyła drzwiczki auta, wsunęła się do środka i zapięła pas, W samochodzie było jeszcze bardziej gorąco i parno niż przedtem, ale nie zwracała na to uwagi. Z otwartymi ramionami przyjęłaby każdą możliwość, aby oddalić się od Matta.

Drzwi od garażu zazgrzytały, zgasło górne światło i w środku zrobiło się nagle ciemno. Matt otworzył drzwiczki i usiadł za kierownicą.

- Powiem ci to wprost ... - zaczął. Uruchomił silnik, włączył światła i zaczął cofać auto. Widziała go dobrze. Światło reflektorów padało na jego twarz. Miał zmarszczone brwi i mrużył oczy. -

Jesteś na mnie wściekła.

Cały Matt, wybornie spostrzegawczy. Carly parsknęła śmiechem.

- Tak uważasz?

- Mam ci powiedzieć, dlaczego?

Ponieważ ranisz mi serce? Nie mogła tego powiedzieć. Nie, nie mogła. Miała swoją dumę.

- Ponieważ jesteś palantem? - zasugerowała słodko.

Spojrzał na nią, zanim zatrzymał wóz, potem wysiadł i zamknął drzwi od garażu. Zegar na desce rozdzielczej pokazywał dwudziestą drugą dwadzieścia pięć. Za trzydzieści pięć minut powinien być w pracy. To dobrze. Im szybciej się go pozbędzie, tym lepiej. Wrócił do auta, wyprowadził je na podjazd, a potem skierował się na główną drogę. Cały czas w milczeniu.

- Posłuchaj - odezwał się wreszcie wyważonym tonem rozsądnego mężczyzny, który musiał

stawić czoło czemuś nieracjonalnemu, czyli jej. - Od dziecka byliśmy z sobą blisko, opiekowałem się tobą, ty opiekowałaś się mną, to długa historia. Dodaj do tego seks, to musiało się tak skończyć. Cała sprawa z tą cholerną miłością nie powinna być dla nas zaskoczeniem.

- To nie jest ... - zaproponowała gwałtownie Carly szczęśliwa, że było ciemno i nie widział, jak nagle się zaczerwieniła, gdy szukała argumentu - to mogło być kłamstwo; złość też nie byłaby zła - aby podważyć ową upokarzającą pewność, z jaką Matt podejrzewał, nie, nie oszukujmy się, on wiedział, że była w nim zakochana.

- Pozwól mi dokończyć - przerwał jej, podnosząc dłoń. Zaciskając zęby, Carly skrzyżowała ręce na piersi i utkwiała wzrok w przedniej szybie. Reflektory oświetlały opustoszały parking i niewielkie osiedle, które mijali. Po przejechaniu skrzyżowania skręcili w prawo.

- Czy ci się to podoba, czy nie, przespaliśmy się ze sobą i żadne z nas tak łatwo nie potrafi przejść nad tym do porządku. Chodzi o to, że ja mogę zaakceptować "wspaniały seks bez zobowiązań", ale ty nie. Wiem o tym. Rozumiem to. Do diabła, jest w tym nawet pewien plus.

Jeżeli się pobierzemy, będziemy mogli to robić tak często, jak będziemy chcieli. I zamkniemy usta wszystkim plotkarzom w mieście. - W jego głosie zabrzmiała wreszcie odrobina humoru.

Carly zagotowała się ze złości. Ranił jej serce i uważał, że to zabawne? A właściwie, czemu ją to zdziwiło? Przecież wiedziała, jaki będzie efekt ich zbliżenia. Ostrzegał ją wcześniej.

- Wiesz co, to typowe dla ciebie, wydaje ci się, że znasz mnie i moje potrzeby, ale wbrew temu, co myślisz, naprawdę nie szukam drugiego męża. - Jeżeli miałaby powiedzieć to jeszcze słodszy tonem, potrzebowałyby insuliny. - Prawdę powiedziawszy, im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej mi się wydaje, że wolę mieć cię tylko na jedną noc.

Matt wznosił oczy do nieba.

- Nie mogę w to uwierzyć. Pierwszy i jedyny raz w życiu poprosiłem kobietę, aby za mnie wyszła, a ona wszystko przekręciła.

Przekręcić - to zdecydowanie za mało. Trzeba to ująć mocniej.

- Jak już ci mówiłam wcześniej, słodki tyłeczku, musisz popracować nad romantyzmem.

Spojrzał na nią, ale zanim zdążył coś odpowiedzieć - zadzwonił telefon. Klnąc pod nosem, Matt wyciągnął go z kieszeni.

- Co takiego? - warknął w słuchawkę.

Był już naprawdę wkurzony, co sprawiło jej odrobinę satysfakcji.

Wszystko wydawało się lepsze od jego rozbawionego tonu czy pełnej rezygnacji postawy, gdy usiłował wziąć na swoje barki odpowiedzialność za jeszcze jedną osobę.

Ale Carly nie była kimś, za kogo Matt musiał ponosić odpowiedzialność. I nigdy w życiu nie chciała być nikim takim dla niego. Pragnęła natomiast, co uświadomiła sobie raczej niechętnie, aby szalał z miłości do niej, tak samo jak ona, jak jej się wydawało, szalała z miłości do niego -

do czego z żalem musiała się przyznać. A na to, biorąc pod uwagę zakończenie ich wspaniałego seksu, raczej już nie ma szans.

- Chyba sobie ze mnie żartujesz. - Słuchał uważnie, obserwując drogę, bo zapadła już ciemna noc. - Dobrze, już jadę. Będę najpóźniej za dwadzieścia minut. - Wyłączył telefon i spojrzał na nią. - Właśnie się dowiedziałem, że Antonio, cofając wóz, przejechał po stopie Knighta, co znaczy, że kolejny mój człowiek jest niezdolny do pracy. - Potrząsnął głową i popatrzył na nią. -

Nie mam na to czasu.

Podjeżdżał właśnie do jej domu. W światłach reflektorów pojawił się jego motocykl, stojący tam, gdzie Matt zaparkował. Carly spojrzała na wzniesienie: na samej górze widać było rzęsiście oświetlone okna białego budynku i nagle ten widok tak ją ucieszył, że poczuła pod powiekami łzy.

A może zbierało jej się na płacz z powodu Matta.

Była w nim po uszy zakochana, a on "dbał" o nią. Czy to nie upokarzające, irytujące i żalodne?

- Wiesz co? Wydaje mi się, że miałeś rację, uważając, że w naszym wypadku łóżko to zły pomysł

- powiedziała, otwierając drzwiczki, gdy już zaparkował. - Może nie powinniśmy tego więcej robić?

Wysiadła, z całej siły trzasnęła drzwiami i zaczęła iść po ciemnym zboczu w stronę domu. Żaby drzewne kumkały jej na powitanie, dołączył się także do nich chór owadów. Wysoko nad głową majaczył blady księżyc. Niebo usiane było gwiazdami. Było gorąco, parno, pachniały magnolie, ścięta trawa i dojrzewające orzechy.

- Żadne z nas tego nie wytrzyma. - Odezwał się Matt, doganiając ją•

Carly posłała mu wściekłe spojrzenie.

- Ja nie widzę problemu.

- Ale ja widzę.

- Jak by ci to powiedzieć? Mogę ci tylko współczuć.

- Nie chciałbym być niegrzeczny, ale jeżeli wysilisz pamięć, to sobie przypomnisz, że to ty dosłownie błagałaś mnie, żebyśmy poszli do łóżka, nie na odwrót. Oczywiście, mogłem się mylić, ale to chyba ty mówiłaś coś o tym, że od dwóch lat z nikim nie spałaś, prawda?

- Tak - potwierdziła Carly - i teraz rozumiem, czemu tak długo z tym zwlekałam.

- Nie wciskaj mi kitu. Dzięki mnie miałaś orgazm. I to kilka razy. Carly skrzywiła się i posłała go w myślach do wszystkich diabłów.

- Uważasz, że zrobiłeś coś wyjątkowego? To samo potrafi mój wibrator.

Matta zamurowało, aż się zatrzymał. Carly, idąc, czuła na plecach jego wzrok. Ha, pomyślała, udław się tym.

- W porządku. Puszczę to mimo uszu. To twoja ostatnia szansa. Wyjdiesz za mnie czy nie? -

Naprawdę miał już tego po dziurki w nosie.

Carly nie zamierzała jednak popuścić. Była tak wściekła, że mogłaby gryźć gwoździe.

- Nie.

Spostrzegła, że nogi nadal ma jak z gumy, co jeszcze bardziej ją rozżłościło.

- Dobra, jak sobie życzysz, że prosiłem cię. Nie mów, że nie. Nigdy więcej nie chcę słyszeć bzdur o tym "całować i uciekać".

- Nie bój się, nie usłyszysz.

- Tak uważasz?

- Wyobraź sobie.

Milczał. Przez chwilę oboje szli w ciszy.

Carly poczuła się nagle zmęczona i spojrzała na niego z ukosa.

- Myślałam, że miałeś być gdzie indziej.

- Miałem. Odprowadzam cię do drzwi.

- Nie chcę, żebyś mnie odprowadzał do drzwi. Chcę, żebyś już poszedł.

- To niedobrze.

- Wiesz, zaczynam już mieć dość tej twojej pozy króla zwierząt.

- Wielki Boże, naprawdę? A co ja mam powiedzieć? Muszę sobie jakoś radzić.

Dotarli do schodów. Carly dosłownie wpadła na werandę. Matt za nią. Był nachmurzony, a w jego wypadku to już coś.

Miękkie, żółtawe światło na werandzie wydawało się ciepłe i przytulne. Sandra nie zaciągnęła zasłon i Carly zwróciła uwagę, że frontowy salon widziany z werandy wyglądał elegancko i zachęcająco. Nawet pradziadek na portrecie nad kominkiem oglądany przez odrobinę faliste, stuletnie szkło wydawał się raczej miły niż srogi.

Wyglądało na to, że przyjaciółka włączyła wszystkie lampy w domu, co zresztą nie zdziwiło Carly, bo pierwszy raz nie było jej tak długo w domu i Sandra pewnie została w nim sama, gdy zapadł zmrok.

Wyjęła z torebki klucze, a Matt wziął je bez słowa, jedynie uniesieniem brwi prosząc o pozwolenie, a gdy wyczytał je z oczu Carly, sprawnie włożył klucz do zamka. Otworzył drzwi i cofnął się o krok, aby mogła wejść. W głębi domu rozległ się sygnał alarmu.

Tak, miał rację z tym systemem alarmowym. Dzięki niemu Carly czuła się bezpieczniej.

A także dzięki gwoździom w oknach na górze.

Hugo siedział na kaloryferze, wymachując ogonem. Carly wzięła go na ręce i odwróciła się do Matta, który wszedł do środka.

- Dobraanoc - powiedziała, rozciągając środkową sylabę.

Ze ściągniętymi brwiami, otoczony miękkim światłem padającym z kinkietu w holu, Matt wydawał

się potężny, ciemny i groźny. Widziała w jego oczach groźny błysk. Spojrzał na nią spod przymkniętych powiek, bez cienia uśmiechu na twarzy. Można się go było niemal wystraszyć, ale знаła go na tyle dobrze, że nie wzbudzał w niej cienia obawy. Zapomnij o tym, pomyślała, gdy spojrzał na jej usta.

- Jeżeli spróbujesz mnie pocałować na dobranoc, to zginiesz - powiedziała.

- Wiesz co, Curls? Naprawdę jesteś jak wrzód na tyłku. - Patrzył na nią twardo, ale głos miał spokojny.

Znała ten wyraz twarzy i ten głos. Wiedziała, że Matt z trudem nad sobą panuje. Dobrze, tak trzymać. Ona już pół godziny temu straciła cierpliwość.

- Domyślam się, że to daje ci ... Zadzwoiła jego komórka.

- Do wszystkich diabłów. - Wyjął telefon, odezwał się i słuchał. _ Już jadę - powiedział i wyłączył aparat.

- Nie mam teraz czasu - powtórzył, patrząc na nią. - Nie dzisiaj. Zobaczymy się jutro.

- N a pewno nie, jeśli tylko ja zobaczę cię pierwsza - odparła Carly, chociaż wiedziała, że to dziecinna odzywka, ale już nic jej nie obchodziło.

Matt spojrział na nią, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Zamknęła za nim drzwi, zasunęła zasuwkę i patrzyła, jak szedł przez werandę. Następnie, wciąż ściskając Hugona, poszła do kuchni. Nie pamiętała, jak długo trwała rozmowa z Mattem, ale nie zostało jej już wiele czasu, aby wyłączyć alarm.

Postawiła Hugona na podłodze i w samą porę wystukała kod na klawiszach. Buczenie ustało.

Włączyła alarm na nowo i rozejrzała się wokół. W zlewie stało trochę brudnych naczyń, ale w kuchni panował porządek. Tylne drzwi były zamknięte. Zasłony zaciągnięte. Przez chwilę stała, zaciskając palce na blacie i usiłując wyrzucić z myśli wszystkie wspomnienia o swojej wieczornej porażce, zanim Sandra na nią spojrzy i natychmiast pozna, że zaszło coś niedobrego, co miało związek z Mattem.

Boże, czyżby wszystko zepsuła?

Wspaniały seks wydawał jej się dobrym pomysłem. Niestety, to się na niej zemściło. W chwili namiętnego uniesienia wyrwało jej się to "Kocham cię, Matt" i teraz wszystko już wiedział. I czuł

do niej wyłącznie litość. Czy to nie melodramat?

Carly jęknęła i puściła blat. Nie mogła znieść tych myśli. Zdecydowanie nie chciała tego roztrząsać. Podeszła do lodówki, otworzyła drzwiczki i zajrzała do środka. Przypomniało jej się, że nie jadła kolacji. Zamiast tego był seks. Ale przecież miała o tym nie myśleć, przypomniawszy sobie wściekłość. Zawartość lodówki, która jeszcze chwilę wcześniej wydawała się tak kusząca, straciła nagle dla niej wszelką atrakcyjność. Już nie czuła głodu, tylko znużenie. Miała nogi jak z gumy, kolana odmawiały jej posłuszeństwa. Seks, a przynajmniej seks z Mattem, był

wyczerpujący.

Ekscytujący. Eksplodujący.

Koniec z tym, wściekła się na siebie, wyciągając karton soku. Napełniła szklanek i wypila duży łyk, a potem schowała sok z powrotem do lodówki. Potrzebowała dużo cukru. Może wreszcie zacznie

normalnie funkcjonować.

Im szybciej jej ciało przestanie zachowywać się tak, jakby przejechała po nim ciężarówka o imieniu Matt, tym szybciej wyrzuci go z głowy.

- Sandra, już wróciłam! - zawołała i ze szklanką w ręku ruszyła do salonu na tyłach domu.

Urządziły tu sobie pokój wypoczynkowy, gdzie można było także oglądać telewizję. Musiała zająć myśli czymś innym, a Sandra i telewizja to dobre rozwiązania, nawet jeżeli przyjaciółka natychmiast każe sobie opowiedzieć ze szczegółami o spotkaniu z Mattem.

Sandra nie odpowiadała. Nie było jej w salonie, chociaż musiała tu wcześniej siedzieć. Na podłodze przy fotelu leżało pismo, które przeglądała, a na stoliku obok stała otwarta puszka Diet Mountain Dew, jej ulubionego napoju. Carly włączyła telewizor i zmarszczyła brwi. Hugo gdzieś zniknął i w domu panował spokój - może nawet zbyt duży spokój. Gdyby była tu Annie, skakałaby teraz ujej nóg, słodka i radosna. Cady uświadomiła sobie, że tęskni za psiną, była nawet zaskoczona, że w tak krótkim czasie Annie stała się ważną częścią jej życia. O ile Hugo zajmował się wyłącznie swoimi sprawami, suczka była jej wierną towarzyszką. To niesamowite, że znalazła gdzieś tu truciznę. Dzięki Bogu, że wszystko dobrze się skończyło. Carly obiecała sobie, że jutro rozejrzy się po domu i postara znaleźć to świństwo. Pewnie panna Virgie rozsypała coś na myszy.

- Sandra?

Carla zmierzała w stronę frontowego salonu, gdy nagle usłyszała ten dźwięk: spływanie wody w rurach. Natychmiast się uspokoiła. Woda lała się do wanny. Jasne, dochodziła przecież jedenasta w nocy. Sandra, która zwykle brała rano prysznic, postanowiła pewnie wykąpać się przed snem.

Carly wypijała jeszcze jeden łyk soku i pomyślała, że na szczęście wzięła już prysznic. Elektryczny bojler był stary - też zamierzały go wymienić - i miał ograniczoną pojemność. Zwykle nie starczało na dwie kąpiele z rzędu.

Wrócił Hugo i plątał się jej pod nogami, gdy przechodziła przez kolejne pomieszczenia na dole, gasząc zbędne światła. Od tamtej nocy, kiedy zaskoczyła włamywacza w jadalni, jeśli musiała przejść przez nią sama, zawsze przemykała się tak szybko, jak tylko możliwe, i teraz zrobiła to samo. Nawet świadomość, że Sandra jest na górze, nie pomogła Carly pozbyć się lęku, jakim przejmował ją ten pogrążony w ciemności pokój. Ale elektryczność była droga i nie mogły sobie pozwolić, aby każdej nocy dom jaśniał jak bożonarodzenie-wa choinka, niezależnie od tego, jak bardzo Carly była w głębi duszy przestraszona. Po to przecież miały system alarmowy. Kiedy ponownie przeszła przez kuchnię, aby zgasić pozostałe światła na parterze, widoczne w półmroku czerwone światełko upewniło ją, że alarm jest włączony i pilnuje domu.

Na parterze było już ciemno i gęsto od cieni (na skutek czego serce Carly zaczęło bić szybciej), gdy wchodziła po szerokich, starych schodach. Hugo kroczył przed nią po wypastowanych, dębowych stopniach, najwyraźniej także zmierzając na górę. Na piętrze nie było już tak jasno, paliła się tylko mała lampka na suficie, oświetlająca schody, a także druga w łazience, ponieważ znajdowała się tam Sandra. Gdy Carly dotarła do swojej sypialni, natychmiast zamknęła za sobą drzwi w nadziei, że

powstrzyma w ten sposób irytujące drżenie ciała.

Drzwi zamknięte, okna zabite gwoździami, a system alarmowy włączony, więc jej sypialnia była już tak bezpieczna, jak tylko mogła być.

Wiedziała, że to głupie i nigdy nikomu by się do tego nie przyznała, ale odkąd zamieszkała ponownie w tym domu, codziennie czuła stopniowo narastający lęk przed nocą.

Ukryła te obawy w najdalszym zakątku swojej świadomości, do którego zeszła (a w zasadzie starała się zesać) także myśli o Matcie. Głęboko odetchnęła, wypła trochę soku i trochę już uspokojona, postanowiła dać znać Sandrze, że wróciła. Wyszła ze swego schronienia na korytarz. Hugo, przyzwyczajony już do wędrówek po domu, szedł pierwszy. Spod zamkniętych drzwi łazienki wydobywała się smuga światła. Sypialnia Sandry była zamknięta. Drzwi do swojej Carly zostawiła uchylone. Poza światłem w holu i światłem padającym spod drzwi łazienki cały dom pogrążony był w ciemnościach.

Ona sama, przygotowując się już do pójścia spać, zgasła światło w sypialni, o czym przypomniła sobie, biorąc kolejny głęboki

wdech.

- Sandra, już jestem! - zawołała.

Cisza. Przyjaciółka pewnie jej nie słyszała, bo lała się woda. Hugo podbiegł do drzwi łazienki i zatrzymał się tam, spojrzał

w stronę Carly i zamiauczał. W jego miauknięciu było coś ...

Carly zwolniła kroku. Woda lała się już od dłuższego czasu, dłużej, niż było trzeba, aby wanna się napełniła.

- Sandra?

Hugo pchnął łapką drzwi od łazienki. Otworzyły się trochę, na tyle, że Cady zobaczyła zaciągniętą wokół wanny zasłonę. Stara, biała płachta, zawieszona u sufitu na wygiętym pałaku, zakrywała równie starą, żeliwną wannę na metalowych nogach. Brzegi nie stykały się ze sobą, pozostawiając wąską szparę. Cady dostrzegła przez nią głowę Sandry opartą o brzeg wanny.

Nawet przez taką małą szparę widziała krótko ostrzyżone, czarne włosy przyjaciółki.

Sandra brała kąpiel z odkręconą wodą i zaciągniętą zasłoną prysznicową?

Hugo, bez najmniejszego respektu dla prywatności, podszedł do wanny i znowu zamiauczał.

- Sandra?

Przyjaciółka ani drgnęła.

- Sandra?

Carly otworzyła drzwi. Odgłos leżącej wody stał się nagle bardzo głośny, odbijał się echem od terakoty i kafelków na ścianach. Lustro w łazience zaparowało, w powietrzu unosiły się gęste kłęby. A zatem gorąca woda lała się do wanny od dłuższego czasu, chociaż pewnie zdążyła się już wychłodzić.

- Sandra?

Nic. Żadnej reakcji. Żadnej odpowiedzi. Czyżby przewróciła się w wannie? Lub ...

Na myśl o tym Carly rzuciła się w stronę wanny, rozsunała zasłonę i zamarła z przerażenia.

Przez chwilę nie mogła oddychać. Serce podskoczyło jej do gardła. Sandra leżała w wodzie, była jednak kompletnie ubrana, chociaż bez butów. Nogi w kostkach miała związane linką, a ręce schowane za plecami. Po ich ułożeniu Carly wywnioskowała, że także musiały być związane.

Wszędzie było widać ślady krwi, na twarzy, na szyi Sandry, krew zabarwiła też na czerwono wodę w wannie. Usta Sandry zaklejone były srebrzystą taśmą.

Carly jęknęła głośno z przerażenia. Na ten dźwięk leżąca otworzyła oczy. Zamrugła, ale spojrzenie miała nieostre.

- Sandra! Mój Boże, Sandra, co się stało? Och, Boże, Boże! Carly, bełkocąc coś, pochyliła się, aby zerwać taśmę z ust przyjaciółki, a wtedy oczy Sandry powędrowały w górę i zatrzymały się na czymś. Nagle pojawiło się w nich przerażenie.

Ktoś za nią stał. Carly nie miała wątpliwości, że tak jest.

Włosy zjeżyły jej się na głowie. Gwałtownie wyprostowała się i odwróciła.

Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi na widok ubranego na czarno mężczyzny w kapturze szczelnie zasłaniającym twarz. Napastnik rzucił się w jej stronę. Zanim Carly zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, dotarło do niej, że musiał czaić się za drzwiami, obserwować ją, czekać.

Krzyknęła, a jej przeraźliwy wrzask odbił się od sufitu, ścian i podłogi i popłynął w dal. Hugo uciekł i schował się pod wanną.

Szklanka, którą przyniosła Carly, upadła na posadzkę, a kawałki szkła i resztkę soku pomarańczowego rozprysnęły się na wszystkie strony. Śmiertelnie blada ręka napastnika wyciągnęła się w jej stronę, chybił dosłownie o milimetry. Carly znowu krzyknęła, cofnęła się i wcisnęła za drugi koniec wanny, o włos unikając jego wyciągniętych ramion i ostrza noża.

- Chodź tu.

Miał ochryply, niski głos, który stłumiony przez kaptur brzmiał jak złowrogi szept, zagłuszany przez odgłos leżącej się wody i krzyki Carly. Przerażająco niema Sandra wywracała oczami i miotła się w wannie jak ryba wyrzucona na piasek. Najwyraźniej jej ruchy nie spodobały się napastnikowi, gdyż groźnie coś warknął i zamachnął się w jej stronę nożem. Carly pisnęła, wychyliła się i z całej siły odepchnęła jego rękę. Nóż nie dosięgnął celu i z metalicznym dźwiękiem uderzył o wannę, tuż obok ramienia Sandry. Zaskoczony atakiem mężczyzna cofnął

się o krok i omal nie poślizgnął na mokrej podłodze.

- Suka.

Natychmiast odzyskał równowagę i rzucił się w stronę Carly, zanim podjęła decyzję, aby pójść do drzwi. Wcisnęła się więc głębiej za wannę, dziękując w duchu Bogu, że jest tak drobna i może się zmieścić w niewielkiej szparze między krawędzią a ścianą. Mimo usilnych prób mężczyzna nie zdołał tam się dostać, był za duży, jego potężne nogi w dresie nie mieściły się w wąskim skrawku przestrzeni. Potężne ramiona i tors osłaniał luźny, czarny płaszcz, na głowie miał

czarny kaptur w stylu kata, najwyraźniej uszyty w domu, był nieco ponad średniego wzrostu, ale postawny, w zasadzie nawet potężny, przynajmniej taki się wydawał w zamkniętej przestrzeni.

Wszystko to Carly zarejestrowała mimo paniki, jaka ją ogarnęła, kiedy mocniej wychylił się ku niej, zgięty w pasie i nagle ją złapał.

Wydała z siebie upiorny krzyk, gdy jego dziwnie plastikowe palce zatopiły się boleśnie w jej nagim ramieniu i pociągnęły ją za sobą. Szarpnięcie było tak silne, że gdyby nie przytrzymała się dosłownie w ostatnim ułamku sekundy krawędzi wanny, poleciałaby w jego stronę jak wyrzucona z katapulty. Opór, z jakim musiała zrównoważyć jego siłę, kosztował ją utratę równowagi.

Wpadła do wanny, na Sandrę, przewróciła się na bok, a potem ześlizgnęła na plecy. Czuła pod sobą

ciało przyjaciółki, letnią wodę płynącą z kranu i śliskie ścianki wanny. Wijąc się i wierzgając, bezskutecznie usiłowała chwycić się czegoś palcami, aby się odwrócić i wstać.

Upadek do wanny uwolnił ją na moment od napastnika, chociaż na niewiele się to zdało, ponieważ, co dotarło do niej z całą grozą, gdy usiłowała się podnieść, była równie bezbronna, jak żółw przewrócony na plecy. Rozpaczliwie machała w powietrzu nogami, jej ręce ślizgały się po gładkiej i mokrej powierzchni wanny, ale w żaden sposób nie była w stanie znaleźć punktu oparcia, aby się podnieść i spróbować uciec. W głowie huczał jej galopujący puls, serce waliło jak oszalałe i patrzyła bezradnie, jak mężczyzna uniósł w górę nóż, a potem z całej siły pchnął go w dół, prosto w jej pierś.

Zawyła, próbując zrobić unik, na szczęście ocaliła ją Sandra, która silnym, gwałtownym ruchem dosłownie wypchnęła ją z wanny. Carly przeleciała na łeb na szyję nad krawędzią i upadła. Nóż chybił celu, uderzając znowu w porcelanową krawędź z nieprzyjemnym, metalicznym odgłosem, który zbiegł się w czasie z okrzykiem Carly, padającej na ręce i kolana na posadzkę. Z wanny wychlapało się przy tej okazji sporo wody, która, wymieszana z sokiem, krwią i potłuczonym szkłem, utworzyła zdradziecko niebezpieczną kałużę. Carly zorientowała się, że to także jej krew, ponieważ pokaleczyła się leżącymi na posadzce kawałkami szkła albo może napastnikowi udało się ją zranić nożem. Krew płynęła też z jej lewej dłoni, dużo krwi, co zauważyła przerażona, ale nie czuła rany ani żadnego bólu.

Szok. Była w szoku. Nagle usłyszała jakiś krzyk. Zobaczyła, że mężczyzna poślizgnął się i omal nie upadł na mokre kafelki.

Chciała biec w stronę drzwi - miała do nich bliżej niż on - ale nie mogła ruszyć się z miejsca, nie była w stanie odbić się od posadzki. Jej ręce i stopy w tenisówkach ślizgały się po mokrych kafelkach. Słyszała wodę chlupiącą pod nogami, słyszała swój chrapliwy oddech i szelest ubrania, gdy nieomal nadludzkim wysiłkiem usiłowała wykonać jakiś ruch. Czuła zapach soku pomarańczowego, mydła i swojego strachu, a także czegoś jeszcze - odrażający, słodkawy zapach czegoś, co przyprawiało ją niemal o zawrót głowy i wywoływało mdłości, sprawiając, że wszystko wokół zaczęło nagle wirować. Na policzku poczuła jakiś wilgotny, zimny materiał

przesycony tą okropną, słodkawą wonią. Wonią. ...

Ogarnęło ją śmiertelne przerażenie. Nocny koszmar porywał ją ze sobą. Ten zapach ...

Mężczyzna był tuż za nią i usiłował zakryć jej nos i usta wilgotną szmatą. Szarpnęła się i zerwała ją, przewróciła się na bok, uderzając biodrem i ramieniem o twardą posadzkę, poślizgnęła się na mokrej posadzce pokrytej kawałkami szkła ...

Szmata - kawałek białego, złożonego materiału - upadła tuż obok twarzy Carly. Zapach ...

Przesiąkła natychmiast wodą. Zapach zginął.

- Mam cię•

Spojrzała w górę w chwili, gdy napastnik rzucił się na nią jak kot na pisklę, złapał ją za włosy i szarpnął jej głowę do tyłu. Stojąc na czworakach, usiłowała się bronić, ale mogła tylko bezradnie drapać paznokciami w mokre kafelki.

Przerażona spojrzała w górę, na czarny kaptur w stylu kata i na—gle, przez dziury, które wyglądały jak wycięte nożyczkami, zobaczyłajego oczy. Były w kolorze spłowiałego błękitu, mocno przekrwione, niemal pozbawione rzęs, o źrenicach wielkości łebka od szpilki, tak zimne i pozbawione emocji, że niemal nieludzkie. Wyczytała z nich, że zabije ją bez mrugnięcia powieką.

To niemożliwe, ta myśl tłukła jej się po głowie w rytm oszalałego pulsowania krwi. Nawet nie zaatakował jej jak człowiek, raczej jak potwór rodem z horrorów, ubrany na czarno, w chirurgicznych rękawiczkach - wiedziała już, że te białe, jakby plastikowe dłonie są ukryte w chirurgicznych rękawiczkach - i z nożem. Była tak zmar—twiała z przerażenia, że nie mogła oddychać, nie mogła się poruszyć, ręce i nogi miała jak z ołowiu, a cały ten nocny koszmar przebiegał jakby w zwolnionym tempie.

- Teraz cię pamiętam - wychrypiał napastnik budzącym grozę szeptem przez otwór na usta wycięty w kapturze-masce.

Pochylił się nad nią i patrzył. Przerażonymi, przepelnionymi strachem oczami Carly widziała, jak wolno uniósł nóż. Z mrozącą krew w żyłach jasnością uświadomiła sobie, że za chwilę poderżnie jej gardło.

Słyszała odgłos wody lejącej się z kranu, swój płytki oddech i je—go chrapliwe dyszenie. Czuła jego dłoń na swoich włosach, śliskie kafelki pod palcami i głośne bicie serca. Myślała tylko o jednym: umieram.

Jeżeli rana na jej dłoni mogła być jakąś wskazówką, to nie po—winno boleć. Nie powinna nic poczuć. Ostrze noża zatopi się w jej ciele głęboko, będzie w szoku, wytryśnie krew, ale ona nic nie poczu—je, nic już nie będzie jej obchodziło poza przerażającą świadomością własnej śmierci, a potem już zupełnie nic ...

Nie chciała umierać.

- Nie! - krzyknęła tak głośno, że pozwoliło jej to wrócić do rze—czywistości, tak głośno, że krzyk przebił się przez głośne łomotanie pulsu, szum płynącej z kranu wody, przez jej oddech i jego dyszenie i wszystko inne na świecie, poza pierwotną chęcią życia.

Szarpnęła się z krzykiem w lewo dokładnie w chwili, gdy srebrzy—ste ostrze noża poszybowało w stronę jej odsłoniętej szyi. Nóż i tym razem chybił celu i ześlizgnął się na ramię, odcinając po drodze ko—smyk włosów: Poczwała ostry ból w miejscu, gdzie ostrze przebiło ciało.

Mężczyzna zaklął, mocniej owinął sobie jej włosy wokół ręki i po—nownie szarpnął ją za głowę, a Carly krzyknęła przeraźliwie. Serce cały czas waliło jej tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Ob- . lała się zimnym potem, przekonana, że nie umknie śmierci.

Trzymał ją teraz mocno. Drugi raz nie uda jej się uchylić przed ciosem. Struchlała ze strachu, powtarzała w duchu: nie chcę umierać. Boże, błagam, Boże, błagam, Boże, błagam ...

Czepiając się rozpaczliwie posadzki, natrafiła palcami na coś twardego i ostrego. Zrozumiała, że to długi, wyszczerbiony kawałek szkła.

Ostrze znowu zbliżało się do jej gardła, gdy Carly z całej siły wbiła odłamek szkła w kolano napastnika.

Krzyknął, rzucił nóż, który upadł z brzękiem na płytki, i puścił jej włosy. Była wolna.

Z krzykiem zerwała się na równe nogi i pognała do drzwi niczym sprinter. Serce jej biło jak oszalałe, zimny pot zalewał oczy, tenisówki ślizgały się na drewnianej podłodze holu, gdy biegła w stronę schodów. Spojrzała za siebie i zobaczyła, że napastnik ruszył za nią chwiejnym krokiem; krwawił, klął i jęczał, ale ją gonił. Zbiegła po schodach tak szybko, że ledwie dotykała stopami stopni.

Miał czas, aby podnieść nóż. Widziała, jak ostrze błyszczy w jego dłoni.

- Już nie żyjesz. Już nie żyjesz. Już nie żyjesz ...

Ten zachrypnięty, przerywany szept sprawił, że z przerażenia przeszły ją ciarki.

Gnana strachem zeskoczyła z ostatnich stopni. Wylądowała szczęśliwie na dole i ruszyła do drzwi.

Był blisko, bardzo blisko, za blisko. Nawet gdy już poczuła pod palcami chłodny metal klamki, wiedziała, że nie da rady, że jeżeli się zatrzyma, aby odblokować zamek i otworzyć drzwi, zanim zdąży to zrobić, morderca ją złapie. Krew stanęła jej w żyłach, gdy Carly uświadomiła sobie, że nie będzie w stanie otworzyć drzwi, nie podniesie słuchawki telefonu, by zadzwonić po pomoc, nie zdoła nawet włączyć alarmu, ponieważ każda z tych czynności zajęłaby jej nazbyt dużo czasu, drogocenne sekundy, których nie miała, drogocenne sekundy, w czasie których on mógłby ją złapać. Nawet sięgnięcie ręką do kontaktu, aby zapalić światło, zajęłoby jej zbyt dużo czasu i mogłoby się źle skończyć. Widziałaby jego, ale on też by ją widział.

- Jesteś już martwa.

Znajdował się w holu; oddychał ciężko, kuśtykając za nią chwiejnym, niepewnym krokiem, ale szybko. Chociaż ranny, był przerażająco szybki.

Carly krzyknęła i puściła się biegiem w stronę ciemnego, frontowego salonu, ślizgając się na mokrych podszwach. Na szczęście tak dobrze знаła ten dom, że brak światła dawał jej niewielką przewagę. Doskonale znała rozkład pomieszczeń, wszystkie zakamarki holu i ...

On znał je także.

Włamywacz. Włamywacz. To tamten włamywacz! Była o tym przekonana tak samo, jak o tym, że Boże Narodzenie jest w grudniu.

A zatem wrócił. Po nią? Na myśl o tym krew zmroziła jej się w żyłach.

Nagle wpadła na pomysł, już wiedziała, co powinna zrobić. To była jej ostatnia nadzieja, szansa, aby dać znak, mogło się powieść albo nie, ale ...

Pobiegła w stronę stolika przy kanapie, złapała kryształowy talerz z miętówkami i z całej siły rzuciła nim w okno. Razem z brzękiem tłuczonego szkła usłyszała przeraźliwy dźwięk syreny alarmowej.

- Suka.

Udało się. Udało. System alarmowy zadziałał. "Obwód został przerwany. Przesłać patrol".

Ale on był coraz bliżej. Widziała go w salonie, jego ciemna postać, z piekła rodem, zbliżała się do niej. Mimo włączonego alarmu nie miał zamiaru rezygnować.

Jeżeli ją złapie, zabije ...

Carly pobiegła co sił w nogach do salonu na tyłach domu, krzyżąc przy tym tak głośno, że słychać ją było pewnie aż w Atlancie. Adrenalina dodała jej skrzydeł. Stopami niemal nie dotykała podłogi, minęła pokój, wpadła do korytarza i skierowała się do kuchni—gdzie stanęła jak wryta.

Nie miała pojęcia, skąd to wiedziała, ale wiedziała. Napastnik zatoczył koło w odwrotnym kierunku. Tkwił tam teraz nieruchomo, czekając na nią w ciemnej kuchni.

Czekał, aż wpadnie w zastawioną pułapkę.

Przez wibrujący dźwięk syreny alarmowej usłyszała głośne walenie. Ktoś dobijał się do frontowych drzwi, szarpał za klamkę, walił ręką w szybę.

Nareszcie przyjechał patrol.

Carly odwróciła się i wypadła z kuchni jak nietoperz z piekła.

Z trudem łapiąc oddech, ruszyła do frontowych drzwi. Krew tak głośno szumiała jej w uszach, że niemal nic nie słyszała, ani alarmu, ani walenia w drzwi, niczego. Z pewnością nie słyszała odgłosów pościgu. Gdzie on jest? W każdej chwili mógł wypaść z ciemności i wbić jej w plecy ostry jak brzytwa nóż. Na kilka sekund przed przybyciem pomocy mogłaby umrzeć.

Cały czas krzycząc, szarpała się z zamkiem przy drzwiach. Ręce miała mokre od potu; z trudem odsunęła zasuwkę, przekręciła klamkę ..

- Carly!

To był Matt. Gdy tylko otworzyła, dosłownie wpadł do środka, duży i silny. Wołał ją po imieniu, trzymając w ręku pistolet. Rzuciła się do niego, wtuliła w jego pierś i nagle poczuła, że nogi uginają się pod nią, jakby były z waty, i osunęła się w jego ramiona.

- Co jest? Co się stało? Niech to wszyscy diabli ...

Zaklął, chowając pistolet do kabury, i chwycił ją mocno, zanim upadła jak kukła na podłogę.

Trzymał ją pewnie, był taki silny, taki ciepły i czuła się bezpiecznie. Jeśli Matt jest tutaj, to już wszystko w porządku. Nie umrze. On ją uratuje.

- Sandra ... Matt, och, Matt, on jest tutaj w domu ... w kuchni ... włamywacz... Sandra jest w łazience ... ranna ... Och, Matt. Och, Matt ... - Więcej nie mogła wykrztusić.

- Sprawdźcie dom.

Chwytnąjąc ją na ręce, Matt chrapliwym głosem wydał przez ramię polecenie i Carly domyśliła się, że było z nim jeszcze co najmniej dwóch ludzi. Rzucili się w głąb domu, a jeden z nich zapalił

lampę w holu. W jasnym, niemal oślepiającym świetle Carly rozpoznała Antonia i Mike'a, którzy wbiegli z pistoletami w dłoniach.

- Sandra, w łazience przy mojej sypialni. Zraniła. .. Tym razem Matt zrozumiał, co mówiła.

- Antonio! - zawołał. - Sandra jest w łazience na piętrze. Carly mówi, że ranna. Mike, sprawdź kuchnię!

Antonio zawrócił i wbiegł po schodach.

Całkowicie wyczerpana Carly oparła czoło o ramię Matta. Czuła się dziwnie; kręciło jej się w głowie, trzęsała się jak galareta, było jej zimno, wszystko wokół niej zaczynało wirować i nie mogła się poruścić. Nigdy w życiu jeszcze nie zemdliała. Zastanawiała się, czy to właśnie nie będzie ten pierwszy raz.

- Jezu Chryste!

Matt szedł z nią do frontowego salonu, ale nagle zatrzymał się w pół drogi. Carly udało się skupić na chwilę uwagę i zobaczyła, że patrzył na nią przerażony. Była tak osłabiona, że z trudem unosiła głowę, ale strach w jego oczach kazał jej spojrzeć na siebie. Trzymał ją na rękach, tuląc do piersi, bladą i drżącą, jakby jeszcze drobniejszą w mokrych, poplamionych dżinsach i granatowej koszulce, która teraz nie była wcale granatowa, lecz czerwona ...

- Jesteś cała we krwi. Ty krwawisz. Ten drań cię zranił. Cholera jasna. Carly, zostań ze mną!

Ostatnie, niemal wykrzyczane słowa dotarły do niej w chwili, gdy całkowicie opuściły ją siły. Nie zemdliała, ale bezwzględnie musiała odpocząć. Zamknęła oczy i rozluźniła się w jego ramionach, a Matt jeszcze mocniej ją przytulił i klnąc, biegł z nią gdzieś.

Wiedziała, że to tylko całkowite odprężenie, nie straciła przytomności, ponieważ dotarł do niej z oddali głos Antonia.

- Wezwijcie karetkę!

Gdyby ktoś go widział, jak częściowo biegnąc, a częściowo podskakując, przemykał się nocą po lesie, mógłby go wziąć za garbusa. Zgięty w pałąk, powłóczył zranioną nogą i pocił się jak mysz z wysiłku i bólu.

Był ranny, ranny, ta cholerna suka ugodziła go kawałkiem szkła.

Poszarpane brzegi bardziej uszkodziły kolano niż nóż i miną miesiąc, zanim się z tego wygrzebie. Ale ona zapłaci za to życiem.

To, co się zaczęło jako beznamiętne działanie, mające zapewnić mu bezpieczeństwo, przerodziło się teraz w sprawę osobistą. Zachowała się zuchwale i zraniła go, a potem uciekła, ale następnym razem nie ujdzie z życiem.

Gonili go, szeryf i jego ludzie, przynajmniej jeden z nich szedł za nim w ciemnościach z latarką, dokładnie przeszukując teren za domem. Zastanawiał się, czy wezwali posiłki. Minęło kilka minut, odkąd stamtąd uciekł, a ten cholerny alarm wciąż wył, aż zapaliły się światła w domu tej starej kobiety, który stał dalej na wzgórzu. Na szczęście minął go już i biegł przez las do 'swojego pikapu. Za chwilę na drodze mogło się pojawić więcej wozów policyjnych z włączonymi kogutami.

Ale wtedy on będzie już daleko stąd. Nie złapią go, nie tej nocy, nigdy go nie złapią. Nie jest głupi ani nieostrożny. Porażkę, jaką właśnie poniósł, złożył na karb prześladowającego go pecha.

Ostatnio czuł się jak na huśtawce: raz na górze, raz na dole. Udało mu się pozbyć psa. Porcja trutki na szczury na talerzu z resztkami jedzenia pod krzakiem na tylnym podwórku. Pies pożarł

wszystko jednym kłapnięciem. Widział, jak go znaleźli, jak zbiegli się wszyscy, a potem pobiegli do furgonetki i pojechali - jak się domyślał - do miejscowego weterynarza.

Wszyscy odjechali, dom został pusty. I, jak sam sprawdził, nikt nie pomyślał, aby go zamknąć czy tym bardziej włączyć alarm.

Znowu dopisało mu szczęście. Nie spodziewał się, że zostawią dom bez żadnego zabezpieczenia, ale życie jest właśnie takie: pełne niespodzianek.

Jak to ujął w nieśmiertelnych słowach Forrest Gump: Nigdy nie wiesz, co ci się trafi.

Wtedy jeszcze nie wszedł do środka, miał coś ważniejszego do załatwienia, ale później wrócił i poczuł się jak u siebie., przejrzał szybko szafy i szuflady i w końcu w kuchni znalazł to, czego szukał - kod systemu alarmowego, który teraz nie stanowił już dla niego żadnego problemu - a potem metodycznie zapoznał się z całym domem. Dom mu się podobał, był stary, ale duży i porządnie umeblowany, znalazł w nim świetną, wygodną kryjówkę, nawet na wiele godzin, gdyby chciał to zrobić łatwiejszą metodą. Miał nowy plan, doskonały w swojej prostocie, który przyszedł mu do głowy po tym, gdy tak dobrze poszło mu z psem. Postanowił, że zaczeka w środku, aż Carly wróci i położy się spać, a wtedy po prostują wyniesie. Tej nocy nigdzie się nie spieszył, miał mnóstwo

czasu. Wszystko inne, co doma-gało się zakończenia - na przykład pies, gdyby jednak przeżył -mogło poczekać do rana.

Słyszał, jak wróciła do domu jej przyjaciółka - Sandra, już poznał jej imię - razem z tym czarnym zastępcą szeryfa. Siedząc w ukryciu na górze, śmiał się w kulak, gdy na dole kręcił się uzbrojony gliniarz, który niczego nie podejrzewał. Potem ten facet odjechał - z okna na górze widział, jak szedł przez trawnik do swojego wozu - i został w domu sam z Sandrą.

Przez następną godzinę ukrywał się w nieużywanej sypialni na piętrze. Potem, gdy odkrył, że w drzwiach sypialni Carly jest zamek, którego sforsowanie mogłoby narobić więcej hałasu, niż przewidy-wał, postanowił ukryć się pod jej łóżkiem i zaczekać, aż zaśnie. Nie zamierzał jednak włączyć tam wcześniej, niż to konieczne; leżenie pod łóżkiem dłuższy czas mogłoby być niewygodne. Po bliższym zbada-niu wykluczył także szafę - byłoby mu tam, co prawda, wygodniej niż pod łóżkiem, ale nie chciałby spędzić w niej• kilku godzin. Była zbyt mała, a poza tym, kto wie, może Carly należała do pedantek? Mogłaby chcieć powiesić tam wieczorem ubranie.

Co prawda, byłoby fajnie zawołać: "buuu", jeśli by otworzyła drzwiczki, ale pościg za nią to same kłopoty, a prawdopodobieństwo, że coś poszłoby źle, byłoby jeszcze większe, gdyby zaczęła krzyczeć i udałoby jej się uciec.

Co i tak w końcu się stało, zauważył z kwaśną miną, gdy dotarł wreszcie do pikapu. Syknął z bólu, wsiadając, wyciągnął nogę na fo-telu i zaczął szukać w torbie czegoś, czym mógłby zatamować krew, zanim dojedzie do domu. Krótki błysk światła latarki - nie chciał ry-zykować więcej niż kilka sekund światła, na wypadek gdyby pościg znajdował się gdzieś blisko -

uświadomił mu, że rana jest tak głębo-ka i paskudna, jak się spodziewał. Nogawka spodni nasiąkła krwią, która nadal leciała z przecięcia.

To wszystko przez tego parszywego kota.

Wracał właśnie do swojej kryjówki po rekonesansie w sypialniach na tyłach domu, w czasie którego sprawdzał, czy Carly mogła dostać się do środka tak, aby on tego nie zauważył, gdy usłyszał, jak Sandra wchodzi po schodach. Mówił:l coś do kogoś - później okazało się, że do kota - więc wycofał się błyskawicznie i ukrył za drzwiami sypial-ni Carly. Schody znajdowały się w połowie korytarza i nie zdążyłby przebiec niezauważony do sypialni we frontowej części domu.

Miał nadzieję, że Sandra szła do swojego pokoju lub do łazienki, ale na wszelki wypadek, gdyby jednak go zobaczyła i zdołała uciec, zapiął suwak płaszcza, który włożył specjalnie na tę okazję, i naciągnął na głowę kaptur. Był jednak zupełnie spokojny. Nie miała najmniejszego powodu, aby zaglądać do sypialni Carly, pozajednym, którego nie wziął pod uwagę - kota.

Zwierzak wszedł do sypialni i kiedy zobaczył go za drzwiami, za-czął machać ogonem i miauczeć.

- Co tam znalazłeś, grubasie? - Usłyszał głos Sandry i już po chwili też stała w pokoju i gapiła się na niego przerażona.

Nie przyszedł po to, aby ją zabić, nie miał nic przeciwko niej, poza tym, że mogła pokrzyżować mu plany, ale teraz go zobaczyła. Co miał zrobić?

Oczywiście, musiał się zająć także nią ...

Właśnie to robił, gdy usłyszał Carly, która wołała Sandrę, wchoǳąc po schodach.

I wtedy znowu ten cholerny kot otworzył drzwi, wszedł do łazienki i przyprowadził Carly za sobą.

Zaczynał się już nawet zastanawiać, czy może coś jest między nim i zwierzętami, jakiś rodzaj karmy, coś dziwnego. Komplikowały jego doskonale zaplanowane życie.

Rozumiał już, dlaczego nienawidził tych przeklętych stworzeń. Okręcając krwawiącą nogę taśmą, bo niczego innego nie znalazł, rozmyślał, czy nie dać do wiwatu temu kotu.

Nagle przypomniał sobie o czymś i zdrętwiał z nożem w ręku. Znikła jego chusteczka do nosa.

Chusteczka do nosa, której używał tej nocy, ponieważ miał ją przy sobie i wpadła mu w rękę, gdy musiał uspokoić Sandrę. Szybko przeszukał kieszenie i po chwili zyskał już pewność: chusteczki nie było.

Przypomniał sobie, że wyjął ją, aby uciszyć także tę sukę, a po tem upuścił, gdy Carly odtrąciła jego rękę.

Zwykła chusteczka, żadna wielka strata - poza tym, że były na niej wyhaftowane jego inicjały.

Szpitalne zdecydowanie nie należały do ulubionych miejsc Carly. Nawet jeżeli na krześle przy Jej łóżku spał Matt z rękoma złożonymi na piersi i nogami wyciągniętymi na jej materacu. Nawet jeżeli obudził się rano w złym humorze i nieogolony, burcząc na każdego, kto stanął mu na drodze, podczas gdy zjadał jej śniadanie.

A nawet nie wtedy, gdy najwyraźniej zamierzał towarzyszyć jej do łazienki.

_ Posłuchaj, zostaw mnie tu samą. Idę wziąć prysznic - powiedziała, zamykając mu drzwi przed nosem.

Jego poświęcenie rzeczywiście działało jak balsam na jej posiniaczone i potłuczone serce, dopóki się nie zorientowała, że właściwie mogła się tego po nim spodziewać, będąc jedną z osób, za które ponosił odpowiedzialność. Nie miała wątpliwości, że dokładnie tak samo troszczyłby się o 'każdą z sióstr, gdyby ktoś ją zaatakował i znalazłaby się w szpitalu.

Ta refleksja wydała się Carly dość przygnębiająca.

Kiedy wyszła z łazienki, stał w holu i rozmawiał z Antoniem, który był tak samo zmęczony i bez formy. Włożyła już świeże ubranie - bawełniane spodenki i błękitną koszulkę - które ktoś zabrał w nocy z domu razem z torebką, co oznaczało, że Carly mogła zrobić makijaż i uczesać się. Na ramieniu miała trzy szwy, a na lewej ręce opatrunek z bandażem. Czuła się w zasadzie normalnie, jeśli nie liczyć lekkiego klucia i szczypania w miejscach zranień.

Gdyby tylko mogła nie myśleć o tym potworze w czarnym kapturze. W nocy, kiedy lekarz skończył zakładać szwy, miała nawrót nudności, kręciło jej się w głowie i strasznie się pocila, zaordynowano jej więc całonocną opiekę w obawie przed ewentualnym szokiem.

Postanowiła zablokować myśli o potworze, po prostu zablokować je tak, jak dawno temu nauczyła się postępować z nieprzyjemnymi sprawami, co dość dobrze się sprawdzało. Problem był jednak w tym, że jedyne myśli, które zdołały powstrzymać napływ obrazów jak z horroru, dotyczyły Matta. Biorąc zaś pod uwagę jej udręczone serce, o nim także nie powinna za wiele myśleć, wszystko jednak, nawet świadomość, że miała złamane serce, było lepsze od najdrobniejszego wspomnienia twarzy zakrytej czarnym kapturem czy błyszczącego ostrza noża

...

Myślała więc o Matcie, o seksie, który naprawdę okazał się wspólniały, o braku zobowiązań, co było dość przykre, i o tym, jak jej serce załomotało, gdy pierwszy raz poprosił ją o rękę, a ona nie miała jeszcze czasu, aby się nad tym dokładnie zastanowić, i myślała, że może naprawdę tego chciał.

I o tym, jak wzruszająco i kusząco wyglądał, gdy oświadczał się na kolanach.

A raczej jak wzruszająco i kusząco mógłby wyglądać w jej oczach, gdyby nie wiedziała, że to oświadczyzny z litości.

O tym właśnie myślała w nocy, gdy lekarz kończył ją badać. Potem dostała zastrzyk i spała twardym snem aż do dziewiątej rano, kiedy to obudziła ją pielęgniarka, wtykając jej do ust termometr, i Matt, który chrapał na krześle obok łóżka.

Nie wiedziała, że chrapie, nie wiedziała, że bywa rano taki marny, i nie wiedziała, że lubi polewać ketchupem jajka (Uej jajka). Prawdę powiedziawszy, bez tej ostatniej informacji mogłaby się obyć.

Niestety, nawet te trzy negatywne obserwacje najego temat w niczym nie zmieniały faktu, że kiedy się obudziła, była w nim tak samo szaleńczo zakochana jak ostatniej nocy, gdy lekarz dał jej zastrzyk uspokajający. Na szczęście jednak długie godziny narkotycznego snu spowodowały, że wrócił jej zdrowy rozsądek.

Nie zamierzała zabiegać o mężczyznę, który kochał ją jak przyjaciółkę lub siostrę, mężczyznę, który lubił z nią spać, ale czuł się z tym dziwnie, mężczyznę, który nienawidził myśli o byciu z nią na zawsze, lecz mimo to oświadczył się jej w poczuciu winy.

Nawet jeżeli tym mężczyzną był Matt.

Może miała różne wady, z pewnością jednak nie była masochistką. Kochała go; on "troszczył się" o nią. Nie pójdzie dalej tą drogą. Wiodła wprost do prawdziwego zawodu miłosnego.

- Dokąd idziesz? - zapytał Matt, gdy wyszła na korytarz, i przerwał rozmowę z Antoniem.

Obaj mieli na sobie wymięte mundury. Antonio wyglądał na bardzo zmęczonego i wyczerpanego. Matt - niech go diabli! - także był zmęczony, wyczerpany, ale też bardzo seksowny, męski i tak głodny, że spałaszował jej śniadanie.

- Porozmawiać z Sandrą - odpowiedziała krótko.

Matt pokiwał głową. Czują na sobie jego spojrzenie, idąc korytarzem.

Szpital West County mieścił się w dwupiętrowym budynku z cegły, do którego przylegały jeszcze dwa skrzydła. Na podłodze leżało szare linoleum, ściany pomalowane były na pastelowe kolory. Znajdowało się tu podstawowe wyposażenie, takie jak aparatura rentgenowska oraz sala intensywnej terapii. Pacjenci z poważniejszymi schorzeniami odsyłani byli jednak do Atlanty.

Carly z Sandrą zostały tutaj, co świadczyło, że ich obrażenia nie są tak bardzo groźne. Carly wystarczyło kilka szwów, opatrunki, kuracja antyszokowa i kilka godzin mocnego snu. Z Sandrą było gorzej. Przeżyła wstrząs, została ugodzona nożem w udo i miała potłuczone zęba.

Pokój Sandry, podobnie jak i jej, był małą, szarą klitką, jakich tuzin lub więcej otaczało stanowisko pielęgniarek, niczym wypustki w kole zębata. Sandra miała na sobie taki sam, mało twarzowy zielony strój szpitalny, którego Carly właśnie się pozbyła. Jej łóżko było uniesione, tak że spoczywała na nim w pozycji półsiedzącej. Białe bandaże tworzyły najejgłowiej okazały turban, z

ręki sterczał wenflon, a noga z obandażowanym udem leżała nieco uniesiona na niebieskim prześcieradle. Sandra trzymała w ręku pilota i zmieniała kanały w telewizorze.

- Cześć - przywitała ją Carly.

Ostatniej nocy udało im się porozmawiać trochę w holu, gdy czekały na karetkę, a także podczas jazdy do szpitala i w izbie przyjęć. Będąc jeszcze pod wpływem silnych emocji, chaotycznie opowiadały sobie o szczegółach mrożącego krew w żyłach ataku i dzieliły się nimi z Mattem oraz jego ludźmi, którzy odebrali od nich oficjalne zeznania. Ostatniej nocy obie były w szoku, przerażone, wstrząśnięte i rozszlochane. Tego ranka Sandra odzyskała już dobrą formę, jeśli nie brać pod uwagę bandaży i szpitalnego stroju.

- Chyba już lepiej się czujesz? Wychodzisz stąd? Sandra wyłączyła telewizor.

- Wkrótce. Chcesz, żebym ci coś przyniosła?

- Coś normalnego do zjedzenia. Te jajka były okropne. I jakiś przyzwoity szlafrok, bo w tym przecież nie można się nikomu pokazać. Musiałam poprosić Antonia, żeby wyszedł, kiedy chciałam wstać do łazienki. Nie ma powodu, aby szokować tego biednego faceta. Taki widok mógłby go przestraszyć. Aha, i program telewizyjny.

- Zrobi się. - Carly usiadła przy jej łóżku. - Jak się czujesz? . Sandra wzruszyła ramionami.

- Jak ktoś, kto dostał w głowę, został dźgnięty nożem, odurzony czymś i pobity. Poza tym nieźle.

Carly się uśmiechnęła. W trakcie swoich rozwodów obie odkryły mądrość starego powiedzenia, że "w życiu równie dobrze można się śmiać jak płakać". Płacz kompletnie niczemu nie służy, poza tym, że trzeba wycierać nos. A jeżeli się śmiejesz, przynajmniej lepiej się czujesz.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Wiesz co, ostatniej nocy uratowałaś mi życie. Pamiętasz, jak wpadłam do wanny? Gdybyś mnie z niej nie wypchnęła, skończyłabym jako hamburger. Ten nóż spadłby wprost na mnie.

- Oczywiście, że cię wypchnęłam. Wylądowałaś na moich potłuczonych żebrach. Myślisz, że to nie bolało? - Sandra puściła do niej oko, dotknęła żeber i uśmiechnęła się. - Wiesz co, wcale nie jesteś taka leciutka. A zresztą, to ty pierwsza mnie uratowałaś. Nie wierzyłam własnym oczom, jak wypchnęłaś tego bandytę, ale jestem ci naprawdę wdzięczna. Omal nie poderżnął mi gardła.

Tłumione wspomnienia dały o sobie nagle znać z niespodziewaną mocą. Carly zobaczyła twarz zakrytą czarnym kapturem, białą, jakby plastikową dłoń, błyszczące ostrze noża uderzające w ściankę wanny dosłownie kilka centymetrów od Sandry ...

Poczuła ucisk w żołądku. Krew w jej żyłach zlodowaciała. Jej ... - Czas na zmianę kroplówki. -

Usłyszała głos pielęgniarki. Podczas gdy siostra zmieniała plastikowy woreczek z płynem na nowy, Carly próbowała odgonić przerażające obrazy, które kłębiły jej się w głowie. Do czasu ponownego podłączenia kroplówki wciąż żywe sceny z ostatniej nocy zostały zepchnięte do mrocznego

królestwa spraw, o których nie chciała pamiętać.

- Tak mi przykro, że musiałaś przez to wszystko przejść. Aż mi niedobrze, gdy pomyślę, że byłaś sama w domu z tym potworem –powiedziała cicho, zmieniając nagle ton na poważny. - Czuję się za to jakoś odpowiedzialna, ponieważ to z mojego powodu znalazłaś się w Benton.

- Jasne, inaczej nadal byłabym w Chicago kelnerką ze złymi manierami - Sandra uśmiechnęła się do niej krzywo. - Nie mówmy już o tym więcej, dobrze? Zbyt dużo mnie to kosztowało. O ile nie muśzę, nie chcę nawet myśleć o tym, co wydarzyło się ostatniej nocy. –Usta jej drżały i zacisnęła je, starając się to ukryć. Mocno wciągnęła powietrze przez nos i spojrzała na Carly z wyrzutem. - Następnym razem, jak ci powiem, że nie lubię nawiedzonych domów i chcę wracać do dużego miasta, gdzie czuję się bezpiecznie, może wreszcie mnie posłuchasz.

Carly się skrzywiła.

- Gdybym wiedziała, co nas tu spotka, wróciłabym wtedy do furgonetki jeszcze przed tobą, wierz mi. - Posmutniała i spojrzała na Sandrę niepewnie. - Jeżeli po tym wszystkim będziesz chciała wrócić do Chicago, zrozumieć.

Sandra spojrzała na nią i chciała coś powiedzieć, ale na moment utkwiała wzrok w drzwiach za plecami Carly.

- Antonio odwiedził mnie już trzy razy dzisiaj rano., Siedział na tym samym krześle, co ty teraz, kiedy się obudziłam. - Niemal szeptała, nie spuszczać z oka drzwi. - On się o mnie martwi. Czy ty wiesz, jak dawno już żaden mężczyzna nie martwił się o mnie? Nie ma mowy, nie pozwolę, aby jakiś psychopata mi w tym przeszkodził.

_ Czyżbym słyszała weselne dzwony? - zapytała prowokacyjnie Carly.

- Chyba nie mam aż tyle szczęścia. - W głosie Sandry zabrzmiał smutek.

Carly wiedziała, że były mąż Sandry bardzo się starał, aby wyrobić w niej przekonanie, że nie jest atrakcyjna dla mężczyzn, i na• tychmiast postanowiła wyprowadzić ją z błędu.

- To Antonio powinien czuć się szczęściarzem, że spotkał ciebie _ zapewniła przyjaciółkę z przekonaniem, także starając się mówić cicho. - Jesteś wspaniała, Sandro. Nie wiedziałaś o tym?

Naprawdę wspaniała.

Sandra się uśmiechnęła.

_ W każdym razie umiem gotować. Ten, kto powiedział, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek, musiał dobrze znać An-tonia. - Ponownie spojrzała na drzwi. - A jeżeli chodzi o weselne dzwony, słyszałam, że ten przystojny szeryf omal nie dostał przez ciebie ataku serca.

Podobno jak tylko skończył zabezpieczanie śladów w domu, przybiegł do szpitala i spał w twoim pokoju.

_ Matt bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki - oświadczyła kwaśno Carly. - Uznał, że za mnie też ponosi odpowiedzialność.

_ Tak powiedział? - zapytała Sandra, wstrząśnięta i zafascynowana zarazem.

Carly pokiwała głową i za wszelką cenę starała się ukryć przygnębienie, jakie nagle ją ogarnęło.

Sandra potrząsnęła głową•

_ Kochanie, musisz coś zrobić, aby go przebudzić. Na przykład zaciągnąć go do łóżka i pokazać, co potrafisz.

Carly milczała.

Sandra przyjrzała jej się uważnie.

- Już to z nim robiłaś, prawda? Kiedy? Wczoraj wieczorem? To znaczy, że kiedy mnie atakował psychopata z nożem, ty byłaś z sze-ryfem? To właśnie całe moje życie. Mnie się morduje, a ty zażywasz rozkoszy. - Pokręciła głową z dezaprobatą, a potem zmierzyła Carly sceptycznym wzrokiem. - I on nadal uważa, że ma obowiązek trosz-czyć się o ciebie?

Carly smutno przytaknęła. Sandra się skrzywiła.

- To niedobrze.

- Tak, nie najlepiej.

- Co zamierzasz ...

- A więc tu pani jest, panno Linton. Proszę podpisać te formularze i jest pani wolna.

W drzwiach stanęła pielęgniarka z dokumentami.

- Przyjdę do ciebie później ze szlafrokiem i innymi rzeczami -powiedziała Carly do Sandry i podpisała papiery.

Na korytarzu czekał na nią Matt. Prawie się do siebie nie odzy-wali, zjeżdżając windą. Carly zabrała ze szpitala tylko torebkę -ubranie, które miała na sobie poprzedniej nocy, było zniszczone, zresztą i tak nie chciałyby go więcej nosić - i kiedy doszli do obroto-wych drzwi, prowadzących na parking, zorientowała się, że przyci-skają do siebie tak mocno, że aż zbiełały jej kostki palców. Nagle do-tarło do niej, że musi wracać do domu, do domu, w którym ubiegłego wieczoru została brutalnie zaatakowana. Na samą myśl, że miałyby spędzić tam kolejną noc, serce podskoczyło jej do gardła.

Sandra została w szpitalu, byłaby więc zupełnie sama.

- Matt - odezwała się cicho, gdy wsiadła do auta, a on wsunął się za kierownicę. - Chyba nie

powinnam wracać do domu. Nie powinienam tam nocować. Nie chcę być tam sama. Nawet przy włączonym systemie alarmowym. Nie chcę, dopóki ten człowiek jest na wolności. - Jej głos drżał żałośnie, gdy wypowiadała ostatnie zdanie.

Matt objął ją, przygarnął do siebie i pocałował, a jego szybki i uspokajający pocałunek, całkowicie pozbawiony erotycznego podtekstu, sprawił, że serce Carly szybciej zabiło. Przytuliła się do niego, a kiedy ją puścił i włączył silnik, czuła się już dużo lepiej.

- Myślisz, że pozwoliłbym ci na to? Zamieszkasz u mnie w domu, aż złapiemy tego drania. -

Spojrzał na nią bez uśmiechu, gdy wyjeżdżali z parkingu. - Twój kot już u nas jest, a po drodze zabierzemy psa. Chyba nie sądziłaś, że zostawię cię na łasce losu samą w domu po wszystkim, co stało się w nocy?

Carly spojrzała na niego i pokręciła głową. W zasadzie nie myślała o tym aż do tej chwili. Była po prostu przerażona perspektywą powrotu do domu. Ale spodziewała się, że Matt nigdy by jej samej nie zostawił. Było tak, jak powiedziała Sandrze - bardzo poważnie traktował swoje obowiązki.

Nagle ucieszyła się, że się nią opiekował.

- Pytałem cię już wcześniej, ale chcę, żebyś zastanowiła się nad tym raz jeszcze. Czy jest ktoś, kto chciałby cię skrzywdzić?

Dojeżdżali już do miasteczka, na drogach i na chodnikach dla pieszych panował spory ruch. N

owoczesne witryny sklepów na głównej ulicy wyglądały zasobnie i atrakcyjnie, dekoracyjne donice z kwiatami i ozdobne, stare znaki uliczne tworzyły malownicze akcenty w miasteczku, które znała od dzieciństwa. Carly była zdumiona, jak normalnie wszystko tu wyglądało. Jej świat zmienił się ostatniej nocy, stał się ciemny i przerażający. A przecież słońce świeciło nadal, kwiaty kwitły, a ludzie wydawali się zajęci swoimi sprawami.

Ona także pragnęła wrócić do normalności. Pokręciła głową•

_ Nic więcej nie wymyślę. Właściwie znasz całe moje życie. Dla-czego ktoś chciałby mnie skrzywdzić? Kto?

_ Dla twojej wiadomości, sprawdzamy twojego byłego męża. - Głos Matta zabrzmiał groźnie.

_ W porządku. - Carly nie miał nic przeciwko najbardziej nawet niewiarygodnym tropom, jeżeli któryś pomógłby znaleźć zabójcę• -To. z pewnością nie John i nie miałyby żadnych powodów, aby wynajmowaćjakiegoś mordercę. Jestem pewna, że nie on za tym stoi.

- A zatem kto to mógł być? - Zadał to pytanie niecierpliwym tonem, nawet trochę poirytowanym.

_ Nie sądzisz, że to mógł zrobić jakiś psychopata, który nie ma ze mną nic wspólnego?

Jeżeli to był rzeczywiście jakiś psychopata, działający bez motywu, mógł już zniknąć. Naprawdę pragnęła, żeby zniknął.

- Tak uważasz?

Carly wzięła głęboki oddech i postanowiła wypowiedzieć głośno to, co od dłuższego już czasu podpowiadała jej intuicja.

_ Nie. Moim zdaniem to był tamten włamywacz. Sądzę, że on wrócił. Mówiłam ci, że powiedział:

"Teraz cię pamiętam". Któż inny mógłby to być? .

W jej głosie dało się słyszeć drżenie. Matt zacisnął szczęki.

_ Ja też tak myślę. Mógł cię śledzić i czekać na okazję• Nie zrobił niczego, co pozwalałoby sądzić, że to gwałciciel. To prawdopodobnie morderca. I moim zdaniem chodziło mu o ciebie, a nie o Sandrę. Był z nią długo sam w domu i nie zaatakował, dopóki nie weszła mu w drogę.

Czekał na ciebie. Na szczęście poprosiłem w nocy Antonia i Mike'a, żeby mnie podrzucili pod twój dom, bo chciałem zabrać moją tacykl. Jeżeli nie byłoby nas w pobliżu, gdy wybiłaś szybę talerzem, mógłby mieć wystarczająco dużo czasu, aby zrobić to, po co przy-szedł, zanim dojechalibyśmy na miejsce.

Carly poczuła na plecach dreszcze, gdy przypomniwała sobie te straszne chwile, kiedy stała w kuchni, a napastnik był dosłownie kilka kroków od niej, gotów zaatakować mimo wyjącego alarmu. Matt wiedział o tym także. Znał przebieg całego wydarzenia od początku do końca. W

drodze do szpitala Cady opowiedziała mu o wszystkim: o tym, jak ktoś ją obserwował w ciemności, o tamtej nocy, kiedy była pewna, że ktoś stał za oknem jej sypialni, co tak bardzo ją wystraszyło, że zabiła gwoździami wszystkie okna na piętrze - co zresztą nie na wiele się zdało.

Matt był zły i pytał, dlaczego nie powiedziała mu tego wcześniej. Ponieważ nic konkretnego właściwie się nie działo aż do ostatniej nocy. Ponieważ nie chciała się ośmieszać. Ponieważ nie ufała swojemu instynktowi ...

Carly westchnęła.

- Mój Boże, czy myślisz, że to on chciał otruć Annie? Matt był bardziej zachmurzony niż zwykle.

- To wydaje się prawdopodobne. Tylko dlatego, że nie było w domu psa, mógł się zacząć na ciebie w nocy. Pozbył się Annie, aby go nie zdradziła szczekaniem, bo planował atak na ciebie. -

Zatrzymał się na światłach i wtedy spojrzała na niego. Jego oczy były twarde jak stal. -Mamy do czynienia z zaplanowaną, przemyślaną próbą zabójstwa.

- Kto mógłby chcieć to zrobić? - W jej głosie brzmiało przerażenie. - Matt, to nie John, jestem tego pewna. Ale w takim razie kto? - Znajdziemy go. Nie bój się, Cuds, znajdziemy go. A ja zrobię

wszystko, żebyś do tego czasu była bezpieczna.

Zaparkował przed budynkiem, gdzie mieściła się przychodnia weterynaryjna, i poszli po Annie.

- Czy nie zatrzymałeś przypadkiem treści jej żołądka? - zapytał Matt Barta Lindseya, gdy ten przyniósł im Annie do gabinetu zabiegowego.

- Niestety nie. Nie sądziłem, że może być potrzebna. - Weterynarz przepaszająco potrząsnął głową i podał Cady psa. - Niemniej jestem przekonany, że to trucizna na szczury. Annie miała wszystkie klasyczne symptomy.

- Nie ma sposobu, aby stwierdzić, czy ktoś jej to podał specjalnie? Weterynarz wzruszył ramionami.

- To oczywiście możliwe. Ale z psami nigdy nic nie wiadomo.

Wiele z nich zjada wszystko, co znajdują.

- Czy powinnam jakoś się nią zająć? Dawać jej lekarstwo czy coś takiego?

Cady z niepokojem patrzyła na Annie. Suczka miała zwieszony ogonek i wyglądała na wyczerpaną. Była jeszcze chudsza niż przedtem, dosłownie sama skóra i kości. Słyszac jej głos, Annie cichutko zaskomlała.

- Biedna psina - powiedziała Carly, głaszcząc ją po uszkach.

- Jest jeszcze trochę oszołomiona. Poczuję się lepiej, gdy ogora-nizm wydali resztę trucizny. - Bart Lindsey spojrzal na Cady. - Słyszałem, co ostatniej nocy przytrafiło się tobie i twojej przyjaciółce. To po prostu straszne. Nie mogę uwierzyć, że w naszym miasteczku ... - Przerwał i skierował spojrzenie na Matta. - Czy sądzisz, że to kolejna próba włamania?

- Na razie jeszcze nie wiem, co o tym sądzić.

Matt otworzył drzwi do poczekalni i przepuścił przodem Carly.

W środku ktoś siedział. Cady od razu go poznała: to był Hiram Lindsey.

- Hiram! - Doktor Lindsey przywitał się z nim ciepło, wchodząc za Matta i Carly do poczekalni. -

Wróciłeś czy nie byłeś jeszcze w domu?

- Wróciłem - odrzekł Hiram Lindsey i spojrzal na Carly.

- Jak pies?

- Lepiej - odpowiedziała.

Annie, jakby dla potwierdzenia jej słów, zaszczekała.

- Powinna całkowicie wrócić do zdrowia - zapewnił ich Bart Lindsey.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do poczekalni weszła kobieta z miłutkim, prążkowanym kotem na rękach.

Annie zaszczekała słabiutko. Dochodziła do siebie po okropnych przeżyciach i nadal nie znosiła kotów.

- Witam, Alice. Muffy gotowa na zastrzyk?

Carly wyszła, gdy Bart Lindsey witał się serdecznie z kolejnym pacjentem.

- A więc masz psa, który nie cierpi kotów, i kota, który nie cierpi psów - odezwał się zrezygnowany Matt, gdy wsiadali do samochodu. - I oboje zamieszkają w moim domu. To może być interesujące.

- No cóż, zawsze mogę zatrzymać się gdzieś indziej - powiedzia-

ła Carly, głaszcząc Annie, która skuliła się na jej kolanach. Miała jednak nadzieję, że Matt nie będzie tego od niej oczekiwał. - Z moim psem i kotem.

Matt się skrzywił.

- Curls, dla ciebie jestem nawet gotów zamieszkać z całym zoo.

W jego ustach znaczyło to wiele, Carly wiedziała o tym.

Reszta dnia upłynęła w zaskakująco miły sposób. Matt wrócił do pracy - Carly podejrzewała, że pojechał z powrotem do jej domu, chociaż nie pytała, a sam nic jej nie powiedział - i zostawił ją pod opieką jednego ze swoich zastępców, Sammy'ego Brooksa, postawnego, łysiejącego, uroczego mężczyzny około czterdziestki. Dał Samowi dokładne instrukcje, aby nie spuszczał

Carly z oczu. Gdyby chciała gdzieś wyjść, miał jej towarzyszyć, gdyby miała ochotę zostać w domu, miał tam siedzieć razem z nią. Patrząc na Carly, groźnie oświadczył, że tak będzie, dopóki nie złapią człowieka, który na nią napadł. To był Matt - król świata w całej okazałości, ale Carly się nie sprzeciwiała. W tych okolicznościach była skłonna stosować się do jego poleceń.

- Mówiłam ci, że jest władczy - stwierdziła Lissa z uśmiechem, gdy Matt w końcu wyszedł.

- Mam nadzieję, że nie będzie wam przeszkadzało, jeżeli trochę tu pomieszkam - powiedziała do niej Carly przepraszającym tonem.

Lissa szykowała się do pracy, ale z wyraźnym zainteresowaniem obserwowała, jak Carly instaluje się w sypialni Matta - początkowo Carly nie zgadzała się, aby oddał jej swój pokój, ale nie chciał

nawet o tym rozmawiać i zapewnił ją, że będzie mu bardzo wygodnie na kanapie w salonie.

Lissa, Carly i Dani siedziały w kuchni. Sa. mmy roz-gościł się w salonie i oglądał sport w telewizji.

Carly pożegnała się z Mattem i stała oparta o kuchenny blat. Dani siedziała przy stole i pałaszowała sałatkę. Lissa wkładała sandały na wysokich obcasach.

- Nie mogę na razie wrócić do domu po tym ...

- Jasne, nie mamy nic przeciwko temu, że tu zamieszkasz. To nie twoja wina. - Lissa zapięła sandały i spojrzała na nią z przejęciem. - No wiesz, wszyscy rozmawiają o tym, co się stało. To musiało być okropne.

- To dom Matta - powiedziała Dani, biorąc do ust kolejną porcję sałatkj. - Może zapraszać, kogo chce. Ale nigdy tego nie robi. Żadna kobieta nie była tu dłużej niż godzinę, dopiero ty i twoja przyjaciółka spędziłyście u nas całą noc.

- To bardzo znaczące. - Lissa puściła do Carly oko i sięgnęła po torebkę. - Tak nam się przynajmniej wydaje. Naszym zdaniem nasz wielki brat się zadurzył.

Carly zdobyła się na wymuszony uśmiech. To miły wniosek.

Szkoda tylko, że nie całkiem prawdziwy.

- On mnie traktuje jak jeszcze jedną siostrę.

Lissa zachichotała. Dani pokręciła głową.

- Nami tak się nie zajmuje. Nie obchodzi się z nami tak, jakbyśmy były ze szkła. Gdyby przytrafiło się nam coś strasznego, byłby wściekły i zrobiłby wszystko, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo. Ale nie ... zabiegałby tak. - Dani powiedziała to z przekonaniem.

- Dobre określenie. --: Lissa pokiwała głową z aprobatą. - To właśnie robi. - Spojrzała na Carly. -

Zwykle to dziewczyny uganiają się za nim. On nigdy o nie nie zabiega.

- Przez chwilę myślałam, że dostanie go Shelby. - Dani skończyła sałatkę i wstała. - Cieszę się, że tak się nie stało.

Zadzwonił telefon i ktoś zapytał, czy to prawda, że Carly Linton u nich zamieszkała, bo wczoraj w domu zaatakował ją jakiś szaleńiec. Rozmowa się urwała. Reszta dnia upłynęła bardzo szybko.

Wpadł do nich Mike Toler z całym naręczem wyjętych z szaf i szuflad ubrań~ wśród których był

na szczęście szlafrok Sandry i jakaś sukienka, nadająca się do noszenia w szpitalu. Carly spakowała je razem z innymi rzeczami, o które prosiła przyjaciółka, i pojechała na zakupy. Kiedy weszła do pokoju Sandry z całym plikiem czasopism i jej ulubionymi przysmakami, przy łóżku siedział Antonio, a ona sama była radosna jak skowronek. Po drodze Carly spotykała ludzi, którzy słyszeli, co się stało, i dopytywali się, jak się czuje, chwalili jej odwagę, a także nie mogli się nadziwić, że w

Benton w ogóle doszło do czegoś tak okropnego. Wieczorem zjedli kolację, przypominającą przyjęcie. Uczestniczyły w niej trzy siostry Matta, kilku jego zastępców łącznie z Sammym, którego co prawda zwolnił Mike Toler, ale i tak został z nimi, aby coś zjeść. Matt miał

wrócić bardzo późno. Jest... zajęty, wyjaśnił Mike.

Po sposobie, w jaki to powiedział, Carly wywnioskowała, że Matt prowadził dochodzenie w sprawie wczorajszych wydarzeń, ale nikt nie podał jej żadnych szczegółów, a sama nie pytała.

Nie chciała tego wiedzieć. Zapadał już zmierzch i nie zamierzała nawet wracać myślami do poprzedniej nocy.

Kiedy około dziesiątej wieczorem Carly poszła na górę do sypialni - celowo pożegnała się, gdy w domu było jeszcze dużo ludzi i paliły się światła - miała dość dobry nastrój. Matta nadal nie było w domu, co okazało się nawet sprzyjającą okolicznością. Potrzebna jej była noc, chociaż jedna, aby mogła się wyspać i zebrać myśli, a następnego dnia znowu stawi czoła swoim problemom, jednemu za drugim. I

Musi podjąć decyzję, co zrobić z Mattem.

Wzięła prysznic, uważając, aby nie zamoczyć szwów i opatrunku.

Zszyte miejsca na ramieniu trochę ją szczypały, a rana pod bandażem piekła, ale najgorsze było to, że stanowiły pamiątkę po nocnym horrorze. Starła się o tym nie myśleć, starała się nie dopuszczać do siebie przeżytego koszmaru i szykując się do snu, śpiewała po kolei wszystkie wesołe piosenki, jakie pamiętała. Potem połknęła lekarstwo przepisane przez lekarza, które w ciągu kilku najbliższych nocy miało jej pomóc, jak to powiedział, uporać się z szokiem, a następnie włożyła spodnie od piżamy w pastelowe paski i różową górę. Wybrała ten strój świadomie, ponieważ wesołe kolory poprawiały jej nastrój, posmarowała usta wiśniowym błyszczkiem, gdyż ten smak także dobrze na nią działał, i włączyła telewizor Matta, szukając programów rozrywkowych, takich jak "The Cosby Show" i "Cheers". Kiedy wreszcie położyła się spać, Hugo zwinął się w kłębek obok niej, a Annie zajęła miejsce na dywaniku pod łóżkiem.

Oglądając Cosby'ego, który przeprowadzał ojcowską rozmowę z Theo, czuła się zadowolona, naprawdę zadowolona i nawet nie zauważyła, kiedy zmorzył ją sen niczym gigantyczna, biała fala.

Nie wiedziała, jak długo spała. Sen, w jaki zapadła, był głęboki, ale nie przyniósł ukojenia. Coś jej się śniło. Rzeczy, o których nie chciała pamiętać. Sprawy, które powróciły, chociaż się przed nimi broniła. Były zbyt smutne, zbyt drastyczne, zbyt przerażające, by mogła przed nimi uciec.

Miały oczy. Jasnobłękitne, pozbawione rzęs oczy. Przysuwały się bliżej, bliżej, coraz bliżej, aż znalazły się o kilka centymetrów od jej twarzy. Oczy potwora ...

I wtedy znowu znalazła się w Domu.

Kanapa w salonie była długa, szeroka i wygodna. Nie.

Matt zrzucił z wściekłością poduszkę na podłogę i zrezygnował z szukania wygodniejszej pozycji.

To nie miało znaczenia. I tak nie mógł zasnąć, chociaż bardzo potrzebował snu. Czy w ciągu ostatniej doby udało mu się zdrzemnąć chociaż na dwie godziny? Sen wymykał mu się tak samo jak ten łajdak, który zaatakował Carly. A naj-bardziej przerażające było to, że nie miał cienia wątpliwości, iż ten facet nie zrezygnuje i będzie ją ścigał, dopóki jej nie dopadnie lub sam nie zostanie złapany. Schwytanie tego bandyty to zadanie dla niego i jego ludzi. Policja stanowa pojawiła się, co prawda, na miejscu przestępstwa, ale wyraźnie dano mu do zrozumienia, że fala upałów poczyniła spustoszenie także w ich szeregach i że napad w domu na dwie kobiety, który nie łączył się z gwałtem, nie przyniósł w rezultacie żadnej z nich poważniejszych obrażeń ani nie spowodował śmierci ofiar, nie jest dla nich priorytetową sprawą. FBI nie miało podstaw prawnych ani ochoty, aby się w to angażować, chociaż zaprzyjaźniony agent zaproponował

pomoc w przeprowadzeniu badań porównawczych DNA na ich komputerach, jeżeli Matt dostarczy mu próbki krwi, mogącej należeć do napastnika. Matt nie liczył zbytnio na tego typu analizę - dawało to efekty tylko wtedy, gdy DNA napastnika znajdowało się już w bazie danych -

postanowił zatem skupić się na bardziej tradycyjnych metodach śledztwa, na przykład na zbieraniu tropów i śladów. Przewrócił się na plecy i patrząc w ciemności, zaczął rozważać wszystko, co na ten temat wiedział lub wydawało mu się, że wie.

Po pierwsze, dane dotyczące wyglądu napastnika: był nieco wyższy od Sandry, mógł zatem mieć od stu siedemdziesięciu siedmiu do stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu.

Jasnoniebieskie oczy, niemal pozbawione rzęs. Słabo widoczne rzęsy mogły świadczyć o tym, że miał jasne włosy; blondyni i ludzie o jasnych włosach z reguły mają słabsze owłosienie, a ich rzęsy bez makijażu, którego fałceci raczej nie robią, są jasne i mniej widoczne, co by się zgadzało z opisem Carly.

Po drugie, napastnik miał na sobie płaszcz i kaptur z maską na twarzy przy temperaturze blisko czterdziestu siedmiu stopni. O czym to świadczyło? Może chciał je nastraszyć, ale w takim wypadku należało się także spodziewać, że zacznie torturować swoje ofiary, aby zwiększyć podniecenie, jakie przeżywał na widok ich strachu. Nic takiego jednak nie zrobił; gdy tylko dostał

w swoje łapy Carly, usiłował poderżnąć jej gardło. To raczej eliminowało chęć wywołania strachu dziwnym strojem.

Może facet był po prostu lunatykiem, który wychodził w nocy w przebraniu podobnym do tego, jakie nosili komiksowi wojownicy ninja. Ale lunatyk, który wziął sobie za cel właśnie Carly?

Możliwe, ale raczej mało prawdopodobne.

A zatem, być może nie chciał, aby go rozpoznano. Płaszcz i maska na twarzy miały ukryć jego tożsamość, na wypadek gdyby ktoś poza ofiarą (Mattowi łatwiej było myśleć o Carly jako o ofierze; hańmowało to wściekłość, zaciemniająca mu umysł, gdy analizował sytuację, w której Carly zdana była na łaskę zbrodniczego łajdaka) zdołał go zobaczyć lub gdyby ofiara przeżyła i mogła opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło. Taką hipotezę potwierdzał fakt, że napastnik powiedział do Carly: "Teraz cię pamiętam". To oczywiście mogło znaczyć, że zapamiętał ją, bo zaskoczyła go w jadalni. To, że włamywacz i napastnik ze zbrodnicznymi zamiarami to jedna i ta sama osoba, było niemal pewne.

Sam skłaniał się do ostatniego scenariusza. Poza tym, statystycznie rzecz biorąc, mordercy zwykle znają swoje ofiary.

A zatem miał do czynienia z dobrze zbudowanym, jasnowłosym mężczyzną o jasnych oczach, wzrostu około stu osiemdziesięciu centymetrów, którego Carly czy też Sandra lub przypadkowi świadkowie mogli rozpoznać, gdyby nie nosił przebrania.

Kolejnym tropem były, oczywiście, rana i krew, pozostawiona przez napastnika na miejscu przestępstwa.

(Brawo dla Carly. Zawsze była bardziej waleczna od trzech facetów razem wziętych).

Sprawdzano okoliczne szpitale, aby uzyskać informacje, czy gdzieś nie udzielono pomocy mężczyźnie z raną w nodze, zadaną kawałkiem szkła. Jeżeli zaś chodziło o krew, to w domu było jej pełno. Otrzymał już wyniki badań; napastnik miał grupę zero, jak niemal połowa populacji.

To nie pomoże w odnalezieniu podejrzanego, chociaż zawsze należało się liczyć z możliwością natrafienia na identyczne DNA. Psy Bil y'ego Tynansa znalazły ślady krwi, które zaprowadziły ich do miejsca, gdzie przestępca zaparkował samochód. Był to prawdopodobnie wóz terenowy z napędem na cztery koła, ponieważ napastnik wjechał nim w trudno dostępne miejsce z dala od drogi. W tej okolicy jednak wiele osób miało takie samochody. Dotychczas nie udało się jeszcze uzyskać ekspertyzy śladów opon i innych znaków szczególnych wozu.

Czwartym tropem był odcisk stopy. Gdy Matt wpadł do domu głównym wejściem, napastnik uciekł tylnymi drzwiami, ale przebiegając przez frontowy korytarz, w pośpiechu przewrócił puszkę z czerwoną farbą, którą Carly smarowała dach. Wdepnął w nią, zostawiając na podłodze piękny ślad. Matt otrzymał już gipsowy odlew, który przesłał do analizy.

I wreszcie była jeszcze chusteczka do nosa. Zwykła, biała, męska chusteczka do nosa, najwyraźniej nasączona jakimś środkiem odurzającym, którą ten drań przyłożył Sandrze do nosa, aby była cicho po tym, gdy chwilowo straciła przytomność. Próbował następnie tej samej sztuczki z Carly, ale miał mniej szczęścia. Bandyta zgubił chusteczkę, gdy Carly rzuciła się na niego.

Matt oddał chusteczkę do laboratorium, aby sprawdzić, czym ją nasączono. Podejrzewał, co to mogło być, ale chciał poczekać na wyniki analizy.

Najważniejsze jednak, że chusteczka miała ...

Nagle ciszę nocną przerwał krzyk, przeraźliwy krzyk, krzyk kobiety, który odbił się echem od ścian i zelektryzował każdy nerw w ciele Matta. Carly. Wiedział, czyj to krzyk, zanim jeszcze zeskończył z kanapy i zaczął biec po schodach, skacząc po dwa stopnie. Strach dodał mu skrzydeł. Serce waliło jak młotem. W ustach mu zaschło.

Rozległo się ujadanie psa, dzikie, histeryczne szczekanie, co zmobilizowało go do rozwinięcia wręcz nadludzkiej prędkości.

Na Boga, chyba ten łajdak nie zaatakował jej tutaj.

Matt zorientował się, że nie ma przy sobie pistoletu. Broń nie była mu jednak wcale potrzebna.

Jeżeli ten bandyta jest tam z Carly, rozerwie go na kawałki gołymi rękami.

Z każdą upływającą sekundą cieszył się na to coraz bardziej. Wpadł do sypialni z impetem równym wystrzelonej piłce, mającej za moment wlecieć do bramki. Drzwi zatrzęsły się w zawiasach. Zobaczył Carly, która siedziała wyprostowana pośrodku łóżka i krzyczała, jej szeroko otwarte oczy lśniły w słabym świetle z uchylonych drzwi od łazienki. Ten cholerny pies, nadal wściekle ujadając, zaatakował go, kierując się ku jego gołej nodze. Matt zrobił unik i zapalił światło.

- Annie! Nie! - zawołał.

Kot przeciągnął się na łóżku i dał susa na fotel.

Ostatnie echa krzyku brzmiały jeszcze w powietrzu, gdy Matt zorientował się, że w sypialni nikogo poza nimi nie było.

- Spokój, Annie - uciszał psa, który wycofał się, nie przestając szczekać.

Po chwili zwierzak uspokoił się, rozpoznając przyjaciela.

Matt stał na środku sypialni, ciężko dysząc, ale jego serce powoli wracało do normalnego rytmu.

Carly odzyskała świadomość tego, gdzie była i co się działo.

- Matt. .. - odezwała się drżącym głosem dokładnie w tej samej chwili, gdy gromadka dziewcząt zebrała się na korytarzu za drzwiami sypialni, wykrzykując jedna przez drugą:

- Matt, co się stało?

- Carly, nic ci nie jest?

- Czy ktoś próbował się włamać?

Matt odwrócił się i potrząsnął głową. Jego siostry miały na sobie letnie pizamy, krótkie spodenki i

obszerne podkoszulki, Lissa związała na noc włosy w warkocze, aby rano były bardziej falujące, Dani ściągnęła swoje w koński ogon, co miało je wyprostować, a policzki Erin świeciły się od kremu.

Patrzyły się na niego, a na ich twarzach widać było zaskoczenie, domysły i wesołość. Nagle dotarło do niego, że stoi tam w samej bieliznie, i spojrzał srogo na siostry.

- Przepraszam. Przyśnił mi się jakiś koszmar - powiedziała ciicho Carly, patrząc na nie ponad jego plecami.

- No dobra, wszystko pod kontrolą. Odmaszerować - powiedział, idąc w ich stronę.

Zachichotały chórem. Matt zignorował te śmiechy i trzy pary oczu, które się w niego wpatrywały, odsunął dziewczyny o krok i zamknął im drzwi przed nosem. A potem dla pewności przekręcił

klucz w zamku.

Boże, chroń przed siostrami.

Potem spojrzał na Carly. Była biała jak ściana, z jej twarzy odpłynęła cała krew. Nadal wydawała się przerażona. Włosy tworzyły gęstwinę blond loków, która okalała jej twarz jak lwia grzywa.

Błękitne jak u lalki oczy były ogromne. Usta drżały. Nadal siedziała wyprostowana jak trzcina pośrodku łóżka. W różowej piżamie, której widział tylko górę spod kołdry, wydawała się jeszcze bardziej drobna, bezbronna i kobieca.

Na ramieniu miała duży opatrunek w kolorze ciała, a jej lewą dłoń spowijał bandaż.

Świadomość tego, jak bliska była niedawno śmierci, wywołała u niego skurcz żołądka.

Podszedł do kontaktu i wyłączył górne światło. Jego mięśnie napięły się instynktownie, gdy usłyszał cichy, mimowolny jęk Carly, kiedy zrobiło się ciemno. Potem zgasił też światło w łazience, podszedł do łóżka, uniósł kołdrę i wsunął się pod nią.

Carly odwróciła się do niego z westchnieniem, od którego serce mu się ścisnęło. Ułożył się na plecach i mocno przytulił ją do siebie. Oparła głowę na jego piersi i objęła go ramionami.

Znowu pachniała jego mydłem. Tym razem nie była to woń Irish Spring. Musiał kupić sobie inne, ponieważ za każdym razem, gdy brał prysznic, miewał erekcję, co, delikatnie mówiąc, było dość kłopotliwe. Teraz pachniała jego nowym mydłem o nazwie Zest. Podejrzewał, że i to będzie musiał zmienić.

- Chcesz ze mną o tym porozmawiać? - zapytał w ciemnościach. Wzdrygnęła się gwałtownie.

- No dobrze - powiedział, absolutnie świadomy miękkih, ciepłych krągłości, które czuł na swoim ciele.

Ale to była Carly, ranna i przerażona, potrzebowała go, a tej nocy nie wolno mu nawet myśleć o seksie.

- Możemy zagrać w dwadzieścia pytań. Czy to był jeden ze starych koszmarów sennych, czy coś zupełnie nowego?

- Oczy - odpowiedziała i znowu zadrżała. - Śniły mi się oczy. Pa-trzyły na mnie. A potem śnił mi się Dom.

Matt od razu zrozumiał, że oczy, o których mówiła Carly, należały do złoczyńcy, który ją zaatakował. Objął dziewczynę jeszcze mocniej, co było spontaniczną reakcją na myśl, jak mało bra-kowało, aby ją stracił, a Carly wtuliła się w niego. Już zapomniał, jak jest drobna, ale gdy tak leżała na nim, łatwo było wyczuć jej wzrost. Jej stopy sięgały do połowy jego łydek, kości miała bardzo delikatne i prawie w ogóle nie czuł jej ciężaru, tylko krągłości, ciepło i bujną kobiecość ...

Nie wolno mu o tym myśleć.

- Prawie nigdy mi nie opowiadałaś o Domu. Nie byłaś tam długo, prawda? Tydzień? Dwa?

Zapytał ją o Dom, ponieważ wydawało mu się, że łatwiej będzie jej porozmawiać o tym niż o napastniku. Sama myśl o Carly, bez-bronnej, przerażonej i zdanej na łaskę kogoś większego i silniejszego od niej, budziła w Mateie mordercze instynkty. Gdyby miał w tej sprawie coś do powiedzenia, nie musiałaby znowu przez to przechodzić, nawet w myślach. .

- Osiem dni.

- Co się wtedy stało, że przez tyle lat męczą cię koszmary senne? Żle cię tam traktowano?

Wykorzystywano?

Czuł, jak Carly pokręciła głową, czuł jej palce na swoim ciele. Po-łożyła dłoń na jego barku, przerzucając zgięte ramię przez jego pierś, ale w żadnym wypadku nie mógł traktować tego jako uścisku. Od-bierał to raczej tak, jakby czepiała się go, chcąc ratować życie.

- Curls - ponaglił ją.

Świadomie ją tak nazwał, mając nadzieję, że przyzwisko z dzieciństwa przypomni mu, że była jego przyjaciółką, kumplem, małą dziewczynką z burzą loków, która, gdy byli dziećmi, wszędzie za nim laziła i patrzyła na niego z podziwem swoimi błękitnymi oczami. Po-czątkowo traktował ją jak gigantyczny wrzód na tyłku, ale gdy trochę podrosł i polubił tego małego szkraba, zaczął

traktować ją jak swoją kolejną siostrę. I nigdy, w najgorszych nawet snach nie przy-puszczał, że któregoś dnia będzie leżał przy niej w łóżku, podnieco-ny do granic wytrzymałości.

- Byli dla mnie dobrzy - powiedziała cicho drżącym głosem i przytuliła się jeszcze mocniej. - Ale bałam się. Miałam tylko osiem lat i naprawdę, naprawdę tęskniłam za mamą, nie rozumiałam, dla-czego zabrano mnie od sąsiadki, która miała się mną opiekować, dopóki mama nie wróci, i

umieszczono mnie w miejscu, przypominającym szkołę. Nikt się nie pofatygował, aby mi to wytłumaczyć. Pewnie myśleli, że jestem za mała, aby coś zrozumieć. Ale to nie było złe miejsce, w zasadzie było mi tam dość dobrze, dawali wystarczająco dużo jedzenia, wszystkie miałyśmy swoje łóżka i szafki - chociaż ja nie przywiozłam zbyt wielu rzeczy - mogłyśmy też wychodzić na zewnątrz. Na tyłach znajdował się dość duży teren, stała szopa, gdzie trzymano jakieś zwierzęta. Pamiętam nawet osiołka. Był bardzo śmieszny, cały czas porykiwał. - Przerwała i wzięła głęboki oddech. - Potem się rozchorowałam i umieszczono mnie w sali chorych. Te nocne koszmary zaczęły się właśnie wtedy.

Umilkła i Matt poczuł, że zadrżała.

- Hej - powiedział, głaszcząc ją uspokajająco po miękkiej, gołej skórze między łopatkami.

Bardzo chciał, aby to był uspokajający dotyk. Nic na to nie mógł poradzić, że jedwabista skóra pod jego palcami przypominała mu o innych, jeszcze bardziej jedwabistych partiach jej ciała.

- Jestem tu. Nic ci nie grozi. Jesteś tak bezpieczna jak jeszcze nigdy w życiu. Opowiedz mi o tej sali chorych.

Potarła policzkiem o jego pierś. Matt poczuł na swoich sutkach wilgotne ciepło jej oddechu i zacisnął zęby. Carly potrzebowała go teraz i nie z powodu seksu. Potrzebowała kogoś, na kogo mogła liczyć, że zapewni jej bezpieczeństwo. Tym kimś był właśnie on. Przecież naprawdę nie miała nikogo poza nim.

- Przypominała sypialnię, była trochę większa, ale nie bardzo duża. Leżało nas tam cztery.

Pozostałe dziewczynki były dużo starsze ode mnie, niektóre naprawdę duże i trochę się ich bałam. Nie

zwracały na mnie większej uwagi, byłam za mała, ale rozmawiały ze sobą, a ja mogłam leżeć na łóżku i słuchać. Łóżka były piętrowe, metalowe, białe ze sprężynami, które skrzypiały przy każdym ruchu. Ja zajmowałam to na górze.

Znowu umilkła. Matt dał jej trochę czasu, aby ochłonęła. - No dobrze, zajmowałaś górne łóżko. I co dalej?

Carly ponownie wzięła głęboki oddech.

- Dokładnie nie wiem. Pamiętam, że leżałam tam w ciemnościach i słyszałam, jak skrzypią sprężyny. To właśnie powraca do mnie w jednym ze snów o Domu. Leżę w ciemności z otwartymi oczami i słyszę, jak trzeszczą łóżka. - Zadrżała. - Nie wiem, czemu tak bardzo mnie to przeraża. Może dlatego, że zaczęłam podejrzewać, iż moja mama już nigdy po mnie nie przyjdzie. Kiedy masz osiem lat, jest to najbardziej przerażająca rzecz na świecie.

Rzeczywiście nie przysłała po nią, pomyślał ze smutkiem Matt.

O ile wiedział, Carly nigdy już jej nie zobaczyła. Matka zmarła w Kalifornii, gdy Carly była

nastolatką. Matt pamiętał, jak dziewczyna i jej babka leciały na pogrzeb, a po powrocie Carly przez kilka tygodni była wyciszona i zamknięta w sobie. To stało się latem, a on tak bardzo się martwił nienaturalnym milczeniem Panny Wyszczekańskiej, że wspinał się w środku nocy do jej pokoju i wyciągał Carly na nocne eskapady, aby chociaż trochę ją rozruszać. Gdyby babka doświadczyła się o tym, obdarłaby dziewczynę ze skóry. Na szczęście, kiedy zaczęła się szkoła, Carly znów była sobą.

- Hej - zapytał, aby ją rozweselić - pamiętasz, jak spadłaś z tego dużego drzewa nad strumykiem i zламаłaś rękę w nadgarstku?

- Ponieważ powiedziałaś mi, że siedzi na nim wąż i jeżeli szybko nie zejdem, wślizgnie się pod moją bluzkę, bo węże zawsze kierują się do serca? Taak, pamiętam.

W jej głosie słychać było rozbawienie i wymówkę.

- Miałem wtedy trzynaście lat - zaprotestował. - Na tym drzewie zbudowałem sobie twierdzę, a ty byłaś nieznośną, małą dziewczynką. Trzynastoletni chłopcy nie lubią, gdy nieznośne dziewczynki kręcą się przy ich fortecach.

- Odprowadziłeś mnie wtedy do domu i powiedziałaś babci, że zламаłam rękę, bo przewróciłam się o korzeń na podwórku.

Matt uśmiechnął się lekko.

- Nie spodobałoby jej się, że byłaś ze mną w lesie, nieprawdaż?

Nie lubiła też, gdy wspinałaś się po drzewach. Pomyślałem, że ty-le przynajmniej mogę dla ciebie zrobić, po tym, jak z mojej winy spadłaś z drzewa, i postanowiłem skłamać, aby zaoszczędzić ci kłopotów.

Uśmiechnęła się; Matt czuł ten uśmiech na swojej piersi. Trochę się już odprężyła, z jej ciała znikło napięcie i promieniowała ciepłem. Był przerażająco świadomy tego, że leżał tam prawie nagi, a ona miała na sobie tak niewiele i że była kobietą, a ...

Ziewnęła.

- Jestem potwornie śpiąca. Niezła reakcja na jego obecność. - A więc śpij.

- Matt.

Poruszyła się, wciąż na nim leżąc, jej dłoń ześlizgnęła się w dół po jego piersiach i zatrzymała w okolicy tali, zostawiając za sobą ogniasty ślad.

-Hmm? .

- Dziękuję•

- Za co?

- Za to, że ocaliłeś mi życie zeszłej nocy. I za to. Za to, że tu jesteś. Gdy tu jesteś, nie czuję strachu, jestem chyba już zbyt zmęczona, aby się bać.

- Nie ma problemu.

Chociaż w zasadzie był pewien problem. Chciał się z nią kochać, tak bardzo tego pragnął, że zmuszał się, aby mieć przed oczami obraz Cady jako małej dziewczynki, gdyż inaczej przesunąłby jej rękę jeszcze bardziej w dół i ...

- Nigdzie stąd nie pójdziesz, prawda? Możesz tu spać przez resztę nocy?

Jej głos brzmiał naprawdę sennie.

- Taak, mogę tu zostać i spać. - Jego głos był odrobinę oschły i burkliwy, lecz nic na to nie mógł poradzić. Akurat nie myślał o spaniu, ale dla niej ... - Pomyśl o mnie jak o swoim misiu przytulance.

Poczuł, że znowu się uśmiechnęła.

- To mi się podoba. - Jeszcze raz ziewnęła. - Dobranoc, misiu.

- Dobranoc.

Kilka sekund później usłyszał cichutkie chrapanie i domyślił się, że usnęła. Krzywił się bezradnie, patrząc w sufit. Czuł się jak dziecko, które zaprowadzono do sklepu ze słodyczami, a potem powiedziano mu, że niczego nie może spróbować. Okropne uczucie. Ale przynajmniej jego łóżko było wygodniejsze od kanapy. Nawet z Carly zwiniętą przy nim i z gigantyczną erekcją było mu tu lepiej niż w salonie. Powoli zapadał w sen, gdy nagle ten piekielny kot wskoczył na łóżko i zwinął się w kłębek przy jego głowie. Odepchnął go. Kot wrócił. Znowu go odepchnął. I znowu wrócił. Po kilku próbach Matt zrezygnował i kot był górą. Kiedy w końcu udało mu się zasnąć, do jednego ucha cichutko chrapała mu Cady, a do drugiego głośno mruczał kot.

Ostatnią myślą Matta przed zaśnięciem było: "Witajcie w domowym ognisku". Dotarło do niego jeszcze, że ktoś tam, na górze, w kosmosie, musi się nieźle bawić jego kosztem.

Kiedy rano zszedł na dół, okazało się, że zabawa wcale się nie skończyła. Jego trzy siostry siedziały w kuchni przy stole, dokąd podykował z przyzwyczajenia i wiedziony zapachem świeżej kawy. Wziął już prysznic, ogolił się i włożył mundur, nie budząc ani Cady, ani kota, który nadal wylegiwał się na poduszce. Natomiast pies pobiegł za nim na dół. Matt mruknął: "dzień dobry", na co dziewczęta przerwały rozmowę i spojrzały na niego w taki sposób, że od razu się domyślił, co było tematem pogawędki przy kawie. Otworzył drzwi i wypuścił Annie na podwórko. Potem, zrezygnowany, odwrócił się, aby stawić czoło świdrującym spojrzeniom.

Zaczęła Erin.

- Dobrze spałeś? - zapytała wesoło.

- Dobrze - warknął, rzucając wszystkim trzem mordercze spojrzenie, i podszedł do blatu, na którym stał szumiący ekspres do kawy. - Cady miała koszmary senne. Przeraziła się. Zostałem z nią. Koniec sprawy.

Nic z tych rzeczy, dobrze znał swoje siostry.

- Jak to się ma do twojego zalecenia: "żadnego seksu pod moim dachem"? - Tym razem Lissa uśmiechała się do niego drwiąco.

- Nie było żadnego ... zaraz, zaraz, nie będę rozmawiał o swoim życiu seksualnym z własnymi siostrami: - Matt rzucił Lissie karcące spojrzenie i nalał sobie kawy. - Zresztą zasada nie została złamana. - Matt, ona jest bardzo słodka - powiedziała Dani. - A właściwie wy oboje jesteście razem tacy słodcy.

- Daj mi spokój - poprosił Matt, odwracając się. - To przyjaciółka z dzieciństwa.

- Spójrz prawdzie w oczy, wielki bracie: zakochałeś się.

Erin też uśmiechała się do niego. Matt, słysząc te słowa, poczuł, jak krew lodowacieje mu w żyłach. W żadnym razie. W żaden sposób. To niemożliwe.

- Już na to pora - dodała Dani.

- Możecie zmienić temat?

Jeżeli w jego głosie zabrzmiała lekka irytacja, to tylko dlatego, że jak zwykle robiły z igły widły. Co one wiedziały o nim i miłości? Nic. Były dziewczynami i każdy pocałunek kojarzył im się z zakochańiem. Wzmocniony tą pocrzepiającą refleksją, wypił łyk kawy i omal się nie udławił, ponieważ miała okropny, waniliowy smak.

- Rany, kto to zrobił?

- Ja - przyznała Erin. - To specjalna mieszanka. Col in taką lubi.

Wszystkie trzy jak na komendę zaczęły robić głupie miny.

- Hej, Matt, super wyglądałeś w samej bieliźnie - powiedziała Lissa i parsknęła śmiechem.

. Dwie pozostałe siostry pokiwały głowami i uśmiechnęły się znacząco.

- Starczy - zirytował się Matt, włożył czapkę i zmierzył trzpiotki groźnym spojrzeniem. - Dajcie już spokój.

- Jeszcze jedno - Dani usiłowała być poważna, ale oczy jej się śmiały. - Dziewczyny bardziej kręcą bokserki.

- Czy wy nie musicie już być gdzieś indziej?

Wylał swoją kawę do zlewu.

- Dziś jest niedziela. Idziemy do kościoła.

- Ach tak.

Dopiero teraz zauważył, że były ubrane w sukienki i pantofle na obcasach, co oznaczało albo gorący, sobotni wieczór, albo poważny poranek niedzielny. Jako że sukienki wyglądały bardzo przyzwoicie, z całą pewnością był niedzielny poranek.

- A gdzie ukochany?

- Jeżeli masz na myśli Colina, zaraz tu będzie - z godnością odpowiedziała Erin.

- A co z Numerem Jeden i Numerem Dwa?

- On ma na myśli Andy'ego i Craiga - poinformowała Dani Lisę.

Matt zauważył, że siostra nie sprawia wrażenia obrażonej. Być może dlatego, że określenia były trafne. Gdyby musiał, mógłby jeszcze dosadniej nazwać ich absztyfikantów.

- On po prostu usiłuje zmienić temat. Ale nic z tego. - Lissa utkwiała oczy w bracie. - My chcemy porozmawiać o tobie i Carly.

- To nie wasza sprawa.

Matt wylał zawartość ekspresu do zlewu.

- Hej, to było dla Colina - zaprotestowała Erin. - Zaraz tu przyjdzie.

- Podziękuj mi później.

- Zrobiliśmy głosowanie - powiedziała Dani. - Ty i Carly, zgadzamy się.

- No, to będę mógł umrzeć szczęśliwy - odparł Matt, odkręcił kran z wodą, aby umyć dzbanek, z premedytacją zagłuszając szczebiotanie sióstr.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że czeka cię mały problem - odezwała się Erin, gdy zakręcił kran.

- Lada chwila będzie tu Shelby. Idzie z nami do kościoła.

- Cholera - zaklął Matt, stawiając dzbanek, bo wyobraził sobie nagle schodzącą po schodach Carly, która przyłączyłaby się do tego radosnego zgromadzenia. - Czy nie mogłabyś znaleźć sobie na męża kogoś innego niż brata Shelby?

- Mogłabym - odpowiedziała Erin, gdy Matt otworzył drzwi i gwizdnął na Annie. Ku jego zaskoczeniu suczka natychmiast przybiegła. - Tylko dlaczego?

_ Ponieważ Col in to zwykły dupek? - zasugerowała słodko Dani.

- Wcale nie! - zaperzyła się Erin.

- Taak - Lissa się skrzywiła. - Niestety tak.

- Matt ... - Erin patrzyła na niego błagalnie.

_ Wychodzę, moje panie. O ile nie będę musiał włożyć na ślub różowego krawata, Erin może wyjść za Col in, jeżeli tego chce. - Za-uważył Mike'a Tolera, który przyjechał pilnować Carly, i pomachał do niego. - Nawet jeżeli to dupek.

- Kto? - zapytał Mike z zainteresowaniem.

_ Dziewczyny ci wyjaśnią. - Matt uśmiechnął się złośliwie do Erin, pomachał wszystkim i poszedł do pracy.

Przez cały dzień nie dawała mu spokoju piosenka ze starego, głupiego serialu, która mówiła, że miłość i małżeństwo są ze sobą nie-rozerwalnie związane. Jak koń i kareta.

Następny tydzień minął bardzo szybko. Carly nie chciała więcej robić z siebie widowiska i postanowiła brać podwójną dawkę pigułek nasennych, co dość dobrze poskutkowało. Sandra wyszła ze szpitala i zamieszkała w pokoju Matta razem z Carly, która przeniosła się na składane łóżko pożyczone od sąsiadów. Matt uważał, że atak na sandrę był przypadkowy i że napastnik nie zamierza jej ścigać. Sandra jednak oświadczyła, że po tym, co się stało, za żadne skarby nie wróci sama do nawiedzonego domu. Zresztą Matt wciąż traktował dom Carly jako miejsce przestępstwa, co oznaczało, że dostęp do niego, poza przedstawicielami prawa, był nadal ograniczony. A zatem na pewien czas Carly i Sandra musiały zamieszkać razem w jednym pokoju. Carly doszła do wniosku, że to nie takie złe, bo po pierwsze, wykluczało sypianie z Mattem i nie musiała się na razie zastanawiać, czy to dobry czy zły pomysł, po drugie, ona i Sandra dopasowały się do siebie jak mucha do lepu i po trzecie, nie była nigdy sama. Nigdy, naprawdę nigdy, chyba że wchodziła do łazienki i zamykała za sobą drzwi.

Carly była wdzięczna Mattowi za prewencyjną opiekę, jak to w sposób oficjalny określił Matt, chociaż oczywiście martwiło ją, że w ogóle znalazła się w takiej sytuacji. Ale w miarę upływu dni okazało się, że histeria związana z paniczną obawą o własne życie, która ogarnęła ją w chwili, gdy tamten potwór na nie napadł, teraz powoli zaczyna ustępować. Na własnym przykładzie zauważyła, że człowiek może odczuwać paniczny lęk tylko przez jakiś czas, a potem życie stopniowo zaczyna wracać do normalności albo też człowiek dostaje bzika. Niemniej brak prywatności stawał się dość irytujący. Doskonale zdawała sobie sprawę, że ten problem dotyczył także innych; dla całego otoczenia sytuacja stawała się powoli męcząca. Siostry Matta były naprawdę wspaniałe i bardzo je polubiła, ale obecność dwóch obcych kobiet musiała być dla nich uciążliwa; wszystkie pracowały, miały swoich chłopaków, a Erin zajęta była statnymi przygotowaniem do ślubu. Do tego jeden z zastępców Matta stale tkwił w ich domu w czasie, gdy przebywała tu także Carly, a kuchnia Sandry ściągała pozostałych ludzi szeryfa, jeśli akurat te mieli służby. W dodatku Hugo i Annie ganiłi się po pokojach co najmniej raz dziennie i trudno się było dziwić, że to miejsce coraz rzadziej przypomina cyrk. Plussem owej zwariowanej sytuacji było że odsunęła całe przerażenie, a nawet zwykły strach; minusem to, że doprowadzała wszystkich do szaleństwa.

Matt nie należał do tego zamieszania. Przychodził do domu w zasadzie tylko nocować, zwał się na kanapę gdzieś około północy chodził o szóstej rano. Jak opowiadał Mike Toler, pracował do niego jak wół. Zresztą wszyscy pracowali intensywnie. Gromadziła dokumentację przestępstw popełnionych w podobny sposób i Matt

w każdej wolnej chwili przeglądał akta, szukając czegoś, co pomogłoby w identyfikacji człowieka, który zaatakował Carly i Sandrę. Jak do tej pory bez powodzenia, co przyznał kwaśno Antonio, gdy pełnił dyżur przy Carly. Jednym z najbardziej obiecujących dowodów w tej sprawie była chusteczka, zgubiona przez napastnika. Naścażył ją chloroformem - co potwierdzał też słodki zapach, który czuła Carly - ale najważniejsze były zdobiące ją, wyhaftowane trzy litery. Bez wątplenia monogram. Niestety, chusteczka była stara i zniszczona, a wyszywane inicjały bardzo wystylizowane, można je było więc odczytać jako BLH, RIH, RLH lub BrH. A może nawet H to wcale nie było H, tylko A. Próbowali dociec, gdzie została wykończona, aby rozszyfrować zestaw liter; zamówili też komputerową analizę liter w nadziei, że pomoże im to coś wyjaśnić. Ale żadna

kombinacja liter, która była brana pod uwagę, nie mówiła Carly ani nikomu innemu. Bez jakiegokolwiek tropu lista podejrzanych obejmowałaby jedną czwartą męskiej populacji stanu Georgia oraz jeszcze kilku przypadkowych mężczyzn z okresu, kiedy Carly była mężatką.

W czwartek Cady zdecydowała, że taka sytuacja nie może trwać w nieskończoność, i postanowiła porozmawiać z Mattem. W piątek nadal czekała na okazję, aby mu to powiedzieć. W

sobotę wciąż czekała z równym powodzeniem. Z wyjątkiem desperackiego pomysłu, aby wstać o drugiej w nocy, zejść na dół i obudzić śpiącego na kanapie Matta, nie widziała w dającej się przewidzieć przyszłości żadnej szansy na przeprowadzenie z nim stanowczej rozmowy. Po rozważeniu takiej ewentualności uznała, że nie miałyby żadnych skrupułów, aby obudzić go w środku nocy; ale jednocześnie doszła do wniosku, że istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, aby udało jej się wyjść z pokoju bez tłumaczenia Sandrze, dokąd się udaje, a tym bardziej przeprowadzić rozmowę bez przerywników w postaci wracających po nocy do domu sióstr Matta z narzeczonymi lub, co gorsza, nie mając na karku wszystkich czterech kobiet, które zebrane na szczycie schodów wsłuchiwałyby się z zainteresowaniem w każde wypowiedziane przez nich słowo. Carly miała jednak nadzieję, że okazja nadarzy się w sobotni wieczór, kiedy dziewczyny pójdą na randki, a Antonio zabierze Sandrę na kolację, która miała być, jak to zapowiedział, jego drobnym podziękowaniem za wszystkie królewskie potrawy; jakie dla nich gotowała.

Szczyście jednak jej nie dopisywało. Matt nie pojawił się w domu przez cały dzień. O ósmej wieczorem Carly siedziała na kanapie z Hugonem zwiniętym w kłębek na kolanach, Annie drzemącą u stóp oraz Mikiem Tolerem w mundurze i nastroju psa-dozorcy obok siebie.

Przyglądała się wyjściu Sandry z Antoniem, potem Lis-sy z Andym, a wreszcie Dani z Craigiem.

Na końcu zeszła na dół Erin. Czekala na Colina, który, co Carly już wcześniej zauważyła, miał zwyczaj się spóźniać.

Erin krążyła niespokojnie po salonie, aż wreszcie stanęła i ująwszy się pod boki, zaczęła obserwować Carly i Mike'a siedzących obok siebie na kanapie. Carly też spojrzała na Mike'a, który skrzyżował ręce na piersiach i ze zmarszczonymi brwiami gapił się w ekran telewizora.

Jego mina wyraźnie wskazywała, że oczekiwał dalszej części sobotniego wieczora z równym entuzjazmem jak ona.

- Wyglądacie oboje dość ponuro - zauważyła Erin.

W krótkiej, bawełnianej sukience bez rękawów i w pantoflach na wysokich obcasach wyglądała naprawdę ślicznie. Jej gesty i sposób mówienia czasami tak bardzo przypominały Carly Matta, że miała ochotę zamknąć oczy, aby na to nie patrzeć.

- Gdzie, do cholery, podziewa się Matt? Carly, powinnaś go zmusić, żeby cię zabrał do miasta.

A ty - Erin zwróciła się do Mike'a - nie znasz jakichś ładnych dziewcząt? Mam na myśli wolne dziewczyny. - Pracuję - oświadczył Mike.

Jego głos zabrzmiał niemal opryskliwie. Nie odrywał oczu od telewizora. Erin zmarszczyła brwi.

Carly obserwowała tę sytuację z wyraźnym zainteresowaniem, ale przybrała obojętny wyraz twarzy, ponieważ Erin spojrzała na nią, najwyraźniej oczekując odpowiedzi.

- Matt też jest w pracy - odrzekła Carly. - Zresztą nawet gdyby przyszedł, nie wiem, czy chciałby mnie gdzieś zabrać. Mówiłam ci już, że nie jest moim chłopakiem. Nic nas nie łączy.

Erin i Mike spojrzeli na nią dość sceptycznie.

- Tak czy inaczej, jest bardzo zajęty - dodała bez przekonania.

- On celowo trzyma się od ciebie z daleka - powiedziała Erin. - Któregoś dnia z Lissą i Dani drażniłyśmy się z nim, że jest w tobie zakochany. Myślę, że się przestraszył.

- Matt nie jest we mnie zakochany - upierała się Carly. Zastanowiła się nad tym przez moment, a potem spojrzała na Erin, która przecież dobrze знаła swojego brata. - A jest?

Erin wzruszyła ramionami.

- Prawdę powiedziawszy, z Mattem trudno dojść do ładu. My uważamy, że jest zakochany.

Traktuje cię zupełnie inaczej. Jest bardzo opiekuńczy. Oczywiście narzuca swoje zdanie, ale w miły sposób. A poza tym spał razem z tobą pod tym dachem. To nigdy przedtem się nie zdarzyło.

- Och, chyba nie powinienem tego słuchać - uznał Mike, wiercąc się nerwowo.

Obie kobiety zignorowały go jednak. Carly nadal patrzyła na Erin.

- Miałam nocne koszmary. Nic między nami nie zaszło.

- I widzisz, to też jest bardzo znaczące. Jak myślisz, ile kobiet spało z nim i nic między nimi nie zaszło? Problem w tym, że on nie chce się angażować. Jeżeli rzeczywiście poczułby, że się zakochuje, prysnąłby za siódmą górę.

- To, że pryska za siódmą górę, nie znaczy wcale, że boi się zakochać - odparła cierpko Carly. -

To jego normalna taktyka. Ja nazywam ją "całować i uciekać".

Erin się zaśmiała.

- Powiedziałaś mu to? Carly pokiwała głową.

- Przed czy po tym, jak pocałował cię w biurze? Carly też się uśmiechnęła.

- Chyba jakoś w tym samym czasie.

- To wspaniale. Tego właśnie potrzebuje. Kogoś, kto mu dorówna. Matt jest najlepszym bratem na świecie, przecież poświęcił swoje życie, aby się nami zajmować, ale jest troszeczkę, jak by to powiedzieć, despotyczny. Poza tym nigdy w życiu nie musiał zabiegać o żadną dziewczynę.

Wystarczy, że stanie i będzie oddychał, a dziewczyny same do niego przybiegną. Nie mam na myśli ciebie.

- Ja biegałam za nim tak jak inne - wyznała Carly. - Jakieś dwa-naście lat temu.

Erin uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- A zatem wiesz, o czym mówię. Rozumiesz mnie? Ale w twoim wypadku nie jest źle. Wydaje mi się, że to daje efekty. Ciebie traktuje inaczej niż resztę dziewczyn, z którymi się spotykał, uwierz mi. Z tobą nie chodzi mu tylko o seks.

- Naprawdę uważam, że nie powinienem tego dłużej słuchać - wtrącił się Mike.

Żadna z nich nawet na niego nie spojrzała.

- To dlatego, że jestem jego jedyną przyjaciółką - oświadczyła po-nuro Carly. - Nie dziewczyną, ale przyjaciółką.

Erin się wykrzywiła.

- Tak ci powiedział?

-Tak.

Na podjeździe rozległ się klakson.

- Och, to Col in, muszę już iść. - Erin ruszyła w stronę drzwi.

Odwróciła się jednak i spojrzała na Carly.

- No to zrób coś, żeby nim potrząsnąć. Domyślam się, że próbowałaś już seksu ...

- Nie chcę o tym nic wiedzieć! - jęknął Mike.

Carly pokiwała głową.

- Hmm. No tak, dla Matta to nic nowego. A w takim razie może coś niezwiązanego z seksem?

Wierz mi, byłoby to dla niego coś nowego. - To jest jakaś myśl - powiedziała Carly.

- Szszsz. - Mike zatkał sobie uszy. - Gdyby Matt wiedział, o czym przy mnie rozmawiacie, zabiłby was. A gdyby wiedział, że ja tego słuchałem, mnie też by zabił.

Tym razem klakson zawył dwa razy, niecierpliwie.

- Och, już leczę! - zawołała Erin w stronę drzwi. - Jeśli sam mu tego nie powiesz, nigdy się nie dowie, prawda? - Znowu spojrzała na Carly. - Wiesz, że my wszystkie niedługo stąd wyjedziemy, Lissa, Dani i ja? Martwimy się, że Matt zostanie sam. Rozmawialiśmy o tym między sobą i uważamy, że jesteś dla niego idealna. Postaramy się ja-koś ci pomóc, o ile będziemy mogły.

- To miłe, ale nie sądzę ... Klakson rozryczał się na dobre.

- Już idę - rzuciła przez ramię, jakby Col in mógł ją usłyszeć. Potem znowu spojrzała na Carly. -

Pomyślę nad tym. Na pewno coś ...

Tym razem klakson był bez przerwy, jakby Col in nie zdejmował z niego ręki.

- Muszę iść - powiedziała Erin, biegnąc do drzwi. - Pogadamy później. - Pomachała im ręką i znikła.

Klakson ucichł, gdy tylko wyszła. Carly i Mike utkwili wzrok w drzwiach. Nadal siedzieli obok siebie na kanapie, sami, jeśli nie liczyć posapujących zwierząt i włączonego telewizora.

To kolejny udany sobotni wieczór, pomyślała Carly.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego ona prowadzi się z tym face-tem? - zapytał po chwili Mike.

Carly spojrzała na niego uważnie. Już od pewnego czasu podejrzewała, że Erin mu się podoba, i teraz miała potwierdzenie.

- W następny weekend biorą ślub - poinformowała go.

- Tak, wiem o tym.

- Czy Erin wie, że coś do niej czujesz?

Wzruszył ramionami. W języku mężczyzn znaczyło to "tak".

- I co ona na to?

Spojrzał na nią zrezygnowany.

- Chce, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

Czy to nie brzmiało znajomo? Ta historia z przyjaźnią to jakaś rodzinna choroba.

_ Mam pomysł - powiedziała nagle Carly. - Mamy tu siedzieć razem aż do północy, tak?

_ Właściwie moja zmiana kończy się o jedenastej. - Mike spojrzał na nią z ukosa. - Nie chciałem przez to powiedzieć, że czuję się do ciebie przywiązany czy coś takiego.

- Jesteś do mnie przywiązany - oznajmiła stanowczo. Mike nie oponował.

Carly się zamyśliła. Wieczorne wyjście to nie najlepszy pomysł, jeżeli wziąć pod uwagę jej bezpieczeństwo - od dnia napaści nie wychodziła jeszcze po zmroku z domu - ale przecież miałyby przy sobie uzbrojonego policjanta. Do tego rzeczony policjant był przystojny i dobrze zbudowany, jeśli, oczywiście, ktoś gustuje w tego typu urodzie. Ona sama wołała wysokich, dobrze zbudowanych, nadmiernie przystojnych mężczyzn z kruczoczarnymi włosami, brązowymi jak kawa oczami, hołdujących zasadzie "bez zobowiązań", ale w tych okolicznościach wystarczy nieco niższy, nieco tęższy i bardzo przystojny rudzielec o orzechowych oczach.

_ Wiesz co, rodzina Converse'ów nie jest jedyną atrakcją w mieście - odezwała się nagle Carly.

- Uważam, że powinniśmy gdzieś razem wyjść. Ty i ja. Możemy pójść na kolację, a także posłuchać dobrej muzyki czy coś takiego i wrócić późno. Chyba że masz jakieś plany po służbie?

- Zapraszasz mnie na randkę?

Spojrzał na nią przerażony nie na żarty. Wydawało jej się, że przesunął się też nieco w drugi koniec kanapy.

Carly nie poczuła się tym jednak urażona, tylko parsknęła śmiechem.

- Bez paniki. Posłuchaj ...

Z kolacją poszło całkiem gładko. Pojechali do Corner Cafe, gdzie były tłumy, jak zwykle w sobotni wieczór. Czekając na wolny stolik, który dostali wreszcie w dość ciemnej wnęce na tyłach sali (Carly powiedziała Mike'owi, aby specjalnie właśnie o ten poprosił), rozmawiali chyba z połową miasteczka. Generalnie wszyscy byli zdziwieni, widząc ich razem, i jedni wyrażali to bardziej wprost, inni zaś nieco dyskretniej. Parę osób wręcz zapytało Carly: "Co słyhać u szeryfa?" i

"Gdzie jest Matt?". Mike natomiast zaliczył kilka pełnych nagany spojrzeń.

- Pakujesz mnie w kłopoty - mruzczał, gdy po skończonej kolacji Carly wzięła go pod ramię i razem przeciskali się przez tłum do wyjścia, a ona machała znajomym na lewo i na prawo na pożegnanie. - Jutro rano będzie o tym mówiło całe miasto.

- Przecież właśnie o to nam chodzi, pamiętaj. - Carly z trudem powstrzymywała irytację. Mike był miłym facetem, ale jak na podniecającą randkę brakowało mu najważniejszego - podniecenia.

Jeżeli tylko Erin by go chciała, był jej. - No dobrze i co teraz?

- Hej, to był twój pomysł.

Ten facet z pewnością nie lubił podejmować decyzji. Carly weschnęła.

- No fajnie, udawaj, że jestem Erin - powiedziała. - Jeżeli chciałbyś mnie gdzieś zaprosić, to dokąd byśmy teraz pojechali?

Spojrzał na nią wzrokiem zbitego psa.

- Wylecę za to z roboty, wiesz dobrze. Matt będzie wściekły.

- Jeżeli będziesz miał szczęście, Erin też się wścieknie. Z tego, co zauważyłam, oboje myślą podobnie.

- Tak uważasz? - Rozjaśnił się trochę na tę myśl. - Gdybyś była Erin, zabrałbym cię do Savannah.

To już zabrzmiało lepiej. Matt wracał zwykle do domu około północy, a Carly słyszała, jak Erin mówiła Dani, że też wróci o tej porze, ponieważ następnego dnia musiała być rano w kościele, aby ustalić coś z organistką w związku z oprawą muzyczną ślubu. To, że się do-wie, jak długo balowali z Mikiem, powinno tylko zadziałać na jego korzyść. Pojechali więc do Savannah, poszli do baru, posłuchali mu-zyki - nie tańczyli, bo żadne z nich nie miało ochoty na tańce z tą drugą osobą - i wrócili do Benton. Jak na randkę wcale nie tak póź-no. Kiedy jednak Mike parkował

przed domem Matta, dochodziła druga w nocy i to była całkiem odpowiednia pora.

Samochód Matta już tam stał. Na ten widok i na widok światła palącego się w salonie, które wskazywało, że ktoś tam jest, Carly uśmiechnęła się z nadzieją.

Nie miała wątpliwości, kto mógł czekać w salonie.

- Matt mnie zabije - jęknął Mike zdenerwowany, że nadeszła chwila konfrontacji.

Kiedy szli do drzwi, schował się za Carly. Pomyślała, że w tej sy-tuacji puszczenie jej przodem nie było bynajmniej wyrazem uprzej-mości, tylko tchórzostwa.

- Nie zabije cię. Na litość boską, Matt i ja nie jesteśmy nawet pa-rami. I pamiętaj, świetnie się bawiliśmy. Postaraj się zachowywać tak, jakby to była prawda - syknęła Carly, szukając w torebce kluczy.

Miała na sobie krótką, czarną spódnicę z dzianiny i czarny t-shirt, których razem nigdy by nie włożyła, gdyby miała pełny do-stęp do swojej garderoby, ponieważ czerń i obcisła dzianina sprawia-ły, że wyglądała nieco wyzywająco. Przy tej okazji jednak odrobina prowokacji była wręcz wskazana. Całości dopełniały czarne pantofle na obcasach, "pożyczone" od Erin, która nosiła ten sam rozmiar obuwia, i wiszące kolczyki Sandry w uszach. Wygładziła spódnicę, poprawiła koszulkę i wzięła głęboki oddech. Potem włożyła klucz do zamka.

Gdy otworzyła drzwi, powietrze wypełniła kakofonia dźwięków.

Ale gdy weszli do środka, natychmiast zapanowała śmiertelna cisza, tylko Annie radośnie szczekała, machając ogonkiem, i grał telewi-zor. Nagle Carly i Mike znaleźli się w centrum ogólnego zaintereso-wania i czuli się tak, jakby patrzyło na nich sto par oczu. Carly ukuc-nęła, aby pogłaskać i uciszyć Annie, i popatrzyła dookoła zdziwiona. Spodziewała się ujrzeć Matta. Nie spodziewała się jednak jego wszystkich trzech sióstr i ich chłopaków, a także Sandry i Antonia.

Całe towarzystwo porozsiadało się na wszystkich służących do tego celu meblach.

Porozstawiane na stolikach drinki i przekąski świadoczyły, że odbywało się tu jakieś przyjęcie.

Matt siedział na swoim fotelu z butelką heinekena w ręku. Był już z pewnością dość długo w domu, ponieważ zmienił mundur na dzinsy i koszulkę, a na podłodze obok niego leżała sterta gazet, które zapewne czytał. Nie podniósł się na ich widok, ale tak jak wszyscy, utkwiał w nich oczy. Z jego twarzy jak zwykle nic nie można było wyczytać, lecz gdy lustrował Carly spojrzeniem, coraz mocniej zaciskał usta. Potem jego oczy powędrowały na biednego Mike'a, który dosłownie kulił się za jej plecami.

- Cześć wszystkim - przywitała się wesoło Carly, może nawet zbyt wesoło, pomyślała.

Odpowiedział jej chór głosów: - Cześć.

- Dobrze się bawiliście? - Głos Matta zabrzmiał podejrzanie normalnie. Podejrzanie miękko i zwyczajnie.

- Cudownie - odpowiedziała i uśmiechnęła się czarująco do Matta, który bacznie się jej przyglądał.

- Rany, wyglądasz super.

Lissa z wyraźnym zaskoczeniem obrzuciła ją od stóp do głów tak sującym wzrokiem. Carly zdała sobie sprawę, że dziewczyna - a w zasadzie wszyscy poza Sandrą i Mattem, który mógł

coś pamiętać sprzed lat - po raz pierwszy widziała ją w czymś innym niż codzienne ciuchy.

- Gdzie byliście? - zapytała Dani. Wydawała się zafascynowana nieoczekiwanym przebiegiem wydarzeń.

- W Savannah. - Mike w końcu odzyskał głos.

Carly rzuciła ukradkowe spojrzenie na Erin i zauważyła, że tamta jest trochę poirytowana. Co w kontekście jej milczenia mogło wskazywać, że uczucie, jakim darzył ją Mike, nie było całkowicie stracone. Oczywiście należało dodać, że obok niej siedział Colin i trzymał ją za rękę.

- Tańczyliśmy.

Ach, ty kłamczuchu! Carly z trudem powstrzymała się, aby nie okazać zdziwienia. Mike zawział

się, zdecydowany brnąć dalej. Matt odchylił się głębiej na fotelu, położył głowę na półokrągłym oparciu i patrzył na nich spod przymkniętych powiek. Jedyne mocniej zaciśnięte na poręczach fotela dłonie wskazywały na jego prawdziwy nastrój.

- Mike naprawdę świetnie tańczy - powiedziała z entuzjazmem Carly, gotowa przyczynić się do powodzenia także jego sprawy.

Matt popatrzył na nią, a potem przeniósł wzrok na swojego zaścępcę•

- Wiesz co, następnym razem, gdy będziesz kogoś pilnował, daj mi łaskawie znać, zanim wybierzesz się z podopieczną na randkę. Gdybym nie dowiedział się przypadkiem, co obydwoje robicie, mógłbym się odrobinę zmartwić po powrocie, widząc, że dom jest pusty i ani śladu was obojga - oznajmił.

Ton jego głosu był uprzedzająco miły, z ledwo wyczuwalnym stałowym odcieniem.

- Przepraszam. - Mike nerwowo przestąpił z nogi na nogę. - Tak jakoś wyszło.

- Jestem tego pewien.

- Coś takiego, nie wiedziałam, że przebywam w areszcie domowym - odezwała się Carly.

Matt uśmiechnął się do niej.

- No tak, chyba już na mnie pora - zauważył Mike.

- Masz rację, zrobiło się późno. - To znowu Matt.

Carly odwróciła się do Mike'a z promiennym uśmiechem.

- Odprowadzę cię.

- Nie wychodź dalej niż na werandę - zawołał za nią Matt. - Mike, upewnij się, że weszła do domu, zanim odjedziesz.

- Jasne - odrzekł Mike i wyszedł, a Carly za nim.

- Poszło dobrze - zauważyła z figlarnym uśmiechem, gdy zamknęły się za nimi drzwi.

Słowa Matta przypomniały jej jednak, że po zmroku nie jest bezpieczna na zewnątrz domu, co zdenerwowało ją trochę i stanęła bliżej Mike'a, niż zrobiłaby to w innych okolicznościach.

- Może dla ciebie. Ja mam jak w banku wycisk przez następne sześć miesięcy - jęknął Mike. - O ile już jutro nie wylecę z roboty. Matt był wściekły.

- Prawda, że był? - Carly spojrzała w otaczającą werandę ciemność.

W duchu zapewniała się, że nic tam nie ma. Nikogo. To dom szeryfa i na dodatek pełen ludzi. -

Erin także nie wyglądała na zadowoloną.

- Zauważyłaś, że się w ogóle nie odzywała? - Głos Mike'a zabrzmiał nieco weselej.

Na werandzie zapaliło się światło. Było jasne, oślepiające i zdecydowanie bardzo wymowne.

Carly nie miała wątpliwości, kto przekręcił kontakt. Nikomu by się do tego nie przyznała, ale to światło bardzo ją ucieszyło.

- No dobrze. Idę już. Wracaj do domu.

Mike wyraźnie ją poganiał. Carly podejrzewała, że bał się, aby nie nalegała na pożegnalny pocałunek. Do czego oczywiście nie doszło. To miły facet, lubiła go, oddał jej dziś wieczorem ogromną przysługę, ale nie był w jej typie. A poza tym nie była aż tak wściekła na Matta.

Gdy weszła do domu, w głębi duszy czując ulgę, że zostawiła za sobą ciemności, Matt stał tuż przy drzwiach i rozmawiał z Anto-niem. Pozostali mężczyźni także już się zbierali do wyjścia, co ozna-czało, że przyjęcie się skończyło. Zaczęła podejrzewać, że jego jedynym powodem, aczkolwiek pewnie niewyartykułowanym, było czekanie na nią i na Mike'a, a także obserwowanie Matta.

Dla kogoś, kto go nie znał, jego reakcja mogła się wydawać zwod-niczo obojętna. Carly jednak go znała. Bardzo dobrze.

- Życzę wszystkim dobrej nocy - powiedziała głośno, wchodząc do salonu.

W odpowiedzi usłyszała kilka różnych wersji "dobranoc", w tym jedno oschłe od Matta. Kiedy szła po schodach na górę, czuła na ple-cachjego spojrzenie. Jakkolwiek starał się robić dobrą minę do złej gry, bez wątpienia nie spodobało mu się, że wyszła z Mikiem. Ani trochę. N a myśl o tym, że Matt mógł być o nią zazdrosny, Carly prze-szedł dreszcz.

Czyżby był w niej zakochany? Serce zaczęło jej szybciej bić. Musiała w jakiś sposób się tego dowiedzieć.

Pozostałe kobiety także ruszyły za nią po schodach.

- Całe miasto gada o twoim wyjściu z Mikiem - wyszeptała Liss-a na szczycie schodów. - Jeden z przyjaciół wpadł do nas i zapytał mnie, czy zerwałaś z Mattem.

- To był interesujący wieczór - powiedziała Dani. - Zwłaszcza po powrocie do domu.

- Jak to się stało, że jednak zdecydowaliście się wyjść? - zapyta-ła ostrożnie Erin.

- Moje panie! - zawołał Matt. - Jeżeli zamierzacie plotkować, czy możecie robić to tam, gdzie nie będę was słyszał?

Lissa zachichotała.

- Nie powinieneś podsłuchiwać - zawołała Dani, a Erin uśmiech-nęła się niepewnie do Carly, po czym wszystkie rozeszły się do swo-ich pokoi.

Sandra odczekała, aż obie, oczywiście wraz z Hugonem i Annie, znalazły się w sypialni, a potem szeroko uśmiechnęła się do Carly. - Noo, to go naprawdę poruszyło, doskonale. To mu się nie

podobało.

- Naprawdę był wściekły?

Carly zsunęła z nóg pantofle Erin - odda je jutro rano - i także się uśmiechnęła.

- Kiedy pierwszy raz zadzwonił do Antonia, aby się dowiedzieć, gdzie się podziewacie, naprawdę się zmartwił. Potem telefonował jeszcze kilka razy i był już tak naładowany, jak kapiszony na Czwartego Lipca. - Sandra pokręciła głową. - Mike wyłączył telefon i radio (Carly zmuszona była niemal wykręcić mu ramię, żeby go do tego zmusić) i Matt wściekał się, bo nie mógł się z wami skontaktować. Tak zabawnie przeklinał. Zanim wróciliśmy do domu, jacyś ludzie zdążyli mu już powiedzieć, dokąd się wypuściliście - w każdym razie wiedział, że macie randkę. Lissa i jej chłopak byli z nim w domu i powolutku się uspokoił. Myślę, że nie chciał dać po sobie poznać, że jest zazdrosny.

- Myślisz, że jest zazdrosny? - Carly usłyszała w swoim głosie ciłą nadzieję.

- Ależ tak. Bez wątplenia. Nie chciał robić z siebie idioty przed całym towarzystwem, ale mam wrażenie, że jeszcze się o tym dowiesz.

- Mam taką nadzieję. - Carly zdjęła z uszu kolczyki i oddała je Sandrze. - Przy okazji, dzięki za to. A jak ty spędziłaś wieczór?

- Powiedzmy, że teraz Antonio docenił już nie tylko moją kuchnię. Sandra puściła do niej oko i poszła schować kolczyki do szuflady.

Nadal jeszcze lekko utykała, co było jedynym śladem po obrażeniach, jakie odniosła.

- Ach tak? I jak było?

Sandra posłała jej tajemniczy uśmiech.

- To znaczy dobrze, tak?

Idąc do łazienki, Carly poczuła ukłucie zazdrości. Matt...

- Hej, poczekaj chwilę, jeżeli planujesz jedno z tych swoich godzinnych posiedzeń w wannie.

Muszę tam wejść na moment! - zawołała Sandra, gdy Carly doszła do drzwi.

Carly westchnęła. Poza Mattem pragnęła wreszcie normalnego życia.

Carly nie widziała się z Mattem aż do późnego popołudnia następnego dnia. Ubrana w szorty, obcisłą, białą bluzeczkę i klapki siedziała na werandzie na tyłach domu razem z pilnującym ją tego dnia Sammym Brooksem i obserwowała, jak Annie ugania się za ptakami, motylami i wszystkim, co się ruszało. Była niedziela - Carly w końcu poddała się wieloletnim przyzwyczajeniom i poszła do kościoła, a teraz cieszyła się, że przeżyła jakoś plotki, od których roło się w powietrzu. A w domu jak zwykle roło się od ludzi. Właściwie gości było nawet więcej niż zwykle. Sandra przygotowała prawdziwą ucztę i na wieść o tym pojawiły się tłumy.

Carly zaczęła się nawet zastanawiać, czy z uwagi na wyraźnie przedłużający się termin otwarcia ich pensjonatu nie powinny zacząć od restauracji. Miała wrażenie, że każdego dnia Sandra karmi coraz więcej mieszkańców miasteczka.

Spojrzała w bok i zobaczyła Matta, który stał oparty o ogrodzenie otaczające tylne podwórko.

Patrzył na nią bez uśmiechu. Miał na sobie mundur szeryfa, ścisnął w dłoni plik papierów i w pełnym słońcu był taki przystojny, że serce aż podskoczyło jej w piersi.

Ucieszyła się na jego widok, naprawdę się ucieszyła, i uśmiechnęła się do niego, zanim pomyślała, że jej celom lepiej by posłużyło nieco bardziej powściągliwe zachowanie. Zaskoczył

ją jednak, a poza tym właśnie przechodził przez furtkę, więc może wcale nie zauważył jej uśmiechu.

- Hej - powiedział, wchodząc na werandę, a z jego oczu Carly wyczytała, że zauważył i był

absolutnie świadomy, iż jej serce trzępocze się tak mocno jak skrzydła żółtych motyli, za którymi goniła Annie, zanim zauważyła Matta i przybiegła do niego, domagając się głaskania.

Było koszmarnie gorąco, wilgoć w powietrzu dosłownie obezwładniała, a Carly czuła się tak zmęczona po ostatnich przejściach, psychicznie i fizycznie, że nie miała już siły, aby się zastanawiać, jakie zachowanie najlepiej posłużyłoby jej celom.

Poza tym odniosła już pewnego rodzaju zwycięstwo. Technika "całować i uciekać" chwilowo przestała obowiązywać. Był tu przecież.

Tobie też życzę powodzenia, Mike.

- Przejmuję opiekę - powiedział Matt, przywitawszy się z Sammym. - Możesz się zająć tymi sprawami?

Sammy pokiwał głową i wstał, a Matt wręczył mu przyniesione papiery. Potem spojrzał na Carly.

- Przejdziemy się?

Jej żołądek zareagował podobnie jak chwilę wcześniej serce. Kiwnęła głową, a Matt wyciągnął do

niej rękę. Podała mu swoją

- dotyk jego dłoni spowodował przyspieszenie pulsu - a on pociągnął ją do góry. Rzucił szybkie spojrzenie na zamknięte drzwi domu, które tylko częściowo tłumiły śmiechy i rozmowy w kuchni, a potem poprowadził Carly do furtki, cały czas trzymając ją za rękę. Myślała dokładnie o tym samym, co on. Nie było Sensu wystawiać się na widok ciekawskich oczu i być 'później na językach wszystkich.

Ich ukradkowe zniknięcie o mało nie wyszło na jaw. Gdy tylko furtka się zamknęła, Annie, która biegła za nimi, została po drugiej stronie. Natychmiast zaczęła donośnie szczekać.

Zatrzymali się i spojrzeli za siebie. Annie podskakiwała za furtką, nie przestając ujadać.

- Zabierz ją - zdecydował zrezygnowany Matt.

Carly otworzyła furtkę i zachwycona suka pobiegła za nimi.

W milczeniu wszyscy troje wsiedli do samochodu Matta. Matt stanowczo zdjął Annie z kolan Carly i przeniósł ją na tylne siedzenie. Potem pochylił się i mocno pocałował Carly.

Była zaskoczona, jej wargi zdrząły i poddały się jego ustom. A potem dłonie Carly objęły tył jego głowy i odwzajemniła pocałunek.

_ No to teraz może wreszcie mi powiesz - powiedział, gdy odsunąją od siebie - dlaczego zmusiłaś Mike'a, aby zabrał cię do miasta?

Mówiąc to, włączył silnik i wjechał na podjazd, omijając zreperowaną już skrzynkę na listy.

_ Dlaczego uważasz, że go do tego zmusiłam? - Carly się nastroszyła.

Serce jeszcze trzepotało jej w piersiach po pocałunku i wciąż szybko oddychała.

Matt skrzywił się drwiąco.

- Bo znam ciebie i znam jego.

- Może go lubię.

Nieco już oprzytomniała i usiłowała ukryć oszołomienie. Jak mówiła Erin, wokół Matta przez całe życie aż roilo się od dziewcząt. Za żadne skarby nie chciała być jedną z tego roju.

_ Nie wątpię. To miły chłopak. Dlaczego miałabyś go nie lubić? - A może ja go naprawdę bardzo lubię. Jest uroczy, zauważyłaś? I słodki. I troskliwy. I ...

Matt spojrzał na nią.

_ Daj spokój, Curls. Wysłaś z nim, żeby mnie wkurzyć.

Carly przyjrzała mu się w zamyśleniu. Już wcześniej doszła do wniosku, że związek z mężczyzną, który tak dobrze ją znał, powoduje wiele kłopotów.

- Myślisz, że zrobiłam to dlatego, żebyś był zazdrosny?

- Tak właśnie myślę•

- I udało mi się?

Pokiwał głową.

-No dobrze. Udało ci się - do momentu gdy zobaczyłem was razem. Mike wyglądał tak, jakby trzymał za ogon tygrysa. To ty byłaś tym tygrysem. Wtedy przypomniałem sobie o czymś.

- O czym?

- O tym, że jesteś we mnie do szaleństwa zakochana.

Ta oczywista prawda ugodziła ją jak cios w samą serce. Aż ją załtało, a ponieważ Matta wyraźnie ucieszyło jej zakłopotanie, gorączkowo usiłowała coś wymyślić.

_ Posłuchaj, słodki tyłeczku, nie chciałabym być niegrzeczna, ale może ja tylko pragnę twojego ciała.

Uśmiechnął się, obserwując drogę•

- O to także chodzi, rzecz jasna.

Zatrzymał samochód na światłach. Carly rozejrzała się dookoła, starając się znaleźć coś, na czym mogłaby skupić wzrok. W złociących promieniach zachodzącego letniego słońca roztaczał

się przed nią malowniczy widok odnowionego centrum Benton. Ich samochód nie był jedynym pojazdem na drodze - przejażdżki w niedzielne popołudnie należały tu do ulubionych sposobów spędzania czasu - najwięcej jednak samochodów stało na parkingu przed Corner Cafe.

Niedzielne kolacje poza domem też były bardzo popularne.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Carly, gdy zmieniły się światła.

- Możemy pojechać na przejażdżkę, odwiedzić miejsca, gdzie bawiliśmy się w dzieciństwie, i pospacerować tam, gdzie wiodą nas wspomnienia. Możemy też wpaść do Corner Cafe, aby pokazać naszym przyjaciołom i sąsiadom, że znowu darzysz mnie swoimi względami. Albo możemy zapomnieć o tamtych rzeczach i zafundować sobie wspaniały seks.

Serce Carly znowu żywiej zabiło. Udawała, że zastanawia się nad jego propozycjami.

- A jeżeli zdecydujemy się na wspaniały seks, masz zamiar mi się oświadczyć?

Odniosła wrażenie, że Matt zacisnął zęby. Gdy na nią spojrział, w jego oczach widać było wahanie.

- A chcesz, żebym to zrobił?

Nie, jeżeli ty tego nie chcesz. Nigdy, jeśli ty nie chcesz.

- Przecież wiesz, jeśli to zrobisz, zabiję cię.

- Czy mam rozumieć, że zgadzasz się na wspaniały seks?

Pożądanie, jakie zobaczyła w jego spojrzeniu, sprawiło, że przeszedł ją dreszcz.

- Tak.

To z pewnością głupie, pomyślała Carly, nie powinna się zgadzać, doskonale pamiętała radę Erin, aby powstrzymała się od seksu, co miało jej pomóc zdobyć Matta. Nagle jednak bardziej zaczęło jej za-leżeć, aby się z nim kochać, niż żeby go zdobyć, i momentalnie wszelkie strategie przestały mieć znaczenie. Na samą myśl o tym, że po-czuje go na sobie i w sobie, zakręciło jej się w głowie i cała zaczęła się rozplýwać, gotowa zrzucić ubranie i kochać się z nim, i

...

- Jeżeli nie przestaniesz patrzeć na mnie w ten sposób, spowoduję kraksę•

Ton jego głosu mówił więcej niż słowa, pożądanie w oczach było niemal wyczuwalne, napięcie w samochodzie skumulowało się jak przy letniej błyskawicy.

Carly z trudem oddychała.

- To by się nie podobało twoim zwierzchnikom - zauważyła, opo-nowując się resztkami sił, aby nie poznać, ile ją kosztowało uspokojenie zdradliwie szybkiego oddechu. Była tak podniecona i tak bar-dzo _ go pragnęła, że praktycznie mogła szczytować od samego patrzenia na niego, od myślenia o tym, co mieli zrobić.

Oczywiście jednak znał ją zbyt dobrze. Wiedział, jak bardzo go pragnęła. Wyczytała to z ciemnego rumieńca na jego policzkach, na-głego napięcia ciała i tajemniczego błysku w oczach.

Ona też wiedziała, że był bardzo podniecony.

Samochód się zatrzymał, a Carly udało się na tyle skupić uwagę na czymś innym poza nimi, że rozpoznała wynajmowany przez Mat-ta garaż. Matt wyciągnął rękę i sięgnął do skrytki pod przednią szy-bą, skąd wyjął niebieskiego pilota do otwierania drzwi. Nacisnął je-den z guzików, wrota się podniosły i wjechali w pełen kurzu mrok.

_Potem znowu nacisnął pilota, wyłączył silnik i wyjął kluczyki ze sta-cyjki, a drzwi opuściły się z

trzaskiem, zamykając ich w przypominającym jaskinię pomieszczeniu.

W samochodzie było chłodno i ciemno, a Annie drzemała na tylnym siedzeniu. Carly przez chwilę siedziała nieruchomo, starając się opanować miękkość w kolanach, drżenie ciała i suchość w ustach, a także zbierała siły, aby wysiąść. Matt spojrzał na nią, gdy odpinał swój pas, a potem sięgnął ręką, aby odpiąć także jej. Dotknęła jego ramienia i wsunęła dłoń pod krótki rękaw koszuli munduru, aby pogłodzić twarde mięśnie, a wtedy Matt odwrócił się i wtulił usta w zagłębienie między jej ramieniem i szyją. Carly wstrzymała oddech. Nagle wziął ją na ręce, uniósł

nad deską rozdzielczą i posadził sobie na kolanach. Jego wargi zwały się z jej ustami, język był gorący, niecierpliwy i stanowczy, ręce powędrowały na jej piersi. Carly zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go namiętnie. Znajdowała się w dziwnej pozycji, skulona na jego kolanach, biodrem dotykając kierownicy. Serce waliło jej jak młotem, ciężko oddychała, a przyspieszony rytm w głębi jej ciała stał się jeszcze szybszy, lepiej wyczuwalny i coraz bardziej gwałtowny.

- Curls, znowu używałaś mojego mydła - wymamrotał Matt, przesuwając usta w dół jej szyi.

Nie rozumiała go, a może była zbyt oszołomiona, aby go zrozumieć, otworzyła więc na chwilę oczy i zobaczyła, że patrzył na nią, a twarz mu pociemniała. Całował ją z taką namiętnością, że aż jęknęła z rozkoszy. Jedną dłonią dotykał jej piersi, pieścił je i ścisnął, a ona wygięła plecy jak głaskany kot i napawała się rozkoszą, jaką jej sprawiał, aż poczuła, że jej ciało zaczęło drżeć i omdlewać, że ogarnęła ją fala ognia. Jego dłoń powędrowała w dół i ślizgała się, ciepła i twarda, po miękkiej skórze jej ud. Zdarł z niej spódnicę i dotknął cienkich majteczek. Gładził to miejsce, aż ogarnął ją ogień pożądania, zaczęła dyszeć wprost w jego usta i poruszać się bezwiednie pod jego palcami. Wtedy wsunął dłoń pod różowy nylon i nadal dotykał jej w ten sam sposób, a jego palce sprawiały jej taką rozkosz, że nie mogła wytrzymać, była rozgrzana i wilgotna dla niego, i tak gotowa, aż westchnęła, nie mogąc się już doczekać ...

Weź mnie, Matt.

Wydał z siebie głęboki jęk, nie odrywając ust od jej warg, i Carly uświadomiła sobie, że być może powiedziała to na głos, nie, z pewnością powiedziała to na głos, ale natychmiast przestała w ogóle myśleć, bo w gwałtownym wybuchu pożądania zsunął jej majteczki, przechylił fotel do tyłu, rozpiął zamek błyskawiczny w spodniach, i wszedł w nią. Był duży, gorący i nabrzmiął z pożądania i namiętności.

- Ujeżdżaj mnie - poprosił głębokim, gardłowym głosem i zrobiła to, zamknęła oczy i przywarła do jego ramion, a on schwycił ją za biodra i wpłynął w nią znowu i znowu, i znowu. Całował, ssał i gryzł jej piersi przez koszulkę, wreszcie ściągnął ją, a potem zdjął jej stanik. Całował i ssał nagie piersi Carly, a gorąca wilgoć jego warg, którą czuła na skórze, doprowadzała ją do szaleństwa.

Przytuliła jego głowę do piersi, wygięła się w koci grzbiet i rytmicznie poruszała biodrami z rozkoszy, szepcząc: "och, tak, och, tak".

- Carly - wyszeptał i pchnął mocniej, wszedł w nią głębiej, przyściskając jej pośladki do kierownicy,

a ona zaczęła krzyczeć, drżeć, tułić się do niego, aż poczuła wewnątrz mocne pulsowanie, a potem przeżyła tak gwałtowny orgazm, że krzyczała, nie panując nad sobą -

doszła i była jego.

- Kocham cię, Matt.

Tym razem, kiedy te cholerne słowa wydobyły się z jej ust, nie były wypowiedziane w szale pożądania. Wymówiła je już potem, gdy leżała na nim bez siły, naga, mokra od potu i całkowicie zaspokojona. Gdy je usłyszała, przez moment myślała, że to fragment wewnętrznej dialogu, że nie wypowiedziała ich na głos, ale nie miała aż tyle szczęścia. Czy kiedykolwiek miała?

- Tak, Curls, wiem - odrzekł tak samo zmęczony jak ona.

Och, jak romantycznie.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Leżała przytulona do niego, z rękoma zarzuconymi na jego szyję, jej ciało przywarło do niego tak mocno, że czuła ostry kształt jego odznaki. Całkowicie, bez cienia wątpliwości i bezdyskusyjnie należała do niego, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Gdy dotarło to do niej, zeszywniała i usiadła na jego kolanach.

- Słodki tyłeczku, musisz wiedzieć, że zawsze to mówię facetom. Kącik jego ust uniósł się nieznacznie. Jego spojrzenie powędrowało po jej ciele, oczy błyszczały, gdy dosłownie pożerał

ją wzrokiem, a do niej nagle dotarło, że jest całkiem naga, podczas gdy on pozostał ubrany, chociaż koszulę miał częściowo rozpiętą i rozchełstaną, a spodnie zsunięte. Mimo to miał nad nią przewagę i zachował resztki godności, natomiast ona siedziała na nim okrakiem i gdy tylko próbowała się poruszyć, jej pośladki wbijały się w kierownicę, a pierś ocierały się o jego tors.

- Nos ci się wydłuża - powiedział, dając jej prztyczka.

Carly parsknęła i zrobiła złą minę. Zanim jednak zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Matt roześmiał się, pochylił nad nią i pocałował, pewnie dlatego, żeby zamknąć jej usta, pomyślała.

Potem puścił ją, oparł się na fotelu, przesunął dłonie po jej piersiach, zatrzymując je tuż pod sutkami, i uśmiechnął się rozleniwiony.

- Powiem ci, Curls, że ja także cię kocham.

Carly zeszywniała nagle.

- Co?

- Tak - powiedział może bez zbytniego entuzjazmu, ale mogła to przyjąć, widziała w jego oczach, że to prawda. - Kocham cię.

Odetchnęła głęboko i serce jej zabiło mocniej, a świat zaczął nagle pulsować, jarzyć się i lśnić

tęczę barw, jakich nigdy przedtem nie widziała.

Matt powiedział, że ją kocha. Matt - ją - kochał.

- Och, mój Boże - wyszeptała.

Uśmiechnął się do niej.

- Tak, ja też to właśnie czuję.

Pocałowała go i wspaniały seks rozpoczął się na nowo i po raz drugi Matt sprawił jej rozkosz w samochodzie, chociaż tym razem złapał ją skurcz w kostce. Musieli więc wysiąść i Carly ubrała się mimo protestów Matta, który masował jej nogę - wykluczone, aby stała w garażu naga, podczas gdy on po wciągnięciu spodni był mimo wszystko jakoś tam ubrany - a wtedy zaczęła szczekać Annie, o której zupełnie zapomnieli. Wypuścili ją z samochodu i wszyscy troje poszli na górę.

Potem dwoje z nich bawiło się w rozbieranie szeryfa i znowu poszli do łóżka.

Nie wystawili z niego nosa, dopóki natarczywy dzwonek nie zmusił Matta do odszukania komórki.

- Tak - powiedział. - Nie, wszystko w porządku, po prostu czas stanął w miejscu. Tak. Tak. Nie twoja sprawa. Naprawdę, to nie twoja sprawa. Pewnie jutro. Tak, dobrze. Cześć.

Carly przekręciła się na plecy, podciągnęła wyżej prześcieradło i zapaliła lampkę na stoliku przy łóżku.

- Kto to?

- Erin. Chciała się upewnić, że wszystko w porządku. Już prawie druga w nocy. Powiedziałem, że pewnie wrócimy dopiero jutro. Chciała też wiedzieć, czy zaciągnęłaś mnie do łóżka.

- Niemożliwe! - Chociaż o ile znała Erin, pewnie dokładnie o to go zapytała. - Co jej powiedziałaś?

Przypomniała sobie jego potakiwanie do słuchawki.

- Powiedziałem, że takiego pieprzenia jeszcze nigdy w życiu nie zaznałem, ale już doszedłem do siebie.

- Nie powiedziałaś tego!

- Może i nie. Ale mogłem.

Uśmiechnął się do niej, odkładając telefon. Stał kompletnie nagi, śniady i muskularny, taki seksowny, że sam jego widok ją oszałamiał.

A przede wszystkim to był jej Matt.

Na myśl o tym Carly uśmiechnęła się zadowolona.

- Wyglądasz jak kotka, która połknęła kanarka.

Matt też przyglądał się jej uważnie. Biorąc pod uwagę ilość i różnorodność czynności, jakie wykonali od wejścia na górę, Carly uznała, że musi wyglądać dobrze. I rzeczywiście tak wyglądała.

- W takim razie chodź tutaj, ptaszku.

Patrząc na niego z filuternym uśmiechem, skinęła znacząco ręką.

Zaśmiał się i opadł z powrotem na łóżko.

Później oparł się na łokciu i spojrzał na nią, marszcząc brwi.

Uśmiechnęła się do niego sennie, usatysfakcjonowana, nasycona i promieniejąca szczęściem.

- Co takiego? - zapytała, gdy nadal przyglądał się jej w milczeniu. Ujął kosmyk jej włosów i nawinął sobie na palce.

- Umawialiśmy się, że nie będzie zobowiązań, tak? Jesteś tego pewna?

Carly zastanowiła się chwilę.

- No może jedno lub dwa. Chyba jutro nie zapomnisz o wszystkim. Może będziesz miał ochotę od czasu do czasu mnie gdzieś zaprosić, żebym nie musiała umawiać się na kolacje z innymi miłymi facetami, takimi jak Mike. A co do reszty, bez zobowiązań.

Nadal jej się przyglądał.

- To bez zobowiązań nie pasuje mi do ciebie, Curls.

Kochała go aż do bólu, kochała go tak bardzo, że sam jego widok ją uszczęśliwiał, tak bardzo, że niezależnie od tego, jak ułożą się sprawy między nimi, na zawsze pozostanie w jej sercu - ale właśnie dlatego nie chciała go, jeżeli nadal pragnął pozostać wolny. Powie-dział, że ją kocha -

nawet kilka razy - i знаła go na tyle dobrze, aby w to wierzyć. Ale gdy to mówił, widziała w jego oczach cień, i rozumi-ała, że to strach. Strach, że miłość to kajdany, coś, co go powstrzyma, ściągnie w dół, narzuci mu odpowiedzialność, skaże na to mia-steczko i na nią już na zawsze.

Pomimo tego strachu wiedziała, że był gotów, chętny i chciał być z nią na zawsze. Nie mogła jednak się na to zdecydować, ponieważ wciąż widziała ten strach.

- Bez zobowiązań - powiedziała stanowczo i pocałowała go. Szaleństwo, które ich ogarnęło, nie pozwoliło im zasnąć przez większą część tego, co jeszcze zostało z nocy.

Następnego ranka o wpół do ósmej temperatura na zewnątrz wy-nosiła trzydzieści dziewięć stopni.

Carly dowiedziała się o tym z radia, gdy wyjeżdżali z garażu. Mogłaby się czuć trochę niezręcznie, gdyby wpadli po drodze na kogoś, kto widział, jak wczoraj po południu wychodziła z domu Matta w tym samym ubraniu i klapkach, które nadal miała na sobie, ale ten drobny zgrzyt nie zakłócał jej dośkonalego nastroju. Była szczęśliwa i senna, a także trochę obolała w niektórych miejscach, i chociaż wiedziała, że na świecie żyją potwory, a zwłaszcza jeden, który chce ją zabić, nie dopuszczała do siebie tej myśli, nie tego ranka, gdy wschodzące słońce rozpraszało mgłę, na ulicach było pełno samochodów, ludzie spieszyli do pracy, a obok niej siedział Matt, ogolony, pachnący mydłem i nią.

Zwłaszcza nią.

Nagle zorientowała się, że wiezie ją do swojego domu. Znowu zaczął się ten cały cyrk, który trwał już tydzień, i ta myśl przygnębiła Carly. Uświadomiła sobie bowiem ze smutkiem, że o ile jej życie uczuciowe, które wcześniej praktycznie nie istniało, nagle wspaniałe rozkwitło, cała reszta nadal coraz głębiej pograżała się w mroku.

Poczuła narastający bunt, pomyślała "nie" i wspominając wymyślony nie tak dawno wizerunek przebojowej dziewczyny, zdecydowała, że tak dłużej być nie może.

- Matt - powiedziała stanowczo. - Chcę odzyskać swoje życie. Stali na skrzyżowaniu, czekając na zmianę świateł.

- To źle wróży - stwierdził, posyłając jej uśmiech. - Co takiego zrobiłem?

Spojrzała na niego, a kiedy zmieniły się światła i mógł ruszyć w stronę miasta, poprosiła, aby skręcił w prawo.

Posłuchał, ale zdziwiony zmarszczył brwi. - Dokąd jedziemy?

- Do mojego domu - wyjaśniła.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie mogę dłużej tak żyć. Kto wie, jak długo to jeszcze potrwa, zanim złapiecie tego faceta. A jeśli to się nigdy nie stanie? Nie mogę spędzić reszty życia w twoim domu, praktycznie w areście domowym. Muszę zacząć zarabiać, rozkręcić interes, poza tym mam swój dom. Nie mogę tego wszystkiego odkładać w nieskończoność. Nie chcę.

- Carly - powiedział, a wyraz jego twarzy i ton głosu wskazywały, że jest śmiertelnie poważny. -

Ktoś usiłował cię zabić. Wciąż gdzieś tu się czai. Mam prawo przypuszczać, że nadal cię śledzi.

Do póki nie dowiemy się, dlaczego chciał to zrobić i kto to jest, nie pozwolę ci przebywać w tym domu czy gdziekolwiek indziej samej.

- Matt...

- Nie ma mowy. Wiem, co mówię.

- Chcę ci powiedzieć, Królu Świata, że chociaż ze mną spałeś, nie jesteś moim szefem.

- Nie, ale jestem szeryfem, a ty osobą znajdującą się pod moją opieką.

Carly się nachmurzyła. Matt zmarszczył czoło, a po chwili westchnął.

- Wiem, że to dla ciebie trudna sytuacja. Każdemu byłoby ciężko tak żyć, ale to najlepszy układ, jaki udało mi się wymyślić, że byś była bezpieczna. Mógłbym się przeprowadzić do ciebie, ale nie mógłbym siedzieć z tobą dwadzieścia cztery godziny, na dobę. Zresztą to duży dom. Jesteś bezpieczniejsza w moim, który jest mniejszy i cały czas kręcą się w nim jacyś ludzie. Ludzie, których rozkład dnia trudno przewidzieć. Ten facet nie może sobie niczego zaplanować.

- Naprawdę myślisz, że spróbuje znowu? Dlaczego ktoś chciałby mnie zabić? - W jej głosie słychać było rozpacz.

- Kochanie, gdy odgadniemy "dlaczego", jestem pewien, że będziemy wiedzieli "kto". Do tego czasu jednak proszę, dla mojego spokoju, jeśli nie chcesz, abym się nerwowo wykończył czy dostał ataku serca, bądź posłuszna i rób, o co proszę, dobrze?

To, że Matt martwił się o nią tak, że groziło mu załamanie nerwowe, atak serca czy coś podobnego, a poza tym prosił ją, a nie nakazywał, aby się zastosowała do jego poleceń, było niezwykle przyjemne. Spojrzała na niego i omal się nie rozpląnęła z czułości. Miał ją w garści, ale chyba nie powinien być tego aż tak pewien. Już i tak jest zbyt pewny siebie.

- No dobrze. Na razie niech będzie. Ale jeśli miałoby się to przeciągać, wszystko odwołam. -

Rzuciła mu wojownicze spojrzenie, aby zamaskować czułość. Wyjechali z zakrętu i Carly zobaczyła swój dom, który wyglądał, jak gdyby nic się nie stało, tak normalnie, że aż westchnęła.

- Skoro tu już jesteśmy, może zatrzymamy się na chwilę? Wezmę chociaż trochę ciuchów.

- Jasne. - Matt spojrzał na nią. - Zrobiliśmy już wszystko, co mieliśmy zrobić. Jest nawet posprzątane. Tylko trzymaj się blisko mnie, dobrze?

Carly spojrzała na niego, a po plecach przebiegły jej dreszcze strachu. Z przerażeniem uprzytomniła sobie, że Matt nawet w tej chwili niepokoi się o nią. Zagrożenie było znowu blisko, okazało się nagle tak realne.

- Myślisz, że mógł nas śledzić?

Matt pokręcił głową i zatrzymał wóz na porośniętym trawą poboczu.

- Nikt za nami nie jechał, sprawdziłem to. Lepiej jednak mieć się na baczności, niż potem żałować.

Carly czuła się dużo lepiej, trzymając go za rękę, gdy wchodzili pod górę. Annie została na zewnątrz

i biegła radośnie po podwórku, szczęśliwa, że jest w znajomym miejscu, a oni weszli do środka. Carly była zaskoczona własną reakcją, gdy przekroczyli próg domu. Gdy tylko znalazła się w ponurym półmroku holu, poczuła ucisk w żołądku, przyspieszone bicie serca i zaczęła szybciej oddychać.

- Mój Boże, Matt - powiedziała, zatrzymując się. Kręciło jej się w głowie, a ściany domu zaczęły się rozjeżdżać.

- Nic ci nie jest?

Objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Zauważyła, że odpiął kabinę, aby mieć łatwiejszy dostęp do broni. To ją uspokoiło. Jest z nią Matt. Nic nie może jej się stać.

- To chyba nie był dobry pomysł.

- Nie, wszystko w porządku.

I rzeczywiście poczuła się lepiej. Zawroty głowy minęły. Odechnęła głęboko, oparła się o niego i powtarzała sobie, że to jej dom. Żaden strach, nawet przed mordercą, nie zmieni tego.

Wyprostowała się z determinacją.

- Przez ostatnie dwadzieścia dwa lata myślałam o tym miejscu jak o swoim domu. Nie pozwolę, aby złe wspomnienia to zniszczyły. - Oto moja Curls. - Matt uścisnął ją mocniej i uśmiechnął się.

- Moja wojowniczką.

Carly przytuliła się i spojrzała na niego z miłością.

- Kocham cię - powiedziała i zanim zdążył coś odpowiedzieć, odsunęła się od niego i stanęła o własnych siłach. - Mijmy to już za sobą.

Przeszła przez wszystkie pomieszczenia na parterze, wspominając, jak biegła przez nie tamtej nocy, a krew płynęła z jej zranionej dłoni i ramienia. Pamiętała błysk noża napastnika i dźwięk jego zachrypniętego głosu, gdy mówił "Jesteś już martwa", a także to, jak kulał z powodu rany, jaką mu zadała. Pamiętała, jak bardzo była wtedy przerażona, pamiętała zimny szok, gdy nóż przeciął jej ramię, rozpacz, jaką ją ogarnęła, gdy uświadomiła sobie, że nie zdoła otworzyć drzwi. A jednak przeżyła, umknęła temu potworowi, a Matt zdążył przyjechać na czas. Teraz musi odzyskać swój dom.

Z zaciśniętymi ustami i uniesioną głową poszła na górę, przemaszerowała przez całe piętro, zwracając szczególną uwagę na miejsce, gdzie zaczął się napastnik, i łazienkę, która znowu była czysta, bez jednej kropli krwi. Potem skierowała się do sypialni, wzięła trochę ubrań i zapakowała je do torby. W końcu, wyczerpana, ale spokojna, ruszyła na dół, minęła hol i wyszła na werandę.

Tam nogi odmówiły jej posłuszeństwa i ugięły się pod nią kolana.

Przy schodach Carly dała za wygraną i usiadła dość gwałtownie na najwyższym stopniu.

Odetchnęła głęboko i rozejrzała się po zarośniętym trawą podwórku, na moment zatrzymując wzrok na srebrzystej brzozie i dębach przy drodze, gdzie stał zaparkowany radiowóz Matta.

Czekała, aż ciepło i słońce wypędzą chłód, jaki pozostawił w niej dom.

- Co się dzieje?

Matt stał tuż za nią z torbą w ręku. Postawił ją na podłodze werandy i usiadł obok Carly.

- Muszę złapać oddech. - Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Ach, tak? - Przyjrzał jej się sceptycznie.

- No dobrze, kolana zrobiły mi się miękkie. - Skrzywiła się odrobinę.

- To już brzmi lepiej. - Pociągnął ją delikatnie za włosy. - A zatem spacer po domu dobrze ci zrobił, tak?

Carly odetchnęła i pokiwała głową.

- To mój dom. Nie pozwolę, aby ten potwór mi go zabrał.

Matt ujął jej dłoń, tę, na której już niemal zagoiła się rana, i przycisnął do ust. Carly patrzyła na niego, uśmiechając się nadal. Chciała coś powiedzieć, ale nagle zobaczyła Annie. Suczka wyskoczyła spod werandy, trzymając coś w zębach. Coś czarnego i okrągłego, z paskiem, co było tak ciężkie, że ciągnęła to po ziemi.

- To wygląda na damską torebkę - powiedział zdziwiony Matt, który także ją zauważył.

- O rany, ciekawe czyja.

Chcąc wypróbować sprawność swoich nóg, Carly wstała i zeszła po schodkach. Kolana były już mocniejsze, ona też czuła się lepiej i wiedziała, że następnym razem, gdy wejdzie do domu, będzie jej już łatwiej to znieść, a potem za każdym razem jeszcze łatwiej. Pamięć o napadzie pozostanie na zawsze, ale to znowu będzie jej dom, kiedy zaś Matt złapie napastnika, będzie mogła rozpocząć życie na nowo, a cały horror zblednie.

- Annie, pokaż mi to.

Suczka trzymała w zębach pasek, puściła go jednak, gdy Carly schyliła się, aby wziąć torebkę.

To była tania torebka z plastiku, zimna i brudna, pewnie dlatego, że jakiś czas leżała pod werandą. Carly jej nie rozpoznała, nie należała do niej ani do Sandry, odpięła więc zamek, aby sprawdzić, co jest w środku, i wyjęła portfel.

- Należy do kogoś, kogo znam? - Matt stał obok niej z torbą przewieszoną przez ramię.

Carly otworzyła portfel i wyjęła prawo jazdy. Z maleńkiego zdjęcia patrzyła na nią przystojna, rudowłosa kobieta.

- Marsha Mary Hughes - przeczytała.

Matt zareagował natychmiast.

- Co? - zawołał i wyrwał jej z ręki portfel.

Patrzył na prawo jazdy w plastikowej koszulce, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Mam do pana kilka pytań - powiedział Matt, gdy Keith Kenan otworzył drzwi do mieszkania. -

Mogę wejść?

Mężczyzna nie wyglądał na zachwyconego, ale cofnął się w milczeniu, robiąc miejsce przybyłemu. Był poniedziałek, minęła czter-nasta, jakieś sześć godzin po tym, gdy Annie na nowo zwróciła uwagę szeryfa na zniknięcie Marshy Hughes. W tym samym czasie policjanci z psami przeszukiwali teren wokół Beadle.Mansion, szukając ciała Marshy. Carly była w domu Matta pod opieką Sammy'ego Brooksa. A Annie - Annie miała jeszcze coś do zrobienia.

- Nic nie wiem o Marshy - odezwał się Kenan zaczepnym tonem, gdy tylko zamknął za Mattem drzwi.

Miał na sobie wyciągnięte spodenki gimnastyczne i czarną koszulkę bez rękawów, aby lepiej, jak to ocenił Matt, wyeksponować swoje napompowane mięśnie. Matt rozejrzał się szybko dookoła i stwierdził, że mieszkanie jest może trochę bardziej zapuszczone, niż gdy je widział

ostatnim razem, ale generalnie niewiele się zmieniło. Tego dnia złociste zasłony były rozsunięte i do środka wpadało światło słoneczne. O ile mógł się zorientować, Kenan mieszkał tu sam.

- Nie miał pan od niej wieści? - zapytał Matt, rozpoczynając uprzejmie rozmowę.

Zirytowanie Kenana byłoby w tym momencie najgorszym z możliwych posunięć.

- Zadnych, od momentu, gdy wyjechała. Proszę posłuchać, idę dziś wcześniej do roboty i mam jeszcze mnóstwo do zrobienia. Możemy to załatwić szybko?

- Postaram się.

Kenan był mniej więcej odpowiedniego wzrostu, budowy i miał jasne włosy. Matt przyjrzał się jego oczom: były jasnoniebieskie, a rzadkie rzęsy w kolorze włosów przy pewnym oświetleniu - takim jak w starych łazienkach - mogły być zupełnie niewidoczne. Czyżby dwie z liter monogramu na chusteczce oznaczały KK?

- O ile pamiętam, powiedział pan, że ją znajdziecie. Rozesłaliście wiadomości i gównno z tego.

- Cały czas próbujemy. Nie podjęła ani centa z konta, nie używała też kart kredytowych. Muszę powiedzieć, że jeżeli chodzi o te źródła informacji, rzeczywiście nie wygląda to najlepiej.

Matt podszedł do stołu, na którym tym razem nie było żadnych talerzy, ale za to dużo kurzu.

Kenan śledził jego ruchy ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

- O co więc chce mnie pan zapytać?

- Może usiądziemy?

Kenan zacisnął usta, ale wyciągnął krzesło i usiadł. Matt mógł się dobrze przyjrzeć jego kolanom.

Zadnego śladu. Rana nie zagoiła—by się tak szybko. Czy Carly mogła się pomylić i nie pamiętała, gdzie zraniła napastnika? Może.

- N o więc? - zapytał Kenan.

- Chciałbym, aby pan rzucił na coś okiem. Mogę to tu położyć?

"To" odnosiło się do teczki, którą ze sobą przyniósł. Widząc, że mężczyzna ponagla go gestem ręki, Matt położył teczkę na stole i otworzył ją. Kenan zmarszczył brwi na widok torebki, którą Matt wyjął ze środka, starannie zabezpieczoną w plastikowym opakowa—niu, przygotowaną do badań w laboratorium kryminalnym, gdzie miała być dostarczona jeszcze tego samego dnia.

Prezentowanie te—go potencjalnie najważniejszego dowodu w sprawie osobie znajdują—cej się na liście podejrzanych było raczej niezgodne z przyjętą proce—durą, ale Matt chciał się dowiedzieć, co Kenan miał na ten temat do powiedzenia - chciał też patrzeć mu w oczy, gdy będzie mówił.

- Widział pan to wcześniej?

Trzymał torebkę w taki sposób, aby tamten mógł ją dobrze obejrzeć.

Kenan spojrział na nią i wzruszył ramionami. - To jest torebka. Może. Nie wiem.

- W środku znaleźliśmy dowód tożsamości Marshy.

Oczy Kenana otworzyły się szeroko.

- Twierdzi pan, że to torebka Marshy? - Przyjrzał się jej dokład—niej, pochylił się i popatrzył przez przezroczysty plastik na podnisz—czony czarny winyl. - Tak, może być. Wydaje mi się, że to jej.

Jako mężczyzna Matt nie dostrzegł niczego dziwnego w fakcie, że Kenan miał problemy z rozpoznaniem torebki swojej byłej partner—ki. Torebki nie należą do rzeczy, na które mężczyźni zwracają szczególną uwagę. Zastanowiło go jednak, że facet nie okazał niepokoju z powodu znalezienia tej torebki: albo więc był doskonałym aktorem, albo nie miał powodu do obaw.

- Czy tej nocy, kiedy odeszła, wzięła ją ze sobą? - zapytał Matt, wkładając torebkę z powrotem do teczki.

Tamten skrzywił się, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

- Tak. Tak, wzięła. Schwyciła ją i...

- Wybiegła, jakby się paliło - dokończył Matt sucho, a Kenan natychmiast zamilkł, zdając sobie sprawę, że o mało nie strzelił sobie w stopę. - Już to omawialiśmy, pamięta pan?

- Nie dotknąłem jej - powiedział, przeczesując obiema dłońmi włosy. - Nie tamtej nocy. Jeżeli coś jej się stało, to nie moja wina. Szeryfie, przysięgam ...

Ktoś zapukał do drzwi. Kenan zmarszczył brwi i spojrzał z wahaniem w ich stronę. Matt zastanawiał się, kogo ten facet mógł się spodziewać, że nie było mu na rękę, aby zobaczyć go przedstawiciela prawa lub na odwrót. W tym momencie niewiele go to zresztą obchodziło.

Interesowały go informacje na temat Marshy Hughes. Jeżeli jej torebka znalazła się pod werandą Carly, to jej ciało jest zapewne gdzieś w pobliżu. Jeżeli zaś tam się znajdowało, najprawdopodobniej zostało ukryte, co znaczyło, że kobieta nie zmarła śmiercią naturalną.

Mieli więc do czynienia z mordercą, który działał na terenie Beadle Mansion. Szansa na to, że chodziło o dwóch różnych przestępców - a raczej o mordercę i niedoszłego mordercę - którzy działali w tym samym miejscu i niemal w tym samym czasie, była bardzo nikła, a praktycznie nie istniała. A zatem ten, kto zabił Marshę Hughes, próbował także zabić Carly.

Co je łączy?

- To pewnie puka jeden z moich zastępców - powiedział Matt, gdy jego rozmówca nadal nie kwapił się, aby otworzyć drzwi. Czekał z następnymi pytaniami, dopóki nie zobaczył reakcji Kenana na torebkę. - Wpuści go pan?

- Jeżeli znaleźliście torebkę - mówił wolno mężczyzna, idąc do drzwi - to czy mam rozumieć, że znaleźliście także Marshę?

Zajęło mu to trochę czasu, ale w końcu zaczął coś kojarzyć.

- Jeszcze nie - odparł Matt.

Kenan otworzył drzwi. Stał za nimi Antonio, trzymając na rękach Annie.

- Cześć, Kenan - przywitał się i poszukał wzrokiem Matta, który za plecami gospodarza potrząsnął przecząco głową.

- Czy mój zastępca Johnson może wejść? - zapytał Matt.

Twarz Kenana zdradzała napięcie, ale mężczyzna cofnął się i Antonio wszedł do mieszkania.

- Czy to jakiś pies szkolony do narkotyków? - zapytał podejrzliwie Kenan, patrząc na Annie.

Zwierzę skuliło się na dźwięk jego głosu.

Matt był teraz na sto procent pewien, że Kenan był zaangażowany przynajmniej w jedną nielegalną działalność. Facet wygadał się i rzeczywiście strzelił sobie w stopę. Nie był zbyt bystry.

Ale w tym momencie Matta nie interesowało, jakimi narkotykami handlował partner Marshy.

Antonio postawił Annie na podłodze. Patrząc na suczkę, Matt niemal jej współczuł. Trzęsła się i rozglądała niespokojnie dookoła, potwornie zdenerwowana.

- O co chodzi z tym psem? - zapytał Kenan, marszcząc brwi i patrząc na Annie, której najwyraźniej nie poznał. - Mam nadzieję, że nie naszczy mi na dywan.

Annie jeszcze mocniej zadygotała, słysząc jego głos. Skuliła się i podwinęła ogon pod siebie.

- Widział pan wcześniej tego psa? Kenan zmarszczył brwi.

Matt kontynuował cierpliwie.

- Kiedy byłem tu ostatnim razem, powiedział pan, że pokłóciliście się z Marshą, ponieważ nakarmiła psa kiełbasą. Czy to może był ten pies?

Kenan dokładniej obejrzał Annie. Biedaczka skuliła się jeszcze bardziej, dosłownie przywierając brzuchem do dywanu.

- Być może. To był paskudny, mały, czarny kundel. Tak, wydaje mi się, że to ten.

Matt poczuł ucisk w żołądku. Był na właściwym tropie. Wiedział o tym, odkąd zobaczył w portfelu prawo jazdy Marshy.

- Chodź tu, Annie.

Kiedy zakończyli identyfikację, nie mógł już dłużej patrzeć, jak suczka Carly się męczy. Schylił

się, wziął ją na ręce i pogłaskał. Nadal jeszcze drżała, ale słabiutko pomachała ogonem, aby dać znać, jak bardzo doceniła to, że znalazła się na rękach u kogoś, kogo uważała za przyjaciela. Matt spojrzał na Kenana.

- A więc Marsha nakarmiła psa pańską kiełbasą. Gdzie? Tutaj, w mieszkaniu? Co się stało potem?

Kenan się zawahał.

Matt bardzo pracował nad cnotą cierpliwości.

- Proszę posłuchać, nie sędzę, aby miał pan coś wspólnego ze zniknięciem Marshy. Może pan jednak posiadać informacje, które ułatwią nam odnalezienie jej - a jeżeli ją odnajdziemy i okaże się, że rzeczywiście nie miał pan z tym nic wspólnego, damy panu spokój, a więc jest to także w pańskim interesie. Proszę nam tylko powiedzieć, co się tu wydarzyło, a my puścimy mimo uszu to wszystko, co nie ma związku z naszą sprawą, dobrze? Jak jej pan groził, czy ją pan ścigał, interesują nas tego typu rzeczy.

Kenan przeniósł spojrzenie z Matta na Antonia, który, dzięki Bogu, miał względnie życzliwy wygląd i stał z obojętną miną i rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Zaczniemy od psa - powiedział Matt.

- Była w mieszkaniu, gdy wróciłem z pracy. Zawsze zbierała jakieś kundle, miałem już tego dość.

W każdym razie powiedziałem jej, że nie możemy go zatrzymać, i poszedłem do kuchni coś zjeść. Miałem ochotę na kanapkę z kiełbasą, ale kiełbasa znikła. Od razu się domyśliłem, że Marsha nakarmiła nią tego cholernego zwierzaka. Coś jej powiedziałem i zanim wyszedłem z kuchni, zdążyła już wybiec z mieszkania.

- Miała ze sobą psa?

- Wyniosła go.

- A co z torebką?

- Tak, mogła wziąć też torebkę. Trzymała w niej kluczyki, wskoczyła do samochodu i odjechała.

- Dobrze, cofnijmy się odrobinę. Wybiegła stąd z psem i torebką, a pan ścigał ją aż na parking, tak?

Kenan wydawał się niezdecydowany.

- Jak już mówiłem ostatnim razem - odezwał się Antonio, mierzając go groźnym spojrzeniem -

wszystko wiemy.

- No dobrze - odezwał się Kenan, oblizwał wargi i patrzył to na jednego, to na drugiego. - Goniłem za nią aż na parking. Byłem wściekły, rozumiecie? Ale nie zrobiłem jej krzywdy. Nie złapałem jej.

Wskoczyła do samochodu, minęła mnie z piskiem opon i wyjechała z parkingu. Wtedy widziałem ją ostatni raz. Przysięgam.

- Był z nią w samochodzie pies? - zapytał Matt.

- Tak, był. Widziałem tę głupią, małą pokrakę na siedzeniu obok kierowcy.

Bingo! Pies znajdował się w samochodzie. To znaczyło, że pies był z Marsha, kiedy ją zabito.

Pies pojawił się w Beadle Mansion tej nocy, gdy przyjechała Carly. Pies wygrzebał torebkę.

Pies był tu kluczem.

- Czy Marsha miała jakichś wrogów? Kto chciałby ją skrzywdzić?

- Pytaliście mnie o to przedtem i już odpowiadałem. Nie. Nikogo takiego nie znam.

Kenan zaczynał już się niecierpliwić. Podszedł do okna, rzucając po drodze ukradkowe spojrzenie na zegarek.

- Możecie się pospieszyć? Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia.

- Może pan rozmawiać z nami tutaj albo zabierzemy pana do wozu i porozmawiamy w biurze - odezwał się Antonio.

Kenan posłał mu krótkie, pełne wściekłości spojrzenie.

- Już prawie skończyliśmy - uspokoił go Matt, jako ten dobry gli-niarz. - Może mi pan coś powiedzieć o przeszłości Marshy? Usiłowaliśmy się skontaktować z jej siostrą i byłymi mężami, ale na razie się nie udało.

Kenan parsknął.

- Ci mężowie to zwykli nieudacznicy, a siostry Marsha nigdy nie widywała. Nie wychowywały się razem. Ich matka była narkoman-ką i w dzieciństwie większość czasu spędziły w domach dziecka. W różnych domach dziecka. Marsha mówiła, że niektóre z nich były naprawdę okropne.

Matt zastanowił się nad tym chwilę, wyobrażając sobie, jak wyglądało życie dziecka, które straciło rodziców lub którego rodzice okazali się nieodpowiedzialni. Myślał o potężnej traumie, oddziału-jącej na całe dzieciństwo. Carly, jako mała dziewczynka porzucona przez matkę, została uratowana przez babkę na tyle wcześnie, że w jej psychice nie nastąpiły żadne poważne uszczerbki, ale i tak tamte doświadczenia pozostawiły swój ślad: była wybuchowa, za-dziorna, a w istocie trochę niepewna siebie. Nadal też miewała noc-ne koszmary ...

Nagle Matt poczuł, jak w jego głowie zapaliło się alarmowe świa-telko. Spojrzał z uwagą na Kenana.

- Czy Marsha wspominała kiedykolwiek o tutejszym domu dziec-ka? Wiadomo panu, czy w nim była?

- Tak, wspominała - odrzekł Keith. - Pamiętam, jak wspomina-ła o osiołku, którego tam trzymali.

Mówiłem już, że lubiła zwierzę-ta. Nigdy jednak nic więcej mi o nim nie opowiadała, poza tym, że to było dziwne miejsce.

To było to: znalazł związek. Wiedział, że musi coś być. Marsha i Carly przebywały kiedyś w tym samym domu dziecka. Marsha już nie żyła, teraz ktoś chciał także zamordować Carly, która po tylu la-tach nadal miewała nocne koszmary związane z krótkim okresem, kiedy tam przebywała.

Jeżeli lata pracy w walce z przestępczością nauczyły go czegoś, to na pewno tej jednej rzeczy: w postępowaniu dochodzeniowym nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności. .

Mógłby się założyć o swoje roczne dochody, że ten przestępca miał coś wspólnego z domem dziecka.

Zanim opuścili mieszkanie, Matt dowiedział się jeszcze, że o ile Kenanowi wiadomo, Marsha nie kontaktowała się nigdy z nikim z tego miejsca, nikt z wychowanków nie kontaktował się z nią i

je-dynie okazjonalnie otrzymywała drogą mailową informacje, które stanowiły część kampani na rzecz zbierania funduszy i skierowane były do szerokich kręgów zainteresowanych.

Matt otrzymał też pozwolenie na sprawdzenie zawartości komputera Marshy, po tym jak Kenan wspomniał, że na kilka dni przed zniknięciem Marsha spędzała przy nim dużo więcej czasu niż zwykle. Może ktoś kontaktował się z nią za pomocą poczty elektronicznej. A może to ona z kimś się kontaktowała. Może pojechała z kimś się spotkać. Kto wie?

- Będziemy grzebać w tym komputerze? - zapytał sceptycznie Antonio, gdy schodzili po schodach, dźwigając duży, dość stary sprzęt.

Po klimatyzowanym wnętrzu czuli się na betonowej klatce schodowej jak w piecu hutniczym. W

powietrzu unosił się lekki zapaszek stęchlizny, jakby pojawiła się tu gdzieś pleśń. Metalowe schody były odrobinę śliskie na skutek wszechobecnej wilgoci. Matt stracił już nadzieję, że kiedykolwiek zrobi się chłodniej.

- Tak, spróbujemy się do niego dostać - powiedział teraz, dźwigając podwójny ciężar w postaci Annie i teczki.

Upał pewnie nie skończy się prędko, ale znacznie poważniejszym problemem było to, że w biurze nie mieli eksperta od komputerów.

- Jeżeli nie będzie innej możliwości, skorzystamy z pomocy chłopaka Lissy, Andy'ego, który ma bzik na punkcie komputerów. Po-słuchaj, Antonio, Marshę Hughes i Carly łączy pobyt w tutejszym domu dziecka. Mieszkały tam obie w dzieciństwie. Ten morderca też musi mieć z nim jakiś związek. Moim zdaniem, to jedyny ślad, jaki wiąże obie sprawy.

- Słyszałem, jak rozmawiałeś o tym z Kenanem, ale nie bardzo zrozumiałem. Więc Carly była w domu dziecka? Myślałem, że wychowywała się u zamożnej babki.

- To później. Najpierw trafiła na krótko do tutejszego domu dziecka.

Zeszli na parter. W drzwiach wychodzących na parking niemal zderzyli się z młodą blondynką w czerwonej bluzeczce bez rękawów i bardzo kusych szortach. Weszła na klatkę schodową i biegła prosto na nich, początkowo niewiele widząc, bo w holu było dużo ciemniej niż na zewnątrz. Po chwili jednak stanęła jak wryta na widok Mat-ta i Antonia w mundurach. Szybko się jednak opamiętała i ru~zyła

dalej, rzucając im dość nerwowe dzień dobry, niemniej wrażenie po-zostało. Matt nie miał

wątpliwości, że gdyby szukali łatwej ofiary, mieliby ją w garści.

- Ciekawe, skąd bierze działkę? - zapytał rzeczowo Antonio, gdy Matt otworzył szeroko drzwi i wyszli na zalany słońcem parking.

- Domysły dosłownie kłębią mi się w głowie.

Mrużąc oczy i mocniej ściskając pod pachą Annie, Matt ruszył w stronę radiowozu, który z uwagi na remont jezdni w sąsiedztwie

budynku stał na końcu parkingu.

Antonio starał się dotrzymać mu kroku.

- U Carly wszystko w porządku? Sandra mówiła mi, że odkąd mieszkają w jednym pokoju, już kilka razy budziła się z krzykiem w środku nocy.

- Ma koszmary senne - ponuro przyznał Matt. - Ale poza tym w porządku. Nie licząc tego, że wciąż pamięta o facecie, który nie tak dawno chciał ją zabić, a niestety nadal pozostaje na wolności.

- Naprawdę chciałbym złapać tego bandytę - powiedział Antonio, gdy byli już przy samochodzie.

- Pociął moją kobietę. To już osobista sprawa.

- Tak - przyznał Matt, podchodząc do drzwi od strony kierowcy, i spojrzał na Antonia. - To rzeczywiście nasza osobista sprawa.

Kiedy zobaczył mężczyzn z psami, mężczyzn z wykrywaczami metalu i mężczyzn z długimi, metalowymi prętami, którzy metodycznie przeszukiwali teren wokół Beadle Mansion, omal nie zjechał z drogi. Przed domem parkowały radiowozy z biura szeryfa, a dalej przy drodze stała stara kobieta, która mieszkała naprzeciwko, i nadawała coś jak najęta do jednego z zastępców szeryfa.

Nie miał wątpliwości, że czegoś szukają. Pytanie tylko, czego?

Chociaż nie chciał dopuścić do siebie tej myśli, w zasadzie nie miał złudzeń, jak brzmi odpowiedź. Szukali ciała. Albo ciała. Pytanie brzmiało: czyich?

Marshy? Sorai? A może obu? Jak, do cholery, się dowiedzieli?

Wziął się w garść i przejechał obok domu, a nawet zatrąbił i po-machał ręką do starszej pani i zastępcy szeryfa, jak to mieli w zwyczaj u tutejsi mieszkańcy. Następnie skręcił na najbliższym skrzyżowaniu i wrócił do miasteczka w samą porę, aby zdążyć do Corner Cafe w porze kolacji.

Nie musiał nawet pytać. W kawiarni aż huczało od naj nowszych wiadomości.

Zamówił mięso z kartoflami i po prostu przysłuchiwał się rozmowom.

Nie, jeszcze nie znaleźli ciała. Niemniej są pewni, że coś znajdą.

Szeryf był rano w Beadle Mansion z Carly Linton - to dom jej babki - i znaleźli coś, co kazało im przypuszczać, że kasjerka z Winn-Dixie, która zaginęła kilka tygodni temu, została właśnie tam zakopana. Marshajakaś tam. Marsha Hughes.

A więc znaleźli coś, co naprowadziło ich na ślad Marshy. Jeżeli znajdą Marshę, a nie będą kompletnymi idiotami, znajdą też Sorayę. Jeżeli znajdą Sorayę, dość szybko wpadną na trop prowadzący do Carly, a jeżeli już to ustalą, nie będzie musiał długo czekać, aż zaczną szukać i jego.

Na tę myśl aż się spocił. Carly wiedziała, kim był. Tamtej nocy też tam się znajdowała.

Nie pamiętał, ile mogła mieć wtedy lat, ale z pewnością mniej niż dziesięć. Była młodsza od pozostałych dziewcząt. Może nie zdawała sobie sprawy, co się tam działo. Może nie wiedziała lub nie pamięta-ła, a przynajmniej nie wiedziała bądź nie pamiętała wystarczająco dużo, aby połączyć to w jedną całość.

A może było inaczej.

Zrozumiał, że powinien podjąć decyzję. Mógł poniechać dalszych działań i usunąć się, zostawić ją w spokoju i zaufać swojemu szczęściu, mieć nadzieję, że nie będą wyciągać z niej żadnych wspomnień, że może rzeczywiście niczego nie wiedziała albo była za mała i nic z tego nie rozumiała, albo też że usunęła tamte wspomnienia z pamięci - słyszał bowiem, że czasami ludzie tak właśnie radzą sobie z traumatycznymi przeżyciami. Albo jeżeli nawet coś pamięta, będzie się bała o tym

mówić.

Tę właśnie drogę wybrał przedtem i o mało się na tym nie przejechał.

Mógł też iść na całość, po złoto, po zwycięstwo, postawić na ostateczną rozgrywkę, aby wygrać całą stawkę. Uważał, że bez Carly, jedynej żyjącej osoby, która mogłaby cokolwiek powiedzieć, nie było sposobu, aby ktokolwiek odkrył kiedyś prawdę o tym, co się wydarzyło, a jeszcze mniejsze wydawały się szanse, aby skojarzono z całą sprawą jego osobę. Mogli znaleźć Marszę i Sorayę, mogli nawet skojarzyć je z domem dziecka i z Carly, ale nie mieli żadnych dowodów na to, że on też tam był, żadnych dowodów, co się tam działo, nic, co pozwoliłoby im rozwiązać tę zagadkę.

Poza Carly.

Kiedy tak się nad tym zastanawiał, zrozumiał, że w zasadzie nie ma wyboru. Jeśli znajdą ciała - a tak zapewne się stanie, bo są już bardzo blisko - okaże się, czy Carly pamięta, co się wtedy działo. Będąc mądrym po szkodzie, uznał, że popełnił błąd, ukrywając ich ciała na posesji należącej do Carly. Ale skąd miał wiedzieć, że tak potoczą się wypadki, że Carly Linton wróci do domu swojego dzieciństwa. Wówczas wydawało mu się, że to bardzo dobry pomysł.

Przeprowadził dochodzenie, dowiedział się, gdzie mieszkały jego przyszłe ofiary, i śledził je, a pewnego dnia trafił do domu należącego do Carly i odkrył, że budynek był zupełnie opuszczony.

Stał pusty. Nikt w nim nie mieszkał. Olbrzymi teren na wzgórzu, z daleka od sąsiadów i od drogi

- gdzie znaleźć lepsze miejsce do popełnienia morderstwa? I do ukrycia zwłok?

Oczywiście, gdyby wiedział, że Carly zamierza wrócić i tam zamieszkać, nigdy by nie wykorzystał tego miejsca do swoich celów, ale tego nie mógł wiedzieć. Dokonuje się najlepszego z możliwych wyborów w danym czasie, a potem trzeba sobie dalej radzić.

I właśnie teraz musiał to zrobić. Musiał podjąć właściwą decyzję.

I to wcale nie będzie trudna decyzja. Dla własnego bezpieczeństwa musiał się pozbyć Carly Linton.

Sprawę komplikował fakt, że była teraz pod opiekuńczymi skrzydłami szeryfa, mieszkała w jego domu, przez który tak na oko przewijała się połowa mieszkańców tego hrabstwa, i nie robiła kroku bez któregoś z zastępców.

Ale nie ma rzeczy niemożliwych. Jeżeli się nad tym dobrze zastanowi, poobserwuje ją, poczeka i pokręci się w pobliżu, los może dać mu szansę.

Teraz szczęście mu nie dopisało, ale to może się odmienić. Zawsze tak bywa.

A jeżeli tak się stanie, spełni się obietnica, którą złożył, gdy zraniła go w kolano u siebie w domu, i Carly Linton będzie martwa.

O północy w środę Cady zaczynała być już odrobinę poirytowana. Nie była zła, nie o to chodziło. Tylko troszeczkę nie w formie. Po tym, jak Matt wyznał jej miłość i obiecał, że taktyka

"całować i uciekać" należy już do przeszłości, znowu zrobił to samo. Nie widziała go, odkąd przywiózł ją do swojego domu w poniedziałek rano, wprowadził do środka, szybko, ale zdecydowanie namiętnie pocałował ją w usta i zniknął za drzwiami.

Wiedziała, że ciężko pracował, próbując odkryć jakiś ślad łączący kobiece zwłoki, znajdujące się gdzieś na terenie jej posiadłości, o czym był przekonany, chociaż jeszcze ich nie znaleziono, z potworem, który ją zaatakował. Gdyby to się udało, mógłby szybciej zidentyfikować napastnika

- chociaż zarówno Sammy, jak i Mike, którzy jej cały czas na zmianę pilnowali i byli podstawowym źródłem informacji, nie mieli pojęcia, w jaki sposób Matt zdoła do tego dojść.

Poza tym naprawdę, ale to naprawdę za nim tęskniła. Pocieszała się jedynie myślą, że Sandra też czuła się ostatnio osamotniona. Nawet Andy, chłopak Lissy, od dwóch dni się nie pokazywał, zajęty pracą przy komputerze, który także stał się przedmiotem dochodzenia. W tym czasie Carly umierała z tęsknoty, wspominając noc spędzoną z Mattem, zastanawiała się nad tysiącami spraw związanymi z otwarciem pensjonatu - porównywała spłaty rat za ubezpieczenie, układała ogłoszenia, które powinny się ukazać w prasie już we wrześniu, kiedy zamierzały rozkręcić swój interes, szukała stałych dostawców najlepszej jakości produktów spożywczych, potrzebnych, aby Sandra mogła należycie zaprezentować swój kunszt kulinarny - a także pomagała, jak mogła, w załatwianiu stu różnych spraw, jakie pojawiały się ciągle w ostatniej chwili w związku z przygotowaniami do wesela Erin, mającego się odbyć w najbliższą sobotę.

To miało być małe, kameralne przyjęcie (to określenie Lissy) na około trzystu osób, co wymagało przygotowania mnóstwa drobnych, ale ważnych rzeczy.

Dzięki Bogu, że prezenty ślubne zwożono do nowego domu Erin, zauważyła Lissa. W

przeciwnym razie wszyscy musieliby się stąd wyprowadzić.

Carly na dobre straciła już nadzieję, że tego wieczora zobaczy Matta, gdy niespodziewanie wkroczył przez frontowe drzwi, a w ślad za nim Antonio. Siedziała w salonie razem z Sandrą, Lissą, Erin, Dani i Mikiem, który dziś pełnił przy niej służbę. Annie leżała na podłodze, a Hugo wyciągnął się na pustym fotelu Matta. Na prośbę Erin pakowały siemię lniane do małych, białych, tiulowych woreczków, aby wysypać je w sobotę na młodą parę. Mike, który odmówił brania udziału w tym zajęciu, siedział ze skrzyżowanymi na pierśsiach rękoma na kanapie w samym centrum rozgardiaszu i oglądał telewizję z tak niezadowoloną miną, że Cady domyśliła się, iż wcale nie udało mu się skutecznie zignorować tego, co się działo, chociaż bardzo się starał.

Erin natomiast była w aż za bardzo radosnym nastroju i Cady uważała, że chce w ten sposób zaleźć Mike'owi za skórę.

- Co to jest, centralne biuro wesela? - zapytał Matt, zatrzymał się w drzwiach i obejrzał dokładnie całą scenę.

Carly, w szortach z obciętych spodni i w koszulce, siedziała po turecku na podłodze, trzymając w zębach srebrną wstążkę. Matt wyglądał na zmęczonego i trochę poirytowanego, ale na jego widok jej serce podskoczyło z radości. Aby się do niego uśmiechnąć, musiała skończyć wiązać kokardę. Zanim to zrobiła, zdążył się już przywitać z innymi i stanął nad nią z bladym uśmiechem.

- Umieram z głodu - powiedział. - Przejdziesz się ze mną do kuchni, chciałbym coś wrzucić na ruszt.

Mając świadomość, że są uważnie obserwowani, dyskretnie albo całkiem otwarcie, kiwnęła głową i podała mu rękę, aby pomógł jej wstać. Przytrzymał jej dłoń w swojej, prowadząc Cady do kuchni.

- No więc, jak tam sprawy z ... ? - Chciała go zapytać o postępy w śledztwie, ale przerwał jej stanowczym gestem.

- Teraz nie chcę o tym rozmawiać. Jestem ledwo żywy i mam ochotę ... - Zamilkł i przepuścił ją przodem przez kuchenne drzwi.

- Na co? - zapytała, gdy drzwi się zamknęły.

- Zgadnij - powiedział i przycisnął ją do lodówki, a potem pocałował.

Zanim podniósł głowę, Cady była gotowa mu wybaczyć, że przez czterdzieści osiem godzin nie miała od niego żadnej wiadomości.

- Myślałam, że jesteś głodny - zauważyła, opierając się o lodówkę i patrząc mu prosto w oczy.

Po zadowolonym uśmiešku, który pojawił się na jego ustach, wywnioskowała, że wyczytał z jej oczu wszystko, co czuła, ale to nie był powód do zmartwienia - i tak zawsze potrafił dokładnie powiedzieć, o czym myślała.

- Jestem, ale nie chodzi mi o jedzenie. Wracając do domu, wpadliśmy z Antoniem do McDonalda.

Pocałował ją jeszcze raz tak namiętnie, że Carly omal się nie roztopiła.

- Carly?

Sandra otworzyła drzwi i wsunęła głowę do środka. Carly poczuła się odrobinę zażenowana, wciąż bowiem stała przytulona do Matta, z rękoma na jego szyi.

- Hmm? - Odwróciła się do Sandry, nie zmieniając pozycji. Przyjaciółka wydawała się także odrobinę speszona.

- Spędzę noc poza domem. Chciałam ci tylko to powiedzieć.

- Ach, tak? - Carly spojrzała na nią z zainteresowaniem. Przepłynął między nimi cały strumień

niewypowiedzianych myśli. Z uwagi jednak na obecność Matta nie doszło do żadnych wyjaśnień.

- W porządku. Jasne. Widzimy się jutro.

- Dobrej nocy - powiedziała Sandra z wesołym błyskiem w oku i znikła.

- Och - westchnęła Carly, tuląc się do Matta, ale nie spuszczać wzroku z drzwi. - Udało się.

Kiedy po chwili dotarło do niej, co sugerowały te słowa, spojrzała na Matta. Uśmiechał się, a w jego ciemnych oczach zobaczyła diabelskie błyski.

- Nie domyślasz się, dlaczego przyprowadziłem Antonia do domu? Potrzebuje swojej kobiety, ja też potrzebuję swojej kobiety, a obaj musimy się też trochę wyspać tej nocy. Tak to z nami jest.

Spojrzała na niego z lekkim wyrzutem.

- Twoja kobieta, tak?

- Widzisz w tym jakiś problem? - Przycisnął ją plecami do lodówki.

- To zabrzmiało trochę seksistowsko, nie sądzisz? - Coraz wyraźniej odczuwała przyjemność z powodu jego bliskości.

- Czyżby? - Jego ręce ześlizgnęły się na jej pośladki i przyciągnął ją mocniej do siebie.

- Tak. Ale nie mam z tym żadnego problemu.

Uśmiechnął się do niej.

- Chodźmy do łóżka.

To ją natychmiast otrzeźwiło. Pomyślała o tych wszystkich pałach oczu w salonie.

- To trochę krępujące - wyznała.

Drzwi do kuchni otworzyły się i weszła Erin z Mikiem. Stanęli w progu, z nieukrywanym zainteresowaniem patrząc na Matta i Carly.

- Masz rację, to rzeczywiście krępujące - wyszeptał jej do ucha Matt, a kiedy opuściła ramiona, odsunął się od niej i spojrzał na Mike'a, który niepewnie przestępował z nogi na nogę.

- Myślałem, że już pojechałeś do domu.

- Przedtem chcieliśmy zjeść kanapkę - powiedziała Erin i puściła oko do brata. - A jak ci smakowała wołowina?

- Doskonała. Polecam.

Wziął Carly za rękę i wyszli z kuchni. Na szczęście nie spotkali nikogo, biegnąc do schodów.

Sandra i Antonio zapewne już odjechałi, a Lissy i Dani nie było w zasięgu wzroku.

- Pospiesz się - ponagliła Matta Carly, pędząc dwa stopnie przed nim i ciągnąc go za rękę.

Jeżeli była jakaś szansa uniknięcia kolejnego krępującego spotkania, zamierzała ją wykorzystać.

- Mike chyba się zanadto nie naprzykrza, jak sądzisz? - zapytał, gdy dotarli do holu na piętrze.

Zupełnie nieświadomy jej obaw, rozmyślał nad czymś zupełnie innym.

- Chodzi ci o Erin?

A więc w końcu zauważył. No tak, trudno było nie zwrócić uwagi na to wiele mówiące spotkanie w kuchni.

- Erin? - Matt był naprawdę zdziwiony. - Miałem na myśli ciebie.

Carly stanęła jak wryta i rzuciła mu zdumione spojrzenie. Dotarło do niej, że kompletnie nic nie zauważył. Typowy mężczyzna.

- Jesteś kompletnym tępakiem - powiedziała, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Wepchnął ją do sypialni i zamknął drzwi. Objął Carly i pocałował, a potem uniósł głowę.

- Zechcesz mi wyjaśnić ten epitet?

- Później - powiedziała i odwzajemniła pocałunek.

Przerwało im drapanie Annie do drzwi. Matt zaklął i wyciągnął rękę, aby je otworzyć. Pies wszedł

do środka, a za nim wparadował Hugo, który przemaszerował przez cały pokój i wskoczył na łóżko z miną wskazującą jasno, do kogo należało.

- Musisz się zawsze poruszać z całym zoo? - Powiedział to z wyraźnym niezadowoleniem, krzyżując przy tym spojrzenie z Hugo-nem.

- Kochaj mnie, kochaj moje ... - Przerwała i uśmiechnęła się do niego wesoło.

- Tak, wiem. Ta kula futra ma szczęście, że cię kocham.

Chciał ją znowu pocałować, ale Carly, która przypomniała sobie o niezbędnych zabiegach higienicznych, wysunęła się z jego ramion.

- Za sekundę wracam - obiecała.

Weszła do łazienki i zamknęła drzwi. Błyskawicznie umyła zęby, przeczesała włosy i nałożyła na

usta odrobinę błyszczący. Kiedy pa-trzyła zadowolona na swoje odbicie w lustrze, w środku już się topi-ła z pragnienia, a serce jej biło szybciej.

To zupełnie nienormalne, śmieszne i zwariowane, aby tak się podniecać od samego myślenia o seksie.

Weszła do sypialni i stanęła jak wryta. Matt leżał na plecach po-środku łóżka, kompletnie ubrany

- zdjął jedynie buty - a przy jego głowie mrucał skulony w kłębek Hugo. Matt miał zamknięte oczy, jego ciało sprawiało wrażenie całkowicie bezwładnego. Gdy Carly po-deszła bliżej, gapiąc się na niego z niedowierzaniem, z jego pięknie rzeźbionych, bardzo męskich ust wydobyło się wyraźne chrapanie.

Czy tak właśnie miało wyglądać jej życie? Nie było sensu się szy-kować, bo i tak nie miała dokąd pójść. Teraz sytuacja wydawała się jeszcze gorsza: była podniecona i nie miała szans na seks.

W kącie stało składane łóżko Sandry, ale Carly ledwo rzuciła na nie okiem. Jeżeli już nie mogła się kochać z Mattem, chciała przy-najmniej z nim spać. Nie całkiem o to jej chodziło, ale to zawsze coś.

Śpiący Matt wyglądał słodko, chłopięco i bardzo niewinnie, a przy tym, oczywiście, był przystojny i seksowny jak zwykle. Uśmiechnęła się do siebie na myśl, jak mało podobałaby mu się pierwsza część tego opisu, włożyła piżamę, odrzuciła cienką kołdrę - Matt leżał na kocu i doskonale wiedziała, że nie zdoła go przesu-nać - i wsunęła się pod nią.

N astępnie zgasila lampkę stojącą na nocnym stoliku, przytuliła się do Matta i pocałowała go w szorstki policzek. Z drugiej strony Hugo mrucał jak wentylator.

- Dopadnę cię rano, słodki tyłeczku - wyszeptała do ucha Matta. . I tak rzeczywiście się stało.

Później Matt wziął prysznic, ubrał się i podczas gdy Carly koń-czyła jeszcze toaletę, zszedł na dół pod pretekstem, że musi wypu-ścić do ogrodu Annie, ale wiedziała, że postanowił wziąć na siebie cały impet spotkania z pozostałymi mieszkankami domu. Był wcze-sny ranek, ale szanse na to, że na dole nikogo nie spotkają, wydawa-ły się minimalne. Sytuacja była naprawdę krępująca, ale Carly wie-działa, że los jej tego nie oszczędzi. Takie rzeczy w jej życiu się nie zdarzały.

Gdy szła w stronę kuchni, słyszała strzępki toczącej się tam roz-mowy. Mój Boże, najwyraźniej Matt został już osaczony przez wszyst-kie trzy siostry. W pierwszej chwili miała ochotę podwinąć ogon i wrócić na górę, ale to byłoby tchórzostwo. Kiedyś musi przecież sta-wić czoło takiej sytuacji. Równie dobrze mogła to zrobić teraz.

Podchodząc do drzwi, usłyszała słowa Lissy:

- Domyślam się, że złamałeś zasadę "żadnego seksu pod moim dachem", co?

- Zapomniałem wam coś powiedzieć w kwestii tej zasady. - Głos Matta był zupełnie spokojny. -

Widzicie, to dotyczy wszystkich w tym domu - poza mną•

- To niesprawiedliwe! - zawołała Lissa w chwili, gdy Carly wchodziła do kuchni.

Przy stole siedzieli Lissa, Dani i Erin, a Matt pił kawę, opierając się o kuchenny blat. Cztery pary niemal identycznych oczu w kierunku kawy natychmiast na nią spojrzały, jedne ze współczuciem, pozostałe rozbawione.

- Dzień dobry - przywitała się Carly, marząc, aby na jej twarzy nie pojawił się rumieniec zażenowania.

- Dzień dobry - odpowiedział jej chór głosów.

Lissa uśmiechnęła się do niej. Erin i Dani puściły oko.

- Chcesz kawy? - zapytał Matt.

- Poproszę.

Kiedy odwrócił się, aby nalać jej kawy, Erin wyszczerzyła zęby i uniosła w górę kciuk.

Dwadzieścia minut później oboje siedzieli już w samochodzie Matta. Jeszcze podczas porannych rozmów w sypialni opowiedział jej trochę o przebiegu śledztwa. Dowiedziano się, że Marsha też spędziła prawie miesiąc w tutejszym domu dziecka; po sprawdzeniu archiwów okazało się, że ona i Carly były tam w tym samym czasie. Co więcej, w tym samym czasie przebywały także w izbie chorych, razem z dwiema innymi dziewczynkami: Genny Auden i Sorayą Smith. Matt wyznaczył już kogoś, kto miał odnaleźć pozostałe dziewczęta - a właściwie kobiety, bo wszystkie były starsze od Carly od czterech do sześciu lat.

- Moim zdaniem coś się wydarzyło w tej izbie chorych - powiedział Matt. - To jedyny związek, jaki udało mi się znaleźć między Marshą i tobą. Miałaś wtedy osiem lat. W twojej świadomości mogły się nie zachować żadne konkretne wspomnienia. Uważam jednak, że jest to przyczyna nocnych koszmarów, które cię dręczą. - Spojrzał na nią z wahaniem. - Czy sądzisz, że byłabyś w stanie pojechać tam ze mną, rozejrzeć się i sprawdzić, czy coś nie pobudzi ci pamięci o tamtym okresie?

Carly się zgodziła. Podjeżdżali właśnie do bramy domu dziecka, który znajdował się na północ od Benton.

To zabawne, pomyślała, że nie była w tym miejscu od tamtego ranka, kiedy przyjechała po nią babka. Przedtem, zanim pojawił się ktoś z opieki społecznej, aby zabrać ją do domu dziecka, mieszkała w Rocky Ford, miejscinie jeszcze mniejszej niż Benton. Były bardzo biedne, a matka miała problemy z alkoholem - kiedyś słyszała, jak sąsiad nazywał ją "śmierdzącą pijaczką" -

choć wychowano ją zupełnie inaczej. Jako dziecko Carly nie zdawała sobie z tego sprawy; dowiedziała się o wszystkim później, kiedy już dorosła, od babki. Bez wątplenia jej matka była szaloną, zbuntowaną nastolatką, która zafundowała sobie kilka burzliwych lat życia, uciekając na motorze z jeszcze bardziej zwariowanym chłopakiem. Wiedziała, że jeżeli to zrobi, nie będzie miała po co wracać do domu. W wyniku tej przygody urodziła się Carly, chłopak zniknął potem z inną dziewczyną, a w końcu zginął w wypadku drogowym gdzieś w Tennessee, babka zaś, tak jak

zapo-wiedziała, nie chciała więcej widzieć córki. Kiedy jednak pracownik opieki społecznej poinformował ją, że Carly została porzucona i znajduje się w domu dziecka, staruszka zgodziła się wziąć ją do siebie. Z czasem nauczyła się kochać Carly, a Carly pokochała ją.

Te osiem dni, zanim babka po nią przyjechała, należały do naj-bardziej samotnych i przerażających w życiu Carly.

Patrząc teraz na niskie budynki z cegły, do których zbliżali się z Mattem, Carly uznała, że wyglądały całkiem przyjemnie, skąpane w słońcu i otoczone rozległym, porośniętym trawą terenem, z pla-cem zabaw i boiskiem do koszykówki z boku. Po placu biegały dzie-ci, a starsi wychowankowie, głównie młodzież, oglądali telewizję w świetlicy, inni spacerowali po korytarzach. Jakiś chłopak z ogolo-ną głową siedzący na łóżku w maleńkim pokoiku przyglądał

im się przez otwarte drzwi.

Matt rozmawiał ze starszą kobietą, która wyszła im na spotka-nie. Do Carly docierały strzępki rozmowy: "witam, szeryfie", "tele-fonowałem" i "proszę tędy". Właściwie nie słuchała ich; była zbyt zaabsorbowana tym, co ją otaczało, dosło'wnie wchłaniała wszystko przez skórę, raczej przeżywając na nowo niż przypominając sobie tamtą sytuację.

Była wtedy taka przerażona.

- Wszystko w porządku? - zapytał cicho Matt, biorąc ją pod rękę, i po chwili się uspokoiła, ponieważ on znajdował się tutaj z nią, czu-łajego ciepłą dłoń na swojej, a w jego oczach widziała troskę•

Pokiwała głową i nagle zobaczyła to miejsce, poczekalnię z drewnianym,porysowanym blatem, gdzie dzieci otrzymywały lekarstwa, a dalej drzwi: metalowe drzwi z małym, kwadratowym okienkiem. Były otwarte.

- Mamy tylko jednego chorego, z jakąś reakcją alergiczną. Poło-żyłam go w innej sali.

- Dziękuję, jestem bardzo wdzięczny.

Carly słyszała rozmowę Matta z kobietą jakby przez mgłę, wysu-nęła rękę spod jego ramienia i weszła do pustej, niezbyt dużej sali. Okno pomieszczenia wychodziło na - to nie była obórka, raczej szo-pa - skleconą byle jak szope, która stała na ogrodzonym płocie te-renie. Trzymano tam kiedyś osiołka, kilka kurczaków, koźlątko i prosiaka. Bardzo lubiła zwierzęta ...

Nadal tam stały: piętrowe łóżka, dość szerokie, z pomalowanego na biało metalu. Spała na górze, na łóżku z lewej strony. Spojrzała na nie. To było to samo łóżko: metalowe sprężyny, cienki materac zasła-ny błękitnym prześcieradłem, płaska poduszka. Kiedyś wydawało jej się, że górne łóżko było bardzo wysoko. Teraz też miała takie wraże-nie. Zauważyła, że krawędź

materaca znajduje się powyżej czubkanej głowy. Aby dostać się na górę, musiała korzystać z drabinki.

Drabinka była tam nadal, przyczepiona w nogach łóżka. Carly wspięła się po niej i położyła na

błękitnym prześcieradle.

Skrzyp, skrzyp. Ten sam dźwięk. "Uważaj, żebyś nie spadła" – usłyszała w głowie słowa ostrzeżenia. Wtedy pracowała tu starsza kobieta, bardzo miła, która cały dzień opiekowała się nimi i prze-strzegała ją, aby bardzo uważała. Carly spała z plecami przylepionymi do ściany, ze strachu zwinięta w kłębek.

Aby sobie przypomnieć, jak to było, położyła się na boku i przywarła plecami do ściany.

- Carly.

Słyszała go, to był Matt. Wszedł do środka i po chwili dostrzegł ją na górze.

- Wszystko w porządku?

Podszedł do łóżka i spojrzał na nią znad materaca, a Carly widziała tylko górną część jego twarzy, usta, nos i oczy.

Jego oczy. Patrzyły na nią. Jego oczy. Carly zaczęła drżeć.

Była biała jak papier, oczy miała szeroko otwarte i patrzyła gdzieś w przestrzeń, usta rozchylały jej się przy każdym oddechu. Plecami opierała się o ścianę, jedną rękę miała wciśniętą pod głowę, tak że zasłaniały ją opadające loki i - Boże, cała dosłownie się trzęsła.

- Już dość tego, starczy - powiedział Matt, wyciągnął rękę i wziął Carly za ramię, ponieważ nie mógł dłużej znieść tego, jak wyglądała, nieważne, czemu miało to służyć.

W pokoju było ciepło, klimatyzacja niezbyt dobrze działała, ale nagie ramię Carly było zimne.

- Nie musisz tego robić. Carly...

- Pamiętam.

Jej głos drżał. Patrzyła na niego oczami małej dziewczynki i Matt poczuł nagle ukłucie w sercu.

- To te oczy. Kiedy patrzyłeś na mnie znad materaca, przypomniałam sobie te oczy. Te same, które widuję w moich koszmarach, Matt. Jego oczy - jasnoniebieskie, bez rzęs. Takie same oczy miał ten potwór, który mnie zaatakował. Powiedział: "Teraz cię pamiętam". - Odetchnęła głęboko. - Ja też go teraz pamiętam.

- Opowiedz mi.

Był tak spięty, jakby kazano mu patrzeć na zadawane Carly tortury, co w pewnym sensie dobrze oddawało obecną sytuację. Jeżeli jednak coś sobie przypominała, jeżeli mogła mu wyjawić, kim jest ten łajdak, wszystko skończy się dobrze, a Carly będzie bezpieczna. Poglaskał ją po ramieniu, dodając tym drobnym gestem otuchy, i nie wypuszczał jej dłoni ze swoich, czekając, aż Carly zacznie mówić.

- To działo się w nocy. Zawsze późno w nocy. Doszło do tego, że bałam się zasnąć, ponieważ wtedy mogłabym przeoczyć jego przyjście. Kiedy otwierał drzwi, widziałam, jak stał w wejściu -

w naszej sali było ciemno, a światło padało z korytarza, widziałam więc tylko jego ciemną, potężną sylwetkę - po chwili wchodził do środka, zamykał za sobą drzwi i... zaczynał.

Drżała teraz pod jego dłonią jak liść osiki. Matt zacisnął zęby.

Tak bardzo pragnął zdjąć ją z łóżka i utulić w ramionach, że ledwie się opanował. Obawiał się też tego, co za chwilę mógł usłyszeć, tego, co odkryła w pamięci.

Otworzył jednak tamę i już nie mógł powstrzymać płynącej wody.

Zastanawiał się, czy nie powinien tego przerwać, po prostu skończyć, zabrać ją stąd i zacząć wszystko od innej strony, ale Carly kontynuowała opowieść.

- Chodził od łóżka do łóżka. Zwykle lubił zaczynać stąd - wskazała głową łóżko przy przeciwległej

ścianie - i posuwał się od dołu do góry. Ja byłem ostatnia. - Drżenie jej ciała przypominało już dreszcz. - Podchodził do mnie i patrzył, a ja przyciskałam się plecami do ściany, tak jak teraz, i pamiętam tylko jego oczy. - Znowu wzięła głęboki oddech, który zabrzmiał

jak westchnienie. - Udawałam, że śpię, a on zarzucał mi na głowę koc - był wilgotny, zimny i okropnie śmierdział czymś słodkawym - a potem szeptał: "Dobranoc, księżniczko". Bałam mu się sprzeciwić, bałam się zrobić cokolwiek, a kiedy zakrywał mnie tym kocem, zasypiałam.

Matt od razu się zorientował, że ten drań usypiał ją chloroformem. Przychodził do sali, gdzie były same dziewczynki, i usypiał je chloroformem. Poczł mdłości i zacisnął dłoń w pięść.

- Tylko że to nie zawsze działało. Po pierwszej nocy nauczyłam się odwracać głowę, tylko troszeczkę i przez chwilę nie oddychałam, zresztą on w ogóle mną się nie zajmował.

Zdecydowanie bardziej interesowały go inne dziewczynki, starsze i bardziej rozwinięte, rozumiesz, a ja byłem trochę oszołomiona, ale nie spałam i słyszałam, jak wchodził do ich łóżek.

Słyszałam, jak skrzypiały sprężyny.

Carly zadygotała tak mocno, że łóżko się zatrzęsło i Matt także usłyszał skrzypienie sprężyn.

- Carly. ...

Nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Nie był w stanie ani minuty dłużej tego słuchać. Jeżeli okazałoby się, że ten łajdak jej dotknął, pękłoby mu serce, oszalałby z bólu i wściekłości.

- Pamiętam, Matt - powiedziała tak cicho, że ledwie ją było słychać, i spojrzała na niego tak, że do końca życia będzie pamiętał to, co zobaczył w jej oczach. - Ostatniej nocy, tuż przed przyjazdem mojej babki, jedna z tych dziewcząt - pamiętam, że nazywała się Genny, miała około trzynastu lat i była dość ostra, nawet trochę jej się bałam - obudziła się, gdy był u niej w łóżku, i zaczęła krzyczeć, a on ją uderzył. Uderzył ją pięścią, a potem jeszcze czymś, usłyszałam głuchy odgłos, a on wyszedł z jej łóżka, wziął ją na ręce i wyniósł z sali. - Skończyła w pośpiechu i z jej ust wyrwało się kolejne westchnienie. - Następnego ranka przyjechała moja babka. Gdy opuściłam dom dziecka, Genny jeszcze się nie pojawiła.

Matt tak głęboko siedział już w tej sprawie, że dotarł do informacji, iż Genny Auden, lat trzynaście, prawdopodobnie uciekła dwadzieścia dwa lata temu z domu dziecka w nocy trzynastego sierpnia. Usiłowali teraz znaleźć jakiś jej ślad. Kiedy sprawdzał ostatni raz wyniki poszukiwań, nic o niej nie było wiadomo po tej właśnie dacie.

Teraz uświadomił sobie, że szukali trupa.

- Kto to był, kochanie? Kto to zrobił? Pamiętasz, jak się nazywał? Nie mógł spokojnie znieść myśli, że musiała przez to przejść, głos miał zachrypnięty, serce biło mu szybko i z trudem panował nad narastającym gniewem. Chciał być dla niej teraz szczególnie miły, bo bardzo go potrzebowała.

Carly skinęła słabo głową.

- Oślarz. Nazywałyśmy go Oślarzem.

Oślarz. Czy to nazwisko? Jakaś mutacja nazwiska? Fizyczny opis? Ktoś, kto przyprowadził do domu dziecka osła, zajmował się nim, miał jakiś związek z osłem? O co tu chodziło?

- Wtedy myślałam, że Genny po prostu wyjechała, może znalazła jakieś bezpieczne miejsce, tak jak mnie się udało, gdy zabrała mnie babka. Staralam się nad tym nie zastanawiać, to było bardzo nieprzyjemne i nie myślałam już o tym, na szczęście wszystko się skończyło i nie miałam powodów, aby się tym zajmować. Teraz jednak ... - przerwała i odetchnęła głęboko. -

Teraz wydaje mi się, że on mógł ją zabić.

- Tak, ja też tak myślę.

Dostał to, po co tu przyjechał. Nie było potrzeby, aby ją dalej męczyć. Świadomie nadał swojemu głosowi stanowczy ton.

- No, dobrze, chodź, zejdź na dół. Idziemy stąd.

- Matt ...

- Chodź. Słyszałaś, co powiedziałem.

Ponieważ najwyraźniej miała kłopoty z ruszeniem się z miejsca, przyciągnął ją do siebie, nie zważając na starannie zasłane łóżko. Ponaglana przez niego Carly usiadła, a wtedy schwycił ją w pasie i zdjął na dół. Jako dorosła kobieta Carly ważyła tyle, co przeciętna nastoletnia dziewczyna; w wieku ośmiu lat nie była chyba dużo większa od komara. Na myśl o tym mężczyźnie - silnym, postawnym facecie - pastwiącym się nad nią czuł, jak nóż otwiera mu się w kieszeni.

Idę po ciebie, ty łajdaku, obiecał mu w myślach.

Kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Gdyby jej nie trzymał, osunęłyby się na linoleum. Wziął ją na rękę i ruszył w stronę drzwi.

- Matt, nie. Poczekaj.

Carly gwałtownie szarpnęła się w jego objęciach. Oparła dłonie na jego ramionach i mocno zacisnęła na nich palce.

- Co się stało?

Zatrzymał się i spojrzał na nią. Oddychała wolno i spokojnie, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Twarz nadal miała bladą, ale usta już jej nie drżały, a oczy odzyskały normalny wyraz.

_ Nie możesz wyjść stąd, trzymając mnie na rękach. Postaw mnie na ziemi.

- Jeżeli cię postawię, upadniesz.

_ Nie, nie upadnę. - Wyrwała się z jego ramion. - Tam są dzieci ... Postaw mnie. Proszę•

Wbrew swojej woli pozwolił Carly stanąć samej, trzymając ją jednak mocno, gdyby nogi znowu odmówiły jej posłuszeństwa. Przez chwilę opierała się o niego, ściskając go za ramię. Potem wyprostowała się i odsunęła ostrożnie - domyślił się, że również nie była pewna, jak zachowają się jej kolana - aż wreszcie stanęła na własnych nogach.

Patrzył na nią i nagle poczuł taki przyływ tkliwej czułości, że aż go to zdziwiło, i aby pokryć zmieszanie, delikatnie pociągnął ją za loczek.

_ Carly, naprawdę mi imponujesz, wiesz o tym?

Uśmiechnęła się do niego i w tej samej chwili do drzwi podeszła dyrektorka domu dziecka, z którą musieli uprzejmie porozmawiać w drodze do wyjścia.

Gdy wracali do miasta, Carly uważnie mu się przyglądała. Oparła głowę na fotelu, była zmęczona i nadal bardzo blada, a Matt chciał zatrzymać wóz i pocałunkami przywrócić jej rumieńce na twarzy, pozostało jednak zbyt wiele do zrobienia. Miał już tego faceta na wyciągnięcie ręki, można go było zidentyfikować, zamknąć i wystawić mu za wszystko rachunek. Matt musiał tylko połączyć kilka dodatkowych faktów, dosłownie kilka, w spójną całość i będą go mieli. Spojrzał znowu na Carly.

- Matt ...

-Hmmm?

_ Chciałabym, żebyś to wiedział. On nigdy mnie nie dotknął, poza tym, że zarzucał mi na głowę koc. Interesował się tylko starszymi dziewczętami.

Zacisnął usta i skierował nieobecne spojrzenie przed siebie. Dochodziło południe, był kolejny skwarny dzień, przed maską samochodu dosłownie drżało od upału powietrze i wszystkie żywe istoty starały się schronić przed piekielną temperaturą w klimatyzowanych wnętrzach. Po obu stronach drogi przesuwały się pola kukurydzy i pastwiska, a wśród nich małe domki pokryte aluminiową okładziną. Matt jednak tego nie widział. Mógł myśleć jedynie o Carly, bezbronnej, ośmioletniej dziewczynce zdanej na łaskę zbrojnego.

- Skąd wiesz, że taka myśl w ogóle przyszła mi do głowy?

Posłała mu pobłażliwy uśmiezek.

- Po pierwsze, odkąd wsiedliśmy do samochodu, masz zaciśnięte szczęki. Po drugie, dobrze cię znam.

Spojrzał na nią i dopiero wtedy uświadomił sobie, że rzeczywiście miał mocno zaciśnięte szczęki. Zaprzagnął się odprężyć.

- No dobrze. Faktycznie miałem ochotę zabić tego drania. Możesz mnie osądzić.

- Mój ty bohaterze - powiedziała, a jej błękitne jak u lalki oczy zatrzymały się na jego twarzy. -

Kocham cię.

Co mógł na to odpowiedzieć?

Zjechał na pobocze i pocałował ją, a potem wrócił na szosę i odwiózł Carly do miasta, nie zatrzymując się nawet na lunch.

Dochodziła pierwsza, gdy przekazał ją Mike'owi - z tym facetem ewidentnie coś się działo, ale Matt postanowił zająć się nim później, gdy wsadzi już za kratki tego bydlaka, który polował na kobiety i dziewczynki. Pokiwał głową, gdy Carly przypomniła mu, że wieczorem ma się odbyć generalna próba przed ceremonią ślubną Erin - ponieważ następnego dnia kościół był

zarezerwowany - a także przyjęcie w Corner Cafe. Bez względu na wszystko Matt powinien się stawić o ósmej, i to w garniturze. Ta informacja została natychmiast pogrzebana pod całą lawiną dużo ważniejszych myśli - ślub, nawet własnej siostry, nie był w tej chwili sprawą priorytetową - w których Matt zatopił się, jadąc do Beadle Mansion. Jak dotychczas nie udało im się znaleźć ciała Marshy, chociaż korzystali z pomocy specjalnie wyszkolonych psów, mieli wykrywacze metalu i stosowali także inne, prostsze metody, jak nakłuwanie ziemi w poszukiwaniu miękkich miejsc.

Ale ono tam było, wiedział, że musiało tam być i znajdą je. Zdecydowanie lepiej byłoby, gdyby znaleźli je prędzej niż później. Ciało biednej małej Genny Auden musiało czekać w kolejce. Po dwudziestu dwóch latach powiedziałyby im znacznie mniej niż całkiem świeże zwłoki Marshy.

Poza tym mniej więcej wiedzieli, gdzie szukać ciała Marshy, podczas gdy miejsce ukrycia zwłok Genny nie było znane. Morderca musiałby być głupi, żeby zakopać je na terenie domu dziecka, a ten facet raczej nie wyglądał na głupiego.

Dojeżdżał już do domu Carly, gdy przez radio usłyszał głos Doris Moormans, która wzywała go do biura szeryfa.

Sprawdzenie zawartości komputera Marshy odwlekało się w czasie z uwagi na beznadziejnie skomplikowaną procedurę uzyskania jej hasła dostępu - Kenan go nie znał. W końcu się udało i Andy użył właśnie dostępu do zawartości twardego dysku.

Kiedy Matt wszedł do biura, zastał chłopaka swojej siostry przy biurku, wpatrującego się w rozjarzony monitor komputera, a za jego plecami tłoczyli się Antonio, Doris i Anson Jarboe, który poprzedniej nocy postanowił zrobić sobie miniwakacje w więzieniu.

_ Zabieraj stąd swój nochal. To kryminalne dochodzenie - powiedział Matt do Ansona, gdy stanął za plecami Andy'ego i także wbił wzrok w monitor.

_ Daj spokój, Matt - zaprotestował tamten. - Nikomu nic nie powiem.

Matt potrząsnął głową i wskazał na drzwi.

- Jesteś wolny. Do widzenia.

Patrzył na monitor, ale powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy, dopóki Anson, wyraźnie się ociągając, nie zastosował się do jego polecenia. Dochodzenie było zbyt ważne, aby jakiegokolwiek informacji z nim związane przeniknęły do mieszkańców miasteczka, zanim przestępca trafi za kratki. Jeżeli chodziło o Andy'ego, Matt włączył go na określony czas do grupy operacyjnej i zobowiązał do zachowania tajemnicy, nie był jednak na tyle nieostrożny, aby zaufać Ansonowi.

Byli już tak blisko, że z niecierpliwości aż świerzbiły go palce.

- No więc, co znalazłeś? - zapytał.

- Spójrz na to.

Andy kliknął myszką i na ekranie pojawiła się ikona poczty elektronicznej Marshy. Potem kliknął na "pocztę wysłaną", i znalazł jeden z listów i Matt zobaczył wiadomość, którą Marsha wysłała - sprawdził datę - na niecały tydzień przed swoim zniknięciem.

Zaadresowana była do Silverado42.

Słyszałam, że dopisało Ci szczęście. U mnie wręcz odwrotnie. Może się ze mną podzielisz. Jeśli tak, nikomu nic nie powiem.

Następna została wysłana tej samej nocy.

Nie martw się. Nie pisałam nic przez tyle lat i dalej będę milczeć aż po grób. Ale to będzie Cię kosztowało. Powiedzmy - milion dolarów.

I jeszcze jedna tej samej nocy.

Posłuchaj, na pewno pamiętasz. Ja też pamiętam. Wszystko. Genny była moją przyjaciółką.

- Jezu, próbowała go szantażować!

Dalej było jeszcze więcej listów w podobnym stylu. Matt przeczytał wszystko z ponurą satysfakcją. To, co podejrzewał, okazało się prawdą. Przyjrzał się adresowi e-mailowemu, pod który Marsha wysyłała listy. Niestety, nie dowiedział się niczego, co mogłoby się przydać do identyfikacji adresata.

- Kto? Kto to jest? Kto?

Ktoś, kto mógł zapłacić milion dolarów. Cholera, to wykluczało wszystkich, których znał.

- Silverado42 - zastanawiał się Antonio. - Pasuje do starszego faceta. Może 42 to rok jego urodzenia, a "Silverado" to jego srebrne, czyli siwe włosy.

- A może ma forda silverado jak mój mąż - zasugerowała Doris.

Natychmiast jednak przeraziła się tego, co powiedziała. - Litości, Matt, chyba wiesz, że to nie on.

Matt, który był raczej pewien, że męża Doris można spokojnie skreślić z listy podejrzanych, uspokoił ją.

- Nie martw się, Doris, moim zdaniem Frank jest czysty. - Spojrzał na Andy'ego. - Znasz jakieś komputerowe sztuczki, aby się dowiedzieć, kim jest adresat?

- Obawiam się, że nie - powiedział Andy. - Musimy znowu zwrócić się do prokuratora. Ale chcesz zobaczyć odpowiedzi?

Matt miał ochotę go ucałować.

- Tak. Tak, chcę.

Pierwsza brzmiała:

Kim jesteś? O czym mówisz?

Druga:

Czy to Marsha? Może Soraya? Carly?

I jeszcze:

Marsha? Wiem, że to ty.

To było pakowanie się w łapy mordercy. Marsha próbowała szantażować kogoś, kto napastował bezbronne dziewczynki. Człowieka, który jedną z nich zabił. Przyszedł więc do niej, aby zamknąć jej usta - a potem śledził także Carly. I z całą pewnością szukał też Sorai.

Do tej pory nie udało im się odnaleźć tej kobiety, chociaż sprawdzili wszystkie znane im adresy i próbowali dowiedzieć się czegoś od ludzi, którzy ją znali. Matt miał przeczucie, że być może powinni raczej szukać jej ciała. Jeżeli tak, to z czterech dziewczyn, które miały pecha i w tym samym czasie zachorowały w domu dziecka, trzy już nie żyły. Carly, jego Carly, była jedyną żyjącą.

Ta myśl zmroziła mu krew w żyłach.

- To facet, którego szukamy. Trzeba się dowiedzieć, kim jest. Zadzwoń natychmiast do providera sieci, powiedz, że sprawa dotyczy bardzo ważnego dochodzenia policyjnego, zrób wszystko, co się da. - Spojrzał na Antonia. - Tak jak ci mówiłem, to ma związek z domem dziecka. Carly przypomniawszy sobie, co się stało.

Szczegóły postanowił przekazać mu później, gdy nie będzie przy tym Doris i Andy'ego. Nie widział powodu, aby rozmawiać o osobistych sprawach Carly z kimkolwiek, kto nie musiał ich znać.

- Przypomniała sobie, że faceta nazywano Oślarz. To może być nazwisko albo jakaś przeróbka, może to przezwisko związane z jego wyglądem, może to ktoś, kto zajmował się osłem, którego hodowano w domu dziecka. Chciałbym, żebyś jeszcze raz przejrzał archiwa, może znajdziesz jakieś informacje o kimś, kto mógł być tak nazywany przez cztery przestraszone dziewczynki.

Antonio pokiwał głową.

- Wszystko jasne, zrobi się.

Kiedy godzinę później Matt wyszedł z biura szeryfa i wyruszył do Beadle Mansion, zauważył, że zmieniła się barwa światła. W jaśniejącym się złocie wyczuwało się chłodny błysk srebra. Słońce świeciło, było bardziej gorąco niż w piekle, ale powietrze stało i wyczuwało się w nim coś złowieszczego.

Naprawdę złowieszczego, pomyślał, patrząc w niebo. Na horyzoncie zbierały się czarne chmury.

Po raz pierwszy od ponad miesiąca zanosiło się na deszcz.

Matt o mało nie opuścił próby ceremonii ślubnej. Na wyraźną prośbę Erin Carly, jako jego dziewczyna, przyszła do kościoła wraz z nią, Lissą i Dani - a także, oczywiście z Mikiem - i siedziała w jednej z tylnych ławek, gdy Matt dotarł na miejsce z piętnastominutowym opóźnieniem. Był też Craig, który pojawił się kilka minut wcześniej, aby towarzyszyć Dani na zaplanowaną później kolację. Shelby stała z przodu, bardzo elegancka w czarnej, satynowej sukni, co nawet ucieszyło Carly, która wybrała strój w zupełnie innym stylu: płomiennoczerwoną sukienkę bez rękawów, obszytą u dołu falbanką. Skromny krój sukienki wspaniale podkreślał kobiece kształty i jedwabistą skórę.

Carly pogodziła się już z tym, że elegancja nie jest jej atutem, ale miała nadzieję, że mimo to wygląda atrakcyjnie. Zostawiła za sobą poranny horror i postanowiła, że nie będzie zasmucać święta Erin, opowiadając o dawnych koszmarach, sama zresztą też nie chciała o tym myśleć, o ile, rzecz jasna, udałoby jej się zapanować nad wspomnieniami. Chętnie włączyła się na prośbę Erin do pomocy przy ostatnich przygotowaniach, pogawędziła z Sandrą (która wróciła rozpromieniona ze spotkania z Antoniem i razem z nim była zaproszona na kolację do restauracji), podziwiała strój Lissy, występującej w roli druhny, jednym słowem cały czas starała się znaleźć sobie jakieś zajęcie, dopóki nie nadszedł czas, aby pójść na górę i przebrać się.

Kiedy już wychodziła do kościoła, miała wrażenie, że porannych wydarzeń w ogóle nie było.

Gdy Matt wszedł do kościoła, wszyscy goście weselni wraz z wielebnym Musselmanem, prowadzącym próbę, spojrzeli w jego stronę. Miał na sobie czarny garnitur, który znakomicie leżał

na jego atletycznej sylwetce, i kiedy Carly zobaczyła go wchodzącego, aż zaparło jej dech z wrażenia. Odszukał ją wzrokiem i uśmiechnął się, zanim jeszcze skierował spojrzenie na innych. Oprócz Erin w sukni z pistacjowego jedwabiu, przed ołtarzem stały też Dani i Lissa, obie w pastelowych strojach druhien, a także dwie przyjaciółki Erin i mała dziewczynka, która trzymała koszyczek z kwiatami. Wszystkie ustawiły się z tyłu za Erin, obok niej zaś stał Colin, trzymając przyszlą pannę młodą za rękę, z boku miał czterech przyjaciół, a za nim czekał

malutki siostrzeniec, który podawał obrączki. W zastępstwie Matta miejsce u boku Erin zajął Mike, który poprowadził ją przez kościelną nawę, gdy organistka radośnie zagrała "Here Comes the Bride", a potem podał jej rękę Col inowi z tak wyraźną niechęcią, że Carly obserwowała to z podszytą grozą fascynacją.

- Prawie na czas! - zawołała z wyrzutem Erin.

- Przepraszam. Nie mogłem się wyrwać wcześniej - tłumaczył

się Matt.

Idąc środkiem kościoła w stronę ołtarza, musnął w przelocie włosy Carly - ten facet nagle okazał się mistrzem romantycznych gestów.

- Gdzie jest Andy? - Lissa popatrzyła na Matta cierpko, mając mu za złe nieobecność swojego chłopaka.

- Robi coś dla mnie. Przyjdzie do restauracji, nie martw się. Carly odetchnęła z ulgą, gdy Matt zajął miejsce u boku Erin,

a Mike usiadł obok niej na ławce.

- Ale masz wściekłą minę - wyszeptała do niego Carly.

- Mam ochotę dać temu facetowi w nos.

Carly nie miała wątpliwości, że odnosiło się to do Colina.

- To jej wybór.

Jedno spojrzenie na twarz Mike'a uświadomiło jej, co myślał na ten temat.

- Ślub jest pojutrze - przypomniała mu szeptem.

- Tak, wiem. Jak myślisz, jaka byłaby jej reakcja, gdybym wstał, gdy padnie pytanie, czy ktoś się sprzeciwia zawarciu tego związku, i powiedział, że ja się sprzeciwiam.

- Mam nadzieję, że to tylko żart.

- Ale świetny, co? - Był w ponurym nastroju.

Carly pokręciła głową, wyobrażając sobie całą tę scenę i jej konsekwencje.

- Jeżeli masz coś przeciwko temu ślubowi, radziłabym ci porozmawiać z Erin, zanim ruszy do ołtarza. Zrób to wcześniej. Na przykład dzisiaj.

- Ona wie, że jestem przeciwny ich małżeństwu.

Powiedział to tak przygnębionym głosem, że Carly poklepała go współczująco po udzie. Posłał jej słaby uśmiech.

- Ale cieszę się, że przynajmniej tobie i Mattowi się udało.

- Ja też się cieszę. Posłuchaj, nie jesteś Erin całkowicie obojętny.

Ostatniej nocy była z tobą w kuchni.

- Tak - ponuro przytaknął Mike. - Jedliśmy kanapki z pieczoną wołowiną. Powiedział to z takim przekąsem, że Carly aż zachichotała. Nie mogła się powstrzymać. Mike spojrzał na nią bez cienia rozbawienia.

Ku zaskoczeniu Carly, gdy tylko skończyła się próba dla dorosłych (dziewczynka z kwiatkami i

chłopiec trzymający obrączki nie-li jeszcze kilkakrotnie powtórzyć swoje role pod czujnym okiem matek i wielebnego Musselmana), Matt zaprowadził ją do westybulu, kameralnego i zaciszego pomieszczenia wyłożonego aż po sklepienie starym, pociemniałym drewnem. Światło, które wpadało do środka przez dwa witrażowe okna, tworzyło tęczowe plamy na drewnianej podłodze, a dwie pary umieszczonych w płytkich wnękach drzwi prowadziły do niewielkich pomieszczeń, w których panny młode i drużny przygotowywały się do ceremonii i czekały przed wejściem.

Kiedy zostali sami, Matt poruszył sprawę swojego zastępcy.

- Co jest między tobą a Mikiem? - zapytał wprost.

Najwyraźniej chciał ją zaskoczyć. Carly przyjrzała mu się - tym razem była w lepszej sytuacji, ponieważ włożyła pantofle na bardzo wysokich obcasach - i zdumiała ją coś, co zobaczyła w jego oczach.

- Jesteś zazdrosny - powiedziała i na myśl o tym, że Matt - ten wspaniały Matt, którego całe życie kochała i który doskonale wie-dział, jak wywołać u niej dreszcz emocji - był zazdrosny o Biernego Mike'a, aż parsknęła śmiechem. - To zabawne.

Spojrzał na nią tak, że zrozumiała, iż on wcale tak nie uważał.

- Coś się z nim dzieje. Ciągłe kręci się w pobliżu „mojego domu, nawet gdy jest już po służbie.

Ostatnio dziwnie się wobec mnie zachowuje - a teraz jeszcze siada obok ciebie, szepczecie coś do siebie na ucho, ty chichoczesz i głaszczesz go po udzie. Wiem, że ty się nim nie interesujesz, ale ... czy on ci się narzuca? Może jakoś go zachę-casz? Powiedz mi, że to tylko moja wyobraźnia.

- Uwielbiam, kiedy jesteś zazdrosny.

Uśmiechnęła się czule i położyła dłonie na klapach jego marynarki, a potem, rozejrzawszy się, czy nikt ich nie obserwuje, wspięła się na czubki palców i szybko pocałowała go w usta.

- Jesteś taki słodki, kiedy jesteś zazdrosny. Zresztą zawsze jesteś słodki.

- A ty jesteś więcej niż słodka. Jesteś piękna. I jesteś moja. Przesunął dłońmi po jej ramionach i przytulił ją do siebie. Gdy na nią patrzył, jego usta ułożyły się w odrobinę nieprzyjemny uśmiech. -

No dobrze, jestem zazdrosny. Troszeczkę. Nie za bardzo. No więc dalej, śmieję się ze mnie.

Zapłacisz mi za to, gdy dopadnę cię dziś w nocy w łóżku.

- Teraz mnie przestraszyłeś. - Carly zrobiła wielkie oczy. To, co powiedział, bardzo ją podnieciło.

Już nie mogła się doczekać, kiedy Matt odpłaci jej się w łóżku. - A tak dla porządku, Mike nie ugania się za mną. Łazi za twoją siostrą.

- Co takiego? - Matt był zdumiony. - Za którą?

Carly pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Nie pojmuję, jak mogłeś tego nie zauważyć: za Erin.

- Przecież ona wychodzi w sobotę za męż. - Kompletnie zbity z tropu zajrzał do kościelnej nawy i zobaczył, że w ich stronę zmierzają cała gromadka gości.

- Czy ona o tym wie?

- Tak myślę - odpowiedziała lakonicznie Carly, oswobodziła się z jego objęć i cofnęła o krok, ponieważ znajdowali się przecież w kościele. - Jak myślisz, dlaczego udało mi się namówić Mike'a, żeby zabrał mnie tamtej nocy na kolację? Chciał wzbudzić w Erin zazdrość. Za żadne skarby nie poszedłby ze mną z własnej woli.

- Jezu. - Matt popatrzył na nią i potrząsnął głową. - Nie wierzę w to. Ach, te kobiety. Myślisz, że Erin jest nim zainteresowana?

Zanim Carly zdążyła odpowiedzieć, otoczyli ich wychodzący z kościoła uczestnicy próby.

Wszyscy, poza ćwiczącymi jeszcze w kościele dziećmi, tłoczyli się w przedsionku, zegnali się, a potem wychodzili na ulicę i na parking. Było około wpół do dziesiątej, co w lipcu zazwyczaj znaczyło, że słońce przygrzewało słabiej niż w południe, ale wciąż jeszcze jasno świeciło. Tego wieczora jednak, po raz pierwszy od tygodni, niebo przykrywały chmury. Powietrze zrobiło się ciężkie, co zwiastowało deszcz.

Życie już takie jest. Bierzesz prysznic i właśnie wtedy dzwoni telefon. Zaplanujesz ślub, a tu zbiera się na deszcz.

Czekali na dzieci, które wciąż ćwiczyły, i rozmawiali ze sobą.

Matt swobodnie obejmował Carly ramieniem tuż nad jej łokciem i gawędzili, stojąc wraz z Dani, Craigiem, dwoma przyjaciółmi Colina i ich dziewczynami. Nagle Carly odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Zdrętwiała, czując się tak, jakby ktoś wylał jej na kark kubek zimnej wody.

Rozejrzała się i napotkała wzrok Shelby.

Dobrze, że to tylko Shelby. Przez moment Carly naprawdę miała wrażenie, że znowu na niej spoczęły oczy potwora.

Oczywiście to niemożliwe. Nie w kościele, kiedy obok stał Matt, było jeszcze jasno i otaczali ją ludzie. Nadal czuła się osłabiona z powodu porannych wydarzeń, o których zdecydowanie nie chciała myśleć. Inaczej wpadłaby w przygnębienie, Matt natychmiast by to zauważył i także by się przejął, zabrałby ją do domu i kolację Erin diabli by wzięli.

Postanowiła zająć myśli czymś innym. Nawet rozmową z Shelby. Ta kobieta naprawdę była atrakcyjna. Opanowana i nawet odrobinę wyniosła. Cholera, a przede wszystkim bardzo elegancka w dopasowanej, czarnej sukience.

To właśnie te trzy rzeczy, które - Carly nie miała co do tego żadnych wątpliwości - nie były jej pisane.

Świadomość, że Shelby spała z Mattem, trochę jej przeszkadzała, ale Carly przypominała sobie, że Matt miał cały legion byłych dziewcząt. Jeżeli miałyby skręcać się z zazdrości za każdym razem, gdy wpadnie na którąś z nich, szybko zaczęłyby przypominać precel.

A Matt spał z Shelby i wpadł w panikę, gdy ta dała mu odczuć, że traktuje ich związek poważnie, zastosował więc swoją taktykę "całować i uciekać" i zostawił ją na lodzie. Jeżeli Shelby miała mu to za złe, Carly nie mogła jej winić. Sama nie była przecież zadowolona, gdy Matt postąpił z nią podobnie.

I z pewnością nie będzie zadowolona, jeżeli zrobi to znowu. Miłość i wspaniały seks nie muszą znaczyć "na zawsze". Nawet to wyszeptane: "Jesteś moja", na którego dźwięk serce zabiło jej żywiej, nie musi być "na zawsze". A Carly mogła temu do woli zaprzeczać przed sobą i przed nim, miała jednak ukrytą nadzieję, że będzie z Mattem na zawsze. Modliła się wręcz o to.

Ale Matt był absolutnie zadowolony ze wspaniałego seksu bez zobowiązań. Natomiast ona zastanawiała się, co zostanie, gdy wspomniały seks się wypali i okaże się, że nic więcej ich nie łączy.

Jeżeli jemu o to właśnie chodziło, pęknie jej serce.

Na razie niczego jej nie obiecywał i cały czas powinna o tym pamiętać. Bardzo łatwo pewnego dnia może się znaleźć na miejscu Shelby.

Rozmyślając o tym, wysunęła rękę spod ramienia Matta, bąknęła uprzejmie "przepraszam" i poszła porozmawiać z Shelby, która stała z bratem i Erin w, arkadowo sklepionych drzwiach kościoła.

- Ślub zapowiada się wspaniale - zwróciła się do Erin. Następnie uśmiechnęła się do Shelby. -

Erin mówiła, że to ty wszystko zaplanowałaś. Wspaniała robota.

- Dziękuję - odrzekła Shelby i obrzuciła Carly uważnym spojrzeniem. - To było świetne.

Mnóstwo pracy, ale też sporo zabawy.

- Wiecie co, wy obie mogłybyście ze sobą współpracować - powiedziała Erin, najwyraźniej usiłując jakoś zaradzić niezręcznej sytuacji. - Shelby pracuje jako agentka nieruchomości. Carly otwiera pensjonat. - Spojrzała na Shelby. - Jeżeli będziesz miała klientów, którzy przyjadą do miasta w poszukiwaniu domów, mogłabyś polecić im pensjonat Carly jako wygodne miejsce do zatrzymania się.

- To doarty pomysł - przytaknęła Shelby i uśmiechnęła się do Carly.

W ich kierunku szedł Matt, rozmawiając przez telefon komórkowy, a tuż za nim Mike.

Podchodząc do nich, wyłączył komórkę i schował ją do kieszeni.

- Cześć, Shelby. Col in. - Przywitał się z nimi, a potem spojrział na Carly. - Są pewne nowe informacje - powiedział i zwrócił się do siostry. - Muszę wpaść na chwilę do biura. Nie zabawię tam dłużej niż to absolutnie konieczne.

- Ty zawsze pracujesz - westchnęła niezadowolona Erin.

- To chyba dobrze, jeśli pomyśleć o kosztach wesela - powiedział Matt i spojrział na Shelby. - A przy okazji, podrzuciłem ten czek do twojego biura.

- Ten dla fotografa? Dziękuję.

Spojrzenie Matta powędrowało do Carly i jego oczy czule spoczęły na jej twarzy.

- Spotkamy się w restauracji. Mike jest już z powrotem na służbie. Dobrze się składa, że jeszcze tu był, prawda?

Carly wyczuła w jego głosie pewne rozdrażnienie. Zrozumiała, że Mattowi wcale nie poprawiała humoru wiadomość, iż uczucie Mike'a skierowane jest do Erin, a nie do niej.

Czy to nadopiekuńczość? Kochała w nim to poczucie odpowiedzialności, ale czasami naprawdę przesadzał.

- Nie zajmie mi to dłużej niż godzinę, moi drodzy - obiecał, pościągając z czułością Carly za loczek i zniknął.

Obserwując, jak wyjeżdżał radiowozem z parkingu, Carly uświadomiła sobie, że oddałaby pocałunki wszystkich innych mężczyzn za czułe gesty Matta.

Innymi słowy coś z nią było nie tak.

- Czy mogłabym z tobą chwilę porozmawiać? Na osobności? - zapytała ją cicho Shelby.

Kiedy Carly patrzyła, jak Matt odjeżdżał, Col in odszedł na bok, aby ustalić coś ze swoim drużbą.

Mike wykorzystał okazję i rozmawiał z Erin. Stali zaraz obok Carly i Shelby, ale Mike tak się ustawił, żeby mogli pogawędzić bardziej prywatnie.

- Jasne - powiedziała Carly.

Shelby pchnęła skrzydło drzwi od kościoła i weszła do westybulu. Ze środka dobiegały dźwięki marsza weselnego. Biedne dzieci musiały jeszcze raz przemierzyć kościelną nawę. Carly dotknęła ramienia Mike'a, a on odwrócił się do niej.

- Wejść tam z Shelby. Wskazała ręką westybul.

- Dobrze. Zawołaj, gdybyś mnie potrzebowała.

Shelby stała tuż za drzwiami, Carly widziała zają jej plecami wnętrze kościoła i wielbego Musselmana, który pochylił się, tłumacząc coś dzieciom. Obok stały matki, a organistka siedziała przy instrumencie, trzymając palce na klawiszach.

- Matt szaleje za tobą, prawda? - zapytała Shelby, gdy Carly do niej podeszła. - Nietrudno to zauważyć.

Carly spojrzała na nią z uwagą.

- Przyjaźniliśmy się praktycznie przez całe życie.

Shelby pociągnęła nosem. Taki znajomy dźwięk u tej eleganckiej kobiety zaskoczył Carly.

- Chciałabym, żeby przyjaźnił się tak ze mną.

- Przykro mi, że wasz związek się skończył.

- Mnie też. To najlepszy w mieście kandydat na męża i nie będę ukrywać, że mi na nim zależało.

Ale najwyraźniej to ty go zdobyłaś. I właśnie dlatego chciałam ci coś powiedzieć: jeżeli chodzi o mnie, Matt jest teraz poza moimi zainteresowaniami. Nie będę go więcej podrywała. - Shelby uśmiechnęła się, a Carly poczuła, że po raz pierwszy w życiu prawie ją polubiła. - To znaczy, dopóki, o ile w ogóle, z nim nie zerwiesz. Wtedy mogę znowu zacząć.

- Wtedy bardzo proszę - odrzekła Carly i też się uśmiechnęła.

- Nie byłam dla ciebie zbyt miła w szkole, prawda? - Shelby się skrzywiła. - Przepraszam.

- Nie ma za co. To było dawno, teraz jest teraz, a my obie jesteśmy już dorosłe.

- Jasne - przytaknęła Shelby, gdy organistka znowu zaczęła grać. - Powiedziałam, co chciałam ci powiedzieć. Wejdę na chwilę do toalety.

Uśmiechnęła się, znikając za drzwiami, a Carly odwróciła się, aby wyjść do Mike'a. Położyła dłoń na ciężkiej, mosiężnej klamce, a dźwięki weselnego marsza wypełniły cały kościół. Wielbny Musselman wybijał ręką rytm w powietrzu, a dzieci ruszyły miarowym krokiem wzdłuż kościelnej nawy.

- Carly.

Odwróciła się zaintrygowana na dźwięk swojego imienia. Tuż za nią stał jakiś mężczyzna.

Właśnie wszedł przez drzwi znajdujące się po przeciwnej stronie westybulu niż drzwi prowadzące do toalety, za którymi znikła Shelby. Z tej strony była toaleta dla mężczyzn, przypomniała sobie Carly. Szedł w jej stronę, uśmiechnięty, schludnie ubrany w spodnie koloru khaki i granatową,

sportową koszulę• Ona też uśmiechnęła się do niego życzliwie. Uśmiechał się nadal, gdy chwycił ją za ramię i przyłożył jej do twarzy kawałek tkaniny nasączonej chloroformem.

- Nie uwierzysz w to! - zawołał Andy, gdy Matt wszedł do biura szeryfa.

Antonio wciąż tam był, a raczej już wrócił z domu dziecka, dokąd udał się w czasie, gdy Matt pracował na terenie Beadle Mansion.

- Ten facet chyba wygrał na loteri!

- Co takiego? - Matt spojrzał zdumiony na swojego zastępcę.

- Nie ja - skrzywił się Antonio. - Chociaż chciałbym. On. - Wskazał ręką na komputer. - A przy okazji, nieźła robota.

- Kto? - zapytał niecierpliwie Matt. Stał za plecami Andy'ego i spojrzał na monitor.

- Silverado42. Spójrz na to. To e-mail do Marshy od Jeanini8.

O mój Boże, nigdy nie zgadniesz, kto wygrał główny los na loterii. Ten facet, no wiesz, to ścierwo z przytułku, w którym byłeś jako dziecko. Ten, co przychodzi do sklepu spożywczego w Macon, tam gdzie pracuje moja siostra.

Matt rzucił okiem na datę: wiadomość została wysłana jakieś dwa tygodnie przed zaginięciem Marshy.

- A teraz przeczytaj odpowiedź Marshy. - Andy kliknął myszką i na ekranie pojawiła się kolejna wiadomość.

Masz na myśli DingDonga Oślarza? Nie mów!

Matt poczuł, jak pocałował mu się dłoń z podniecenia.

- A to znowu Jeanini8.

Wiesz, on od zawsze mieszka w Macon i co tydzień robi zakupy w sklepie spożywczym, w którym ona pracuje. Przez ostatnie pięć lat zakreślał na kuponie te same cyfry. Moja siostra знаła je już na pamięć. Nie przyszedł jeszcze odebrać nagrody, ale sklep dostał premię za to, że właśnie tu padła główna wygrana, a moja siostra otrzymała bonus, bo to właśnie ona sprzedała mu ten kupon.

- I Marsha.

Znasz mojego adres mailowy?

- I znowu Jeanini8.

Dostałam go od siostry, która spisała go z jego karty stałego klienta. Oto on: Silverado42@aol.com. Na co ci to, chcesz mu wysłać gratulacje?

- I Marsha.

Coś takiego!

- I Jeanini8.

Ty niedobra dziewczyno. A przy okazji, nie mów o tym nikomu. W sklepie kazali mojej siostrze milczeć, dopóki facet nie odbierze wygranej, z uwagi na jego prywatność czy coś takiego. Nie chcę, aby miała kłopoty.

- I znowu Marsha.

Nie martw się. Nic nie powiem.

- To tyle, jeżeli chodzi o najważniejsze rzeczy - powiedział Andy.

- Chryste Panie. - Matt zacisnął dłonie na fotelu - na swoim fotelu - na którym siedział teraz Andy.

- A więc o to chodzi. W szystko gra. Zastanawiałem się, dlaczego Marsha postanowiła szantażować go właśnie teraz, chociaż przez tyle lat milczała. Ten drań wygrał na loterii. Kiedy Marsha zaczęła go szantażować, musiał się przerazić, że wszystkie zrobią to samo. Postanowił

więc pozbyć się problemu.

- To niewiarygodne - powiedział Antonio. - Gram w tę cholerną loterię co tydzień i nigdy nie udało mi się wygrać więcej niż dolara.

- A zatem w zasadzie wszystko jasne - odetchnął z ulgą Matt, ignorując Antonia i cały czas analizując w myślach poszczególne

strzępy informacji. - Nadal jednak nie wiemy, kim jest ten drań. Udało ci się zdobyć jego nazwisko?

- Jeszcze nie - odrzekł Andy. - Ale pracuję nad tym. Chyba jednak znalazłem szybszy sposób.

Dotarłem do telefonu Jeanini8. Prześłała go kiedyś mailem do Marshy.

- Niech to jasna cholera! - zawołał Matt, gdy Andy wręczył mu kartkę z zapisanym numerem telefonu.

- To mnie zaskoczyłeś. - Spojrzał na Andy'ego. - Jeżeli będziesz chciał się ożenić z moją siostrą, daj mi tylko znać. Jest twoja.

Andy wyglądał na zaniepokojonego.

- Dobrze, ale ...

- Zresztą, może wcale nie chcesz.

Matt uśmiechnął się do niego, wyczuwając bratnią duszę, chociaż ten dzieciak niedawno dopiero

zaczął się golić.

- Mam zadzwonić? - Antonio sięgnął po telefon. Matt potrząsnął głową.

- Ja to zrobię.

Bardzo chciał sam przeprowadzić tę rozmowę. Jeanini8, kimkolwiek była, wiedziała, kim jest ten lajdak. Jak tylko pozna jego nazwisko, dorwie to ścierwo. Nawet przedślubne przyjęcie Erin mu w tym nie przeszkodzi.

Rozległ się dźwięk telefonu. Antonio, który był bliżej, podniósł słuchawkę. Po wstępnym "Halo, biuro szeryfa" słuchał przez dłuższą chwilę informacji z drugiej strony, a na jego twarzy pojawił

się wyraz przerażenia.

- O cholera! Nie. O, rany, człowieku. Poczekaj. - Jego twarz poszarzała; opuścił słuchawkę i spojrzał na Matta.

Ten oczekiwał już złej wiadomości. Znał Antonia od wielu lat. Nigdy dotąd nie widział takiego wyrazu na jego twarzy.

- Co? - zapytał niecierpliwie.

- Carly znikła. Z kościoła. Weszła do środka porozmawiać z Shelby, potem Shelby poszła do toalety, a Carly znikła. Wszędzie jej szukają. Mike panikuje.

Matt oblał się lodowatym potem. Poczł się tak, jakby jego wnętrzności nagle się skurczyły. Przez chwilę kręciło mu się w głowie i musiał chwycić się biurka, aby zachować równowagę. Wiedział, co się stało, wiedział doskonale, jakby sam przy tym był: ten bydlak porwał Carly.

Na myśl o tym, co mógł z nią właśnie teraz robić, ciarki przebiegły mu po plecach.

- Niech to szlag! - powiedział. - Niech to szlag! Niech to jasny szlag trafi!

To brzmiało bardziej jak modlitwa niż przekleństwo. Nagle opanował się i spojrzał na Antonia.

- Przygotuj blokady dróg - powiedział ochrypłym głosem. - Powiadom policję stanową.

Potrzebuję ludzi, helikopterów, urządzenia na podczerwień. Będą mi też potrzebne psy Billy'ego Tynansa przy kościele. Powiedz mu, że przyjadę za dziesięć minut.

Podniósł słuchawkę i wystukał numer telefonu Jeanini8.

40

- Witaj, Carly.

Wyszeptał to niemal z czułością, nachylając się nad nią. Carly zamrugała oczami i spojrzała na niego. Postać mężczyzny majaczyła przed nią niewyraźnie. Kręciło jej się w głowie, była oszołomiona i miała mdłości. Gdzie jest?

- Co się stało? - Chciała to powiedzieć, ale nie mogła.

Coś zasłaniało jej usta. Coś, co uniemożliwiało jej mówienie, otwarcie ust i oddychanie przez nie.

Poruszyła głowę na boki. Coś, chyba jakiś dywanik, sztywny, chropowaty dywanik ze sztucznego tworzywa drapał ją w policzek. Leżała na nim skulona. To, co zasłaniało jej usta, było mocne. U

dało jej się wsunąć język między ściśnięte wargi. Wyczuła coś gorzkawego, lepkiego, plastikowego - taśma. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Powoli zaczynała widzieć jego twarz.

Okrągła, blada, nalana i pospolita. Oczy niebieskie. Jasnoniebieskie oczy bez rzęs.

Patrzyły na nią znowu.

Serce Carly dosłownie eksplodowało tysiącem uderzeń na minutę.

Krew w jej żyłach zamarzła na lód. Żołądek gwałtownie się skurczył. Chciała krzyknąć, ale wydała z siebie tylko zduszony pisk.

Oślarz. Przecież ... przecież. Znała go, niezbyt dobrze, ale znała, pamiętała, jak miał na imię - ale była taka chora, taka przerażona, że nie mogła myśleć.

- Widzę, że się ocknęłaś.

Głos miał niski i przyjemny, z wyraźnym południowym akcentem. Carly poczuła, jak cierpnie jej skóra. Usiłowała się poruszyć. Ręce miała wykręcone do tyłu i związane w nadgarstkach czymś, co także mogło być plastikową taśmą. Miała też związane nogi w kostkach. Czowała mrowienie w rękach, co znaczyło, że zaczynały już drętwieć. Z nogami było lepiej. Nic jej nie dokuczało.

Mężczyznajeszcze bardziej się przybliżył, pochylił się nad nią, a Carly zorientowała się, że stał w drzwiach jakiegoś samochodu, furgonetki czy pikapu, a ona leżała na podłodze w kabinie, pod fotelem pasażera, gdzie została dosłownie wciśnięta, ten człowiek zaś usiłował ją teraz stamtąd wydobyć. Zaczęła się rozpaczliwie szarpać, ale nie na wiele to się zdało. Objął ją w pasie, dźwignął i wyniósł z auta, a następnie położył na ziemi, aby zamknąć drzwi.

Najej twarz, włosy i całe ciało padał deszcz. Duże, ciężkie krople.

Deszcz. Ciepły deszcz. Była ciemna, bezksiężycowa noc, a Carly leżała na krótkiej trawie.

Czułajej wilgotny zapach, czuła też pod policzkiem i pod ramieniem drobne kamyczki żwiru.

Leżała na trawie przy zwirowym podejździe, pikap był biały, obok stał mały domek, a raczej chatka z ciemnego drewna.

Nadal odczuwała skutki działania chloroformu, który posłużył do jej porwania. Kręciło jej się w głowie. Miała trudności z zebraniem myśli. Nogi i ręce wydawały się jak z ołowiu.

Wtedy właśnie ogarnął ją paraliżujący, obłądny strach, który zmroził jej krew w żyłach. Poczowała ucisk w żołądku. Z trudem oddychała, łapczywie chwytając powietrze.

Miała umrzeć. Przywiózł ją tutaj, aby zabić.

Mężczyzna był duży, postawny, silny. Pochylił się nad nią, złapał wpół i usiłował podnieść. Nie powinno mu to sprawić kłopotu, ale Carly stawiała opór. Serce biło jej jak szalone, dławiała się, rozpaczliwie próbując złapać oddech, ale walczyła jak lwica, wijąc się i miotając, aż wreszcie mężczyzna zaklął, pogrzebał w kieszeni i ponownie przykrył jej twarz chłodną, wilgotną szmatą.

Wzdrygnęła się, poznając ten zapach, ale zaraz się uspokoiła pod wpływem obrzydliwie słodkiej woni, która prześladowała ją przez lata w snach; zapachu strachu, narkotycznego snu, a teraz woni śmierci.

Kiedy ponownie odzyskała świadomość, niósł ją przewieszoną przez ramię, krew pulsowała jej w skroniach, głowa obijała się o jego plecy. Schodził z nią po schodach do pomieszczenia, które przypominało piwnicę z betonowymi ścianami. Na suficie paliła się jedna goła żarówka, na ścianach majaczyły cienie. Przez cienkie rajstopy czuła na udzie jego dłoń, mięsistą i ciepłą.

Carly była mokra od deszczu i potu. Sukienka jej się podwinęła. Przypomniła sobie, że jest ubrana w czerwoną sukienkę, tę seksowną, którą włożyła na uroczyste przyjęcie przedślubne Erin; brakowało tylko pantofli.

Matt. Matt. Chciała do Matta.

Dygotała, jej kości zmieniły się w galaretę. Żołądek skurczył się ze strachu. Serce wyrywało się z piersi.

- No to jesteśmy.

Zszedł z ostatniego stopnia i zrobił kilka kroków w głąb pomieszczenia. Tam położył ją na posadzce, nawet dość delikatnie, wycho-dząc zapewne z założenia, że jeżeli i tak zamierzał ją zabić, to nie musiał jej przedtem rzucać na ziemię jak worek kartofli. Powinna walczyć, ale bardzo źle się czuła, była osłabiona i pragnęła tylko zamknąć oczy i zasnąć, a poza tym, czy opór miałby jakiś sens? Nie było najmniej szych szans na ucieczkę.

Czuła się bezbronna. Zdana na jego łaskę. A on nie miał litości.

Nie dla niej.

Wkrótce umrze.

A on chciał, aby stało się to jak najszybciej. Widziała to po jego zadowolonym uśmiešku.

Jej najgorszy koszmar właśnie się ziścił: złapał ją Oślarz. Carly zadygotała z przerażenia. Czuła na plecach zimny pot.

Boże, błagam, Boże błagam, Boże błagam, nie chcę umierać.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział i podszedł do dużej, białej metalowej skrzyni, naprawdę wielkiej, o wymiarach zbliżonych do dwóch zestawionych razem pralek automatycznych.

Podniósł pokrywę i nagle Carly zorientowała się, że to zamrażarka. Przeszył ją kolejny dreszcz przerażenia, świeży i ostry, który czuła na plecach jak lodowaty palec.

- Mamy kilka możliwości.

Odwrócił się, podszedł do niej i stanął tuż obok, udając, że się zastanawia, z rękoma wspartymi na biodrach. Patrząc na niego, Carly wiedziała, że drażnił się z nią, bo już doskonale wiedział, jak to robi, jaka śmierć ją czeka, i że to nastąpi szybko, bardzo szybko, natychmiast.

Pochylił się nad nią i wtedy zobaczyła, że trzymał w ręku nóż. Otworzyła szeroko oczy. Ogarnęła ją panika. Boże, pamiętała ten nóż. Skurczyła się cała, gdy pomachał nim tuż przed jej twarzą.

Pamiętała ostry, zaskakujący ból, jaki zadało jej to zimne ostrze, przecinając skórę.

- Mogłbym poderznąć ci gardło.

Dotknął czubkiem noża, och, jak delikatnie, miękkiego miejsca tuż pod jej uchem, a następnie bardzo wolno przesunął ostrze w poprzek szyi. Carly zamarła i zamknęła oczy. Serce boleśnie waliło jej w piersi. Wstrzymała oddech. W każdej sekundzie mogła poczuć, jak nóż zagłębia się ..

_ Ale to zbyt kłopotliwe - powiedział niemal radosnym tonem.

_ Musiałbym potem posprzątać. Zdecydowanie wolę drugą ewentualność.

Pochylił się, aby wziąć ją na ręce. Carly skuliła się i zeszywniała, ale podniósł ją, trzymał na rękach i przez chwilę patrzył na nią z uśmiechem.

Następnie zaniósł ją do zamrażarki i włożył do środka. Na dnie leżało jakieś zamrożone jedzenie w paczkach. Czuła je pod plecami, było zimne i uwierało ją. Ściany zamrażarki pokrywała gruba warstwa szronu.

Czułajego zimny dotyk na swojej skórze.

Mężczyzna się wyprostował. Carly znowu wstrzymała oddech, domyślając się, co teraz nastąpi.

_ Biorąc pod uwagę twoje gabaryty, powietrza starczy ci najakieś czterdzieści pięć minut.

Obniżyłem temperaturę do minimum. Cię-kawe, czy prędzej się udusisz, czy zamarznie na śmierć? Nie uważasz, że to interesująca kwestia?

Carly wydała z siebie zduszony pisk, a on uśmiechnął się jeszcze szerzej. Potem zamknął pokrywę•

Została sama w lodowatej, niemal pozbawionej powietrza ciemności.

_ Czy to tu? - Matt odwrócił się, aby spojrzeć na pasażera siedzącego na tylnym fotelu. - Pytam, czy to tu?

- Tak, tak. Chryste Panie, Matt!

Bart Lindsey był zszokowany i dygotał z przerażenia. Matt złapał go za kark i dosłownie wrzucił na tylne siedzenie radiowozu, gdy tylko weterynarz wyjaśnił, że chociaż jego brat mieszkał od dwudziestu lat daleko stąd, w Macon, nadal miał w pobliżu Benton domek, myśliwską chatę, z której sporadycznie korzystał, ukrytą w gęstym, sosnowym lesie jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na zachód od miasteczka. Jeanine - przyjaciółka Marshy, Jeanine LeMaster -

natychmiast powiedziała przez telefon Mattowi, kim był DingDong Oślarz: to Hiram Lindsey.

Dwadzieścia dwa lata temu był właścicielem kliniki weterynaryjnej, tej samej, którą teraz prowadził jego brat, i pewnego upalnego dnia przyjechał do miejscowego domu dziecka, aby zająć się chorym osiołkiem.

To Hiram Lindsey uprowadził Carly. Zniknęła jakąś godzinę temu i Matt bał się, że mogła już nie żyć.

Wyskoczył z samochodu, zanim jeszcze Antonio, który prowadził, zdążył zaparkować, i biegł w ulewnym deszczu do drewnianej chaty, trzymając w ręku odbezpieczony pistolet. W środku paliło się światło, słabe światło widoczne przez małe, kwadratowe okienko. Na podjeździe stał pikap -

biały silverado. Krople deszczu bębniły o dach.

- Otwierać! Biuro szeryfa! Lindsey, wiem, że tam jesteś! Otwórz te cholerne drzwi!

Matt miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi, w ustach czuł metaliczny smak strachu, gdy walił z całej siły w liche drzwi, a w tym czasie pod dom podjechały jeszcze dwa radiowozy i wyskoczyli z nich dwaj uzbrojeni zastępcy.

Podbiegli do niego, gdy stracił cierpliwość i kopnął te przeklęte drzwi.

- Carly!

Był tam, ten drań, uciekał jak przestraszony robal, oglądając się na Matta, który znalazł się tuż za nim.

- Co ... Co ... ? - wykrztusił, nadal próbując im prysnąć, blady z przerażenia i z szeroko otwartymi oczami.

- Gdzie ona jest? Ty cholerny draniu, gdzie ona jest? Jeżeli ją skrzywdziłeś ...

Matt złapał go ręką za kołnierz i odwrócił w swoją stronę, a potem przygwoździł do obitej boazerią

ściany. Lindsey nawet nie próbował stawiać oporu. Przyłgnął do ściany, zdyszany i spocony, a Matt zatopił palce od tyłu w jego szyi i ścisnął go mocno. Jego ludzie już przeszukiwali dom.

- Carly!

Cisza. Żadnej odpowiedzi. - O co chodzi? Co robicie?

Słuchanie skamlenia tego faceta było stratą czasu.

- Gdzie jest Carly?

Do diabła z brutalnością policji! Matt uderzył drania otwartą dłonią w głowę, aż policzek Lindseya rozpląszczył się o ścianę. Owładnęła nim chęć odwetu, chciał odpowiedzieć przemocą na przemoc, po prostu nie mógł już się opanować. Ten skurczybyk był tutaj, a Carly znikła.

Ta świadomość wystarczyła, żeby Matt oblał się zimnym potem.

- Nie wiem, o czym mówisz. Jaka Carly? Szeryfie, kogokolwiek szukasz, schwytałeś niewłaściwego człowieka.

- Akurat. - Matt ciężko dyszał. Słyszał, jak jego ludzie przeszukiwali dom. Nie znaleźli jej. -

Posłuchaj, draniu, to już koniec. Wiem o Marshy, Sorai i biednej małej Genny. Wiem o twojej wygranej na loterii. Wiem, że Marsha cię szantażowała. Wiem wszystko, rozumiesz? Nie wiem tylko, gdzie jest Carly. I ty mi to powiesz.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

Matt czuł i widział, jak Lindsey się poci. Ten facet kłamie, wiedział o tym. Miał ją. O, Boże, czyżby przyjechali za późno? Czy już nie żyła?

- Matt, spójrz na to!

Do domu wbiegł Antonio. Drzwi były otwarte, ledwo wisiały na wyłamanych zawiasach i wpadał przez nie szum i zapach deszczu. Matt spojrzał w stronę Antonia i serce niemal przestało mu bić.

Jejgo zastępca trzymał w ręku spiczasty, czerwony pantofel Carly.

- Gdzie ona jest? - zawył Matt, uderzając barkiem w plecy zabójcy. - Do cholery, ty, ty ... Gdzie ona jest?

- Nie wiem, o czym mówisz - powtórzył tamten, jakby już nieco mniej przerażony.

Nagle Matt poczuł lodowaty spokój. Wyciągnął z kabury pistolet i powoli przystawił lufę do skroni Lindseya. Potem odbezpieczył broń.

Widział przerażenie na twarzy Antonia. Do domu wszedł także Mike i stanął zaszokowany na progu.

Żaden z nich nawet nie próbował powstrzymać szefa.

- Tak to działa - wycedził Matt przez zaciśnięte zęby, z trudem wydobywając słowa ze ściśniętego paniką gardła. Szturchnął Lindsey'a mocniej lufą pistoletu. - Powiesz mi, gdzie ona jest, albo poślę cię do piekła. Liczę do trzech. Raz.

- Nie wiem, o czym mówisz.

-Dwa.

- Jesteś przedstawicielem prawa. Nie możesz tego zrobić.-Strach wyostrzył ton jego głosu.

- No to tylko popatrz. Trz ...

- Hiram, jeżeli wiesz, gdzie jest Carly, lepiej mu powiedz - odezwał się spokojnie Bart Lindsey.

Wtedy Matt poczuł, że zabójca się poddaje.

- Jest w zamrażarce w piwnicy - powiedział Hiram Lindsey i zamknął oczy.

Matt schował broń i pchnął swego więźnia w stronę Antonia.

- Wyprowadź go stąd - rzucił.

Potem pobiegł do piwnicy.

Zanim dotarł do zamrażarki, cały był zlany potem. Na schodach brzmiały jeszcze kroki obu zastępców, gdy już podnosił pokrywę.

Spojrzał w dół, czując, jak lodowate przerażenie chwyta go za serce. Leżała tam, ze związanymi nogami i rękami, zwinięta w kłębek, a plastikowa taśma zalepiała jej usta. Była śmiertelnie biała i nieruchoma. Na jej nosie i ustach zaczął się już zbierać szron.

Jezu, Jezu, czy już za późno?

- Carly.

Wyciągnął ją ze środka, położył w ciepłym wnętrzu, a kiedy Mike zdarł jej z ust kawałek taśmy, Matt ukląkł obok Carly i zaczął jej robić sztuczne oddychanie.

Był taka zimna, taka bezwładna w jego ramionach.

- Carly! - Głos mu się załamał.

Słyszał, jak ktoś z tyłu za nim wzywa karetkę pogotowia.

Nagle zdarzył się cud; poczuł, że drgnęła. Jej klatka piersiowa uniosła się, powieki zatrzepotały i nagle spojrzała na niego, oszołomiona i zdezorientowana, ale żywa.

- Matt - powiedziała.

Westchnął głośno i opuścił głowę w podziękowanie za wysłuchaną modlitwę. Potem chwycił Carly w ramiona.

Dwadzieścia cztery godziny później Carly siedziała na łóżku w sypialni Matta, czekając trochę zniecierpliwiona, aż wróci z pracy. Było nieco po północy, a ona w zasadzie czuła się już dobrze, chociaż prawie całą poprzednią noc - po opuszczeniu zamrażarki - spędziła na oddziale intensywnej terapii, gdzie wyprowadzano ją z szoku.

Kiedy była jeszcze w szpitalu, Hiram Lindsey powiedział swojemu bratu, gdzie znaleźć ciała Marshy, Sorai i Genny. Genny zakopał za swoim domkiem. Ciała Marshy i Sorai były w starej zamrażarce w piwnicy domu Carly.

Okropnie się czuła ze świadomością, że obie z Sandrą mieszkały tam razem ze zwłokami w piwnicy.

Nie chciała jednak o tym myśleć. Postanowiła skoncentrować się na rzeczach pozytywnych. A do najbardziej pozytywnych należała wiadomość, że potwór, który niemal przez całe życie dręczył ją w snach, znalazł się już za kratkami. Odkryła, że człowiek czuje się naprawdę wolny, gdy pozbędzie się strachu.

W tym momencie było jej ciepło i wygodnie, miała na sobie krótki, seksowny szlafroczek, który wydawał jej się bardziej stosowny na zaplanowane wieczorne atrakcje niż piżama, jaką zwykle nosiła, siedziała w łóżku z otwartą książką na kolanach, obok niej Hugo mruczał jak motor, a Annie spała na dywaniku. Świat byłby doskonały, gdyby Matt wreszcie wrócił z biura.

Morderca został schwytany, sprawa była zamknięta, minęły też upały. Można by pomyśleć, że przy tak sprzyjających okolicznościach szeryf powinien być w domu o przyzwoitej godzinie. Ale nie. Powiedział, że ma jeszcze sprawy do załatwienia.

Carly zaczęła już poważnie się zastanawiać nad zgaszeniem światła i pójściem spać, gdy drzwi sypialni otworzyły się bez pukania i wszedł Matt.

Był w mundurze szeryfa, na jego czarnych włosach lśniły krople deszczu, a na ustach błąkał się słaby, odrobinę wymuszony uśmiešek.

W jednej ręce trzymał ogromny bukiet czerwonych róż. W drugiej także coś ścisnął, ale Carly była zanadto skupiona na różach, aby zastanawiać się, co to.

Woń kwiatów dotarła aż do łóżka.

„Nie mogę uwierzyć, że przyniosłeś mi róże - powiedziała oczarowana tym gestem. Pomyślała chwilę i spojrzała na niego uważnie. - Co takiego przeskrobałeś?”

Uśmiechnął się, podszedł do łóżka i postawił kwiaty na nocnym stoliku. Carly pochyliła się, aby je powąchać, i wtedy zauważyła, że obok bukietu postawił także ozdobną świecę. Szeroko otwartymi ze zdumienia oczami patrzyła, jak wyciągnął z kieszeni zapalniczkę. Zapalił ją i świeczka zapłonęła.

Serce Carly zaczęło bić szybciej.

Przyglądał się jej z łobuzerskim uśmiechem.

- Matt ... - zaczęła.

Sięgnął po książkę i odłożył ją na bok, potem zdjął z łóżka Hugo-na, który posłał mu nieprzyjemne kocie spojrzenie, a następnie wziął Carly za ręce.

- Wstań - poprosił.

Tak bardzo pragnęła pokazać mu się w swoim seksownym szlafrocuku, była też ciekawa, o co właściwie chodzi, pozwoliła mu więc pomóc sobie wstać.

Trzymając ją za ręce, ukląkł przed nią.

Romantyczny nastrój tej sceny zepsuło odrobinę jego zasępienie spojrzenie, ale nie zwracała na to uwagi. Postanowił wreszcie zrobić to, na co czekała całe życie! Carly odetchnęła głęboko.

Serce biło jej jak szalone, oddech miała przyspieszony, nogi jak z waty.

- Świece, kwiaty i ugięte kolana - powiedział i nagle z jego oczu zniknął posępny wyraz, a pojawił

się w nich ciemny, gorący błysk, pod wpływem którego zaczęła dosłownie roztopiać się od środka. _
Kocham cię. Wyjdiesz za mnie?

Carly chwilowo straciła mowę, a jej mięśnie zamieniły się w galaretę. Nie mogła oderwać od Matta oczu. Z wyrazem pokornego oczekiwania na twarzy uniósł jej lewą rękę do ust, pocałował

wierzch dłoni, a potem odwrócił i przywarł ustami do wnętrza. Carly poczuła, jak dotknięcie jego ciepłych, stanowczych warg przenika jej ciało aż do stóp.

Tym razem naprawdę tego chciał. Widziała to w jego oczach. Po-
stanowił być z nią na zawsze i naprawdę tego pragnął.

- Tak - powiedziała drżącym głosem. - Tak, tak, tak.

Matt wstał, a Carly rzuciła mu się w ramiona i przez bardzo długi czas nic do siebie nie mówili.

W końcu, gdy znowu byli w nastroju do rozmowy, Matt zapalił nocną lampkę i wstał z łóżka.

- Co robisz? - zapytała z ciekawością, gdy podniósł spodnie leżące w pobliżu na podłodze.

- Zapomniałem jeszcze o czymś - powiedział, wyjmując z kieszeni małe, czarne pudełeczko. -

Mam dla ciebie coś.

Carly ze zdumieniem wpatrywała się w pudełeczko, które przyniósł jej do łóżka.

Rozpoznała je: to było pudełko na biżuterię. Kiedy je otworzyła, jej zdumienie sięgnęło szczytu.

- Och, mój Boże - wyszeptała, przenosząc wzrok na Matta. - Jakże duży. Jaki piękny. Matt...

Wziął od niej pudełeczko, wyjął pierścionek i włożył jej na palec.

- Kocham cię - powiedziała drżącym głosem.

- Ja też cię kocham - odrzekł Matt i wsunął się z powrotem pod kołdrę.

Dochodziła druga w nocy, gdy Matt usłyszał jakieś szmery w korytarzu. Czyjeś kroki. Kroki, które zdecydowanie nie należały do żadnej z jego sióstr, bo te rozpoznałby wszędzie.

- Co się dzieje? - zapytała sennie Carly, gdy wyskoczył z łóżka.

- Szsz - wyszeptał, sięgając po spodnie. - Ktoś jest w domu.

Ubrał się błyskawicznie, podszedł na palcach do drzwi i cichutko je otworzył. Wyrzwał na korytarz i przekonał się, że słuch go nie zawiódł. W stronę schodów niemal bezszelestnie skradał się jakiś mężczyzna. - Zatrzymaj się natychmiast - powiedział Matt i zapalił światło.

Mężczyzna się odwrócił. To był Mike. Jego zastępca, Mike. Ubrany tylko w bokserki.

Wyglądał na tak skruszonego i przerażonego, że Matt nie musiał się nawet zastanawiać, czy coś przeszkrobał. Widział to.

- Co, do diabła - odezwał się miękko, ale groźnym tonem - rozbisz w moim domu w takim stroju i o tej porze?

- Ja ... ja ... - Mike zaczął się jąkać.

Matt zostawił za sobą Carly i ruszył w jego stronę, rozglądając się na boki. W tym momencie otworzyły się drzwi od pokoju Erin. Siostra wysunęła głowę na korytarz, zobaczyła, co się dzieje, i wyszła z pokoju w kusej piżamce.

- On był z wizytą - oznajmiła Erin, biorąc Mike'a za rękę. Mike wydawał się jeszcze bardziej przerażony niż przed chwilą. - Do cholery.

Matt powiedział to głośniej, niż zamierzał, i w chwilę później otworzyły się drzwi od pokoju Dani, która też wysunęła głowę na korytarz. Mniej więcej trzy sekundy później to samo zrobiła Lissa. Ich szeroko otwarte oczy, którymi patrzyły to na Mike'a, to na brata, powiedziały Mattowi, że dziewczęta ze zrozumieniem odniosły się do zaistniałej sytuacji.

- Nie wściekaj się, Matt - odezwała się pojednawczym głosem Erin i splótła palce z palcami Mike'a.

Matt dobrze wiedział, co chciała powindzieć. Nie przejmowała się tym, że był wściekły na nią.

Chodziło jej o Mike'a.

- Jutro wychodzisz za mąż! Nin mógł się powstrzymać. W jego głosie nadal brzmiał z trudem tłumiony gniew. - i to nie za niego.

Przygwoździł Mike'a spojrzeniem, które mówiło: „już po tobie”.

- No więc - zaczęła Erin - jeśli o to chodzi...

- Och, mój Boże, Carly ma pierścionek!

Lissa stała najbliżej i musiała zauważyć, jak światło odbijało się w jego oczku.

- Matt, oświadczyłeś się?

- Tak, ale ...

Siostry nie zwracały na niego najmniejszej uwagi. Przebiegły obok, jakby był powietrzem, i otoczyły Carly, zachwycając się pierścionkiem zaręczynowym, podnosiły jej rękę i obracały dłoń, aby go lepiej obejrzeć.

Matt rzucił Mike'owi jeszcze jedno spojrzenie, mówiące: "szykuj się na śmierć", i odwrócił się w stronę zgromadzenia za swoimi plecami.

- Co chciałaś powiedzieć przez to: jeśli „o to chodzi”? - zapytał siostrę stosownie nieprzyjemnym tonem.

Erin patrzyła na niego pełna winy.

- Myślę, że już nie chcę wychodzić za Colina.

- Chyba sobie ze mnie żartujesz.

Mike był zachwycony. Matt widział jego twarz kątem oka i rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

Erin uśmiechnęła się do niego najbardziej rozbijającym z uśmiechów.

- Naprawdę mi przykro, Matt. Wiem, że wydałeś na to fortunę i że stracimy większość tych pieniędzy, a poza tym będzie ci bardzo niezręcznie wyjaśniać wszystkim, że ślub został odwołany

...

- Mnie? - zdziwił się Matt.

- Ale chyba nie chciałbyś, żebym tylko dlatego wyszła za mąż, prawda?

Tu go miała.

- Nie - odrzekł kwaśno po chwili. - Nie chciałbym.

Lissa popatrzyła na niego i nagle otworzyła szeroko oczy.

- Matt - powiedziała szybko - mam świetny pomysł. Zamiast odwoływać ślub, możemy przecież zamienić młodą parę. Ty i Carly możecie się pobrać jutro, to znaczy dzisiaj.

- Co?

Nie wierzył własnym uszom. Dziewczyny naradzały się i robiły plany, od czasu do czasu tylko rzucając mu jakieś spojrzenie. Po prostu nie mógł w to uwierzyć! To właśnie całe jego życie.

Jedna długa seria problemów ze zwariowanymi kobietami.

- Co o tym myślisz? - zapytała niepewnie Carly.

Spojrzenie Matta nagle złagodniało. To z nią chciał być na zawsze. Zawsze i wszędzie. Zgodził się i cała grupa - poza Mikiem, który wciąż czuł się bardzo niepewnie - zaczęła piszczeć z radości.

Patrząc na wszystkie cztery, gdy niemal stykając się głowami szeptały i wymieniały uwagi, Matt uznał, że jego życie jest tak mocno związane z kobietami, jak podwórkowy pies z pchłami.

Na szczęście zaczął powoli lubić to swędzenie.

Do tego stopnia je polubił, że jeszcze tego samego dnia poślubił jedną z tych nieznośnych, małych istot.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)